DINAH JEFFERIES

Żona plantatora herbaty

Dinah Jefferies

Żona plantatora herbaty

Tłumaczenie
Hanna Hessenmiiller

Pamięci mego syna Jamiego

PROLOG

Cejlon, 1913

Kobieta przytuliła cienką białą kopertę do ust i, słuchając dolatujących z daleka boleśnie słodkich dźwięków syngaleskiego fletu, jeszcze raz zastanowiła się nad swoją decyzją. Starała się rozważyć wszystko, jakby ta decyzja była kamyczkiem, który obraca w palcach i ogląda dokładnie. A potem zapieczętowała list i oparła o wazon z więdnącymi czerwonymi różami.

W nogach łóżka z czterema narożnymi słupkami stała staroświecka otomana z ciemnego drewna o bokach obitych jedwabną morą i z miękkim, otwieranym skórzanym siedziskiem. Uniosła je i z wnętrza skrzyni obitego ocynkowaną blachą wyjęła suknię ślubną w kolorze kości słoniowej. Skrzywiła się, bo suknię okropnie było czuć naftaliną, a następnie powiesiła ją na oparciu krzesła. Z wazonu wyjęła różę. Oderwała kwiat i zerknęła na śpiące słodko niemowlę. Niech sobie jeszcze pośpi, maleństwo**...** Stanęła przed toaletką i przyłożyła kwiat do jasnych włosów delikatnych jak jedwabne nitki. On je zawsze tak określał. On! Potrząsnęła energicznie głową, kwiat opadł na podłogę. I dobrze, bo dziś jego miejsce na pewno nie jest w jej włosach.

Na łóżku leżały starannie poskładane ubranka dziecka. Spojrzała na nie i musnęła palcami świeżo wyprany niebieski kaftanik. Zrobiła go sama na drutach. Dziergała godzinami, póki oczy nie zaczynały szczypać i łzawić. Teraz położyła kaftanik na arkusiku cienkiej bibułki, przykryła drugim arkusikiem i włożyła do skrzyni. Na samo dno.

Każdą rzecz chowaną do skrzyni starannie owijała bibułką i kładła na stosie wełnianych czapeczek, bucików, koszulek nocnych i śpioszków. Białe. Niebieskie. Białe. Niebieskie. A na końcu tetrowe pieluszki i miękkie bawełniane ręczniczki. Te poskładała wyjątkowo starannie, w idealną kostkę, potem obrzuciła wzrokiem wszystko, czego dokonała tego ranka. Starała się zachować spokój i nie poddawać nastrojowi.

Znów spojrzała na niemowlę. Jego powieki drżały, pewnie mały niebawem się obudzi, musi więc się pospieszyć. Na ten dzień, dzień szczególny, wybrała jedwabną długą suknię w kolorze morskiej zieleni, z wysokim stanem przepasanym szarfą. Jej

ulubiona suknia, zamówiona w Paryżu. Miała ją na sobie tamtego wieczoru, kiedy odbywało się to przyjęcie, tamtej nocy, kiedy była pewna, że zostało poczęte dziecko. Czy dobrze zrobi, jeśli włoży ją dziś? Czy nie zostanie to odebrane jako próba zadania komuś głębokiej rany? Być może tak, ale ona włoży ją tylko ze względu na piękny kolor. To jedyny powód.

Dziecko zakwiliło i zaczęło marudzić. Spojrzała na zegar, wyjęła niemowlę z kołyski i usiadła w fotelu koło okna. Słońce było już wysoko na niebie, upał stawał się coraz większy, ale łagodne powiewy bryzy dawały miły chłód. Gdzieś w środku domu zaszczekał pies. Z kuchni dolatywały zapachy przygotowywanego posiłku.

Rozpięła koszulę nocną, odsłaniając białą niczym z marmuru pierś. Dziecko wtuliło się i zaczęło ssać. Maleńki chłopczyk miał bardzo mocne szczęki, toteż jej sutki były popękane i podczas karmienia zawsze zagryzała wargę, by łatwiej znieść ból. Teraz też bolało, więc żeby odwrócić uwagę, zaczęła rozglądać się po pokoju pełnym przedmiotów, z którymi wiązało się tyle wspomnień. Rzeźbiony podnóżek przywieziony z północy, uszyty przez nią abażur na lampce nocnej, dywanik z Indochin**...**

Kiedy pogłaskała synka po policzku, przestał ssać i podniósł rączkę. Malusieńkie paluszki dotknęły jej twarzy. Ze wzruszenia łzy zakręciły się w jej oczach.

Przewinęła synka, okręciła go w ciepły, zrobiony na szydełku szal i położyła na łóżku. Ubrała się szybko, wzięła niemowlę na ręce i po raz ostatni spojrzała na pokój. Jedną ręką zamknęła siedzisko otomany, podniosła z podłogi różę i wrzuciła do kosza na śmieci. Musnęła palcami więdnące róże w wazonie. Czerwone płatki przefrunęły nad białą kopertą i opadły na lśniącą mahoniową posadzkę jak krople krwi.

Otworzyła oszklone drzwi, popatrzyła na ogród i zrobiła trzy głębokie wdechy, napełniając płuca świeżym powietrzem przesyconym zapachem jaśminu. Łagodny wiatr ustał, ucichł też i flet. Była pewna, że opanuje ją lęk, a tymczasem poczuła jedynie ulgę. Ruszyła przed siebie równym, zdecydowanym krokiem, oddalając się od domu. Jeszcze chwila i jej wiotka postać była już tylko jasną, niknącą plamą. Plama ta przybrała delikatny liliowy odcień. Kolor tych, którzy pragną spokoju.

Część pierwsza

Nowe życie

1

Cejlon, 1925, dwanaście lat później

Gwen, ściskając w ręku słomkowy kapelusz, oparła się o reling i znów spojrzała w dół. Już prawie od godziny patrzyła, jak burtę statku obmywa słona woda, na zmieniające się kolory, przy okazji odprowadzając wzrokiem przepływające obok kawałki papieru, skórki pomarańczy i liście. Kiedy turkus przeszedł w wyblakłą zieleń, pomyślała, że to już niedługo, a potem wychyliła się jeszcze bardziej, by odprowadzić wzrokiem kawałek srebrzystego materiału. Nagle zabuczała syrena okrętowa, a ona aż podskoczyła i odruchowo oderwała rękę od relingu. W tym momencie mała jedwabna torebka ściągana sznureczkiem ozdobionym koralikami – pożegnalny prezent od matki – zsunęła się z jej ręki i zanim Gwen zdążyła cokolwiek zrobić, woreczek był już w dole. Zawirował kilkakrotnie w brudnej wodzie i znikł w odmętach oceanu, a wraz z nim pieniądze i staranie złożony list od Laurence'a zawierający instrukcje. Gwen, pełna wątpliwości towarzyszących jej od chwili wyjazdu z Anglii, po raz kolejny poczuła się bardzo niepewnie. A w uszach zadźwięczał głos ojca wypowiadającego znamienne słowa: „Gwen, gdy znajdziesz się na Cejlonie, nie możesz już bardziej oddalić się od Gloucester**...**”.

Ale zaraz potem usłyszała inny męski głos mówiący miękko:

– Pani po raz pierwszy na Wschodzie?

Gwen przyzwyczajona, że jej fiołkowe oczy i porcelanowa cera zwracają uwagę, powoli odwróciła się, by sprawdzić, kto pyta tym razem.

– Ja? – spytała, mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem. – Rzeczywiście, po raz pierwszy. Jadę do męża. Pobraliśmy się niedawno.

Szybko zrobiła wdech, by powstrzymać się od przekazywania dalszych szczegółów. Pytającym był mężczyzna średniego wzrostu, barczysty i śniady. Miał wydatny nos, czarne kręcone włosy i błyszczące oczy koloru karmelu wlepione teraz w Gwen. Uśmiechnął się szczerze, a Gwen poczuła się swobodniej.

– Ma pani szczęście. Zwykle w maju ocean jest o wiele bardziej wzburzony. Mąż jest plantatorem herbaty, czy tak?

– Jak pan się tego domyślił?

– To nie jest trudne. Wygląda pani jak typowa żona plantatora herbaty.

Gwen spojrzała na swoją beżową suknię z modną obniżoną talią, wysokim, sztywnym kołnierzykiem i długimi rękawami. Nie, wcale nie miała ochoty wyglądać

typowo, ale może szyfonowy szal udrapowany wokół szyi sprawił, że nie jest szara i ponura.

– Widziałem, co się pani przytrafiło. Wielka szkoda.

– Sama jestem sobie winna – przyznała uczciwie, czując jednocześnie, że chyba się rumieni.

Gdyby była choć trochę podobna do Fran, jednej ze swoich kuzynek, na pewno podtrzymałaby rozmowę. Ale podobna nie była, dlatego uznała, że tych kilka zdań wystarczy, i odwróciła się, by popatrzeć, jak statek dopływa do Kolombo.

Przed sobą miała teraz zbliżające się zabudowania miasta, w górze błękitne niebo, a w oddali purpurowe wzgórza. Wszędzie dookoła krzyczały mewy pikujące nad małymi łódkami, których pływało tu mnóstwo. Gwen czuła miły dreszcz podniecenia. Znalazła się przecież w całkowicie nieznanej rzeczywistości. Sama. Bez Laurence'a, którego bardzo jej brakowało. Pomyślała przez chwilę o nim ciepło, ale nie trwało to długo, bo nowa rzeczywistość była zbyt ekscytująca.

Wciągnęła głęboko w płuca powietrze i ku wielkiemu zaskoczeniu wyczuła w nim jakieś inne nuty tłumiące słoną woń morza.

– Co tak pachnie? – spytała, zwracając się do mężczyzny, który jak się spodziewała, nadal tam stał.

Mężczyzna zrobił głęboki wdech.

– Naturalnie, cynamon. I chyba drzewo sandałowe.

– Ale jeszcze coś słodkiego.

– To jaśminy. Cejlon po prostu tonie w ich kwiatach.

– Cudnie**...** – powiedziała, nadal przekonana, że wśród tych uwodzicielskich zapachów można wyczuć jeszcze jeden, zdecydowanie nie tak upojny.

I nie myliła się, bo jej rozmówca, po kolejnym wdechu, dodał:

– Niestety, oprócz kwiatów czuć także ścieki.

Gwen pokiwała głową. Tak, to chyba właśnie to.

Czarnowłosy mężczyzna znów się odezwał:

– Przepraszam, nie przedstawiłem się jeszcze. Jestem Savi Ravasinghe.

– Miło mi. Ale**...** Ale ja pana chyba nie widziałam podczas obiadu.

– Pyta pani, czy jestem pasażerem pierwszej klasy? Naturalnie, że nie. Jestem przecież Syngalezem.

Gwen dopiero teraz zauważyła, że pan Ravasinghe stoi po drugiej stronie liny oddzielającej obie klasy pasażerskie.

– Miło mi pana poznać – powiedziała, szybko zdejmując z prawej dłoni białą rękawiczkę. – Jestem Gwendolyn Hooper.

– W takim razie musi być pani żoną Laurence'a Hoopera.

Gwen bezwiednie musnęła palcem wielki cejloński szafir osadzony w pierścionku zaręczynowym i pokiwała głową trochę zaskoczona.

– Czyżby znał pan mego męża?

Pan Ravasinghe skłonił głowę.

– Owszem, kiedyś miałem przyjemność go poznać. A teraz proszę wybaczyć, ale muszę już iść.

Gwen, zadowolona z tego krótkiego spotkania, ponownie wyciągnęła do niego rękę.

– Mam nadzieję, że spodoba się pani na Cejlonie – powiedział, ignorując wyciągniętą dłoń. Potem złożył ręce na wysokości piersi i skłonił się niezbyt głęboko. – Oby marzenia pani się spełniły – dodał cicho, przymykając oczy, a potem odszedł.

Gwen poruszyły jego słowa i dziwny ukłon, ale nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać. Było tyle ważniejszych spraw. Musiała zachować w pamięci wszystko, co przykazał jej Laurence, co napisał w liście, który niestety przepadł w wodach oceanu.

Pasażerowie pierwszej klasy schodzili z pokładu jako pierwsi i Gwen skupiła się na tym, by sprawnie podążać w tłumie. Gdy już stanęła na lądzie, przywołała w myślach tamtą krótką rozmowę. Nigdy dotąd nie spotkała kogoś o tak egzotycznym wyglądzie i, szczerze mówiąc, nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby mężczyzna dotrzymał jej towarzystwa trochę dłużej. Ale skoro nie mógł, to trudno, poradzi sobie sama.

Nie, absolutnie nie była przygotowana na niemiłosierny cejloński upał, na tę feerię barw i kontrasty na każdym kroku. Jeśli mrok, to naprawdę bardzo mroczny, a światło jasne aż do bólu oczu. I do tego atakujący zewsząd wirujący, zachłanny hałas. Dzwonki, klaksony, podniesione głosy ludzi i brzęczenie owadów. Czuła się tak, jakby ją również coś porwało i niosło ze sobą niczym śmieci unoszone przez wodę oceanu. Teraz usłyszała coś jeszcze głośniejszego. Na szeroki drewniany chodnik ciągnący się wzdłuż nabrzeża wkroczył wielki słoń z uniesioną trąbą. Widok był hipnotyzujący. Przez dłuższą chwilę nie mogła oderwać oczu od trąbiącego olbrzyma, a kiedy jej się to w końcu udało, śmiałym krokiem weszła do budynku kapitanatu portu, by tam ustalić, jakie będą dalsze losy jej kufra. Potem usiadła na ławce; żar lał się z nieba, a jej jedyną osłonę stanowił słomkowy kapelusz. Co jakiś czas opędzała się od namolnych much i czekała. Laurence

obiecał, że będzie na nabrzeżu. Niestety, czas mijał, a męża wciąż nie było widać. Gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, co jej zalecał w razie nieprzewidzianych okoliczności. I wtedy zauważyła pana Ravasinghe stojącego koło wyjścia z pokładu dla pasażerów drugiej klasy. Szybko odwróciła głowę z nadzieją, że uda jej się ukryć rumieniec. Znajdowała się w kłopotliwej sytuacji. Siedzi sama na ławce i nie wie, co ma ze sobą zrobić. Skupiła wzrok na załadunku skrzyń z herbatą na barkę stojącą na samym końcu doków.

Smród ścieków całkowicie przytłumił zapach cynamonu. Doszły do tego jeszcze inne nieprzyjemne zapachy tłuszczu, obornika i zgniłych ryb. Poza tym na nabrzeżu pojawili się inni pasażerowie napastowani przez handlarzy oferujących drogie kamienie i jedwab. Gwen poczuła niepokój. Co zrobi, jeśli Laurence w ogóle się nie pojawi? Obiecał solennie, że przyjedzie na pewno. Przecież Gwen ma dopiero dziewiętnaście lat i w ciągu swego krótkiego życia zdarzyło jej się opuścić Owl Tree Manor tylko dwukrotnie, kiedy wybrała się razem z Fran na wycieczkę do Londynu. Czuła się samotna i bardzo żałowała, że kuzynka nie mogła przyjechać tu razem z nią. Oto tkwi na nabrzeżu sama jak palec i, mimo że darzyła Laurence'a bezgranicznym zaufaniem, czuje zdenerwowanie i rozgoryczenie.

Chmara półnagich śniadych dzieci przemykała w tłumie, oferując pęczki lasek cynamonu, a ich ogromne oczy błagały o rupie. Mały chłopczyk, chyba pięcioletni, podał pęczek Gwen. Powąchała brązową korę, a dziecko powiedziało coś, czego nie zrozumiała. Było jej bardzo przykro, że nie może od tego czarnowłosego łobuziaka nic kupić, ale nie miała żadnych pieniędzy, ani funtów, ani rupii.

Wstała i przeszła się kawałek. Powiał wiatr, a gdzieś z oddali dobiegły głośne dźwięki. Pomyślała, że to chyba bębny. Zrobiła jeszcze parę kroków, niewiele, bo koło ławki zostawiła swoją walizkę.

Nagle usłyszała głos pana Ravasinghe i poczuła na czole kropelki potu.

– Pani Hooper! Nie wolno tak zostawiać bagażu!

Szybko otarła czoło.

– Ale ja nie spuszczam go z oka.

– To nic nie da. Tutejsi ludzie są ubodzy i nie brakuje takich, co skorzystają z okazji. Pani pozwoli, że wezmę jej walizkę i znajdę jakieś chłodniejsze miejsce, gdzie będzie pani mogła czekać.

– Dziękuję. Jest pan bardzo miły.

Ujął ją bardzo delikatnie opuszkami palców pod łokieć i przeprowadził przez budynek kapitanatu.

– To Church Street – poinformował, kiedy znaleźli się już na ulicy. – Proszę

spojrzeć tam, na Ogrody Gordona. Widzi pani to drzewo na samym brzegu? To suriya, znana również jako tulipanowiec indyjski.

Gwen wyłowiła wzrokiem wspomniane drzewo o bardzo grubym pniu i okazałej koronie, ozdobionej pomarańczowymi kwiatami w kształcie dzwonków.

– Będzie tu pani na pewno chłodniej – powiedział pan Ravasinghe. – Chociaż po południu zrobi się naprawdę gorąco, a monsun jeszcze niestety nie powiał.

– Na pewno będzie tu przyjemniej. Bardzo panu dziękuję. Pójdę dalej sama. Nie chciałabym pana fatygować.

Pan Ravasinghe uśmiechnął się.

– Nie mogę zostawić pani samej, nie dość, że w obcym mieście, to na pewno jeszcze bez pieniędzy. Przecież widziałem, jak pani torebka wpadła do wody.

Gwen, zadowolona, że uprzejmy tubylec nadal chce służyć swoim towarzystwem, odwzajemniła uśmiech i razem przeszli pod tulipanowiec, gdzie miała spędzić kolejną godzinę. Siedziała oparta plecami o pień, spocona jak mysz i zastanawiała się, co ją podkusiło, by zgodzić się zamieszkać właśnie tu, na Cejlonie. W dodatku hałas był już taki, że pan Ravasinghe, choć stał bardzo blisko, musiał do niej krzyczeć.

– Pani Hooper, jeśli pani mąż nie pojawi się do trzeciej, mam nadzieję, że przystanie pani na moją propozycję. Proponuję, by udała się pani do Galle Face Hotel. W tym hotelu mają wiatraki, zimne napoje. Na pewno będzie pani tam przyjemniej.

Gwen zawahała się, wcale nie tak chętna do opuszczenia stanowiska pod tulipanowcem.

– Ale czy Laurence domyśli się, że czekam na niego w tym właśnie hotelu?

– Naturalnie! Wszyscy Brytyjczycy, niezależnie od swojej pozycji, udają się właśnie tam.

Spojrzenie Gwen przemknęło po imponującej fasadzie Grand Hotelu.

– A nie tam?

– Na pewno nie. Proszę mi zaufać.

Wiatr znów powiał, tym razem bardzo gwałtownie, sypiąc pyłem prosto w twarz Gwen. Kiedy ocierała oczy, pomyślała, że może jednak warto posłuchać rady pana Ravasinghe, bo upał stawał się naprawdę morderczy. Spojrzała w bok i zobaczyła nad ulicą łopoczące na wietrze białe wstęgi. Pod wstęgami stał mężczyzna w brązowych szatach i wydawał z siebie wysokie monotonne dźwięki. Otoczał go wianuszek kobiet w barwnych sari.

– To mnich – wyjaśnił pan Ravasinghe. – Śpiewa pirith, czyli paritte, święte wersy,

które są prośbą o obronę, o poczucie bezpieczeństwa. Pomagają też przezwyciężyć wielki smutek, dlatego często wygłasza się je przy łożu konającego, aby zapewnić mu dobrą śmierć. Podejrzewam, że w tym właśnie miejscu wydarzyło się coś bardzo złego. A może ktoś umarł i mnich, prosząc bogów o błogosławieństwo, stara się oczyścić to miejsce z resztek zła? Bo my tu, na Cejlonie, wierzymy w duchy.

– I jesteście wszyscy buddystami, prawda?

– Ja jestem. Ale oprócz buddystów są tu hinduiści i muzułmanie.

– A chrześcijanie?

Pan Ravasinghe w odpowiedzi skłonił głowę.

Czekali dalej. Kiedy dochodziła już trzecia, a Laurence się nie pojawił, pan Ravasinghe spojrzał pytająco na Gwen, a ona skinęła głową. Wtedy zawołał jednego z riksiarzy, odzianego bardzo skąpo, bo tylko w turban i porządnie przybrudzoną płócienną przepaskę na biodrach. Był tak chudy, że jego kości wystawały ze śniadej skóry.

– Chyba tym nie pojedziemy? – spytała.

– Woli pani jechać wozem ciągniętym przez bawoła?

Akurat obok nich przejeżdżał taki wóz z baldachimem, na gigantycznych kołach, wyładowany pomarańczowymi owocami. Gwen spojrzała zdziwiona.

– Przepraszam, pani Hooper. To był głupi żart. Nie ten wóz miałem na myśli. Pojechalibyśmy małym powozikiem ciągniętym przez jednego bawoła. Takie powoziki mają baldachim z liści palmy.

– Rozumiem. A mógłby mi pan powiedzieć, co to za owoce?

– Kokos królewski. Tylko na sok. Może miałaby pani ochotę skosztować?

Owszem, bardzo jej się chciało pić, jednak pokręciła przecząco głową, popatrując jednocześnie na wielki plakat wiszący na ścianie tuż za plecami pana Ravasinghe. Przedstawiono na nim ciemnoskórą kobietę w żółto-czerwonym sari, która na głowie, owiniętej żółtą chustą, miała kosz wiklinowy. Gołe nogi kobiety ozdobione były złotymi bransoletami. Była to reklama herbaty, o czym świadczył wielki napis: HERBATA MAZZAWATTEE.

W tym momencie poczuła lęk, uzmysławiając sobie, że istotnie znalazła się bardzo daleko od domu. Bardzo daleko i w całkiem innej rzeczywistości.

– Jak pani widzi, samochodów u nas jak na lekarstwo – mówił dalej pan Ravasinghe. – A z tego, w czym można wybierać, niewątpliwie najszybsza jest riksza. Oczywiście, jeśli nadal nie chce pani skorzystać z tego środka lokomocji, postaram się o powozik konny. Ja jednak polecam rikszę. Może poczuje się pani pewniej, jeśli będę jej towarzyszyć?

W tym momencie wielki czarny samochód zaczął bezceremonialnie przebijać się przez tłum pieszych, rowerzystów, wozów i powozików, trąbiąc przeraźliwie i prawie najeżdżając na śpiące psy, wylegujące się na ulicy. Gwen w pierwszej chwili poczuła wielką ulgę. To na pewno Laurence. Wreszcie! Niestety, kiedy pojazd był już blisko, zobaczyła, że w środku siedzą dwie Europejki w średnim wieku. Jedna z nich spojrzała na Gwen z wielką dezaprobatą, co zmobilizowało ją do podjęcia decyzji. Dość tego wysiadywania pod drzewem. Co ma być, to będzie. I usadowiła się w rikszy.

Galle Face Hotel, stojący bokiem do oceanu, był okazały, dostojny i bardzo brytyjski. Przed hotelem kołysało się na wietrze kilka cienkich palm i tu pan Ravasinghe, uśmiechając się miło, pożegnał Gwen na swój orientalny sposób. Było jej przykro, że ją opuszcza, dlatego w nie najlepszym nastroju pokonywała dwie kondygnacje półkolistych schodów. Kiedy jednak usiadła już w hotelowym holu, zwanym palmowym, gdzie było o wiele chłodniej, poczuła się znacznie lepiej. Prawie jak u siebie. Zamknęła oczy, zadowolona, że wreszcie ma chwilę wytchnienia. Niestety, błogi stan trwał krótko, bo znów pojawiły się niespokojne myśli. Laurence mógł przecież zjawić się w każdej chwili, a ona doskonale zdawała sobie sprawę, że jej wygląd pozostawia wiele do życzenia.

Wypiła kilka łyków cejlońskiej herbaty i przemknęła spojrzeniem ponad stolikami i krzesłami na lśniącej posadzce z tekowego drewna. W jednym z rogów sali zauważyła małą, dyskretną tabliczkę informującą, gdzie znajduje się toaleta dla pań, i już po chwili znalazła się w niewielkim, ładnie pachnącym pomieszczeniu o ścianach z wieloma lustrami. Spryskała twarz zimną wodą i poperfumowała się bardzo oszczędnie Apr**è**s L'Ondée. Na szczęście flakonik schowała do walizki, a nie do torebki, która utonęła w oceanie. Niestety, nadal czuła się lepka od potu, ale nie mogła na to nic poradzić i zajęła się włosami. Upięła je jeszcze raz, tuż nad karkiem. Długie, ciemne pukle, o których Laurence kiedyś powiedział, że są jej największą ozdobą. Kiedy wspomniała, że zastanawia się, czy nie obciąć się na chłopczycę, tak jak Fran, był przerażony. Potem pociągnął ją za jeden z loków nad karkiem, potarł brodą o czubek jej głowy, a na koniec objął dłońmi jej twarz i spoglądając w oczy, oświadczył:

– Nigdy nie obetniesz włosów na krótko. Obiecaj mi.

Kiwnęła głową. Nie mogła wydobyć głosu, bo tam, gdzie czuła dotyk jego palców, czuła też rozkoszne mrowienie, budzące w niej jeszcze wiele innych, nieznanych dotąd odczuć.

Ich noc poślubna była wprost cudowna, tak samo pierwszy tydzień małżeńskiego pożycia. Tej ostatniej wspólnej nocy żadne z nich nie zmrużyło oka, mimo że Laurence musiał wstać przed świtem, by zdążyć na czas do Southampton, skąd odpływał statek na Cejlon. Był bardzo rozczarowany, że Gwen nie płynie razem z nim. Miał do załatwienia ważne sprawy, Gwen natomiast chciała zostać jeszcze w Anglii, by poczekać na Fran. Oboje uznali, że czas rozłąki i tak minie szybko, tym niemniej Gwen już w chwili, gdy drzwi za Laurence'em się zamknęły, pożałowała swojej decyzji. Trudno jej było sobie wyobrazić, jak wytrzyma bez niego, i kiedy Fran, zajęta sprawami związanymi z wynajmowaną przez nią posiadłością, nadal zwlekała z przyjazdem z Londynu, postanowiła wyruszyć na Cejlon sama.

Gwen, urzekającej urodą, nigdy nie brakowało wielbicieli. A ona swoje serce od razu oddała temu jednemu, jedynemu. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Z obu stron. Spotkali się na wieczorze muzycznym, kiedy Fran zabrała ją do Londynu. Laurence dostrzegł Gwen z daleka, uśmiechnął się i od razu zaczął przedzierać się do niej przez tłum, żeby się przedstawić. Potem spotykali się codziennie i kiedy Laurence się oświadczył, Gwen, rozpromieniona, bez wahania powiedziała „tak”. Jej rodzice nie byli zachwyceni, że córka chce wyjść za trzydziestosiedmioletniego wdowca mieszkającego na Cejlonie. Ojciec próbował jej to wyperswadować, kiedy jednak Laurence oznajmił, że gotów jest wynająć kogoś do prowadzenia plantacji i wrócić na stałe do Anglii, był pod wrażeniem. Gwen natomiast nie chciała w ogóle o tym słyszeć. Jeśli życie Laurence'a jest na Cejlonie, to ona też będzie tam, gdzie on.

Kiedy wyszła na korytarz, na moment zabrakło jej tchu. Laurence już tu był. Stał odwrócony plecami do niej w wielkim holu. Bezwiednie dotknęła korali, by sprawdzić, czy niebieska kropelka, która zawsze powinna być z przodu, jest na swoim miejscu, i zastygła, sycąc oczy widokiem męża. Był wysoki, barczysty, o krótkich, brązowych włosach lekko przyprószonych na skroniach siwizną. Typowy absolwent słynnej szkoły dla chłopców w Winchesterze. Wyglądał tak, jakby pewność siebie miał we krwi. Mężczyzna, którego kobiety uwielbiają, a inni mężczyźni szanują. Który czyta poezje Roberta Frosta i Williama Butlera Yeatsa, za co Gwen również go pokochała. A nade wszystko pokochała go za to, że już wiedział, że ona wcale nie jest skromną dziewczyną, za jaką ją uważają.

Laurence musiał wyczuć na sobie jej wzrok, bo się odwrócił. Spojrzał na nią z wyraźną ulgą i twarz mu pojaśniała w uśmiechu. Ruszył ku niej, a ona mogła jeszcze przez króciutką chwilę patrzeć na niego w zachwycie. Miał mocno zarysowaną szczękę, dołek w brodzie i mocno opalone nogi widoczne w krótkich

spodniach. Nie wyglądał już tak schludnie i nienagannie jak w zimnej Anglii, ale dla niej nadal urzekająco. Gwen, czując nagły przypływ energii, pobiegła mu na spotkanie. Złapał ją, na moment unieruchomił, trzymając przed sobą na wyciągnięcie ręki, a potem omal nie zgniótł w niedźwiedzim uścisku. Na koniec obrócił się z nią dookoła i wyznał niskim, lekko zachrypniętym głosem:

– Nie wyobrażasz sobie, jak tęskniłem za tobą.

– Ja też! A skąd wiedziałeś, że czekam na ciebie właśnie tu?

– Spytałem kapitana portu, dokąd poszła najpiękniejsza kobieta na Cejlonie.

Gwen uśmiechnęła się.

– Jesteś bardzo miły, bo ja na pewno wcale nie jestem tu najpiękniejsza.

– Jedną z najbardziej zachwycających rzeczy w tobie jest to, że nie zdajesz sobie sprawy z własnej urody. Gwen, przepraszam za spóźnienie.

– Nic się nie stało, ktoś się mną zaopiekował. Ktoś, kto podobno cię zna. Pan Ra**...** Ravasinghe. Chyba dobrze zapamiętałam nazwisko.

– Savi Ravasinghe?!

– Zgadza się – przytaknęła Gwen niepewnym głosem, bo Laurence wyraźnie sposępniał. Zmrużył oczy i wachlarzyki przedwczesnych zmarszczek w kącikach oczu świadczących, że ten mężczyzna żyje pełnią życia, stały się o wiele bardziej widoczne. Dzięki nim Laurence był dla swej żony jeszcze bardziej pociągający. Bardzo chciała ich teraz dotknąć.

– Ach! Nieistotne! – rzucił, już rozpogodzony. – Gwen, spóźniłem się, bo samochód się zepsuł. Na szczęście Nick McGregor doprowadził go do porządku. Niestety, jest już za późno, żeby jechać do domu, dlatego zatrzymamy się w tym hotelu.

Podeszli do recepcji. Laurence załatwił formalności i zaraz potem przyciągnął żonę do siebie. Jego wargi musnęły jej policzek tak słodko, że mimo woli cicho westchnęła.

– Twój kufer przyjedzie pociągiem do Hatton.

– Wiem. Rozmawiałam o tym w kapitanacie portu.

– Dobrze. McGregor wyśle któregoś z robotników na stację. Gwen, masz w tej walizce wszystko, co będzie ci potrzebne do jutra?

– Powiedzmy.

– Chcesz się napić herbaty?

– A ty?

– Ja? A jak myślisz?

Gwen udało się jakoś nie wybuchnąć śmiechem. Laurence przekazał jeszcze recepcjoniście, żeby ich rzeczy jak najszybciej zanieść na górę, i oboje ruszyli

w stronę schodów. Kiedy zaczęli wolno wchodzić ramię w ramię, Gwen czuła się jeszcze normalnie. Ale za zakrętem schodów poczuła niepewność.

Laurence pierwszy podszedł do drzwi. Otworzył je na oścież, Gwen przekroczyła próg i przystanęła, rozglądając się dookoła. W pokoju unosił się zapach pomarańczy. Za wysokim oknem nadal świeciło popołudniowe słońce, ale lampki nocne, ustawione po obu stronach łóżka, były już zapalone i to było tak wymowne, że Gwen natychmiast oblała się rumieńcem. Bo chwila, o której marzyła prawie bez przerwy, w końcu nadeszła.

– Nie podoba ci się tu? – spytał Laurence, spoglądając na nią roziskrzonym wzrokiem.

A ona miała wrażenie, że pulsują jej nie tylko skronie, ale i szyja.

– Kochanie?

– Słucham? Tak, tak, bardzo mi się podoba.

Podszedł i wyjął szpilki z jej włosów, pozwalając czarnym puklom opaść na ramiona.

– Tak jest o wiele lepiej.

Gwen kiwnęła głową.

– Laurence, oni mają przynieść tu nasze rzeczy.

– Myślę, że mamy jeszcze chwilę – powiedział i musnął palcem jej dolną wargę.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

– Otworzę okno – rzuciła Gwen, zadowolona, że znalazła rozwiązanie. Nie chciała, by portier zauważył, jak bardzo jest zdenerwowana.

Uchyliła okno i wyjrzała na bezkresną srebrzystozłocistą pomarszczoną taflę skąpaną w słońcu. Ocean stanowił niezbity dowód, że Gwen jest właśnie tu, gdzie tak bardzo chciała być. Razem z kimś, z kim przecież spędziła już cały tydzień w Anglii. Ale teraz odczuła bardzo mocno, że znalazła się daleko od domu, nieprawdopodobnie daleko. Bliska łez zacisnęła powieki. Słyszała, jak portier przyniósł ich rzeczy. Kiedy wyszedł, Laurence spytał:

– Kochanie? Coś nie tak?

Nie odpowiedziała, tylko spuściła oczy.

– Gwen, proszę, spójrz na mnie.

Zamrugała i gorączkowo zastanawiała się, jakimi słowami określić to uczucie, kiedy masz wrażenie, jakbyś została raptem przerzucona do świata, którego nie potrafisz zrozumieć. I jeszcze coś. Kiedy Laurence patrzy na nią tak, że czuje się kompletnie naga. Postanowiła jednak się nie poddawać, dlatego ruszyła z miejsca, robiąc kilka powolnych kroków w stronę męża.

Spojrzał na nią z wyraźną ulgą.

– A już zaczynałem się martwić!

– Niepotrzebnie. Jestem niemądra. Ale wiesz**...** Wszystko tu jest dla mnie całkiem nowe. Ty też wydajesz mi się jakiś taki**...** nowy.

Uśmiechnął się i podszedł bliżej.

– A temu to bardzo łatwo zaradzić**...**

Kolana Gwen trzęsły się, w głowie wirowało, kiedy mąż bezskutecznie usiłował rozpiąć jej suknię.

– Poczekaj, ja to zrobię – powiedziała i sięgnąwszy ręką w tył, przełożyła guzik przez pętelkę. – To łatwe, tylko trzeba umieć.

Uśmiechnął się.

– Czyli po prostu trzeba się tego nauczyć!

Czekali na siebie długo, bardzo długo, a to podsycało ich uczucie i teraz kochali się bardzo namiętnie, może nawet jeszcze namiętniej niż w noc poślubną. Po godzinie miłosnych zmagań Laurence zasnął. Gwen rozmyślała o tym, że kiedy przybyła do tego nieznanego, egzotycznego kraju, miała wrażenie, że palące słońce nad Kolombo odebrało jej całą energię. Myliła się. Okazało się, że miała jej w sobie całe pokłady, choć teraz, kiedy leżała, wyłapując uchem dolatujące z dworu dźwięki, nogi i ręce były ciężkie jak z ołowiu. Jednocześnie czuła, że to, że leży u boku Laurence'a, zaczyna traktować jako coś najbardziej naturalnego, oczywistego i dziwiła się, że wcześniej tak bardzo się denerwowała.

Przesunęła się trochę, by lepiej widzieć męża. Czuła jego mocne ciało przywierające do niej.

Patrzyła przepełniona miłością i miała głębokie przekonanie, że wszystko będzie dobrze. Wdychała piżmowy zapach Laurence'a. Cienie w pokoju robiły się dłuższe, ciemniejsze. W końcu Gwen odetchnęła głęboko i zamknęła oczy.

2

Dwa dni później słońce przenikające przez muślinowe zasłony obudziło Gwen bardzo wcześnie. Otworzyła oczy i już ich nie zamknęła, bo o spaniu nie było mowy, skoro miała przed sobą dzień pełen emocji. Po wspólnym śniadaniu Laurence miał ją zabrać na wielki objazd po plantacji i całej okolicy! Usiadła na brzegu łóżka i najpierw zajęła się splecionymi na noc włosami. Zwróciła im wolność, po czym opuściła nogi, stawiając stopy na białym futrzanym dywaniku koło łóżka. Na moment zastygła, zastanawiając się, jakiemu zwierzęciu zawdzięcza on tę nieprawdopodobną miękkość. Potem wstała i włożyła jasny jedwabny szlafrok, który ktoś powiesił na oparciu stojącego nieopodal krzesła.

Na tę plantację, położoną w krainie wzgórz, przyjechali poprzedniego dnia tuż po zachodzie słońca i Gwen, z obolałą ze zmęczenia głową, oszołomiona ostrą czerwienią i purpurą nieba, od razu padła na łóżko. Teraz przeszła po drewnianej podłodze do okna, by rozsunąć zasłony i spojrzeć na nowy, egzotyczny świat. Chłonęła nieznane dotąd obrazy i dźwięki. Z górnych rejonów dolatywały rozmaite pogwizdywania, ćwierkania, brzęczenia i bzykania, a w dole widać było ogród pełen kwiatów o delikatnych, stonowanych kolorach. Ogród ciągnął się po łagodnym zboczu aż do jeziora, w formie trzech tarasów, między którymi w odpowiednich miejscach były ścieżki, stopnie albo ławki. A samo jezioro? Czegoś tak wspaniale srebrzystego Gwen nigdy dotąd nie widziała, dlatego wszystkie wspomnienia o niewygodach poprzedniego dnia natychmiast zblakły. Nie myślała już o podróży samochodem, podczas której trzeba było pokonać wyjątkowo ostre zakręty, o głębokich parowach i nieustannym podskakiwaniu w fotelu, od czego robiło się jej niedobrze. Wszystko poszło w niepamięć. I co w tym dziwnego, skoro widok był tak urzekający! Srebrzyste jezioro okalał kobierzec aksamitnej zieleni, były to herbaciane krzewy sadzone w równych rzędach, między którymi uwijały się kobiety zajęte zbieraniem liści. Wszystkie w barwnych, przyciągających wzrok sari; wyglądały w nich jak ptaki, które sfrunęły tu, by ożywić soczystą zieleń plantacji.

Tuż za oknem sypialni rosło drzewo, a obok jeszcze jedno, którego Gwen nie rozpoznała, chociaż to, co na nim wisiało, podobne było do czereśni. Zerwie kilka na śniadanie.

Pod drzewami zauważyła stół, na którym siedziało jakieś nieduże stworzenie, ni to małpka, ni sowa, i wpatrywało się w Gwen okrągłymi jak spodki oczami.

Odwróciła się i spojrzała na pokój, na ogromne łóżko ze słupkami, na których rozwieszona została moskitiera. Jedwabna narzuta była ledwo pomięta. Nic dziwnego, skoro spała tu tylko jedna osoba. Dlaczego Laurence nie przyszedł do niej tej nocy? Może chciał, żeby wyspała się porządnie po męczącej podróży i dlatego poszedł do swojego pokoju?

Drzwi skrzypnęły.

– Laurence, czy**...**

– To ja, proszę pani. Naveena. Chyba powiedziano już pani o mnie. Będę pani usługiwać.

Naveena była niewysoka, krępa, ubrana w białą bluzkę i niebiesko-żółte długie sari. Posiwiałe włosy miała splecione w warkocz, okrągłą twarz pokrywała siatka zmarszczek, a spojrzenie ciemnych oczu w czarnej oprawie wydawało się idealnie obojętne.

– Gdzie jest mój mąż?

– Pan Laurence pracuje. Wyszedł dwie godzinny temu.

Gwen, czując, jak uchodzi z niej powietrze, przysiadła na brzegu łóżka.

– Czy pani życzy sobie teraz zjeść śniadanie? – spytała Naveena, wskazując stolik pod oknem.

Zapadła chwila ciszy, podczas której obie kobiety mierzyły się wzrokiem.

– Może chciałaby pani zjeść na werandzie?

– Najpierw muszę się umyć. Gdzie jest łazienka?

Naveena przeszła przez pokój. Gwen wyczuła, że włosy i ubranie kobiety wydzielają ostry, nieznany zapach.

– Bardzo proszę – powiedziała Naveena. – Za tym parawanem jest łazienka, z tym że kulis do czyszczenia latryny jeszcze nie przyjechał.

– Kulis? Do czyszczenia**...** latryny?!

– Tak, proszę pani. Ale już niebawem przyjedzie.

– A jest ciepła woda?

Kobieta potrząsnęła głową w taki sposób, że Gwen nie wiedziała, czy odebrać to jako „tak” czy „nie”. Zrobiła więc niepewną minę, a służąca szybko dodała:

– Jest tam bojler na drewno albicji, proszę pani. Ciepłą wodę dostarcza przez godzinę rano i wieczorem.

Gwen uniosła głowę trochę wyżej, starając się, by to, co teraz powie, zabrzmiało o wiele pewniej niż to, co czuła.

– Dobrze. Najpierw więc umyję się, a potem zjem śniadanie. Na werandzie.

– Jak pani sobie życzy – odparła Naveena i wskazała na oszklone drzwi. – Tędy

wychodzi się na werandę. Tam podam pani herbatę.

– Dobrze. Powiedz mi, proszę, co to za zwierzę tam siedzi?

Kobieta odwróciła się do okna, niestety tajemniczego stworzenia już nie było.

Ranek na plantacji był całkiem inny niż ranek w Kolombo. Tam duszno, parno, a tu, choć też słonecznie, wcale nie za gorąco. Prawie rześko. Po śniadaniu Gwen postanowiła skosztować tutejszych czereśni. Zerwała jedną, włożyła do ust i natychmiast wypluła, ponieważ miękki, ciemnoczerwony owoc był tak kwaśny, że nie mogła go przełknąć. A potem, zarzuciwszy cienki szal na ramiona, wyruszyła na zwiedzanie swego nowego domu. Najpierw przeszła szeroki, wysoki korytarz, który ciągnął się przez cały budynek. Wyłożony był lśniącą posadzką z ciemnego drewna i oświetlony lampami naftowymi zawieszonymi na ścianach. Pachniało tu dymem z cygar, olejem kokosowym i pastą do podłogi.

Laurence o swoim domu mówił „bungalow”, dlatego spodziewała się domu parterowego, tymczasem w przestronnym holu natrafiła na kręte schody z tekowego drewna prowadzące na piętro. Za schodami, pod ścianą, odkryła piękną wysoką komodę inkrustowaną macicą perłową. Obok komody były drzwi. Gwen otworzyła je i znalazła się w salonie, zaskakująco dużym. Zrobiła głęboki wdech, a potem szybko otworzyła jedno z wielu okien, przez które widać było jezioro. W wielkim salonie zrobiło się teraz o wiele jaśniej, mogła więc wszystkiemu przyjrzeć się dokładnie. Ściany pomalowane były na delikatny niebieskozielony kolor, co potęgowało wrażenie, że jest w nim chłodno. Stały tu fotele wyglądające na bardzo wygodne i dwie jasne kanapy, na których piętrzyły się poduszki haftowane w ptaki, słonie i egzotyczne kwiaty. Na ścianie za jedną z kanap wisiała skóra lamparta, a na lśniącej posadzce leżały dwa grantowo-kremowe perskie dywany. Gwen stanęła na jednym z nich, rozłożyła szeroko ręce i obróciła się dookoła. Poczuła radość. Zaraz potem usłyszała niegłośne, ostrzegawcze warknięcie. Przestraszyła się. Okazało się, że nadepnęła na łapę psa ucinającego sobie drzemkę na jednym z perskich dywanów. Miał piękną, lśniącą sierść i był podobny do labradora. Szybko cofnęła się i w tym momencie w pokoju pojawił się mężczyzna w średnim wieku, o wąskich ramionach i z drobną twarzą barwy szafranu. Wszedł prawie bezszelestnie. Miał na sobie biały sarong, białą marynarkę i turban na głowie, też biały.

– Proszę się nie bać, to stary pies, proszę pani. Nazywa się Tapper i jest ulubieńcem naszego pana. A ja jestem kamerdynerem. Przyniosłem pani lunch – powiedział, stawiając tacę na stoliku, pod który wsunięte były jeszcze inne mniejsze. – Nasza cejlońska herbata, Broken Orange Pekoe.

– Przecież przed chwilą jadłam śniadanie.

– Ale może pani jednak zgłodniała. Pan wróci po dwunastej. W południe jeden z robotników zatrąbi i zaraz potem pojawi się tu pan. A tam**...** – wskazał drewniany stojak koło kominka – są czasopisma, które może pani poczytać.

– Dziękuję.

Obok wielkiego kamiennego kominka leżały jak wszędzie mosiężne szczypce, łopatka i pogrzebacz. Stał tam także ogromny kosz załadowany polanami. Gwen wszystko to wyłowiła wzrokiem i się uśmiechnęła. Zapowiada się naprawdę miły wieczór, kiedy oboje, ona i jej mąż, rozsiądą się przed rozpalonym kominkiem.

Laurence miał wrócić mniej więcej za godzinę, w związku z czym zrezygnowała z picia herbaty i poszła zapoznać się z najbliższym otoczeniem domu. Kiedy poprzedniego dnia przyjechali nowym daimlerem Laurence'a, było już ciemno i Gwen nie miała możliwości zorientować się, jak wygląda jej nowy dom od frontu. Postanowiła więc to teraz nadrobić. Długim korytarzem doszła do holu głównego, zatrzymując się przed podwójnymi drzwiami z ciemnego drewna, nad którymi znajdowało się okienko w ozdobnym obramowaniu. Otworzyła jedno skrzydło i wyszła na zadaszony ganek. Przed sobą miała teraz wysypaną żwirem drogę dojazdową, z obu stron wysadzaną na przemian tulipanowcami i palmami. Tulipanowce właśnie kwitły i wielkie pomarańczowe kwiaty opadały na ziemię, zdobiąc zieloną murawę pobocza.

W pobliżu domu droga biegła prosto, potem zakręcała i pięła się po zboczu wzgórza. Gwen najchętniej poszłaby teraz właśnie tam, postanowiła jednak, że najpierw obejdzie dom i przyjrzy się nietypowemu pokojowi, który miał tylko trzy ściany wewnętrzne i osiem słupów z ciemnego drewna zamiast czwartej. Była to sporej wielkości loggia, podobnie jak pokój Gwen zwrócona ku jezioru. Na marmurowej posadzce stały rattanowe meble, nakryty do lunchu stolik, a po drewnianym słupie wspinała się mała wiewiórka z paskami na futerku.

Uśmiechnęła się do uroczego stworzonka i z powrotem obeszła dom, wkraczając teraz na wysypaną żwirem drogę dojazdową. Szła niespiesznie, licząc drzewa na poboczu. Droga pięła się w górę, spacer wymagał więc trochę wysiłku. Gwen czuła, że jest coraz bardziej lepka od potu, postanowiła jednak, że dopóki nie minie dwudziestego drzewa, nie zatrzyma się, a nawet nie spojrzy za siebie. Konsekwentnie więc parła do przodu, licząc drzewa, wdychając zapach perskich róż i spoglądając na bujne krzewy o liściach w kształcie serca, obsypane jasnobrzoskwiniowymi kwiatami. Robiło się coraz bardziej gorąco, na szczęście nie tak upalnie jak w Kolombo.

Kiedy doszła do dwudziestego drzewa, zrzuciła szal i okręciła się dookoła zachwycona. Zrobiła głęboki wdech, jakby chciała wchłonąć każdą cząstkę otaczającego ją piękna w różnej postaci. Wszystko tu było urzekające i odurzające. Skrzące się jezioro, czerwony dach domu, nawet powietrze. Zapach kwiatów, świetlista zieleń plantacji na wzgórzach, świergotanie ptaków. Wszystko, co żyło, było w ruchu, szczebiotało, brzęczało, kląskało.

Ze swojego punktu obserwacyjnego widziała dom w całej okazałości. Stał równolegle do jeziora, odwrócony do niego tyłem. Portyk był z prawej strony. Z drugiej natomiast najprawdopodobniej dobudowano jedno skrzydło i dlatego dom miał kształt litery L.

Nagle w ten skrzący się, różnobarwny, świergoczący spokój wdarło się nieprzyjemne dla ucha trąbienie i serce Gwen zabiło szybciej. Zachwycona nowym otoczeniem kompletnie straciła poczucie czasu, a przecież to już południe i niebawem zobaczy się z mężem. Wynurzał się właśnie spośród wysokich drzew w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Obaj szli w stronę domu. Laurence kroczył zdecydowanie, widać było, że jest w swoim żywiole. Silny, zwarty i gotowy. Gwen szybko podniosła z ziemi szal, zarzuciła go na ramiona i pobiegła mężowi na spotkanie. Niestety, zbieganie po stromym zboczu okazało się trudniejsze niż wspinaczka. Już po chwili poślizgnęła się na żwirze, trafiając nogą w wystający korzeń. Upadła na twarz i przez moment zabrakło jej tchu.

Kiedy już mogła oddychać, pozbierała się z ziemi, ale niestety o staniu nie było mowy, ponieważ lewa noga zdecydowanie odmawiała posłuszeństwa. Bolała ją kostka, dlatego z powrotem osunęła się na ziemię. Usiadła oszołomiona i otarła ręką brudne, podrapane czoło. Od upału rozbolała ją głowa. Nic dziwnego, skoro wychodząc, zapomniała słomkowego kapelusza, przedtem było przecież o wiele chłodniej, a teraz z nieba lał się żar. Usłyszała spoza wysokich drzew jakieś dźwięki. Dziecko? Chyba raczej kot. A może**...** szakal? O nie! Nie miała najmniejszego zamiaru czekać, by przekonać się o tym na własne oczy. Zmusiła się więc ponownie, by wstać i, pokonując ból, zaczęła kuśtykać w stronę domu.

Wkrótce dostrzegła drzwi i Laurence'a, który zmierzał ku niej szybkim krokiem.

– Tak się cieszę, że cię widzę! – zawołała zdyszana. – Weszłam na wzgórze, żeby pooglądać okolicę. Niestety, upadłam!

– Niedobrze zrobiłaś, skarbie! Tam są węże, polują na szczury. Poza tym mnóstwo os i robaków, które mogą pokąsać. Lepiej, żebyś sama się jeszcze nigdzie nie oddalała.

– Ale przecież tam jest pełno kobiet zbierających liście herbaty – zaprotestowała

Gwen. – Poza tym ja wcale nie jestem tak delikatna, na jaką wyglądam!

– Zaufaj mi. Nie znasz jeszcze tej wyspy tak dobrze jak Tamilowie. Oprzyj się na mnie. Wejdziemy do środka i powiem Naveenie, żeby obandażowała ci nogę. Możemy wezwać doktora z Hatton.

– Chyba nie ma takiej potrzeby. Kim jest Naveena?

– Moją *ayah*, czyli piastunką. Opiekowała się mną, kiedy byłem dzieckiem. Jestem do niej bardzo przywiązany. Kiedy będziemy mieli dzieci**...**

Gwen uniosła znacząco brwi i uśmiechnęła się. Laurence też się uśmiechnął i dokończył myśl:

– **...**będzie się nimi opiekować.

Gwen pogłaskała go po ramieniu.

– A co ja będę robić?

– Na brak zajęcia na pewno nie będziesz narzekać. Wkrótce się o tym przekonasz.

Miło było wracać w jego towarzystwie do domu. Gwen, mimo obolałej kostki, czuła rozkoszne mrowienie z powodu bliskości silnego, ciepłego ciała męża i nie mogła powstrzymać się od czułego gestu. Pogłaskała go po brodzie, dotykając znajomego dołka, a Laurence uśmiechnął się ciepło. Weszli do środka. Laurence przekazał Gwen w ręce Naveeny, która starannie obandażowała jej nogę, a potem małżonkowie rozsiedli się w rattanowych fotelach w loggii.

– No i jak pierwsze wrażenia? – spytał Laurence, spoglądając na Gwen roziskrzonym wzrokiem. – Podoba ci się tu?

– Naturalnie! Jest pięknie i mam zamiar być tu z tobą szczęśliwa!

– Bardzo mnie to cieszy. Ale jestem zły, bardzo zły, że upadłaś. To moja wina. Powinienem był wczoraj porozmawiać z tobą o spacerach po okolicy, ale bolała cię głowa, więc postanowiłem zrobić to później. Jest kilka rzeczy, o których musisz wiedzieć.

– A konkretnie?

– Na przykład to, że dla własnego bezpieczeństwa powinnaś trzymać się z daleka od wszelkich spraw dotyczących robotników na plantacji, także nie zbliżać się do chat, w których mieszkają razem ze swoimi rodzinami.

– Dlaczego?

– Bo naprawdę nie ma tam co oglądać.

– Dobrze. Coś jeszcze?

– Tak jak już mówiłem, lepiej, żebyś nie chodziła po okolicy sama**...**

Gwen prychnęła cicho.

– **...**dopóki się ze wszystkim nie zapoznasz.

– Dobrze.

– I pamiętaj, tylko Naveena ma prawo widzieć cię w koszuli nocnej. Nikt więcej. I to ona będzie podawać ci o ósmej rano herbatę. Czyli, jak tu mówimy: „herbatę do łóżka”.

Gwen uśmiechnęła się.

– Ale oprócz herbaty ty też będziesz jeszcze w moim łóżku?

– Kiedy tylko będę mógł.

Gwen posłała mu ręką pocałunek.

– Nie mogę się tego doczekać**...**

– Ja też. A poza tym, Gwen, niczym się nie martw. Na pewno już niebawem poznasz to miejsce i poczujesz się jak w domu. Jutro poznasz żony innych plantatorów. Dokładniej, dwie. Jedna, bardzo wesoła i sympatyczna, to starsza już pani, ale Florence Shoebotham jest jeszcze młoda i może w wielu sprawach okazać się bardzo pomocna.

– Mam je poznać już jutro? Przecież ja nie mam co na siebie włożyć!

Laurence uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że to powiesz! Nie martw się. McGregor już wysłał jednego z robotników do Hatton na stację po twój kufer. McGregora przedstawię ci później, a także resztę moich pracowników. Bo teraz na pewno będziesz chciała zajrzeć do skrzyni przysłanej przez dom towarowy Selfridge'a. Podejrzewam, że są tam rzeczy, które zamówiłaś przed wyjazdem?

– I nie mylisz się!

Twarz Gwen pojaśniała w uśmiechu, bo kiedy pomyślała o zawartości skrzyni, od razu zrobiło się jej lżej na duszy. Był tam przecież nie tylko piękny kryształ z Waterford, lecz i suknia! Krótka suknia wizytowa, ozdobiona srebrzystymi i różowymi frędzlami. Doskonale pamiętała ten dzień, kiedy Fran nalegała, żeby Gwen koniecznie sprawiła sobie taką suknię.

Fran! Kochana Fran, która już za dziesięć dni zawita na Cejlon!

Nagle tuż obok załopotały skrzydła. Czarna wrona z wielkim dziobem przefrunęła nad stolikiem, częstując się w przelocie bułeczką z koszyka. Zaśmiali się oboje.

– Trzeba przyznać, że ptaków i zwierząt macie tu zatrzęsienie – stwierdziła Gwen. – Miałam już okazję widzieć wiewiórkę w paski, jak wchodziła po słupie na dach.

– Są tu dwie. Mają na dachu gniazdo. Ale bądź spokojna, wiewiórki są absolutnie nieszkodliwe.

– I bardzo dobrze, bo ta w paski mi się spodobała.

Gwen musnęła palcami dłoń męża, a on podniósł jej rękę do ust.

– I teraz ostatnia sprawa, Gwen. Prawie o tym zapomniałem. Prowadzenie domu to wyłącznie twoje zadanie. Ty rządzisz tu wszystkim, także naszą służbą. Podlegają tobie. Ja do niczego nie będę się wtrącał. Na początku może nie będzie ci łatwo, bo nasi służący za długo mieli wolną rękę. Jestem jednak pewien, że sobie z tym poradzisz i zmusisz ich do posłuchu.

– I ja mam taką nadzieję. Opowiedz mi, proszę, o plantacji. Jak dotąd, niewiele o niej słyszałam.

– O plantacji? No cóż**...** Pracują u mnie głównie Tamilowie. Są, w przeciwieństwie do większości Syngalezów, bardzo pracowici. Zatrudniam około tysiąca pięciuset robotników i dbam o nich dobrze. Zapewniam coś w rodzaju szkoły dla ich dzieci, także ambulatoryjną opiekę zdrowotną. Oprócz wynagrodzenia przysługują im jeszcze inne świadczenia, na przykład dofinansowanie przy zakupie ryżu. Poza tym mają tu sklep.

– A jak się robi herbatę?

– To długi proces. Któregoś dnia zabiorę cię do naszej fabryki herbaty i wszystko pokażę.

– Świetnie!

– Teraz, kiedy już wszystko uzgodniliśmy, możemy zrobić sobie popołudniową sjestę.

Wstał, a Gwen bezwiednie objęła się ramionami i zrobiła głęboki wdech pewna, że teraz nastąpi coś bardzo miłego, skoro wspomniał o sjeście. Zwłaszcza że nachylił się i pocałował ją w czoło. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Niestety, kiedy je otworzyła, zobaczyła, że on już odchodzi.

– Spotkamy się wieczorem, Gwen. Przepraszam, ale koniecznie muszę teraz porozmawiać z McGregorem. O czwartej, jak zwykle, w fabryce będą trąbić. Trochę głośno, ale nie przejmuj się tym. Odpocznij, najlepiej się zdrzemnij.

W oczach Gwen zakręciły się łzy. Szybko otarła je serwetką, nakazując sobie spokój. W końcu wiedziała dobrze, że Laurence ma mnóstwo pracy, a plantacja jest najważniejsza. A jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej ukochany mąż, człowiek niewątpliwie wrażliwy, zachowuje wobec niej lekki dystans. Nie sposób było tego nie zauważyć.

3

Następnego dnia Gwen na moment przystanęła przy oknie, by podziwiać zachód słońca. Niebo i woda przybrały prawie identyczny złocisty odcień, natomiast wzgórza otaczające jezioro były w najprzeróżniejszych odcieniach sepii. Gwen przebrała się i stanęła przed lustrem wpatrzona w swoje odbicie. Gęste, wijące się włosy zwinięte były nad karkiem i z pomocą służącej dodatkowo umocnione ozdobnym sznureczkiem ze srebrnymi paciorkami. Tego wieczoru fryzura musiała być idealna, ponieważ Laurence zaprosił na kolację gości, by przedstawić nową panią na plantacji Hoopera, i Gwen chciała prezentować się jak najlepiej. Jednak nowej sukni nie włożyła. Postanowiła, że poczeka z tym do przyjazdu Fran. Na pewno znakomicie się sprawdzi, kiedy razem z kuzynką będą ćwiczyć charlestona. A na ten wieczór wybrała krótką jasnozieloną suknię z obniżonym stanem, z szyfonowymi klinami i głębokim dekoltem obszytym koronką.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę!

W progu stanął Laurence. Zatrzymał się wpatrzony w żonę. Miał na sobie czarny garnitur, białą kamizelkę i taką samą muszkę, a włosy wyjątkowo starannie zaczesane z przedziałkiem. Patrzył na nią tak, że zadrżała i wstrzymała oddech.

– Ja**...** Ty**...** Na Boga! Gwendolyn!

– Wyglądasz szalenie elegancko, Laurence. Jestem pod ogromnym wrażeniem, przecież zwykle widzę cię w szortach.

Podszedł, objął żonę i musnął wargami jej kark.

– Wyglądasz zachwycająco, skarbie.

Czuła na szyi jego ciepły oddech, co było rozkoszne i dawało pewność, że ta noc będzie cudowna. Bo czyż można zwątpić w takiego mężczyznę jak Laurence? Jest taki silny, poza tym wystarczy znaleźć się blisko niego i już czujesz, że jesteś pożądana i bezpieczna. Całkowicie. Nic złego na pewno ci się nie przytrafi.

– Mówię to z pełnym przekonaniem – dodał. – Wszystkie panie, kiedy zobaczą tę sukienkę, zzielenieją z zazdrości.

Gwen spojrzała na połyskującą suknię.

– Ale ona jest taka krótka**...**

Laurence uśmiechnął się.

– Owszem! Może to wstrząśnie naszymi gośćmi, ale nie szkodzi. Lekki wstrząs od

czasu do czasu przyda się każdemu. Gwen, nie zapomnij o narzutce. Po zachodzie słońca robi się tu naprawdę chłodno, nawet przy kominku. Chyba zauważyłaś to wczoraj?

Poprzedniego dnia wieczorem Laurence był bardzo zajęty sprawami plantacji, w związku z czym do wspólnych miłych godzin przy kominku nie doszło. Jedyną atrakcją było życzenie dobrej nocy pani domu przez całą służbę. Zaczęło się to punktualnie o dziewiątej, przy czym absolutnie zachowano hierarchię ważności, ponieważ jako pierwszy pojawił się kamerdyner w turbanie, zawiadujący całym domem. Potem kucharz, zwany tu *appu*, z głową z tyłu pozbawioną włosów aż po ciemię. Włosy, jakie mu pozostały, czyli te na czubku głowy, upięte były w fantazyjny koczek. Rysy twarzy zdradzały, że musiał mieć przodków w Indochinach. Ubrany był w niebiesko-złocisty sarong i długi biały fartuch. Po kucharzu przyszła kolej na Naveenę, która przyniosła kozie mleko, gorące i posłodzone miodem, a nie – co podkreśliła – cukrem kokosowym, i uśmiechając się miło, również życzyła Gwen dobrej nocy. Potem pojawili się następni: najmłodsi służący, czyli chłopcy do posług, w sumie pięciu. Ustawili się w szeregu i zgodnym chórem życzyli jej dobrej nocy. Na koniec przyszli pomocnicy zatrudnieni w kuchni. Ci z kolei nie odezwali się ani słowem, tylko z wzrokiem wbitym w bose stopy skłonili się i wyszli. Po tej ceremonii Gwen mogła już się położyć, niestety znów sama. Ale uczyniła to tym razem chętnie, bo stłuczona kostka dawała jej się we znaki.

Teraz, kiedy sobie przypomniała ten wieczorny rytuał, nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– Co cię tak rozbawiło? – spytał Laurence.

– Przypomniałam sobie, jak wczoraj wieczorem cała służba przyszła powiedzieć mi dobranoc.

– No cóż**...** Taki mamy tu zwyczaj. Ale nie przejmuj się, z czasem do wszystkiego przywykniesz.

Pocałował ją w usta, otulając je zapachem dobrego mydła i cytryn, a potem ramię w ramię wyszli z pokoju, kierując się do salonu, gdzie przed kolacją miały być podane koktajle.

– Laurence, powiedz mi, czym tak pachnie Naveena?

– Dokładnie nie wiem, ale odkąd sięgam pamięcią, pachnie tak samo. Chyba kardamonem i gałką muszkatołową.

– Pracuje tu od dawna?

– Tak. Mówiłem ci już. Od chwili kiedy matka wyszukała ją wśród miejscowych dziewcząt i zatrudniła jako moją *ayah*.

– Biedna Naveena! Na pewno niełatwo jej było poradzić sobie z rozbrykanym chłopczykiem.

– Z pewnością! – przytaknął z uśmiechem. – Dzięki mojej matce zachowało się wiele pamiątek rodzinnych, takich jak listy, albumy ze zdjęciami, metryki czy akt małżeństwa. Jest tam z pewnością również kilka zdjęć Naveey, kiedy była o wiele młodsza.

– Bardzo bym chciała zobaczyć te pamiątki, bo chcę wiedzieć o tobie wszystko.

– Niestety, ja sam tego dawno nie widziałem, ponieważ ma je moja siostra w Anglii. Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz Verity.

– Ja też. Szkoda, że nie było jej na naszym ślubie. Mam nadzieję, że niebawem złoży nam wizytę. Mogłaby wtedy przywieźć ze sobą albumy ze zdjęciami rodzinnymi.

Laurence pokiwał głową.

– Naturalnie. Poproszę ją o to.

– A czy Naveena opiekowała się też Verity?

– Nie. Opiekowała się nią inna kobieta, młodsza od Naveeny, dopóki Verity nie rozpoczęła nauki w szkole z internatem. Biedna Verity**...** Kiedy umarli nasi rodzice, miała dopiero dziesięć lat.

– A co stanie się z Naveeną, kiedy będzie za stara, by pracować?

– Wtedy my będziemy się nią opiekować – powiedział i wstał, by otworzyć oszklone drzwi. – Wyjdziemy przez werandę.

– Dobrze.

Zrobiła jeden krok i stanęła zasłuchana w odgłosy przyrody. Cała ta urocza gama dźwięków narastała, by na chwilę ucichnąć, a potem powrócić z jeszcze większą siłą. Słychać było też szmer płynącej wody i grę cykad, a nad krzewami spowitymi w ciemność przemykały ogniki.

– To świetliki – wyjaśnił Laurence.

– Aha**...** – szepnęła zachwycona Gwen, kierując wzrok ku płonącym pochodniom koło jeziora.

– Pomyślałem sobie, że o północy możemy się przejść – dodał. – Jezioro jest znakomicie oświetlone, bo i pochodniami, i światłem księżyca.

Gwen, zachwycona perspektywą wędrowania przez tę pachnącą, gwarną noc, uśmiechnęła się promiennie.

– Poza tym – ciągnął Laurence – w nocy ryzyko natknięcia się na bawoła wodnego jest o wiele mniejsze. Mają słaby wzrok, ale są agresywne. Potrafią ubóść, a nawet stratować. Ale nie martw się. Bawołów mamy tu bardzo niewiele, natomiast tam, na

płaskowyżu, w Parku Narodowym Horton Plains, jest ich mnóstwo.

Przeszli do salonu i wkrótce pojawili się pierwsi goście, Florence i Gregory Shoebothamowie. Panowie, pochłonięci rozmową, stanęli przy barku. Panie natomiast usiadły na kanapie. Florence, wystrojona w długą prawie do kostek żółtą suknię, jak typowa Angielka była szeroka w biodrach i wąska w ramionach. Poza tym dość tęga, o podwójnym podbródku, który trząsł się za każdym razem, kiedy wydawała z siebie cienki, piskliwy głos, absolutnie niepasujący do jej imponujących kształtów.

– Jest pani bardzo młoda, miejmy jednak nadzieję, że poradzi pani sobie ze wszystkim.

Gwen bardzo się starała nie wybuchnąć śmiechem na dźwięk głosu swojej rozmówczyni.

– Poradzić sobie? To znaczy z czym?

Florence, zanim udzieliła odpowiedzi, wyjęła zza pleców poduszkę, położyła ją sobie na podołku i przysunęła się bliżej do Gwen, a ta zauważyła, że kobieta ma niskie czoło i siwiejące już włosy, które sądząc po fryzurze, bardzo trudno było ujarzmić. Poza tym czuć było od niej dżin i zapach niemytego ciała.

– Przede wszystkim przyzwyczaić się do tutejszego życia – powiedziała. – Dobrze by było, gdyby posłuchała pani mojej rady i nie spoufalała się ze służbą, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Poza tym oni wcale nie oczekują od nas uprzejmości. A tych, którzy tacy właśnie są, wcale nie darzą szacunkiem.

– W Anglii zawsze byłam uprzejma i życzliwa wobec mojej pokojówki.

– Ale tu jest inaczej. Bo kolorowi to inni ludzie. Przekona się pani. Nie ma sensu być w stosunku do nich życzliwym, bo jak powiedziałam, nic dobrego z tego nie wyniknie. I niech pani pamięta, że najgorsze są kundle.

Kundle. Gwen naturalnie domyślała się, o co chodzi, i absolutnie jej się nie podobało, że wyraz ten został użyty w tym właśnie kontekście.

– Po prostu trzeba traktować ich jak dzieci – pouczała dalej Florence. – I pilnować swojego *dhobi*. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zorientowałam się, że moje jedwabne chińskie piżamy znikły, a w ich miejsce pojawiły się jakieś stare, prawdopodobnie z bazaru w Hatton.

Gwen była zbita z tropu. Jak ma pilnować swojego *dhobi*, kiedy nie ma pojęcia, kto lub co to jest?

Dyskretnie rozejrzała się dookoła. Nadeszli nowi goście. Laurence zapowiedział, że będzie to raczej kameralne przyjęcie, a tymczasem pojawiło się już kilkanaście par. Rozejrzała się więc jeszcze raz, wyławiając wzrokiem męża, który jednak na

nią nie patrzył, ponieważ zajęty był rozmową z łysym jak kolano mężczyzną o uszach odstających jak rączka przy czajniczku. Gwen z trudem powstrzymała się, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Prawdopodobnie rozmawiają o cenach herbaty – wyjaśniła Florence, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem.

– O cenach herbaty? Czyżby pojawiły się jakieś problemy?

– Przeciwnie, moja droga. Żadnych problemów. Wiedzie nam się świetnie. Najlepszym tego dowodem może być nowy daimler twego męża.

Gwen uśmiechnęła się.

– O, tak.Ten samochód jest wspaniały.

W tym momencie stojący przy drzwiach chłopiec w białym fartuchu uderzył w mosiężny gong.

– Proszę się nie martwić – dodała pospiesznie Florence, odkładając na bok poduszkę. – Ja zawsze pani pomogę, z największą ochotą. Pamiętam przecież bardzo dobrze, jak to jest, kiedy jest się młodą, świeżo upieczoną mężatką.

I wyciągnęła rękę. Gwen zrozumiała ten gest i pomogła zwalistej kobiecie wstać, po czym obie, z resztą towarzystwa, udały się do jadalni skąpanej w blasku świec w srebrnych kandelabrach i wypełnionej słodkim zapachem pachnącego groszku w szklanych wazonach. Dopiero teraz Gwen zauważyła młodą, szczupłą kobietę uśmiechającą się promiennie do Laurence'a. Miała zielone oczy, mocno zarysowane kości policzkowe, długą szyję i bardzo ciekawie upięte włosy. Kiedy patrzyło się z przodu, widać było krótkie włosy ułożone w fale. Ale kiedy blondynka przekręciła głowę, okazało się, że włosy są długie, upięte z tyłu głowy w elegancki kok. Kobieta obwieszona była rubinami, ale jej czarna suknia wydawała się skromna. Nieznajoma bardzo spodobała się Gwen. Może kiedyś będą mogły się zaprzyjaźnić?

Przy stole, z lewej strony Gwen, usiadł sympatyczny mężczyzna w okularach. Przedstawił się jako John Partridge. Miał wystający podbródek, szczeciniasty wąsik i szare oczy o łagodnym spojrzeniu. Wyraził nadzieję, że Gwen zdążyła się już zadomowić na wyspie, i poprosił, by zwracała się do niego po imieniu.

Gwen czuła, że oczy wszystkich zwrócone są na nią. Nie trwało to jednak długo, ponieważ wszyscy brali udział w niezwykle ożywionej rozmowie. Plotkowano o ostatnich wydarzeniach w Nuwara Eliya. Kto jest kim w tym mieście, kto co ostatnio zrobił, komu i dlaczego. Gwen, która nikogo tu jeszcze nie znała, słuchała tego jednym uchem. W pewnym momencie łysy mężczyzna z odstającymi uszami walnął pięścią w stół i wszyscy ucichli.

– Dla mnie to największa kompromitacja – oświadczył. – Przecież mogli ich

powystrzelać.

– John, o kim on mówi? – szepnęła Gwen.

– W Kandy doszło niedawno do zamieszek. Rząd brytyjski zareagował bardzo brutalnie, a to z kolei wywołało wielkie poruszenie, ponieważ, jak mówią ludzie, zamieszki wcale nie były skierowane przeciwko Brytyjczykom, lecz chodziło o kwiaty pamięci.

– Czyli nam, Brytyjczykom, nic nie zagraża?

– Nie. Jednak jest to okazja, by niektórzy starzy pułkownicy głośno wypowiadali się na temat wydarzeń sprzed dziesięciu lat, kiedy to Brytyjczycy strzelali do grupy muzułmanów, co było poważnym błędem.

– To, co pan mówi, nie brzmi optymistycznie.

– Naturalnie, że nie. Owszem, Cejloński Kongres Narodowy nie domaga się jeszcze całkowitej niepodległości, tylko większej autonomii. Ale to tylko kwestia czasu i Cejlon pójdzie za przykładem Indii. Jeszcze nie dziś, nie jutro, ale kiedyś na pewno. Wspomni pani moje słowa.

– Czy pan jest socjalistą?

– Nie, moja droga. Jestem lekarzem – odparł z uśmiechem, zaraz jednak spoważniał. – Problem polega na tym, że do Rady Legislacyjnej wybrano tylko trzech przedstawicieli Kandy, w związku z czym kilku kandyńczyków wystąpiło z Cejlońskiego Kongresu Narodowego i utworzyło Kandyńskie Zgromadzenie Narodowe. I temu należy przyglądać się bardzo dokładnie, tak samo jak Związkowi Młodzieży Lankijskiej, który zaczyna być w opozycji do Brytyjczyków.

Gwen spojrzała na Laurence'a, siedzącego na drugim końcu stołu, z nadzieją, że da teraz uzgodniony z nią znak, aby panie mogły wstać od stołu. Ale nie udało jej się pochwycić jego spojrzenia.

Dyskusja przy stole trwała w najlepsze.

– Żywimy ich, zaspakajamy ich potrzeby, dajemy dach nad głową – perorował jakiś mężczyzna. – Czego więcej mogą chcieć? Ja osobiście**...**

– Oczywiście, że można jeszcze wiele zrobić – odezwał się podniesionym głosem Laurence, wyraźnie starając się zapanować nad sobą. – Ja na przykład zbudowałem im szkołę, do której prawie nikt nie chodzi. I to jest problem, nad którym warto się zastanowić.

Włosy nad czołem miał w nieładzie; to dowód, że nie raz przeczesywał je palcami. Jak zawsze, kiedy był zdenerwowany czy zażenowany. I z tą sterczącą czupryną wyglądał tak młodzieńczo, że Gwen najchętniej podbiegłaby teraz do niego i mocno uściskała.

Doktor dotknął jej dłoni.

– Cejlon to Cejlon, proszę pani. Już niebawem pani sama wyrobi sobie zdanie o tym, co tu się dzieje. Do zasadniczych zmian jeszcze daleko, ale nie możemy pozostać głusi na przesłanie Ghandiego o *swaraj*.

– *Swaraj*?

– Samorządność. Autonomia.

– Rozumiem. Czy to złe?

– Na tym etapie? Kto to może wiedzieć**...**

Goście już wyszli i Gwen wróciła do swego pokoju. Po chwili niespodziewanie zjawił się tam Laurence. Opadł na łóżko i zastygł. Przez głowę Gwen przemknęła myśl, że w kominku płonie ogień i jest okropnie gorąco, więc spacer nad jezioro o północy byłby świetnym pomysłem**...**

– Chodź tu do mnie, Gwen.

Podeszła do łóżka i położyła się obok niego. Wtedy uniósł się nieco oparty na łokciu i stwierdził:

– Jaka ty jesteś piękna!

– Dziękuję, kochany. Powiedz mi, kim była ta kobieta w czarnej sukni? Nie miałam okazji z nią porozmawiać.

– W czarnej?

– Tak. Tylko jedna kobieta miała na sobie czarną suknię.

– Już wiem. Chodzi ci o Christine Bradshaw. To Amerykanka. Wdowa. Ernest, jej mąż, był bankierem, dlatego ma tyle biżuterii.

– Wcale nie wygląda na nieutuloną w żalu wdowę – stwierdziła Gwen, popatrując z przyjemnością na jego szczupłą, inteligentną twarz o ładnych rysach. – Laurence, kochasz mnie, prawda?

Wyraźnie go zaskoczyła.

– Dlaczego o to pytasz, Gwen?

– Bo**...** po prostu czuję się tu trochę samotna. A chciałabym być razem z tobą.

– I jesteśmy. Teraz jesteśmy.

– Nie o to mi chodzi.

Zapadła cisza, Gwen zdecydowała się na zmianę tematu.

– Laurence, co to za drzewo rośnie za oknem? Wygląda jak czereśnia.

– O Boże! Chyba nie jadłaś owoców?!

Gwen kiwnęła głową.

– No to już wiesz, jakie są gorzkie. Z tych owoców robią tu sos. Ja ani tych

owoców, ani sosu nie biorę do ust – oświadczył.

Nagle, zanim zdążyła pomyśleć, poczuła na sobie ciężar jego ciała. Przygniótł ją i zaczął całować. Jego oddech pachniał alkoholem, ale Gwen nie miała nic przeciwko temu. Zarumieniona, rozchyliła usta i w tym momencie Laurence poderwał głowę i tylko powiódł delikatnie palcem wokół jej warg. A potem stało się coś dziwnego, zrobił głośny wdech i wyczuła, że cały stężał. Jego spojrzenie było dziwnie niepewne.

Zaniepokojona musnęła palcem jego policzek. Bardzo chciała, by ten jego nieoczekiwany nastrój minął, ale tak się nie stało. Spojrzał na nią, bardzo przenikliwie, jakby chciał przejrzeć ją na wylot albo jakby kompletnie nie wiedział, kim ona jest, po czym wstał i wyszedł.

Zaskoczona, na moment znieruchomiała, a potem zerwała się z łóżka i wybiegła na korytarz. Laurence był już przy schodach. Chciała go zawołać, ale zrezygnowała; wolała, by nikt ze służby nie widział, jak goni swego męża. Wróciła do pokoju, oparła się plecami o drzwi i postała tak chwilę, czekając, aż oddech się uspokoi. Potem zamknęła oczy i poddała się przykremu uczuciu samotności, pustki, rozczarowania, bo o spacerze wokół oświetlonego pochodniami jeziora musiała zapomnieć.

Co, u diabła, dzieje się z Laurence'em?!

Rozebrała się i weszła do łóżka. Przyzwyczajona do prostych, nieskomplikowanych uczuć, była całkowicie zbita z tropu jego reakcją. Dlaczego wyszedł, skoro ona tak pragnęła jego objęć? Dlaczego? Była rozżalona. Tęskniła za domem rodzinnym, za bliskimi. Ojciec na pewno poklepałby ją teraz po ręku i powiedział: „Głowa do góry! Będzie dobrze!”.

Matka spojrzałaby ze współczuciem, a po chwili przyniosłaby kubek gorącego kakao. Kuzynka Fran, niby niewzruszona, też powiedziałaby kilka słów otuchy. Gwen bardzo by chciała być podobna do wesołej, pełnej życia Fran. Co prawda, kuzynka chodziła na spotkania z medium, Madame Sostarjinski. Nikt tego nie pochwalał, ale też i nie naciskał, żeby zrezygnowała. Fran przecież straciła oboje rodziców, kiedy „Titanic” zatonął.

Niespokojne myśli o mężu nadal przemykały przez głowę Gwen. Była pewna, że tej nocy nie zaśnie. Leżała z otwartymi oczami i rozmyślała. O tym, że Laurence wyszedł na pewno nie bez powodu. Jak wytłumaczyć to jego dziwne spojrzenie?

4

Minął tydzień. Gwen właśnie czekała w salonie na służących, te niepozorne, poruszające się szybko i zręcznie istoty. Pojawiali się na chwilę, a potem znikali. Z każdym dniem Gwen przyzwyczajała się do nich coraz bardziej. Przyglądała się bacznie, jak wykonują swoją pracę, robiła nawet notatki. Pod tym względem nastąpił zdecydowany postęp. Niestety, w pożyciu małżeńskim nic się nie zmieniło. Laurence nadal konsekwentnie trzymał się z dala od jej łóżka. Zawsze był ku temu jakiś powód, którego nie mogła nie uznać. W rezultacie, kiedy Naveena rano podawała herbatę, Gwen starannie unikała jej spojrzenia. Przecież dla tej leciwej służącej było oczywiste, że Gwen sypia sama; absolutnie nie życzyła sobie, by ktoś jej współczuł, a nawet litował się nad nią. Za nic w świecie! Z tym problemem zamierzała uporać się sama.

Wyprostowała się. Nie ma sensu tego roztrząsać, przynajmniej jeszcze nie teraz. Laurence bez wątpienia pochłonięty jest plantacją, może coś się nie układa, więc ma się czym martwić. Ale wkrótce zapragnie bliskości Gwen. Na pewno, a ona powinna po prostu czymś się zająć. Przede wszystkim być jak najlepszą żoną. Naturalnie nie czuła się na siłach, by rywalizować z pierwszą żoną Laurence'a, Caroline. Jednak chciała, by Laurence był z niej dumny.

Kiedy usłyszała ciche pukanie do drzwi, szybko wytarła o spódnicę lekko zwilgotniałe ręce. Do pokoju weszło kilka osób. Naveena, kucharz, czyli *appu*, kamerdyner i kilku chłopców.

– Czy to już wszyscy? – spytała Gwen, uśmiechając się miło. Jednocześnie mocno splotła dłonie, co miało pomóc jej zachować spokój. Była okropnie zdenerwowana.

– Tak – odparła Naveena. – Nikt więcej nie mógł przyjść. W kuchni wszyscy mają pełne ręce roboty, tak samo reszta chłopców.

Kamerdyner i Naveena byli Syngalezami, *appu* i chłopcy do posług – Tamilami. Gwen miała nadzieję, że znają angielski i potrafią ze sobą współpracować.

– Prosiłam, byście tu przyszli, ponieważ mam pewne plany i chciałabym, by wszystko dla was było w pełni zrozumiałe – oznajmiła, przesuwając spojrzenie po twarzach przybyłych. – Zapisałam sobie, jakie zadania wykonujecie w tym domu i w związku z tym mam kilka pytań. Po pierwsze, chciałam zapytać, skąd bierzemy mleko. Bo nigdzie nie widziałam krowy.

Appu podniósł rękę.

– Mleko przywożą codziennie z doliny. To mleko bawole.

– Rozumiem. I tego mleka nam wystarcza?

Pokiwał głową.

– Tak. Poza tym mamy tu dwie kozy.

– Wspaniale. Kolejne pytanie: w jakie dni pojawia się tu *dhobi*?

– Kiedy pani go wezwie.

– Czy on mówi po angielsku?

– Tak. Choć niezbyt dobrze.

– Ale można się z nim porozumieć?

Appu potrząsnął głową w nieokreślony sposób, tak więc Gwen nie wiedziała, czy z *dhobi*, czyli praczem, który zadba o bieliznę, można się dogadać, czy nie. Wiedziała już, że pracz najmuje się do pracy w wielu posiadłościach, i zamierzała zasięgnąć języka, czy taką osobę można mieć u siebie na stałe.

Patrzyli na nią wyczekująco, więc kontynuowała:

– Mam zamiar założyć tu ogródek kuchenny.

Wymienili się niepewnymi spojrzeniami.

– Kuchenny? Będzie w kuchni? – spytał *appu*.

Gwen uśmiechnęła się.

– Naturalnie, że nie. To normalny ogród, w którym będziemy uprawiać warzywa. Miejsca jest tu pod dostatkiem. Trzeba to wykorzystać. Potrzebuję kogoś, kto będzie się zajmował warzywnikiem.

Kamerdyner lekko wzruszył ramionami.

– My nie jesteśmy ogrodnikami, proszę pani. I mamy już ogrodnika.

– Wiem. Ale jeden człowiek sobie nie poradzi.

Zwłaszcza ten. Przecież go już widziała. Był niewielkiego wzrostu, pękaty, z uderzająco małą głową. Włosy miał czarne, kędzierzawe, a szyję tej samej szerokości co głowa.

– On przychodzi zawsze, kiedy zajdzie potrzeba – wyjaśniła Naveena. – Ale jeśli pani ma inne plany, to dobrze by było porozmawiać z panem McGegorem. Może przydzieli do ogrodu kilku naszych robotników.

Gwen uśmiechnęła się z zadowoleniem, ponieważ jak dotąd nikt jej nie przedstawił Nicka McGregora, a tu raptem pojawia się możliwość zawarcia znajomości.

Wstała.

– Dziękuję. Tyle na dziś. O ewentualnych zmianach w trybie pracy porozmawiam z każdym z was osobno.

Wszyscy wstali, skłonili się i Gwen wyszła z pokoju, zadowolona, że poszło całkiem nieźle. Przemierzała korytarz w miłym towarzystwie, okazało się bowiem, że w tym domu oprócz leciwego labradora mieszkają jeszcze dwa wdzięczne, pełne życia spaniele, Bobbins i Spew, z którymi zdążyła się już zaprzyjaźnić. Ale jej głowa i tak zaprzątnięta była Laurence'em. Co powie Fran, która ma zjawić się tu lada dzień? Że mimo najlepszych chęci Gwen nie może zmusić męża, by się z nią kochał? Przed ślubem, kiedy rozmawiali o powiększeniu rodziny, Laurence powiedział, że im więcej dzieci, tym lepiej, co najmniej piątka. A poza tym w Anglii między nimi wszystko było cudownie, tak samo w hotelu, zaraz po jej przyjeździe. Dlatego kompletnie nie miała pojęcia, co spowodowało ten nagły zwrot. Zdecydowała, że zaraz po lunchu zwabi Laurence'a do swego pokoju i będzie nalegać, by w końcu się wytłumaczył. A ponieważ tego dnia miał wolne, nie mógł zasłaniać się nawałem obowiązków.

Kiedy tylko skończyli jeść i otarli usta haftowanymi serwetkami, Gwen wstała i wyciągnęła rękę do Laurence'a. Nie opierał się, a ona przyciągnęła go do siebie i trzepocząc rzęsami, szepnęła:

– Chodź ze mną.

Kiedy weszli do jej pokoju, zasunęła story, nie zamykając okna, by do pokoju mogło nadal przedostawać się świeże powietrze. Spojrzała na Laurence'a, który stał nieruchomo i milczał. Przez moment patrzyli na siebie, potem Gwen powiedziała:

– Zaraz wracam.

Laurence nadal milczał.

Gwen poszła do łazienki, zdjęła suknię i jedwabne pończochy. Nie miała na sobie gorsetu; ze względu na cejlońskie upały zrezygnowała z niego, jeszcze zanim zeszła z pokładu statku. Zdjęła więc tylko koronkową halkę, majtki, kolczyki i stanęła przed lustrem naga. Zostawiła jedynie sznur pereł. Spojrzała na swoją twarz. Po trzech kieliszkach wina policzki były zaróżowione, poprawiła zatem tylko usta, nakładając na nie odrobinę różu od Rigauda w odcieniu perskiej czerwieni.

Róż, puder**...** Niezawodna broń kobiet. Tak nazywała je Fran.

Kiedy wróciła, Laurence siedział na łóżku. Oczy miał zamknięte. Nie otworzył ich też, kiedy na palcach przeszła przez pokój i stanęła tuż przed nim.

– Laurence?

Pochyliła się. Jej piersi znalazły się na wysokości jego torsu, przywarła do niego całym ciałem. On objął ją wpół, na moment znieruchomiał, a potem otworzył oczy. Spojrzał na Gwen i odszukał ustami sutek. Poczuła jego miękkie wargi i nogi się pod

nią ugięły. Z wrażenia omal nie zemdlała, a Laurence przez cały czas przyglądał jej się bacznie, niewątpliwie rozszyfrowując uczucia, jakie malowały się na jej twarzy.

Trwało to przez moment, potem ją puścił. Zrzucił buty, rozpiął szelki, zdjął spodnie i bieliznę, a serce Gwen biło jak oszalałe. Laurence pchnął ją na łóżko. Kiedy poczuła, że wszedł w nią, krzyknęła, choć jednocześnie brakło jej tchu. Podekscytowana faktem, że oboje są nadzy i pozbyli się jakichkolwiek zahamowań, całkowicie poddała się chwili. I nagle oczy Laurence'a zrobiły się dziwnie szkliste. Poruszał się bardzo szybko, tak szybko, że nie mogła za nim nadążyć. Mimo że sama sprowokowała go do stosunku, wcale nie była teraz pewna, czy zrobiła dobrze. Byli razem, a jednak osobno, jakby Laurence poddawał się czemuś, co absolutnie nie miało związku z Gwen. Poprosiła, żeby zwolnił, ale chyba nie słyszał. Po kilku sekundach jęknął i było już po wszystkim.

Wyprostował się, starając się złapać oddech. Zapadła cisza, w trakcie której Gwen toczyła walkę z tym, co działo się teraz w jej uczuciach. Laurence prawdopodobnie robił to samo.

– Laurence?

– Wybacz. Chyba zadałem ci ból.

– Ależ nie! Proszę, spójrz na mnie – powiedziała, przekręcając jego głowę w swoją stronę. Prawda była taka, że owszem, trochę ją bolało, ale przede wszystkim była zszokowana pustką w jego oczach. – Kochanie, co się z tobą dzieje? Powiedz, proszę.

Pragnęła ponad wszystko, by się przed nią otworzył.

– Laurence?

– Ja**...** czuję się tak**...** – Zamilkł na chwilę, potem wreszcie wykrztusił: – To dlatego, że jestem tu. Właśnie tu.

Patrzył na nią tak żałośnie, że najchętniej przytuliłaby go i pocieszyła.

Podniósł jej dłoń do ust.

– Ty nie jesteś temu winna, kochanie. Na pewno nie. Jesteś dla mnie największym skarbem. Proszę, uwierz mi.

– Wierzę. Ale powiedz, co się dzieje.

Wtedy puścił jej rękę i potrząsnął głową.

– Bardzo mi przykro, nie mogę ci tego powiedzieć.

Ubrał się szybko i wyszedł. Gwen, osłupiała, miała wrażenie, że jej serce nie wytrzyma tej okropnej zmiany, jaka zaszła w Laurensie. Była zdruzgotana. Bezwiednie szarpnęła sznur pereł. Zameczek pękł i lśniące kulki posypały się na podłogę.

Dlaczego on tak się zachował? Chciała być właśnie z nim. Czuła, że on odwzajemnia jej miłość, i starała się być dobrą żoną. Naturalnie zamierzała też być kiedyś dobrą matką. Wiedziała, że on też jej pragnie. Wystarczy przypomnieć sobie powitanie w Kolombo. Niestety, po tym, co się wydarzyło teraz, kompletnie nie wiedziała, co robić.

Musiała się zdrzemnąć, ponieważ nie słyszała, jak Naveena weszła do pokoju. Kiedy otworzyła oczy i zobaczyła tuż przy łóżku Syngalezkę, aż podskoczyła. Służąca siedziała na krześle, spokojna, opanowana. Na kolanach trzymała dzbanek. Wszystkie perły były już pozbierane z podłogi i ułożone na spodeczku stojącym na szafce nocnej.

– Przyniosłam pani lemoniady.

W spojrzeniu ciemnych oczu Syngalezki malowała się mądrość całych pokoleń. Było w nich tyle ciepła i życzliwości, że tama pękła i Gwen zalała się łzami. Naveena wyciągnęła ku niej rękę. Drugą ostrożnie dotknęła jej ramienia. Gwen spojrzała na śniadą dłoń służącej, bardzo ciemną w porównaniu z jej białą dłonią, i choć bardzo chciała, by Naveena przytuliła ją i głaskała po włosach, przypomniała sobie to, co powiedziała jej Florence Shoebotham. Lepiej nie spoufalać się ze służbą. Dlatego odwróciła się do ściany, dalej zalewając się łzami.

Kiedy Gwen już się uspokoiła, zapragnęła jak najszybciej wyjść z domu, by zakosztować urody pięknego dnia.W głowie miała chaos, pamiętała jednak o kapeluszu i raźnie podążyła do drzwi na tyłach domu. Tego dnia zamierzała zbadać, co kryje się za wysokimi drzewami rosnącymi nieopodal. Było popołudnie. Dookoła cisza, powietrze ciężkie od upału. Nawet ptaki zamilkły, natomiast owady brzęczały nadal. Szła wzdłuż jeziora, nad którym unosiła się przepiękna liliowa mgiełka. Udało jej się poskromić gwałtowną chęć, by zrzucić suknię i zanurzyć się w tej cudownej wodzie. Laurence powiedział, że będzie mogła popływać, ale nigdy sama.

Wzgórza z jednej strony jeziora, zwykle zielone, teraz miały kolor niebieski i o wiele trudniej było wyłowić wzrokiem barwne postacie kobiet zrywających listki herbaty. Kolorowe jak egzotyczne ptaki, każda z koszem na plecach, każda w innym sari. Gwen wiedziała już, że robotnice zatrudnione na tej plantacji to Tamilki. Syngalezi uważali za wstyd pracę zarobkową w charakterze robotników, dlatego plantatorzy ściągnęli siłę roboczą z Indii. Laurence opowiadał, że niektórzy Tamilowie są już którymś z kolei pokoleniem zatrudnionym na plantacji. Gwen bardzo chciała zobaczyć, jak mieszkają ci robotnicy. Laurence twierdził, że nie ma tam nic ciekawego do oglądania, ale Gwen postanowiła przekonać się o tym na

własne oczy. Wyobrażała sobie schludne domki i pulchne dzieci śpiące w hamakach zawieszonych między drzewami.

Weszła na wysypane żwirem podwórze z boku domu, tam gdzie znajdowała się kuchnia. Podwórze było ogromne, z jednej strony jego granicę wyznaczały wysokie drzewa, z drugiej dom i tarasy zwrócone ku jezioru. Kiedy miała zamiar ruszyć przed siebie, zauważyła, że do otwartych drzwi kuchennych zbliża się, powłócząc nogami, jakiś mężczyzna w łachmanach. Widziała, jak podszedł i potrząsając głową, wyciągnął ręce w błagalnym geście. Z kuchni wybiegł kuchcik i odepchnął proszącego tak mocno, że tamten upadł na ziemię. Potem wymierzył mu jeszcze kopniaka i zatrzasnął za sobą drzwi.

Gwen zawahała się na moment, ale ponieważ człowiek w łachmanach nie podnosił się, zebrała się na odwagę i podbiegła do niego.

– Nic ci się nie stało? – spytała.

Mężczyzna zwrócił ku niej czarne oczy. Miał brudne, zmierzwione włosy i szeroką twarz o bardzo ciemnej karnacji. Coś powiedział, ale Gwen nie rozumiała ani słowa. A on mówiąc, jednocześnie wskazywał na bosą stopę. Gwen zobaczyła ropiejącą ranę.

– O mój Boże! Przecież to trzeba opatrzyć! Proszę, oprzyj się na mnie.

Mężczyzna patrzył na nią pustym wzrokiem, dopóki nie wyciągnęła ręki i gestykulując, nie dała mu do zrozumienia, że trzeba iść do kuchni.

Nędzarz energicznie potrząsnął głową i starał się odsunąć od niej.

– Trzeba nałożyć opatrunek – oświadczyła stanowczym głosem, biorąc go pod ramię. Mężczyzna znów zaczął protestować, był jednak zbyt osłabiony, a Gwen zdecydowanie silniejsza od niego.

Weszli do środka witani czujnym spojrzeniem trzech par oczu. Trójka obecnych nie zrobiła najmniejszego ruchu. Gwen podprowadziła biedaka do stołu, jedną ręką wysunęła krzesło i pomogła mu usiąść.

Jeden z kuchcików zaczął coś mamrotać, chyba po tamilsku, ponieważ mężczyzna go zrozumiał i próbował podnieść się z krzesła. Gwen jednak zdecydowanym ruchem położyła rękę na jego ramieniu. Potem rozejrzała się dookoła ciekawa, skąd dolatuje silny zapach nafty. Zobaczyła kilka misek wypełnionych jakąś cieczą. Do misek, w których prawdopodobnie był środek do zwalczania robactwa, wstawiono nogi dwóch wentylowanych szafek do przechowywania mięsa oraz paru innych szafek kremowego koloru. Gwen zauważyła także w kuchni kilka nisko zamontowanych zlewów i piec kuchenny opalany drewnem, o czym świadczyły polana ułożone w stos pokaźnych rozmiarów.

Oprócz nafty wyczuła jeszcze inne zapachy. Potu, oleju kokosowego i curry, które razem z Laurence'em jedli na lunch. Było to pierwsze curry w życiu Gwen.

– Potrzebna mi miska z ciepłą wodą – powiedziała, wskazując na dwie wielkie kadzie ustawione koło zlewu. – I ściereczka z tetry.

Żaden z chłopców nawet nie drgnął, więc Gwen ponowiła prośbę, dodając „proszę”. Nadal żadnej reakcji ze strony kuchcików. Wtedy w kierunku Gwen ruszył *appu*. Gwen uśmiechnęła się, zadowolona, że z nim dojdzie do porozumienia. Przecież codziennie wieczorem życzył jej dobrej nocy, a poza tym zawsze był miły i uśmiechnięty. Jednak nie teraz. Niemal burknął:

– O co chodzi?

– Chciałabym, żeby chłopcy przynieśli ciepłej wody, a ja przemyję temu człowiekowi ranę.

Appu najpierw podłubał sobie w zębie, potem wydał z siebie coś w rodzaju gwizdnięcia.

– Nie może pani tego robić.

Gwen uniosła głowę nieco wyżej.

– Czyżby? Ja jednak uważam, że mogę! Jestem panią na plantacji Hoopera i nalegam, byś polecił chłopcom zrobić to, o co proszę.

W pierwszej chwili *appu* sprawiał wrażenie, jakby nie zamierzał ustąpić. Ale przypomniał sobie, gdzie jego miejsce, bo odwrócił się do jednego z chłopców i rzucając mu gniewne spojrzenie, wskazał na zlew i coś wymamrotał pod nosem. Chłopiec błyskawicznie ożył, pobiegł gdzieś i dosłownie po minucie wrócił z miską ciepłej wody i kilkoma ściereczkami z tetry. A Gwen pomyślała, że Laurence ma rację. Niektórzy ludzie zatrudnieni tu stanowczo zbyt długo robili wszystko po swojemu.

Gwen zamoczyła ściereczkę w wodzie i zaczęła przemywać ranę.

– Wygląda fatalnie – stwierdziła. – Jeśli jej się nie opatrzy, ten biedak może stracić nogę.

Kucharz wzruszył ramionami. Było oczywiste, że nadal jest przeciwny poczynaniom swojej pani.

– Robotnicy z plantacji i fabryki nie mają wstępu do tego domu – powiedział.

– Powiedz mi, skąd mogła się wziąć ta okropna rana – rzuciła oschle Gwen.

– Na pewno nadział się na gwóźdź.

– Gdzie jest jodyna?

Kuchcik spojrzał na *appu*, który ponownie wzruszył ramionami.

– Dajcie mi tu jodynę! Szybko! – rzuciła Gwen ostrym tonem i kucharz ponownie

ruszył się z miejsca. Podszedł do szafki, wiszącej na ścianie, i wyjął z niej buteleczkę, nie kryjąc odrazy.

– I bandaże!

Wziął rolkę bandaża i podał ją, razem z jodyną, kuchcikowi. Ten z kolei przekazał opatrunki Gwen.

– On sam się skaleczył – powiedział kucharz. – Bo to leń. Z nim zawsze jest kłopot.

– Nie interesuje mnie to. I proszę dać mu worek ryżu. Czy on ma rodzinę?

– Ma sześcioro dzieci.

– W takim razie dajcie mu dwa.

Było oczywiste, że kucharz zamierza protestować, zmitygował się jednak i po raz kolejny wzruszając ramionami, kazał kuchcikowi wypełnić polecenie chlebodawczyni.

Kiedy Gwen skończyła opatrywać ranę, pomogła robotnikowi wstać z krzesła. Pozostali tylko się temu przypatrywali. I mimo że wcale niełatwo jej było przeprowadzić mężczyznę przez próg, udało jej się jednak jakoś wyjść na dwór i ruszyć powoli w stronę wysokich drzew. Słyszała, jak po jej wyjściu w kuchni natychmiast zrobiło się głośno, ale zignorowała to i tylko uniosła wyżej głowę. Szła powoli, podtrzymując robotnika, który nie dość, że kuśtykał na jednej nodze, to jeszcze niósł w wolnej ręce dwa worki ryżu. Po jakimś czasie podjął próbę uwolnienia się z jej rąk. Chciał iść dalej samodzielnie, opierając się na chorej nodze, ale Gwen zdecydowanie pokręciła głową.

Szli długo jasnozielonym tunelem poprzetykanymi złocistymi plamami, tam gdzie przez liście przebiły się promienie słońca. Pachniało ziemią, a także świeżymi i butwiejącymi liśćmi. Drzewa rosły tu bardzo gęsto, dlatego na ścieżce było pełno wystających korzeni. Dookoła uwijało się mnóstwo owadów, które Gwen odpędzała wolną ręką. Szli tak wolno, że straciła poczucie odległości. Przeszli pół kilometra, a może więcej, aż tunel zaczął się przerzedzać, potem drzewa znikły, a do uszu Gwen doleciały pokrzykiwania dzieci i po chwili jej oczom ukazała się rozległa polana. Ścieżka biegła dalej, przez polanę, po jednej jej stronie widać było kilkanaście drewnianych chat z blaszanymi dachami. Chaty przylegały do siebie, tworząc jednolity szereg wyglądający jak jeden długi taras. Były w opłakanym stanie. Za nimi, wśród drzew, widać było podobne szeregi chat krytych blachą albo liśćmi palmy, a za każdym z nich szereg wychodków, z których unosił się okropny fetor. Na sznurkach do suszenia porozwieszano sari o łagodnych odcieniach czerwieni, zieleni i purpury. Wszędzie nad twardą, udeptaną ziemią fruwały śmieci.

Kilku staruszków ubranych tylko w przepaski na biodrach siedziało po turecku przed swoją chatą i paliło fajkę – też cuchnącą – a dookoła chodziły mizerne kury, dziobiąc zawzięcie ziemię.

Z jednej z chat wyszła kobieta. Krzyknęła coś do mężczyzny, którego prowadziła Gwen, potem do dzieci, bo zleciała się ich cała gromada. Otoczyły Gwen podekscytowane, coś mówiły do siebie, pokazując palcem różne części jej garderoby. Jedno z odważniejszych ostrożnie dotknęło jej spódnicy.

– Dzień dobry! – powiedziała Gwen, uśmiechając się miło i wyciągając do dziecka rękę. Ale ono, nagle speszone, cofnęło się o krok. Postanowiła, że następnym razem przyjdzie tu ze słodyczami.

Wszystkie dzieci wyglądały podobnie. Miały ciemną, lśniącą skórę, czarne potargane włosy, wystające brzuszki i były bardzo chude. Patrzyły na Gwen pięknymi brązowymi oczami tak dojrzale, jakby nie były to oczy dzieci. Dwoje z nich wyglądało bardziej mizernie, wszystkie zresztą sprawiały wrażenie niedożywionych.

– Czy te dzieci są twoje? – spytała mężczyznę.

On, nie rozumiejąc pytania, tylko wzruszył ramionami.

Kiedy Gwen patrzyła, jak mały, ale mocno zbudowany ptak dziobie ziemię w poszukiwaniu robaków, kobieta, która zawołała tę gromadkę dzieci, podeszła do Gwen i ukłoniła się. Głowę miała przez cały czas spuszczoną, tak że widać było dokładnie przedziałek we włosach. Kobieta miała szerokie nozdrza, wydatne kości policzkowe i długie płatki uszu. Mężczyzna podał jej worki z ryżem. Kobieta spojrzała na Gwen, ona jednak nie była w stanie rozszyfrować, co kryje się w tym spojrzeniu – uraza czy lęk. Może współczucie? Jeśli tak, byłoby to niepojęte. Gwen miała wszystko, a ta kobieta na pewno bardzo niewiele, o czym świadczył jej naszyjnik z wysuszonych czerwonych owocków nanizanych na sznurek.

Kobieta skłoniła się jeszcze raz, potem odsunęła wystrzępioną zasłonę w wejściu do chaty i znikła w środku. Chata była bardzo niska, jej wysokość na pewno nie przekraczała dwóch i pół metra, czyli było to pomieszczenie nie większe od garderoby Laurence'a, w której przechowywał buty. W nocy musiało być tu zimno.

Niebo nagle zmieniło barwę. Zrobiło się czerwone i Gwen usłyszała cykanie świerszczy, a od strony jeziora chóralny rechot żab. Zmierzch zapadł tak nagle, że odruchowo puściła rękę robotnika i odsunęła się od niego. Potem odwróciła się i ruszyła z powrotem ku wysokim drzewom.

Na ścieżce było już całkiem ciemno, ponieważ gęste korony drzew nie przepuszczały resztek dziennego światła. Gwen poczuła niepokój. W mroku

zewsząd dobiegały leśne odgłosy. Coś skrzypiało, szeleściło, chrobotało, słychać też było ciężkie stąpanie. Laurence mówił jej, że są tu dziki atakujące ludzi. Może więc to właśnie one albo jelenie. I na pewno są tu wszędzie węże, na drzewach i w trawie. Gorzej, jeśli natrafi na gotową do ataku kobrę.

Zadrżała i przyspieszyła kroku. Laurence ostrzegał ją, zabronił samej chodzić po okolicy, ale ona nie posłuchała i teraz ma za swoje. Wszystko w niej zamierało ze strachu, kiedy szła, widząc wokół czerń. Co jakiś czas potykała się, uderzając ramieniem albo czołem w chropowatą korę drzew.

Serce zabiło szybciej, kiedy wreszcie przed nią zamigotały światła domu. Jeszcze tylko kilkanaście kroków i znalazła się na dziedzińcu, gdzie mogła już oddychać swobodnie.

Po chwili na mrocznym dziedzińcu usłyszała władczy głos, który nie był głosem nocnego stróża. Rozpoznała szkocki akcent. Że też właśnie jego musiała tu spotkać! Kogoś, na kim starała się wywrzeć jak najlepsze wrażenie!

– To ja, Gwendolyn – powiedziała, podchodząc do drzwi, w których rysowała się jego sylwetka.

– To pani? A co pani robiła, do diaska, za tamtymi drzewami?

– Bardzo przepraszam, panie McGregor.

– Pani Hooper, może i pani zawiaduje teraz całym domem, ale ja też mam swoje zadanie. I jest nim pilnowanie porządku w tej posiadłości. A pani nie powinna zbliżać się do domów robotników. Bo stamtąd właśnie pani wraca, czyż nie?

Nie mylił się.

– Chciałam komuś udzielić pomocy – oświadczyła urażona jego wyrzutami.

Patrzyła mu prosto w twarz. Zobaczyła obwisłe policzki zaczerwienione od popękanych naczynek, jasne wąsy, wąskie usta i szaroniebieskie oczy. Był wyjątkowo dobrze zbudowany, miał silnie zarysowany byczy kark i rude włosy dość już przerzedzone na skroniach. I przez cały czas trzymał ją mocno za poobijane o drzewa ramię.

– Panie McGregor, będę wdzięczna, jeśli zechce pan puścić moją rękę. Sprawia mi pan ból.

Zignorował prośbę, tylko spiorunował Gwen wzrokiem.

– Pani mąż dowie się o wszystkim, pani Hooper.

– Oczywiście! Tak być powinno – powiedziała pewnym głosem, choć wcale pewnie się nie czuła.

W tym momencie poczuła wielką ulgę, ponieważ z domu wyszedł Laurence. Uśmiechnął się do niej, ale wyczuła, że jest zdenerwowany. Wymienili spojrzenia

z McGregorem, potem Laurence wyciągnął rękę do Gwen.

– Chodź, kochanie. Musisz doprowadzić się do porządku.

Drżąc, uśmiechnęła się blado i wzięła go za rękę.

Laurence zwrócił się do McGergora:

– Daj spokój, Nick. Nic się nie stało. Gwen niebawem przyswoi sobie nasze zasady.

McGregor wyglądał tak, jakby miał zamiar wybuchnąć, ale nie odezwał się.

– Przecież jest tu od niedawna – dodał Laurence, obejmując żonę ramieniem. – Oprzyj się o mnie, kochanie.

Po samotnej wędrówce między drzewami w ciemnościach teraz dopiero poczuła się bezbronna. Wyczuła też, że z jej powodu doszło do spięcia między Laurence'em a McGregorem. W tym człowieku było coś niepokojącego. Przygnębiło ją również to, co zobaczyła za drzewami. I dlatego, chociaż po incydencie w sypialni nie czuła się już tak swobodnie w towarzystwie Laurence'a, cieszyła się, że teraz ją obejmuje. Miała też nadzieję, że pojawiła się szansa na szczerą rozmowę o tym, jak właściwie między nimi jest.

Następnego dnia Gwen poświeciła cały ranek na domowe sprawy. Najpierw zastanawiała się nad nowym systemem utrzymywania porządku w domu, potem nad domowym budżetem. Zajęło jej to co najmniej dwie godziny, po upływie których stwierdziła, że te sprawy nie są aż tak pilne. Większym problemem był McGregor. Jego zachowania poprzedniego dnia nie należało ignorować, a Gwen potrzebowała pomocy przy szukaniu ogrodników.

Wzięła szkic altany, którą planowała obsadzić pachnącymi kwiatami, i wyszła z domu, rozmyślając nad wykorzystaniem do tego celu krzewów jaśminu i przepleceniem ich gałązek przez metalową ozdobną kratę ogrodową.

Jezioro skrzyło się pod jasnym błękitnym niebem. Tam gdzie nie padało słońce, woda była granatowa, a w miejscach dotkniętych promieniami srebrzysta, usiana zielonymi plamkami. Kiedy Gwen przechodziła obok jakarandy mimozo listnej, mocno wciągnęła w płuca nieznany jej dotąd zapach niebieskich kwiatów. Kilka srok poderwało się ze starannie skoszonego trawnika obsianego trawą o wiele sztywniejszą niż ta, którą znała z Anglii. Gwen nie zamierzała jednak wspominać o tym ogrodnikowi, staremu Tamilowi, bo nie chciała sprawiać mu przykrości; trawniki i rabaty pielęgnował tak starannie, jakby były jego własnością. Chciała porozmawiać z nim o założeniu kuchennego ogródka, ale teraz szukała miejsca dla swojej pachnącej altany.

Oba psy, Bobbins i Spew, oczywiście jak zwykle były razem z nią. Rzuciła im piłeczkę. Potoczyła się w krzaki, niedaleko miejsca, gdzie sroki dziobały ziemię w poszukiwaniu robaków.

– Szukaj piłki, szukaj! – zawołała.

Spew, zawsze pierwszy, pognał ochoczo przed siebie. Widziała, jak przypada do ziemi, węszy i znika wśród drzew oplątanych pnączami, porastających sporą część ogrodu.

Mimo pięknej pogody czuła zdenerwowanie i irytację. Kiedy tego ranka wyruszyła na poszukiwanie Laurence'a, natknęła się na Naveenę, która powiedziała, że właśnie położyła na toaletce liścik od pana. Gwen wróciła do pokoju i rozerwała kopertę. Zobaczyła zdecydowane, pochyłe pismo męża, którym przekazywał jej wiadomość, że nie będą się widzieć przez kolejne dwa dni, ponieważ pojechał do Kolombo po Fran oraz do sądu w Hatton, by złożyć raport o ostatnich wydarzeniach w wiosce. Do jego obowiązków bowiem jako sędziego pokoju należało zaprowadzenie tam ładu i porządku oraz ustalenie winnych zamieszek. Gwen zwiesiła głowę. A więc znów nie będzie okazji do szczerej rozmowy, na którą tak liczyła.

Poczuła, jak ogarnia ją wielka tęsknota za domem. I żal, że Laurence nie przekazał jej tych wiadomości osobiście ani nie poprosił, by mu towarzyszyła w podróży. Co prawda, wspomniał, że w Kolombo – nie tak jak tu, w Dickoya, prowincji centralnej – jest teraz piekielnie gorąco, bo monsun się spóźnia, ale nie poprawiło jej to humoru. Postanowiła resztę dnia spędzić na dworze.

Zawołała Spew i raptem pomyślała o panu Ravasinghe. Uświadomiła sobie, że już kilkakrotnie odżywało jej w pamięci wspomnienie ich krótkiego spotkania. Pan Ravasinghe sprawiał wrażenie człowieka niezwykle rozważnego. Poczuła jednak jeszcze coś, co trudno było określić, ale niewątpliwie miało związek z jego brązową skórą, długimi, falującymi włosami i czarnymi, błyszczącymi oczami**...**

Po spanielu nie było ani śladu.

Drugi pies, Bobbins, zaczął raptem kopać zawzięcie w miejscu, w którym znikł Spew, koło kępy anturium o liściach w kształcie serca i różowokremowych kwiatach, które zwróciły jej uwagę już pierwszego dnia.

Gwen podeszła do psa i pogłaskała go po głowie.

– Jak myślisz, Bobbins, gdzie on mógł się podziać?

Usłyszała szczekanie dobiegające gdzieś zza wielkiego drzewa. Podeszła tam, odsuwając pnącza i gałęzie i nagle jej oczom ukazał się zielony tunel. Był tak regularny i wysoki, że z pewnością musiał dokądś prowadzić. Jakieś kolce

bezlitośnie podrapały jej ręce, ale niezrażona postanowiła iść dalej.

– Spew! Idę po ciebie!

Tunel zakręcał i dochodził do porośniętych mchem schodów prowadzących w dół. Gwen rozejrzała się dookoła, upewniając się, że światło jest wystarczające, i na chwilę znieruchomiała, omiatając spojrzeniem ziemię. Przecież mogą być tu węże! Nic się jednak nie ruszało. Ani jeden listek nie zaszeleścił. Poszła więc dalej, wsłuchując się w swoje kroki, brzęczenie moskitów i dyszenie psa.

Kiedy pokonała śliskie schody, znalazła się na maleńkiej polance, która kiedyś chyba była większa. Z biegiem lat zarosły ją krzewy i pnącza, w rezultacie miejsca zostało tylko tyle, że mogła swobodnie przysiąść na kamiennej płycie ułożonej na kilku pniakach. Było prawie tak jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy razem z Fran zbudowały sobie szałas w lesie w Oak Tree. Przytłumione światło, cisza, spokój. Bobbins ułożyła się u jej stóp. Gwen pociągnęła nosem i wyczuła zapach wiciokrzewu i butwiejących liści.

Ciszę zakłóciło nagłe pojawienie się Spew. Jego różowy nos był cały w ziemi. Pies trzymał coś w pysku.

– Spew! Daj mi to! – zawołała Gwen.

Ale pies zawarczał i wcale nie zamierzał spełnić polecenia.

– Chodź tu, paskudny psie, i oddaj mi to!

Znów nie posłuchał, więc Gwen wstała, chwyciła go za obrożę i złapała za koniec tego, co trzymał w pysku. Pociągnęła. To był kawałek drewnianej zabawki, stateczek bez żagla.

Pies pomachał ogonem i otworzył pysk. Resztki drewnianego stateczku upadły na ziemię.

– Ciekawe, czyja to była zabawka – powiedziała Gwen i pogłaskała oba psy. – Ale wy mi na to nie odpowiecie, prawda?

Psy pomachały ogonami i ruszyły tam, skąd przybiegł Spew. Gwen podążyła za nimi, rozmyślając po drodze, że gdyby wyciąć te pnącza i zarośla, może byłoby to świetne miejsce na jej altanę. Pociągnęła za gałązkę obsypaną nieznanymi niewielkimi owockami. Pożałowała, że nie ma ze sobą tego, co każda ogrodniczka mieć powinna: rękawiczek ochronnych i sekatora.

Przykucnęła. Ręce piekły od zadrapań i ukłuć. Była już gotowa się poddać. Zamierzała tu wrócić odpowiednio wyekwipowana. Spew znów coś znalazł, zaszczekał i zaczął kopać. Gwen odsunęła na bok zwisające gałązki i pochyliła się, żeby zobaczyć, co to takiego. Tuż przed nią był płaski, ustawiony pionowo omszały kamień, przechylony nieco w bok. Przed kamieniem piętrzył się niewielki kopczyk,

porośnięty jasnymi leśnymi kwiatkami. Czyżby więc**...** czyjś grób? Gwen odruchowo rozejrzała się dookoła, tym bardziej, że wśród liści coś zaszeleściło. Nie mogła jednak powściągnąć ciekawości i zaczęła ostrożnie zdrapywać paznokciem mech porastający kamień.

Powiodła palcem po wyrytych literach. Tylko imiona: Thomas Benjamin. Żadnej daty, żadnej wskazówki, kim był. Może to brat Laurence'a, może dziecko, które przyjechało w odwiedziny i tu niestety zakończyło życie? Laurence nigdy nie wspominał o zmarłym dziecku. Musi go o to zapytać, bo nie ma innego sposobu, by dowiedzieć się, dlaczego Thomas Benjamin został pochowany w tym niedostępnym miejscu, a nie na cmentarzu przy kościele. Fakt, że Laurence nigdy nie wspomniał o tym ukrytym grobie, świadczył, że nie będzie zadowolony, że Gwen go odnalazła.

5

Minęły dwa dni. Gdy Gwen usłyszała, jak samochód Laurence'a zajeżdża przed dom, poczuła ogromną radość, ale i niepokój. Ten chłodny, mglisty dzień spędziła, głowiąc się nad rachunkami związanymi z prowadzeniem domu. Coś jej się nie zgadzało, ale niestety nie mogła dojść dokładnie co. W rezultacie tylko jedną sprawę udało jej się załatwić pomyślnie: ustalić, że *dhobi* ma przyjść następnego dnia. A próba rozgryzienia tych rachunków zajęła jej tyle czasu, że umknął spacer. Nie spenetrowała do końca ogrodu ani nie przeszła się nad jeziorem tego dnia tak kusząco spowitym mgłą.

Zarzuciła na ramiona szal z frędzlami, by ukryć zadrapania, i wybiegła na korytarz. Po minucie była już na dworze, dokładnie w chwili, gdy Fran wysiadała z samochodu. Na widok kuzynki jej twarz pojaśniała w uśmiechu i obie padły sobie w ramiona. Uściskały się serdecznie, po czym Gwen, odsunąwszy się trochę, by spojrzeć na przybyłą, wykrzyknęła entuzjastycznie:

– Fran! Wyglądasz bosko!

Fran z promiennym uśmiechem zdarła z głowy modny żółty kapelusz w kształcie hełmu, ozdobiony czerwonym kwiatkiem z filcu i wąziutkim, prawie niewidocznym rondem, wykonała efektowny obrót i wskazała na swoje włosy:

– I co o tym sądzisz, Gwen?

Lśniące brązowe włosy Fran ścięte były jeszcze krócej niż poprzednio, na chłopczycę z długą grzywką. W pełnym słońcu niektóre pasma przybrały kolor złocisty. Kuzynka miała mocną ciemną obwódkę wokół niebieskich oczu i usta pomalowane jasnoczerwoną szminką.

Fran zaśmiała się i jeszcze raz zrobiła wdzięczny obrót, demonstrując apetyczne krągłości rysujące się pod zwiewną sukienką z cieniutkiej bawełny. Obszyty koronką brzeg halki, sznur koralików z gagatu oraz długie rękawiczki znakomicie dobrane do całości dopełniały wdzięczny obrazek.

– Troszkę tu chłodno, Gwen. Spodziewałam się, że będzie upał.

– Nie martw się. Mam mnóstwo ciepłych szali. Niestety, kiedy nadejdzie monsun, zrobi się jeszcze chłodniej. Podobno to już lada dzień. Powiedz lepiej, jak było w Kolombo.

– Okropnie. Tak parno, że trudno wytrzymać i chyba wszystkim działało to na nerwy. Ale nieważne, jestem zachwycona moją podróżą do całkowicie nieznanej

krainy. Teraz jesteśmy chyba okropnie wysoko, prawda? Te widoki z żelaznych mostów są po prostu nieziemskie!

– Ja też tak uważam, chociaż kiedy patrzę w dół, zaczyna boleć mnie głowa – odparła Gwen i zawołała do męża: – Jak wysoko jesteśmy, Laurence?

– Witaj, kochanie! – powiedział z tak serdecznym uśmiechem, że Gwen natychmiast zapomniała o tym, co działo się ostatnim razem w małżeńskim łożu. Laurence najpierw obszedł samochód, by pomóc wysiąść jakiejś młodej kobiecie, a potem udzielił odpowiedzi: – Prawie tysiąc pięćset metrów nad poziomem morza!

– Gwen, to jego siostra – szepnęła Fran, robiąc znaczącą minę. – Była już w Kolombo. Zatrzymała się w Galle Face Hotel. Podjechaliśmy po nią. Czy wyobrażasz sobie, że przez całą drogę prawie nie odzywała się do mnie?!

Tymczasem Laurence powiedział coś zabawnego, bo wysoka kobieta, stojąca po drugiej stronie samochodu odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła głośnym śmiechem. Laurence jej zawtórował, po czym zwrócił się do żony, idąc w jej stronę:

– Gwendolyn, powitaj moją najukochańszą siostrę, Verity!

Oboje podeszli do Gwen i Verity wyciągnęła rękę na powitanie. Była podobna do Laurence'a. Te same brązowe oczy i dołek w brodzie, blada, pociągła twarz – Gwen nie mogła się oprzeć myśli, że rysy Hooperów nie bardzo pasują do kobiecej twarzy. Kiedy nachyliła się i pocałowała szwagierkę w policzek, wyczuła niezbyt miły zapach. Verity na pewno nie pachniała świeżością.

– A skąd te zadrapania? – zdziwił się Laurence, dotykając ramienia Gwen.

– Wpadłam na drzewo – odparła z uśmiechem. – Dobrze wiesz, że mam do tego talent!

– Droga Gwendolyn – powiedziała Verity. – Nie mogłam się doczekać, kiedy cię poznam. Laurence opowiedział mi, jak to z wami było.

Gwen ponownie się uśmiechnęła. Wiedziała, że Laurence jest bardzo zżyty z siostrą, miała jednak nadzieję, że nie opowiedział jej wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach.

– Bardzo żałuję, że nie byłam na waszym ślubie. Wiem, że to niewybaczalne, ale niestety bawiłam wtedy na Czarnym Lądzie. Najczarniejszym! – dodała. Zaśmiała się, wydęła cienkie wargi i spojrzała na brata: – Laurence, czy wracam do mojego dawnego pokoju?

– Oczywiście! – przytaknął skwapliwie, biorąc ją pod rękę. – Inaczej być nie może.

Rozpromieniona Verity ucałowała go w oba policzki.

– Mój kochany braciszek! Nie masz pojęcia, jak za tobą tęskniłam!

I kochające się rodzeństwo, trzymając się pod rękę, wkroczyło po schodkach do domu.

– Gwendolyn! – zawołała jeszcze Verity, spoglądając przez ramię. – Niech służący weźmie moją walizkę z samochodu! Kufer przyjedzie dopiero jutro!

– Oczywiście. Zajmę się tym – odparła Gwen, odprowadzając ją wzrokiem.

Powiedziała: kufer. Kufer?! Ciekawe, jak długo zamierza tu zostać?!

– Gwen, wszystko w porządku? – spytała Fran, wpatrując się w kuzynkę.

– Naturalnie – odparła Gwen z uśmiechem. – Przede wszystkim dlatego, że ty tu jesteś!

– Jestem, jestem i mam nadzieję, że komu jak komu, ale mnie opowiesz wszystko – powiedziała porozumiewawczo Fran, szturchając ją żartobliwie w bok. – Wszyściutko!

I obie wybuchnęły śmiechem.

Następnego dnia Gwen wstała wcześnie, zamierzając sprawić mężowi niespodziankę. Laurence o tej porze zwykle jadł sam śniadanie, a więc będzie wreszcie okazja do przeprowadzenia z nim rozmowy, której nie mogła się doczekać.

Pewna, że jej plan się powiedzie, otworzyła drzwi do jadalni i**...** jej uśmiech zgasł, bo zamiast Laurence'a zobaczyła Verity pałaszującą kedgeree, czyli potrawkę z ryżu i wędzonej ryby. Od tego zapachu żołądek Gwen prawie podszedł pod gardło.

– Dzień dobry, kochanie! – odezwała się słodko Verity i poklepała stojące obok krzesło. – Zapraszam! Laurence już wyszedł, ale to dobrze, bo ten ranek możemy spędzić razem, tylko we dwie, i lepiej się poznać.

– Oczywiście. Jak ci się spało?

– Nie najlepiej, ale nic dziwnego. Chyba nikt na świecie nie ma takich problemów ze snem jak ja. Czego chyba nie można powiedzieć o twojej kuzynce Fran!

– Rzeczywiście, Fran bardzo lubi pospać sobie dłużej.

Gwen zaśmiała się, jednocześnie zauważając, że Verity ma podkrążone oczy.

– Może przejdziemy się? – zaproponowała szwagierka. – Poranny spacer każdemu dobrze robi.

– O wpół do jedenastej mam spotkać się z *dhobi*. Odnoszę wrażenie, że kilka lepszych koszul Laurence'a znikło po ostatnim praniu.

– O wpół do jedenastej? No to mamy mnóstwo czasu. Proszę, chodź ze mną na spacer. Jeśli odmówisz, będę nieszczęśliwa.

Gwen spojrzała na nią. Nie, nie można było o niej powiedzieć, że jest nieatrakcyjna. Ale wyczuwało się jakiś chłód. Może dlatego, że prawie przez cały

czas miała zmarszczone brwi. Musiała o tym wiedzieć, bo wyraźnie starała się je unosić i wygładzić czoło. A wtedy jej oczy robiły się okrągłe i w rezultacie przypominała sowę. Jednak mimo sińców pod oczami tego ranka wyglądała jakoś lepiej. Na pewno nie była już taka blada, więc górskie powietrze musiało jej służyć.

– Dobrze – zgodziła się Gwen. – Nie można przecież dopuścić, byś poczuła się nieszczęśliwa. Przejdę się razem z tobą, ale pod warunkiem że wrócę tu przed lunchem. No i przedtem muszę zmienić buty.

– Będzie tak, jak chcesz. A teraz, proszę, usiądź koło mnie. Ta potrawka jest po prostu boska. Skosztuj też twarogu z gęstym syropem z orzechowej palmy kitul.

Gwen spojrzała na miseczkę z twarogiem wyglądającym jak gęsta śmietana skropiona brązowym syropem z melasy.

– Może innym razem. Dziś zjem tosta.

– Tylko? W takim razie nie dziwię się, że jesteś taka szczupła.

Gwen uśmiechnęła się, chociaż w towarzystwie szwagierki była trochę skrępowana. Verity bębniła palcami po stole wyraźnie zniecierpliwiona. Gwen wcale nie planowała spaceru z nią, tym bardziej, że zaraz po lunchu mieli jechać do Nuwara Eliya, a ona jeszcze nie spakowała walizki.

Kiedy weszła do swego pokoju, by zmienić obuwie, zastała tam Naveenę zajętą porządkami.

– Idzie pani na spacer z siostrą pana?

– Zgadza się.

Naveena wyraźnie chciała coś dodać, ale zrezygnowała i bez słowa podała Gwen buty.

Kiedy tylko znalazły się na dworze w pełnym słońcu, Gwen poczuła więcej entuzjazmu do spaceru. Poranek był przepiękny. Co prawda chłodny i jeszcze trochę mglisty, ale mgła znikała w zawrotnym tempie i już można było sięgnąć wzrokiem aż po horyzont. Niebo pokrywały białe obłoczki, wśród drzew roiło się od rozświergotanych ptaków i wszystko wokół słodko pachniało.

– Może pospacerujemy koło jeziora – zaproponowała Verity. – Ja poprowadzę, dobrze?

– Ależ oczywiście! Ja jeszcze nie jestem wystarczająco obeznana z okolicą.

Verity uśmiechnęła się, wzięła ją pod ramię i ruszyły na przechadzkę. Gwen z przyjemnością popatrywała na jasnozielone, błyszczące w słońcu wzgórza porośnięte krzewami herbaty. Chciała zobaczyć kobiety pracowicie zrywające

jasnozielone listki i dlatego wskazała na biegnące zygzakiem ścieżki.

– Może pójdziemy tam? Bardzo chciałabym zobaczyć z bliska, jak zrywają listki herbaty.

– One ich nie zrywają, tylko skubią, kochanie – poprawiła szwagierka. – A dziś wolałabym, byśmy tam jeszcze nie szły, bo łatwo wpaść do kanału irygacyjnego. Wystarczy jeden nieostrożny krok. Przejdźmy kawałek brzegiem jeziora, a potem zaprowadzę cię do mojego ukochanego lasu. To magiczne miejsce. Laurence i ja jako dzieci bawiliśmy się tam w chowanego.

– Oboje byliście w szkole z internatem?

– Tak. Naturalnie nie w tym samym czasie, Laurence jest przecież o wiele starszy ode mnie. Ja chodziłam do szkoły w Malvern, o czym zapewne już wiesz.

– Owszem.

Szły wzdłuż jeziora, cichego, spokojnego, o gładkiej, ciemnej powierzchni i skalistym brzegu. Ze skał co chwilę zrywały się do lotu szare ptaki z białymi piórami na piersiach i żółtobrązowymi na brzuchu.

– To kurki wodne – poinformowała Verity. – Teraz skręcamy w bok.

Po chwili weszły do lasu, na skraju niezbyt gęstego, z każdym krokiem drzew jednak przybywało, więcej było leśnych zapachów i odgłosów zwierząt.

Gwen zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać.

– Co to może być, Verity?

– Jaszczurki. Także ptaki i może też te dziwne węże nadrzewne. Jest tu naprawdę dziko, ale nie bój się. Trzymaj się mnie, a nic złego cię nie spotka. Teraz pójdziemy gęsiego, ja pierwsza.

Gwen pokiwała głową, spoglądając na niewysokie drzewo o wyjątkowo grubym pniu i gałęziach. Dotknęła pnia i natychmiast cofnęła rękę, bo okazało się, że liście kłują. Ten las w ogóle był inny, nieporównanie bardziej dziki niż znane jej dotąd lasy. Ale nie wzbudzał w niej lęku. Miała tylko ważenie, jakby znalazła się w jakimś pradawnym miejscu. Gałązki trzeszczały pod stopami i wszędzie dookoła było zielono, czasami tylko jaśniejsze plamki dowodziły, że słońce usiłowało się przebić przez liście.

– Świetnie dajesz sobie radę na wyspie – powiedziała Verity. – Może chcesz o coś zapytać? Proszę, pytaj mnie o wszystko.

– Dziękuję. Owszem, chciałabym o coś zapytać. O klucze do spiżarni. Są dwa komplety. Czy oba powinny być u mnie?

– Absolutnie nie. Jeden komplet kluczy powinien mieć *appu*. Chociażby dla twojej wygody, bo nie będzie ci zawracał głowy byle drobiazgiem – odparła Verity,

wskazując teraz na fioletowe kwiatki rosnące na poboczu ścieżki. – Prawda, jakie śliczne? Szkoda, że nie wzięłam koszyczka.

– Weźmiemy następnym razem.

– Może wepniesz sobie kwiatek we włosy? – Verity pochyliła się i zerwała jeden. – Proszę. Albo nie, sama to zrobię.

Wsunęła kwiatek w jeden z niesfornych loków Gwen.

– O, bardzo ładnie. Pasuje do koloru twoich oczu. Chodźmy dalej!

Verity była bardzo rozmowna i wyraźnie zadowolona ze wspólnego spaceru, Gwen również. Odprężyła się tak bardzo, że straciła poczucie czasu i kiedy były już naprawdę daleko od jeziora, nagle przypomniała sobie o spotkaniu z *dhobi*.

– O Boże! – wykrzyknęła. – Kompletnie zapomniałam o tym! Verity, musimy wracać!

– Dobrze. Ale lepiej będzie, jeśli nie wrócisz tą samą droga, bo wtedy zajmie ci to całą wieczność. Stąd można wrócić do domu na skróty. Laurence i ja zawsze tak robiliśmy. Trzeba iść tędy.

I wskazała ścieżkę obok, jednocześnie robiąc krok w inną stronę.

– Nie wracasz ze mną, Verity?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wrócę tą samą drogą. Ranek jest piękny i nic mnie nie goni. A ty idź tą ścieżką. Przejdziesz jakieś pięćdziesiąt metrów i dojdziesz do miejsca, gdzie ta ścieżka krzyżuje się z inną. Na środku skrzyżowania rośnie figowiec, trudno go nie zauważyć. Skręcisz w prawo i dalej już tylko przed siebie, do samego domu.

– Dziękuję.

Verity uśmiechnęła się promiennie.

– Prosta droga i będziesz w domu o wiele szybciej. A więc do zobaczenia!

Gwen, zgodnie z instrukcją, ruszyła wskazaną ścieżka. Doszła do figowca i skręciła w prawo. Szło jej się bardzo przyjemnie, bo poranek był w ogóle bardzo przyjemny. A szwagierka jest o wiele milsza, niż wydawało się na początku. Kto wie, może zostaną przyjaciółkami.

Szła przed siebie, pewna, że niebawem zobaczy lśniącą taflę jeziora. Niestety, tak się nie stało, a ścieżka wyraźnie prowadziła w głąb lasu. Pojawiły się na niej głazy, a ptaków już w ogóle nie było słychać. Dziwne. Zaczęła więc rozglądać się na wszystkie strony, zastanawiając się, czy istotnie idzie dobrą drogą. Niestety, orientacja w terenie nie była jej mocną stroną. Jednak zauważyła, że ścieżka od jakiegoś czasu biegnie w dół. A przecież zawsze, kiedy wracała do domu, szła pod górę.

Przysiadła na omszałym głazie, przeczesała palcami spocone włosy i podjęła decyzję. Trzeba po prostu wracać tam, skąd przyszła. Iść po własnych śladach. Nie, wcale nie była wystraszona, tylko zła na siebie, że zabłądziła. Im dalej szła, tym bardziej ścieżka wydawała jej się nieznana. Chyba jednak nie tędy przechodziła. Co robić? Posuwała się dalej i wcale nie odbywało się to bez przeszkód. Co chwila jakaś gałązka wczepiała się w jej włosy. Nagle Gwen potknęła się i upadła z takim impetem, że podarła nową bawełnianą sukienkę.

Brudnymi rękoma otrzepała się z liści, wstała i wtedy poczuła, że uda z tyłu okropnie ją pieką. Zobaczyła, że skóra jest tam jasnoczerwona. Coś musiało ją pogryźć. Pewnie mrówki, których wszędzie pełno.

Niezrażona ruszyła znów do przodu, kilka razy chciała skręcić, na szczęście za każdym razem w porę się orientowała, że nie należy tego robić, i w końcu doszła do figowca. A dalej należało iść tą drogą, którą szła z Verity, co oznaczało, że będzie okropnie spóźniona. Ale wyboru nie miała.

Ten odcinek drogi udało jej się pokonać bezbłędnie. Kiedy dochodziła do jeziora i zobaczyła z daleka swój dom, zaczęła biec. O doprowadzeniu do porządku potarganych włosów już nie myślała. Chciała być w domu jak najszybciej.

Zobaczyła Laurence'a, który osłaniając ręką oczy przed słońcem, chodził tam i z powrotem, wyraźnie czegoś wypatrując. Na widok Gwen znieruchomiał. A ona biegła zachwycona, że go widzi.

– Spacer się udał? – spytał, spoglądając na nią niemal surowo, zaraz jednak jeden z kącików ust drgnął, brwi przesunęły się w górę i na twarzy pojawił się uśmiech.

– Nie żartuj – wydyszała Gwen. – Przecież zabłądziłam! A poza tym coś mnie pogryzło!

– Co konkretnie?

– Chyba mrówki.

– Dziwne, bo nie słyszałem o żadnych „chyba mrówkach” na Cejlonie! Ale teraz serio. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. Obiecaj mi, że będziesz bardziej ostrożna.

Gwen bardzo się starała mieć odpowiednio poważną minę. Okazało się to jednak niewykonalne i w rezultacie oboje wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Wiesz co, Laurence? Mam wrażenie, jakbym słyszała mojego ojca!

– Ojca? A wiesz, że czasami tak się właśnie czuję. Jak ojciec. Choć teraz na pewno nie**...**

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, długo i namiętnie. W tym momencie jak spod ziemi wyrosła przed nimi Verity.

– O, tu jesteście! Przepraszam, że przeszkodziłam. Wróciłam do domu już dawno. Bardzo martwiliśmy się o ciebie, Gwen.

– Niestety, zabłądziłam. I pogryzły mnie mrówki.

– Zabłądziłaś? Nie skręciłaś koło figowca w prawo? Przecież mówiłam**...**

– Najważniejsze, że Gwen jest cała i zdrowa, choć pogryziona – oświadczył Laurence, obejmując żonę ramieniem. Sięgnął po chusteczkę i ostrożnie wytarł ubrudzone policzki. – Nie zdążyłaś na lunch. Ale z *dhobi* wszystko w porządku. Podziękuj Verity, bo to ona przeprowadziła z nim rozmowę.

Verity pokiwała głową i się uśmiechnęła.

– Nie ma za co dziękować. A jeśli chodzi o lunch, powiem *appu*, żeby zrobili ci kanapki. I przyniosę coś na pogryzienia.

– Dziękuję.

Kiedy Verity znikła za drzwiami, Laurence wziął Gwen za rękę i oznajmił:

– A potem, kochanie, szykujemy się na bal.

– Laurence**...** – Gwen ścisnęła lekko jego palce. – Chciałam ci przedtem coś powiedzieć. Dlaczego wtedy znalazłam się koło chat robotników.

– McGregor mówił mi już o tym.

– Czyli wiesz, że tamten człowiek miał ranę**...**?

– Tak. Gwen, jesteś bardzo życzliwa ludziom i chętnie służysz pomocą, ale on zawsze stwarza problemy. Kto wie, czy sam się nie zranił.

– Sam? Po co?

– Żeby zmusić nas do wypłacenia zasiłku chorobowego.

– W przypadku choroby chyba mu się to należy, prawda?

– Tak. Ale nie wtedy, kiedy sam się z rozmysłem do niej doprowadza.

– No tak**...** – Gwen zamilkła, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. – Wiesz – odezwała się po chwili – nie bardzo mi się podoba ton, jakim McGregor zwraca się do mnie.

– Nie bierz tego do siebie, Gwen. On mówi tak do wszystkich. Taki po prostu już jest.

Gwen westchnęła. Bo jak tu nie brać tego do siebie, skoro nadal miała przed oczami te zimne, stalowe oczy i wąskie usta.

– Po prostu nie wtrącaj się do spraw robotników. Tym zajmuje się McGregor. A on bardzo nie lubi, kiedy ktoś podważa jego autorytet, zwłaszcza gdy robi to kobieta. McGregor to stara szkoła. Inny już nie będzie.

– Coś mi się wydaje, że tego rodzaju ludzi, z tej starej szkoły, jest tu niemało.

Laurence wzruszył ramionami.

– Zgadza się. Ale tacy też są potrzebni teraz, kiedy sytuacja na Cejlonie nie należy do najłatwiejszych i jest wiele do zrobienia. Jeśli chce się przeprowadzić w tym kraju istotne, całościowe zmiany, należy stworzyć wspólny front.

– A jeśli nie uda się stworzyć wspólnego frontu?

– Musi się udać – stwierdził stanowczo Laurence.

Zapadła znów chwila ciszy. Potem Gwen powiedziała:

– Ty po prostu lubisz McGregora?

– Czemu nie? Znamy się od dawna. Podczas wojny zostawiłem wszystko na jego głowie. Zarządzał plantacją tylko z dwoma pomocnikami. Na wojnę nie mógł pójść.

– Nie? Dlaczego?

– Dlatego, że utyka na jedną nogę. Na pewno to zauważyłaś. A w zarządzaniu siłą roboczą jest niezrównany. Mamy tu przecież grubo ponad tysiąc osób. Poza tym McGregora darzę bezgranicznym zaufaniem. Wiem, że zawsze mogę na nim polegać.

– W takim razie ja również powinnam darzyć go sympatią.

– Owszem. Zwłaszcza teraz, kiedy kupiłem nową plantację i na początku na pewno będą problemy z robotnikami, którzy zostaną tam przeniesieni. Bo na plantacjach nie tylko skubie się listki, dzieje się tam o wiele więcej.

– A dlaczego zrywają je same kobiety?

– Bo mają zręczne palce. I nie zrywają. My mówimy, że skubią.

– Wiem. Verity mi powiedziała. A co robią mężczyźni?

– Jest bardzo dużo pracy, do której potrzebna jest siła mięśni. Kopanie, sadzenie, nawożenie, czyszczenie rowów nawadniających i naturalnie przycinanie krzewów herbaty. Mężczyźni je przycinają, a ich dzieci zbierają gałązki i zanoszą do domu na podpałkę. Wracając do McGregora, nie zapominaj, Gwen, że jego zadaniem jest zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Wiem, wiem**...**

– Poza tym zauważyłaś już chyba, że ludzie zatrudnieni w domu uważają się za lepszych od robotników z plantacji. I najlepiej po prostu z tym się pogodzić. A jak radzisz sobie ze służbą, kochanie? Dają ci się we znaki?

– Ależ skąd! Naturalnie, że nie**...**

Przez moment zastanawiała się, czy powiedzieć mu, że ma pewien problem. Te rachunki. Zdecydowała jednak, że nie powie. W końcu prowadzenie domu jest na jej głowie i sama powinna dojść, co jest nie tak.

Kiedy całował ją w usta, jak zwykle poczuła znajomy zapach. Dobrego mydła i cytryny.

– A teraz chodź, moja cudowna żono – powiedział. – Pora, byśmy się zabawili.

Doroczny bal klubu golfowego odbywał się w Grand Hotelu w Nuwara Eliya. Hotel ten, podobnie jak angielski dwór z epoki elżbietańskiej, otoczony był pięknym ogrodem z rozległymi trawnikami z ozdobnych traw, tatanki i wiechliny łąkowej, poprzetykanych stokrotkami. Gwen nie mogła się doczekać balu między innymi dlatego, że wreszcie chciała włożyć nową najmodniejszą różowo-srebrzystą suknię i razem z Fran zatańczyć charlestona.

Do miasta jechali bite trzy godziny głównie po górskich stromych drogach, w związku z czym Gwen momentami robiło się niedobrze. Ale kiedy w końcu mogła wysiąść z samochodu i wciągnąć głęboko w płuca przesycone zapachem mięty powietrze, od razu poczuła się lepiej. Widok miasta sprawił, że miała wrażenie, jakby znalazła się z powrotem w Gloucestershire. Bo i tu zobaczyła spiczastą wieżę z zegarem, schody prowadzące do imponującego pomnika wojny i zbudowany na modłę angielską kościół.

Kiedy ruszali w drogę, Gwen zaskoczyło, że Verity usadowiła się w samochodzie z przodu obok kierowcy. Sądząc po minie, Laurence też nie był z tego specjalnie zadowolony, ale nie protestował.

Verity uznała jednak za stosowne wytłumaczyć się.

– Nie masz nic przeciwko temu, że tu usiadłam, Gwen? Nie widziałam przecież brata całą wieczność!

Naturalnie, że próżność Gwen do pewnego stopnia została zraniona. Na tym miejscu powinna siedzieć żona. Gwen nic jednak nie powiedziała, szanując uczucia rodzeństwa.

Laurence zarezerwował wcześniej pokoje w hotelu, ale Gwen nie spodziewała się tego, co usłyszy w recepcji z ust męża:

– Ty i Fran będziecie w jednym pokoju. Bardzo lubicie przecież swoje towarzystwo.

Zaskoczona Gwen, spoglądając na kłębiący się w holu tłum, starała się powstrzymać słowa, które same cisnęły się do ust.

– Będzie jak za dawnych czasów – dodał Laurence, niby żartobliwie, a przede wszystkim asekuracyjnie, i odwrócił się do recepcjonistki.

– Na litość boską, Laurence – syknęła Gwen. – Czy ty**...**

– Nie teraz, Gwen. Proszę, to twój klucz.

Zacisnęła mocno usta, więcej, zagryzła język, by powstrzymać wybuch. Oczywiście, że nie miała zamiaru dopuścić, by cały hotel widział i słyszał, jak pani

Hooper robi scenę w recepcji. Nie powiedziała ani słowa, tylko odwróciła się, gotowa odejść. Laurence jednak miał jeszcze coś do dodania.

– Przepraszam – rzucił półgłosem, chwytając ją za rękę. – Wiem, że powinniśmy przedtem o tym porozmawiać, ale ja**...**

Urwał na moment, nabierając powietrza, i wtedy raptem pojawiła się koło nich Verity. Ściślej, koło Laurence'a. Uśmiechnęła się do Gwen i przytuliła do brata, kładąc głowę na jego ramieniu. Laurence, zaczerwieniony z gniewu, posłał żonie przepraszające spojrzenie, a Gwen po prostu odwróciła się na pięcie i poszła szukać Fran.

Pokój był duży i wygodny. Kanapa, dwa łóżka z moskitierą, koło każdego łóżka szafka nocna. Poza tym spora szafa i toaletka ozdobiona trzema bladymi orchideami. Kiedy tylko weszły do pokoju, Fran natychmiast zdjęła sukienkę, włożyła ciepły wełniany szlafrok, pożyczony od kuzynki, i wsunęła się w wykrochmaloną pościel na jednym z łóżek.

– Zobacz, co kupiłam na bazarze w Kolombo! – zawołała, wyciągając do Gwen rękę, na której pobrzękiwała bransoletka. – Tę zawieszkę. To świątynia buddyjska.

Gwen kiwnęła z aprobatą głową.

– Gwen? Jesteś zadowolona z małżeńskiego życia? – spytała Fran ze znaczącą miną.

– Naturalnie. Jest bardzo przyjemnie.

– Przyjemnie? Tylko przyjemnie?!

Gwen, udając, że nie wie, o co chodzi, nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Mów! Wyrzuć to z siebie!

Wtedy Gwen wyraźnie posmutniała, a Fran natychmiast usiadła na łóżku.

– Co się dzieje, Gwen?

Spuściła głowę, tocząc ze sobą walkę. Miała potrzebę, by wyrzucić to z siebie, a jednocześnie chciała być lojalna wobec męża.

– Powiedz coś wreszcie! – prosiła coraz bardziej zaniepokojona Fran. – Czy on cię skrzywdził?

Gwen pokręciła głową.

– Przecież jesteś cała podrapana!

– W lesie, przez kolce. I przez własną głupotę.

– To dobrze – stwierdziła z wyraźną ulgą Fran. – Laurence jest miły, nie wygląda na kogoś, kto potrafiłby skrzywdzić kobietę.

Gwen spochmurniała jeszcze bardziej.

– Tak. Jest bardzo miły.

– W takim razie dlaczego ty, Gwen, wyglądasz na nieszczęśliwą? Bo tak jest, prawda? Mimo że on jest miły, wcale nie jest wam razem miło. Czy tak?

Gwen ściskało w gardle. Miała wrażenie, że jej szyja jest rozpalona.

– Było. Było miło. Ale potem**...**

– Czyli niedobrze. Bo co za sens być z mężczyzną, z którym nie jest ci tak, jak być powinno? A może on po prostu nie wie, jak dogodzić kobiecie?

– Naturalnie, że wie! Przecież był już raz żonaty!

– To o niczym nie świadczy. Niektórzy mężczyźni są niewyuczalni.

Gwen czuła, że jej policzki płoną.

– Ale**...** ale przecież w Anglii było cudownie. I w Kolombo też!

– Czyli musi mieć jakiś problem.

– Tak. Myślę, że ma jakieś zmartwienie, ale nie chce o tym mówić.

– A ja myślę, że rozmowa nic nie pomoże. Lepiej postaw na dystans. Stań się chłodna, nieosiągalna. To dobry sposób, by dotrzeć do serca mężczyzny. Bardzo szybko nie będzie w stanie utrzymać rąk przy sobie!

Gwen uśmiechnęła się. Kiedy zbliżał się termin jej ślubu z Laurence'em, Fran była w Londynie, dlatego Gwen próbowała o sprawach intymnych porozmawiać z matką. Wypadło to żałośnie. Matka prawdopodobnie nigdy w życiu nie słyszała o czymś takim jak orgazm, a poza tym na samą myśl, że ojciec z tym swoim podkręcanym wąsem mógłby matkę do takiego stanu doprowadzić, można było umrzeć ze śmiechu. Matce nie przeszło nawet przez gardło stwierdzenie, że mężczyźni mają swoje potrzeby. Powszechnie znane, przecież to właśnie powtarzały sobie panienki w internacie, zaśmiewając się do łez.

– Gwen? – zagadnęła Fran, przerywając jej rozmyślania. – Zapomniałam ci o czymś powiedzieć. Po powrocie do Anglii chyba zacznę pracować.

– Ale po co? Przecież nie musisz pracować, skoro masz nieruchomości, które wynajmujesz.

– Nie muszę, ale chcę. Znudziły mnie już te przyjęcia, szampan i tak dalej. Chcę mieć jakieś zajęcie. Wy przecież wyrabialiście ten ser, co pachniał tak upojnie.

W głowie Gwen natychmiast ożyły wspomnienia, teraz bolesne, bo bardzo tęskniła za rodzicami i za domem rodzinnym, starym podniszczonym dworem, który zdecydowanie wymagał remontu. Nawet za tym charakterystycznym zapachem, który unosił się wszędzie od chwili, gdy matka ze starej szopy zrobiła serowarnię.

Potrząsnęła głową. Nie ma co wspominać. Po co? Teraz jest w kraju, gdzie pachnie inaczej. Cynamonem i jaśminami.

– Szykujemy się na bal? – spytała Fran, wyskakując z łóżka.

– Oczywiście. Najwyższy czas.

Obie wykąpały się i przebrały w stroje balowe. Gwen włożyła opaskę z perłami, Fran pomogła jej ułożyć ciemne loki, tak by opadały swobodnie na kark nad smukłą szyją. Swoje lśniące, elegancko ostrzyżone kasztanowate włosy ozdobiła czerwoną opaską z piórkiem.

Fran zmierzyła wzrokiem kuzynkę.

– No i jak? Może być? – spytała Gwen.

– Doskonale! A teraz do dzieła! Akcja „Uwodzenie” rozpoczęta!

O jedenastej nadal bawiono się w najlepsze. Laurence, prezentujący się znakomicie w białym smokingu, nie odrywał oczu od żony. Naturalnie poprosił ją do walca. Tańczyli, rozkoszując się tańcem i bliskością, dopóki nie pojawiła się Verity, zarządzając „odbijany”, a Gwen nie pozostawało nic innego, jak tylko usunąć się na bok, co Verity skwitowała drwiącym uśmieszkiem. Fran gdzieś się zapodziała i Gwen nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Stanęła przy kolumnie niedaleko wyjścia, oparła się o nią plecami i patrzyła na balowiczów, teraz znieruchomiałych, ponieważ orkiestra zrobiła krótką przerwę. Co jakiś czas ktoś, popatrując na nią, skłaniał głowę, choć wszystkie te osoby były jej właściwie nieznane. Zauważyła też, że panie, w znakomitej większości, młodsze i starsze, mają na sobie staromodne długie suknie w pastelowych kolorach.

– Pani Hooper! Miło znowu panią widzieć!

Odwróciła się szybko, stając twarzą w twarz z mężczyzną w czarnym smokingu i bogato haftowanej czerwono-złocistej kamizelce. Wyglądał olśniewająco. Przez dłuższą chwilę nie odzywał się, patrząc na Gwen oczami o barwie karmelu, potem uśmiechnął się, ona natomiast zastanawiała się gorączkowo, jakimi słowami go określić. Egzotyczny i intrygujący? Nie, tu chodzi o coś więcej. W każdym razie na pewno wprawiał ją w zakłopotanie, ponieważ absolutnie nie mogła zdobyć się na wymuszony uśmiech, choć o dobrych manierach nie zapomniała. Wyciągnęła do niego rękę na powitanie, on musnął wargami jej dłoń okrytą długą jedwabną rękawiczką.

– Pan Ravasinghe! Witam pana! Jak się pan miewa?

– Dziękuję. Znakomicie. Wygląda pani pięknie, pani Hooper.

– Dziękuję.

– Nie tańczy pani?

– Chwilowo nie**...** – odparła zadowolona, że podszedł do niej, i w końcu się

uśmiechnęła. Nadal czuła się niepewnie. – Mój mąż jest tam, razem ze swoją siostrą.

Pan Ravasinghe pokiwał głową.

– Tak. Widzę. To Verity Hooper.

– Zna ją pan?

– Owszem. Kiedyś nasze drogi już się zeszły.

– Ja poznałam ją niedawno i odnoszę wrażenie, że Verity wprost uwielbia Laurence'a.

– O, tak. Ja też to zauważyłem. Pani Hooper, orkiestra wróci niebawem. Czy zatańczy pani ze mną?

– Miło, że prosi mnie pan do tańca, ale szczerze mówiąc, sama nie wiem, czy powinnam**...** – odparła, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu Fran. Zobaczyła ją wchodzącą przez drzwi w przeciwległej ścianie. Niosła coś pod pachą i wyglądała, jak zwykle, bardzo efektownie w szkarłatnej, rozkloszowanej od pasa sukience i czerwonych pantofelkach zapinanych na guziczek. – Panie Ravasinghe, muszę pana przestawić mojej kuzynce, Frances Myant, która jest również moją najlepszą przyjaciółką.

Kiedy Fran podeszła do nich, Gwen od razu wyczuła, że Savi Ravasinghe zrobił na niej wielkie wrażenie. Zresztą ona na nim także, ponieważ przez dłuższą chwilę nie odzywał się, tylko patrzył. Fran, jak zawsze elegancka, tego wieczoru wyglądała wyjątkowo pięknie. Pełna radości życia przyciągała do siebie ludzi. Jakby przebywając blisko niej, chcieli choć trochę uszczknąć tej radości. Ale nie brakowało i takich, co patrzyli na Fran krzywo.

Gwen poczuła ukłucie zazdrości. Z Savim Ravasinghe zetknęła się już dwukrotnie i za każdym razem wyczuwała w nim wielką aprobatę dla swej osoby. Jednak nigdy nie patrzył na nią tak jak na Fran. Był to wzrok starszego brata gotowego wziąć ją pod swoje skrzydła. A do tańca poprosił ją z czystej uprzejmości.

Odchrząknęła, by zwrócić na siebie uwagę, i dokonała prezentacji. A potem Fran zademonstrowała to, co przyniosła ze sobą, czyli dwie najmodniejsze płyty gramofonowe.

– Zapytam, czy można je na tym przegrać – powiedziała, wskazując mężczyznę w smokingu obsługującym gramofon na korbkę. – Czy pan tańczy charlestona, panie Ravasinghe?

Pan Ravasinghe, wyraźnie zdegustowany, pokręcił przecząco głową, czym jednak wcale nie zraził Fran, która uśmiechnęła się promiennie i wzięła go pod ramię.

– Nie szkodzi. Nauczę was.

Gwen, spoglądając ponad ramieniem Fran, spostrzegła, że Laurence'a zaatakowała teraz Christina, owdowiała Amerykanka, którą zawsze otaczał wianuszek wielbicieli. Czarna suknia skrojona po skosie opinała się uwodzicielsko w miejscach, które miały być wyeksponowane. Gwen gotowa była teraz przemaszerować przez salę i zażądać, by zwrócono jej męża. Na razie wbijała wzrok we włosy Laurence'a widoczne ponad głową Christiny z nadzieją, że wyczuje jej wzrok. Ale on dalej się uśmiechał do tamtej kobiety, która, o zgrozo, musnęła dłonią jego policzek!

W końcu jednak uniósł głowę i zauważył Gwen. Skłonił się przed Christiną i ruszył do żony.

– O, tu jesteś, Gwendolyn.

– Tak. Tu jestem i chciałabym wiedzieć, co ci mówiła ta kobieta! Zdawała sobie sprawę, że jest nadąsana jak dziecko. Ale trudno.

Laurence skrzywił się.

– Rozmawialiśmy o interesach.

– O interesach?! Odkąd to podczas rozmowy o interesach głaszcze się rozmówcę po policzku?!

Wtedy zaśmiał się.

– Laurence, to wcale nie jest zabawne**...**.

Nie dokończyła, bo złapał ją wpół i przyciągnął do siebie.

– Naprawdę głaskała? Nie zauważyłem, bo ja widzę tylko ciebie. A poza tym ta pani jest współwłaścicielką banku.

Powiedział to takim tonem, jakby to wyjaśniało wszystko. I raptem zrobił się poważny.

– Widziałem, jak rozmawiałaś z Ravasinghe. I to mi się bardzo nie podoba. Stanowczo wolę, żebyś tańczyła charlestona z Fran albo robiła coś innego. A z nim nie rozmawiała.

– Dlaczego? Nie lubisz go?

– To nie ma najmniejszego znaczenia.

– W takim razie dlaczego? Chyba nie dlatego, że jest Syngalezem?

– Nie sądziłem, że masz mnie za tak płytkiego człowieka.

– Nie mam. I uważam, że pan Ravasinghe jest czarujący.

– Czarujący?! Naprawdę tak uważasz?

– Tak. Czy twoi syngalescy znajomi składają ci wizyty?

– Czasami.

– A czy my będziemy chodzić z wizytą do nich?

– Może ci się wyda to dziwne, ale nie. Nie chodzimy do nich, nawet do ludzi stosunkowo zamożnych jak Ravasinghe. – Laurence potrząsnął głową i mówił dalej już innym tonem. – On maluje portret Christinie!

– Jest malarzem? Nigdy bym się tego nie spodziewała. A powiedziałeś to tak, jakbyś miał coś przeciwko temu!

– Wcale nie. Tylko ci się wydawało. Ale dajmy już temu spokój. Chodź ze mną, chcę przestawić ci kilka osób.

– Nie teraz. Fran będzie uczyć mnie i Saviego charlestona – oświadczyła urażona Gwen. Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do gramofonu.

Od tamtej chwili Laurence ani razu do niej nie podszedł. Gwen, popatrując na niego ukradkiem, widziała, jak tańczy z Christiną. I to nie jeden raz. Oczywiście, starała się nie wyolbrzymiać tego faktu, ale kiedy widziała ich razem, robiło jej się niedobrze. Jak on śmie! Mówi jej, z kim ma rozmawiać, a sam tańczy z tą kobietą, która klei się do niego i znowu głaszcze go po policzku, jakby Laurence należał do niej! Nic dziwnego, że po czymś takim Gwen zdecydowała się opróżnić kilka kieliszków szampana.

Ćwiczyli charlestona ponad godzinę pod obstrzałem spojrzeń kilku starszych pań, które wcale nie kryły dezaprobaty i niewątpliwie czekały z niecierpliwością na powrót orkiestry i na kolejnego walca. Natomiast dołączyło do nich kilka młodszych pań. Nawet Verity tańczyła z nimi przez chwilę, zanosząc się śmiechem, i wydała się Gwen o wiele sympatyczniejsza.

Potem Fran gdzieś znikła, Verity również i Gwen znów poczuła się nieszczególnie, a ponieważ właśnie mijał ją kelner z tacą, pozwoliła sobie sięgnąć po kolejny kieliszek szampana. Z kieliszkiem w ręku wyszła do holu i stanęła pod ścianą za schodami, zastanawiając się gorączkowo, jak wyrwać Laurence'a ze szponów Amerykanki. Jednocześnie czuła, że jest już na porządnym rauszu, bo powieki same zaczęły jej opadać.

W takim stanie zastał ją Savi Ravasinghe.

– Proszę tu zostać, pójdę poszukać pani męża.

– Nie, nie, niech pan nigdzie nie idzie, bo czuję, że zaraz zemdleję.

– W takim razie odprowadzę panią do jej pokoju. Który to numer?

Gwen, słuchając go jednym uchem, zachichotała.

– Jestem chyba trochę pijana – obwieściła.

Savi wyjął jej kieliszek z rąk i postawił na stoliku.

– Poradzi sobie pani z tym, pani Hooper. Szklanka zimnej wody, potem parę godzin snu i po wszystkim. Pomogę pani wejść po schodach. Proszę się na mnie

oprzeć.

Ucałował jej dłoń w jedwabnej rękawiczce i wsunął sobie pod ramię. Jego dłoń, którą czuła przez cienki jedwab sukni na swym rozgrzanym ciele, była nadspodziewanie chłodna, prawie zimna. Nie protestowała, choć docierało do niej, że nie wypada, by obcy mężczyzna odprowadzał ją do pokoju. Ale Laurence znów tańczy z Christiną, więc można zrobić wyjątek w dobrych obyczajach.

– Ma pani klucz?

– Naturalnie. W torebce**...** – oświadczyła i na moment zamilkła, mierząc go wzrokiem. – Wygląda na to, że ilekroć los nas zetknie, musi pan wyciągać mnie z tarapatów.

Savi zaśmiał się.

– Nie mam wyboru!

– A ze mną naprawdę jest źle!

Kolana miała już miękkie i robiło jej się niedobrze.

– W takim razie szybko idziemy na górę, pani Hooper – oświadczył Savi, delikatnie ściskając jej rękę dla dodania otuchy. – Proszę się mnie trzymać. Zaprowadzę panią do pokoju i poszukam pani kuzynki.

Kiedy pokonali już kilka stopni, Gwen usłyszała czyjeś kroki. Spojrzała szybko w dół. Przez hol przechodziła Florence Shoebotham. Miała nos świecący jak latarnia, podwójny trzęsący się podbródek i badawczy wzrok wbity w Gwen. Gwen oczekiwała jakiegoś zjadliwego komentarza, ale Florence nie odezwała się, tylko poczłapała dalej.

– O, nie! – zajęczała Gwen. – Ona na pewno powie o wszystkim memu mężowi.

– Przepraszam, a dokładnie o czym?

Machnęła ręką, czując się już kompletnie zamroczona.

– Ach! Powie, że jestem pijana.

Pan Ravasinghe zaprowadził ją do pokoju. Weszli tam razem. Kiedy zdejmował jej pantofle, poczuła dotyk chłodnych palców gdzieś w okolicy kostki. Ta bliskość wytrąciła ją z równowagi. Dlatego mocno zacisnęła usta, żeby przypadkiem nie wyjawić, że czuje coś, czego nie powinna. Pan Ravasinghe pomógł jej ułożyć się na łóżku. Gdy zamykała oczy, delikatnie pogłaskał ją po skroni. Było to bardzo przyjemne, kojące i zapragnęła, by robił to nadal. Zawstydziła się swych myśli i szybko wymamrotała:

– Kocham Laurence'a.

– Naturalnie – przytaknął pan Ravasinghe. – Czy nadal ma pani mdłości?

– Trochę. I cały pokój się kołysze.

– Wobec tego zostanę, dopóki pani nie zaśnie. Nie powinna być pani sama.

Jaki miły człowiek**...** pomyślała w przerwie między jednym a drugim zawrotem głowy, potem powiedziała to na głos, potem czknęła i zakryła dłonią usta.

– O, nie!

Pan Ravasinghe nadal delikatnie głaskał ją po twarzy.

Mimo swego żałosnego stanu była w pełni świadoma, że powinna go już wyprosić. Niestety, ponieważ czuła się bardzo samotna i tęskniła za domem rodzinnym, jego obecność i kojące gesty były tym, czego teraz bardzo potrzebowała. W dodatku ostatni kieliszek szampana stępił jej ostrożność.

Wciąż miała przed oczami Christinę w czarnej sukni, flirtującą z Laurence'em. Pod powiekami zapiekły ją łzy.

Pan Ravansinghe odszedł na moment, by nalać do szklanki wody, a następnie delikatnie napoił Gwen.Wypiła kilka łyków, a on wsunął jej pod głowę jeszcze jedną poduszkę. Zrobiło jej się ciepło, ściągnęła więc z siebie szal i zapadła w niespokojny, przerywany sen. Ręce miała rozrzucone na boki, głowa z tyłu nieznośnie bolała. Pan Ravasinghe wciąż siedział przy niej. Śniła, że jej dotyka, a ona sama wyciąga do niego ręce. Potem pan Ravasinghe zmienił się w Laurence'a, mogła więc już bez żadnych zahamowań kochać się z nim.

Kiedy ocknęła się, zauważyła, że ma rozpiętą bluzkę i ściągnięte pończochy, a jej nowe jedwabne francuskie majtki leżą na podłodze. Musiała to zrobić we śnie. Pamiętała przecież, że było jej bardzo gorąco.

Fran, która w pokoju pojawiła się w środku nocy, kazała jej natychmiast wejść pod kołdrę.

– Co ty wyprawiasz, Gwen? Jesteś do połowy rozebrana i taka wymiętoszona!

– Niczego nie pamiętam.

– W dodatku śmierdzisz alkoholem!

– Szampanem, moja droga, szampanem! – sprostowała Gwen, czując, że do końca jeszcze nie wytrzeźwiała. – Opiłam się szampanem.

Fran zgasiła światło i ułożyła się na łóżku blisko Gwen, tak jak to robiła w dzieciństwie.

Rano, gdy się obudziła, Fran już nie było w pokoju, więc Gwen poszła na samotny spacer, a potem na śniadanie. Zjadła je w towarzystwie męża, który dopytywał, czy dobrze się bawiła na balu. Powiedziała, że owszem, bawiła się wspaniale, ale wypiła trochę za dużo szampana i rozbolała ją głowa. Dlatego wcześniej wróciła do pokoju.

– Szukałem cię wszędzie, dopóki Verity mi nie powiedziała, że razem z Fran

poszłyście już na górę.

– Verity sama była na niezłym rauszu. A ty dlaczego nie przyszedłeś do mnie?

– Nie chciałem cię budzić – powiedział i zamilkł na moment. A potem uśmiechnął się. – Ty i Fran nieźle potrząsnęłyście moimi statecznymi znajomymi.

Gwen czuła, że jej policzki robią się purpurowe. Wspomnienie poprzedniego wieczoru było raczej mgliste, pamiętała jednak dobrze, że kręciło jej się w głowie i pan Ravasinghe pomagał jej wejść po schodach. Spojrzała na męża, zastanawiając się, co powiedzieć.

– A jak tańczyło ci się z Christiną? – spytała, starając się, by zabrzmiało to lekko i swobodnie. Niestety tak nie było.

Laurence wzruszył nieznacznie ramionami. Posmarował tosta masłem, potem bardzo grubo dżemem i wreszcie udzielił odpowiedzi:

– To moja dobra znajoma. Znamy się od dawna.

– Tylko tyle?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Tylko tyle.

– A przedtem, zanim tu przyjechałam?

– Wtedy było inaczej.

Gwen zagryzła wargę. Wiedziała, że to bez sensu, ale serce ją zakłuło.

– Ale teraz koniec? – spytała.

– Oczywiście.

– Tak? A ja odniosłam inne wrażenie.

Laurence spoważniał.

– Christina lubi prowokować, nie należy się tym przejmować.

– Czyli to nie ona jest przyczyną?

– Przyczyną? Czego?

Gwen zrobiła głośny wdech.

– Twojego zachowania. Wobec mnie.

Czy jej się tylko zdawało, czy istotnie Laurence spochmurniał jeszcze bardziej?

– Czy ty naprawdę z tym skończyłeś?

– Chwileczkę! Bawisz się w hiszpańską inkwizycję? Przecież powiedziałem, że z Christiną skończyłem definitywnie.

– I o tym chciałeś ze mną wczoraj porozmawiać?

Teraz sprawiał wrażenie zdezorientowanego, więc dodała:

– W holu, zaraz po naszym przyjeździe do hotelu.

– Wtedy? A**...** tak. Oczywiście!

Uznała, że nie ma sensu dalej drążyć. Lepiej porozmawiać o czymś innym. O czym? Chwila zastanowienia i nagle przypomniała sobie, o co chciała zapytać. O ten mały grób w ogrodzie. I teraz nadarza się okazja, by zaspokoić ciekawość.

Wypiła herbatę, wytarła usta serwetką, a potem, smarując tosta marmoladą dostarczoną ze słynnego londyńskiego domu towarowego Fortnum **&** Mason, zapytała jakby od niechcenia:

– Kto to był Thomas?

Laurence opuścił głowę. Zesztywniał.

Milczał. Teraz słyszała inne dźwięki, typowe odgłosy w restauracji hotelowej, w której goście jedzą śniadanie. Szmer rozmów, szybkie, niegłośne kroki kelnerów, ciche pobrzękiwanie porcelany. Czas mijał, a Laurence nadal nie otwierał ust. Czyżby w ogóle nie zamierzał odpowiedzieć? Była już naprawdę zniecierpliwiona i nerwowo wierciła się na krześle. Potem posmarowała jeszcze jednego tosta i podała mężowi.

– Proszę, Laurence!

Wtedy poderwał głowę. Jednocześnie podniósł rękę, niechcący wytrącając tosta z palców Gwen. Była pewna, że dokładnie w tym momencie spojrzenie Laurence'a stało się nieruchome, całkowicie pozbawione wyrazu.

– Wolałbym, żebyś w tę sprawę nie wtykała swego nosa.

Powiedział to obojętnie i dosadnie. Bardzo dosadnie, dlatego Gwen poczuła się urażona.

– Musisz wiedzieć, że ja, używając twojego określenia, niczego nigdzie nie wtykam. Chodziłam z psami po ogrodzie i szukałam odpowiedniego miejsca dla mojej altany. W którymś momencie Spew się zawieruszył, poszłam go szukać i całkiem przypadkowo natknęłam się na ten grób.

Laurence zrobił niepewny wdech.

– Altana?

– Tak.

I znów cisza.

– Laurence, proszę, powiedz mi, kim był Thomas.

Powoli wypuścił powietrze, patrząc gdzieś w dal ponad ramieniem Gwen. Potem potarł brodę. Gwen zjadła ostatni kawałek tosta i wpatrywała się w Laurence'a.

– Leży tam sam. To takie smutne. Dlaczego nie spoczywa na cmentarzu koło kościoła? Przecież nikt nie grzebie zmarłego w swoim ogrodzie, nawet jeśli to tylko dziecko – powiedziała, podnosząc filiżankę do ust.

– Thomas nie był tylko dzieckiem. Był synem Caroline.

Gwen omal nie zachłysnęła się herbatą.

Znów cisza. Laurence otarł usta serwetką i odchrząknął, jakby miał zamiar coś powiedzieć. Ale nie odzywał się i Gwen uznała, że to ona musi przejąć inicjatywę.

– Syn Caroline? Jedyny syn Caroline?

– Tak. Syn Caroline**...** i mój.

Wstał i odszedł od stołu.

Gwen zapadła się w krześle poruszona tym wyznaniem. Jak dotąd, o Caroline wiedziała bardzo niewiele. Tylko to, co powiedział jej Laurence, kiedy się poznali. Że był już raz żonaty, żona zachorowała i zmarła. Tylko tyle. O zmarłym synku nie wspomniał. Bardzo mu z tego powodu współczuła. Ale dlaczego jej nie powiedział o czymś tak bolesnym? I jak mógł dopuścić do tego, że grób dziecka jest aż tak zaniedbany?

6

Fran zostawiła w recepcji wiadomość. Napisała, że chciałaby zostać jeszcze trochę w Nuwara Eliya i do domu wróci sama. Kiedy zaraz po śniadaniu wsiadali do samochodu, na niebie pojawiły się ciężkie, ołowiane chmury, a samo niebo, dziwnie teraz podświetlone, przybrało żółty kolor. Gwen była tym zmartwiona. Jeśli miała być to zapowiedź deszczu, to Fran będzie miała kłopot z powrotem do domu. Laurence mówił, że w zeszłym roku droga do Hatton na niektórych odcinkach stała pod wodą i jedynym środkiem lokomocji była wówczas łódka. Gwen naturalnie była podekscytowana faktem, że będzie mogła po raz pierwszy doświadczyć, czym jest monsun, jednak stanowczo wolałaby, żeby Fran pojechała do domu razem z nimi.

Po powrocie Gwen i Laurence przez całe popołudnie obchodzili siebie szerokim łukiem, potem Laurence poszedł do fabryki herbaty i Gwen została w domu sama, bardzo niezadowolona, że Fran utknęła gdzieś w Nuwara Eliya. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie kuzynce o małym Thomasie. Niestety, na razie było to niemożliwe. A monsun zbliżał się nieubłaganie. Nawet w domu zrobiło się teraz niesamowicie parno. Przesycone wilgocią powietrze było gęste, miało się wrażenie, że można krajać je na plasterki. Wszędzie unosił się niesamowicie słodki, nieznany dotąd Gwen zapach.

Kiedy w porze podwieczorku zajrzała do kuchni, zastała tam Nicka McGregora. Z fajką w zębach siedział przy stole i popijał herbatę. McGregor mieszkał osobno we własnym parterowym domu, który znajdował się niedaleko, często jednak przesiadywał w kuchni, kiedy uznał, że chromej nodze należy się chwila wytchnienia.

Podczas rozmowy przy stole Gwen wspomniała o ogrodnikach i tym razem McGregor okazał się bardzo pomocny. Zgodził się wyznaczyć robotników, którzy na zmianę będą pracować w ogrodzie warzywnym. Gwen, zadowolona z wyniku rozmowy, doszła do wniosku, że niepotrzebnie uprzedziła się do niego. Owszem, on reaguje gwałtownie, ale prawdopodobnie tylko wtedy, kiedy boli go noga.

Po podwieczorku Gwen rozsiadła się na kanapie, zastanawiając się, czy nie warto wieczorem pospacerować nad jeziorem w towarzystwie Spew. Uznała to jednak za szalony pomysł. W każdej chwili mogło zacząć padać, lepiej więc zostać w domu. Usiadła wygodniej, wsuwając pod głowę jedną z gobelinowych poduszek, i przymknęła oczy. Po jakimś czasie usłyszała, że Laurence wrócił. Nauczyła się już

rozpoznawać jego kroki. Mocne, zdecydowane kroki pana domu. Dziwne, że Tapper nie zrywa się z posłania, by przywitać ukochanego pana.

Wstała z kanapy i wyszła na korytarz. Jej mąż istotnie tu był. Stał i oglądał swoje ręce. Białą koszulę miał całą we krwi.

– Boże wielki! Laurence! Co się stało?!

Spojrzał na nią przelotnie, ściągnął brwi i popatrzył na posłanie Tappera. Gwen też tam spojrzała. Posłanie było puste.

– Laurence, gdzie jest Tapper?

Widziała, jak on zaciska szczęki. Było oczywiste, że z trudem panuje nad sobą.

– Kochanie, powiedz, co się stało.

W końcu odezwał się, ale gwałtownie i tak bełkotliwie, że nie zrozumiała ani słowa. Chwyciła więc szybko mały dzwonek leżący na stoliku w korytarzu i zadzwoniła dwa razy. Kiedy czekali na służącego, podeszła do Laurence'a, ale on odepchnął jej rękę i dalej stał nieruchomo, wpatrując się w podłogę.

Kamerdyner pojawił się po kilku minutach i Gwen wydała dyspozycje:

– Proszę powiedzieć Naveenie, żeby przyniosła wody i świeżą koszulę do pokoju pana.

– Tak, proszę pani.

– Laurence, proszę, chodźmy do twojego pokoju. Kiedy będziesz czuł się na siłach, powiesz mi, co się stało.

Wzięła go ostrożnie pod łokieć. Bez żadnych oporów dał się poprowadzić do pokoju na końcu długiego korytarza. W tym pokoju jak dotąd Gwen była tylko dwa razy i za każdym razem wchodził ktoś ze służących.

Laurence pchnął drzwi. W pokoju czuć było delikatny zapach kadzidła. Ciemnoniebieskie zasłony były zasunięte, tylko przez szparę między nimi przedostawało się światło dnia.

– Jak tu ciemno – powiedziała Gwen i zapaliła jedną z dwóch stojących lamp elektrycznych. Laurence chyba w ogóle tego nie zauważył.

Pokój urządzono bardzo elegancko, co dla Gwen, kiedy weszła tu pierwszy raz, było wielkim zaskoczeniem. Pewna, że zobaczy typowy pokój mężczyzny, umeblowany oszczędnie i bez żadnych ozdób, zdziwiła się, widząc to, co tam zastała. Na stole stało kilka fotografii w ramkach, gzyms kominka zdobił chiński ornament, a lśniącą posadzkę wielki perski dywan. Lampy miały niebieskie abażury. Łóżko przykryte było jedwabną kołdrą w kolorze gorzkiej czekolady. Na suficie nad łóżkiem znajdował się wielki metalowy pierścień, z którego zwisała moskitiera, teraz zawiązana na węzeł. Wszystkie meble, w przeciwieństwie do mebli w pokoju

Gwen, były ciemne.

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Naveena przyniosła ręcznik, miskę z wodą i czystą koszulę dla Laurence'a. Nie mogła przecież nie zauważyć, że jego koszula jest we krwi. Nie powiedziała jednak nic, tylko delikatnie poklepała Laurence'a po ramieniu. Spojrzeli na siebie i dla Gwen było jasne, że tych dwoje rozumie się bez słów.

Kiedy Naveena wyszła, Gwen zarządziła:

– Teraz zdejmiemy koszulę.

Odsunęła na bok kołdrę i gdy Laurence przysiadł na brzegu łóżka, odpięła szelki, rozpięła koszulę i ostrożnie zsunęła mu z ramion. Była pewna, że jest ranny. Laurence wstał i zdjął spodnie. O dziwo, na całym ciele nie widać było żadnej rany.

– Laurence? Może powiesz mi jednak, co się stało?

Zrobił głęboki wdech, potem usiadł z powrotem na łóżku i uderzył pięścią o materac.

– Zabili go! Mojego Tappera! Dranie! Poderżnęli mu gardło!

– To straszne**...** – wyszeptała Gwen, odruchowo kładąc dłoń na szyi. – Tak mi przykro.

Przysiadła obok, a on oparł się o nią. Oboje milczeli. Patrzyła na jego dłonie złożone na kolanach. Wzburzony bez przerwy nerwowo splatał i rozplatał palce. W końcu oparł się o nią całym ciałem, a ona objęła go czule i szepcząc kojące słowa, zaczęła głaskać go po głowie. Wtedy się rozpłakał.

Gwen tylko raz słyszała płaczącego mężczyznę. Swego ojca, opłakującego śmierć brata, ojca Fran, który utonął. Siedziała wtedy na schodach, kryjąc twarz w dłoniach, przerażona, że jej odważny, silny ojciec płacze jak dziecko. To smutne przeżycie nauczyło ją jednak, że człowiek musi sobie poradzić z wielkim smutkiem i żyć dalej. Tak zrobił ojciec, tak zapewne będzie i z Laurence'em.

Kiedy zaczął się uspokajać, delikatnie otarła mu twarz i ucałowała w oba policzki słone od łez. Pocałowała go też w czoło i w nos, tak jak robiła jej matka, kiedy mała Gwen uderzyła się albo upadła. Potem objęła dłońmi jego twarz i spojrzał głęboko w oczy. To, co w nich zobaczyła, potwierdziło jej przypuszczenia. Rozpaczał nie tylko z powodu Tappera.

Pocałowała go w usta.

– Idziemy do łóżka, Laurence.

Zdjęli tylko wierzchnie ubranie i położyli się obok siebie. Przez długi czas żadne z nich się nie poruszyło. Gwen czuła obok ciepło rozgrzanego ciała, słyszała, jak oddech Laurence'a powoli się uspokaja.

– Powiesz mi, dlaczego zabili Tappera?

Przekręcił się na bok i spojrzał jej w oczy.

– Jest problem. Z robotnikami.

– Tak? A dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

– Nie chciałem cię martwić.

– Ale ja przecież chcę być włączona w tutejszą rzeczywistość. Moi rodzice zawsze rozmawiali ze sobą szczerze o swoich kłopotach i bardzo bym chciała, by między nami było podobnie.

– Prowadzenie plantacji to męska sprawa, Gwen. A poza tym masz wystarczająco dużo pracy z prowadzeniem domu. A wracając do plantacji**...** Wiesz, myślę, że pozwoliłem McGegorowi na zbyt surowe traktowanie robotników, którzy mają coś na sumieniu.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Ale czas mija, zmienia się nastawienie do różnych spraw. Ja i kilku innych plantatorów staramy się iść z duchem czasu, co wcale nie jest takie proste. Kiedyś wszystko było o wiele łatwiejsze.

– To może zaczniesz od tego, jak było kiedyś. Od samego początku. Opowiesz mi też o Caroline i Thomasie.

Zapadła cisza, dla Gwen bardzo niepokojąca. Może przeliczyła się i Laurence wcale nie będzie skłonny do zwierzeń.

– Bardzo kochałeś Caroline, prawda?

Nadal cisza, a dla niej prawie udręka. W końcu jednak Laurence drgnął, ułożył się na plecach i patrząc w sufit, zaczął mówić. Bardzo cicho, prawie niesłyszalnie.

– Tak**...** Kochałem ją. Ale po urodzeniu dziecka**...**

– Wtedy rozchorowała się?

Nie odpowiedział. Słyszała tylko jego drżący oddech. Położyła rękę na jego piersi i pocałowała pokryty świeżym zarostem policzek.

– Gdzie jest pochowana?

– W kościele anglikańskim.

– A Thomas nie.

Znowu milczał przez chwilę, wyraźnie ważąc słowa. Potem spojrzał jej prosto w twarz. Poczuła, że cała drży.

I znów cichy głos Laurence'a:

– Ona na pewno by chciała, żeby został tu, w domu. Przepraszam, że ci o tym nie powiedziałem. A powinienem. Ale to, co się wydarzyło, jest zbyt bolesne.

Spojrzała mu w oczy i poczuła ucisk w gardle. Było oczywiste, że przywykł swoją

rozpacz kryć głęboko w sercu. Teraz doszła do głosu i to go przerażało. Nigdy dotąd nie widziała męża w takim stanie, czuła, że to coś więcej niż rozpacz, że kryje się za tym coś jeszcze, coś, czym jest udręczony. Dlatego, mimo że chciała się dowiedzieć, jaka choroba była przyczyną śmierci Caroline i małego Thomasa, poniechała dalszych pytań.

Pokiwała tylko głową.

– Rozumiem.

Laurence zamknął oczy. Kiedy tak leżała obok niego, czuła, jak budzi się w niej pożądanie. Serce zatrzepotało. Starała się to zignorować, ale i Laurence musiał czuć się podobnie, skoro położył dłoń na jej piersi, otworzył oczy i uśmiechnął się, a zaraz potem jego oczy pociemniały. Palce musnęły jej kark, wargi kąciki ust. Najpierw ostrożnie, jednak potem już o wiele bardziej zdecydowanie. Całował ją namiętnie, wciskając w materac. Czuła, że rozpacz i udręka wzmagają w nim pożądanie. Nie zauważyła nawet, kiedy podciągnął jej spódnicę. Pomogła mu zdjąć bieliznę, a kiedy uniósł się i zdejmował z niej halkę, wydała z siebie cichy jęk.

Znów opadł na nią, a ona przywarła biodrami do jego bioder. Wziął ją. Wreszcie! Była tak szczęśliwa! Przecież bez niego czuła się zagubiona, ale teraz wrócił do niej i znów był taki jak przedtem.

Kiedy oboje znieruchomieli, na dworze nagle rozległ się potężny grzmot. Zaczęło padać. Strugi deszczu wyglądały, jakby otwarte niebo wylewało na ziemię całą swoją zawartość. Gwen, wtulona plecami w Laurence'a, słuchała z zapartym tchem szumu, a po chwili wybuchnęła śmiechem. Czuła, że Laurence drgnął i też zaczął się śmiać głośno i radośnie, jakby wszystko, co go trapiło i odgradzało od świata, raptem zostało zmyte przez wodę.

– Przepraszam, Gwen, za to, że byłem dla ciebie taki**...** jaki byłem.

– Ciii**...**

Ale on wcale nie zamilkł, tylko odwrócił się i położył palec na jej ustach.

– Nie, Gwen. Muszę to powiedzieć. Wybacz mi. Nie byłem sobą. Byłem taki**...**

Zamilkł. Twarz mu się zmieniła się, widać było, że walczy ze sobą. I kiedy wydawał się prawie gotów otworzyć usta, pierwsza odezwała się Gwen. Celowo, żeby dodać mu odwagi.

– Z powodu Caroline?

– Nie do końca.

– To znaczy?

Westchnął.

– Chodzi o to, że odkąd jesteś ze mną tu, na plantacji, ożyły we mnie

wspomnienia.

Wraz z ulewnym deszczem ochłodziło się o parę stopni i Gwen poczuła nagły przypływ energii. Miała wrażenie, jakby tropikalna ulewa wniknęła w jej krew i teraz krąży po całym ciele, roznosząc miły chłód i dodając sił.

Kiedy wychodzili już z pokoju, zanim zgasiła światło, spojrzała na fotografie na stoliku. Zauważyła je już wcześniej, ale nie było okazji przyjrzeć im się dokładniej. Spojrzała przede wszystkim na tę fotografię, która od razu zwróciła jej uwagę. Zdjęcie jasnowłosej, uśmiechniętej kobiety siedzącej na dywaniku w szkocką kratę. Obok leżał pies, niewątpliwie Tapper, opierając łeb na jej kolanach.

W korytarzu Laurence wziął ją za rękę.

– Dziękuję, kochanie.

– Ależ Laurence! Nie musisz mi za nic dziękować!

– Muszę. Sama nie wiesz, ile ci zawdzięczam.

Pocałował ją i zaczęli schodzić na dół. Na dworze słychać było skrzeczenie wron, za oknem zapadał już zmierzch i cały świat spowity był w białą mgłę.

W salonie, ku wielkiej radości Gwen, zastali Fran. Rozmawiała z Verity. Na widok trzymającej się za ręce pary, Fran uśmiechnęła się szeroko i zawołała:

– No proszę! Jacy radośni!

Laurence też się uśmiechnął i pomachał do Fran. Verity ograniczyła się tylko do rozciągnięcia warg. Jej oczy nie zmieniły wyrazu.

– Widzę, że zmieniłaś zdanie, Fran, i zdecydowałaś się wrócić wcześniej do domu – powiedziała Gwen. – Jak się tu dostałaś?

Uśmiechnięta Fran jak zwykle sprawiała wrażenie energicznej i pewnej siebie. Tylko taką twarz objawiała światu, choć Gwen doskonale wiedziała, że to jedynie maska. Zwłaszcza teraz, kiedy Fran dochodzi do siebie po śmierci obojga rodziców. Pomyślała też, że kto wie, czy z Verity nie jest podobnie, i być może dzięki temu ona i Fran zbliżą się do siebie.

– Koleją – oświadczyła kuzynka. – Wypiłam klina i wsiadłam do pociągu do Hatton. Było to możliwe dzięki Saviemu, przecież nie miałam przy sobie ani pensa. Wszystkie moje pieniądze zostały tu, a Savi nie tylko pożyczył mi na bilet, ale także zawiózł na stację w Nanu Oya.

Laurence zacisnął usta.

– Powinnaś jak najszybciej odesłać pieniądze panu Ravasinghe.

– Naturalnie. Zwrócę mu je osobiście, ponieważ w przyszłym tygodniu mam się z nim spotkać w Nuwara Eliya. Jeśli pogoda dopisze. To uroczy kraj, prawda? Mały i śliczny. Pan Ravasinghe obiecał, że pokaże mi wiele interesujących rzeczy. Gwen,

będę bardzo zadowolona, jeśli dołączysz do nas. Spotykamy się też z Christiną. Jesteśmy umówieni na lunch, pan Ravasinghe ma przy okazji przekazać Christinie jej portret, który właśnie ukończył. Zapowiada się ciekawie!

Laurence zesztywniał, ale nic nie powiedział, tylko odwrócił się plecami.Verity zaśmiała się.

– Mam nadzieję, że ja też zostałam zaproszona.

Fran nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Niestety, o tobie nie wspomnieli.

Verity była wyraźnie rozczarowana i Gwen zrobiło jej się żal. Szwagierka sprawiała na niej wrażenie osoby, która nie mając koło siebie brata, czuje się na świecie bardzo samotna. I na pewno ma jakieś zmartwienie. Nigdy dotąd Gwen nie widziała, by Verity zachowywała się naprawdę swobodnie, poza tym nie dbała należycie o swój wygląd. Kobieta zwykle chce wyglądać ładnie, a u Verity wszystko było nie tak: i fryzura, i ubranie. Krótko ostrzyżone, proste włosy absolutnie nie pasowały do trójkątnej twarzy, a poza tym zawsze fatalnie dobierała kolory strojów. Wiadomo, że przy brązowych oczach nie nosi się zbyt ostrych, gryzących się kolorów ani zbyt stonowanych. A w takich właśnie gustowała Verity.

Gwen natomiast kochała różne odcienie fioletu, nie tylko dlatego, że było jej w nich do twarzy. Także dlatego, że taka właśnie była Anglia w lecie. Uwielbiała też zieleń i tego wieczoru miała na sobie suknię w kolorze jasnozielonym. Jej mąż natomiast, który większość dnia spędzał na dworze w krótkich spodenkach, starej beżowej koszuli z krótkimi rękawami i sfatygowanym kapeluszu, tego wieczoru miała na sobie coś, co z grubsza można było określić jako strój wieczorowy. I czuł się w nim wspaniale. W jego spojrzeniu nie było już ani odrobiny niepewności czy niepokoju.

Po kolacji Laurence dorzucił kilka polan do kominka, a Verity usiadła do pianina, na którym stało kilkanaście fotografii w srebrnych ramkach. Przedstawiały Laurence'a w towarzystwie psów najprzeróżniejszej maści i wielkości oraz mężczyzn w dumnych pozach, opartych o strzelby.

Zagrali w kalambury i tu gwiazdą była Fran. Gwen śmiała się do łez. Odkąd Gwen sięgała pamięcią, Fran uwielbiała różnego rodzaju występy. Robiła kukiełki z papier-mâché i wystawiała jakąś bajkę albo też sama pojawiała się na scenie, którą była na przykład skrzynka po pomarańczach, i wyśpiewywała arię z operetki. Ubierała się też bardzo oryginalnie, tak teatralnie, na przykład w purpurową sukienkę i żakiecik naszywany cekinami albo w długą i zwiewną suknię w kolorze słonecznika. Rodzina była do tego przyzwyczajona, a Laurence już zdecydowanie

bliski zaakceptowania Fran takiej, jaka jest. Verity natomiast chyba jeszcze nie potrafiła się zdecydować, co ma sądzić o Fran. Gwen wiedziała, że Fran tak naprawdę jest kobietą wrażliwą i inteligentną, a jej niebanalne zachowanie to samoobrona przed światem pełnym niesprawiedliwości. Niestety, mina Verity – przede wszystkim znaczący uśmieszek – świadczyła o tym, że uważa Fran za ekscentryczkę, która ma duży tupet. I wcale nie była zadowolona z jej towarzystwa.

Wystąpiła do brata z propozycją:

– Laurence, może jutro pojeździmy konno wokół jeziora? Na koniach, które pracują na plantacji. Nick chyba nie będzie miała nic przeciwko temu.

Laurence bez słowa wskazał na szyby, po których spływały strugi deszczu.

– W takim razie popływamy sobie. Jak w dzieciństwie. Tylko ty i ja. Gwen na pewno nie będzie miała ochoty na pływanie.

– Przepraszam, na co? – Gwen nie dosłyszała.

– Na pływanie – wyjaśniła uprzejmie Verity. – Zastanawiam się właśnie, czy pojeździć konno, czy popływać. Pomyślałam, że na pływanie nie będziesz miała ochoty. Jeśli jednak chcesz do nas dołączyć**...**

– Nigdy nie pływaliśmy podczas monsunu – oznajmił Laurence.

– Jak to nie?! – zaprotestowała Verity, przyklejając się do jego ramienia. – Na pewno pływaliśmy! Właśnie wtedy!

Relacje brata z siostrą były wyjątkowo bliskie. Gwen wiedziała, że wzięło się to stąd, że po śmierci rodziców Laurence poczuwał się do pełnej odpowiedzialności za młodszą siostrę. Wypłacał jej apanaże i opiekował się nią. Gwen jednak uważała, że najwyższy czas, by dwudziestosześcioletnia Verity znalazła sobie wreszcie męża i dała bratu spokój. Kiedyś podobno prawie już wyszła za mąż. Tak powiedział Laurence. Niestety, w ostatniej chwili zrezygnowała z pójścia do ołtarza. Gwen była bardzo ciekawa, jak układało się między Verity a Caroline. Szwagierka sprawiała wrażenie osoby raczej sympatycznej, Gwen jednak podejrzewała, że ma zmienne nastroje i nie najłatwiejszy charakter.

Podeszła do okna. Jak okiem sięgnąć, tylko srebrzyste strugi ulewnego deszczu skrzące się w świetle lamp. Jutro rano każdy dołek w trawniku zamieni się w kałużę.

Odwróciła się i spojrzała na pokój. Laurence mrugnął do niej. Podeszła i przysiadła na poręczy jego fotela. Wtedy przesunął się nieznacznie, odsuwając się od siostry, i położył rękę na kolanie żony. Pogłaskał je, rozejrzał się dyskretnie, czy nikt nie patrzy, i wsunął dłoń pod spódnicę Gwen. Od razu zakręciło jej się w głowie

i zapragnęła czegoś więcej. Smutne wydarzenie, jakim była śmierć wiernego Tappera, okazało się przełomowe w ich stosunkach. Laurence otworzył się przed Gwen, był znów sobą, a ona chciała zrobić wszystko, by taki stan się utrzymał.

7

Minął tydzień. Przez siedem dni Gwen wstawała rankiem szczęśliwa. Tego dnia również obudziła się z przeświadczeniem, że życie nie może być lepsze, bo wszystkie te noce mąż spędził razem z nią. Laurence był tak samo namiętny jak przed przyjazdem na plantację. Kochali się w nocy i rano. Kiedy zasypiał, ona, wsłuchana w jego oddech, czuła się spokojna i szczęśliwa. Tak samo, gdy budziła się wcześniej niż on. Leżała, słuchała, jak on oddycha, i nie wierzyła własnemu szczęściu.

Gdzieś w oddali zapiał kogut i powieki Laurence'a drgnęły.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała zaspanym głosem. Otworzył oczy i wyciągnął do niej rękę. Przytuliła się, rozkoszując się jego ciepłem.

– Może każemy przynieść jedzenie do pokoju? Zostaniemy w łóżku przez cały dzień. Co ty na to, Gwen?

– Naprawdę? Nie musisz iść do pracy?

– Nie. Chcę cały dzień spędzić z tobą. Co chciałabyś robić?

– Ja? Powiedzieć ci?

Uśmiechnął się.

– Oczywiście!

Wyszeptała mu więc do ucha, co ma w planach. On zaśmiał się, a potem skrzywił.

– Nie spodziewałem się tego. Czyżbyś zdążyła już się mną znudzić?

– Ja? Tobą? – Pocałowała go mocno. – Nigdy!

– To dobrze. Ale nie rozumiem, skąd u ciebie ta chęć dokładnego zapoznania się z produkcją herbaty.

– Przecież to zrozumiałe. W Oak Tree wyrabiane są sery i wiem dokładnie, na czym to polega. A skoro jestem teraz tu**...**

– Chcesz poznać tajniki produkcji herbaty. W porządku. Czy mamy już wstać?

Pogłaskał ją po głowie. Oboje nie ruszyli się z łóżka. Po krótkiej chwili Laurence zaczął delikatnie gryźć ucho Gwen. Teraz każdego dnia skupiał się na innym fragmencie jej ciała, dzięki czemu doznawała całkiem nowych, nieprawdopodobnych przeżyć. Tego dnia wargi Laurence'a rozpoczęły wędrówkę od ucha, przesunęły się koło piersi, okrążyły talię i na moment spoczęły w miejscu najbardziej intymnym, a Gwen natychmiast zapragnęła, by już jej nie całował, nie pieścił, tylko po prostu ją wziął. Dlatego przywarła do niego, on jednak to zignorował i przesunął wargi niżej,

w bardzo czułe miejsce z tyłu kolana. A potem zaczął przyglądać się bliznom na nogach Gwen.

– Na litość boską, dziewczyno, skąd to się wzięło?

– Z Oak Tree. Kiedy byłam mała, namiętnie szukałam duchów na drzewie. Niestety, zwykle było tak, że zanim któregoś znalazłam, spadałam na ziemię.

Laurence potrząsnął bezradnie głową.

– Od małego nie brakowało ci fantazji! Ale mi się trafiła żona!

Znów znalazła się w jego ciepłych objęciach i kochali się długo. Było tak cudownie, że wszystkie myśli o produkcji herbaty całkowicie wyleciały jej z głowy.

Dwie godziny później, kiedy przestało już padać, ale wszystko dokoła nadal spowite było gęstą mgłą, Laurence zaprowadził ją na wzgórze, potem szli dalej nieznaną Gwen drogą, a po jakimś czasie znów zobaczyli jezioro, brązowe w miejscach, gdzie podczas ulewnego deszczu spłynęła do niego czerwona ziemia. W lesie było nadspodziewanie cicho. Ociekające wodą drzewa wyglądały wręcz złowrogo i przez głowę Gwen przemknęła myśl, czy Naveena, która wierzy w diabły, przypadkiem nie ma racji. Obfite opady sprawiły, że dzikie orchidee i trawa pachniały o wiele intensywniej. W tej wędrówce towarzyszył im Spew, który bardzo się już przywiązał do Gwen. Biegł przodem, bez przerwy węsząc.

– Co to za kwiaty? – spytała Gwen, spoglądając na wysoką roślinę o zwisających białych kielichach.

– Brugmansja, zwana trąbami anielskimi – powiedział Laurence. Potem wskazał na wielki prostokątny budynek z rzędami zakratowanych okien, stojący na szczycie wzgórza za ich domem. – To jest fabryka.

– Laurensie**...** – Dotknęła jego ramienia. – Zanim tam wejdziemy, powiedz, proszę, czy dowiedziałeś się, kto to zrobił Tapperowi?

Po twarzy Laurence'a przemknął cień.

– Bardzo trudno to udowodnić. Kiedy występuje się przeciwko nim, zawsze zwierają szyki.

– Ale dlaczego go zabili?

– Z zemsty za to, że kiedyś było się wobec nich niesprawiedliwym.

Gwen westchnęła. Jakie tu wszystko jest skomplikowane. Za bardzo. Wychowana została w miłości do ludzi i zwierząt. Rodzice mawiali: „Jeśli będziesz miła dla ludzi, zwykle będą tacy sami wobec ciebie”.

Kiedy w końcu dotarli do fabryki, Gwen brakowało już tchu. Budynek oblepiony był ciemnoskórymi mężczyznami, którzy kucali na zewnętrznych parapetach i myli

okna. Gdzieś z oddali słychać było monotonny śpiew hinduistycznego obrzędu. Laurence kazał psu zaczekać na dworze i otworzył drzwi. Gwen weszła do środka pierwsza. Wyczuła delikatny zapach, kojarzący jej się z lekarstwami. Na piętrze dudniły maszyny.

– Mamy tu wiele maszyn – powiedział Laurence. – Jak dotąd, wszystkie były na drewno. I tak zresztą jest nadal na większości plantacji. Ja należę do tych, co zainwestowali w maszyny na olej opałowy. Byłem jednym z pierwszych, ale piece do suszenia nadal są u nas na drewno. Używamy do tego celu eukaliptusa gałkowego.

Gwen pokiwała głową.

– Rozumiem. Stąd ten zapach.

– Budynek ma trzy piętra. Może chcesz chwilę odpocząć?

– Ależ skąd – zaprotestowała, rozglądając się dokoła z wielką ciekawością. – Wiesz, nie spodziewałam się, że to taka duża fabryka.

– Przestrzeń jest niezbędna, bo herbata potrzebuje powietrza.

– Wyjaśnisz mi, krok po kroku, jak robi się herbatę?

Oczy Laurence'a rozbłysły.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć?

– Naturalnie!

– A więc**...** to skomplikowany proces. Pierwszy krok to dostarczenie do fabryki koszy z zielonymi listkami. Listki są skubane tylko z samego czubka krzewu, dokładniej, pączek i dwa listki. Potem zostają zważone. Kobietom wypłaca się ustaloną kwotę za funt zebranych listków. Trzeba uważać, bo czasami potrafią włożyć coś do kosza, żeby był cięższy**...**

Laurence urwał na moment, ponieważ podszedł do niego jakiś mężczyzna i o coś zapytał. Gwen z zadowoleniem zauważyła, że Laurence traktuje tego człowieka bardzo uprzejmie i życzliwie. Wyjaśnił mu wszystko, oczywiście po tamilsku, a potem dumnym gestem posiadacza objął ramieniem żonę.

– Gwen, pozwól, że ci przedstawię Darisha, kierownika odpowiedzialnego za cały proces produkcyjny.

Mężczyzna skłonił głowę, po czym cały się skłonił tak jakoś nieśmiało, ostrożnie. I odszedł.

– Jesteś drugą Angielką, jaką widział w życiu – rzucił półgłosem Laurence.

– Drugą? A ta pierwsza to Caroline?

– Nie. Christina. Teraz pójdziemy na górę. Pokażę ci pierwszy proces produkcyjny, czyli więdnięcie liści herbaty ułożonych na specjalnych siatkach. Czasami tych liści są tak ogromne ilości, że Darish i jego współpracownik

nadzorujący proces więdnięcia przychodzą do pracy już o drugiej w nocy. Teraz, z powodu warunków atmosferycznych, mamy spokój.

Dla Gwen wcale nie było tu spokojnie. Panował ruch, zewsząd słychać było głośne dźwięki. Poza tym ona sama nie była oazą spokoju. Może z powodu odurzającego zapachu herbacianych liści, a może dlatego, że Laurence wspomniał o Christinie. Pomyślała, że zdenerwowała się niepotrzebnie, przecież powiedział, że z nią skończył. Definitywnie. Czyż nie tak?

Przeszli obok stosów koszy i najrozmaitszych akcesoriów, takich jak narzędzia czy zwoje lin, i weszli na schody.

– Tu, na poddaszu, liście więdną w naturalny sposób – wyjaśnił Laurence, kiedy znaleźli się na szczycie schodów. – Na naszej plantacji uprawiamy herbatę z gatunku Camelia sinensis.

– A jak długo trwa takie więdnięcie? – spytała Gwen, wpatrując się w cztery długie, niskie stoły, na których rozłożono liście herbaty.

Laurence objął ją wpół, zadowolony, że jest razem z nim w herbacianym świecie.

– To zależy od pogody. Jeśli jest wilgotno, jak teraz, listki więdną powoli, dlatego używamy wtedy nawiewu ciepłego powietrza o określonej temperaturze. A czasami, żeby je podsuszyć, używamy pieca do suszenia liści. Właśnie słyszysz ten piec. Kiedy jest ładna pogoda i odpowiednio ustawi się żaluzje, wystarczy ciepły wiatr przedostający się tu przez otwarte okno.

– A co robi się piętro niżej?

– Kiedy liście są odpowiednio podsuszone, zgniata się je. Chcesz to zobaczyć?

Naturalnie, że chciała, i już po chwili miała okazję zobaczyć, jak podsuszone liście zsuwają się po pochylni do maszyny ustawionej piętro niżej. I wtedy znowu pojawił się Darish. Coś powiedział i Laurence, podwinąwszy rękawy, obszedł maszynę dokoła. Gwen, zerkając na niego, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Pan plantator w swoim żywiole!

Laurence powiedział coś po tamilsku do Darnisha. Ten pokiwał głową i odszedł, by wykonać polecenie, a Laurence wziął żonę pod ramię i poprowadził ku schodom, wyjaśniając po drodze:

– Teraz liście są zgniatane, potem cięte ostrzami wirnika i przesiewane, by oddzielić większe kawałki od mniejszych.

Gwen popatrzyła na listki, przedtem zielone, teraz przypominające pokrajany tytoń i pachnące jak siano.

– Następnie liście poddawane są procesowi utleniania i dzięki temu przybierają czarną barwę.

– No proszę! Nigdy bym się nie spodziewała, że tyle pracy trzeba włożyć, żebym mogła rano napić się herbaty!

Laurence pocałował ją w czubek głowy.

– Na tym jeszcze nie koniec. Aby przerwać proces fermentacji, herbata kierowana jest do suszarek. Po wysuszeniu sortujemy ją według klas i po raz ostatni poddajemy kontroli. Potem pakuje się ją i wysyła do Londynu lub Kolombo.

– To wielka sztuka nad tym wszystkim zapanować. Twój kierownik musi być naprawdę w tym biegły.

Laurence zaśmiał się.

– I taki właśnie jest! Darish zaczął tu pracować jako bardzo młody chłopak. Dawniej pracował dla mojego ojca, a teraz dla mnie. Naprawdę zna swój fach.

– A kto zajmuje się sprzedażą herbaty?

– Mój agent, który prowadzi nasze finanse. Sprzedaje herbatę na aukcjach w Kolombo i w Londynie.

Przerwał i przystanął na chwilę.

– Kochanie, niestety musimy już wracać. Zaraz południe i będą głośno trąbić. Twoje uszy na pewno tego nie wytrzymają.

Uśmiechnął się, Gwen też. Czuła dumę, że trafił jej się taki właśnie mąż. Nie tylko silny fizycznie, ale także duchem, ma przecież na głowie tak wielkie przedsięwzięcie. I jest pełen determinacji. Gwen była pewna, że mimo trudności na pewno uda mu się wprowadzić zmiany, o których wspomniał.

– Bardzo mi się podoba, że jesteś tym wszystkim zainteresowana.

– A Caroline nie była?

– Raczej nie.

Wziął ją pod ramię i wyszli na dwór. Zrobiło się pięknie. Żadnej mgły, czyste niebo nie zapowiadało deszczu.

– Laurence, dlaczego twoja siostra jeszcze nie wyszła za mąż?

Od razu spoważniał.

– Mam nadzieję, że kiedyś to nastąpi.

– Ale dlaczego dopiero „kiedyś”?

– Nie wiem, dlaczego tak z nią jest, Gwen. Verity ma skomplikowaną osobowość. Podoba się mężczyznom, ale co z tego, skoro odpycha ich od siebie. Nie mam pojęcia, o co chodzi.

Gwen pomyślała, że Laurence ma rację. Przecież Verity często wygląda tak, jakby wcale nie chciała podobać się mężczyznom.

Kiedy przeszli jakieś sto metrów, usłyszeli głośne trąbienie. Gwen zasłoniła

rękami uszy i potknęła się o gałąź.

Laurence jęknął.

– A nie mówiłem**...**

Gwen pozbierała się z ziemi i zaczęła biec. Laurence i Spew ruszyli za nią. W końcu Laurence ją dogonił, złapał wpół, podniósł i niósł dalej na rękach.

– Panie Hooper, co pan wyprawia?! Proszę natychmiast mnie postawić! Jak to wygląda?! Nie boi się pan, że ktoś nas zobaczy?

– Niech zobaczy! A ja i tak cię nie puszczę, bo nie wierzę, żebyś była zdolna zejść na własnych nogach ze wzgórza bez siniaków, zadrapań i ran. Dlatego będę cię niósł i basta!

Po południu do uszu Gwen zajętej lekturą ciekawej powieści kryminalnej dobiegły jakieś krzyki. Wcale nie miała ochoty przerywać czytania, jednak odłożyła książkę i wstała, uznając, że należy sprawdzić, co się dzieje.

Słyszała głos Laurence'a wołającego Naveenę. Poszła w głąb korytarza i zobaczyła męża pocieszającego Fran, która siedziała na krześle i płakała. Była zrozpaczona i jednocześnie chyba bardzo zła.

Gwen natychmiast podbiegła do kuzynki.

– Fran, na litość boską, co się stało? Jakieś złe wiadomości?

Fran pokręciła głową i szlochała dalej.

– Chodzi o bransoletkę – wyjaśnił Laurence. – Zginęła. Ale nie rozumiem, skąd taka wielka rozpacz. Powiedziałem Fran, że kupię jej nową, też z zawieszkami, a ona rozpłakała się jeszcze bardziej.

W tym momencie Fran zerwała się z krzesła i pobiegła przed siebie korytarzem.

– No i sama widzisz!

– Nic nie rozumiesz. To była bransoletka jej matki. Mama Fran przez całe życie zbierała te zawieszki. Dlatego ta bransoletka tyle dla niej znaczyła. Nowa bransoletka niczego nie rozwiąże.

– Nie wiedziałem o tym. Ale czy nie można jednak czegoś dla Fran zrobić?

– Można. Każ wszystkim służącym szukać tej bransoletki. A ja idę pocieszać Fran.

Następnego dnia Fran nie przyszła na śniadanie i zaniepokojona Gwen poszła do jej pokoju. Zapukała i weszła na palcach. W pokoju było mroczno. Story zasunięte, powietrze stęchłe, szybko więc podeszła do okna, by je uchylić, jednocześnie zerkając z niepokojem na Fran leżącą w łóżku.

– Co z tobą? Jeszcze nie wstałaś? Zapomniałaś, że jesteśmy umówione na lunch?

– Nie wstałam, bo czuję się okropnie. Naprawdę okropnie! – zajęczała Fran wyraźnie w złej formie, choć wyglądała bardzo ładnie z tą swoją nieskazitelną cerą i nieprawdopodobnie długimi rzęsami.

Tak było zawsze i to zadziwiało Gwen, która nie miała takiego szczęścia. Wystarczyło na przykład trochę chłodu i już jej twarz robiła się trupioblada, czy mówiąc bardziej elegancko, mizerna. Fran tego problemu nie miała. W każdych okolicznościach wyglądała doskonale. Nigdy też nie użalała się nad sobą. Dlatego Gwen była teraz tak bardzo zaniepokojona.

Przysiadła na brzegu łóżka i położyła rękę na czole kuzynki.

– Jesteś rozpalona, Fran. Powiem Naveenie, żeby podała ci śniadanie do łóżka. Herbatę i owsiankę.

– Owsianki nie przełknę.

– To przynajmniej napijesz się herbaty.

Gwen nie miała zamiaru ukrywać rozczarowania. Tego dnia przecież miały pojechać do Nuwara Eliya i zjeść lunch razem z panem Ravasinghe i Christiną. Gwen bardzo chciała jeszcze raz ją zobaczyć. Z czystej ciekawości i po to, by odzyskać wewnętrzny spokój. Niestety, skoro Fran ma gorączkę, o wyjeździe nie ma mowy.

– Wczoraj byłaś bardzo zdenerwowana i stąd ta gorączka – powiedziała. – Poza tym pogoda nie jest najlepsza.

Fran wydała z siebie cichy jęk.

– Nie wierzę, żeby znaleźli tę bransoletkę. Na pewno ktoś ją ukradł.

– Czy po zakończeniu balu miałaś ją jeszcze?

– Tak. Na pewno bym zauważyła, gdybym nie miała, przecież tę bransoletkę zakładam prawie codziennie. Wiesz o tym.

– Wiem. I bardzo mi przykro, że zginęła. A lunchem się nie przejmuj. Możemy umówić się z nimi kiedy indziej.

Fran głośno pociągnęła nosem.

– Nie, Gwen. Jedź sama. Savi pokaże jej ten portret. Myślę, że któraś z nas powinna tam być.

– Polubiłaś pana Ravasinghe, prawda?

– Tak – odparła Fran, wyraźnie się rumieniąc. – Lubię go, nawet bardzo. No cóż**...** Zdarza się.

– Przyznaję, że może być niezwykle pociągający. Jest też modnym teraz artystą, ale zdajesz sobie sprawę, że rodzice tą znajomością nie byliby zachwyceni.

– Rodzice? Chyba twoi, prawda?

Zapadła cisza.

– Fran**...** – odezwała się po chwili Gwen. – Nie mogę tam jechać bez ciebie. Laurence'owi na pewno by to się nie spodobało. On chyba nie przepada za Savim.

– Oczywiście! – Fran machnęła ręką, wyraźnie poirytowana. – Bo Savi jest Syngalezem!

Gwen energicznie pokręciła głową.

– Nie, moim zdaniem chodzi o coś innego.

– Może i tak. W każdym razie bardzo bym chciała, żebyś pojechała na ten lunch. Nie możemy zawieść Saviego. Proszę cię. Przecież nie musisz mówić Laurence'owi, że jedziesz do Nuwara Eliya.

– Nie muszę. Ale co będzie, kiedy się dowie?

– Och! Jestem pewna, że coś wymyślisz. Zdążysz wrócić na kolację?

– Myślę, że tak. Pociągiem.

– Jeśli wrócisz przed kolacją, Laurence w ogóle się nie zorientuje, że wyjeżdżałaś.

Gwen roześmiała się.

– Widzę, Fran, że bardzo ci zależy, żebym tam pojechała. Kto wie, czy się nie zdecyduję! Tylko kto wtedy zaopiekuje się tobą?

– Oczywiście, że Naveena. Przyniesie mi coś do picia i zmieni pościel. A kamerdyner w razie potrzeby wezwie doktora.

– A może Verity by pojechała ze mną?

Fran uniosła znacząco brwi i Gwen szybko sprostowała:

– Nie, nie. Jej prosić nie będę!

Fran wybuchnęła śmiechem.

– Nie wierzę własnym uszom! Czyżby nasz anioł Gwen raptem przyznała, że do kogoś nie pała sympatią?

– Ja tego nie powiedziałam! – zaprotestowała Gwen, szturchając kuzynkę żartobliwie w bok.

– Nie bij! Przecież jestem chora – zajęczała Fran. – Lepiej pospiesz się, bo nie zdążysz na pociąg. Aha, i jeszcze coś**...**

– Co takiego? – spytała, poprawiając pościel.

– Proszę, wybadaj go, czy mu się podobam. Zrobisz to dla mnie?

Gwen zaśmiała się, trudno jednak było nie wyczuć, że to wcale nie żart, ponieważ Fran powiedziała to niemal błagalnie.

– Chyba przeceniasz moje możliwości.

– Ale postaraj się, dobrze? Niedługo wracam do Anglii i przed wyjazdem

chciałabym wiedzieć, czy mam jakąś szansę.

– Szansę? Na co?

Fran wzruszyła ramionami.

– To się okaże.

– Frannie! – Gwen obeszła łóżko i wzięła kuzynkę za rękę. – Pan Ravasinghe jest bardzo miłym człowiekiem, ale nie możesz za niego wyjść.

Fran szybko cofnęła rękę.

– A niby dlaczego?

Gwen westchnęła.

– Chociażby dlatego, że jeśli to zrobisz, to oprócz mnie nikt tu już do ciebie się nie odezwie.

– Nie zależy mi na tym. Savi i ja możemy zabawić się w dzikusów i zamieszkać na bezludnej wyspie na Oceanie Indyjskim. Będzie malował mnie codziennie, oczywiście akty. Słońce zrobi swoje i bardzo szybko stanę się tak samo brązowa jak on.

Gwen zaśmiała się.

– Brązowa? Jaka ty jesteś naiwna, moja droga! Już po godzinie na tym palącym słońcu będziesz spieczona jak rak!

– Jesteś złośliwa, Gwendolyn Hooper!

– Nie. Jestem po prostu realistką. Ale nie kłóćmy się. Dobrze, pojadę na ten lunch, a ty uważaj na siebie.

Christina, tak jak poprzednio, miała na sobie czarną suknię z głębokim dekoltem i czarne koronkowe rękawiczki sięgające za łokcie. Zielone oczy skrzyły się, brwi były starannie wyregulowane. Jasne włosy delikatnie upięła, długie loki, przeplecione czarnymi koralikami, swobodnie opadały na plecy. Miała na czole srebrzystą opaskę wyszywaną cekinami, oprócz tego długie, wiszące kolczyki z gagatem i naszyjnik obrożę również z gagatów. W rezultacie Gwen w pastelowej sukni, wcale nie wizytowej, czuła się całkowicie przyćmiona.

– A więc**...** – zaczęła Christina, wykonując efektowny gest hebanową cygarniczką – słyszałam, że naszego uroczego pana Ravasinghe poznała pani już wcześniej, jeszcze zanim postawiła stopę na cejlońskiej ziemi.

– Tak, był dla mnie bardzo miły.

– To w jego stylu. Savi jest uprzejmy wobec wszystkich. Nadzwyczaj. Dziwię się, że nie straciła pani dla niego głowy i nie uciekliście razem do dżungli.

Gwen zaśmiała się.

– Przyznam się, że ta myśl przemknęła mi przez głowę!

– Jednak zakotwiczyła się pani przy innym mężczyźnie, jednej z najlepszych partii na Cejlonie.

– Niech pani się nią nie przejmuje – powiedział Savi, mrugając wesoło do Gwen. – Główny życiowy cel Christiny to dogryzanie innym.

– Może i tak – przyznała zgodnie Christina. – Odkąd mój drogi Ernest przeniósł się w zaświaty, nie mam nic lepszego do roboty niż robienie pieniędzy i dokuczanie bliźnim. Ernest zostawił mi bank. A bank na głowie od kilku lat to coś bardzo nudnego. Ale dajmy temu spokój. Pani Hooper, przede wszystkim chcę powiedzieć, że mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami.

Gwen udzieliła raczej mętnej odpowiedzi, ponieważ nigdy nie zetknęła się z kimś takim jak Christina. Po prostu była inna i Gwen niestety nie mogła oprzeć się myśli, że właśnie to kiedyś bardzo pociągało jej męża.

– A co panią sprowadziło na Cejlon, pani Bradshaw?

– Może: Christino?

Gwen uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Świetnie. A więc, Gwen, na Cejlon przyjeżdżam od lat. Teraz dlatego, że Savi obiecał namalować mój portret. Saviego odkryłam wieki temu, kiedy miał wystawę swoich prac w Nowym Jorku. Jego portrety są wspaniałe, niezwykle osobiste. Wkłada w nie całe serce. Ciebie też powinien namalować.

– Ale ja**...**

– Przemyśl to. A teraz zapraszam do stołu. Zaczniemy od curry z bakłażana, potem kaczka pieczona na miodzie. Wyśmienita!

Kiedy szli do jadalni, Gwen nagle przystanęła

– Co to takiego? – spytała, wskazując na wielką maskę wiszącą na ścianie.

– Maska diabła wkładana podczas rytualnego tańca.

Gwen, wpatrzona w rzecz dla niej szokującą, odruchowo cofnęła się o krok, wpadając na pana Ravasinghe. Poklepał ją po plecach, ona jednak nie zwróciła na to uwagi wpatrzona w odrażający eksponat. Siwe, długie włosy, wielkie otwarte czerwone usta, wyszczerzone zęby, czerwone uszy i pomarańczowe oczy o pożądliwym spojrzeniu, a nos i policzki pomalowane białą farbą.

– Prezent od twojego wspaniałego męża – dodała Christina. – Dobrze wiesz, że on potrafi docenić kobietę.

Gwen na moment odebrało mowę. Istotnie, ten dzień nie należał do najłatwiejszych. Najpierw musiała spotkać się z panem Ravasinghe sama, nie z Fran, i wcale nie czuła się z tym dobrze. Wysiadła z pociągu na małej stacji

w Nanu Oya i zajechała powozem przed Grand Hotel. Umówili się przed wejściem, czekała więc na niego na ulicy, wdychając zapach eukaliptusów dolatujący z osnutych mgłą żlebów Pidurutalagali. I wcale nie było to radosne wyczekiwanie. Teraz, kiedy między nią a Laurence'em znów zaczęło się układać, bardzo chciałaby zapomnieć o tym, że przystojny malarz kiedyś wzbudził jej zainteresowanie, jak również o tamtym nieszczęsnym balu, gdy wypiła za dużo szampana.

Pan Ravasinghe przywitał się z nią bardzo miło i ujął pod ramię. Kiedy przechodzili przez ulicę zatłoczoną rikszami i wozami ciągniętymi przez bawoły, nagle usłyszeli cienki, piskliwy głos:

– Dzień dobry! Jak się państwo miewają?

Przed nimi stała Florence Shoebotham we własnej osobie. Wlepiała w nich oczy tak, że aż nozdrza jej się rozdęły i jawiła się Gwen jako wyrzut sumienia.

– Dziękuję. Znakomicie – odparła.

– Mam nadzieję, że małżonek również?

Powiedziała to z naciskiem.

– Florence, miło cię widzieć, ale wybacz, spieszymy się. Jesteśmy umówieni na lunch.

Nozdrza Florence znów się rozdęły, a zwisający podbródek zadrżał.

– Idziesz tam bez Laurence'a?

– On jest dziś zajęty przez cały dzień. Ma jakieś pilne sprawy związane z maszynami.

– Rozumiem**...** No cóż**...** Dobry Bóg na pewno będzie miał cię w swej opiece – wygłosiła patetycznie Florence, spoglądając jednocześnie zmrużonymi oczami na pana Ravasinghe.

Poszli dalej. Mijali mały zakład fotograficzny i jedna z fotografii w oknie wystawowym zaintrygowała Gwen. Widać było na niej nowożeńców: Europejczyka w garniturze i Syngalezkę w tradycyjnym stroju. Od razu pomyślała o Fran.

– Kiedyś nie było to czymś nadzwyczajnym – powiedział pan Ravasinghe, który zauważył jej zaciekawienie. – Do połowy dziewiętnastego wieku rząd wręcz zachęcał do małżeństw mieszanych.

– Dlaczego to się zmieniło?

– Z wielu powodów. Między innymi dlatego, że otwarcie Kanału Sueskiego w 1869 roku bardzo ułatwiło Angielkom podróż w te strony. Przedtem były tu rzadkością, teraz tych potencjalnych żon dla białych mężczyzn pojawiało się coraz więcej. Jednocześnie przybywało dzieci z małżeństw mieszanych, a nasz rząd obawiał się, że Euroazjaci nie będą lojalni wobec brytyjskiego imperium.

Gdy siedzieli już we trójkę przy niewielkim stole, przez głowę Gwen przemknęła myśl, czy Christina przypadkiem dowiedziała się już o sympatii Fran do pana Ravasinghe i że pewnie bardzo jej się to nie podoba.

– O, nareszcie! – zawołała Christina, klaszcząc w ręce. – Oto i nasz bakłażan!

Bakłażan? Gwen spojrzała podejrzliwie na potrawę przyniesioną przez służącego. Wydała jej się dziwna.

– Bez obaw, Gwen – zachęcał Savi. – To bakłażany, zwane też oberżyną. Bardzo zdrowe, bo zobojętniają w naszym żołądku wszystko, co ostre czy ciężkostrawne. A w dodatku wyjątkowo smaczne. Bardzo proszę, skosztuj.

Gwen ostrożnie nadziała na widelec kawałek bakłażana i włożyła go do ust. Miał dziwną konsystencję, jednocześnie był tak smaczny, że natychmiast zapragnęła sięgnąć po następny.

– Rzeczywiście. Smakuje wybornie – powiedziała uprzejmie.

Christina się zaśmiała.

– Och, co za maniery! Może warto by je trochę zepsuć? Co o tym sądzisz, Savi?

Pan Ravasinghe nie po raz pierwszy spiorunował ją wzrokiem.

– Dobrze, już dobrze**...** Wybacz, Savi, ale robisz się po prostu nudny.

Zaczęła się rozmowa, w której Gwen nie brała udziału, skupiając się całkowicie na pochłanianiu porcji bakłażana. Niestety, mimo rozkoszy podniebienia nie była w najlepszym nastroju. Christina onieśmielała ją, poza tym, kiedy przełykała ostatni kęs, zaczęła się zastanawiać, jak to właściwie było między Laurence'em i tą Amerykanką. Weźmy na przykład ten przedziwny prezent. Maska tańczącego diabła! Czy tu, na Cejlonie, ludzie dają sobie takie szkaradzieństwa, czy też Laurence, obdarowując Christinę czymś takim, miał coś szczególnego na myśli?

I mimo że tego tematu wolała nie poruszać, zdecydowała się jednak na zadanie istotnego pytania:

– Od jak dawna znasz mego męża, Christino?

Christina milczała chwilę, a potem uśmiechnęła się.

– Od bardzo dawna. I powiem ci jedno: spotkało cię wielkie szczęście.

Gwen zerknęła na pana Ravasinghe, który kiwnął potakująco głową.

Kiedy przybyła do Grand Hotelu sama, bez Fran, pan Ravasinghe sprawiał wrażenie, jakby specjalnie się tym nie przejął. Przywitał się z nią i poprowadził do willi, którą wynajmowała Christina. Ubrany był nienagannie, w ciemny garnitur i białą koszulę, w zestawieniu z jego śniadą skórą olśniewająco białą. Poza tym, ponieważ szli blisko siebie, wyczuwała od niego zapach cynamonu. Na policzkach miał świeży zarost, jakby zaspał i nie miał czasu się ogolić. Albo też tę noc spędził

poza domem.

– Bardzo mi przykro, że pani kuzynka niedomaga – powiedział. – Miejmy nadzieję, że szybko dojdzie do siebie. Chwilowo nie pada, chciałem więc zaprosić ją na wycieczkę łodzią po jeziorze w Kandy, stolicy górzystego regionu naszej wyspy.

– Powiem Fran o tym zaproszeniu. Na pewno będzie zachwycona.

Pan Ravasinghe pokiwał głową.

– Poza tym, jeśli Fran zabawi tu dłużej, będą panie miały okazję zobaczyć w Kandy w lipcu Peraherę, czyli procesję podczas pełni księżyca. A warto na to popatrzeć, chociażby na słonie przystrojone w złoto i srebro.

– Tak, tak! Koniecznie musicie to zobaczyć! – zawtórowała Christina. – To procesja ku czci świętej relikwii, Zęba Gautamy Budhy. Słyszałaś coś o tym, Gwen?

– Jeszcze nie.

– Opowiem ci. Dawno, dawno temu pewna księżniczka przeszmuglowała ten ząb z Indii na Cejlon. Ukryła go we włosach. Świętą relikwię, która przy dźwięku bębnów raz do roku przewożona jest ulicami miasta. Towarzyszą jej tancerze ustrojeni w girlandy kwiatów. Piękne widowisko. Może wybierzemy się tam wszyscy? Gwen, porozmawiasz o tym z Laurence'em? Czy ja mam to zrobić?

– Naturalnie, że porozmawiam – odparła Gwen, zmuszając się do uśmiechu, choć Christina tą deklaracją bardzo ją zirytowała. Bo niby dlaczego to ona miałaby porozmawiać z Laurence'em, a nie żona? Czyżby chciała dać Gwen do zrozumienia, że nadal coś ich łączy?

Po deserze, kiedy zabrano ze stołu resztki puddingu, Christina zapaliła papierosa i wstała.

– Myślę, że najwyższa pora, by pokazał pan swoje dzieło, panie Ravasinghe. Ale jeszcze przedtem pójdę przypudrować nos.

Podeszła do niego, on wstał i w tym momencie nozdrza Gwen oprócz zapachu dymu z papierosa wyłapały również inny zapach. Tabac Blond od Carona, amerykańskie perfumy, których używała Fran. Christina pocałowała pana Ravasinghe w policzek i polakierowanymi paznokciami żartobliwie rozburzyła jego lekko wijące się włosy. Gwen kontemplowała jego piękny profil. Pan Ravasinghe wyglądał niezwykle interesująco, może też i dlatego, że jego spojrzenie dalekie było od łagodnych. Odsunął delikatnie rękę Amerykanki, po czym ucałował jej dłoń. To trochę zbiło Gwen z tropu.

Nie miała specjalnej ochoty spełnić prośbę Fran. Ale kiedy Christina na chwilę zostawiła ich samych, pomyślała, że takiej okazji nie wolno zmarnować.

– Skoro mówimy o Fran**...**

– A mówiliśmy?

– Tak. Przed chwilą.

– Istotnie. Co ma pani do powiedzenia o swojej czarującej kuzynce?

– Ja? Bardzo chciałabym wiedzieć, co pan o niej sądzi.

– Proszę mówić do mnie po imieniu, dobrze?

– A ja proszę, by pan odpowiedział na moje pytanie.

– A więc**...** – Savi, patrząc jej prosto w oczy, uśmiechnął się ciepło. – Moim zdaniem pani kuzynka jest śliczna.

– Podoba się panu?

– Oczywiście! Podejrzewam, że wszystkie pani kuzynki bardzo by mi się spodobały, pani Hooper.

Gwen uśmiechnęła się, mimo że ta dowcipna odpowiedź nie wniosła nic nowego. Kiedy w jadalni ponownie pojawiła się Christina, pan Ravasinghe podał ramie Gwen i cała trójka przeszła do przestronnego pokoju na tyłach domu. Za oknami widać było tarasowy ogród otoczony murem. Na środku pokoju stały wielkie sztalugi, a na nich obraz zasłonięty czerwonym aksamitem.

– Gotowi? – spytała Christina i wdzięcznym ruchem pociągnęła aksamitną zasłonę.

Gwen wlepiła oczy w podobiznę Chrisitiny, potem spojrzała na pana Ravasinghe, który uśmiechając się spokojnie, wytrzymał jej wzrok. Czekał na komentarz.

– Ten portret jest taki**...** niezwykły – powiedziała z ociąganiem.

– Tak samo jak nasz drogi Savi – oświadczyła Christina. – Jest wysublimowany.

Problem polegał na tym, że Gwen trudno było jednoznacznie ocenić dzieło, co z kolei wcale nie oznaczało, że portret jej się nie podoba. Podobał się, owszem, jednak, rzecz dziwna, właśnie teraz pomyślała sobie, że pan Ravasinghe nie traktuje jej poważnie. No cóż**...** Widział ją w stanie nietrzeźwym i taką właśnie, nietrzeźwą, głaskał po głowie i pomagał jej ułożyć się na łóżku. A w tym wszystkim trudno doszukiwać się powagi.

– Gwen? – zagadnęła ją Christina. – Coś mi się wydaje, że jesteś zakłopotana tym, co widzisz?

Gwen ponownie spojrzała na portret. Policzki Christiny na obrazie były zarumienione, włosy w nieładzie. Miała na sobie tylko naszyjnik z gagatów, a portret kończył się tuż pod obnażonym biustem.

Zdawała sobie sprawę, że to, co przed chwilą pomyślała, jest w gruncie rzeczy nieistotne, może nawet śmieszne. Ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Laurence prawdopodobnie widywał taką właśnie Christinę.

– Savi malował również pierwszą żonę Laurence'a – powiedziała Christina.

– Ach tak? Nie widziałam tego portretu.

– Prawdopodobnie zniszczył go po jej śmierci albo schował gdzieś głęboko.

– Tak**...** A ty znałaś Caroline?

– Prawie wcale. A Laurence'a poznałam lepiej dopiero po jej śmierci. Savi miał namalować portret Verity na krótko przed jej ślubem. Zrobił kilka szkiców i na tym koniec, bo Verity raptem umknęła do Anglii. Nikt nie wie, dlaczego porzuciła tego biednego chłopaka. Słyszałam, że był bardzo sympatyczny. Pracował dla rządu. A co ty sądzisz o swojej szwagierce, Gwen?

– Nic. Jeszcze jej dobrze nie poznałam.

– A ty, Savi, co myślisz o Verity Hooper?

Pan Ravasinghe zmarszczył nieznacznie brwi, ale i tak świadczyło to, że nie ma zbyt dobrego zdania o Verity. Albo też nie ma ochoty o niej rozmawiać.

– Bo ja**...** – perorowała dalej Christina – uważam, że Verity jest zwyczajną intrygantką. Oprócz brata liczą się dla niej tylko konie. Tak przynajmniej było, kiedy mieszkała w Anglii.

– Trzeba przyznać, że ma talent do stwarzania problemów – przyznał Savi i wyjął z kieszeni marynarki mały szkicownik. – Pani Hooper, czy pozwoli pani, że zrobię mały szkic?

– Chce mnie pan narysować? Sama nie wiem. Laurence**...**

– Laurence'a tu nie ma, moja droga – wtrąciła Christina. – Zgódź się, Gwen.

Panu Ravasinghe uśmiech nie schodził z twarzy.

– Pani ma w sobie tyle świeżości, pani Hooper. Postaram się to uchwycić.

– Dobrze. A jak mam wyglądać? Jakoś się przygotować?

– Nie. Chcę naszkicować panią właśnie taką jak teraz, w tym momencie.

8

Fran, kiedy tylko doszła do siebie, zrobiła wszystko, by zdążyć na pociąg z Hatton do Nanu Oya, stacji, z której było najbliżej do Nuwara Eliya. Walizki zostały już wysłane do Kolombo, natomiast ją samą do Kolombo obiecał odwieźć pan Ravasinghe. Fran miała pochodzić trochę po Kandy, potem z panem Ravasinghe jechać do Kolombo. A z Kolombo do Anglii.

Kiedy ściskały się na pożegnanie, przed dom zajechał McGregor, mamrocząc pod nosem, że nie jest tu po to, żeby robić za głupiego szofera. Obie roześmiały się, choć Gwen było ciężko na duszy.Wiedziała, że będzie tęsknić za Fran, swoją kuzynką i najlepszą przyjaciółką.

– Uważaj na siebie, Fran.

Fran puściła do niej oko i dodała zaczepnie:

– A jeśli nie, to co?

– Masz być ostrożna, słyszysz? Och, Fran! Jak ja będę tęsknić za tobą!

– Ja za tobą też. Ale nie martw się. Wrócę tu, może w przyszłym roku.

Uściskały się jeszcze raz i Fran wsiadła do samochodu. Od razu opuściła szybę i wystawiła uśmiechniętą twarz i rękę, którą gorliwie machała. Gwen też machała, póki samochód nie znikł jej z oczu, a potem stała smutna przed domem. Długo nie zobaczy kuzynki, której zawsze mogła się zwierzyć. Tak też było tego ranka. Kiedy razem z Fran jadły śniadanie, Gwen, zaczerwieniona z emocji, przyznała się, że jest zazdrosna o Christinę. Fran wybuchnęła wtedy głośnym śmiechem.

– Boisz się, że Laurence nie będzie w stanie jej się oprzeć?

– Sama nie wiem**...**

– Nie bądź niemądra, Gwen. Przecież to oczywiste, że Laurence cię wprost uwielbia i nie zrobi niczego, co mogłoby zaszkodzić waszej miłości. Ta wyfiokowana Amerykanka jest u niego bez szans.

Gwen, zamyślona, wbiła stopę w żwir i potrząsnęła głową. Miała wielką nadzieję, że Fran się nie myli. Oby**...** Odwróciła się i szybkim, zdecydowanym krokiem weszła z powrotem do domu, by zasiąść do pisania listu do matki. Wyjazd Fran sprawił, że znów poczuła wielką tęsknotę za rodzinnym domem.

Następnego ranka Gwen, kiedy tylko otworzyła oczy, od razu pognała do toalety. Było jej niedobrze. Albo ten przeklęty bakłażan jej zaszkodził, albo złapała jakąś chorobę jak Fran, która przecież niedawno zaniemogła. Z tym że Fran nie

wspominała o mdłościach, a Gwen było okropnie niedobrze.

Ponieważ robotnik czyszczący latryny jeszcze się nie pojawił, zwróciła wszystko do wiaderka z trocinami. Kiedy pochyliła się i poczuła zapach trocin, zrobiło jej się tak niedobrze, że aż zawirowało jej w głowie.

Zadzwoniła na Naveenę. Czekając na nią, rozsunęła zasłony, by spojrzeć na niebo. Było błękitne, tylko gdzieniegdzie ozdobione obłoczkiem, dawało nadzieję, że padać już nie będzie. Przynajmniej do końca października, kiedy to nadejdzie kolejny monsun

Uchyliła okno i z lubością wciągnęła w płuca świeże, przesycone zapachami przyrody powietrze. Po chwili do pokoju weszła Naveena z hebanową tacą, niosąc na niej dwa jajka w porcelanowych kieliszkach i srebrną łyżeczkę.

– O, nie! Nie wezmę nic do ust, Naveeno. Mam okropne mdłości.

– Powinna pani coś zjeść. Może naleśnik?

Gwen pokręciła głową. Tylko nie to. Cejloński naleśnik było to coś w rodzaju miseczki z kruchego ciasta z mąki ryżowej. Do środka wkładano jajko sadzone.

Naveena uśmiechnęła się.

– To może napije się pani chociaż herbaty przyprawionej korzeniami?

– To znaczy czym?

– Cynamonem, goździkami i szczyptą imbiru.

– O, nie. Jeśli już, to zwyczajna herbata, bez żadnych dodatków. Okropnie mi niedobrze.

Naveena znów się uśmiechnęła promiennie.

– Ale ja zrobię dla pani taką specjalną herbatę, którą się pije w takim stanie.

– W jakim? A**...** Rozumiem. Kiedy ma się kłopoty z żołądkiem. Moja matka mówi, że wtedy należy pić coś bardzo łagodnego.

Naveena, nadal uśmiechnięta, pokiwała głową i raptem, ku wielkiemu zaskoczeniu Gwen, uniosła obie ręce i pomachała nimi, naśladując trzepoczące skrzydła. Gwen, w przeciwieństwie do Florence Shoebotham, uważała, że służący to też ludzie, którzy myślą i mają prawo do wyrażania emocji. Jednak gest Naveeny, osoby zwykle bardzo opanowanej, był co najmniej zaskakujący.

– Naveeno, dlaczego jesteś taka rozradowana?

– Dlatego, że pani, podobnie jak pierwsza żona pana, czegoś nie zauważyła.

– Ja? Coś mi umknęło? Coś ważnego? O, nie! Już się ubieram. Czuję się całkiem dobrze. Zaraz się nad tym zastanowimy**...**

Naveena bez słowa podeszła do stolika, gdzie leżał kalendarzyk, do którego Gwen wpisywała wszystkie sprawy związane z prowadzeniem domu.

– Trzeba będzie przygotować pokój dziecięcy, proszę pani – powiedziała, podając Gwen notesik.

Pokój dziecięcy?! Gwen czuła, że jej policzki płoną. Szybko zaczęła wertować kalendarzyk, porównując daty. Jak to się stało, że nie zdawała sobie z tego sprawy? A przecież musiało się to stać po balu, następnego dnia, kiedy Laurence wreszcie otworzył się przed nią. Potem kochali się tak naprawdę, tak do końca. A może stało się to wcześniej? Och, wszystko jedno! Najważniejsze, że wydarzyło się to, o czym marzyła od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła Laurence'a. „To będzie ojciec moich dzieci”. I właśnie tak się stało! Dziwne, że wcześniej na to nie wpadła. Mdłości miała już od jakiegoś czasu, także napady wilczego głodu, a piersi zrobiły się zdecydowanie większe i tak wrażliwe, że prawie obolałe. Miesięczna przypadłość przesuwała się w czasie, ale tym się nie przejmowała, bo zdarzało się jej to często, zwłaszcza kiedy miała powody do zdenerwowania. Choćby choroba Fran. Teraz już wiedziała, czym to było spowodowane, i nie mogła się doczekać, kiedy przekaże mężowi radosną nowinę.

No i trzeba będzie wyszykować pokój dziecięcy. Tylko gdzie on jest? Nie miała pojęcia, bo co dziwne, nie zdążyła jeszcze spenetrować całego domu. Były tu pokoje, do których nie można było wejść. Na przykład gabinet Laurence'a na parterze. Zawsze był zamknięty na klucz. W jego sypialni, owszem, była dwukrotnie. Za drugim razem po to, by przyjrzeć się jasnowłosej kobiecie na zdjęciu i przeczytać na odwrocie, że ta kobieta to Caroline. Obejrzała sobie również portret Caroline namalowany przez Saviego. Była także w pięciu pokojach gościnnych, zwiedziła dwie dodatkowe łazienki, natrafiła też na inne drzwi pozamykane na klucz. Na przykład w swojej łazience i na korytarzu. Była pewna, że są to drzwi do pomieszczeń, w których przechowuje się ubranie, bieliznę pościelową, ręczniki i tym podobne rzeczy. Dlatego nie dopytywała się, co jest za tymi drzwiami. Choć może i powinna była to zrobić.

– Naveeno, może pokażesz mi ten pokój dziecięcy?

Naveena wyraźnie posmutniała.

– Sama nie wiem, proszę pani. Nikt tam nie wchodził od chwili**...**

– Rozumiem. Ale my wejdziemy. Trochę kurzu mi nie zaszkodzi i kiedy tylko się ubiorę, pójdziemy tam razem.

Naveena ponownie pojawiła się w pokoju Gwen, by zgodnie z poleceniem pokazać jej pokój dziecięcy. I od razu zaskoczyła Gwen, ponieważ wcale nie wyszła na korytarz, tylko do łazienki, do tych zamkniętych na stałe drzwi.

– Wejdziemy tędy, proszę pani. Mam klucz.

Otworzyła drzwi i weszły do korytarzyka, który zdaniem Gwen musiał biec równolegle do głównego korytarza na parterze. Korytarzyk skręcał w lewo i tam wchodziło się do pokoju.

Gwen, przekroczywszy próg, przystanęła, czując się nieswojo w tym mrocznym pokoju, gdzie panował straszny zaduch. Naveena otworzyła okno i okiennice.

– Pan nie pozwalał tu nikomu wchodzić, proszę pani.

W pokoju zrobiło się jasno i oczom Gwen ukazały się ściany oplecione grubą warstwą pajęczyn. Wszystkie meble natomiast pokryte były warstwą zasuszonych owadów. I ten zapach. Na pewno butwiejącego drewna, ale nie tylko. Pachniało tu po prostu smutkiem. I zawiedzionymi nadziejami Laurence'a.

– Och, Naveeno**...** Jakie to smutne. Ile to już lat?

– Dwanaście, proszę pani.

– Na pewno byłaś bardzo przywiązana do Caroline i małego Thomasa.

– Tak**...** – Głos Naveeny zadrżał. – Ale proszę, nie mówmy o tym.

– Czy Caroline rozchorowała się po porodzie?

Naveena spochmurniała i skinęła głową. Gwen, widząc, że służąca jest niezwykle poruszona, zmieniła temat.

– Trzeba tu porządnie wysprzątać.

– Tak, proszę pani.

Gwen wiedziała już, że wielkie porządki na Cejlonie wyglądają inaczej niż w Gloucestershire. Tu wynoszono z pokoi wszystko, łącznie z dywanami, makatami i ciężkimi meblami, na trawnik. Kilku służących sprzątało i dezynfekowało pokoje, pozostali wyjątkowo starannie trzepali dywany i odświeżali meble.

– Trzeba wszystko stąd wynieść i spalić. Dopilnuj tego, Naveeno.

Na jednej ze ścian, mimo grubej warstwy pajęczyn, Gwen dostrzegła jakąś plamę. W pierwszej chwili pomyślała, że to pleśń, kiedy jednak podeszła bliżej, okazało się, że to malowidła.

– Naveeno, masz może jakąś szmatkę?

Służąca wyjęła z kieszeni ściereczkę. Gwen rozsunęła pajęczyny i wytarła z kurzu kawałek ściany.

– Spójrz, Naveeno! Przecież to kraina fantazji! – zawołała, przesuwając palcem po kolorowych obrazkach. – Wodospady, rzeka, piękne góry**...** A tu chyba pałac**...** Albo świątynia.

– Świątynia buddyjska koło Kandy namalowana przez pierwszą żonę naszego pana. Bo to nie jest świat fantazji, tylko nasz świat, proszę pani. To Cejlon.

– Caroline była malarką?!

– Tak.

– Nie wiedziałam... No tak. Zabieramy się do roboty. Wynosimy wszystko na dwór. I trzeba będzie pomalować te ściany.

Po powrocie do swojego pokoju Gwen rozmyślała o Caroline, malarce, która chciała, by jej synek miał najpiękniejszy pokój. Za czasów Caroline cały dom był na pewno bardzo elegancki. A te malowidła na ścianie są śliczne. Może je zostawić i poprosić pana Ravasinghe, by je odrestaurował? Nie wiadomo tylko, czy Laurence, który z niewiadomych powodów czuje do pana Ravasinghe awersję, na to się zgodzi.

Gdy Laurence wrócił do domu, na podwórzu płonął jeszcze ogień, trawiąc resztki mebli.

– A cóż to za ognisko? – spytał, wkraczając do salonu, gdzie czekała na niego rozpromieniona Gwen, siedząc na kanapie.

– Usiądź, kochanie – powiedziała. – Tu, koło mnie. Muszę powiedzieć ci coś ważnego.

Następnego dnia rano podczas śniadania na werandzie Verity oznajmiła, że wyjeżdża na południe do znajomych, którzy mają gospodarstwo rybne.

– Zastanawiam się też, czy potem nie pojechać do Anglii, bo chcę kupić konia – dodała. – Słyszałam o takim jednym, który na pewno mi się spodoba. Bardzo brakuje mi tu własnego konia.

Gwen nie kryła zdziwienia.

– Stać cię na to? Kupić konia w Anglii i przywieźć go na Cejlon?

– Oczywiście. Mam przecież swoje apanaże.

Laurence, zajęty głaskaniem psa, nie odzywał się.

– Nie wiedziałam, że te apanaże są tak wysokie – powiedziała Gwen.

Verity uśmiechnęła się.

– Laurence zawsze się mną opiekował. Nie widzę powodu, żeby to się zmieniło.

Przecież jeśli Laurence nadal będzie taki hojny, Verity nigdy nie opuści tego domu!

– Kiedyś przecież będziesz miała męża, prawda? I założysz własną rodzinę.

– A muszę?

Gwen nie pytała już o nic, ale po wyjściu szwagierki nie mogła powstrzymać się od pewnej uwagi:

– Laurensie, moim zdaniem nie należy utwierdzać Verity w przekonaniu, że może mieszkać z nami na zawsze. Ma przecież dom w Anglii.

Laurence westchnął.

– Ale w Anglii czuje się samotna. I trudno, żebym jej nie pomógł, skoro jest moją siostrą.

– Możesz ją zachęcać do samodzielnego życia. A kiedy nasze dziecko przyjdzie na świat**...**

– Verity na pewno będzie zachwycona i pomoże ci we wszystkim.

Gwen spochmurniała.

– Ale ja wcale nie chcę, żeby mi pomagała.

– Dlaczego? Nie ma tu przecież twojej matki, a ktoś musi ci pomóc.

– Wolałabym, żeby pomagała mi Fran.

– Fran? Tu, niestety, muszę zaprotestować. Twoja kuzynka, choć urocza, nie wydaje mi się odpowiednią osobą. Co innego Verity. Ona mieszkała tu od zawsze. Tu jest jej dom.

Gwen z trudem powstrzymywała złość i łzy.

– Chwileczkę! Jestem twoją żoną, prawda? Mnie nikt nie zapytał, czy ten dom ma być też domem Verity!

W twarzy Laurence'a drgnął jakiś mięsień.

– Wybacz, kochanie, ale o tym ja decyduję.

– Także o tym, kto mi będzie pomagał? Więc ty też wybacz, ale to moje dziecko i absolutnie nie uważam Verity za odpowiednią osobę do pomocy. Chcę mieć przy sobie Fran!

– Tylko twoje? Nie nasze? – Laurence uśmiechnął się. – Czyżbyśmy mieli tu do czynienia z niepokalanym poczęciem?

Gwen, czując, że dłużej tego nie wytrzyma, cisnęła serwetkę na stół i zerwała się z krzesła.

– To nie fair, Laurence. To nie fair!

Pobiegła do swojego pokoju, zdjęła buty i ze złości cisnęła nimi o ścianę. Potem się rozpłakała. Połykając łzy, zasunęła story, zdjęła sukienkę i rzuciła się na łóżko, kryjąc twarz w poduszce. Odczekała chwilę, ale Laurence nie nadchodził. Wtedy rozżalona wsunęła się pod kołdrę, naciągając ją na głowę, tak jak to robiła w dzieciństwie. W Anglii, za którą tak tęskniła**...**.

Zwinięta w kłębek szlochała dalej, póki starczyło łez. A potem rozpamiętywała swoją rozmowę z Naveeną z poprzedniego dnia, kiedy spytała, czy była też *ayah* Verity.

– Nie, proszę pani. Potrzebna była kobieta młodsza i silniejsza.

– Ale dobrze znasz Verity?

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– To bardzo trudny człowiek. Od małego były z nią kłopoty.

To, co powiedziała Naveena, utwierdziło Gwen w przekonaniu, że po narodzinach dziecka chce mieć przy sobie tylko Fran.

Jakiś czas później usłyszała ciche pukanie do drzwi i głos męża:

– Gwendolyn? Jak tam?

Brzegiem prześcieradła otarła łzy, ale nie odezwała się. Nie zachował się fair i wcale nie miała ochoty na dalsze rozmowy.

– Gwendolyn?

Głośno pociągnęła nosem.

– Przepraszam, kochanie. Byłem taki opryskliwy**...**

– Idź sobie!

Słyszała, jak tłumił śmiech. Wtedy ona też się zaśmiała, drzwi otwarły się i do pokoju wszedł Laurence.

– Kocham cię, Gwen – powiedział miękko, przysiadając na brzegu łóżka. – Naprawdę nie chciałem cię zdenerwować.

Otarł dłonią jej twarz, pocałował oba wilgotne jeszcze od łez policzki i zsunął z niej halkę. Ułożył Gwen na plecach, zdjął buty i zaczął zdejmować spodnie. Gwen jak zwykle patrzyła na niego z przyjemnością. Dzięki temu, że większość dnia spędzał na dworze, był sprężysty i opalony. Kiedy ściągał przez głowę koszulę, odsłaniając wspaniały brązowy tors, czuła już na ciele to charakterystyczne mrowienie.

– Chodź do mnie – powiedziała, wyciągając ręce.

Uśmiechnął się i położył ciepłą dłoń na jej brzuchu. Głaskał delikatnie, aż jęknęła. Wtedy zaczął całować jej brzuch, przesuwając wargi coraz niżej, póki jego głowa nie znalazła się między jej nogami. I tam też pozostała, dopóki Gwen nie przestała krzyczeć z rozkoszy.

Gdy rodzice Gwen posprzeczali się, jej ojciec chyba nigdy nie mówił „przepraszam”, tylko podawał matce herbatę i ciasteczka z rodzynkami. Dla Gwen było to po prostu śmieszne. Ciasteczka? Nigdy. Przeprosiny Laurence'a to niewątpliwie lepszy sposób. Jeśli przy tym pozostanie, warto będzie się z nim czasami pokłócić. Jak najczęściej**...**

Dyskusja na temat Verity była jedynym zgrzytem, bo poza tym Laurence okazał się wyjątkowo troskliwym przyszłym ojcem. Gwen często powtarzała, że to nic nadzwyczajnego, że ona po prostu spodziewa się dziecka, jednak była bardzo

zadowolona, że jej mąż jest właśnie taki. Co prawda w lipcu doszło jeszcze do krótkiej dyskusji na temat tego, czy kobieta w jej stanie może podróżować, ale z tej walki Gwen wyszła zwycięsko i dzięki temu wybrali się do Kandy. Nie sami, ale w towarzystwie Christiny i jej znajomego. Nie był to pan Ravasinghe. Christina, zapytana przez Gwen, wzruszyła ramionami i powiedziała, że pan Ravasinghe bawi teraz w Londynie.

Oglądanie procesji stanowiło wielkie przeżycie. Gwen ani na krok nie odstępowała męża, bojąc się, że stratuje ją tłum albo słonie. Samą procesją była zachwycona; wdychając unoszący się wszędzie zapach kwiatów i kadzideł, syciła oczy niezwykłym widokiem. Tak pięknym, że co jakiś czas musiała się uszczypnąć, by sprawdzić, czy to nie sen.

W ciążowej sukni nie wydawała się sobie zbyt elegancka, tym bardziej że Christina w czarnej i zwiewnej sukni wyglądała olśniewająco. Oczywiście starała się skupić na sobie całą uwagę Laurence'a, co jej się nie udało, a Gwen stwierdziła w duchu, że była głupia i niesprawiedliwa, podejrzewając, że Laurence nie będzie w stanie oprzeć się Amerykance.

Kiedy po kilku tygodniach poranne mdłości ustały, Gwen weszła w stan permanentnego oszołomienia, czasami wręcz uniesienia. Laurence często powtarzał, że rozkwitła, że nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie. A poza tym, co istotne, Verity nadal przebywała w Londynie.

Czas mijał. Kiedy Gwen była w piątym miesiącu, złożyła jej wizytę Florence Shoebotham. Popijając z Gwen popołudniową herbatę, stwierdziła, że jak na piąty miesiąc Gwen wyjątkowo się zaokrągliła i może warto by było pokazać się doktorowi Partridge'owi.

Doktor przyjechał następnego dnia. Kiedy wszedł do pokoju, Gwen, rozpromieniona, natychmiast zaczęła podniosić się z łóżka.

– Tak się cieszę, że cię widzę, John. Bardzo! Ale mam nadzieję, że mi nic nie dolega!

– Nie wstawaj, Gwen – odparł. – Powiedz mi, jak się czujesz.

Gwen oparła się o brzeg łóżka.

– Czuję się trochę zmęczona. Poza tym ciągle mi gorąco.

– To normalne w twoim stanie. Czy coś jeszcze cię niepokoi?

– Puchną mi nogi w kostkach.

Doktor pogładził wąsy i przysiadł na krześle.

– Jesteś bardzo młoda, nie sądzę, żeby był to jakiś problem. Powinnaś jak najwięcej wypoczywać.

– Mam też okropne bóle głowy, ale mnie głowa boli od zawsze.

Doktor pokiwał głową i milczał, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. A potem poklepał Gwen po ręku.

– Trzeba przyznać, że bardzo się zaokrągliłaś, Gwen. Powinienem cię zbadać. Czy masz przy sobie jakąś kobietę, która nad tobą czuwa i pomoże ci podczas rozwiązania?

– Mam tylko Naveenę. Moja kuzynka Fran wróciła na jakiś czas do Anglii**...** – Westchnęła.

– Gwen? Czy coś się stało?

Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć doktorowi o tym, co ją gryzie. Laurence nadal twardo stał na stanowisku, że to Verity powinna być przy Gwen, asystować przy porodzie i pomagać potem przy dziecku. A Gwen, w miarę jak zbliżał się termin porodu, coraz bardziej tęskniła za matką. Bardzo chciała mieć przy sobie kogoś naprawdę bliskiego i nie mogła się pogodzić, że tym kimś będzie właśnie Verity. Nie chodziło o to, że nie ufała szwagierce. Po prostu chciała mieć przy sobie kogoś, z kim naprawdę jest zżyta, komu będzie mogła wszystko powiedzieć. Przede wszystkim o swoich obawach. O tym, że może być to ciężki poród, a ona może nie podołać. Kiedy próbowała porozmawiać o tym z Laurence'em, zawsze uparcie twierdził, że jej obawy są nieuzasadnione i wszystko będzie dobrze.

– Laurence poprosił swoją siostrę, by dotrzymywała mi towarzystwa i we wszystkim była mi pomocna. Teraz jej nie ma. Pojechała na wybrzeże, a potem być może wybierze się jeszcze do Anglii, do Yorkshire.

– Może wolałabyś urodzić w Anglii, Gwen?

– Nie. A już na pewno nie w Yorkshire. Chociaż**...** Tu nie chodzi o Yorkshire, ale o Verity.

– Moim zdaniem, niepotrzebnie się martwisz. Twoja szwagierka na pewno będzie pomocna, a poza tym spędzając ze sobą wiele czasu, poznacie się bliżej. A Verity jest, jaka jest, ponieważ nigdy nie miała łatwo. Na pewno było jej ciężej niż bratu, od którego jest sporo młodsza. Po śmierci rodziców Laurence zastępował jej ojca. Jakiś czas potem się ożenił, a Verity uczyła się w szkole z internatem w Anglii.

– A dlaczego nie wróciła tu zaraz po ukończeniu szkoły?

– Owszem, wróciła, ale bardzo tęskniła za Anglią, za koleżankami ze szkoły i dlatego Laurence stwierdził, że chyba jej tam będzie lepiej. Posiadłość co prawda została puszczona w dzierżawę, ale Laurence zadbał, by Verity miała w Yorkshire swoje mieszkanie. Dał jej to lokum, gdy ukończyła dwadzieścia jeden lat.

– Laurence niezwykle troszczy się o siostrę.

– I bardzo dobrze. Verity wiele przeżyła. Podobno została odtrącona przez jedynego mężczyznę, którego pragnęła. Tak przynajmniej mówią.

– A kto to był?

– Tego nie wiem. Każda rodzina ma swoje tajemnice, lepiej więc spytaj o to Laurence'a. A co do Verity, chciałbym jeszcze powiedzieć, że moim zdaniem będzie bardzo się starać, a poza tym bycie z tobą w takiej sytuacji dobrze na nią wpłynie. Teraz połóż się, proszę. Chciałbym cię zbadać.

Doktor wyjął ze swojej lekarskiej torby coś, co podobne było do bawolego rogu. Gwen ułożyła się na plecach, przetrawiając w duchu zdanie o rodzinnych tajemnicach. A skoro o rodzinie mowa, pomyślała od razu o swoich rodzicach i to wystarczyło, by poczuła rozpaczliwą wręcz tęsknotę za rodzinnym domem.

– Tylko cię osłucham – powiedział doktor.

– Czy ta rodzina ma jeszcze jakieś tajemnice? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Kto wie**...**

Nagle spojrzeli w górę, na sufit, na wyższym piętrze zrobiło się bardzo głośno.

– Dziś u nas generalne porządki. Teraz w pokoju Laurence'a.

– Rozumiem. Powiedz mi, Gwen, jak wam się układa? Cieszycie się, że zostaniecie rodzicami?

– Naturalnie! Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Powiedz mi jeszcze, czy w twojej rodzinie albo w rodzinie męża zdarzały się bliźnięta?

– Moja babcia urodziła bliźnięta.

– I ty, moim zdaniem, pójdziesz w jej ślady. To jest przyczyna twoich imponujących rozmiarów.

Gwen na moment zaniemówiła.

– Naprawdę?! Jesteś pewien?

– Całkowitej pewności nie mam, ale wszystko wskazuje na to, że tak będzie.

Gwen spojrzała w okno, przetrawiając w duchu to, co powiedział doktor. Urodzi bliźnięta! Dwoje dzieci! I kto by się tego spodziewał!

Zauważyła, że na stole stojącym na werandzie coś siedzi. Małpa. Langur o pięknej sierści, tulący swoje dziecko do łona. Ciemny pysk, okolony aureolą puszystych złotawych włosów, zwrócony był ku Gwen. Małpia matka wlepiała w nią okrągłe brązowe oczy. Gwen uśmiechnęła się. Ty masz jedno, kochana. A ja będę miała dwoje!

– John, czy w tej sytuacji masz dla mnie jakieś szczególne zalecenia? Na przykład, czego powinnam unikać. Poza tym, rozumiesz, chodzi o Laurence'a**...**

Doktor uśmiechnął się.

– Tym się nie martw. Na pewno nie zaszkodzi. Poza tym pamiętaj, żadnego wysiłku. Musisz się oszczędzać i dużo wypoczywać.

– Dobrze. Zrobię, co każesz. Mam jedno pytanie. Chciałam zorganizować piknik nad jeziorem, póki jeszcze nie pada. Mogę to zrobić?

– Tak, ale nie wolno ci wchodzić do wody. A kiedy będziesz siedziała na brzegu, uważaj na pijawki.

9

Piknik został zorganizowany tuż po powrocie Verity z południowej części wyspy. Dwóch chłopców do posług przyniosło wielki kosz piknikowy i koce, potem pobiegli do chylącego się ku upadkowi hangaru na łodzie i wynieśli stamtąd krzesło dla Gwen. Laurence, Verity i jej przyjaciółka, Pru Bertram, rozsiedli się na dywanikach w szkocką kratę i zapatrzyli na małpkę z długim ogonem na drzewie nieopodal. Pru Bertram był spokojną, bezpretensjonalną osobą o typowej dla Angielek jasnej cerze, która na palącym cejlońskim słońcu potrafiła się tylko lekko zaróżowić. Pru, choć starsza od Verity o kilka lat, była jej wierną przyjaciółką.

Gwen miała na głowie wielki kapelusz chroniący twarz przed słońcem, a na sobie zieloną bawełnianą suknię marszczoną pod dekoltem, dostosowaną do jej pokaźnych już kształtów. Ciało Gwen zmieniało się w zawrotnym tempie, co niezmiennie zadziwiało ją każdego poranka, kiedy po kąpieli nacierała skórę olejkiem kokosowym zmieszanym z imbirem.

Na piknik zaproszono również Nicka McGregora, który jednak z zaproszenia nie skorzystał, ponieważ miał problemy z robotnikami.

– Laurensie, co to za problemy? – spytała półgłosem zaciekawiona Gwen.

– Ach, tam zawsze coś się dzieje. Ale to nie twoje zmartwienie, kochanie.

Pokiwała głową, w sumie zadowolona, że Nicka z nimi nie ma. Po incydencie z rannym Tamilem był wobec Gwen bardzo chłodny. Owszem, pomógł jej dogadać się z nowymi ogrodnikami i okazał niewielkie zainteresowanie jej planami wyrabiania sera, ale poza tym zachowywał dystans. Starała się go też zainteresować swoimi pomysłami dotyczącymi domu, ale McGregora zajmowało tylko to, co wiązało się z herbatą.

Dzień był piękny. Ciepły, słoneczny, ale niemęczący, bo wiał łagodny wiatr. Gwen z przyjemnością patrzyła na otaczający ją świat. Na gromady motyli fruwające tuż nad skrzącym się w słońcu jeziorem, na Spew szalejącego w wodzie. Na Bobbins z wielkim rozdętym brzuchem, która leżała, złożywszy łeb na przednich łapach, ponieważ podobnie jak jej pani była w zaawansowanej ciąży.

– Zabawne – powiedziała Gwen, odchylając głowę w tył, by na moment jednak wystawić twarz na słońce. – Bobbins tylko obserwuje, a Spew zawsze rwie się do czynu. Trochę tak jak ja i Fran**...** Och, jak bym chciała, żeby Fran była tu z nami!

– Damy sobie radę, kochanie.

– Oczywiście! – poparła go żarliwie Verity. – Będę ci pomagać ze wszystkich sił. Dlatego przecież nie pojechałam do Anglii.

– I za to Gwen niewątpliwie jest ci wdzięczna – dodał Laurence, a Verity uśmiechnęła się promiennie do Gwen, potem do brata.

– Mój drogi, nie uważasz, że można by otworzyć już ten kosz?

Laurence wyjął dwie butelki szampana, kieliszki, a na koniec talerze z kanapkami, na które spojrzał z aprobatą.

– O, proszę! Widzę, że mamy tu kanapki z łososiem i ogórkiem.

– A poza tym? – spytała Gwen, nagle czując, że jest okropnie głodna.

– Widzę kanapki z jajkiem i sałatą – obwieściła Pru. – A te**...** Te są chyba z bakłażanem.

– Z bakłażanem? Naprawdę? – spytała Gwen, która natychmiast przypomniała sobie lunch u Christiny i tamten cudowny smak.

Verity pokiwała skwapliwie głową.

– Oczywiście! Zawsze kiedy organizowaliśmy piknik, staraliśmy się, żeby do zjedzenia było coś egzotycznego. To taka nasza rodzinna tradycja. Każda rodzina ma przecież swoje tradycje. Twoja na pewno też.

– Teraz my jesteśmy rodziną Gwen, Verity – zauważył Laurence, poprawiając kapelusz.

Verity zarumieniła się.

– Ja tylko**...**

Nie dokończyła, bo strzelił korek i Laurence rozlał szampana.

– Wypijmy zdrowie mojej żony! – powiedział, unosząc kieliszek.

– Na zdrowie! – zakrzyknęła Pru, również unosząc swój.

Kiedy najedli się do syta, Verity, która wypiła o wiele więcej niż jeden kieliszek, podniosła się i oznajmiła:

– Laurence? Podczas pikniku obowiązkowy jest również spacer dookoła jeziora, prawda? Idziemy?

– Nie wiem, czy dam radę – zmartwiła się Gwen, wyciągając rękę do męża.

– Ale ty, Laurence, pójdziesz ze mną? Zawsze robiliśmy taki spacer. Gwen zostanie z Pru.

– Ja zostanę z Gwen – oświadczył Laurence. Uśmiechnęła się do niego promiennie, a on lekko ścisnął jej palce.

– Uważajcie na wodne bawoły – powiedział do Verity, która trochę obrażona wstała z dywanika.

W tym momencie Spew, zajęty płoszeniem czapli, wyskoczył z wody. Podbiegł do

Verity i otrząsnął się, serwując jej mały prysznic. Gwen odruchowo rozejrzała się za drugim psem. Nie było go w pobliżu.

– Wstrętny! – powiedziała Verity, strząsając krople wody z sukienki, w której, zdaniem Gwen, wcale nie wyglądała dobrze. Pomarańczowy kolor przy jej jasnej cerze sprawił, że w pełnym słońcu wydawała się wręcz chorobliwie blada.

– Idę z tobą – oznajmiła Pru, ruszając za Verity.

– Nie. Zabieram ze sobą Spew, a ty zostań. Nie dasz rady. Dla ciebie jest za gorąco. Spew, idziemy!

Pru, wyraźnie przygnębiona, z powrotem usiadła na dywaniku.

– Może i masz rację. Nie mam w sobie tyle energii, co ty.

Laurence zrobił kilka kroków w stronę wody.

– Laurence! – zawołała Gwen. – Jak myślisz, czy mogę zamoczyć sobie nogi? Chociaż palce?

– Myślę, że tak. Nie mam zamiaru cię rozpieszczać!

– Pru, idziesz ze mną? – spytała Gwen, zdejmując buty.

Pru pokręciła przecząco głową, więc Gwen razem z Laurence'em zeszła na brzeg jeziora. Usiadła i osłaniając oczy przed oślepiającym słońcem, wolną ręką zsunęła pończochy. Laurence pomógł jej wstać i poszli razem brzegiem, tuż nad wodą.

– Jest naprawdę bardzo miło, prawda? – odezwała się.

– Dzięki tobie, kochanie.

– Och, Laurence! Jestem taka szczęśliwa! Mam nadzieję, że to nigdy się nie zmieni!

– Nie widzę żadnego powodu, żeby miało się zmienić – zapewnił i pocałował ją w usta.

Gwen zauważyła na pobliskiej skale wyjątkowo pięknego ptaka.

– Laurence, czy to drozd?

– Nie. Muchołówka kaszmirska. Ciekawe, co ją tu przygnało, bo zwykle widuje się je na polu golfowym w Nuwara Eliya.

– Jak ty znasz się na ptakach!

– Owszem. Na ptakach i na herbacie.

Gwen zaśmiała się.

– To prawda! Powinieneś mi opowiedzieć wszystko, co wiesz o ptakach, a ja będę uczyć tego nasze dziecko.

– Nasze dzieci!

Oczy Laurence'a rozbłysły. Musiał być naprawdę szczęśliwy i dumny z faktu, że zostanie ojcem.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo odmieniłaś moje życie, kochanie.

– Mam nadzieję, że to zmiany na lepsze!

– Naturalnie. Nawet nie wiesz do jakiego stopnia.

Powiał wiatr. Pasmo włosów zasłoniło oczy Gwen i Laurence delikatnie zaczesał je za ucho.

– Po śmierci Caroline miałem wrażenie, jakby moje życie już się skończyło. Ale ty dałaś mi nadzieję.

Kiedy wiatr przybrał na sile, Gwen zdjęła kapelusz i opierając się o ciepłą pierś męża, spojrzała znów na jezioro. Laurence, teraz absolutnie niezdolny wyrazić słowami tego, co czuje, pogłaskał ją po głowie. Obrócił ją plecami ku sobie, a ona przymknęła oczy, chroniąc je przed blaskiem słońca odbijającego się w tafli jeziora. Kiedy poczuła na szyi za uchem gorące wargi męża, zadrżała. To była cudowna chwila, jedna z tych, które na zawsze zachowuje się w pamięci.

Poszli kilka kroków dalej i usłyszeli głośne szczekanie. Gwen spojrzała na drugą stronę jeziora i zobaczyła ujadającego Spew, który drapał zawzięcie drzwi hangaru dla łodzi.

– Założę się, że jest tam Bobbins i właśnie urodziła szczeniaki – powiedział Laurence i obejrzał się za siebie, bo woda w jeziorze zapluskała. Do brzegu zbliżała się łódź, w której siedziały trzy osoby.

– A co go tu przyniosło? – spytał opryskliwie.

– Nie tylko jego – poinformowała Gwen, wpatrując się w łódź. – Widzę tam też Verity i Christinę.

Laurence coś burknął pod nosem, ale kiedy łódź dobiła do brzegu, podszedł, by pomóc wysiąść damom. Najpierw Verity, potem Christinie, która obdarzyła go promiennym uśmiechem i ucałowała w oba policzki.

– Witaj, mój drogi! – powiedziała słodko. Jej palce przemknęły po nagim ramieniu Laurence'a i dopiero wtedy cofnęła się o krok. Laurence poczerwieniał, a w Gwen od razu się zagotowało, zmusiła się jednak do uśmiechu.

– Miło cię widzieć, Christino!

– Witaj! Wyglądasz znakomicie. Chyba też kiedyś zdecyduję się na błogosławiony stan! – oznajmiła Amerykanka i puściła oko do Laurence'a.

Bezczelna! Śmie flirtować z nim w obecności żony! Gwen, zła jak osa, demonstracyjnie przysunęła się do męża i odgarnęła mu włosy z czoła.

– Spotkałam ich przypadkiem – powiedziała Verity. – Savi robił szkic do portretu Christiny na tle jednej z wysp. Przypłynęli tam łodzią i Savi zaproponował, że mnie tu podrzuci. A ja nie mogłam się oprzeć. Miło przecież płynąć łódką z tak

przystojnym mężczyzną.

Savi wysiadł właśnie z łodzi. Twarz Laurence'a wyraźnie stężała. Natomiast twarz Saviego była pogodna.

– Przepraszam, że zakłócam państwu spokój.

– Ależ niczego pan nie zakłóca, panie Ravasinghe – zapewniła z uśmiechem Gwen i podała mu rękę. – Poza tym i tak zbieramy się już do domu.

– Wygląda pani kwitnąco, pani Hooper.

– Dziękuję. Czuję się wspaniale. Miło pana znów zobaczyć. Jak udał się pobyt w Londynie? Czasami**...**

– Wracamy już! – przerwał jej bezceremonialnie Laurence. Skinął głową Saviemu i spojrzał na Christinę. – Może wpadniesz do nas?

Teraz zesztywniała Gwen.

– Dziękuję, Laurence! – zaszczebiotała Christina. – Kusisz mnie, ale jednak wrócę razem z Savim. – I posłała mu ręką pocałunek.

– Mam coś dla pani, pani Hooper – powiedział Savi i z brązowej skórzanej teczki wyjął arkusz grubego papieru rysunkowego owinięty w bibułę. – Noszę to teraz ze sobą. To akwarela. Proszę.

Gwen odsłoniła bibułkę.

– Jakie śliczne! – wykrzyknęła z entuzjazmem.

– Namalowałem na podstawie szkicu zrobionego wtedy u Christiny.

Laurence nie odezwał się, tylko zacisnął palce na ramieniu Gwen i zdecydowanym krokiem ruszył brzegiem jeziora w stronę schodów, koło których stała Pru i przyglądała się całej scenie. Kiedy ją minęli i weszli na schody, Gwen zerknęła przez ramię na resztę towarzystwa. Czuła się okropnie zażenowana.

– Jesteś niesprawiedliwy! – wybuchnęła, kiedy dotarli do szczytu schodów. – Pan Ravasinghe ma prawo mi coś podarować. Zachowałeś się jak grubianin. Kiedy ty się w końcu ucywilizujesz?!

– Nie chcę, żeby się tu plątał!

– Niby dlaczego? Co się z tobą dzieje? Bardzo lubię Saviego, a on zrobił tylko szkic do mojego portretu. Zajęło mu to pięć minut.

Laurence nie ruszał się miejsca. Stał niczym głaz, wyczuwała jednak, że drży.

– Nie życzę sobie, byś się z nim spotykała! Nawet na pięć minut!

– Ach tak? – Gwen przymrużyła oczy i dokończyła podniesionym głosem: – Natomiast ty i Christina macie wolną rękę!

– O co ci chodzi?

– O to, że nadal jest dla ciebie bardzo pociągająca. Widziałam, jak głaskała cię po

ramieniu, a ty wcale nie odsunąłeś jej ręki. Wciąż jesteś nią zauroczony.

Laurence prychnął.

– Chyba mówiliśmy o panu Ravasinghe, nie o Christinie!

– A, rozumiem. Kolor skóry jest najistotniejszy.

– Nie bądź śmieszna. Skończmy już tę głupią rozmowę. Idziemy!

– Ja jeszcze nie skończyłam! Chcę wiedzieć, dlaczego ty masz decydować, z kim rozmawiam i jak długo, kiedy ja stanowczo wolę decydować o tym sama!

– Nie krzycz, Gwen. Chcesz, żeby Pru nas słyszała?

– Jest mi wszystko jedno, czy nas słyszy, czy nie, ale słyszy na pewno. Spójrz na nią. Jest wyraźnie skrępowana! – Usta Gwen już drżały, broda unosiła się coraz wyżej. – A jak spojrzysz w tamtą stronę, to zobaczysz, że twoja siostra, niby wzór wszelkich cnót, razem z Christiną wsiadła do łodzi pana Ravasinghe, a on właśnie ogląda ich nogi, sprawdzając, czy przypadkiem nie przyssała się jakaś pijawka. I obie są zachwycone, bo niestety, mój drogi, w panu Ravasinghe jest coś, co przyciąga kobiety!

Nie starając się już wcale powściągnąć gniewu, ruszyła przed siebie tak szybko, na ile pozwalał jej wielki brzuch.

O tym niemiłym wydarzeniu nie wspomnieli już ani słowem. Żadne z nich nie próbowało czegokolwiek wyjaśnić czy przeprosić. Gwen ze względu na swój stan nie chciała się denerwować, a Laurence zaciął się w uporze. W rezultacie prawie ze sobą nie rozmawiali i ta cisza między nimi była koszmarna. Gwen bez przerwy zbierało się na płacz. Laurence chodził zamyślony, ona też, robiąc sobie wyrzuty. Przecież nie chciała mu aż tak dopiec. Ale stało się i znów między nimi nie było tak, jak powinno być między kochającymi się małżonkami. Laurence traktował ją jak powietrze, ona natomiast rozpaczliwie tęskniła za jego bliskością. Jej największym marzeniem było dotknąć tego dołeczka w brodzie, bo zawsze wtedy uśmiechał się do niej ciepło. Niestety, na marzeniach się kończyło. Poza tym, ponieważ nieszczęścia chodzą parami, Verity nadal przebywała w ich domu.

Pewnego ponurego wieczoru, kiedy w okolicy pojawiły się już małe, żółto-niebieskie ptaki wędrowne, zwane kurtaczkami bengalskimi, niebo nad plantacją okryło się purpurą i nadciągnął jesienny monsun. Znów padało nieprzerwanie i wydawało się, że wszystko, dosłownie wszystko przesiąknięte jest wilgocią. Szuflady otwierało się z trudem. Drzwi nagle przestały pasować do framug. Poza tym wszędzie błoto i robactwo w nieprawdopodobnych ilościach. I za każdym razem, gdy Gwen wyszła do ogrodu – co nie zdarzało się często – powietrze dookoła

było po prostu białe. Padało jeszcze w grudniu, ale wtedy Gwen, już w bardzo zaawansowanej ciąży, w ogóle nie wychodziła z domu. Doktor Partridge ponownie złożył jej wizytę i potwierdził, że najprawdopodobniej na świat przyjdą bliźniaki.

Szczeniaczki Bobbins po dziesięciu tygodniach spędzonych w hangarze uzyskały pozwolenie przebywania w domu. Cała piątka plątała się więc pod nogami i Gwen, która sponad ogromnego brzucha nie mogła ich dostrzec, żyła teraz w ciągłym strachu, że niechcący nadepnie na któreś z maluchów. I jeszcze – nie daj Boże! – skończy się to upadkiem. Jednak kiedy Laurence chciał ulokować szczeniaki w przybudówce, stanowczo zaprotestowała. Dla czterech szczeniaków bardzo szybko znaleziono nowy dom, piątego, najmniejszego i najsłabszego, nikt nie chciał. I bardzo dobrze, bo malutka sunia była ulubienicą Gwen.

Pewnego dnia zadzwoniła Christina.

– Gwen? Czy mogłabyś przekazać Laurence'owi, że kiedy ostatnio był u mnie, zostawił jakieś papiery? – spytała radośnie.

– Przepraszam, gdzie był?

– Tak jak powiedziałam. U mnie.

– Aha**...** Rozumiem. Czy jeszcze coś?

– Nie. Powiedz mu tylko, proszę, o tych dokumentach. Niech zadzwoni do mnie albo po prostu wpadnie.

Kiedy Gwen wspomniała mężowi, że dzwoniła Christina, sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Czego chciała?

– Podobno zostawiłeś u niej jakieś dokumenty.

– U niej? Przecież tam nie byłem.

– Powiedziała wyraźnie, że zostawiłeś je tam podczas swojej ostatniej wizyty.

– Czyli przed kilkoma miesiącami, kiedy podpisywałem zgodę na lokatę. A wszystkie potrzebne dokumenty mam u siebie.

Gwen miała teraz nowy dylemat. Albo Laurence kłamie, albo Christina nadal prowadzi swoje gierki.

Nadszedł styczeń. Gwen, już w dziewiątym miesiącu ciąży, stała na schodach prowadzących do drzwi frontowych, obserwując drozda, który siedział na krzewie pokrytym skrzącą się rosą i wesoło pogwizdywał. Było chłodno. Gwen drżała z zimna. Była w kiepskim nastroju, ponieważ Laurence wyjechał do Kolombo.

Na pożegnanie przykazał jej, że wieczorem ma ubierać się ciepło, i pocałował ją w policzek.

– Naprawdę musisz jechać? – spytała uwieszona jego ramienia.

– Tak. Zdaję sobie sprawę, że powinienem być przy tobie, ale rodzić będziesz dopiero za parę tygodni, a mój agent koniecznie chce porozmawiać ze mną o finansach.

– Nie możesz wysłać do niego McGregora?

– Nie, Gwen. Bardzo mi przykro, ale muszę spotkać się z nim osobiście.

Puściła jego ramię i walcząc z łzami, wbiła wzrok w podłogę. Laurence wsunął palec pod jej brodę i zmusił ją, by uniosła twarz.

– Nie martw się, Gwen. Nie będzie mnie dwa, góra trzy dni. Poza tym nie zostajesz sama. Verity zatroszczy się o ciebie.

Smutna, przygarbiona, patrzyła, jak on podchodzi do samochodu. Wsiadł, zamknął okno i włączył silnik. Silnik zaczął się krztusić, służący musiał zakręcić korbą. Gwen miała cichą nadzieję, że pojazd w ogóle nie ruszy. Niestety ruszył. Laurence pomachał do niej i samochód porykując zaczął wspinać się na wzgórze.

Ocierając łzy, patrzyła za nim, aż znikł jej z oczu. Po tamtej ostrej wymianie słów na temat pana Ravasinghe między nimi się nie układało. Owszem, byli wobec siebie uprzedzająco grzeczni, ale na tym koniec. Żadnej bliskości. Noce spędzali razem, ale o kochaniu się nie było mowy. Laurence mówił, że to dla dobra dzieci. Kiedy jednak okres abstynencji wydłużył się do kilku tygodni, Gwen, czując się rozpaczliwie samotna, postanowiła przejąć inicjatywę. Gdy wieczorem Laurence usiadł na łóżku, pocałowała go w kark, pogłaskała po ramionach, potem jej palce przesunęły się w dół, po jego plecach. Położyła się plecami do niego, a on ułożył się za nią. Czuła, że jest bardzo pobudzony.

– Laurence, jesteś pewien, że to mi nie zaszkodzi?

– Nie. To dobry sposób.

Pomógł jej uklęknąć. Ręce oparła o poduszkę, by zbalansować ciężar swego pokaźnego ciała. Laurence ukląkł za nią.

– Gwen, jeśli zaboli, powiedz o tym od razu.

Ilekroć dochodziło między nimi do zbliżenia, była zachwycona. Nigdy jednak dotąd nie odebrała tego tak mocno, jak teraz, kiedy Laurence był taki delikatny. Może stało się tak dlatego, że była w ciąży i dzięki temu jej kobiecość wzniosła się na wyższy poziom. Już po wszystkim zasnęła prawie natychmiast. Spała jak suseł, co ostatnio jej się nie zdarzało.

Po tej nocy atmosfera jakby zelżała, choć nie do końca. Kiedy Gwen spytała Laurence'a, czy coś jest nie tak, zaprzeczył. Pozostawała więc tylko nadzieja, że to, co się dzieje, nie ma żadnego związku z Christiną.

A teraz pojechał do Kolombo i z tego powodu było jej okropnie smutno. Już za nim

tęskniła i bardzo żałowała, że nie postarała się bardziej, by ich relacje uległy całkowitej poprawie.

Obeszła dom, by spojrzeć na jezioro. Jego widok zawsze podtrzymywał ją na duchu. Teraz było spokojne, tafla wody idealnie nieruchoma, na brzegach purpurowa z szerokim srebrzystym pasem na środku. Gdzieś nieopodal dzięcioł zawzięcie stukał w drzewo, a nad domem przeleciał orzeł.

– Słyszycie ich, moje maleństwa? – szepnęła, kładąc dłoń na wydatnym brzuchu i uśmiechnęła się.

Robiło się chłodno, weszła z powrotem do domu i usiadła przy kominku. Miała zamiar zająć się haftowaniem, ale jakoś nie chciało jej się sięgać po robótkę. Czuła, że pogrąża się w półśnie i zapada w taki stan odrętwienia, podczas którego wcale się nie wypoczywa. Przeciwnie, człowiek potem jest jeszcze bardziej zmęczony. Była świadoma, że do pokoju weszła na palcach Naveena i wyszła równie bezszelestnie. Potem pojawił się kamerdyner z biszkoptami i herbatą, ale wcale jej się nie chciało sięgnąć po filiżankę. Drgnęła dopiero wtedy, kiedy do pokoju weszła Verity i odchrząknęła.

– Gwen, śpisz?

Gwen zamrugała.

– Czy nie będzie problemu, jeśli dziś wieczorem wyskoczę do Nuwara Eliya? Jedna z moich dobrych znajomych wydaje przyjęcie. Postaram się wrócić jutro, najpóźniej pojutrze. Obiecuję. Dasz sobie radę? Bardzo chciałabym pójść na to przyjęcie, bo w tym roku zaniedbałam życie towarzyskie.

Gwen ziewnęła.

– Oczywiście, jedź. Przecież mam tu Naveenę, poza tym w każdej chwili można zadzwonić do doktora Partridge'a. Jedź i baw się dobrze.

– Dziękuję. Wyjdę jeszcze tylko ze Spew i wyjeżdżam. Dlatego z tobą już się żegnam. – Verity podeszła do Gwen i pocałowała ją w policzek. – Jeśli chcesz, mogę przy okazji zawieźć szczeniaki do ich nowych domów.

Gwen podziękowała, a odprowadzając wzrokiem wychodzącą Verity, pomyślała, że istotnie życie towarzyskie Verity jest teraz bardzo ubogie. Siedzi w domu, dotrzymując towarzystwa ciężarnej Gwen, i w tym sezonie była tylko na jednym balu, balu noworocznym w Grand Hotelu w Nuwara Eliya. Gdyby nie ciąża Gwen, na ten bal pojechaliby wszyscy troje. W każdym razie Verity absolutnie należy się trochę rozrywki. Poza tym musi bywać, bo inaczej nigdy nie znajdzie sobie męża.

Gwen czuła się teraz wyjątkowo ociężała. Absolutnie nie chciało jej się wstawać z fotela, ale zmusiła się i podeszła do okna. Było jej bardzo smutno. Na dworze

zimno. Laurence wyjechał. Tęskniła za rodzinnym domem. Nie tylko za rodzicami, także za Fran, która pisała bardzo często, dzięki czemu Gwen była ze wszystkim na bieżąco. O Savim Fran wspomniała chyba tylko raz, dała jednak kuzynce do zrozumienia, że przeżywa coś romantycznego. Gwen miała nadzieję, że Fran znalazła kogoś, kto obdarzył ją prawdziwym uczuciem.

Spojrzała na cichy, nieruchomy ogród. Miała wrażenie, jakby przyroda, w ogóle cała ziemia, razem z nią czekały na ten wielki dzień. Patrzyła na krzewy, drzewa, a po chwili wyłowiła wzrokiem spacerującego wśród nich jelenia. Zapewne przybłąkał się tu z Horton Plains, parku narodowego, który Gwen bardzo chciała zobaczyć. Laurence opowiadał jej o tych równinach porośniętych gęstym lasem spowitym w liliową mgłę, unoszącą się między sękatymi konarami niewysokich drzew. Dla Gwen brzmiało to po prostu magicznie. Przypomniała sobie teraz o tych ślicznych malowidłach na ścianie w pokoju dziecięcym. Postanowiła pójść tam i sprawdzić, czy wszystko zostało przygotowane. Najwyższy czas to zrobić.

Część druga

Tajemnica

10

Gwen, tuląc do siebie Ginger, szczeniaczka, który nie znalazł nowych właścicieli, rozglądała się uważnie po uporządkowanym już pokoju dla dzieci. Była bardzo zadowolona, że zachowano ścienne malowidła. Zostały oczyszczone, przy czym kolory trochę zblakły, ale i tak płaskowyż pysznił się purpurą, a srebrzystoniebieskie jeziora skrzyły się jak prawdziwe.Wyglądało to pięknie i na szczęście obyło się bez angażowania pana Ravasinghe.

Jasny pokój o jasnożółtych ścianach w kolorze pierwiosnków wyszykowany był już na przyjęcie nowych mieszkańców. Stały w nim obok siebie dwie nowe kołyski, także krzesło dla karmiącej matki przywiezione z Kolombo. Bardzo piękny, stary mebel z żółtodrzewu, wyłożony kremowymi poduszkami z pięknym haftem. Całości dopełniał ładny dywan wykonany przez miejscowych rzemieślników.

Otworzyła okno, by przewietrzyć pokój, i przysiadła na krześle, wyobrażając sobie, że trzyma teraz w objęciach nie szczeniaczka, lecz swoje pociechy. Delikatnie pogłaskała się po brzuchu i westchnęła, czując, że najchętniej by sobie teraz popłakała. Nie ciąża była powodem kiepskiego nastroju, ale Gwen była przecież jeszcze bardzo młoda i noszenie pod sercem dwójki dzieci było dla niej nie lada wyzwaniem. Łzy zakręciły się właściwie z bliżej nieokreślonego powodu. Poza tym znowu rozbolała ją głowa, pomyślała więc, że warto się przejść. Kiedy wstawała z krzesła, coś ją zakłuło. Znieruchomiała na moment, ale ponieważ już się to nie powtórzyło, sięgnęła po żakiet i wyszła na dwór, kierując się ku jezioru. Wieczorem woda miała przeważnie granatową barwę, a powierzchnia poznaczona była świetlistymi plamami tam, gdzie odbijało się światło gwiazd i księżyca. Dziś jednak noc była bezgwiezdna, a woda gładka i ciemna.

Zrobiła kilka kroków i znów znieruchomiała, czując ból promieniujący od krzyża i przeszywający rozdęty brzuch. Po chwili ustąpił, a potem powrócił z taką siłą, że zgięła się wpół i cudem dotarła do drzwi.

Kiedy je otworzyła i zobaczyła zbliżającą się Naveenę, omal nie krzyknęła z radości.

– Właśnie szukałam pani – powiedziała *ayah*, spoglądając z wielkim niepokojem. Wzięła ją pod łokieć i poprowadziła do sypialni.

Gwen zdjęła suknię, co szło jej bardzo opornie, i wciągnęła przez głowę wykrochmaloną koszulę nocną. Przysiadła na brzegu łóżka i poczuła, że po

wewnętrznej stronie ud spływa coś ciepłego.

– Wody odeszły, proszę pani.

– W takim razie trzeba zadzwonić po doktora Partridge'a! Natychmiast!

Naveena skinęła głową i wyszła na korytarz. Wróciła po chwili, zasępiona.

– Nikt się nie zgłasza, proszę pani.

Serce Gwen biło jak oszalałe.

– Proszę się nie martwić. Odebrałam już niejedno dziecko.

– Czy bliźnięta też?

– Nie, ale przecież będziemy jeszcze dzwonić do doktora. A teraz przyniosę pani coś ciepłego do picia.

Wróciła po kilku minutach i podała Gwen szklankę z jakimś gorącym napojem o silnym zapachu imbiru i goździków.

– Mam to wypić? – spytała Gwen niepewnym głosem.

– Tak, proszę pani. Koniecznie.

Wypiła i już po kilku minutach zrobiło jej się bardzo gorąco. I okropne niedobrze.

Teraz, kiedy była taka wielka, ociężała, prawie każda czynność sprawiała jej trudność. Sama na pewno nie zdjęłaby tej koszuli. Naveena pomogła jej, potem otuliła ciepłym, wełnianym kocem i poszła po świeżą pościel. Gwen czuła coraz większy ból. Siedziała pod kocem, wystraszona, wsłuchując się w swój przyspieszony oddech. Naveena wróciła i zaczęła zmieniać pościel. Obecność służącej, jej krzątanina wpływały na Gwen kojąco, ale brakowało jej męża. Tak bardzo, że była bliska płaczu. I wtedy poczuła silny i rodzierający ból, aż zgięła się wpół i zajęczała.

– Zadzwonię jeszcze raz do doktora – powiedziała Naveena, kierując się do drzwi.

Gwen złapała ją za rękaw.

– Zostań ze mną. Niech zadzwoni kamerdyner.

Naveena skinęła głową i podeszła do drzwi, żeby przekazać kamerdynerowi polecenie. Przez uchylone drzwi wszystko było słychać. Także to, że doktora nadal nie ma.

Serce Gwen znów zaczęło bić szybciej.

Ani ona, ani Naveena nie odezwały się ani słowem. Naveena wpatrywała się w podłogę, Gwen czuła, że wpada w panikę. Doktora nie ma, a przecież podczas porodu zawsze mogą pojawić się komplikacje! Zamknęła oczy, próbując zmusić serce, by biło zdecydowanie wolniej. Kiedy jakimś cudem udało jej się to osiągnąć, spojrzała na Naveenę.

– Czy byłaś przy Caroline podczas porodu?

– Tak, proszę pani.

– A Laurence?

– Był wtedy w domu.

– Jak rodziła Caroline? Bardzo się męczyła?

– Wszystko przebiegało normalnie. Jak u pani.

– Normalnie?! Mówisz, że to jest normalne?! O, Boże! Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że będzie aż tak bolało?

Naveena, wydając z siebie całą gamę różnych dźwięków mających na celu dodanie otuchy, pomogła jej wstać, potem przyniosła stołeczek i postawiła tuż przy łóżku, by posłużył za stopień. Tymczasem ból zelżał i Gwen z pomocą Naveeny weszła z powrotem do łóżka. Leżała teraz spokojnie pod kołdrą pachnącą melonami, bo skurcze nie były już tak bolesne i pojawiały się o wiele rzadziej. Taki stan trwał przez następne kilka godzin i Gwen zaczęła mieć nadzieję, że sobie z tym wszystkim jakoś poradzi.

Naveena stała się dla niej kimś więcej niż tylko służącą. Na pewno nie przyjaciółką, nie zastępowała też matki. Były to jakieś szczególne relacje, trudne do sprecyzowania, ale tego właśnie teraz potrzebowała Gwen. Nie myślała jasno. Była oszołomiona, ale nie było w tym nic nieprzyjemnego czy budzącego lęk. Wspominała matkę, myślała, jak to było, kiedy na świat przychodziła ona, Gwen.

I znów rozdzierający ból. Gwen przekręciła się na bok, podciągnęła kolana. Ból był straszny, miała wrażenie, jakby wydzierano z niej kawałek ciała.

– Nie, tak niedobrze. Muszę się odwrócić. Pomóż mi.

Naveena pomogła jej zmienić pozycję. Teraz Gwen była na czworakach.

– Niech pani nie prze, tylko oddycha głęboko, kiedy nadejdzie skurcz.

Gwen rozchyliła wargi, zrobiła głęboki wdech i powolny wydech. Przerwa między jednym bolesnym skurczem a drugim była coraz krótsza. Miała wrażenie, że ból rozrywa jej brzuch. Słyszała swój krzyk. Wiedziała, że to jej głos, ale jednocześnie miała wrażenie, jakby dobiegał z zewnątrz. Czuła się tak, jakby miała urodzić nie bliźnięta, ale całą gromadę dzieci.

Dlaczego tak jest, że kobieta sama sobie zadaje takie tortury? Dlaczego? To pytanie przemykało jej nieustannie przez głowę, choć starała się skupić na czymś innym. Przypomnieć sobie jakąś bajkę z dzieciństwa, cokolwiek, co odwróciłoby jej uwagę. Ale jak skupić się na bajce, kiedy nadchodzi kolejny skurcz, tak bolesny, że zagryzasz wargi do krwi.

Krew widziała teraz wszędzie. Jaskrawoczerwoną. Pot spływał z niej

strumieniami, skapywał na mokrą już pościel. Starała się nie krzyczeć, ale wymagało to nadludzkiego wysiłku, tym bardziej że chwile wytchnienia między jednym skurczem a drugim były coraz krótsze.

I znowu koszmarny ból. Teraz, już w rozpaczy, uderzyła pięścią w materac i przekręciła się na bok, krzycząc, wzywając swoją matkę pewna, że za chwilę umrze.

– Jezu**...** – szeptała przez zaciśnięte zęby. – Pomóż mi**...** Błagam**...**

Naveena przez cały czas trwała u jej boku i trzymając ją za rękę, mówiła słowa otuchy.

Po chwili Gwen, zbyt wyczerpana, by cokolwiek powiedzieć, zrobiła długi wydech i przekręciła się z powrotem na plecy. Znieruchomiała, ale tylko na moment, bo zaraz podkurczyła nogi, przyciągając stopy do pośladków. Uniosła głowę, by tam spojrzeć, miała bowiem wrażenie, jakby gdzieś w środku coś się otworzyło albo rozpięło.

Odruchowo rozchyliła kolana, całkowicie zapominając o skromności, i wtedy usłyszała:

– Kiedy zacznę liczyć, niech pani głęboko nabierze powietrza. Wstrzyma oddech i prze. Kiedy doliczę do dziesięciu, proszę znów nabrać powietrza, znów wstrzymać oddech i przeć.

– Gdzie jest doktor?! Gdzie?!

Naveena potrząsnęła tylko głową.

Gwen nabrała głęboko powietrza, zamknęła oczy i zrobiła to, co poleciła Naveena. Wstrzymała oddech i zaczęła przeć. Najpierw zakłuło, potem poczuła zapach kału, ale było jej wszystko jedno. Zaczęła znowu przeć z całej siły i wtedy okropnie ją zapiekło między rozsuniętymi udami.

Potem Naveena dotknęła jej nadgarstka.

– Proszę już nie przeć, proszę pani. Niech dziecko samo się wysunie.

Na początku nic się nie działo, ale po krótkiej chwili istotnie poczuła, jak coś przesuwa się między jej udami. Naveena nachyliła się, by przeciąć pępowinę, i wzięła na ręce nowo narodzone dziecko. Wytarła je i uśmiechając się, podała matce. Oczy Naveeny lśniły od łez.

– Ma pani pięknego synka.

– Chłopiec.

– Tak, proszę pani.

Gwen, wpatrując się w czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę noworodka, przez chwilę czuła błogi spokój, tak wielki, że prawie wymazała z pamięci wszystkie męki,

jakie przeżywała przed chwilą. Teraz wpatrzona była w maleńką dłoń, w zaciskające się i rozwierające paluszki, jakby maleństwo starało się zidentyfikować miejsce, w którym raptem się znalazło. Było prześliczne, idealne, i Gwen, nieskończenie dumna, jakby to ona była pierwszą kobietą na świecie, która dała dziecku życie, rozpłakała się ze szczęścia.

– Witaj, maleńki**...** – zaszeptała przez łzy. – Witaj**...**

Maleństwo krzyknęło.

– O, jaki temperament! Naveeno, czyżby się rozgniewał?

– To dobry znak, proszę pani. Ma zdrowe płuca. Silny chłopak.

– Wspaniale. A ja czuję się okropnie zmęczona.

– Teraz może pani trochę odpocząć. Drugie dziecko pojawi się niebawem.

Naveena zawinęła chłopczyka w kocyk, włożyła mu maleńką czapeczkę i kołysząc go w ramionach, włożyła do kołyski. Chłopczyk od razu zaczął popiskiwać, a Naveena zajęła się Gwen. Umyła ją i zaraz potem Gwen urodziła łożysko. A kiedy minęło półtorej godziny i nadszedł świt, urodziła drugie dziecko. Nie było to łatwe, bo opadła z sił i dlatego już po wszystkim podziękowała Bogu, że pomógł jej przez to przebrnąć.

Była tak słaba, że nie mogła unieść głowy, by spojrzeć na maleństwo.

– Naveeno? Dziewczynka czy chłopczyk?

Cisza. Absolutna. Jakby cały świat znieruchomiał.

– Naveeno?!

– Dziewczynka, proszę pani.

– Cudnie. Chłopczyk i dziewczynka.

Tym razem udało jej się podnieść głowę i spojrzeć na dziecko, niestety tylko przelotnie, ponieważ Naveena niosła je już do pokoju dziecięcego. Kiedy znikła za drzwiami, Gwen wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać. Po chwili usłyszała płacz dziecka, który wydał jej się bardzo cichy. A poza tym**...** Nie miała jeszcze możliwości przyjrzeć się dziecku dokładnie, ale z tego, co zdążyła dostrzec, mogła wywnioskować, że kolor skóry maleńkiej dziewczynki jest**...** dziwny.

I dlaczego głosik ma taki słabiutki? Może przyduszona jest pępowiną? Przerażona Gwen usiłowała zawołać Naveenę, ale z jej gardła wydobył się tylko pisk. Spróbowała ponownie, również bezskutecznie, zsunęła więc nogi z łóżka, by wstać. Nie udało się, bo raptem zrobiło jej się potwornie gorąco i osunęła się na podłogę.

Spojrzała na synka w kołysce. Hugh – bo takie imię mu już wybrali – leżał cichutko. Mały cud. Przestał płakać w chwili, gdy jego siostra bliźniaczka przyszła na świat. Teraz chyba zasnął.

Gwen ostrożnie postawiła stopę na stołeczku i jakoś udało jej się z powrotem wgramolić na łóżko. Była bardzo obolała. Palił ją każdy mięsień. Ułożyła się i zamknęła oczy. Kiedy po chwili uniosła powieki, zobaczyła przed sobą twarz Naveeny, która siedziała na krześle przy łóżku.

– Przyniosłam pani herbatę.

Gwen usiadła i otarła zroszone potem czoło.

– Gdzie jest moja córeczka?

Naveena spuściła głowę.

Gwen kurczowo chwyciła ją za rękaw.

– Gdzie ona jest, Naveeno?!

Służąca otworzyła usta, ale nie odezwała się. Jej twarz była nieruchoma, tylko ręce zdradzały, jak bardzo jest zdenerwowana. Dłonie o sękatych palcach, niby złożone na podołku, ale palce bez przerwy się poruszały.

– Co z nią zrobiłaś? Czy stało się coś złego?!

Nadal cisza.

– Naveeno, proszę natychmiast przynieść mi dziecko. Czy ty mnie słuchasz? Naveeno, czy stało się coś złego?! – Teraz już krzyczała przerażona.

Naveena pokręciła przecząco głową.

Gwen nabrała głęboko powietrza.

– Ona**...** żyje?

– Tak, proszę pani.

– A więc zupełnie nie rozumiem, o co chodzi. Chcę zobaczyć moją córkę, słyszysz? Masz ją tu przynieść! Natychmiast! Jeśli tego nie zrobisz, jeszcze dziś opuścisz mój dom!

Naveena powoli podniosła się z krzesła.

– Jak pani sobie życzy.

Wyszła, a przed oczyma półprzytomnej ze strachu Gwen zaczęły przesuwać się koszmarne obrazy. Co za chwilę zobaczy? Może dziecko ma jakąś wadę, jest zdeformowane? Może chore? O, Boże! Dlaczego nie ma tu Laurence'a? Teraz, kiedy tak bardzo jest jej potrzebny!

Po kilku minutach w pokoju pojawiła się Naveena z kwilącym dzieckiem, zawiniętym w kocyk. Podała je Gwen, sama cofnęła się i wbiła wzrok w podłogę. Gwen nabrała powietrza, odwinęła kocyk i wstrzymując oddech, wlepiła oczy w maleńką istotę w białej pieluszce. Dziewczynka miała malutkie paluszki, okrągły brzuszek, bardzo ciemne oczy. I lśniącą skórę. Tak lśniącą, jakby ktoś ją wypolerował**...**

Ciemną.

Poderwała głowę.

– Z dzieckiem wszystko w porządku**...**

Naveena kiwnęła głową.

– **...**ale to nie jest białe dziecko!

– Nie, proszę pani.

Oczy Gwen rozbłysły.

– Co to za sztuczki? Gdzie jest moje dziecko?!

– Tu, proszę pani. To pani córka.

– Moja?! Myślałaś, że nie zorientuję się, że podmieniłaś moje dziecko?!

Rozpłakała się. Łzy kapały na maleńką twarzyczkę noworodka, a Naveena powtórzyła z uporem:

– To pani córeczka.

Gwen, teraz już prawie nieprzytomna, zacisnęła powieki, by całkowicie odgrodzić się od widoku ciemnoskórego dziecka, i podała je z powrotem służącej. Oczywiście! Przecież to nie jej dziecko. Niemożliwe, by ta dziewczynka o ciemnej skórze wyszła z łona Gwen Hooper. Wykluczone!

Naveena odebrała dziecko, ale nie ruszała się z miejsca. Nadal stała przy łóżku. Tuliła maleństwo i leciutko je kołysała. A Gwen, potrząsając bezradnie głową, objęła się ramionami i wydała z siebie zduszony jęk. Tak wstrząśnięta i zaszokowana, że nie była w stanie spojrzeć *ayah* w oczy.

– Proszę pani**...**

Nie odezwała się. Bo i po co? W sytuacji tak bezsensownej jak ta wszystkie słowa są również pozbawione sensu. Milczała więc, wpatrując się w swoje odwrócone dłonie, studiując każdą linię. Potem powoli przekręciła ślubną obrączkę. Serce tłukło się w piersi jak szalone, gotowe z niej wyskoczyć.

Dopiero po dłuższej chwili podniosła głowę i spojrzała Naveenie prosto w oczy. Nie dostrzegła w nich potępienia, dlatego zdecydowała się otworzyć usta.

– Jak ona może być moją córką? Jakim cudem? – wyrzuciła z siebie, ocierając łzy wierzchem dłoni. – Nie rozumiem. Naveeno, powiedz, co się stało. Czy ja oszalałam?

– Ależ nie, proszę pani. To się zdarza. Taka jest wola bogów.

– Co się zdarza? Co?!

Desperacko starała się powstrzymać łzy, one jednak i tak popłynęły obficie, zraszając policzki i białą pościel. Teraz zdała sobie sprawę z grozy sytuacji. Bo co powie mężowi? Co?

Nie, nie była w stanie nic wymyślić. Wytarła nos, oczy, w głowie miała chaos. Ciemnoskóre dziecko, oczy będą na pewno czarne jak węgle. A może**...** może Laurence miał jakichś hiszpańskich przodków? Różne myśli przemykały jej przez głowę. Było ich tyle, że zaczynało brakować powietrza.

– Naveeno, proszę, otwórz okno.

Służąca spełniła polecenie, wpuszczając do pokoju świeże, chłodne powietrze przesycone zapachami natury. A Gwen dalej biła się z myślami. Co robić? Może**...** Może powinna powiedzieć, że urodziła jedno dziecko. Albo że urodziła dwoje, tylko jedno zmarło. Nie, to bez sensu. Zmarłe dziecko trzeba będzie przecież pokazać.

O Boże! Jakżeby chciała znaleźć się teraz jak najdalej od tego kraju, w którym biała kobieta z niewiadomego powodu rodzi dziecko o ciemnobrązowej skórze! Tak! Bez żadnego powodu**...**

Nagle, na krótką, ale przerażającą chwilę przed oczami pojawiła jej się twarz Saviego Ravasinghe. Czyżby**...**Och, nie! Tylko nie to!

Zabrakło tchu. Przytłoczona ciężarem straszliwego podejrzenia zgięła się wpół, jednocześnie powtarzając sobie w duchu z uporem, że to niemożliwe. Ta myśl przyszła jej do głowy tylko dlatego, że Gwen jest wyczerpana długim porodem i nie potrafi myśleć jasno. Przecież gdyby Savi ją wykorzystał, musiałaby o tym wiedzieć. Oczywiście!

Ale zaraz**...** Przecież dzieci jest dwoje. Jest też Hugh. Syn Laurence'a. A dziewczynka**...** Córka Saviego? Jak to? Każde dziecko ma innego ojca? Nigdy o czymś takim nie słyszała. Absolutnie nie!

Spojrzała w okno. Księżyc nadal wyglądał spoza chmur, ale niebo już szarzało. Prawie świt. Czas nagli. Trzeba koniecznie podjąć decyzję, zanim po domu zaczną krzątać się służący.

Nagle oprócz szumu coraz bardziej porywistego wiatru wyłapała jeszcze inne dźwięki. Szelest żwiru, teraz tak złowrogi, że skronie zaczęły pulsować. Bo żwir zawsze tak chrzęścił, kiedy przed dom zajeżdżał samochód.

Obie, Gwen i Naveena, znieruchomiały.

Pierwsza drgnęła Naveena. Wstała z krzesła i zasłoniła kocykiem główkę dziecka.

– To siostra naszego pana.

– Verity? O Boże! Naveeno, błagam, pomóż mi. Wymyśl coś!

– Tak, proszę pani. Ukryję dziecko.

– Dobrze! Pospiesz się!

– W pokoju dziecięcym?

– Nie wiem. Może tam... Tak, tak! Ukryj je tam.

Naveena wyszła, a Gwen, coraz bardziej przerażona, cała zamieniła się w słuch. Słyszała, jak Verity weszła do domu, jak idzie korytarzem. Jest coraz bliżej, zaraz zapuka do drzwi. Miała dosłownie jeszcze tylko kilka sekund, by wymyślić coś sensownego, co zaraz powie szwagierce. Jeśli ze zdenerwowania nie powie właśnie tego, czego nie powinna.

Nic jej nie przychodziło do głowy. A Verity, zarumieniona i rozpromieniona, stała już w progu.

– Witaj, Gwen! Tak mi przykro, że mnie tu nie było. Jak się czujesz? Mogę zobaczyć maleństwa?

Gwen nie odezwała się, tylko ruchem głowy wskazała na kołyskę, w której leżał maleńki Hugh.

– A gdzie drugi dzidziuś? – spytała Verity.

Usta i broda Gwen zadrżały, udało jej się jednak zapanować nad sobą i przekazać względnie spokojnym głosem:

– Doktor Partridge się pomylił. Urodziłam tylko jedno dziecko. To chłopiec.

– Śliczny! – powiedziała Verity, podchodząc do kołyski. – Mogę wziąć go na ręce?

Gwen skinęła głową i nakryła się kołdrą aż pod brodę, żeby stłumić niespokojne bicie serca.

– Naturalne, że możesz. Bardzo proszę, tylko uważaj, żeby go nie obudzić. Zasnął dosłownie przed chwilą.

Verity ostrożnie wyjęła Hugh z kołyski.

– Ależ on malutki!

– Tak. Miałam bardzo dużo wód płodowych – powiedziała Gwen słabym głosem.

– Na pewno – przytaknęła Verity, wkładając Hugh z powrotem do kołyski. – Czy doktor był już u ciebie? Jesteś okropnie blada.

– Przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł. Teraz nie ma go pod telefonem, prawdopodobnie wezwano go gdzieś w nocy.

– Biedactwo! Na pewno nie było ci łatwo. Przeżyłaś swoje.

– Owszem.

Verity przysunęła do łóżka krzesło i usiadła.

– Jesteś niezwykle dzielna, Gwen. Byłaś przecież z tym wszystkim sama.

– Nie. Była ze mną Naveena.

Gwen zamknęła oczy z nadzieją, że do Verity dotrze, że nie powinna już dłużej męczyć położnicy, i wreszcie sobie pójdzie. Przecież Naveena nie zamknęła za sobą drzwi do łazienki, z której wchodziło się do pokoju dziecięcego. Drzwi do tego

pokoju były co prawda zamknięte, ale jeśli noworodek zapłacze, na pewno będzie słychać.

Niestety, Verity dalej trwała na krześle.

– Gwen? Może opowiem ci o przyjęciu, żebyś się trochę odprężyła?

– Szczerze mówiąc**...**

– Było cudownie! Przede wszystkim wytańczyłam się za wszystkie czasy. Mam bąble na nogach! Nie uwierzysz, ale był tam też Savi Ravasinghe i przez prawie cały czas tańczył z Christiną. Pytał o ciebie.

Nie dość, że gadała jak najęta, to jeszcze poruszyła śliski temat. Gwen, nie bawiąc się już w żadne uprzejmości, machnęła niecierpliwie ręką.

– Verity, naprawdę muszę teraz odpocząć, zanim przyjedzie doktor.

– Ależ naturalnie, moja droga! Przepraszam. Zawracam ci głowę, a ty na pewno jesteś ledwo żywa.

Nie poszła wcale do drzwi, tylko znowu podeszła do kołyski.

– Dalej śpi. Nie mogę się doczekać, kiedy się obudzi.

– Niebawem. Verity, proszę**...**

– Tak, tak, już wychodzę. Musisz przecież odpocząć. Chyba wybiorę się do Hatton, odwiedzę Pru. Jeśli oczywiście nie będziesz mnie potrzebować.

– Nie ma problemu. Możesz spokojnie jechać.

Verity wreszcie ruszyła do drzwi. W połowie drogi niestety zatrzymała się, bo nagle rozległ się cichy płacz dziecka. Gwen zesztywniała, Verity rozpromieniła się.

– Obudził się!

I znowu podeszła do kołyski.

– Dziwne. Chyba dalej śpi.

Zapadła cisza. Trwała chwilę, która dla Gwen ciągnęła się w nieskończoność. Gwen modlącej się teraz żarliwie, by jej córeczka była cicho. A Verity nadal stała nieruchomo, wpatrzona w Hugh.

– Małe dzieci często płaczą przez sen – powiedziała Gwen. – Jedź do Hatton, Verity. Naveena przez cały czas jest przy mnie.

– Dobrze. Jeśli uważasz, że mogę tam jechać, to tak zrobię.

Kiedy szwagierka wreszcie zamknęła za sobą drzwi, Gwen usiadła, podciągnęła nogi i objęła kolana. Czuła się okropnie; bezbronna, krucha, jakby ziemia już z niej zrezygnowała i najlżejszy powiew wiatru mógł ją unieść ze sobą.

Po chwili zadzwoniła na służącą. Naveena pojawiła się od razu. Przysiadła na brzegu łóżka i wzięła Gwen za rękę.

– Co ja mam teraz robić? – szepnęła Gwen.

Stara kobieta milczała, wpatrując się w podłogę.

– Naveeno, pomóż mi. Powiedziałam już Verity, że urodziłam tylko jedno dziecko. Powiedz, proszę, co dalej robić.

– Kiedy ja nie wiem, proszę pani.

– Nie wiesz**...** – szepnęła Gwen i znów zaczęła rozpaczliwie płakać. – Przecież musi być jakieś wyjście. Musi**...**

Naveena nadal milczała, wyraźnie się nad czymś zastanawiając, a może tocząc ze sobą walkę. Po dłuższej chwili zrobiła głęboki wdech i wreszcie otworzyła usta.

– Znajdę w wiosce kobietę, która zaopiekuje się dziewczynką.

Gwen, przerażona, natychmiast się poderwała. Jak to tak? Ma oddać swoje dziecko obcej kobiecie?!

– To jedyne wyjście, proszę pani.

– Ależ Naveeno! Mam ją tak po prostu komuś oddać?!

– Proszę, niech pani mi zaufa. Dziecku nie stanie się żadna krzywda.

– Nie, nie! Nie mogę tego zrobić!

– Pani musi to zrobić.

– Nie! To nieprawda! To nie może być jedyne wyjście!

– Jest jeszcze jedno.

Naveena wzięła do ręki poduszkę.

Gwen krzyknęła.

– U-udusić ją? – wykrztusiła.

Naveena pokiwała głową.

– Nigdy w życiu! Absolutnie! W żadnym wypadku!

– Ludzie tak robią, proszę pani. Choć nie powinni, bo to złe.

– Złe?! Okrutne!

Gwen, przerażona, ukryła twarz w dłoniach.

– Trzeba jechać z dzieckiem do wioski, proszę pani. Jak najdalej stąd. Czy pani da mi trochę pieniędzy?

Gwen odsłoniła twarz, ale nie odezwała się, tylko przez dłuższą chwilę patrzyła przed siebie, tam gdzie jej oczy pełne łez nie dostrzegały już prawie nic. Drżała na całym ciele, gdy ostatecznie dotarła do niej straszliwa prawda. Musi pozbyć się własnego dziecka. Jeśli tego nie zrobi, odsuną się od niej wszyscy, od kobiety, która powiła dziecko niepoczęte na pewno przez jej męża. Nie pozwolą jej już nigdy zobaczyć drugiego dziecka, maleńkiego synka. Dokąd wtedy pójdzie z ciemnoskórą córeczką? Przecież nawet rodzice będą zmuszeni odwrócić się do niej plecami. Zostanie bez pieniędzy, bez dachu nad głową. Jakie to będzie życie? Żadne, i dla

Gwen, i dla jej córeczki. Już chyba lepiej będzie małej w wiosce. Tym bardziej, że Gwen jest w pobliżu i kto wie, może pewnego dnia**...**.

Nie. Taki dzień nigdy nie nadejdzie. Jeśli Gwen pozbędzie się córki, to już na zawsze.

– Naveeno, co ja mam powiedzieć mężowi?!

– To samo, co jego siostrze. Proszę, niech się pani nie opiera. Niech pani powie panu, że urodziła jedno dziecko.

Gwen pokiwała głową. Naveena ma rację, ale ona i tak drżała na samą myśl, że będzie musiała skłamać mężowi. Verity to tylko Verity, ale Laurence to całkiem co innego.

– Tak będzie najlepiej – dodała Naveena cichym, drżącym głosem, jakby tłumiła w sobie płacz. – Gdyby pani zatrzymała to dziecko, pan czułby się wystawiony na pośmiewisko.

– Tak**...** Naveeno, jak to się mogło stać?

Stara kobieta tylko potrząsnęła bezradnie głową. W jej oczach widać było wielki ból, a to sprawiło, że Gwen poczuła się kompletnie zdruzgotana. Zamknęła oczy i pod powiekami po raz kolejny pojawił się ten obraz. Pokój w hotelu, na podłodze leżą jedwabne francuskie majtki Gwen. Jak to wtedy było? Jak? Gorączkowo starała się ożywić w pamięci każdy, nawet najdrobniejszy szczegół tamtej nocy. Do momentu, gdy Savi zaczął głaskać ją po skroniach, była w stanie sobie wszystko odtworzyć. Ale co potem? Nie wiadomo. Nie pamiętała nic. Czy Savi faktycznie posunął się aż tak daleko? Czy miał jej przyzwolenie? Pamiętała tylko, że kiedy obudziła się, bo do pokoju weszła Fran, była na wpół rozebrana. Czy to w ogóle możliwe, żeby bliźnięta nie miały tego samego ojca? A jeśli tak? Dlatego teraz na duszy było jej jeszcze ciężej, a serce już nie mogło szybciej bić.

A co z Hugh? Jest synem Laurence'a? Na pewno. Inaczej być nie może.

– Proszę pani, proszę się nie martwić**...** – Naveena ostrożnie wzięła Gwen za rękę i zaczęła głaskać jej dłoń. – Jak chciałaby pani ją nazwać?

– Nie wiem. Nie wiem, jakie imię będzie dobre dla dziecka, które**...**

– Liyoni. To będzie bardzo dobre imię dla niej.

– Dobrze. Niech będzie Liyoni. Chciałabym na nią jeszcze raz spojrzeć.

– Lepiej nie, proszę pani. Lepiej, jeśli zaraz ją stąd zabiorę. Niech pani nie będzie smutna. Po prostu tak ma być. Taki już los tego dziecka.

Gwen zakłuło pod powiekami.

– Jak to tak? Nie wolno mi na nią spojrzeć ten jeden, jedyny raz? Wykluczone. Zamknij porządnie drzwi na korytarz i przynieś ją tutaj.

– Proszę pani**...**

– Proszę ją tu przynieść, żebym mogła przynajmniej raz w życiu ją nakarmić. Ja, matka. Zanim znajdziesz we wsi mamkę.

Naveena westchnęła. Było to głębokie westchnienie bardzo zmęczonego człowieka.

– Dobrze, proszę pani. Ale poczekajmy, aż siostra pana odjedzie.

Czekały w milczeniu i kiedy tylko usłyszały warkot silnika odjeżdżającego samochodu, Naveena zamknęła okiennice w sypialni i przyniosła niemowlę.

Słodka twarzyczka wcale nie była zaczerwieniona jak u Hugh. Liyoni była całkiem inna niż jej brat. Była ślicznym oseskiem koloru kawy z mlekiem.

– Jaka maleńka – szepnęła Gwen, muskając palcem mięciutki policzek o jedwabistej skórze.

Malutka istotka, kiedy tylko Naveena przystawiła ją do piersi Gwen, od razu zaczęła ssać. Dla Gwen to przeżycie było czymś niezwykłym. Ale widok ciemnej twarzyczki przy jej białej piersi stanowił zbyt wielki wstrząs. Odsunęła dziecko. Spojrzało na nią ogromnymi ciemnymi oczami, pisnęło, wyraźnie oburzone, i zaczęło ssać powietrze.

Gwen odwróciła się twarzą do ściany.

– Nie mogę tego zrobić. Zabierz ją, Naveeno – powiedziała szorstko. W środku była jedną wielką żywą raną. Świadomość, że odrzuca istotę poczętą z jej ciała i krwi, bolała o wiele bardziej niż to, co odczuwała, gdy dziewczynka przyszła na świat.

Naveena wzięła dziecko.

– Nie będzie mnie przez dwa dni.

– Dobrze. Kiedy wrócisz, od razu przyjdź do mnie. Jesteś pewna, że znajdziesz kogoś, kto się nią zaopiekuje?

– Mam nadzieję.

– I zaopiekują się nią troskliwie?

– Na pewno. Będzie miała dobre życie**...** Zapalę świeczkę, dobrze? Łagodne światło pomoże pani odpocząć, dojść do siebie. Tu stoi woda, proszę pani. Przyniosę też gorącej herbaty. Żeby było pani lżej na duszy.

Gwen, drżąc teraz jak w febrze, sięgnęła po wodę. W jej głowie kłębiły się różne myśli. Próbowała się zastanowić, czy jest ktoś, kto mógłby jej pomóc wyjaśnić tę nieprawdopodobną sytuację. Niestety, to wymaga czasu, a ona przecież tego czasu nie miała. Poza tym mówienie komukolwiek o tym, że urodziła dziecko, którego ojcem nie jest Laurence, byłoby wielkim błędem. Nikt nie uwierzy, że bez jej zgody

doszło do zbliżenia między nią i Savim Ravasinghe. Przecież sama pozwoliła mu wejść do pokoju, prawda? Laurence, kiedy dowie się prawdy, na pewno ją odtrąci i Verity będzie wreszcie miała go tylko dla siebie**...** Nie, nie ma sensu nikogo pytać, doszukiwać się przyczyn tego, co się stało. Fakt narodzin Liyoni powinien być utrzymany w największej tajemnicy. Fakt, że Gwen Hooper urodziła kolorowe dziecko.

Wystarczyło, że o tym pomyślała, i jej serce przestawało bić. Czuła się zagubiona, zapomniana przez Boga i ludzi. Ręka, w której trzymała szklankę z wodą, drżała spazmatycznie. Krople wody przesiąkły przez cienkie płótno koszuli nocnej i spływały po piersi. Zdawała sobie sprawę, że po decyzji o zrobieniu czegoś tak okropnego, nigdy już nie zazna spokoju. Nigdy nie będzie spała dobrze, nigdy już nie będzie doznawać tych cudownych odczuć w objęciach męża. Zawsze i wszędzie będzie widziała czarne oczy swego dziecka – nowo narodzonego dziecka potrzebującego matki.

Tak chciałaby tulić do serca i synka, i córeczkę! Przez chwilę było to jej jedynym, najgorętszym pragnieniem. Chęć utrzymania małżeństwa jakby zeszła na dalszy plan. Ale tylko na tę jedną chwilę, bo kiedy wyjęła z kołyski Hugh i, znowu zalewając się łzami, tuliła go do siebie, pomyślała o jego ojcu. O swoim mężu, jego ciepłym, ufnym uśmiechu i silnych rękach, którymi przygarniał ją do siebie. Wtedy wróciła pewność, że inaczej postąpić nie mogła, bo chociaż boli, że będą żyć osobno, matka i córka, że nie będą miały żadnych wspólnych wspomnień, Gwen nie może zatrzymać przy sobie malutkiej, ciemnoskórej dziewczynki. Ale najgorsze było to, że Liyoni będzie rosła bez matki i ojca. Niewinna istota, którą własna matka skazała na ten los.

11

Poczekały, aż się ściemni. Verity na szczęście nie wróciła jeszcze z Hatton, więc Gwen stanęła na czatach, a Naveena zawinęła dziecko i włożyła do starego koszyka zbieraczek herbaty. Potem wsiadła do powoziku, do którego zaprzęgnięty był bawół. Koszyk z dzieckiem postawiła z tyłu i kiedy zamierzała już odjechać, nagle z ciemności wynurzył się McGregor. Przerażona Gwen szybko schowała się w najciemniejszym zakątku werandy i wstrzymując oddech, słuchała, jak Naveena wyjaśnia, że zamierza odwiedzić chorą przyjaciółkę, która mieszka w jednej z syngaleskich wiosek.

– Ale z tego pojazdu nie wolno ci korzystać, kiedy masz do załatwienia jakieś prywatne sprawy.

Gwen poczuła, że cała sztywnieje.

– Wiem, proszę pana. Prosiłam o skorzystanie z niego tylko ten jeden raz.

O, Boże, spraw, by McGregor okazał wyrozumiałość.

– Czy masz pozwolenie od pana?

– Mam pozwolenie od pani.

– A co tam jest w tym koszyku?

Gwen, już bez tchu, czuła, że ogarnia ją panika.

– Stary koc, który dała mi pani.

McGregor przeszedł na drugą stronę powoziku i Gwen już nie słyszała jego słów. Zmartwiała. Jeśli on zajrzy do koszyka, to Gwen powinna chyba pożegnać się z życiem. Nie pozostało jej nic innego jak tylko żarliwa modlitwa. Błaganie, by McGregor wreszcie sobie poszedł. Dla dobra wszystkich, którzy są bliscy sercu Gwen.

Nic nie słyszała i w tych ciemnościach nie była w stanie zobaczyć, czy McGregor zajrzał do koszyka. Czekała więc, umierając z niepokoju, a w pamięci znów ożyło wspomnienie balu, kiedy to wykazała się największą głupotą. Tak wielką, że teraz była prawie gotowa ujawnić się i przyznać, że postąpiła źle. Gdyby nie była zazdrosna o Christinę, nigdy by nie skorzystała z pomocy Saviego Ravasinghe, czyli winą za to, co się stało, może obarczać tylko siebie.

Nagle usłyszała ciężkie kroki. McGregor odszedł i powozik zaraz ruszył. Naveena odjechała. Gwen, czując niewysłowioną ulgę, weszła z powrotem do domu. Biedna Naveena wcale nie była zadowolona, że musi jechać w ciemną noc. Ale tak

trzeba było zrobić. Jechać jak najprędzej, malutkie dzieci przecież popłakują, trudno je uciszyć i kto wie, czy tajemnica nie przestałaby być tajemnicą.

Gwen została sama. Zmęczona po porodzie, łaknąca snu, o czym nie było mowy, bo co kilka minut sprawdzała, co porabia w kołysce maleńki Hugh. Kiedy mniej więcej po godzinie usłyszała, że pod dom zajeżdża samochód Laurence'a, w pierwszym odruchu przygładziła włosy, a potem pomknęła do łazienki. Zamknęła drzwi na klucz i złapała się za głowę, pragnąc tylko jednego: zapaść się pod ziemię. Tego wszystkiego już za wiele, za wiele jak na jednego człowieka**...**

Ochlapała twarz zimną wodą, związała włosy i przysiadła na brzegu wanny, błagając swe ręce, by przestały drżeć. Kiedy usłyszała, że Laurence wchodzi do sypialni, zebrała się w sobie i z uśmiechem przyklejonym do twarzy otworzyła drzwi.

Laurence stał przy kołysce i po raz pierwszy patrzył na swojego syna tak zafascynowany, że nie zauważył Gwen, mogła więc spokojnie go obserwować. Był wysoki, barczysty, miał piękne gęste włosy wijące się nad czołem. Wydawał się teraz taki szczęśliwy i dla Gwen było oczywiste, że nie dojdzie do żadnych zwierzeń. Nikt nikogo nie będzie ranić. Tajemnica pozostanie tajemnicą. I nie chodzi tylko o to, by chronić Laurence'a. Do głosu doszedł zdrowy egoizm. Gwen będzie chronić siebie. Zrobi to dla dobra ich obojga.

Podeszła parę kroków. Laurence usłyszał ją i od razu się odwrócił. W jego spojrzeniu dojrzała zachwyt i jeszcze coś. Ulgę, przeogromną ulgę. Oczy mu błyszczały podejrzanie, jakby powstrzymywał łzy.

– Jest podobny do ciebie, prawda, Laurensie?

– Jest wspaniały, a ty bardzo dzielna. A gdzie drugie dziecko?

Zamarła. Przez ułamek sekundy miała w głowie pustkę, a mężczyzna przy kołysce jawił jej się jako całkowicie obcy człowiek. Zaraz potem poczuła przemożną chęć ucieczki, którą udało jej się pokonać nadludzkim wysiłkiem, dzięki czemu była w stanie nie tylko podejść do męża, lecz także zrobić to w miarę swobodnie.

– Wybacz, ale okazało się, że jest tylko jedno dziecko.

– Ale za co ty mnie przepraszasz, skarbie? Kocham cię. Kocham tak bardzo, że bardziej kochać już nie można.

Uśmiechnęła się, co wcale nie było łatwe. Laurence wyciągnął do niej ręce.

– Chodź do mnie.

Objął ją, ona oparła głowę o jego szeroką pierś. Tam, gdzie biło serce.

– To ja przepraszam, Gwen. Wybacz, że ostatnio byłem wobec ciebie taki chłodny.

Wyprostowała się, by ustami sięgnąć jego warg. Pocałowała go, choć czuła się

rozdarta. Przecież chciała wyjawić mu wszystko, by położyć kres temu, co już się zaczęło. Życiu w kłamstwie. Niestety, wyjawienie prawdy było ponad jej siły, ponieważ na twarzy męża pojawił się ciepły uśmiech, niezbity dowód, że po tylu tygodniach Laurence wreszcie wrócił do niej, nie tylko w sensie fizycznym. Także emocjonalnie.

Dlatego milczała, świadoma, że i tak będzie inaczej niż przedtem. Przecież coś z niej uleciało. Poczucie bezpieczeństwa? Chyba tak, skoro czuje się tak rozpaczliwie samotna, właśnie teraz, kiedy obejmują ją silne ręce męża, kiedy słyszy bicie jego serca. No i ten ból, nieopuszczający jej ani na chwilę, tak wielki, tak rozdzierający, że nawet najcieplejszy uśmiech Laurence'a nie jest w stanie go uśmierzyć.

Po wizycie doktora Gwen podała mężowi mnóstwo powodów, dlaczego powinien zostawić ją teraz w spokoju, nie ujawniając naturalnie prawdziwej przyczyny. Ze swoim bólem musiała zmagać się sama. Cały czas powracała do niej myśl, czy to możliwe, by bliźnięta miały różnych ojców? Ta myśl nie dawała jej spokoju i bardzo żałowała, że nie ma żadnej zaufanej osoby, której mogłaby się zwierzyć. Niestety, z powodu ciąży jej życie towarzyskie było bardzo ubogie i nie zdążyła nawiązać z nikim bliższych kontaktów. Ona i Laurence żyli swoim życiem, a jeśli już wybrali się na jakieś spotkanie towarzyskie, takie jak bal u gubernatora czy w klubie golfowym, jechali tam razem, więc nie były to sytuacje sprzyjające nawiązywaniu własnych przyjaźni.

Komu zatem mogłaby się zwierzyć? Na pewno nie rodzicom. Fran? Może, ale przecież miną wieki, zanim kuzynka znów pojawi się na Cejlonie. Była więc zupełnie sama ze swoim problemem. Dręczyło ją, że pamięta tylko mniej istotne szczegóły. Pamiętała, że pan Ravasinghe był bardzo miły, usłużny i głaskał ją po czole. Ale co było potem? Co?! Nie wiedziała i to doprowadzało ją do szaleństwa.

Minęły trzy dni. Laurence przez cały czas był w domu. Naveena nadal nie wracała z wioski i Gwen bała się nawet pomyśleć, co się stanie, jeśli nie znajdzie mamki dla dziecka. Przed oczami wciąż miała twarzyczkę ciemnoskórej maleńkiej dziewczynki o ogromnych czarnych oczach. Była u kresu wytrzymałości, rozdrażniona, przewrażliwiona, każdy nagły dźwięk wyprowadzał ją z równowagi. Zamartwiała się tym, co będzie, jeśli Laurence dowie się prawdy.

Kiedy późnym wieczorem kończyła karmić Hugh, do pokoju wszedł na palcach Laurence. Wszedł bardzo cicho i już to ją rozdrażniło.

– Musisz się tak skradać? Przestraszyłeś mnie!

– Bardzo jesteś zmęczona, kochanie? – spytał, nie zwracając uwagi na jej kiepski nastrój.

Gwen westchnęła. Odgarnęła z twarzy pasma wijących się włosów i poruszyła zdrętwiałą szyją, bo Hugh, mały żarłok, ssał bardzo długo. Teraz zasnął. Laurence poprawił poduszki i przysiadł na brzegu łóżka.

– Czy udaje ci się choć trochę pospać, Gwen? Jesteś taka blada.

– Nie bardzo. Ledwo zasnę, a Hugh już się budzi i jest głodny.

– Martwi mnie twoja bladość. I to, że jesteś taka**...** inna.

– Na litość boską, Laurence! Przecież trzy dni temu urodziłam dziecko! Czego ty się spodziewałeś?

– Że będziesz**...** bardziej radosna. Ale skoro ciągle jesteś niewyspana**...**

– A tak! Jestem! – mruknęła, ale kiedy zauważyła, że Laurence posmutniał, zawstydziła się i dokończyła już znacznie łagodniejszym tonem: – Hugh też sypia bardzo mało.

– To niedobrze. Trzeba wezwać Partridge'a.

– Po co? Jestem tylko zmęczona, a nie chora.

– Może nie powinnaś go karmić tak często?

– Karmię, kiedy jest głodny.

Naturalnie nie wspomniała, że chwile, gdy karmi synka, są jedynymi dającymi wewnętrzny spokój. Ta czynność, tak podstawowa, tak pierwotna, miała w sobie coś kojącego. Kiedy patrzyła na miękką linię pucołowatego policzka, na drgające małe powieki, od razu czuła się o wiele lepiej. Dopóki nie otworzył niebieskich oczu. Wtedy już widziała tylko oczy innego dziecka. Czarne oczy.

Kiedy go nie karmiła, płakał. Płakał tak często, że zdesperowana chowała głowę pod poduszkę i też płakała.

Laurence nachylił się, żeby ją pocałować, ale odwróciła się do Hugh i zaczęła coś tam poprawiać, wygładzać.

– Lepiej włożę go do kołyski, może pośpi trochę dłużej.

Laurence wstał i delikatnie ścisnął jej ramię.

– Ty też się prześpij. Bardzo tego potrzebujesz. Miałem nadzieję, że Naveena we wszystkim ci pomoże.

Gwen zacisnęła jeden z palców tak mocno, że paznokieć wbił się w ciało.

– Pojechała odwiedzić chorą przyjaciółkę – powiedziała, nie patrząc mężowi w oczy.

– Przede wszystkim powinna troszczyć się o ciebie.

– Ze mną wszystko w porządku.

– No cóż**...** Skoro tak uważasz**...** Dobranoc, kochanie. Mam nadzieję, że jutro rano poczujesz się lepiej.

Gwen w milczeniu pokiwała głową. Nie mogła przecież mu powiedzieć, że czuje się tak, jakby już nigdy w życiu nie miała się wyspać.

Kiedy wyszedł, zamrugała, by zatamować łzy. Łzy gniewu. Ułożyła Hugh w kołysce i poszła do łazienki, by przejrzeć się w lustrze. Koszula nocna była nieświeża, przepocone włosy sterczały nad karkiem. Skóra na piersiach, poznaczona cieniutkimi niebieskimi żyłkami, zdawała się prawie przezroczysta. Najbardziej jednak zszokowały ją oczy. Jej jasne, fiołkowe oczy pociemniały, przybierając barwę ciemnego fioletu.

Wróciła do pokoju i padła na łóżko. Walcząc z łzami, czuła, że resztki nadziei znikają. Przecież Naveena mówiła, że nie będzie jej dwa dni. A minął właśnie trzeci**...**

I wtedy usłyszała turkot kół, potem głosy. Czekała i, rzecz dziwna, zamiast drżeć z emocji, czuła w głowie pustkę. Kiedy Naveena weszła do pokoju, natychmiast usiadła na łóżku, wstrzymując oddech.

– Załatwione – rzuciła krótko i Gwen zrobiła głośny wydech.

– Dziękuję – powiedziała, czując wielką ulgę. – I pamiętaj, nikomu o tym ani słowa.

Naveena pokiwała głową i zdała Gwen szczegółową relację. Kobiecie z wioski, która zdecydowała się zaopiekować dziewczynką, powiedziała, że Liyoni jest córką jej dalekiej kuzynki, która zmarła po porodzie, a Naveena niestety nie może zaopiekować się dzieckiem. Naveena obmyśliła także sposób, jak przekazywane będą z wioski wiadomości o dziewczynce. Raz w miesiącu, dzień przed pełnią księżyca albo zaraz po pełni, przybrana matka, która jest analfabetką, narysuje coś węglem na kartce i rysunek ten da woźnicy, który codziennie wozi mleko na plantację. Człowiek ten dostał już parę rupii wraz z informacją, że rysunki należy oddawać Naveenie. Dopóki rysunki będą przychodziły regularnie, dopóty Gwen może być pewna, że z dzieckiem wszystko w porządku.

Kiedy Naveena wyszła, Gwen znów poczuła dreszcz niepokoju. Co będzie, jeśli *ayah* nie dotrzyma obietnicy i wygada się przed kimś? Co wtedy? W głowie już huczało od oskarżycielskich głosów powtarzających to jedno zdanie: „Pobożna Angielka nie rodzi kolorowego dziecka!”.

Jedyne, co mogła teraz zrobić, to zakryć uszy rękoma i krzyczeć bardzo głośno, starając się zagłuszyć strach. Ale kiedy otworzyła usta, nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Tylko gdzieś w głębi duszy rodził się jęk. Wyraz największej rozpaczy.

Córeczkę straciła przecież bezpowrotnie. Jej rozpacz nie miała granic, dlatego cichy jęk wydobywający się z gardła już po chwili miał siłę ryku dzikiego zwierzęcia. Nie była w stanie nad tym zapanować. Bo i jak, skoro to prawda. To ona sama, z własnej woli, oddała obcej kobiecie swoje nowo narodzone dziecko.

Tego dnia pod wieczór doktor Partridge miał pojawić się z kolejną wizytą. Gwen czekała na niego. Czas wlókł się w nieskończoność. Na szczęście dzień już się kończył i doktor miał pojawić się lada chwila. Przebrała się więc w świeżą koszulę nocną i stanęła przy oknie, by spojrzeć na mroczny już ogród. Potem, nerwowo przeczesując mokre po umyciu włosy, omiotła wzrokiem pokój. Naveena zostawiła uchylone okno, a na stole w pobliżu okna postawiła wielki wazon z dzikimi peoniami. Dzięki temu w pokoju było przyjemnie i pachnąco.

Gwen usiadła na łóżku i wbiła wzrok w dłonie. Obracała je na wszystkie strony, oglądając paznokcie, niby uważnie, a tak naprawdę niczego nie widziała. Uszczypnęła się w policzki, by poróżowiały, jednocześnie przepowiadając sobie cicho to, co zamierzała powiedzieć doktorowi. Była przecież kłębkiem nerwów i te właściwe słowa powinna mieć wbite do głowy.

Kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód, zamarła. Chwilę potem dobiegł ją głos Laurence'a i wtedy nadstawiła uszu. Laurence nie mówił szeptem, była więc pewna, że wspomniał o Caroline. Doktor coś odpowiedział, bardzo jednak cicho, na co Laurence odparł o wiele głośniej:

– Niech to szlag! Człowieku! Powinien pan przyjechać tu od razu. Przecież powiedziałem, że nie jest dobrze i koniecznie trzeba coś z tym zrobić. Jak najprędzej!

I znów doktor odpowiedział przyciszonym głosem, a Laurence głośno:

– Wielki Boże!

Dokończył jednak już zdecydowanie ciszej, ale Gwen słyszała wszystko.

– A jeśli historia się powtórzy? I nie będę mógł jej pomóc?

– Na niektóre kobiety urodzenie dziecka wpływa negatywnie. Niektórym udaje się z tego otrząsnąć, innym nie.

Laurence, już ciszej, ponownie wspomniał o Caroline. Gwen nie bardzo wiedziała, o co dokładnie chodzi. W rezultacie czuła się trochę jak dziecko, podsłuchujące swoich rodziców.

– Od jak dawna pańska żona jest w tym stanie? – spytał jeszcze doktor, po czym obaj panowie zaczęli się oddalać i Gwen już nic nie usłyszała.

Była pewna, że poszli nad jezioro, bo Laurence'owi zależało, by nikt ze służby nie podsłuchał jego rozmowy z doktorem. Gwen naturalnie domyślała się, o czym

będzie mowa, i teraz, czekając na doktora, przeżywała męki. Była spięta do granic, wzrok miała rozbiegany i najchętniej po prostu by się gdzieś schowała. Na przykład pod kołdrą, naciągając ją na głowę.

Wreszcie usłyszała odgłos zamykanych drzwi, potem kroki.

Pierwszy do pokoju wszedł Laurence. Podszedł do niej i wziął ją za rękę. Kiedy poczuła ciepło jego palców, łzy napłynęły jej do oczu. Jest takim dobrym, nadzwyczajnym człowiekiem, a ona go okłamuje. Jakże chciała wyznać mu prawdę. Wyrzucić z siebie wszystko i mieć to już za sobą.

– Jak się czujesz, kochanie? – spytał.

Zacisnęła zęby i spojrzała mu prosto w twarz, starając się pokonać strach. Przecież mógł ją przejrzeć, mógł wyczuć, że ona z jakiegoś powodu czuje się winna.

– Znakomicie – odparła.

– Mogę zajrzeć do małego?

– Naturalnie.

Podszedł do kołyski i wyraźnie wzruszony wyjął z niej synka pogrążonego w głębokim śnie. Serce Gwen ścisnęło się boleśnie.

– Niezły z niego żarłok – powiedział Laurence, spoglądając na doktora. – Je bez przerwy.

Tej uwagi Gwen wcale nie uważała za słuszną.

– Je, bo rośnie i jest głodny! Musi jeść!

Doktor przysiadł na krześle obok Gwen i wziął od Laurence'a niemowlę.

– Niezbyt duży, ale wygląda nieźle.

– To wcześniak – powiedział Laurence. – Z każdym dniem przybywa na wadze.

– Znakomicie. Jednak jestem zaskoczony, że nie urodziły się bliźnięta. Musiało dojść do zatrzymania wody przez organizm. Bardzo mi przykro, Gwen, że nie mogłem być z tobą podczas rozwiązania. Słyszałem, że byłaś bardzo dzielna i znakomicie sobie poradziłaś.

– Szczerze mówiąc, niewiele pamiętam.

Doktor pokiwał głową.

– Wiele kobiet tak mówi, bo dzięki Bogu istnieje coś takiego, jak pamięć wybiórcza.

– O, tak.

– John, przypominam, że chciałbym, byś skupił się na Gwen – powiedział Laurence, stając teraz w nogach łóżka. – Ona prawie nie sypia. Widzisz, jaka jest mizerna.

– Tak. Jest bardzo blada.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Przede wszystkim, Laurence, nie jest to jeszcze powodem do zmartwienia.

– Nie jest?! I ty to mówisz? Lekarz?!

– Tak. Kobieta w połogu rzadko kiedy wygląda kwitnąco. Oczywiście Gwen mogłaby zażywać jakiś środek nasenny, ale to z kolei mogłoby zaszkodzić dziecku, ponieważ lek może przeniknąć do mleka. Proponuję odczekać dwa tygodnie. Jeśli sytuacja się nie poprawi, trzeba będzie się zastanowić, co dalej. Może trzeba będzie pomyśleć o mamce.

Laurence wydął policzki, potem głośno wypuścił powietrze.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

– Jak na razie, tylko tyle. Nie obawiaj się, Laurence, twoja żona jest w dobrych rękach.

– Mam nadzieję! A teraz zostawiam was samych.

Wyszedł, a przez głowę Gwen przemknęła myśl, czy panowie tego wcześniej między sobą nie ukartowali.

Kiedy tylko Laurence zamknął za sobą drzwi, doktor ułożył Hugh w kołysce i spojrzał na Gwen.

– Powiedz szczerze, co cię trapi?

Podniosła głowę i kiedy spojrzała w szare oczy doktora, poczuła, jak coś ściska ją za gardło. Te oczy pełne były życzliwości, ale... Powiedzieć mu o Liyoni? Nigdy. Także o tym, że udaje jej się powstrzymać łzy, dopóki nie zostanie sama albo tylko z Hugh. Że żyje w ciągłym strachu i boi się panicznie, że jej poczucie winy może w jakiś sposób odbić się na synku.

– Wiesz, że możesz powiedzieć mi wszystko, a moim obowiązkiem jest ci pomóc – mówił doktor, poklepując ją po ręku. – Myślę, że nie chodzi tylko o brak snu.

Gwen przełknęła ślinę.

– Ja...

Doktor przeczesał palcami przerzedzające się na skroniach włosy.

– A może między tobą a Laurence'em nie jest tak, jak byś sobie życzyła? Chcesz, żebym z nim porozmawiał?

Znów spuściła głowę, teraz już naprawdę bardzo skrępowana.

– Nie, nie. Nie o to chodzi. Absolutnie.

– To o co? Wyglądasz na bardzo nieszczęśliwą.

– Czyżby?

– Tak. To normalne, że kobieta po długim porodzie jest bez sił. A karmienie noworodka bardzo wyczerpuje. Ale w twoim przypadku, moim zdaniem, chodzi nie

tylko o zmęczenie. To coś więcej.

Gwen zagryzła wargę, starając się zapanować nad emocjami i unikać spojrzenia doktora. „Pobożna biała kobieta nie rodzi kolorowego dziecka”. I nie oddaje swego dziecka w obce ręce. Tego zdania również była Gwen, choć usilnie starała się przekonać, że lepiej było dziecko oddać niż udusić. Czuła się godna największej pogardy. Tak nędzna i żałosna, że nie mogła tego oddać słowami.

– Powiesz mi o tym, Gwen?

– Och, doktorze! Jeśli**...**

Drzwi otwarły się i do pokoju wkroczył Laurence.

– Skończyliście?

Doktor spojrzał na Gwen. Kiwnęła głową.

– Na dzisiaj skończyliśmy. Myślę, że sytuacja znacznie się poprawi, jeśli twoja żona postara się w jak najbardziej łagodny sposób doprowadzić do tego, by dziecko było karmione o określonej porze. Gwen, proszę, nie zapominaj, że możesz zawsze do mnie zadzwonić.

Laurence odprowadził doktora do drzwi, a gdy ten zniknął za progiem, zapytał:

– Wolisz być sama czy pragniesz towarzystwa? Verity na pewno chętnie posiedzi przy tobie. Bardzo chce ci pomóc.

– Dziękuję, ale wolę być sama – odparła stanowczo, prawie ostro.

Laurence, kiedy odwracał się w stronę drzwi, miał nietęgą minę.

– Ale między nami wszystko w porządku, prawda, Gwen?

– Naturalnie.

Pokiwał głową i wyszedł. Została sama. Była bardzo zdenerwowana. Przecież mało brakowało, a wyjawiłaby doktorowi prawdę! Poza tym Laurence zamartwia się o nią**...**

Usta Gwen drżały, w skroniach pulsowało, głowa rozbolała. Czasami miała wrażenie, że ta obolała głowa jest spuchnięta. W nocy po wizycie doktora sen miała niespokojny, krótki. Obudziła się o brzasku, kiedy niebo szarzało. Bardzo chciało jej się pić. Czuła się okropnie samotna i pragnęła, by był przy niej Laurence.

Przed oczami wciąż miała malutką dziewczynkę. W swoich ramionach, w łóżeczku obok Hugh. Ten obraz trwał i trwał, granica między wytworem wyobraźni a rzeczywistością zdawała się zanikać. Widziała maleństwo ssące jej pierś, długie czarne trzepoczące rzęsy, słodką, pucołowatą buzię. Ten obraz był tak realny, że gotowa była biec do pokoju dziecięcego, przekonana, że Liyoni nadal tam jest i śpi sobie słodko w kołysce obok braciszka.

Wystraszona, a jednocześnie pragnąca ponad wszystko, by właśnie tak było,

pobiegła do pokoju dziecięcego. Tam oczywiście spało tylko jedno dziecko. Stanęła przy kołysce, wsłuchując się w równomierny oddech synka. Powinna przecież słuchać oddechów dwojga dzieci. Tak, dwojga, dlatego czuła się teraz tak, jakby ją samą podzielono na pół. I jedna połowa znikła.

Zaciskając pięści, odwróciła się na pięcie i wróciła do swej sypialni, świadoma, że nic nigdy nie wypełni tej bolesnej pustki. Popatrzyła w lustro, bo poczuła gwałtowną potrzebę spojrzenia na siebie. Na swoją twarz, twarz rzeczywistą. Wpatrywała się w nią, mrużąc oczy, bo jednocześnie starała się przypomnieć sobie, co podsłuchała z rozmowy Laurence'a z doktorem. Przypomnieć sobie słowa, które teraz wydały jej się bardzo istotne.

Laurence wspomniał o Caroline, o tym, że boi się, że historia się powtórzy.

Caroline nie żyje.

Potem Gwen starała się już w ogóle nie myśleć, ani o Caroline, ani o swojej córeczce. Tylko płakała długo w pogrążonej w ciemnościach łazience, gdzie mogła ukryć łzy. A kiedy rano Naveena przyniosła jej herbatę i tosty, na widok jedzenia zrobiło jej się niedobrze. Nie wzięła nic do ust. Tosty i herbata na stoliczku przy łóżku stygły, ona siedziała nieruchomo, bijąc się z myślami. Świadoma, że w tym pokoju nie może siedzieć całą wieczność, że musi coś zrobić, bo nie wolno jej dopuścić, by to, co się stało, zniszczyło życie jej i Laurence'a. Musi znaleźć jakieś rozwiązanie, musi zdobyć się na odwage. Na tak wielką odwagę, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie potrzebowała.

Podeszła do umywalki i zaczęła się myć, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Usiadła przed toaletką i spojrzała w lustro, na swoją twarz. Zmienioną, ale ta zmiana była oczywista tylko dla niej. Dla innych może nie. Do czasu, bo kiedyś poczucie winy będzie na pewno wypisane na tej twarzy. Kiedy? Za lat pięć, dziesięć?

Przemknęła spojrzeniem po flakonikach z perfumami i sięgnęła po swoje ulubione, Apr**è**s L'Ondée. Poperfumowała się za uszami, piękny zapach rozszedł się po pokoju, a ona sięgnęła po szczotkę ze srebrną rączką. Podczas szczotkowania włosów podjęła decyzję. Odłożyła szczotkę i wyjęła wsuniętą między jedwabne apaszki akwarelę, namalowaną przez pana Ravasinghe.

Zapałki, których Naveena używała, kiedy rozpalała w kominku, leżały na swoim miejscu. Wzięła je do ręki i spojrzała w okno – na jezioro, piękne, poznaczone migotliwymi plamami, wyglądającymi jak monety z ciekłego złota. Popatrzyła na poranne niebo, chyba jaśniejsze niż zwykle, na chmury, wyjątkowo tego dnia puszyste. Zrobiło jej się lżej na duszy. Włożyła akwarelę do kosza na papiery,

zapaliła zapałkę i przytknęła do obrazka. Obserwowała, jak obrazek staje w płomieniach, kurczy się i zmienia w garstkę popiołu.

12

Gwen najchętniej nie ruszałaby się z łóżka, by nie stawiać czoła kolejnemu dniu. Doktor zalecał jednak aktywność fizyczną, dlatego po kilku dniach przemogła się. Wstała i starając się nie myśleć o niczym, ubrała się, a potem poprosiła Naveenę, by posiedziała z Hugh i wzywała ją tylko w porze karmienia. Przestawienie płaczliwego Hugh na stałe godziny karmienia nie było łatwym zadaniem, ale należało to zrobić, skoro wszystkim miało to wyjść na dobre.

Kiedy przekraczała próg, poczuła nagły przypływ energii. Jakby obudziła się po długiej drzemce i żądza czynu skutecznie przytłumiła niewesołe myśli i to ciągłe oskarżanie samej siebie.

Już jakiś czas temu odkryła na tyłach domu, na parterze, sporą pakamerę. Chłodną, bo ściany były tu wyjątkowo grube, a okna wychodziły na zacienioną część ogrodu. Pakamera znajdowała się w pobliżu kuchni, był więc dostęp do wody, i dlatego Gwen pomyślała, że byłoby to świetne miejsce na serowarnię. Tam właśnie miała zamiar teraz się udać. Z wysoko uniesioną głową przemaszerowała przez dom i bocznymi drzwiami wyszła na dziedziniec. Tuż przed nią malutki fioletowo-czarny nektarnik zrywał się właśnie do lotu. Drugi ptaszek poszedł za jego przykładem i oba wzbiły się ku bezkresnemu niebu, błękitnemu w ten piękny, słoneczny dzień. Patrzyła za nimi, póki nie usłyszała, jak ktoś otwiera okno.

Z okna wychyliła się Verity.

– Dzień dobry! Widzę, że zerwałaś się już z łóżka!

– A tak! – odkrzyknęła Gwen, mrużąc oczy przed słońcem. – Tak sobie chodzę!

– Mogę pochodzić razem z tobą?

– Nie idę na spacer. Mam zamiar uporządkować pakamerę koło kuchni.

– A dlaczego nie zrobi tego ktoś ze służby? Ty masz przecież maleńkie dziecko.

– Owszem. Ale nie chcę, by z tego powodu traktowano mnie tak, jakbym była chora.

– Rozumiem. Mam ochotę się do ciebie przyłączyć. Dziś nie mam nic do roboty, mogę więc ci pomóc.

Gwen ta propozycja wcale nie przypadła do gustu, zmusiła się jednak do uśmiechu.

– Dziękuję, Verity, ale naprawdę nie ma takiej potrzeby. Poradzę sobie sama.

– Ale ja i tak zejdę na dół, bo naprawdę chcę ci pomóc. Poza tym to będzie pyszna

zabawa! Nie wiadomo przecież, co znajdziemy, sprzątając tę rupieciarnię.

– Dobrze. A więc czekam na ciebie.

Kiedy przechodziła przez dziedziniec, spojrzała na wysokie drzewa. Tego dnia wydały jej się inne, ich korony były jakby nie takie gęste, jaśniejsze. Już nie tak złowrogie, tworzące mroczny tunel, którym kiedyś biegła z duszą na ramieniu. Teraz było pięknie, słońce grzało, a w sercu pojawiła się nadzieja. Kluczyk do kłódki miała ze sobą. Kiedy poprosiła o niego, McGregor był wyraźnie zaskoczony, wyjaśniła mu więc dokładnie, jakie ma plany co do wyrabiania sera, a to z kolei, o dziwo, spotkało się z aprobatą. McGregor nie oponował, tylko wręczył jej kluczyk i, uśmiechając się miło, życzył powodzenia.

– Już jestem! – zawołała Verity, równając z nią krok i razem doszły do drzwi.

Kłódka, jak się okazało, wcale nie była zamknięta. Wystarczyło mocno ją pociągnąć. Potem obie pchnęły drzwi i poczuły powiew stęchłego powietrza, w którym unosiły się kłębki kurzu.

– Najpierw trzeba wszystko wynieść na dwór – oświadczyła Gwen.

– Wszystko? W takim razie nadal uważam, że powinni nam pomóc służący i zabrać stąd ciężkie rzeczy – zaprotestowała Verity.

– Masz rację – przyznała Gwen, rozglądając się dokoła. – Są tu ciężkie meble, których same nie damy rady podnieść.

Kilku chłopców ciekawych, co się dzieje, wyszło właśnie z kuchni. Verity powiedziała coś do nich po tamilsku i jeden z nich z powrotem wbiegł do kuchni, by po chwili znów pojawić się, ale już w towarzystwie *appu*. Kucharz z nieruchomą twarzą skinął głową Gwen, a do Verity się uśmiechnął. Verity również się uśmiechnęła, zagadnęła do niego i skończyło się na krótkiej pogawędce, podczas której *appu*, oparty o ścianę, wypalił papierosa.

– Jak widać, jesteście w dobrej komitywie – zauważyła Gwen, kiedy kucharz znikł z pola widzenia. – W stosunku do mnie nie jest taki swobodny.

– Wobec mnie musi być miły. W końcu to ja znalazłam mu tę pracę!

– O!

– Za chwilę przyśle tu kilku chłopaków do pomocy. Na pewno nie będą zachwyceni, bo pobrudzą białe ubrania, a przecież dziś nie jest dzień gruntownego sprzątania.

Gwen uśmiechnęła się.

– Wiem coś o tym. W końcu to ja ustaliłam harmonogram prac domowych.

Przecisnęła się obok starej komody, której okres świetności dawno minął.

– Verity, spójrz! Tę komodę zżerają jakieś robaki!

– Prawdopodobnie termity, najlepiej więc ją spalić. O, tak! Rozpalimy ognisko! Uwielbiam ogniska!

– Może rzeczywiście należy tak zrobić. Trzeba porozmawiać z ogrodnikiem. Nie wiesz, gdzie może być? Ja nie jestem na bieżąco, prawie cały czas siedzę przy dziecku**...**

– Pójdę się rozejrzeć.

Verity ruszyła na poszukiwanie ogrodnika, a Gwen, pełna zapału, zaczęła wynosić na dwór mniejsze przedmioty, które musiały w tym składziku przeleżeć dobrych kilka lat. Połamane krzesła kuchenne, kilka popękanych wazonów, pogięta parasolka, w której brakowało jednego, a może i dwóch drutów, kilka pokrytych kurzem drewnianych i metalowych skrzynek. Wszystko to Gwen ułożyła w schludny stos, do którego wystarczyło tylko przytknąć zapaloną zapałkę. Kiedy przyszli chłopcy do pomocy, wskazała palcem na komodę i jeszcze kilka innych mebli upchniętych z tyłu. Chłopcy zabrali się do roboty. W obłokach kurzu ich schludne ubrania już po chwili utraciły śnieżną biel.

Na końcu wynieśli otomanę, po bokach obitą materiałem, teraz poplamionym i porwanym. Siedzisko obite było skórą. Kiedy Gwen uniosła je i zajrzała do wyłożonej blachą skrzyni, na moment zastygła, zszokowana tym, co zobaczyła. W jej rodzinnym domu w takiej skrzyni chowało się po prostu pościel. W tej otomanie natomiast schowane było coś innego. Rzeczy malutkiego dziecka. Pieluszki i ubranka, poskładane bardzo starannie i owinięte w bibułkę. Kaftaniki, buciki i czapeczki robione na drutach, ozdobione ślicznym haftem. A na samym dnie Gwen zauważyła pożółkłą koronkę. Bardzo dużo koronki, dlatego zaintrygowana wyjęła ją i strząsnęła, by obejrzeć w całej okazałości. Długi, dobrze zachowany kawałek delikatnej materii, starannie przechowywanej, kiedyś zapewne śnieżnobiałej**...**

W oczach Gwen zakręciły się łzy. Boże wielki, przecież to welon! Na pewno. Welon Caroline.

Otarła ręce o spódnicę, otarła też łzy, żałując bardzo, że dane jej było zobaczyć coś, co może wzbudzić tylko wielki smutek. Kazała chłopcom wnieść otomanę z powrotem do środka. O dalszym losie rzeczy schowanych w tej otomanie powinien zadecydować Laurence.

Kiedy zobaczyła nadchodzącą Naveenę z małym Hugh w objęciach, doznała wielkiej ulgi. Od razu też poczuła, że jej piersi są twarde i chyba sączy się z nich mleko. Odebrała od *ayah* synka i weszła do domu, po drodze dokonując małego podsumowania. Przez prawie cały ranek ani razu nie pomyślała o córeczce. Nie

czuła się zdruzgotana. Czuła się normalnie. Był tylko jeden przykry moment, kiedy zajrzała do skrzyni w otomanie. Tylko jeden, czyli zrobiła wielkie postępy i to dodało jej otuchy. Może właśnie w ten sposób, wynajdując sobie najrozmaitsze zajęcia, uda jej się wznieść wokół siebie mur. Zbawienny mur, dzięki któremu jej dusza przestanie cierpieć.

Podczas lunchu Laurence był w znakomitym nastroju. Gwen niestety nie, ale na szczęście udało jej się to skutecznie ukryć przed mężem, który żartował, śmiał się i był zachwycony, kiedy powiedziano mu, że malutki Hugh też już się uśmiecha.

– No, może nie był to jeszcze taki prawdziwy uśmiech – powiedziała Verity. – Ale to nieważne. Hugh jest rozkoszny i dziś wcale tak często nie płakał, prawda, Gwen?

– Tak. Może doktor miał rację, że należało wprowadzić stałe pory karmienia.

Verity uśmiechnęła się.

– Nie mogę się doczekać, kiedy mały podrośnie.

Laurence odwrócił się, by spojrzeć na Gwen.

– Wyglądasz o wiele lepiej. Bardzo mnie to cieszy.

– Pomagałam Gwen wysprzątać tę pakamerę koło kuchni – powiedziała Verity. – Gwen będzie robiła tam sery.

– Naprawdę?

– Tak.

– To też bardzo mnie cieszy. Nadzwyczaj.

– Aż tak? Dlaczego?

– Po prostu mnie cieszy. I basta. A teraz powiem wam coś. Mam dobre wieści.

– A więc mów! – ponagliła go zaintrygowana Gwen.

– Jak wiecie, zainwestowałem w kopalnie miedzi. Kupiłem akcje za pośrednictwem banku Christiny, to znaczy banku, którego ona jest głównym udziałowcem. Jak dotąd, wszystko dzieje się po mojej myśli i jeśli to się nie zmieni, kto wie, czy za kilka lat nie będę mógł kupić sąsiedniej plantacji. Czyli byłaby to już trzecia i zostalibyśmy największymi plantatorami herbaty na Cejlonie!

Gwen zmusiła się do uśmiechu.

– Wspaniale, Laurensie. Gratuluję!

– Przede wszystkim należy podziękować Christinie, bo to ona podczas tamtego balu w Nuwara Eliya namówiła mnie do tej inwestycji. W dzisiejszych czasach duże pieniądze robi się głównie w Ameryce. Anglia jest daleko w tyle.

Christina**...** Gwen spochmurniała.

Laurence zmarszczył brwi.

– Bardzo bym chciał, żebyś ją polubiła, Gwen. Po śmierci Caroline okazała mi

dużo serca.

– I wtedy podarowałeś jej tę maskę diabła?

– Widziałaś ją? Nie wiedziałem.

– Widziałam. Kiedy byłam na lunchu, podczas którego pan Ravasinghe przekazał jej namalowany przez siebie portret. Moim zdaniem ta maska jest okropna.

Laurence również spochmurniał.

– Taka maska to rarytas. Bardzo trudno ją zdobyć. Tubylcy zakładali je podczas tradycyjnego tańca diabła. Podobno nadal to robią. Caroline widziała kiedyś taki taniec na własne oczy.

– Gdzie?

– Niestety, nie pamiętam. Mówiła mi, że noszą te maski i dziwne stroje i całkowicie zapamiętują się w tym dzikim tańcu.

– Okropność – mruknęła Verity.

– Dla Caroline było to fascynujące.

Po deserze Verity wstała i oznajmiła, że strasznie boli ją głowa. Kiedy znikła za progiem, Laurence wyciągnął rękę do żony. Ona też, pokonując wewnętrzny opór, wyciągnęła dłoń i jak to miała kiedyś w zwyczaju, żartobliwie dotknęła dołka w jego brodzie. Wiedziała, że jeśli chce zatrzymać męża przy sobie, musi się przełamać.

– Bardzo mi ciebie brakowało, kochanie – powiedział Laurence i pocałował ją w szyję.

Gwen zadrżała, ale kiedy ją objął, trochę się odprężyła – mimo przerażającej świadomości, że aby uratować małżeństwo, musiała pozbyć się dziecka. Wtuliła twarz w jego pierś, teraz już pragnąc go najgoręcej. Całego. Zdając sobie sprawę, że on tego samego od niej nie otrzyma. Nie będzie miał jej całej, bo ona jakąś cząstkę zachowa tylko dla siebie. I tak już będzie zawsze.

Zajrzała mu w oczy, w których było tyle miłości i pożądania, że na moment zabrakło jej tchu. I jeszcze bardziej utwierdziła się w przekonaniu, że Laurence, który nie ponosi żadnej winy, nigdy nie powinien dowiedzieć się prawdy.

– Idziemy! – powiedziała, uśmiechając się zalotnie. – Na co jeszcze czekasz?

Roześmiał się.

– Na ciebie, kochanie!

Dni mijały jeden za drugim i Gwen, zgodnie ze swoim postanowieniem, starała się mieć ręce pełne roboty. Przeglądała ubranka dziecięce, które znalazła w otomanie, wyszukując te niezniszczone, i dalej robiła porządki w pakamerze. Niestety, nie udawało jej wznieść tego wymarzonego muru obojętności i zapomnienia.

Przeciwnie, nadal czuła się tak, jakby narodziny Liyoni nadszarpnęły najważniejszą dla człowieka nić, nić życia, i niewiele potrzeba, by ta nić została definitywnie przerwana.

Jednocześnie nadal trudno jej było uwierzyć w to, co się stało, i czuła się odseparowana od reszty domowników. Uwięziona w swoich troskach i wątpliwościach, prześladowana jednym pytaniem: Czy Savi Ravasinghe istotnie zachował się tak obrzydliwie? Starała się skupić wyłącznie na uczuciu, jakim darzył ją Laurence, na swojej miłości do synka, na ich wspólnym życiu rodzinnym. Starała się, ale wystarczyło, że pomyślała o Liyoni, i już miała wrażenie, jakby coś w niej umierało. Była pewna, że Liyoni jest owocem tamtej nocy w Grand Hotelu. A ponieważ już następnej nocy kochała się z Laurence'em, modliła się żarliwie, by Hugh był naprawdę dzieckiem jej męża. Niestety, nie miała kogo zapytać, czy jest to możliwe. Z doktorem tego tematu nie mogła poruszyć, więc nie pozostawało jej nic innego, jak żyć w niepewności, powtarzając sobie nieustannie, że dopóki Naveena zachowa dyskrecję, nikt niczego nie będzie podejrzewać.

Równie usilnie starała się przekonać Laurence'a, że wszystko jest w porządku. Niestety, bezskutecznie. Czuła, że on wcale nie jest o tym przekonany i dlatego, by poprawić jej nastrój, zaproponował, że czternastego kwietnia pojadą obejrzeć uroczystości związane z powitaniem Nowego Roku. Z tą propozycją wystąpił pewnego popołudnia, gdy stali na brzegu jeziora i obserwowali ptaki, które nurkowały, chwytały zdobycz i ulatywały ku niebu. Dzień był piękny, niebo czyste, bez jednej chmurki, powietrze przesycone słodkim zapachem kwiatów. Kiedy Gwen nagle spojrzała w górę, zobaczyła na tle błękitnego nieba dumną sylwetkę orła przelatującego nad wysokimi drzewami za dziedzińcem.

– Taka wyprawa dobrze ci zrobi – powiedział Laurence. – Moim zdaniem nadal jesteś bez humoru.

– Nieprawda. Jestem tylko zmęczona.

– Doktor mówi, że jeśli nadal będziesz w złej kondycji, trzeba będzie wziąć mamkę.

– O, nie! Co to, to nie! – zaprotestowała.

– Dobrze, dobrze, nie mówmy już o tym. A więc uzgodniliśmy, że pojedziemy świętować uroczystą chwilę pożegnania starego roku i powitania nowego. Jak mówią, chwilę, w której na moment wszystko zamiera i wtedy rodzi się nadzieja.

– Ale Hugh jedzie z nami, prawda? Jest za mały, żeby zostać bez matki. Naveena też powinna pojechać.

– Oczywiście, że zabierzemy go ze sobą. Nie ma problemu, ponieważ te

uroczystości niewiele mają wspólnego z religią. To raczej rodzinne święto, które spędza się w gronie najbliższych. Jest okazja, by ubrać się elegancko i dobrze zjeść.

Gwen postarała się, by na jej twarzy zagościł uśmiech.

– Brzmi zachęcająco. A co jeszcze nas czeka, oprócz eleganckiego stroju i dobrego jedzenia?

– Jeśli dopisze nam szczęście, zobaczymy tancerzy, kolorowe lampiony i będziesz miała okazję posłuchać, jak grają na *rabanas*, czyli bębnach z blachy miedzianej. Okropnie głośno, ale posłuchać warto.

Pokiwała głową.

– Dobrze. Ale co mam na siebie włożyć?

– Naturalnie coś nowego.

– W takim razie idę sprawdzić, co mam w szafie.

Odwróciła się na pięcie, gotowa wracać do domu, ale Laurence złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Spuściła głowę, spoglądając na swoje stopy, potem na jezioro. Laurence podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

– Kochanie, proszę, wyrzuć te stare ubranka dla dziecka. Nie powinienem ich przechowywać. Ale wtedy nie wiedziałem, co z nimi zrobić.

– A co z welonem Caroline?

Po twarzy Laurence'a przemknął cień.

– To on też tam był?

– Tak. Naveena uprała go i rozwiesiła na słońcu, ale nadal jest trochę pożółkły.

– To stary welon. Należał do mojej matki, dopiero potem do Caroline.

– Czyli jest pamiątką rodzinną i należy go zachować.

– Nie. Zbyt wiele smutnych wydarzeń wiąże się z tym welonem. Pozbądź się go.

– Proszę, powiedz mi, co takiego stało się z Caroline?

Laurence przez chwilę milczał, potem zrobił głośny, drżący wdech.

– Była chora psychicznie.

– I ta choroba ją**...** zabiła?

– Przepraszam, Gwen, ale nie potrafię o tym mówić.

Caroline i maleńki Thomas**...** W oczach Gwen zakręciły się łzy. Pojawiały się tam ostatnio bardzo często, bo nerwy miała zszarpane. Utrzymanie w sekrecie faktu narodzin Liyoni było coraz trudniejsze, a teraz, kiedy Laurence był przy niej, czuła się nieskończenie smutna. Ale nie wolno jej płakać. Absolutnie! Gdyby zalała się łzami, a Laurence zacząłby ją pocieszać, kto wie, czy nie wyjawiłaby mu tajemnicy.

Kiedy objął ją ramieniem, jej usta mimo woli otworzyły się i wymknęło się z nich

pierwsze niepożądane słowo. Przerażona, szybko wysunęła się z jego objęć i mamrocząc słowa przeprosin, szybkim krokiem ruszyła w stronę domu. Resztką sił zapanowała nad sobą. A tam, w domu, przez swój pokój tylko przemknęła, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w łazience. Jej łazienka była skromna i bardzo ładna. Ściany miała wyłożone zielonymi kafelkami, a podłogę niebieskimi. Dobre miejsce, by popłakać sobie w samotności.

Na chwilę przysiadła na brzegu wanny, potem wstała i spojrzała w lustro – piękne lustro w srebrnych ramach. Oczy miała podpuchnięte. Westchnęła i zaczęła się rozbierać. Zobaczyła warstwy zbędnego tłuszczu na piersiach, brzuchu i udach i znów poczuła się obco we własnej skórze. A przecież kiedyś była taka szczęśliwa, pewna, że jej przeznaczeniem jest zostać żoną Laurence'a i matką jego dzieci. No i była, choć jednocześnie również matką dziecka kogoś innego. Widocznie tak było jej pisane. Urodzić dziecko, poczęte pewnej nocy, której prawie nie pamiętała, o której starała się nie myśleć. Ani o tym, co mogła wtedy robić. Niestety, im bardziej się starała, tym częściej widziała przed sobą czarne oczy Saviego Ravasinghe.

Teraz też, dlatego zacisnęła usta i pięść. Nienawidziła go z całego serca za to, co jej zrobił. Nienawidziła tak bardzo, że ręka sama się uniosła i pięść uderzyła w lustro w srebrnych ramach. Poddało się od razu. Teraz w popękanym lustrze widziała kilkanaście odbić swojej nagiej postaci, zobaczyła też coś, co przyniosło jej dziwną ulgę. Kilkanaście poranionych pięści, z których sączyła się krew.

Zapowiadane szumnie przez Laurence'a święto okazało się wydarzeniem bardzo spokojnym. Wszędzie wokół domów paliły się pochodnie i kadzidła; smugi dymów, splecione ze sobą, wirowały w powietrzu. Grano na bębnach. Gwen od razu rozpoznała te same dźwięki, które usłyszała po raz pierwszy tuż po przybyciu do Kolombo.

Z maleńkim Hugh w objęciach oparła się o szeroką pierś męża, starając się choć trochę odprężyć. Zraniona ręka, starannie owinięta bandażem przez Naveenę, nie dokuczała i Gwen ogólnie czuła się całkiem nieźle. Ten wyjazd okazał się naprawdę dobrym pomysłem. Verity sprawiała wrażenie zadowolonej, a Naveena prawie bez przerwy uśmiechała się i kiwała głową.

– Spójrz, Gwen! – zawołał Laurence. – To tancerze z Kandy!

Gwen spojrzała na tancerzy w długich białych spódnicach, z dzwoneczkami wokół nadgarstków i paskami wysadzanymi drogimi kamieniami. Za tancerzami szli ubrani w purpurę i złoto mężczyźni w turbanach, którzy mieli do pasków przytroczone

bębny. Miarowy dźwięk tych bębnów był hipnotyzujący. Za bębniarzami szły tancerki w tradycyjnych strojach o delikatnych barwach. Szły, klaszcząc w ręce, a za nimi podążały gęsiego małe, brązowe, szczuplutkie dziewczynki, od których Gwen nie mogła oderwać oczu. Wpatrywała się w ciemne twarzyczki, skupione jak w transie, w drobniutkie postacie wykonujące nieskomplikowane, ale pełne wdzięku ruchy, obroty i powolne gesty dłońmi i nadgarstkami. Patrzyła na ciemne, wijące się włosy, spadające swobodnie na plecy. Wytężała wzrok, bo każda z tych dziewczynek miała twarz i postać jej córeczki. Przecież Liyoni kiedyś będzie właśnie taka**...**

Jakże za nią tęskniła! Tak bardzo, że w gardle ją ścisnęło i zabrakło tchu. Oddychaj, oddychaj, nakazała sobie. Zrobiła krok do przodu i nogi się pod nią ugięły. Od upadku uchroniły ją silne ręce męża. Naveena szybko odebrała dziecko, a Laurence przeprowadził Gwen przez tłum do ławki stojącej na skraju rynku.

– Usiądź i pochyl się. Nisko, tak żebyś głowę miała między kolanami.

Zrobiła, co kazał. Z wielką ulgą, bo dzięki temu mogła ukryć twarz przed jego bacznym spojrzeniem. Czuła na plecach ciepło jego dłoni. Głaskał ją tak czule i delikatnie, że w jej oczach znów zakręciły się łzy.

Po chwili oddech się wyrównał, w głowie przestało się kręcić, usiadła więc prosto. Jednak w środku była jeszcze cała rozdygotana.

Laurence położył dłoń na jej czole.

– Kochanie! Jesteś rozpalona!

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nagle zrobiło mi się okropnie gorąco, chybabym upadła. I okropnie boli mnie głowa.

W tym momencie podbiegła do nich Verity, która dopiero teraz zauważyła, że przeszli w inne miejsce.

– Straciliście najlepszy kawałek! Połykacza ognia! Wyobraźcie sobie, że był nim mały chłopiec! Gwen, jesteś taka blada. Co się stało? Coś z Hugh?

– Wracamy do domu – oznajmił Laurence.

Verity spochmurniała.

– Ale dlaczego? Przecież tu jest fantastycznie!

– Wracamy, bo Gwen rozbolała głowa.

– O Boże! Jak zwykle najważniejsza jest Gwen i jej bóle głowy! A ja wcale się nie liczę!

Laurence nie dyskutował, tylko wziął żonę pod łokieć i poprowadził do samochodu. Verity szła kilka kroków za nimi, ale jej gniewny głos nadal dolatywał do uszu Gwen.

13

O trzeciej w nocy Gwen obudziła się zlana potem i od razu usiadła. W dzieciństwie o tej właśnie godzinie budziła się wystraszona, że przyjdą po nią duchy z Owl Tree. Teraz też była wystraszona, dlatego drżącym głosem zaczęła wołać Naveenę, która spała w pokoju dziecięcym. *Ayah* przybiegła od razu, bardzo zaniepokojona, a Gwen wymamrotała tylko, że miała zły sen. Śniło jej się, że dzieje się coś złego z jej dziećmi, a ona, choć stara się zrobić wszystko, co w jej mocy, może uratować tylko jedno z nich. Potem przysnęła i tym razem słyszała płacz dziecka. Wiedziała, że płacze jej córeczka; nie miała jednak pojęcia, czy to sen, czy też znów się obudziła, a więc jawa. Jednak nie to było istotne, tylko ten płacz, rozpaczliwy, rozdzierający serce.

Była to już czwarta noc, kiedy Gwen budziła się roztrzęsiona, z trudem łapiąc powietrze, i dlatego podjęła decyzję. Zdawała sobie sprawę, że nieobecność Liyoni zaczyna być dla niej ważniejsza niż obecność Hugh. Należało koniecznie coś z tym zrobić, by odzyskać wewnętrzny spokój. To będzie możliwe tylko wtedy, gdy upewni się, że maleńka Liyoni jest w dobrych rękach, że dbają o nią należycie. Zdaniem Naveey, nie był to dobry pomysł, i Gwen musiała się sporo natrudzić, by stara służąca wreszcie zgodziła się spełnić jej prośbę. Jednak udało się i teraz trzeba było tylko poczekać, kiedy w domu nie będzie ani Laurence'a, ani Verity. Czyli przetrwać kolejne noce pełne koszmarów i wizji rozpaczliwego płaczu maleńkiej dziewczynki.

Wreszcie nadszedł ten dzień, kiedy Laurence i Verity postanowili wybrać się do Nuwara Eliya. Zamierzali zostać tam na noc, ponieważ Laurence chciał wieczorem zagrać kilka partyjek pokera w Hill Club, a Verity odwiedzić starych znajomych. Pojechali, a Gwen mogła spokojnie zacząć szykować się do drogi, rozmyślając o tym, że ona i jej mąż znajdą się w tak różnych miejscach. Laurence będzie w jednym z tych klubów, do których wstęp mają tylko mężczyźni. Kiedyś udało jej się zajrzeć do takiego klubu. Zobaczyła wtedy mroczną salę, na ścianach łby dzika, obrazy ze scenami z polowania i wypchane ryby. Laurence będzie tam, a ona zupełnie gdzie indziej. Trudno o większy kontrast.

Kiedy zawijała Hugh w kocyk, Naveena próbowała jeszcze oponować.

– To bardzo niebezpieczne, proszę pani. Może nam się w ogóle nie udać.

– Przestań, Naveeno, rób to, o co proszę.

– Tak, proszę pani. Powozik stoi koło domu. Czy ma pani jakieś pieniądze?

– Mam – odparła Gwen pewnym głosem, choć wcale tak się nie czuła. – Jedźmy już, bo lada chwila zrobi się jasno. Drzwi mojego pokoju zamknęłam na klucz, powiedziałam też kamerdynerowi, że dziś przez cały dzień nie wolno mi przeszkadzać.

Przemknęły do bocznych drzwi i wyszły na dwór. Poranek był bardzo chłodny. Gwen, mimo że miała na sobie stary płaszcz Naveeny, drżała z zimna. Płaszcz był obszerny, z kapturem, który nasunęła głęboko na czoło z nadzieją, że nie będzie widać jej oczu. Na ramiona zarzuciła jeszcze ciemny szal, w którym z kolei ukryła dolną część twarzy.

Zaciskając zęby, wgramoliła się do powoziku i usiadła na twardej ławeczce pod jedynym w swoim rodzaju daszkiem, uplecionym z liści palmy i rozpiętym na obręczy z rattanu. Serce waliło jej jak młotem, ręce drżały i z tego zdenerwowania zrobiło jej się gorąco. Naveena włożyła Hugh do koszyka. Usiadła z przodu i chwyciła lejce. Plasnęła nimi grzbiet bawołu, bawół parsknął i ruszył do przodu.

Nikt ich nie widział.

Powozik pachniał potem, dymem i herbatą. Kiedy wjeżdżały na wzgórze, Gwen wyjęła Hugh z koszyka i, tuląc do siebie śpiące niemowlę, odwróciła się, by spojrzeć na dom widoczny za zasłoną z mgły. W wielu oknach paliło się już światło. Szybciej, ponaglała Gwen w myślach, szybciej! Niestety powozik ciągnięty przez bawoła nie był najszybszym środkiem lokomocji, w końcu jednak dotarli na szczyt wzgórza; stamtąd wielki dom widać było już niewyraźnie, stawał się coraz mniejszy, a po chwili zupełnie znikł z oczu. Noc przeminęła, niebo zrobiło się żółtawe, mgła się rozwiewała i nadchodził rześki poranek. Jechały dalej, mijając wzgórza porośnięte równymi rzędami herbacianych krzewów, zdających się ciągnąć w nieskończoność. Kiedy wreszcie wyjechały z plantacji, Gwen zaczęła oddychać swobodniej, a nawet przymknęła oczy, rozkoszując się wdzięcznym śpiewem ptaków i dolatującym zewsząd słodkim zapachem jaśminu, dzikich orchidei i mięty.

Poprzedniego dnia wyszła z Hugh na spacer, bo spoza chmur wyjrzało słońce i zrobiło się znacznie cieplej. Mały Hugh bardzo potrzebował ciepłego dnia i słońca, by wygrzało jego policzki; podobnie jak ona był umęczony zarwanymi nocami i chaosem panującym w dzień. Niestety, kiedy Gwen chodziła po pachnącym, skąpanym w słońcu ogrodzie, wszędzie czuła obecność maleńkiej dziewczynki. A spokojny dotąd Hugh nagle zaczął płakać. Wyciągnął rączki, zaciskając i otwierając piąstki, jakby starał się sięgnąć po coś, co mu wciąż umykało.

Gwen westchnęła i usiadła wygodniej. Droga była gładka i powozik, mimo

topornych drewnianych kół, rączo sunął do przodu. Po jakimś czasie Gwen owionął inny zapach. Orzeźwiający zapach cytryn. Zaczęła oddychać bardzo głęboko, czując, że wreszcie zaczyna się odprężać całkowicie i po raz pierwszy od porodu oddycha pełną piersią.

– Teraz skręcimy – oznajmiła Naveena, spoglądając na nią przez ramię.

Gwen kiwnęła głową, po czym omal nie spadła z ławki, kiedy powozik podskoczył i trzęsąc się na boki, zaczął zjeżdżać w dół wyboistą drogą, pełną wykrotów i dołków. Po drugiej stronie drogi znajdowały się bardzo wysokie drzewa o ciemnych liściach, pod którymi nie rosło prawie nic.

– Niech pani tam nie patrzy – powiedziała Naveena.

– Dlaczego? Czy tam są *Veddha*?

Veddha, czyli mieszkańcy lasu. Laurence opowiadał jej o nich, a z tego, co mówił, wynikało, że ludzie ci mieszkają w lasach od wieków i są nieucywilizowani. Gwen przypomniała sobie groteskową maskę, jaką zdarzyło jej się oglądać, i poczuła się nieswojo.

– Nie, proszę pani. Tu mieszkają złe duchy.

– Na litość boską, Naveeno! – zawołała Gwen, wpatrując się w tył głowy służącej. – Chyba w to nie wierzysz!

Naveena potrząsnęła tylko głową i nie odezwała się. Gwen również; żadna z nich nie miała ochoty kontynuować tej rozmowy. Gwen spojrzała na pobocze i dostrzegła tam sambara, dużego jelenia. Był zaniepokojony, bo stał nieruchomo z uniesionym łbem ozdobionym pięknym porożem. Wielkie stworzenie pokryte sierścią w kolorze karmelu. Nie ruszył się z miejsca, tylko stał i patrzył na powozik.

W lesie panowała cisza, zmącona jedynie skrzypieniem drewnianych kół. Gwen, pogrążona w myślach, prawie nie zauważyła, kiedy Naveena ponownie skręciła i teraz po obu stronach wąskiej drogi pojawiły się całkiem inne drzewa o zwisających gałęziach. Spośród nich wyskoczyła nagle nieduża małpa i wylądowała na powoziku. Przylgnęła do płótna, rozpostarła palce i spoglądała ze złością. Dłonie i paznokcie miała czarne, ale oczy jak rozgniewany człowiek.

– To makak, nic pani nie zrobi – powiedziała Naveena, spoglądając przez ramię.

Trochę dalej, gdzie drzewa nie rosły już tak gęsto, nagle zapachniało dymem. Słychać też było jakieś głosy.

– Dojeżdżamy? – spytała Gwen.

– Jeszcze kawałek, proszę pani.

Jechały teraz szybciej, bo wąska droga była tu bez kamieni i dołków. Wiodła najpierw przez las, potem brzegiem rzeki. Gwen patrzyła na przejrzystą wodę,

w której odbijały się zielone liście drzew rosnących na przeciwległym brzegu. Zauważyła, że tu pachnie nie tylko ziemią i roślinnością. Wyczuwało się też jakiś inny, ostry zapach. Po drugiej stronie drogi widać było całe łany kwiatków podobnych do stokrotek, a przed sobą Gwen zobaczyła figowiec obsypany niedojrzałymi jeszcze owocami. Natomiast w znacznie szerszej teraz rzece siedziały dwa słonie, po uszy zanurzone w wodzie, i ucinały sobie drzemkę.

Naveena ściągnęła lejce, bawół zatrzymał się. Wysiadła i przywiązała lejce do gałęzi jednego z drzew.

– Proszę tu poczekać. Zaraz wrócę.

Gwen odprowadzała ją wzrokiem. Wiedziała, że może jej zaufać. Naveena zawsze była zgodna, niczego nie krytykowała. Gwen była pewna, że ma to związek z buddyzmem, z wiarą w przeznaczenie. Spojrzała na Hugh. Spał słodko w koszyku. Potem spojrzała na rzekę, gdzie dwóch smagłych mężczyzn z długimi włosami, zebranymi w węzeł na karku, wprowadzało do rzeki następne dwa słonie. Zwierzęta powolnym, dostojnym krokiem weszły do wody, usiadły ciężko, a mężczyźni zabrali się do mycia ich łbów. Któryś ze słoni zatrąbił, przy okazji wypuszczając strumień wody, który prawie dotarł do Gwen. Krzyknęła przestraszona. Jeden z mężczyzn poderwał głowę i od razu wyszedł na brzeg. Gwen szybko zakryła twarz, zostawiając nieosłonięte tylko oczy. Mężczyzna był prawie nagi, nie miał na sobie nic prócz płóciennej przepaski na biodrach i paska, za który wetknięty był nóż. Gwen z bijącym sercem pochyliła się nad Hugh, osłaniając go ramieniem, jednocześnie powtarzając sobie w duchu, że ten nóż zapewne służy do otwierania orzechów kokosowych. Tylko do tego. Niestety mężczyzna wyciągnął nóż zza paska i zaczął zbliżać się do Gwen. Teraz była przerażona. Nie miała przy sobie żadnych pieniędzy, które mogłaby mu dać. On mówił coś, gestykulował, wymachując nożem. Gwen, która nie mówiła po syngalesku, potrząsnęła tylko głową. Mężczyzna znieruchomiał, wpatrując się w Gwen. Wtedy na szczęście pojawiła się Naveena z tłumoczkiem na rękach. Powiedziała coś ostro do mężczyzny. Odpędziła go. Wsiadła do powoziku i podała Gwen dziecko owinięte w szal. Gwen nie spojrzała na dziecko od razu, przytuliła tylko ciepły tłumoczek do piersi.

– Naveeno, czego ten człowiek chciał ode mnie?

– Pytał, czy nie ma pani pracy dla niego. Pokazywał ten nóż, bo chciał, żeby pani zobaczyła, że ma swoje narzędzia do pracy w ogrodzie.

– Wie, kim jestem?!

– Mówił: „biała pani”.

– To znaczy, że wie?

– Nie. Tak mówią o każdej kobiecie o białej twarzy. Teraz musimy przejechać przez wioskę, bo tu nie mogę zawrócić. Za mało miejsca. Niech pani włoży Liyoni do koszyka, obok Hugh. I zasłoni twarz.

Gwen zrobiła, co jej kazano. Kiedy powozik ruszył, odwróciła się, ponieważ z tyłu był nieosłonięty i mogła popatrzeć na wioskę. Na dwa szeregi chat krytych strzechą, koło których bawiły się roześmiane dzieci i przechodziły kobiety, niosące pakunki na głowie. Między drzewami słychać było śpiew. Przed jedną z chat dostrzegła mężczyznę toczącego gliniany garnek na kole garncarskim, przed inną znów chatą kobieta siedziała przy prymitywnych krosnach, przed kolejną – kobieta mieszała coś w garnku zawieszonym nad ogniskiem. Wioska sprawiała wrażenie bardzo spokojnego miejsca.

Kiedy były już z dala od ciekawskich oczu, zatrzymały się. Gwen rozwinęła szal, pogłaskała pucołowaty policzek i jej serce prawie przestało bić, kiedy wpatrywała się w córeczkę, nie mogąc nasycić oczu tak drogocennym widokiem. Malutka Liyoni była przepięknym dzieckiem, tak idealnym, że Gwen z zachwytu i półprzytomna ze szczęścia poczuła łzy pod powiekami. Hugh, który od chwili, gdy ułożono obok niego siostrzyczkę, ani razu nie zapłakał, teraz nagle zakwilił. Wtedy Gwen zauważyła, że kilka kroków dalej stoi jakaś dziewczynka, może dwunastoletnia.

– Naveeno, proszę, potrzymaj Hugh, a ja obejrzę Liyoni. I powiedz tamtej dziewczynce, żeby sobie poszła.

Liyoni obudziła się, ale nie płakała, tylko wpatrywała się w matkę. Gwen była tym bardzo poruszona, ale udało jej się opanować. Przecież przyjechała tu nie po to, by rozdrapywać rany, lecz by sprawdzić, czy dziecko ma dobrą opiekę. Tylko po to. Rozchyliła zawiniątko. Czując lęk i wielką tęsknotę, obejrzała dokładnie dziecko, każdy paluszek, rączki, nóżki. Pocałowała je w czółko, w nosek. Miała wielką ochotę ukryć twarz w czarnych lśniących włoskach. Zrobiła głęboki wdech, ale jednak na pucołowaty policzek spadła łza. Dziewczynka nie pachniała tak jak Hugh, talkiem i mlekiem. Pachniała już delikatnie cynamonem.

Gwen zakłuło w sercu. Ponownie zrobiła głęboki wdech i odsunęła się od dziecka. Bardzo chciała dalej trzymać je w ramionach, wiedziała jednak, że nie wolno dopuścić, by mała Liyoni skradła jej serce.

Powtórzyła więc sobie w duchu, że nie jest źle, bo dziecko naprawdę wygląda na zadbane. Przybiera na wadze, jest czyste, na pewno ma dobrą opiekę i ten fakt zmniejszał poczucie winy.

– Dziecko ma się dobrze.

– Tak, proszę pani. Przecież mówiłam to przez cały czas.

– Powiedz tej kobiecie, że jestem zadowolona i naturalnie dalej będę jej płacić.

Naveena pokiwała głową.

– A teraz weź ją, a ja wezmę Hugh.

Wymieniły się dziećmi i Naveena odeszła. Gwen, czując, jak ze wzruszenia ściska ją w gardle, słuchała szumu wiatru, szelestu drzew. Doszła do wniosku, że nie ma sensu zastanawiać się nieustannie, jak została poczęta Liyoni. Najważniejsze, by fakt jej istnienia nie wyszedł na jaw. Dlatego przysięgła sobie, że nigdy w życiu nie zamieni na ten temat ani słowa z panem Ravasinghe. Z nikim.

– Z czego żyje ta rodzina? – zapytała, kiedy Naveena już wróciła.

– To wieśniacy. Uprawiają ziemię, także hodują warzywa. Zbierają owoce w lesie. Widziała pani figowiec.

– Co jeszcze?

– Mają świnię i kilka kóz.

– A te pieniądze ode mnie przydają im się?

– Tak, proszę pani.

W drodze powrotnej, kiedy znów jechały przez wioskę, Gwen bacznie przyglądała się mijanym kobietom, jakby chciała rozpoznać, która z nich opiekuje się jej córeczką. Dostrzegła też wielkiego warana, z pazurami ostrymi jak brzytwa, wspinającego się na drzewo. A zaraz potem zauważyła kobietę wpatrzoną w powozik. Niewysoką, krępą, o wydatnym biuście i szerokich biodrach. Twarz również miała szeroką, czarne włosy splecione w warkocz ozdobiony koralikami. Kiedy mijały ją, uśmiechnęła się. Znacząco? Czy też był to zwykły, mimowolny uśmiech człowieka pogodzonego z całym światem? Gwen w pierwszej chwili wpadła w panikę, przerażona tym, co zrobiła, i zapragnęła odzyskać dziecko. Ale kiedy na uprzęży bawoła przysiadł piękny motyl o żółtopomarańczowych skrzydłach, jej oddech się uspokoił. Liczy się tylko to, że Liyoni ma dobrą opiekę. A kto ją sprawuje? Tego lepiej nie wiedzieć.

14

Silny kwiatowy zapach perfum Florence Shoebotham czuć było w całym pokoju. Siedziała na kanapie, oparta o skórę lamparta. Gwen z trudem powstrzymała się od uśmiechu, spoglądając na to zadziwiające zestawienie dzikości w postaci skóry groźnego drapieżnika z typową brytyjską powściągliwością reprezentowaną przez Florence, ubraną na niebiesko, przy czym był to spokojny, pastelowy odcień, który wydawał się mdły, bo skóra zwierzęcia, choć martwego, nadal emanowała energią.

Florence powoli podniosła filiżankę do ust i wypiła łyczek. Obwisły podbródek drżał i Gwen pomyślała, że biedna Florence jest taka zwalista, z przerzedzonymi już włosami i podwójnym podbródkiem.

– Cieszę się, że wyglądasz tak dobrze – powiedziała.

Gwen zrobiła odpowiednią minę, wyćwiczoną przed lustrem. Po tych dramatycznych chwilach, gdy dane jej było zobaczyć córeczkę, wielokrotnie siadała przed lustrem i wpatrzona w swoje odbicie powtarzała uparcie to jedno, największe kłamstwo. Wbijała je sobie do głowy, konsekwentnie, póki jej twarz nie przybrała pożądanego wyrazu. Oczy i ręce również zachowywały się, jak należy.

Teraz uśmiechnęła się miło. Uśmiech trwał, choć szczęka zaczynała już boleć.

– Jak się miewasz, Florence?

– Dziękuję, nie narzekam. Słyszałam od Verity, że masz zamiar wyrabiać sery!

Gwen spojrzała na szwagierkę, która nie uczestniczyła w rozmowie i była zajęta oglądaniem swoich paznokci. Sprawiała wrażenie osoby niemającej nic wspólnego z rozpowszechnianiem tej wiadomości. Prawdę mówiąc, Verity nie okazywała żadnego zainteresowania przedsięwzięciem Gwen.

– Owszem, ale jak na razie niewiele jeszcze zrobiono, to znaczy przygotowano tylko odpowiednie pomieszczenie. Ściany pomalowano na biało i wstawiono odpowiednie sprzęty. Mam już właściwie wszystko, co potrzebne do wyrobu serów. Trzeba jeszcze tylko sprowadzić z Anglii specjalny termometr do mierzenia temperatury sera i foremki serowarskie.

– Moim zdaniem to świetny pomysł. Trzeba przyznać, że masz głowę na karku!

– Dziękuję. A co do sprzętu, to moja matka przyśle mi starą prasę serowarską, która służyła wiele lat na naszej farmie w Owl Tree.

– Chyba niełatwo będzie zrobić dobry ser tu, na Cejlonie.

– Samo wyrabianie sera nie jest takie trudne. Najważniejsze, żeby dokładnie

wiedzieć, co należy zrobić z mlekiem. To podstawa.

– Masz zamiar sprzedawać ten ser?

Gwen pokręciła głową.

– Teraz przede wszystkim chcę się przekonać, czy to w ogóle się uda. Nie wiadomo, jak to będzie przebiegać w tutejszym klimacie. A sprzedaż**...** Nie, w ogóle mi to nie przyszło do głowy. Myślałam o produkcji na użytek domowy i dla osób zaprzyjaźnionych!

– O! Mam nadzieję, że ja także się do nich zaliczam.

– Naturalnie! A co do sprzedaży**...** Musiałabym się naprawdę zastanowić. Chodzi o rachunki i tak dalej. Liczby nie są moją mocną stroną. Łatwo się mylę**...**

– Ale chcesz się nad tym zastanowić i to się chwali! – wtrąciła niespodziewanie Verity. – Caroline w ogóle by się nad tym nie zastanawiała!

Florence uśmiechnęła się do Verity, po czym nachyliła się ku Gwen i zniżyła głos:

– Cieszę się, że już się tu zadomowiłaś. Wspaniale prowadzisz dom. A przedtem tyle czasu spędzałaś z tym malarzyną.

Gwen zesztywniała.

– Chodzi ci o pana Ravasinghe?

– Oczywiście.

– Spotkałam go zaledwie dwa czy trzy razy, w różnych okolicznościach.

– Może i tak, ale nigdy nie należy zapominać, że on nie jest Brytyjczykiem, a ci kolorowi mają to do siebie, że potrafią poważyć się na coś, co my, Brytyjczycy, uważamy za niestosowne.

Gwen zaśmiała się.

– Florence, zapewniam, że wobec mnie pan Ravasinghe zawsze zachowywał się jak najbardziej stosownie!

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jednak zalecam jak największą ostrożność – powiedziała Florence i zwróciła się do Verity: – Masz zamiar pomagać bratowej przy wyrabianiu serów?

Verity podniosła wzrok.

– Przepraszam, o co chodzi?

– Przestań wreszcie skubać te paznokcie. Rozmawiamy o wyrabianiu serów. Będziesz pomagać Gwen?

Florence jak to Florence już poczuła się włączona w sprawę, gotowa udzielić wielu cennych rad. Gwen, której zrobiło się żal szwagierki, pospieszyła z odsieczą.

– Wcale nie musi. Verity ma przecież swoje życie i własne plany.

Verity westchnęła.

– Ale to wspaniały pomysł! – ciągnęła niezrażona Florence. – Trafiła ci się naprawdę inteligentna bratowa, Verity, czyż nie? I to może być dla ciebie bodźcem do znalezienia sobie również jakiegoś pożytecznego zajęcia, a to z kolei z pewnością wzbudzi zainteresowanie płci przeciwnej.

– Tak sądzisz? W takim razie może coś zaproponujesz?

– Przede wszystkim trzeba mieć na uwadze to, że panowie chcą mieć żony dzielne i zaradne, takie jak Gwen. Sprawdzające się na wielu frontach. Nasza Gwen jest żoną, matką, prowadzi wzorowo dom i jakby tego było jeszcze mało, zamierza wyrabiać sery.

Verity spiorunowała Florence wzrokiem, zerwała się na równe nogi i krokiem marszowym opuściła pokój, po drodze wpadając na stolik; czajnik, dzbanuszek z mlekiem oraz cukierniczka spadły na podłogę.

Gwen w tym momencie wcale nie było szkoda szwagierki. Zirytowana, zadzwoniła na służącego.

– Wybacz, Florence. Nie wiem, co ją ugryzło.

– Verity ma trudny charakter.

– Tak. A jak radziła sobie z tym Caroline?

– Najczęściej ją ignorowała. Caroline była w ogóle raczej zamknięta w sobie, a i Verity naturalnie była wtedy o wiele młodsza, w wieku szkolnym. Nie sądzę, żeby były ze sobą zżyte. Jeśli mnie pamięć nie myli, Verity kiedyś opowiadała mi, że Laurence podejrzewa żonę o romans. Wyobrażasz to sobie?!

– Romans?! Caroline? Nie wierzę

– Ale tak było! Verity powiedziała mi, że kiedy przyjechała tu podczas wakacji, podsłuchała ich rozmowę. Laurence podobno robił Caroline wyrzuty, a ona wszystkiemu zaprzeczała. Moim zdaniem, Verity to zmyśliła. Dziewczęta w wieku, w jakim wtedy była, potrafią coś takiego zrobić.

– Może i tak**...**

– Potem, kiedy Verity ukończyła szkołę, przez jakiś czas mieszkała w Anglii. Ma tam przecież dom. A kiedy tu wróciła, nie odstępowała Laurence'a na krok. Moim zdaniem to po prostu nienormalne. Chociaż kto wie, czy nie było ku temu powodu. Jestem prawie pewna, że kiedy była sama w Anglii, przydarzyła jej się coś złego.

– Śmierć Caroline musiała być dla niej wstrząsem?

– Tak. Bardzo to przeżyła.

Kilka dni później Gwen w dawnej pakamerze, teraz serowarni, rozstawiała sprzęt. Prasa serowarska, która właśnie przybyła z Anglii, stała na stole pod ścianą,

a na innym stole, trochę mniejszym, znajdowały się cedzaki różnej wielkości, kilka dzbanów z mlekiem, drewniane łyżki, szeroki nóż kuchenny i wielka chochla. Foremki serowarskie zostały umyte, wysuszone i poukładane w schludne stosy. Chusty serowarskie uprane i powieszone na słońcu.

O świcie dostarczono bawole mleko w ilościach o wiele większych niż zwykle. Gwen od wpół do szóstej była już na nogach, włosy miała związane z tyłu i osłonięte siateczką, a na sobie wielki wykrochmalony śnieżnobiały fartuch. Gdy stała na środku pomieszczenia i lustrowała wzrokiem swoje nowe królestwo, raptem pojawił się Laurence.

– Byłam pewna, że już wyszedłeś!

– Jakże mogłem wyjść, nie rzuciwszy okiem na naszą nową serowarkę! – zażartował, podchodząc do niej. – Dziewczę nawet urodziwe! Najchętniej porwałbym ją na ręce i umknął z nią na stryszek na siano!

Gwen, zachwycona, że mąż tryska humorem, uśmiechnęła się promiennie.

– Ale my nie mamy żadnego stryszku na siano!

– Naprawdę? Jaka szkoda!

Przyciągnął ją do siebie i przez długą chwilę trzymał w objęciach.

– Wszystkiego dobrego, kochanie, w tym twoim pierwszym dniu!

– Dziękuję. A teraz uciekaj stąd. Mam mnóstwo roboty!

– Tak jest, proszę pani.

Patrzyła za nim. Zawsze gdy pojawiał się niespodzianie, jej serce wykonywało ten szczególny skok jak wtedy, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Patrzyła przez chwilę, a kiedy znikł jej z oczu, zabrała się do pracy. Najpierw ostrożnie odwinęła zakwas sprowadzony z Kandy, potem do wielkiej patelni wlała mleko, które miało być podgrzane w kuchni. Ostrożnie podniosła obiema rękami patelnię i ruszyła do drzwi. Kiedy była już u celu, uzmysłowiła sobie, że aby otworzyć drzwi, musi mieć jedną rękę wolną. Oparła ostrożnie patelnię o drzwi. Niestety, kiedy sięgnęła do klamki, patelnia wysunęła się z ręki i z głośnym brzękiem upadła na betonową posadzkę. Gwen, cała w mleku, musiała zmienić ubranie. Wróciła do pakamery, gotowa ponownie zabrać się do dzieła, ale pojawiła się tam również Naveena z rozkapryszonym Hugh.

Na domiar złego *appu* stał przed drzwiami kuchni. Widział wszystko, a po jego twarzy przemykał znaczący uśmieszek. Naturalnie nie mógł zakwestionować tego, co robi pani domu, ale kiedy powiedziała mu o swoich zamierzeniach, trudno było nie wyczuć, że wcale nie jest nimi zachwycony. W każdym razie ustalili, że Gwen będzie starała się w minimalnym stopniu zakłócać pracę kuchni, korzystając z niej

tylko o określonej porze.

Jak dotąd wszystko szło nie tak.

Po chwili udało się Gwen uspokoić synka. Naveena wróciła z nim do domu, a Gwen mogła przystąpić do pracy.

Kuchcik ponownie przyniósł mleko. Niestety kucharz nie dopilnował, by nie było gorące, i Gwen musiała poczekać, aż wystygnie. Zeszła nad jezioro, usiadła na ławeczce i zasłuchana w śpiew ptaków, patrzyła na białe chmury i pomarszczoną taflę jeziora, rozkoszując się łagodnymi powiewami wiatru. Nagle usłyszała, jak skrzypnęły drzwi i z hangaru na łodzie wyszedł Laurence.

– A co ty tam robisz?! – zawołała. – Nie jesteś w fabryce? Byłam pewna, że tam poszedłeś, tym bardziej, że pogoda się poprawiła.

– Jestem tu, bo przygotowałem niespodziankę.

– Dla mnie?!

– Dla żony kierownika fabryki herbaty.

– O, nie!

Laurence roześmiał się.

– Oczywiście, że dla ciebie. Chodź, to ci pokażę.

Okazało się, że stary hangar na łodzie zmienił się nie do poznania. Wszystkie ściany zostały odmalowane i mroczne pomieszczenie, służące jako składzik, zmieniło się w coś w rodzaju werandy. W szerokim oknie wychodzącym na jezioro powieszono nowe zasłony, wstawiono tu trochę sfatygowaną, ale wygodną sofę i stoliczek z żółtodrzewu, na stoliczku stał bukiecik nagietków.

Laurence pocałował żonę w policzek, potem rozsiadł się na sofie, nogi oparł na podnóżku i zapatrzył się na jezioro.

– Chwileczkę! A gdzie łódź? – spytała Gwen.

– Dokładnie pod nami. Załatana, pomalowana, gotowa do przejażdżki o zachodzie słońca. W ten sposób chcę ci przekazać, że byłem skończonym głupcem, kiedy nie docierało do mnie, że masz prawo być zmęczona opieką nad noworodkiem. Czy podoba ci się to, co wymyśliłem?

– Naturalnie. Jestem pod wielkim wrażeniem. Jak dałeś radę to wszystko zrobić tak, że nic nie zauważyłam?

– Ano jakoś dałem.

– Jestem zachwycona, Laurensie.

Usiadła na sofie, tuż obok męża, który objął ją ramieniem. Było cudownie tak siedzieć razem, patrzeć na wodę skrzącą się w blasku słońca i słuchać śpiewu ptaków.

– Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać, Gwen.

Kiwnęła głową. Nie wiedziała, co będzie tematem tej rozmowy, ale, rzecz dziwna, nagle poczuła niepokój.

– O Caroline.

– Ach tak**...**

– Mówiłem ci już, że miała problemy psychiczne. Ale nie powiedziałem jeszcze, jak umarła. Nie sądzę, żeby ktoś ci o tym wspomniał. Caroline utopiła się.

Gwen zrobiła głośny wdech, potem szybko zasłoniła ręką usta i potrząsnęła głową.

Laurence wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru. Rozłożył ją i wygładził.

– Kazałem służbie nie mówić nic o jej śmierci. Doszedłem jednak do wniosku, że powinnaś zobaczyć ten list. – I wręczył jej kartkę.

Drogi Laurensie!

Wiem, że tego nie będziesz w stanie pojąć i nigdy mi nie przebaczysz, ale nie mogę już dłużej znieść tego bólu dręczącego mnie od chwili narodzin Thomasa. Mam wrażenie, że zamieszkał we mnie diabeł, który zaciemnia mój umysł i całkowicie odbiera spokój. Przeżywam prawdziwe piekło, takie, jakiego człowiek nie jest w stanie sobie wyobrazić. I nie widzę innego wyjścia. Wybacz mi, że zabieram ze sobą Thomasa, ale nie mogę pozwolić, by został sam, bez matki, która będzie go chronić. Mimo że decyzja była strasznie trudna, postanowiłam, że on będzie ze mną, że razem znajdziemy spokój. Oby dobry Bóg mi przebaczył. A ty, mój kochany, kiedy mnie już nie będzie, znajdź sobie nową żonę, lepszą ode mnie. Nie mam nic przeciwko temu. Przeciwnie, modlę się, żeby tak się stało.

Nie obwiniaj siebie

Twoja Caroline

Kiedy Gwen skończyła czytać, miała ściśnięte gardło. Próbowała powiedziała sobie, że ta tragedia nie jest jej tragedią, więc zamiast poddawać się uczuciom, powinna pomóc Laurence'owi.

– Nie było mi łatwo**...** – powiedział cicho. – Najpierw rodzice, a potem Caroline**...**

– I dziecko.

Pokiwał głową, wyraźnie unikając jej spojrzenia.

– Potem jeszcze wojna, okopy**...** Choć ta wojna przyniosła ulgę. Nie było czasu na rozpamiętywanie.Trzeba było działać, żeby przeżyć.

Gwen z trudem powstrzymywała łzy.

– Caroline**...** musiała być bardzo chora, skoro zdecydowała się na taki krok.

Laurence odchrząknął, potem potrząsnął głową, jednak nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

– Czy to stało się tu? W tym jeziorze?

– Nie. Wtedy jeszcze trudniej byłoby to znieść.

Nieważne, gdzie to się stało, i tak było przerażające.

– Dlaczego ona to zrobiła?

– To bardzo**...** skomplikowana sprawa. Nawet doktor nie wiedział, co z tym zrobić. Powiedział mi, że niektóre kobiety po porodzie nigdy nie dochodzą do siebie psychicznie, tak jak Caroline, która jakby przestała być sobą. Prawie nie zajmowała się dzieckiem. Starałem się rozmawiać z nią, uspokajać, ale na próżno. Całymi godzinami siedziała, wpatrzona w swoje ręce, i drżała.

– Och, Laurensie**...**

– Czułem się kompletnie bezradny. Nie było żadnego sposobu, żeby do niej dotrzeć. Dziecko tylko karmiła, poza tym małym zajmowała się Naveena. W końcu doktor wspomniał o klinice psychiatrycznej, ale nie zgodziłem się. Bałem się, że Caroline już do końca swoich dni zostanie w tak okropnym miejscu. Potem oczywiście nie mogłem sobie wybaczyć, że jednak jej tam nie umieściłem.

Gwen przylgnęła do jego ramienia.

– Przecież nie mogłeś niczego przewidzieć.

– Mogłem. Mogłem uratować jej życie.

Gwen delikatnie pogłaskała go po policzku, potem objęła dłońmi jego twarz i szepnęła:

– Bardzo boleję nad tym, co się stało.

– Dziecko powinno dawać jedynie radość, ale**...** – Zamilkł.

– Nie musisz mi już nic mówić.

– Ale ja chcę. Chcę powiedzieć ci jeszcze tak wiele.

– A więc mów. Bo ja czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego Caroline napisała, że Thomas nie może zostać, nie mając przy sobie matki, która go będzie chronić? Przecież wiedziała, że ty go będziesz chronić, prawda?

Laurence tylko potrząsnął głową. Zapadła cisza. Długa cisza, a w oczach Laurence'a widać było coraz większy ból.

– Laurence, czasami lepiej zapłakać**...**

Drgnął i zamrugał. Broda mu się zatrzęsła i wreszcie popłynęły łzy. Powoli zraszały policzki, a ona, całując go w wilgotne usta, ścierała je z twarzy. Mężczyźni płaczą rzadko, a Laurence był dumnym mężczyzną. Jednak widziała go płaczącego

już po raz drugi.

– Jak można po czymś takim dojść do siebie, Laurence?

– No cóż... Czas leczy rany, dobrze też, kiedy człowiek ma dużo zajęć. A teraz mam ciebie i Hugh.

– Ale smutek pozostał, prawda?

– Tak.

Przez chwilę patrzył gdzieś w dal, ponad ramieniem Gwen, potem znów spojrzał na nią.

– Verity bardzo to przeżywała. Bała się mnie spuścić z oczu.

– Bała się, że też... możesz sobie coś zrobić?

– Nie wiem.

Zmrużył oczy, jakby się nad czymś zastanawiał. Może nad tym, co jeszcze chciałby powiedzieć, ale nie wie jak. Milczał, a Gwen objęła go mocno i przysięgła sobie w duchu, że nigdy, przenigdy nie zrobi nic, co mogłoby go zranić. Laurence rozwiązał jej biały fartuch, ściągnął go z niej, a kiedy położyła się na sofie, zaczął ostrożnie rozpinać jej sukienkę, jeden perłowy guziczek po drugim. Kiedy rozpiął wszystkie, zdjęła suknię i bieliznę. Laurence również się rozebrał. Po narodzinach Hugh byli ze sobą tylko raz. Bardzo rzadko zdarzało im się dotykać siebie nawzajem. Teraz, kiedy ich nagie ciała zetknęły się, Gwen uzmysłowiła sobie, że miłość to w istocie coś bardzo kruchego i niezwykle łatwo ją zniszczyć. Wstrzymała oddech, pragnąc, by ta chwila trwała w nieskończoność. Cudowna chwila, kiedy leżeli wtuleni w siebie, a cały świat wydawał się tak odległy.

– A jeśli ktoś tu wejdzie? – szepnęła.

– Nikt tu nie wejdzie.

Głaskał ją po udach, całował palce u stóp, a ona czuła, że nie może dłużej pozostawać bierna. Objęła go nogami. Kochali się, a potem leżała w jego ramionach, delikatnie przesuwając palcem po jego twarzy, świadoma, że jedna z jego rąk spoczywa na jej udzie.

– Kocham cię, Laurensie. I bardzo, bardzo boleję nad tym, co stało się z Caroline.

Kiwnął tylko głową i przytrzymał jej dłoń.

Spojrzała mu w twarz i dostrzegła, że jego spojrzenie jest już zdecydowanie bardziej pogodne.

– Czy, nie daj Boże, nie przyczyniłem się do tego, że twój pierwszy ser diabli wzięli?

– Bez obaw. Jeszcze nie zaczęłam, bo mleko było gorące i musiało wystygnąć. I chyba już wystygło, więc będę się zbierać. – Gwen wstała i przygładziła włosy. –

Wyglądam na pewno jak straszydło.

– Ty? Nigdy tak nie wyglądasz! Aha, jest jeszcze coś**...**

– Co?

– To miejsce należy tylko do nas. Tylko my tu będziemy przychodzić, kiedy któreś z nas będzie potrzebować azylu. Zgoda?

– Oczywiście.

– Będzie to miejsce, gdzie każde z nas w razie potrzeby będzie spokojnie mogło dojść do siebie.

– Świetnie.

– Naturalnie, możemy przyjść tu oboje i wtedy**...**

– Oczywiście!

Gwen, zachwycona, położyła dłoń na sercu i energicznie pokiwała głową.

Wróciła do swojej serowarni, dodała do mleka zakwas i odstawiła na godzinę. W tym czasie nakarmiła Hugh, potem włożyła go do wózka osłoniętego wielkim parasolem. Zaczął marudzić, wyszła więc z nim na dwór i pochodziła trochę, kołysząc delikatnie wózkiem i przy okazji wystawiając twarz ku słońcu. Hugh niebawem zasnął i wtedy Gwen powiedziała Naveenie, żeby też poszła odpocząć. Wózek postawiła tuż przy drzwiach serowarni. Na pewno usłyszy, kiedy mały się obudzi.

Weszła do środka. Dodała do mleka podpuszczkę, wymieszała i postawiła mleko pod oknem, w miejscu nagrzanym przez słońce. Była poruszona tym, co usłyszała o Caroline, ale jednocześnie pełna zapału. Ten dzień, wypełniony pracą, jest dobrym dniem. A maleńka ciemnoskóra dziewczynka, którą widzi bez przerwy w myślach, śpi sobie teraz spokojnie w swoim małym hamaku.

Część trzecia

Walka

15

1929, trzy lata później

Gwen i Hugh siedzieli przy stole naprzeciwko siebie, czekając na gości. Hugh w swoim marynarskim ubranku i z burzą jasnych loków wyglądał jak aniołek. Gwen natomiast miała na sobie suknię z niebieskiego przezroczystego szyfonu z modną, trochę dłuższą spódnicą, którą dostała w prezencie od Fran, kiedy spotkały się w Londynie. Suknia od razu przypadła jej do gustu, ponieważ czuła się w niej bardzo młodo i kobieco.

Po blisko czterech latach spędzonych na Cejlonie Gwen wtedy po raz pierwszy przyjechała do Anglii. Czekała na ten wyjazd z wielką niecierpliwością. Pierwsze dwa tygodnie spędziła w Owl Tree u rodziców, którzy na widok Hugh pękali z dumy i nie mogli się doczekać, kiedy przez tydzień będą mieli go tylko dla siebie. Obiecywali wnuczkowi pikniki oraz wyprawę koleją do Cheddar Gorge. Po dwóch tygodniach ich marzenie się spełniło, ponieważ Gwen wsiadła do pociągu i pojechała do Londynu, by odwiedzić Fran, która mieszkała na najwyższym piętrze okazałego domu zaprojektowanego przez znanego architekta. Widok z jej okien na Tamizę był piękny, ale Gwen, kiedy patrzyła na mętną, szarą wodę, musiała przyznać w duchu, że jej jezioro, tam, na Cejlonie, jest o wiele piękniejsze.

Przedtem w listach ustaliły, dokąd się wybiorą. Zaplanowały prawie każdy dzień, obie nie mogąc się doczekać wspólnych radosnych chwil. Niestety Gwen zaraz po przyjeździe do Fran zauważyła, że z kuzynką coś jest nie tak. Była blada i nie tak żywiołowa jak zwykle. Najpierw napiły się wybornej cejlońskiej herbaty, potem Fran spytała, czy Gwen życzy sobie, żeby pokojówka rozpakowała jej rzeczy.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym zrobić to sama, Frannie.

– Oczywiście, jak chcesz.

Zaprowadziła Gwen do sporego, elegancko urządzonego pokoju i zamknęła okno, by odgrodzić go od hałasu i kurzu londyńskiej ulicy. Gwen otworzyła walizkę i zaczęła wyjmować z niej suknie. Wyjmowała jedną po drugiej i po chwili zorientowała się, że Fran nadal stoi przy oknie.

– Fran? Czy coś się stało?

Kuzynka pokręciła głową.

Gwen wyjęła z walizki francuski granatowy kostium, odpowiedni na zakupy w domu towarowym Sefridge'a, zaplanowane na następny dzień, i podeszła do

wielkiej mahoniowej szafy. Kiedy szukała w jej mrocznym wnętrzu wieszaka, jej ręka otarła się o coś dziwnego. To było uszyte z jedwabiu pokrytego grubym haftem, a sądząc po rozmiarach, nie był to strój kobiecy.

Zaintrygowana wyjęła wieszak z szafy i zobaczyła czerwoną męską kamizelkę ze złotym haftem. Taką kamizelkę miał na sobie podczas balu Savi Ravasinghe, co do tego Gwen nie miała żadnych wątpliwości.

Fran odwróciła się od okna.

– O, nawet nie wiedziałam, że ją tu zostawił.

– Pan Ravasinghe był u ciebie?

– Tak. Zatrzymał się tu. Przyjechał do Londynu, ponieważ zamówiono u niego portret. On jest tutaj bardzo cenionym artystą.

– Nie pisałaś mi o tym.

Fran wzruszyła ramionami.

– Jakoś mi to nie przyszło do głowy.

– Fran, powiedz, czy między wami jest coś na poważnie?

– A**...** różnie.

Gwen starała się wyciągnąć coś jeszcze z kuzynki, niestety bezskutecznie. Kiedy tylko wspomniała o panu Ravasinghe, Fran natychmiast zamykała się w sobie. Po raz pierwszy między nimi wytworzyła się bariera i Gwen nie miała pojęcia, jak to zmienić. Bardzo martwił ją fakt, że Fran może rzeczywiście jest zaangażowana uczuciowo. Nigdy dotąd nie widziała kuzynki chorej z miłości. Bardzo chciała porozmawiać z nią szczerze, powiedzieć jej o Liyoni i ostrzec Fran przed Savim Ravasinghe, ale nie miała odwagi. Przypuszczała, że Fran będzie oburzona i na pewno dojdzie do konfrontacji z Savim. I Bóg raczy wiedzieć, do czego by to doprowadziło. Przecież Savi mógłby zapragnąć poznać swoją córkę! Nie, nie, o tym wolała nie myśleć.

Dlatego nie zaczynała tej rozmowy, czując jednocześnie, jakby zdradzała najlepszą przyjaciółkę. Kiedy minął tydzień, pojechała z powrotem do rodziców i po siedmiu dniach pełnych radości, choć jednocześnie i melancholii, z ulgą wsiadła na statek, by popłynąć z powrotem do domu. Na Cejlon.

Gwen siedziała razem z synkiem przy urodzinowym stole – dumna mama, świadoma, że czuje teraz coś więcej niż miłość, coś, czego nie była w stanie sprecyzować, choć przenikało ją to na wskroś. A Hugh, rozradowany, zaczął wiercić się, co przywołało ją do rzeczywistości. Przy dzieciach trzeba przecież cały czas uważać, bo za chwilę będzie chciało galaretkę albo ciasteczko, albo trzeba będzie

biec z nim do łazienki.

Jak ten czas leci! W ciągu tych trzech lat przywykła do swego nowego życia, do wszystkiego, nawet do tego, co czasami wydawało jej się tylko snem. No, może nie do końca**...**

Spojrzała w okno, za którym widać było jezioro i wzgórza o zaokrąglonych szczytach, pokryte szczelnie krzewami herbaty, poznaczone wysokimi, wiotkimi drzewami. Nad jeziorem stał hangar na łódź, w którym siedziała z Laurence'em po raz pierwszy przed trzema laty, a potem zaglądali tam często. Tak, życie się unormowało. Byli szczęśliwi, bo mieli więcej radości niż smutków, a kiedy w sercu Gwen budził się żal − tęsknota za Liyoni − potrafiła go w sobie stłumić.

Laurence bardzo chciał mieć jeszcze jedno dziecko i nie mógł zrozumieć, dlaczego jego życzenie się nie spełnia, skoro on tak się stara. Nie wiedział, że jego żona również się stara. Robi wszystko, by do tego nie doszło. Gwen, która po oddaniu Liyoni miała w sercu żywą ranę, uznała, że nie zasługuje na to, by ponownie zostać matką. Po każdym zbliżeniu z Laurence'em korzystała z irygatora, a kiedy czuła, że coś jest nie tak, wlewała w siebie dżin w ogromnych ilościach, a potem brała gorącą kąpiel. Naveena, pełna zrozumienia dla jej stanu ducha, robiła dla niej gorzki napar z ziół, dzięki któremu Gwen zawsze miała miesięczną przypadłość.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszły trzy osoby. Verity, McGregor i Naveena.

Verity klasnęła w dłonie.

– Hugh! To wygląda wspaniale!

Hugh obchodził trzecie urodziny, dlatego na stole udekorowanym świeżo ściętymi kwiatami stał półmisek z kanapkami i dwie salaterki z budyniem, różowym i żółtym. Na środku stołu było pusto, ponieważ tam miał pojawić się urodzinowy tort. Po chwili wszedł Laurence z kolorowymi balonami, obładowany prezentami.

Mały Hugh aż poczerwieniał z emocji.

– Tatusiu, czy mogę już to wszystko otworzyć?

– Naturalnie! – odparł ojciec, kładąc prezenty na stole. – Może chcesz zacząć od największego prezentu?

– Tak, tak! Chcę!

– A więc musisz chwilkę poczekać, bo ten duży prezent stoi na korytarzu.

Laurence wyszedł i po kilku minutach zjawił się z powrotem z rowerkiem na trzech kółkach. Kierownica rowerka owinięta była szeroką żółtą wstążką.

– To prezent od mamy i taty.

Hugh na moment zaniemówił z emocji, wpatrując się w lśniący rowerek, a potem

podbiegł i z pomocą Naveeny wgramolił się na siodełko. Niestety, mina mu zrzedła, kiedy okazało się, że nie sięga jeszcze nóżkami do pedałów.

– Nie martw się, Hugh – pocieszał go ojciec. – Obniżymy siodełko. A poza tym rośniesz jak na drożdżach i bardzo szybko sięgniesz do tych pedałów.

– Może kupiliśmy za duży rowerek? – spytała zmartwiona Gwen.

– Za miesiąc, dwa będzie już jeździł jak szatan. Zobaczysz.

Hugh zaczął rozpakowywać pozostałe prezenty. Wielką układankę od Verity i drewnianą maszynę parową od dziadków. Od McGregora dostał kij do krykieta i piłkę.

Gwen usiadła i patrzyła na swoich najbliższych, czując się ogromnie szczęśliwa. Mały Hugh był wulkanem energii. Jak każdy trzylatek miał jej nieprzebrane ilości. Laurence, wpatrzony w synka, pękał z dumy. Nawet Verity sprawiała wrażenie radosnej. Verity, której stała obecność była dla Gwen jak kłujący cierń.

Kiedy zjedzono kanapki i budyń, Laurence, przy akompaniamencie pisków i okrzyków podekscytowanego Hugh, przystąpił do gaszenia świateł. Zasunął zasłony, po czym ze śmiertelnie poważną miną ogłosił, że właśnie nadeszła szczególna chwila. Do pokoju wkroczyła Naveena z tortem i postawiła go na stole przed Hugh. Gwen skupiła wzrok na synku, który na widok urodzinowego wypieku po prostu oniemiał. A gdy śpiewano mu urodzinową piosenkę, bardzo tym przejęty patrzył na wszystkich po kolei tak słodko, tak niewinnie. Gwen była teraz najszczęśliwszym człowiekiem na całym ziemskim globie, gotowa bronić synka przed wszelkim złem. Była poruszona i żeby to ukryć, zajęła się tortem. Wyglądał imponująco. Wielki, kwadratowy, a na szczycie siedział śliczny spaniel z lukru, dzieło Verity, która miała prawdziwy talent do ozdabiania tortów.

– To Spew! – zawołał Hugh. Głośniej już chyba nie mógł tego zrobić. – Spew siedzi na moim torcie!

– Kochanie, zdmuchnij teraz świeczki – powiedziała Gwen. – I pomyśl sobie jakieś życzenie.

Chłopczyk nadął policzki. Kiedy zdmuchiwał świeczki, Gwen szybko pomyślała, czego ona by sobie życzyła. Naturalnie chodziło o siostrę bliźniaczkę Hugh.

– Hugh, pomyślałeś życzenie? – spytał Laurence.

– Tak. Ale nie powiem jakie, bo mama mówiła, że to tajemnica. Prawda, mamo?

– Tak, skarbie.

Kiedy Hugh zwrócił się twarzą ku ojcu, Gwen po raz setny pomyślała, że ojciec i syn są niezwykle do siebie podobni. Ten sam kolor oczu, owal twarzy, kształt głowy, te same gęste włosy, które trudno poskromić. Tak, nie było najmniejszej

wątpliwości, kto jest ojcem małego Hugh.

– To tajemnica, tato – powiedział bardzo teraz poważny Hugh.

– Rozumiem. Jak tajemnica, to tajemnica. I niech tak zostanie.

Laurence uśmiechnął się, a Hugh, już nie tak poważny, zaczął wiercić się na krześle.

– A ja mam jeszcze jedną tajemnicę – oznajmił.

– Jaką, skarbie? – spytała Gwen.

– To tajemnica o Wilfredzie, moim przyjacielu.

Laurence skrzywił się.

– Znowu to samo**...**

– Hugh, przecież my wszyscy wiemy o Wilfredzie, a więc nie jest to tajemnica – powiedziała Gwen.

– Oczywiście, że jest – zaprotestował chłopczyk. – Przecież go nie widzicie.

– To prawda – poparła chłopczyka Verity.

– A ja go widzę – oświadczył Hugh. – I on też chce kawałek tortu.

– Naveeno, proszę ukroić kawałek tortu dla Wilfreda.

– Taki duży kawałek, Neeno! – zawołał Hugh. Kiedy zaczynał mówić, nazywał Naveenę Neeną. I tak już zostało.

– Nie sądzisz, że coś należałoby z tym zrobić? – spytał półgłosem Laurence, obejmując żonę.

– A po co? Niech sobie ma tego przyjaciela.

– Ale jak pójdzie do szkoły i zacznie o nim opowiadać, dzieci będą się z niego śmiały.

– Nie przesadzaj, Laurence. Nie sądzę, żeby ten przyjaciel przetrwał do tak odległych czasów! Dajmy temu spokój! Nasz Hugh ma dopiero trzy latka i dziś są jego urodziny, to jest teraz najważniejsze.

– Czy mogę prosić o jeszcze jeden kawałek? – spytał Hugh prawie błagalnie.

– Moim zdaniem dwa kawałki stanowczo wystarczą – oświadczyła matka.

Hugh zagryzł wargę.

– Tatusiu**...**

– Przecież to jego urodziny! – powiedziała Verity. – Ma szczególne prawa. Należy mu pobłażać.

– Niestety, synku, wystarczy – oświadczył ojciec. – Mama ma zawsze rację, Hugh.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia – oświadczyła z kolei Gwen i Laurence się zaśmiał.

– Ja też! Dlatego nie mogę się od tego powstrzymać!

Poderwał ją z podłogi i zrobił szybki obrót.

Mały Hugh zanosił się od śmiechu, patrząc, jak tata kręci się razem z mamą. Dużą mamą, a dla taty lekką jak piórko.

Mamą oburzoną.

– Panie Hooper, proszę mnie puścić. Natychmiast!

– No cóż**...** – Laurence spojrzał na roześmianego synka. – Sam powiedziałem, że mama ma zawsze rację. Muszę więc ją puścić.

– Nie! Nie! Kręćcie się, tato! Kręćcie!

– Laurence! Puść mnie, proszę, bo jeśli jeszcze raz mną zakręcisz, zrobi mi się niedobrze. Przysięgam.

Laurence zaśmiał się i postawił ją.

A mały Hugh miał do niego jeszcze jedną prośbę.

– Tatusiu, może pójdziemy do wodospadu? Nigdy tam nie chodzimy.

– Kiedy indziej, synku. Teraz mam wielką ochotę pograć z tobą w piłkę. Podobno dostałeś nową. Czy to prawda?

Hugh uśmiechnął się promiennie. Było oczywiste, że trzeci kawałek tortu wywietrzał mu z głowy, podobnie jak wodospad.

– Tak, tatusiu, tak! Mam nową piłkę! Ona jest moja!

Kiedy Laurence, Hugh i Verity wyszli na dwór, Gwen odruchowo spojrzała na urodzinowy stół i uśmiechnęła się. Talerz Wilfreda był pusty, czyli Hugh i tak dopiął swego. Zjadł trzeci kawałek tortu.

Poszła do swojego pokoju i z zamykanej na klucz skrzyneczki, stojącej na jej biurku, wyjęła dużą kartkę. Rysunek węglem, niewątpliwie narysowany ręką dziecka. Ten rysunek dotarł do niej w zeszłym miesiącu. Przychodziły co miesiąc. Czekała na nie z wielką niecierpliwością, prawie z udręką. Były dowodem, że jej córeczka miewa się dobrze. Na początku rysowała je matka zastępcza, teraz już Liyoni.

Gwen delikatnie musnęła czarne kreski. Co to ma być? Piesek czy kurka? Trudno powiedzieć. Rysunki tamtej kobiety paliła zaraz po otrzymaniu. Rysunki Liyoni przechowywała pieczołowicie w tej skrzynce. Okropna, dławiąca tęsknota nigdy jej tak naprawdę nie opuściła.

Wieczorem po urodzinowym przyjęciu mały Hugh poczuł się źle. Zwymiotował. Gwen była więc pewna, że ma to związek z trzema kawałkami tortu. Poleciła Naveenie położyć dziecko w jej sypialni. Hugh zwymiotował jeszcze dwa razy, potem zasnął. Gwen też przysnęła, a rankiem wcale nie było lepiej. Hugh obudził się spocony, rozpalony. Wstrząsały nim dreszcze i krzyczał, że jest mu bardzo

zimno. Niewątpliwie miał gorączkę. Gwen przebrała go i wezwała Naveenę. Kazała jej przynieść ręczniki zmoczone w zimnej wodzie. Czekając na powrót służącej, uchyliła okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Do jej uszu doleciała cała feeria dźwięków wydawanych przez ptaki witające nowy dzień. Zwykle słuchała ich z rozczuleniem. Tego dnia jednak cały ten chór wydał jej się zbyt głośny. Po prostu irytujący.

Kiedy Naveena przyniosła ręczniki, Gwen położyła jeden z nich synkowi na karku, drugi na czole. Dziecko od razu zrobił się spokojniejsze.

– To nie tylko z powodu tortu – stwierdziła Gwen. – Teraz wcale nie wymiotował, a nadal źle się czuje.

Naveena nie odezwała się, zajęta oglądaniem rączek i nóżek chłopczyka. Potem podciągnęła koszulkę i przejechała ręką po tułowiu, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Naveeno, proszę, zawiadom Laurence'a, że ma natychmiast wezwać doktora. Powiedz, że Hugh jest spocony, blady i drży z zimna. Nie, jest już prawie siny. I teraz zaczął kasłać.

Służąca wyszła. Gwen zamknęła okiennice i zaczęła nerwowo przemierzać pokój. Laurence pojawił się po chwili bardzo zaniepokojony, a właściwie przerażony, więc Gwen starała się go uspokoić.

– To na pewno jakaś dziecięca infekcja – powiedziała. – Nie martw się. Doktor zjawi się niebawem. A teraz może pójdziesz do kuchni i powiesz *appu*, żeby zrobił nam *chai*, dobrze?

Laurence po dziesięciu minutach był z powrotem ze srebrną tacą, na której stały dwie szklanki z gorącą aromatyczną herbatą z mlekiem i różnymi przyprawami. Gwen powitała go uśmiechem, ponieważ nie chciała, by Laurence wyczuł, że ona tak naprawdę też szaleje z niepokoju.

Wypili herbatę, a potem, czekając na doktora, Gwen śpiewała synkowi różne piosenki. Laurence też nucił, specjalnie przekręcając słowa, żeby rozbawić Hugh. Kiedy wreszcie pojawił się doktor z nieodłączną brązową torbą lekarską, Hugh był już bardzo senny.

Doktor przysiadł na brzegu łóżka, rzucając żartobliwie:

– Witaj, kolego! Pozwól, że cię obejrzę. Na początek otwórz buzię. Szeroko. O tak!

Otworzył szeroko usta, a chłopczyk zrobił to samo. Doktor spojrzał, raz, drugi, i poprosił, by Laurence otworzył okiennice, bo nic nie widzi. Wziął Hugh na ręce, usiadł przy oknie i badał go dalej. Obejrzał gardło, obmacał szyję, wyraźnie

opuchniętą, i zbadał puls.

– A teraz przekonamy się, czy możesz łykać. Gwen, podaj mi, proszę, szklankę wody.

Doktor przytknął chłopczykowi szklankę do ust. Hugh wypił łyk, zakrztusił się i wszystko wypluł, potem przez dobre kilka minut kasłał. Kiedy przestał, doktor osłuchał go i oznajmił:

– Słyszę rzężenie w płucach. Czy Hugh kaszle? Jak często?

– Tak. Kaszle. Z przerwami.

– No dobrze**...** Niech wraca do łóżka.

Gwen ułożyła synka i otuliła kołdrą.

– Musi leżeć – nakazał doktor. – Nawet jeśli poczuje się lepiej, nie wolno mu wstać. Jego serce bije zbyt szybko, tak samo za szybki jest oddech. Proszę podłożyć mu pod głowę dodatkową poduszkę, żeby leżał wyżej. To ułatwi oddychanie. Proszę też postarać się, żeby powietrze w pokoju było jak najbardziej wilgotne. I przypominam: ma nie wstawać z łóżka. Poczekamy, co będzie dalej.

Rodzice wymienili zatroskane spojrzenia.

– Ale co właściwie mu jest? – spytała Gwen, starając się, by jej głos nie drżał.

– Prawdopodobnie dyfteryt.

Przerażona Gwen zasłoniła ręką usta. Laurence zesztywniał.

– Jednym z symptomów jest niebieskawy odcień skory – wyjaśnił doktor. – A kilkoro dzieci w wiosce niedawno miało tę chorobę.

– Ale przecież Hugh jest zaszczepiony – powiedział Laurence i odwrócił się do żony. – Gwen?

Zacisnęła powieki i kiwnęła głową.

Doktor nieznacznie wzruszył ramionami.

– Może więc to fałszywy alarm.

– A jeśli jednak to dyfteryt? Co będzie dalej? – spytała drżącym głosem Gwen.

– Trudno przewidzieć. Mogą pojawić się zmiany na skórze, plamy lub owrzodzenia. Należy je oczyścić i opatrzyć. Niech pije jak najwięcej. Poza tym każdy, kto z nim przebywa, powinien mieć bawełnianą maseczkę zakrywającą usta i nos. Na pewno macie w domu takie maseczki. Przyślę wam więcej.

– Ale jeśli**...** – wyrzuciła z siebie nienaturalnie wysokim głosem Gwen i w pokoju zaległa cisza. Przerażająca.

Laurence przykrył dłonią jej dłoń i mocno zacisnął palce, jakby powstrzymując żonę od wyrzucenia z siebie słów, które trudno będzie wymazać z pamięci.

– O tym nie wolno nawet myśleć. Jeszcze nie teraz – odezwał się głuchym głosem.

Powiedział to specjalnie, z nadzieją, że w ten sposób powstrzyma najgorsze. Kiedy Gwen uzmysłowiła sobie sens jego słów, miała wrażenie, że cała płonie.

– Jeszcze nie teraz?!

– Chodzi o to, że musimy czekać. Nic innego nie możemy zrobić.

Była bliska paniki, udało jej się jednak zachować spokój ze względu na synka i męża. Tak jak powiedział doktor, pozostało im tylko czekanie.

Mijały dni. Verity i Gwen ostrożnie ścierały z czoła Hugh kropelki potu, robiły chłodne kompresy. Naveena, zgodnie z zaleceniem lekarza, wieszała na oknie mokre ręczniki, a na drzwiach mokre prześcieradło, żeby nawilżyć powietrze. Zrobiła coś jeszcze. Do płytkiej miski wsypała kilka kawałków węgla drzewnego i zalała niewielką ilością gorącej wody.

– A to po co? – spytała Gwen.

– Żeby oczyścić powietrze, proszę pani. To najważniejsze.

Przez kolejne dwa dni stan małego Hugh nie uległ zmianie. Trzeciego dnia kaszel się nasilił. Twarz chłopczyka poszarzała, miał trudności z oddychaniem. Gwen, kiedy to zauważyła, z przerażenia sama prawie przestała oddychać. Zerwała maseczkę, położyła się obok synka i przytuliła go mocno. Na szczęście atak minął. Laurence co jakiś czas pojawiał się w sypialni, by zastąpić Gwen. Widząc go, starała się zdobyć na uśmiech, ale nie chciała odejść od łóżka. Laurence pilnował, by cokolwiek jadła. Powtarzał, że jeszcze tylko tego brakuje, by i ona się rozchorowała. Kiedy Gwen szła coś zjeść, przy Hugh czuwała Verity. Gdy Gwen wracała do pokoju, Verity, patrząc na nią spłoszonym wzrokiem, zawsze proponowała, że może posiedzieć przy małym dłużej.

Naveena nie poprzestała na węgielkach. Przyniosła także zioła w miseczce, którą postawiła nad zapaloną świecą w glinianym garnku.

– To na pewno mu pomoże, proszę pani.

Niestety, aromat ziół też nie pomógł. Gwen, kiedy zostawała z Hugh sama, siadała na brzegu łóżka, zaciskała powieki, składała dłonie, mocno splatając palce, i błagała Boga, by pozwolił jej dziecku żyć.

– Panie Boże, zrobię wszystko, co każesz. Wszystko. Będę lepszą żoną, lepszą matką.

Gdy Hugh spał, stawała przy oknie i patrzyła na ogród, zmieniający barwy w ciągu dnia. Rankiem jasnozielony, nocą ciemny z przebłyskami purpury. Patrzyła na jezioro przez łzy i granica między wodą a szeregiem drzew zacierała się przed jej oczami. Czasami tylko siedziała, słuchając, jak służba krząta się po domu.

Poprosiła Naveenę, by przyniosła jej coś do szycia. Może coś do zacerowania,

najlepiej ubranka Hugh. Najważniejsze, żeby czymś zająć ręce. Kiedy Hugh zasypiał, haftowała, pracowicie wbijając i wyciągając igłę z jedwabną nitką. Laurence i Verity zaglądali do pokoju co jakiś czas; widząc, że mały śpi, wychodzili na palcach. Sen był dla chorego dziecka niezmiernie ważny. Im więcej spał, tym większe były szanse na wyzdrowienie.

W nocy Gwen była z dzieckiem sama. Wokół panowała nieznośna cisza. Wtedy słychać było wyraźnie, że Hugh znów zaczyna z trudem oddychać. Serce jej się ściskało, kiedy słyszała, jak on walczy. Ale przynajmniej był to dowód, że dziecko nie poddaje się. Że ma wolę życia.

Czasem Gwen zdawało się, że nic nie słyszy, i wtedy wszystko w niej zamierało. A gdy znów pojawiał się chrapliwy oddech, jej serce zaczynało bić.

Noc była też wypełniona wspomnieniami, głównie związanymi z Hugh, który był wiecznie płaczącym niemowlęciem. Jej ukochany synek. Biedny, chory Hugh**...** O tym, co może się stać, o najgorszym, starała się nie myśleć. Ani o tym, jak będzie dalej żyć, gdyby to się stało. Odganiała te myśli, wspominając piękne, wzruszające momenty. Pierwsze samodzielne kroki synka, pierwsze postrzyżyny, kiedy to Hugh wystraszony widokiem nożyczek zalał się łzami. Pierwsze wymagania synka w sprawie jedzenie. Jajecznica **–** nigdy, za to jajka na miękko mogą być codziennie.

Pierwsze słowa. Mama, tata, Neena. Verity bardzo chciała, by prawidłowo wymawiał jej imię. **Ć**wiczyła z nim godzinami, ale Hugh i tak był w stanie wymówić tylko coś w rodzaju „Witty”.

Niestety, ożyły też wspomnienia niepożądane. Savi Ravasinghe malujący portret Christiny. To, co usłyszała od Christiny trzy lata temu – że każda w końcu w Savim się zakochuje. Czyżby Gwen też nieświadomie była pod jego urokiem? Naturalnie od razu pojawiało się wspomnienie fatalnego balu i tego, jak Savi odprowadzał ją do pokoju. A teraz Fran się z nim spotyka. Biedna Fran**...**

Gwen spojrzała na synka. Jego powieki zadrżały, ale dalej spał. Straszna choroba może odebrać go jej na zawsze, mimo że Hugh żyje w dobrobycie i ma wszystko, czego mu potrzeba. Jaka bezbronna wobec takich chorób musi być maleńka dziewczynka, mieszkająca w ubogiej syngaleskiej wiosce.

W nocy zdarzały się chwile, kiedy Gwen znajdowała się w półśnie. Wtedy modliła się za Hugh i za swoją córeczkę. Chociaż była tutaj, w domu na plantacji, myślami przenosiła się do tamtej wioski, gdzie widziała, jak mężczyźni myją w rzece słonie, a ludzie żyją w tak skromnych warunkach. Gotują nad ogniskiem, tkają na krosnach. Jakże inne jest życie Gwen. Opływa w dostatki, ale co z tego, skoro w duszy, w sercu, w głowie zawsze ma niepokój.

Teraz nie dawała jej spokoju jedna myśl.

Czyżby choroba Hugh była karą za to, że oddała dziecko? Że jej własne szczęście było dla niej ważniejsze niż szczęście córeczki? Jeśli tak, to można uratować Hugh tylko w jeden sposób. Wyznać prawdę. Prawda za jego życie. Taki handel wymienny z Bogiem. I nawet jeśli po wyjawieniu prawdy Gwen straci wszystko, musi tak zrobić, bo inaczej synek umrze.

16

Przez nieznośnie długi tydzień w napięciu wstrzymywali oddech. Hugh był ulubieńcem całego domu, więc nawet chłopcy do posług i chłopcy kuchenni mieli ponure miny i rozmawiali przyciszonym głosem. A kiedy wreszcie nastąpił przełom, bo Hugh zaczął pić i usiadł na łóżku, wszyscy odetchnęli z ulgą i w domu zrobiło się znowu gwarno.

Gwen, która nie odstępowała chorego synka, czuła ulgę tak samo wielką, jak przedtem wielki był jej strach. Laurence'owi promienny uśmiech nie schodził z twarzy, a oczy błyszczały wesoło. Razem z synkiem zaśmiewali się do rozpuku, składając układankę albo kiedy tata czytał Hugh ulubioną książeczkę. Mama dogadzała małemu i przygotowywała to, co synek jadał najchętniej: ciasto biszkoptowe królowej Wiktorii albo zielony makaron z kardamonem, albo lody z mango. Wszystko, co mogło zachęcić go do jedzenia i pomóc z powrotem stać się zdrowym, pełnym energii dzieckiem. Takim, jakim był przed chorobą.

A jednak, kiedy nabrał już sił na tyle, by biegać po dworze, wcale nie była zadowolona, że wymyka się spod jej skrzydeł.

– Nie powinniśmy go rozpieszczać, kochanie – przekonywał Laurence.

– Rozpieszczać? Uważasz, że to właśnie robię?

– Uważam, że powinien biegać po dworze. Dobrze mu to zrobi.

– Ale dziś jest chłodno.

– Gwen, nie zapominaj, że to chłopiec!

Nie dyskutowała już i przez następne pół godziny patrzyła, jak Hugh biega za psami. Ale kiedy tylko Laurence zniknął jej z oczu, próbowała zachęcić synka do spokojnej zabawy, pokazując mu kredki i nowy blok rysunkowy. Niestety, mały wolał biegać dalej. Kiedy patrzyła na Hugh, przestawała zamartwiać się o Liyoni. W końcu Hugh zdecydował się na powrót do domu, gdzie narysował trzy zabawne pieski: Bobbins, Spew i małą Ginger. Ta ostatnia, nadal o wiele mniejsza niż pozostałe psy, była jego ulubienicą. Cieszył się, kiedy układała się pod jego łóżeczkiem.

Gwen, choć była w euforii – synek naprawdę dochodził do zdrowia – kiedy spojrzała na te rysunki, nagle poczuła niepokój. Pełnia księżyca minęła, a rysunku Liyoni jak nie było, tak nie ma.

Od tej chwili lęk nie opuszczał jej ani na chwilę. Słyszała w głowie cichy szept,

a kiedyś nawet zdawało jej się, że dobiega przez otwarte drzwi do domu. Poszła za tym głosem przez mroczny hol i po lśniących schodach. Kiedy wchodziła na górę, w jednym z okien na półpiętrze nagle zobaczyła dziewczynkę. Tak, w pierwszej chwili mogłaby przysiąc, że ją widzi, ale potem zorientowała się, że to tylko cień rzucany przez chmury, które zasłoniły słońce.

Za dnia łatwiej jej było sobie z tym poradzić, ale w nocy bywało fatalnie. Liyoni mówiła do niej pełnym głosem, koniecznie chciała zwrócić na siebie jej uwagę. Prześladowała ją w snach tak realistycznych, że Gwen miała wrażenie, jakby wszystko rozgrywało się naprawdę w jej pokoju. Budziła się zlana potem, stwierdzając z ulgą, że są tu tylko Hugh i Naveena, która przyniosła jej herbatę do łóżka.

Gwen dbała, by w całym domu wszędzie stały świeżo ścięte kwiaty. W holu, salonie i we wszystkich sypialniach. Kiedy któryś z kwiatów zaczynał więdnąć, natychmiast kazała wyrzucić cały bukiet i wstawić do wazonu nowy. Niestety, nawet gdyby tych kwiatów były tysiące, i tak nie zdołałyby stłumić jej lęku. Uzgodniła przecież coś z Panem Bogiem, ale nie dotrzymała obietnicy, więc miała powód do ciągłego strachu.

Mały Hugh wrócił już do dziecięcego pokoju. Tego wieczoru była w swojej sypialni sama. Siedziała przygarbiona przy biureczku. Tam zastał ją Laurence, który wszedł cicho, stanął za nią i pocałował ją w czubek głowy. Natychmiast poderwała głowę i w lustrze wiszącym przed nią napotkała jego wzrok. Szybko odwróciła twarz, żeby nie dostrzegł, że jej oczy podejrzanie lśnią.

– Chciałem zapytać, czy chcesz, bym został z tobą tej nocy – powiedział Laurence, wpatrując się w karty rozłożone na biurku. – Może zagramy razem?

– Lepiej, żeby każde z nas wyspało się porządnie.

– Brakuje ci snu? Myślałem, że tego problemu już nie ma, skoro Hugh powraca do zdrowia.

– Niczego mi nie brakuje. Ale wolę sobie sama pograć. Proszę, nie marudź, Laurence.

Mąż wyszedł, a Gwen zajęła się znów kartami. Po godzinie ogarnęła ją senność. Usiadła wygodniej w fotelu i zamknęła oczy. Czuła, jak się wycisza i prawie zapada w sen. I nagle gwałtownym ruchem ręki zmiotła wszystkie karty ze stołu i krzyknęła histerycznie:

– Zostaw mnie w spokoju!

Niestety, dziewczynka wcale nie zamierzała odejść.

Gwen wstała i niespokojnym krokiem zaczęła przemierzać pokój, bezwiednie

biorąc do ręki różne drobne przedmioty i odkładając je na miejsce. Wielki Boże! A może dziecko rzeczywiście jest chore? Może jej potrzebuje?

W końcu zasnęła wykończona. Ale ledwo zapadła w sen, zaczęły się koszmary. Była znowu w Owl Tree, siedziała na sowim drzewie, od którego wzięła nazwę posiadłość, i ciągle z tego drzewa spadała. Albo jechała wozem ciągniętym przez bawoła i nie mogła dojechać do celu. W końcu obudziła się, przez jakiś czas miotała się po pokoju, a potem usiadła przy biureczku i zaczęła pisać list do Fran, w którym napisała jej wszystko o Savim Ravasinghe. Włożyła list do koperty, zaadresowała i szukając znaczka, nagle zmieniła zdanie. Chwyciła kopertę z listem w środku, podarła ją, wyrzuciła do kosza, a potem długo stała przy oknie zapatrzona w ciemną taflę jeziora.

Następnego dnia nie mogła się na niczym skupić. Czy to z powodu przeświadczenia, że niebawem dosięgnie ją ręka Boska i całe jej dotychczasowe życie legnie w gruzach? Czy z powodu pytań, które zadawała sobie nieustannie? Dlaczego nie ma kolejnego rysunku od Liyoni? Pewnie jest chora. Jeśli tak, czy to ciężka choroba? Może nie, może tylko jakaś niegroźna choroba dziecięca. A może Liyoni nie ma już w wiosce, może ktoś ją stamtąd zabrał? Może Savi Ravasinghe dowiedział się o dziewczynce i koniecznie chce porozmawiać z Gwen?

I tak było każdego dnia. Czekanie i coraz większy strach.

Wobec męża Gwen stała się bardzo nieprzyjemna. Z byle powodu wpadała w złość. Naveeny nigdy nie było w pobliżu, kiedy jej potrzebowała. Mały Hugh zaczął jej unikać, całe dnie spędzając z Verity.

Któregoś dnia wyjęła z szafy swoje ubrania i rozłożyła na łóżku, zamierzając dokonać przeglądu. Wkładała jedną sukienkę po drugiej, spódnice, bluzki. Przeglądała się w lustrze, za każdym razem stwierdzając, że wygląda okropnie. Wszystko na niej wisiało. Zsunęła obrączkę z wychudzonego palca, z obawy, że ją zgubi i już nie znajdzie.

Kiedy zaczęła przymierzać kapelusze, rozpłakała się. Naveena zastała ją siedzącą na podłodze. Gwen oddychała z trudem, a wszędzie dokoła leżały jej nakrycia głowy. Słomkowe, z piórkiem, z koralikami, filcowe. Służąca podała jej rękę i pomogła wstać. Gwen stanęła na drżących nogach i oparła się o nią.

– Okropnie schudłam – powiedziała, pociągając nosem. – Nic na mnie dobrze nie leży.

– Schudła pani tylko trochę – odparła Naveena, podając jej chusteczkę.

– Ale czuję się z tym bardzo źle.

– Przecież nie ma pani już powodu do zmartwienia. Hugh odzyskuje zdrowie.

– Tak. Ale tu nie chodzi tylko o Hugh.

Wymówienie imienia córeczki było ponad jej siły. Podeszła więc do biureczka i ze skrzynki zamykanej na kluczyk wyjęła rysunki Liyoni.

– A jeśli ona jest chora?

Naveena pogłaskała ją po ramieniu.

– Rozumiem, że pani się tym niepokoi, ale niepotrzebnie. Na pewno niebawem dostanie pani nowy rysunek. I powinna pani wezwać do siebie doktora.

Gwen potrząsnęła głową.

Ale później, gdy raptem poczuła ból i okropne pieczenie, jakby obdzierano ją ze skóry, doszła do wniosku, że dłużej tego nie wytrzyma. Nieustanne zamartwianie się i brak snu doprowadziły do tego, że bolało ją wszystko. Podskakiwała ze strachu przy najcichszym dźwięku, słyszała czyjś głos i była niezdolna do wykonywania prostych czynności. Zaczynała coś robić, raptem bezwiednie przestawała i zabierała się do czegoś innego, nie pamiętając, co robiła przedtem. Czuła, że traci kontakt z otaczającym ją światem – światem, który kochała.

Dlatego poddała się i postanowiła szukać pomocy.

17

Gwen zadzwoniła do doktora Partridge'a. Na szczęście pojawił się bardzo szybko i przepisał jej jakieś proszki, na które trzeba było trochę poczekać. Starała się więc w tym czasie czymś zająć. Z wyrabianiem serów chwilowo dała sobie spokój, było to teraz dla niej zbyt trudne. Nauczyła więc wszystkiego jednego z kuchcików, a sama zaczęła przeglądać rachunki związane z prowadzeniem domu.

W ciągu ostatnich trzech lat udało jej się zlikwidować rozbieżności między płatnościami za zamówienia a rzeczywistą wartością dostawy. Po prostu zawsze była obecna przy dostawie, dzięki czemu mogła sprawdzić, czy dostarczono to, za co zapłacono. W którymś momencie zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem *appu* nie ma czegoś na sumieniu. Ale ponieważ nie mogła mu nic udowodnić, dała sobie spokój. Najważniejsze, że teraz wszystko przebiegało gładko.

Naveena pilnowała Hugh, a Gwen siedziała przy swoim biureczku i starała się nie myśleć o swoich zmartwieniach. Kiedy pocierała skronie, prosząc głowę, by zechciała boleć choć odrobinę mniej, zauważyła rachunek za ogromne ilości ryżu, whisky i oliwy. Dostarczono je wtedy, gdy Hugh był chory. Zajrzała do spiżarni, spodziewając się, że zobaczy tam zamówione produkty, tymczasem było ich mniej niż zwykle. Klucz do spiżarni miał tylko *appu*.

Udała się więc do kuchni, by z nim porozmawiać. Zamiast kucharza zastała tam McGergora z fajką w zębach, popijał herbatę.

– Dzień dobry, pani Hooper! Jak się pani miewa? – zagadnął uprzejmie, sięgając po czajnik. – Napije się pani herbaty?

– Czuję się niezbyt dobrze. Jestem trochę zmęczona. A za herbatę dziękuję. Przyszłam tu, bo chcę porozmawiać z *appu*.

– Niestety, nie ma go. Wybrał się z Verity do Hatton. Pojechali daimlerem.

– Naprawdę? A dlaczego pojechali tam razem?

– Mają jakąś sprawę do załatwienia. Tak powiedziała Verity.

Gwen spoważniała.

– A cóż to za sprawa?

– Kiedy pani siedziała przy Hugh, Verity zajmowała się dostawami. Myślę, że pojechali odebrać towar.

– Czy Verity w tym czasie również dokonywała płatności?

– Na to wygląda.

– Ale pan nadal jeździ do banku w Kolombo?

– Oczywiście. Przywożę pieniądze, z których opłaca się robotników i pokrywa wydatki na dom**...** Tak, ale w tym miesiącu mieliśmy ogromne ilości herbaty do przerobienia w fabryce, więc Laurence też był zajęty i do banku pojechała Verity.

– Ach tak? I oczywiście daimlerem?

– Tak.

Gwen ułożyła Hugh do snu. Sama też z chęcią by pospała normalnym, zdrowym snem, dlatego z utęsknieniem czekała na obiecaną przez doktora miksturę. Pogłaskała synka po główce i poprosiła Naveenę, by poszła razem z nią do jej pokoju. Tam, spoglądając w czarne, spokojne oczy służącej, zadała jej to dręczące ją pytanie:

– Dlaczego w tym miesiącu nie dostałam rysunku? Muszę to wiedzieć.

Naveena nieznacznie wzruszyła ramionami. Cóż to miało znaczyć?

– Powiedz mi, Naveeno, czy mała rozwija się dobrze? Czy nic złego jej się nie przydarzyło?

– Nie wiem. Myślę, że należy jeszcze trochę poczekać. Gdyby dziecko było chore, na pewno bym o tym słyszała.

Gwen była tak zmęczona, że nawet ta krótka rozmowa wymagała od niej wiele wysiłku. Jednak chciała się jeszcze czegoś dowiedzieć, ale do dalszej wymiany zdań nie doszło, ponieważ raptem pojawiła się Verity, wołając od progu:

– Mam coś dla ciebie, Gwen!

– Dziękuję ci, Naveeno – powiedziała Gwen i służąca wyszła z pokoju.

Kiedy tylko niania znikła za drzwiami, Verity obwieściła:

– Byliśmy w Hatton.

– Słyszałam o tym.

– I tam wpadłam na starego Partridge'a.

– Doktor wcale nie jest stary, tylko włosów ma już trochę mniej**...** – Gwen uśmiechnęła się. – To bardzo miły człowiek. Dobrze wiesz. Może byś zwróciła na niego uwagę?

Verity zarumieniła się.

– Ach, przestań! Doktor dał mi te proszki i powiedział, jak zrobić miksturę. Szedł właśnie do apteki, by przyrządzić ją osobiście, ale powiedziałam mu, że nie ma takiej potrzeby. W końcu to nic trudnego rozpuścić odpowiednią ilość proszku w gorącym mleku. Chcesz, żebym to zrobiła?

– Będę bardzo wdzięczna.

– Dobrze. W takim razie kładź się do łóżka, a ja idę do kuchni. Ta mikstura, jak każda zresztą, na pewno będzie okropna w smaku, ale nie martw się, posłodzę ją cukrem trzcinowym.

– Dziękuję. Jesteś bardzo miła.

– Kto jak kto, ale ja wiem, co to bezsenność. Trochę mnie jednak dziwi, że ciebie też to męczy. Przecież Hugh dochodzi do zdrowia, powinnaś więc być w dobrej kondycji.

– Mam trochę zmartwień – jak każdy.

– Racja. Tak już jest. To ja biegnę do kuchni, zaraz wracam.

Gwen rozebrała się i wzięła białą koszulę nocną, którą Naveena położyła na łóżku. Gdy wkładała ją przez głowę i zapinała guziczki, owionął ją zapach świeżości i kwiatów. Było jej ciężko na duszy z powodu poczucia winy, teraz doszedł do tego paniczny strach o córeczkę, oby bezpodstawny. Może Naveena ma rację, może Liyoni wcale nie jest chora**...** A może Bóg pokara Gwen i odbierze jej wszystko, odsyłając z powrotem do Oak Tree. Gwen nigdy już nie zobaczy ukochanego synka. Nie, ta myśl była nie do zniesienia. Hugh miałby nie mieć matki? A poza tym**...** Gdyby jej tajemnica przestała być tajemnicą i prawda wyszłaby na jaw, już widziała reakcję Florence i innych pań. Uśmiechałyby się ironicznie i gratulowały sobie nawzajem, że to nie one uległy urokowi przystojnego tubylca.

Zanim wróciła Verity, Gwen już trzęsła się ze strachu.

– Z tobą naprawdę jest kiepsko – stwierdziła szwagierka, podając jej kubek. – Proszę. Nie jest zbyt gorące, możesz od razu wypić do dna. Posiedzę z tobą, dopóki nie zaśniesz.

Gwen wypiła różową miksturę, której podstawowym składnikiem było mleko. Wbrew obawom napój dało się przełknąć. Jej powieki szybko zrobiły się ciężkie. Głowa już nie bolała, nie miała też żadnych zmartwień i dosłownie po kilku minutach Gwen spała jak suseł.

Następnego ranka z trudem próbowała się podnieść, a kiedy z powrotem opadła na poduszkę, też nie było lepiej. Na korytarzu ktoś się o coś spierał, prawdopodobnie Verity i Naveena.

Ayah zjawiła się w pokoju po kilku minutach.

– Przyniosłam pani herbatę. Byłam tu już wcześniej, ale nie mogłam pani dobudzić.

– Ach tak? Teraz już nie śpię. Czy są jakieś kłopoty z Verity?

Naveena miała zatroskaną twarz, ale milczała. Gwen poczuła, że jest zlana potem

jak podczas grypy.

– Muszę wstać – powiedziała i opuściła nogi na podłogę. Dokładnie w tej chwili w pokoju pojawiła się szwagierka.

– Nie wstawaj, Gwen. Masz leżeć, dopóki nie poczujesz się lepiej. Naveeno, możesz odejść.

– Nic mi nie dolega – zaprotestowała Gwen. – Jestem po prostu trochę zmęczona. Chcę zająć się Hugh.

– Ja się nim zajmę. Zajmę się wszystkim. Wydałam już dyspozycje co do dzisiejszego menu i zapłaciłam służbie.

– Zapłaciłaś**...** Wiesz, jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać – wymamrotała Gwen, której trudno było zebrać myśli. – Tylko co? Chyba chodziło o dostawy**...**

– Teraz, Gwen, wypijesz inną miksturę, tę na dzień. Tak zalecił doktor. Idę ją zrobić. Mleko chyba nie będzie potrzebne. Dodam do niej miód i trochę herbaty.

Verity poszła do kuchni i wróciła po dłuższej chwili, niosąc szklankę ze wspomnianą miksturą.

– Co to jest? – spytała Gwen, spoglądając podejrzliwie na mętny, brunatny napój.

– Nie wiem. Zrobiłam dokładnie to, co kazał doktor.

Gwen wypiła miksturę i prawie od razu poczuła się lepiej. Więcej, poczuła się cudownie. Lekka w środku, całkowicie odprężona, pozbawiona trosk. I w tym cudownym nastroju ponownie zapadła w sen.

Brunatny napój okazał się magiczny. Gwen nie mogła się doczekać, kiedy znowu napije się czarodziejskiego płynu, po którym czuła się tak lekko, jakby unosiła się we mgle. Głowa już nie bolała. Niestety, były i minusy, kompletny brak apetytu i niemożność prowadzenia normalnej rozmowy. Kiedy pewnego wieczoru zajrzał do niej Laurence, starała się rozmawiać, ale zatroskane spojrzenie męża świadczyło, że jej to nie wychodzi.

– Jutro rano będzie tu doktor Partridge – powiedział Laurence, biorąc Gwen za rękę. – Bóg jeden wie, co takiego ci przepisał.

Gwen wzruszyła ramionami.

– Przecież nic się nie dzieje. Czuję się doskonale.

– Nic? Cała jesteś lepka.

– I co z tego? Czuję się dobrze.

– Wcale tak nie jest, Gwen. Może byłoby lepiej, gdybyś dziś wieczorem nie piła już tej mikstury. Moim zdaniem wcale ci to nie służy. Naveena też tak uważa.

– Mówiła ci?

– Tak, jest naprawdę bardzo zmartwiona.

– Laurence, ja nie chcę rezygnować z tego lekarstwa. Naveena nie ma racji. Czuję się po nim bardzo dobrze i głowa już w ogóle mnie nie boli.

– Wstań.

– Co?

– Wstań, Gwen.

Przesunęła się na brzeg łóżka, opuściła nogi na podłogę i wyciągnęła rękę do męża.

– Pomóż mi, proszę.

– Nie. Chcę widzieć, jak wstajesz sama, o własnych siłach.

Zagryzła wargę, wstała z wielkim trudem i natychmiast z powrotem usiadła. Cały pokój się zakołysał.

– Laurence, co ja właściwie miałam zrobić? Nie pamiętam.

– Wstać.

– Chyba żartujesz? Po co? – Zaśmiała się i wsunęła z powrotem pod kołdrę.

18

Wczesnym rankiem Gwen usiadła przy toaletce i wyjęła z szuflady haftowaną chusteczkę, nadal przesiąkniętą zapachem, jakiego używała jej matka. Powąchała materiał i pokrzepiona tym nikłym kontaktem, szybko się ubrała. Włożyła szlafrok, kapcie, na ramiona zarzuciła ciepły wełniany szal. Bocznymi drzwiami wyszła na werandę.

Zobaczyła tam Verity i McGregora. Szwagierka powitała ją promiennym uśmiechem.

– Dzień dobry! Jak się miewasz?

– Nieźle, zapragnęłam świeżego powietrza.

– Usiądź na chwilę. Tu jest twój lek.

Gwen wypiła miksturę na stojąco.

– Może zjesz śniadanie? – spytała Verity. – Dobrze by było, gdybyś coś przełknęła.

– Nie, dziękuję. Pójdę się przejść.

– Poczekaj chwilę! – zawołała Verity i wyjęła z torby złożoną kartkę papieru. – Kompletnie wyleciało mi to z głowy, na szczęście Nick mi przypomniał. A ja ten rysunek noszę w torebce od tamtego dnia, kiedy zachorował Hugh. – Podała Gwen wymięty papier. – Możesz przekazać to Naveenie?

Nogi ugięły się pod Gwen. Nie dała poznać po sobie, jak bardzo jest poruszona. Wzięła kartkę, rozłożyła i spojrzała, niby z ciekawością. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe.

– To jakiś rysunek – powiedziała Verity. – Dla Naveeny, od kogoś z rodziny, która mieszka w wiosce w dolinie. Trochę niewyraźny. O, tu węgiel całkiem się wytarł.

Gwen powoli złożyła kartkę z nadzieją, że paniczny strach ściskający gardło nie jest widoczny. I że ten głos w głowie słyszy tylko ona.

„Pobożna Angielka nie rodzi kolorowego dziecka”.

Nick McGregor, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, teraz przemówił:

– Przywiózł to robotnik, który dostarcza mleko. Postarałem się, oczywiście, by mleko zaczął dostarczać ktoś inny, kto ma zapowiedziane, że ma przywozić tylko i wyłącznie mleko.

– Rozumiem. Przekażę to Naveenie.

– Chciałem powiedzieć o tym wcześniej, ale Hugh był chory. Pani też niedomagała, więc czekałem...

– Gwen, jesteś taka blada. Źle się czujesz? – Verity wyciągnęła rękę, ale Gwen cofnęła się o krok pewna, że tych dwoje wie o wszystkim i teraz bawią się jej kosztem.

– Nie życzymy sobie, żeby służący uważali, że mają prawo przekazywać sobie wiadomości, kiedy tylko chcą i jak chcą – dodał jeszcze McGregor. – Tu, na wyspie, nigdy nie jest spokojnie, tym bardziej więc nie powinni komunikować się za naszymi plecami.

– Miejmy nadzieję, że ten rysunek rzeczywiście jest od członka rodziny Naveeny, a nie od jakiegoś buntownika – dorzuciła Verity. – A ja myślałam, że Naveena nie ma żadnej rodziny.

Gwen za wszelką cenę starała się zachować spokój, świadoma, że najlepiej po prostu zmienić temat. Zagadnęła więc szybko o coś innego. McGregor wstał, przerywając jej bezceremonialnie. To był dogodny moment, by mogła wreszcie opuścić werandę.

Ogród po prostu płonął. Przechadzała się wśród krzewów, muskając palcami jednej dłoni wspaniałe czerwone i pomarańczowe kwiaty, w drugiej trzymała starannie złożony rysunek Liyoni. Niestety chyba ostatni; wszystko wskazywało na to, że trzeba będzie znaleźć inny sposób przekazywania wiadomości. Dobrze, że wszystko się wyjaśniło. Przynajmniej wiadomo, dlaczego rysunek dotarł do Gwen z opóźnieniem. Liyoni jest cała i zdrowa, nie ma powodu martwić się o nią.

Kiedy Gwen doszła do jeziora, zaczęła się zastanawiać, czy nie warto trochę popływać. Mikstura jednak zaczynała działać, bo złote cętki w wodzie zamazywały się przed oczami, błękit nieba i błękit jeziora zlewały się w jedną bezkresną plamę, a kroki Gwen były bardzo niepewne. Potrząsnęła głową i znowu jezioro stało się jeziorem, a niebo niebem. Skierowała się ku miejscu, które było bezpieczne i budziło tylko dobre wspomnienia. Podeszła do hangaru na łodzie. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Ogień nie palił się w kominku, było chłodno i wilgotno. Gwen poczuła się bardzo zmęczona, położyła się na sofie i otuliła wydzierganą na drutach narzutą. Po jakimś czasie usłyszała Hugh. W pierwszej chwili była pewna, że śpi i synek jej się przyśnił. Uśmiechnęła się rozczulona. Jej kochany, słodki synek. Ostatnio tak rzadko go widuje. Za to wszędzie pełno Verity. Kiedy jednak usłyszała także głos Laurence'a, a potem znowu głosik Hugh, doszła do wniosku, że to nie sen. Zapragnęła zobaczyć się z nimi. Pogłaskać synka po główce i przytulić się do męża. Wstała z sofy, ale miała wielki kłopot z utrzymaniem się na nogach, przede wszystkim dlatego, że głowa wydawała się teraz wyjątkowo ciężka. Gwen musiała przytrzymać się sofy.

I znów usłyszała Hugh.

– Tatusiu, możemy zobaczyć, czy tam nie ma mamusi?

– Świetny pomysł, synu!

– A czy Wilfred może iść z nami?

– Najpierw ja zajrzę do środka, zgoda? Potem pomyślimy, co dalej.

Drzwi skrzypnęły. Gwen zobaczyła w nich wysoką, ciemną postać, która wydała jej się ogromna; wypełniała sobą całe pomieszczenie. Słyszała, jak Laurence coś do niej mówi. Parę słów. A potem zapadła ciemność.

Kiedy Gwen odzyskała przytomność, była w swoim pokoju. Koło okna stał Laurence z doktorem Partridge'em. Nie widziała ich twarzy, tylko ciemne sylwetki. Obaj zwróceni byli w stronę okna i obaj mieli ręce założone do tyłu.

Zakasłała i doktor się obejrzał.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Gwen, chciałbym cię zbadać.

Nerwowo przeczesała ręką włosy.

– No cóż**...** Na pewno wyglądam okropnie, ale naprawdę nic mi nie dolega, John!

– Jednak chcę cię obejrzeć.

Doktor zajrzał jej w oczy i osłuchał serce.

– Mówisz, że zemdlała, Laurence?

– Zastałem ją leżącą na podłodze w hangarze na łodzie.

– Czy sprawiała wrażenie oszołomionej?

– Miała zwężone źrenice, malutkie jak główka szpilki, i jej serce biło bardzo szybko – odparł Laurence. – Gwen? Gdzie jest szklanka po miksturze, którą wypiłaś ostatnio?

– Nie mam pojęcia. Chyba gdzieś na dworze. Dobrze nie pamiętam**...** – wymamrotała i zamknęła oczy, znowu półprzytomna.

Zdawała sobie jednak sprawę, co się wokół dzieje. Laurence wyszedł, ruszył na poszukiwanie wspomnianej szklanki, a po krótkiej chwili wręczył ją doktorowi.

Doktor powąchał, potem palcem zebrał resztki i posmakował.

– Dziwne**...** Ta mikstura jest zdecydowanie za mocna**...**

– Gwen, gdzie jest proszek, który przepisał ci doktor?

Wskazała ręką w stronę łazienki. Laurence znikł w łazience i wrócił stamtąd z kilkoma pakiecikami proszku.

Doktor spoważniał.

– Przecież to za duża dawka.

Laurence spojrzał na niego z przerażeniem. Doktor był skonsternowany.

– Musieli w aptece źle odczytać receptę.

Laurence spiorunował go wzrokiem.

– Gwen musi natychmiast odstawić ten lek – mówił dalej doktor. – Jest zbyt wątła, by go przyjmować, mogą nastąpić niepożądane reakcje. Bóle, poty, rozdrażnienie, zły nastrój. Jeśli za sześć dni nie poczuje się dobrze, proszę mnie wezwać. – Doktor skłonił się i umknął.

Laurence usiadł na brzegu łóżka:

– Niebawem poczujesz się lepiej, kochanie – powiedział, uśmiechając się do niej ciepło. Pokazał jej jakąś kartkę. – Spójrz! Znalazłem to w hangarze, leżało na podłodze, obok ciebie. Rysunek naszego Hugh.

– Hugh? Rysował w hangarze? – zapytała, starając się, by zabrzmiało to obojętnie, ale cała aż zesztywniała. Czy Laurence naprawdę sądzi, że to rysunek Hugh?

– Musieliśmy zostawić otwarte drzwi. Ten rysunek, moim zdaniem, powstał dawno. Teraz Hugh rysuje o wiele lepiej.

Laurence uśmiechnął się i podał jej kartkę. Gwen również się uśmiechnęła. Czuła ogromną ulgę. Laurence nie zorientował się, że to nie jest rysunek Hugh.

19

Przez trzy dni Gwen czuła się okropnie. Rozdrażniona i zła na Laurence'a, że wezwał doktora, w konsekwencji czego została pozbawiona środka nasennego, w ogóle nie chciała z nim rozmawiać. Niewielkie ilości jedzenia, jakie była w stanie przełknąć, zabierała do swego pokoju i tam jadła w samotności. Czuła się wyjątkowo fatalnie. Nawet widok synka nie był w stanie poprawić jej nastroju, jedynym jej marzeniem było: cofnąć czas. Znów znaleźć się w Anglii, w domu, przy matce, i nigdy nie spotkać Laurence'a Hoopera.

Kiedy piła miksturę, czuła się beztroska. Teraz głowa ponownie bolała ją tak, że nie mogła myśleć, a ręce były ciągle wilgotne, pociła się bardzo i w ciągu dnia musiała zmieniać koszulę co najmniej trzy razy. Była wciąż oszołomiona, niemal nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest. Bolał ją każdy skrawek ciała. Miała wrażenie, jakby tysiące igiełek nakłuwały jej skórę.

Czwartego dnia, podejmując rozpaczliwą próbę, by zostać przy zdrowych zmysłach, wyjęła wszystkie listy od matki i zaczęła czytać, jeden po drugim, zalewając się łzami. Jakże tęskniła za Anglią! Za pierwszym śniegiem, za mroźnym dniem i pięknym latem na farmie. Ale najbardziej tęskniła za tym, jaka była kiedyś. Dziewczyną pełną nadziei, z ufnością patrzącą w przyszłość. Dziewczyną, która wierzyła, że jej życie będzie piękne i radosne.

Naczytała się, nawspominała, napłakała, potem wzięła kąpiel, umyła włosy i na duszy jakby zrobiło się odrobinę lżej.

Piątego dnia, choć ręce nadal drżały, postanowiła ubrać się i zjeść lunch w jadalni. Starała się bardzo wyglądać jak dawna Gwen. Włożyła ładną muślinową sukienkę, do której dobrała odpowiedni szal z szyfonu. Sukienka zrobiła się trochę za luźna, ale i tak Gwen było przyjemnie, kiedy szła w niej lekkim krokiem.

Mimo że było już dobrze po dwunastej, postanowiła przed lunchem sprawdzić zapasy w spiżarni. Kiedy otworzyła wielkie drzwi, była zaskoczona widokiem półek uginających się pod ciężarem ryżu, oliwy, także whisky. *Appu* był przy tym. Obserwował ją, a kiedy spojrzała na niego, marszcząc brwi, wzruszył ramionami i wymamrotał coś pod nosem. Gwen zastanowiła się. Co się z nią dzieje? Czyżby była aż tak wyczerpana, że wydaje jej się, że przedtem tego wszystkiego nie było? Potrząsnęła bezradnie głową, zdruzgotana świadomością, że nie potrafi zapanować nad sobą.

Kolejny monsun jeszcze nie nadszedł. Pogoda była piękna. Gwen, zanim przeszła do jadalni, weszła na chwilę do swego pokoju, by otworzyć okno. Natychmiast do jej uszu doleciała cała gama różnych dźwięków: pogwizdywanie ogrodnika, dzwoniący telefon w głębi domu, czyjś śpiew. Życie toczyło się swoim rytmem. Kiedy wychodziła z pokoju, była już prawie pewna, że jej układ z Panem Bogiem należy do przeszłości. Zaczęła się zastanawiać, czy nie straciła wiary, jednak doszła do wniosku, że jeśli nie On, to kto inny może jej wybaczyć.

Przy stole nakrytym dla czterech osób byli już Laurence, Verity i McGregor.

Laurence na jej widok rozpromienił się.

– O, jesteś!

Gwen usiadła i natychmiast zaczęło krzątać się przy stole dwóch służących.

– Obawiam się, że znowu suflet im nie wyszedł – powiedziała Verity. – W najlepszym razie zrobią go nieźle, ale zawsze daleko im do doskonałości.

Podczas lunchu rozmawiano o herbacie, o najbliższych aukcjach i o pożyczce hipotecznej, jaką zaciągnął Laurence na kupno sąsiedniej plantacji. Verity wydawała się pogodna, Laurence też był w dobrym nastroju.

– Po ostatnich incydentach wśród naszych robotników chyba udało nam się wreszcie zaprowadzić jako taki spokój – powiedział McGregor.

– A nie wiesz przypadkiem, czy pan Ghandi odwiedzi Cejlon po raz drugi? – spytała Verity.

– Wątpię. A jeśli nawet, to nie będzie z tym problemu. Po prostu zabroni się robotnikom jechać na spotkanie z nim.

– Ale dlaczego? – Gwen zerknęła na Laurence'a. – Może powinni jechać. Co o tym sądzisz?

Laurence spochmurniał i Gwen odniosła wrażenie, że w tej kwestii mężczyźni mają odmienne zdanie.

– To pytanie czysto hipotetyczne – powiedział McGregor.

– A co tym razem było powodem niezadowolenia? – spytała Gwen.

– To co zwykle. Prawa robotników. Agitatorzy ze związków zawodowych ich podburzają, a potem ja muszę się z tym zmagać.

– Miałem nadzieję, że powołanie Rady Legislacyjnej wystarczy, by poprawić sytuację – powiedział Laurence. – Departament Rolnictwa wydał sporo pieniędzy na nauczenie miejscowych, by stosowali nowoczesne metody w rolnictwie.

– Ale naszych robotników to nie dotyczyło, prawda? – dopytywała się Gwen. – John Partridge mówił mi kiedyś, że spodziewał się większych zmian.

Laurence wydął policzki.

– Masz rację. Kongres Narodowy również jest zdania, że zrobiono za mało.

– A kto tam wie, co oni naprawdę myślą – powiedział McGregor. Skrzywił się, a potem zaśmiał. – Czy oni w ogóle myślą?! Wielcy intelektualiści, co próbują podburzyć robotników! Co innego, kiedy w Anglii daje się prawa wyborcze kobietom, które ukończyły dwadzieścia jeden lat, a co innego, kiedy głosować mają tubylcy, którzy nie mają o niczym pojęcia!

Gwen zdawała sobie sprawę, że kamerdyner i dwóch chłopców do posług doskonale słyszą tę wymianę zdań, i bardzo jej się nie podobało, że McGregor potrafi być tak bezduszny i nietaktowny. Miała ochotę z nim polemizować, ale ze względu na swoją słabą kondycję wolała nie brać udziału w żadnym sporze. Nie znaczyło to jednak, że nie chciała uczestniczyć w rozmowie. Czasami trudno było jej się skupić i traciła wątek. Poza tym bała się, że Verity lub McGregor wspomną o rysunku. Czuła, że jej umysł jeszcze nie funkcjonuje należycie. W każdym razie panowie rozmawiali głównie o polityce, dopóki na stole nie pojawił się wspaniały deser z ciasta biszkoptowego. Verity aż klasnęła w dłonie z zachwytu, wszyscy zaczęli z rozkoszą pochłaniać słodkości.

– Przejdziemy się, Gwen? – zaproponował Laurence po deserze.

W jego spojrzeniu było tyle ciepła, że od razu poczuła się o wiele silniejsza.

– Z przyjemnością. Pójdę tylko po narzutkę, gdyby zrobiło się chłodno**...**

– Świetnie. Nie spiesz się. Czekam na tarasie.

Gwen wróciła do pokoju i wyjęła z szafy zielono-niebieską narzutkę pochodzącą z Kaszmiru, ozdobioną na plecach pięknym wzorem paisley z motywem pawiego pióra, trochę już znoszoną. Kiedyś należała do matki, teraz była ulubioną narzutką Gwen. Podeszła do okna, by je zamknąć. Nagle usłyszała głos Laurence'a:

– Nie bierz tego do siebie.

A potem Verity:

– Ale dlaczego nie mogę iść z wami?

– Bo mężczyzna ma czasami ochotę pobyć z żoną sam na sam. Tym bardziej z żoną, która jest chora.

– Och! Ona ciągle jest chora!

– Przesadzasz. Bardzo mi przykro, że po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, rozmawiasz ze mną w taki sposób.

– Dla mnie? Ty wszystko robisz dla niej!

– Jest moją żoną!

– Oczywiście. Nigdy nie pozwalasz mi o tym zapomnieć!

– Czyżby? Dobrze wiesz, że to nieprawda.

Verity coś wymamrotała w odpowiedzi i dalej mówił Laurence podniesionym głosem:

– Wypłacam ci niemałe apanaże, dom w Yorkshire przepisałem na ciebie, pozwalam ci mieszkać tu tak długo, jak zechcesz.

– Przecież jestem dla niej uprzejma!

– Tylko tyle? Chciałbym, żebyś ją pokochała.

Jeszcze by tego brakowało**...** W oczach rozżalonej Gwen zakręciły się łzy, postanowiła jednak dalej słuchać.

– Po śmierci Caroline miałam cię tylko dla siebie.

– Owszem. Ale powinnaś mieć własne życie. To niezdrowa sytuacja. Najwyższy czas, żebyś poszukała sobie męża.

– Dobrze wiesz, że na całym świecie jest tylko jeden mężczyzna, za którego chciałabym wyjść.

Nastąpiła długa cisza. A potem znów odezwała się Verity:

– Uważasz mnie za starą pannę?

– Sama do tego doprowadziłaś – rzucił ostrym tonem Laurence.

– Miałam powody. I swoje wiem.

– Co na przykład?

– To, że Caroline i Thomas**...**

– Daj spokój, Verity. Niemożliwe, żeby coś takiego ci się przytrafiło.

– Nie? Wiesz, co ci powiem? Może i jesteś ode mnie starszy, ale o naszej rodzinie wiesz bardzo mało.

– Nie bądź taka melodramatyczna. Powtarzam, za długo jesteś na Cejlonie. Powinnaś koniecznie zrobić coś ze swoim życiem.

– Mów, co chcesz, ale**...**

Głosy były coraz odleglejsze. Po chwili zapadła cisza. Gwen zrobiła głęboki wdech, potem powolny wydech. Zawsze starała się być wyrozumiała wobec Verity, tym razem jednak poczuła się dotknięta.

Kiedy nerwowo przemierzała pokój wzdłuż i wszerz, w progu nagle pojawił się Laurence.

– Ślicznie wyglądasz, kochanie.

Uśmiechnęła się, zadowolona, że to zauważył. A potem wyrzuciła z siebie:

– Słyszałam, jak rozmawiałeś w ogrodzie z Verity.

Laurence milczał.

– Dobrze wiem, że ona mnie nie lubi. Od samego początku. Miałam nadzieję, że to się zmieni, ale niestety tak się nie stało.

– Verity ma trudny charakter. – Westchnął. – Na pewno się stara, ale po prostu jej nie wychodzi.

– A możesz mi powiedzieć, w kim była zakochana?

– Chodzi o jej narzeczonego?

– Nie, o człowieka, który nie odwzajemniał jej uczucia.

Laurence zmarszczył czoło.

– To Savi Ravasinghe.

Gwen wbiła wzrok w podłogę, starając się zapanować nad twarzą, by Laurence nie zorientował się, jak jest zszokowana tą informacją. Od razu ożyły wspomnienia. W pamięci pojawił się tamten żałosny obraz. Hotelowy pokój, na podłodze jedwabne majtki.

– Czy on**...** zachęcał Verity?

Laurence wzruszył ramionami, było jednak oczywiste, że jest spięty i trudno mu o tym opowiadać.

– Poznali się, kiedy malował portret Caroline.

– A gdzie jest ten portret? Nie widziałam go.

– W moim gabinecie.

Spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich i ból i gniew. Dlaczego? Czyżby gniewał się na nią?

– Chciałabym go zobaczyć. Może teraz, zanim pójdziemy na przechadzkę?

Laurence kiwnął głową. W korytarzu Gwen spytała jeszcze:

– Czy dobrze uchwycił podobieństwo?

Nie odpowiedział. Kiedy otwierał drzwi, zauważyła, że ręce mu drżą.

W gabinecie od razu zauważyła obraz na ścianie.

– Nie wiedziałam, że tu wisi. Kiedy weszłam tu ostatnim razem, na pewno go nie było.

– Zdejmowałem ten obraz kilkakrotnie, ale on i tak wraca na ścianę. Przeszkadza ci to?

Gwen pokręciła głową, choć wcale nie była przekonana, czy na pewno nie ma nic przeciwko temu. Piękny obraz. Caroline została sportretowana w czerwonym sari ozdobionym złotą i srebrną nitką. Na części sari, która zwisała z ramienia, były wyhaftowane ptaki i kwiaty. Wspaniały portret. Ravasinghe nie tylko oddał na nim całą urodę Caroline, która na fotografii nie była aż tak oczywista. Uchwycił wrażliwość i smutek na pięknej twarzy. Smutek, którym Gwen była poruszona.

– Te nitki są naprawdę srebrne – wyjaśnił Laurence. – Lepiej go zdejmę. Powinienem był go już dawno schować. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem.

– Czy ona zawsze chodziła w sari?

– Nie.

– Przed chwilą miałam wrażenie, że jesteś zły.

– Może i tak.

– Kochanie, czy jest jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałeś?

Odwrócił się do niej plecami. Pomyślała, że może jest zły na siebie, może ma poczucie winy, że nie zawiózł wtedy Caroline do szpitala. Gwen doskonale wiedziała, jakiego spustoszenia dokonuje w człowieku poczucie winy. Na początku po prostu gdzieś tam tkwi, potem zaczyna się rozpychać i w końcu staje się wszechwładne.

Posmutniała; może Laurence nigdy się nie otrząśnie po tragicznej śmierci pierwszej żony.

20

Czas mijał i chociaż zdarzały się chwile, gdy Gwen musiała pokonać w sobie paniczny strach, z każdym dniem czuła się silniejsza. Hugh szalał na nowym rowerku. Laurence był w dobrym nastroju. Gwen przesiadywała na ławce nad jeziorem, czytała ulubione książki, słuchała śpiewu ptaków i cichego szmeru wody, pozwalając naturze wlewać spokój do jej duszy. Powoli odzyskiwała kontrolę nad własnym życiem. Przestała zamartwiać się rysunkiem Liyoni i zadręczać, że jednak złamała umowę z Panem Bogiem.

Tego dnia, kiedy po raz pierwszy od wielu miesięcy jadła na śniadanie coś ciepłego, stwierdziła, że istotnie czuje się znacznie lepiej, skoro taką przyjemność sprawia jej pochłanianie parówek – lekko spieczonych, takich, jakie lubiła. Oprócz parówek zjadła też jajko sadzone, dwa plasterki chudego bekonu i kromkę chleba, popijając wszystko dwiema filiżankami herbaty.

Złe miesiące minęły jak sen. Nadszedł październik i Gwen wszystko widziała w jasnych barwach. Skończyła jeść i spoglądając na jezioro za oknem, którym bawił się łagodny wiatr, pomyślała, że warto wziąć Hugh na spacer.

Zawołała Spew i Bobbins i wyszła przed dom, gdzie synek dosiadał konika na biegunach, głośno pokrzykując.

– Kochanie, pójdziesz z mamusią na spacer?

– Tak! A czy Wilfred może iść z nami?

– Naturalnie. Włóż tylko kalosze, bo jest mokro.

– Ale przecież deszcz nie pada, mamusiu!

Gwen spojrzała w niebo, chyba po raz pierwszy od wielu miesięcy, bo przedtem pogoda jakoś wcale jej nie interesowała.

– Rzeczywiście. No popatrz, twoja stara głupia mama nawet nie zauważyła, że przestało padać.

Hugh roześmiał się.

– Głupia, stara mama! Verity też tak mówi. To ja idę po mój latawiec.

Gwen, czekając na synka, pomyślała o jego słowach. Verity ostatnio się zmieniła, prawdopodobnie wzięła sobie do serca to, co klarował jej brat. Poza tym zarówno Verity, jak i McGregor ani razu nie wspomnieli już o rysunku. Woźnica miał surowo zabronione przekazywanie jakichkolwiek prywatnych wiadomości czy przedmiotów. Naveena przekupiła pracza, który miał dostarczać rysunki, kiedy tylko będzie mógł.

Niestety, przekazywał je w różnych terminach, wcale nie przed pełnią albo po pełni księżyca. Poza tym nie było żadnej gwarancji, że zachowa się dyskretnie. Jednak wydawał się łasy na pieniądze i Gwen miała nadzieję, że to, co mu płaciła, wystarczy, by trzymał język za zębami.

Kiedy Hugh przybiegł z powrotem, ruszyli nad jezioro. Szli ścieżką, nadal błotnistą po ostatnich deszczach. Psy biegły przodem. Gwen, z rozpuszczonymi, rozwianymi na wietrze włosami i Hugh podążali za nimi dziarskim krokiem. Woda była purpurowa od refleksów popołudniowego słońca. Mały Hugh, jak każde dziecko w jego wieku, interesował się wszystkim, co wyławiał wzrokiem. Podnosił z ziemi i dokładnie oglądał każdy okrągły kamyczek, po czym chował go do kieszeni, swojej albo matki. Gwen, zachwycona, że po długiej nieobecności wróciła do normalnego życia, nie mogła oderwać oczu od synka. Jej serce przepełniała miłość, kiedy patrzyła na jego krótkie, tłuściutkie nóżki, rozwichrzone włosy, słyszała radosny, zaraźliwy śmiech.

Roześmiany synek i rozśpiewane ptaki – Gwen, wystawiając twarz ku słońcu, pomyślała, że wreszcie czuje się dobrze. Jest spokojna i zadowolona z życia. Mimo że coś ją trapi, ale to się nie zmieni.

Nagle Hugh zaczął wołać, że latawiec się zaplątał i nie chce dalej frunąć.

– Mamusiu, mamusiu, zrób tak, żeby leciał!

– Nie potrafię, synku. Jeśli poprosisz tatusia, na pewno go naprawi.

– Ale ja chcę, żeby leciał teraz! Teraz!

Rozżalony chłopczyk rzucił się na ziemię, Gwen błyskawicznie go podniosła.

– Wiesz, kochanie, co zrobimy? Weźmiemy się za ręce, będziemy maszerować i śpiewać piosenki. Zgoda?

Gniew minął, jak ręką odjął.

– Dobrze, mamusiu. Będziemy śpiewać. Czy Wilfred może powiedzieć, jaką piosenkę?

– Jesteś pewien, że zna jakieś piosenki? Jeśli tak, to niech podpowie, którą mamy zaśpiewać.

– On zna! On zna! – zawołał Hugh, podskakując z przejęcia.

– A więc co śpiewamy?

– To, co on. Bo on już śpiewa.

Istotnie, słychać było, jak ktoś sobie podśpiewuje piosenkę o czarnej owieczce. Zobaczyła męża schodzącego po schodach.

– Naturalnie, synku. Stara głupia mama dopiero teraz usłyszała.

– Chodźcie już do domu! – zawołał Laurence.

– Już idziemy! – odkrzyknęła Gwen. – Byliśmy na spacerze nad jeziorem!

– Ach tak? To już wiem, dlaczego wyglądasz prześlicznie. Znowu masz rumieńce.

– Tatusiu, a ja też? Ja też?

Oboje rodzice wybuchnęli śmiechem.

– Tak, synku – powiedział Gwen. – Masz ślicznie zaróżowioną buzię. Ja też, bo czuję się o wiele lepiej.

Gwen, by całkowicie odzyskać spokój ducha, musiała koniecznie coś jeszcze zrobić. Coś, do czego przygotowywała się przez cały ranek. Naveenie powiedziała, że idzie na długi spacer. Przecież stara *ayah*, gdyby dowiedziała się, co jej pani zamierza zrobić, na pewno by protestowała. I tak nie była zadowolona.

– Przecież zaraz będzie padać – powiedziała, spoglądając na niebo.

– Wezmę parasolkę.

Gwen wyszła z domu i ruszyła przed siebie. Oddychała głęboko, podczas marszu myślało jej się lepiej. Szła długo, aż dotarła do miejsca, skąd nie było już widać jeziora, a liście paproci rosnących na poboczach, ciężkie po ulewnych deszczach, prawie leżały na ziemi. Czuć było dym i zapach jedzenia dolatujący z chat robotników i słychać szczekające w oddali psy. Mimo tych oznak życia, miała wrażenie, jakby świat zastygł. Cisza przed burzą. Na horyzoncie widać było czarne, ciężkie chmury, co jakiś czas rozświetlane srebrną błyskawicą.

Gwen zawsze uważała się za dobrego człowieka, którego nauczono odróżniać dobro od zła. Po urodzeniu bliźniaków jej wiara w siebie została mocno zachwiana. Wiedziała, że synka i męża kocha szczerze. Na pewno. A jak jest z Liyoni? Nie miała wątpliwości, że dziewczynka jest w dobrych rękach i nic złego się nie dzieje, ponieważ dostała ostatni rysunek. Ale dobra opieka to nie wszystko. Czy okazują jej serce? Czy jest kochana?

W pamięci ożyły dramatyczne chwile narodzin Liyoni i inne wspomnienia utwierdzające Gwen w przekonaniu, że zrobiła dobrze, wybierając się do wioski. Nienawidziła myśli, że Liyoni, odłączona od rodzonej matki, może rosnąć w poczuciu osamotnienia i odrzucenia.

Gwen drżała z emocji, że znowu zobaczy córeczkę. Do głowy przyszła jej nawet śmiała myśl, czy nie zabrać małej do domu. Ale kiedy zaczęło padać i grzmoty słychać było coraz bliżej, myśl ta wydała się bezsensowna. Nawet jeśli kolor skóry nie ma dla Laurence'a tak wielkiego znaczenia jak dla większości miejscowych Europejczyków, będzie czuł się zraniony do żywego niewiernością żony.

Szła drogą, spoglądając uważnie przed siebie, miała przecież dojść do miejsca,

gdzie z lewej strony znajduje się ścieżka. Niestety, zaczęło już padać. Krople deszczu spływające z gałęzi skapywały na jej twarz, dostawały się do oczu i niełatwo było cokolwiek dojrzeć. Gwen doszła do wielkiego głazu pokrytego porostami. Odpoczęła chwilę, po czym weszła na ścieżkę. Nie było łatwo nią iść. Bez przerwy musiała odsuwać zwisające gałęzie. Niestety, po krótkim czasie ściana drzew zdawała się nie do pokonania. Gałęzie wplątały się w rozpuszczone włosy Gwen i między druty parasolki, łamiąc je. W dodatku ścieżka gdzieś znikła.

Lało jak z cebra. Gwen wróciła więc z powrotem do drogi, starając się cokolwiek dostrzec przez gęstą, białą mgłę. Zdawało jej się, że widzi jakieś złowrogie postacie na poboczach drogi. Wystraszona podniosła rękę, by je odpędzić. Zaskrzeczał ptak, usłyszała trzask gałęzi.

Zebrała z karku mokre włosy i wycisnęła je. Nie, nie miała zamiaru zrezygnować. Bardzo chciała znów zobaczyć swoje dziecko. Zobaczyć, jak wygląda, spojrzeć córeczce w oczy, nacieszyć się jej uśmiechem. Chciała potrzymać ją za rączkę, pocałować w policzek, pokołysać, pobawić się. Tak jak to robiła z Hugh. Na krótką chwilę pozwoliła, by do głosu doszły uczucia, które nauczyła się tłumić. Była świadoma, że jeśli pozwoli, by jej miłość do córeczki rozkwitła, nigdy nie pogodzi się z nieobecnością dziecka. Teraz nie miała żadnych zahamowań. Czuła, jak bardzo kocha Liyoni, jak bardzo chce mieć ją przy sobie.

Zdołała się wyprostować, otarła oczy i rozejrzała się dookoła. Doszła do wniosku, że w takich okolicznościach nie odnajdzie wioski. Ze zdenerwowania krew uderzyła jej do głowy. Oszołomiona przysiadła na kamieniu, objęła się ramionami i tak trwała w ulewnym deszczu, wyobrażając sobie, że przytula córkę.

Gdy przemokła do nitki, stłumiła w sobie szloch i wstała. Przez kilka minut wpatrywała się w wielkie krople deszczu bombardujące drogę, a potem, po raz drugi porzucając córeczkę, zaczęła wchodzić na wzgórze drogą, która prowadziła do domu.

Laurence nie widział, że Gwen wróciła do domu przemoczona, z zapuchniętymi oczami. Zapaliła świece. Podczas burzy generator często zawodził, tym razem jednak była gorąca woda i Gwen mogła przygotować sobie pachnącą kapiel. Potem wzięła dwa proszki od bólu głowy i spryskała twarz lodowatą wodą. Poczuła się lepiej.

Po kolacji rozsiedli się wygodnie przy lampach naftowych, zamierzając zagłębić się w lekturze. Gwen miała nadzieję, że cisza i spokój tego wieczoru uleczą ranę w jej sercu.

– Po co chodziłaś tak długo po tym deszczu? – spytał Laurence, nalewając im brandy.

Gwen drżała, może się przeziębiła.

– Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem. Wzięłam parasolkę.

Laurence sięgnął po koc, owinął nim żonę, potem zaczął masować jej kark.

– Powinnaś uważać na siebie, kochanie. Przecież niedawno doszłaś do siebie. Nie chcę, żebyś znowu zachorowała. Nikt nie chce. Wszyscy bardzo cię potrzebujemy.

– Naprawdę nic mi nie jest.

Niestety, prawda wyglądała inaczej. Gwen znowu czuła się źle, a pogoda nie była głównym winowajcą. Bardzo jej zależało, by sprawiać wrażenie, że jest taka jak dawniej. Postanowiła więc, że trochę poczyta, a potem napisze list do matki. Wiedziała, że nieprędko się z nią spotka, ponieważ ojciec miał ataki duszności i rodzice musieli zrezygnować z podróży na Cejlon.

– Jest parno po tym deszczu, prawda? – powiedziała.

– Owszem. Niebawem znów będzie padać.

Laurence z powrotem rozsiadł się w ulubionym fotelu i zaczął czytać gazetę. Gwen też usiadła, omijając kanapę, na której leżała skóra lamparta. Nigdy nie czuła się komfortowo, opierając się o skórę martwego zwierzęcia. Wsunęła poduszkę pod głowę i sięgnęła po książkę z twardym postanowieniem, że skupi się wyłącznie na niej i dzięki temu odsunie niespokojne myśli. Niestety, było to niemożliwe.

– Co czytasz, kochanie? – spytał Laurence, sięgając po brandy.

– „Zagadkę błękitnego ekspresu” Agathy Christie. Ta książka ukazała się w zeszłym roku. Cieszę się, że ją kupiłam. Uwielbiam Agathę Christie. Pisze tak ciekawie, obrazowo. Kiedy się czyta jej powieści, człowiek ma wrażenie, że przebywa w świecie stworzonym przez pisarkę.

– W świecie odbiegającym trochę od rzeczywistości.

– Tak, to prawda, ale ja bardzo lubię, kiedy książka pochłania mnie całkowicie. Niestety te opasłe tomiska z twojej biblioteki mnie nie porywają. Oprócz poezji naturalnie.

Laurence uśmiechnął się i posłał jej ręką pocałunek.

– Dobre i to!

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Tak bardzo chciała temu kochanemu człowiekowi wyznać prawdę! Zrobić to, co bohaterka jednej z jej ulubionych powieści, czyli paść przed nim na kolana i błagać o litość. Nie, to byłoby po prostu śmieszne.

Położyła rękę na walącym mocno sercu i przepowiedziała sobie w duchu to, co

Laurence powinien usłyszeć. Wystarczyło tylko otworzyć usta.

– Kochanie? Wszystko w porządku? – spytał, przyglądając jej się bacznie.

Pokiwała głową nadal zdecydowana wyjawić mu wszystko, ponieważ dochowanie tajemnicy było już ponad jej siły. Powiedzieć mu o konsekwencjach tamtej nocy w Nuwara Eliya, kiedy to szampan zaszumiał jej w głowie do tego stopnia, że zapomniała, kto jest miłością jej życia. Wyznać: „Laurence, urodziłam dziecko innego mężczyzny i musiałam je ukryć przed światem**...**”. To brzmiało okropnie, ale co innego mogła powiedzieć?

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Laurence pytająco uniósł brwi.

– Spodziewamy się kogoś?

Gwen, czując niewysłowioną ulgę, pokręciła głową i odłożyła książkę.

– Kto to może być?

– Nie mam pojęcia – odparła zgodnie z prawdą. – Może Verity. Zapomniała wziąć ze sobą klucze.

– Przecież drzwi nie są zamknięte na klucz. Gdyby to była Verity, po prostu weszłaby do środka.

Usłyszeli, jak kamerdyner idzie przez hol. Usłyszeli kobietę mówiącą z amerykańskim akcentem, potem zastukały obcasy, niewątpliwie wysokie.

Stukały coraz głośniej.

– Christina? – spytała półgłosem Gwen.

– Może. Nie znam żadnej innej Amerykanki, a ty?

– Ja też nie. Ale czego ona**...**

Drzwi otwarły się i do pokoju istotnie weszła Christina. Jak zwykle ubrana na czarno, tym razem jednak wcale nie była obwieszona biżuterią. Może ubierała się w pośpiechu i zapomniała o niej. Gwen bynajmniej nie ucieszył widok Christiny. Laurence, uśmiechając się uprzejmie, zaproponował jej drinka.

– Za drinka dziękuję – odparła. – Poproszę whisky. Dużą whisky. Nie, wielką.

Usiadła na krześle z wysokim oparciem przy stoliku do gry w karty. Jej włosy, zwykle starannie ułożone, opadały swobodnie na ramiona. Dzięki temu Gwen wiedziała, że Christina je farbuje. Wyglądała teraz na osobę całkowicie bezbronną. Wyjęła z torebki papierosy i zapalniczkę. Papierosa włożyła do srebrnej cygarniczki, ale nie zdołała go zapalić, bo ręce jej drżały. Laurence podał jej ognia. Christina zaciągnęła się, koniec papierosa się rozjarzył. Odchyliła głowę i wypuściła w stronę sufitu efektowne kółeczka z dymu.

– Coś się stało? – spytał Laurence, spoglądając na nią z niepokojem. Dotknął jej nagiego ramienia, ale nie była to pieszczota. Na pewno nie, tylko takie bardzo

ostrożne dotknięcie.

Nie odezwała się i pochyliła głowę. Jej twarz, pozbawiona makijażu, była biała jak ściana. Wyglądała, jakby raptem przybyło jej co najmniej dziesięć lat. Już nie była szykowną panią po trzydziestce. Gwen wcale nie poczuła satysfakcji. Wszystko wskazywało na to, że Christina jest kompletnie załamana.

– Lepiej usiądź, Laurence – powiedziała głuchym głosem.

Gwen i Laurence, oboje równie zaskoczeni, wymienili spojrzenia.

– Już siadam – powiedział, podsuwając sobie krzesło.

– Ty też usiądź, Gwen – dorzuciła Christina, ale Laurence zaprotestował:

– Jeśli chodzi o sprawy biznesowe, lepiej Gwen z tego wyłączyć. Jest świeżo po chorobie.

Christina spojrzała na Gwen.

– Słyszałam, że chorowałaś. Doszłaś już do siebie?

– Tak, dziękuję – odparła uprzejmie Gwen, niezadowolona, że Laurence nie życzy sobie jej obecności. – Z chęcią zostanę z wami. Chyba że nie chcesz, Laurensie.

– Ależ skąd!

– Nie jest łatwo mi to powiedzieć**...** – zaczęła Christina i urwała na moment, bo wyraźnie miała trudności z mówieniem. Spuściła głowę i odchrząknęła kilkakrotnie. Gwen i Laurence czekali w milczeniu, aż Christina zapanuje nad sobą.

– Czy chodzi o Verity? – spytał po chwili Laurence, teraz już bardzo zaniepokojony.

Christina pokręciła głową, wzrok miała nadal utkwiony w podłodze.

– Nie, nie!

– W takim razie o co?

Znowu chwila ciszy. Christina, nie odrywając oczu od podłogi, nabrała głęboko powietrza. Serce Gwen zaczęło przyspieszać. Jeśli nie chodzi o Verity, to o co? Czyżby jakieś złe wieści o Fran? O Savim Ravasinghe? Na pewno złe, bardzo złe, ponieważ i wygląd, i zachowanie Christiny świadczyły niezbicie, że należy spodziewać się najgorszego.

Christina poderwała głowę i zagryzając wargę, spojrzała po kolei na małżonków.

Palce Laurence'a zabębniły niecierpliwie po stole.

– Christino, wyrzuć to z siebie.

Christina wyprostowała się i powiedziała jednym tchem:

– Krach na giełdzie nowojorskiej.

Twarz Laurence'a stężała.

– A co to oznacza dla nas? – spytała Gwen.

– Laurence zainwestował niemało w kopalnie miedzi w Chile. Sama mu to doradziłam. I te akcje są teraz bezwartościowe. Nawet jeśli mają jeszcze jakąś znikomą wartość, to jutro będzie jeszcze mniejsza. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

– Trzeba je natychmiast sprzedać.

– Sprzedać? To niemożliwe. Nie sprzedasz czegoś, co nie ma wartości!

Zapadła cisza. Laurence wstał, zrobił krok i złożył ręce z tyłu. Gwen miała ochotę zadać jeszcze kilka pytań, ale ugryzła się w język. Siedziała cicho, wpatrzona w męża, który w końcu przemówił:

– Jak mogło do tego dojść? Mówiłaś, że wzrost zapotrzebowania na energię elektryczną i miedź są zagwarantowane, że energia elektryczna będzie niebawem dostarczana do każdego gospodarstwa domowego, a zapotrzebowanie na miedź będzie większe niż w najśmielszych marzeniach.

– I byłam o tym święcie przekonana. Przysięgam. Wszystko na to wskazywało.

– Ale co jest przyczyną krachu? – spytała Gwen.

Christina bezradnie potrząsnęła głową.

– Zaczęło się od rekordowych zbiorów. Wszystkiego było w nadmiarze.

– To niedobrze?

– Nie, bo ceny spadły, farmerzy nie zarobili tyle, ile trzeba, i nie mieli czym zapłacić dostawcom, robotnikom i tak dalej. W rezultacie zaczęli masowo wycofywać pieniądze z banków.

Laurence sposępniał jeszcze bardziej.

– Czyli doszło do szturmu na banki?

Christina pokiwała głową.

– Na twój bank też?

Nerwowo splotła palce u rąk.

– Tak. Nikt się nie spodziewał, że tyle ludzi będzie chciało wycofać pieniądze, a żaden bank nie ma aż tak wielkich rezerw gotówkowych.

– Nadal nie rozumiem – oświadczyła Gwen i zerknęła na Laurence'a. – My wcale nie zamierzaliśmy wycofywać żadnych pieniędzy, prawda?

– Nie o to chodzi – powiedział Laurence.

– Chodzi o efekt domina – wyjaśniła Christina. – Jeśli nie ma gotówki, stopy procentowe gwałtownie rosną i ludzie bankrutują.

– I odbiło się to również na kopalniach miedzi?

Christina pokiwała głową.

– Zgadza się.

– Nie nastąpi szybki wzrost zapotrzebowania na energię elektryczną?

Christina wstała, podeszła do Laurence'a i położyła ręce na jego ramionach.

– Kiedy udzielałam ci tych rad, działałam w dobrej wierze. Przysięgam. Nikt nie mógł tego przewidzieć. Wzrost zapotrzebowania na energię elektryczną na pewno nastąpi, ale jeszcze nie teraz. Najpierw gospodarka musi stanąć na nogi.

– To może potrwać wiele miesięcy – powiedział Laurence, spoglądając jej w oczy.

Christina spuściła głowę, a potem musnęła dłonią jego policzek. Mało tego, wcale nie cofnęła ręki. Mówiła dalej z dłonią na jego policzku:

– Bardzo mi przykro, mój drogi, ale to będzie trwać całe lata. Ile dokładnie? Tego nikt nie jest w stanie przewidzieć.

– W takim razie co mamy zrobić?

Opuściła rękę i cofnęła się o krok.

– Cierpliwie czekać.

– Ale przecież ja z zysków na giełdzie miałem kupić trzecią plantację! Podpisałem już umowę!

Zirytowana Gwen miała już serdecznie dość tego prawie t**ê**te-àt**ê**te.

Christina wyjęła z torebki chusteczkę.

– A ty jak sobie poradzisz? – spytała Gwen, tłumiąc gniew.

Christina otarła delikatnie oczy.

– Ja? Wracam do Stanów. Przetrwam. Ludzie tacy jak ja zawsze dają sobie radę. Pójdę już. Jeszcze raz chcę powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tej sytuacji.

– Odprowadzę cię do drzwi – powiedziała Gwen.

– Dziękuję. Trafię sama.

– Wiem, ale pójdę z tobą.

Gwen spojrzała przez ramię na Laurence'a. Siedział teraz przy stoliku. Twarz miał ukrytą w dłoniach. Przecież nie chodziło tu o przegranie kilku dolarów w pokera.

Gwen przemierzała hol z wysoko uniesioną głową. Otworzyła drzwi, z trudem poskramiając gwałtowną chęć wyrzucenia Amerykanki. Odezwała się lodowatym tonem:

– Od tej chwili masz się trzymać od mojego męża z daleka. Nigdy więcej żadnych porad finansowych ani spotkań towarzyskich! Czy to jasne?

– Ostrzegasz mnie?

– Owszem!

Christina prychnęła i rzuciła:

– Ty naprawdę go nie rozumiesz. Nic a nic!

Laurence i Gwen, otulona ciepłym szalem, by ustrzec się przed porannym chłodem, wyszli z domu o świcie. Ulewa zrobiła swoje. Ścieżka zasłana była połamanymi gałęziami, kwiatami i liśćmi. Temperatura spadła, w powietrzu czuło się wilgoć. I dalej miało padać.

Szli po zboczu wzgórza, kierując się do fabryki herbaty. Gwen nie patrzyła na męża. Po szokującym oświadczeniu Christiny poprzedniego wieczoru oboje nie zmrużyli oka. Laurence, ponury jak gradowa chmura, wlewał w siebie brandy, a Gwen rozmyślała o tym, co Christina powiedziała na koniec, kiedy stały w drzwiach. Jak śmiała rzucić jej prosto w twarz, że Gwen nie rozumie swojego męża! Czyżby ta Amerykanka wiedziała o nim coś, czego Gwen nie wie?

Szli, nie odzywając się ani słowem. Gwen dziękowała Bogu za to, że powstrzymała się od wyjawienia tajemnicy mężowi. Przecież mogło go to zabić. Najpierw ona ze swoim sekretem, potem Christina z hiobową wieścią! Kiedy doszli do połowy wzgórza, przystanęli i przez chwilę w milczeniu patrzyli na siebie, jakby oboje zastanawiali się, co powiedzieć. Albo przynajmniej dojrzeć jakąś iskierkę, która pomoże im przez to wszystko przebrnąć.

Laurence pierwszy spojrzał w bok. Gwen też uciekła wzrokiem. Słyszała, jak serce dudni w jej piersi.

– Nie wiem, do czego nas to doprowadzi – powiedział w końcu.

Znów zapadła długa cisza. Gwen zagryzła wargę, by nie wypowiedzieć na głos swoich obaw.

Laurence wziął ją za ręce. Ciepłe palce objęły jej dłonie.

– Masz zimne ręce, Gwen.

Szli dalej. Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, zatrzymali się na chwilę, by spojrzeć na dobrze znaną okolicę. Na połyskliwą jasną zieleń zmoczonych deszczem krzewów herbaty, na kobiety w wiśniowych, pomarańczowych i fioletowych sari, zbierające liście, na wypielęgnowany ogród, na ich jasny, przestronny dom. Laurence pochylił się, zerwał kilka nagietków i wręczył je Gwen. Powąchała kwiatki i przez chwilę myślała o ich wspólnym domu, radosnym życiu. Przed oczami przesuwały się różne obrazy. Razem z Laurence'em płyną łódką. Muchy poruszające się leniwie podczas upału. Cichy szmer przelatującej ćmy kuszonej blaskiem świecy. Przez otwarte okno dobiegają słodkie dźwięki fletu. Ktoś gra, chyba w kuchni**...**

Chłodny wiatr bawił się gałęziami drzew, a oni stali pod zachmurzonym niebem i milczeli. Czas mijał. Gwen wyrzuciła z siebie słowa, które długo powstrzymywała:

– Christina powiedziała, że cię nie rozumiem. Może wiesz, dlaczego ona tak

uważa?

– Nie mam pojęcia.

– Może chodziło o to, że ciągnie cię do niej**...** A może o to, że tak bardzo ci zależy na tej plantacji**...** Czy będziemy musieli ją sprzedać?

– Jeśli chodzi o Christinę, to nigdy mnie do niej nie ciągnęło. Po prostu przyjaźnimy się**...** – Zamilkł na chwilę, a potem powiedział jednym tchem: – A plantacji nigdy nie sprzedamy! Po moim trupie!

– Domu też nie stracimy?

Laurence westchnął.

– Nie. Wykluczone. Na pewno byśmy nie znaleźli kupca. A jeśli nawet, to cena byłaby śmieszna.

– W takim razie co zamierzasz zrobić?

– Nie po raz pierwszy jesteśmy przyciśnięci do muru. W 1900 roku, kiedy popyt na herbatę był mniejszy niż podaż, w Londynie za funta herbaty płacono siedem, osiem pensów. Niektórzy plantatorzy zbankrutowali, ale mój ojciec wymyślił nową metodę produkcji, dzięki czemu obniżył koszty. Poza tym znalazł nowe rynki zbytu zagranicą. Między innymi w Rosji i – nie uwierzysz – w Chinach! I po trzech latach eksportowaliśmy już znacznie więcej.

– Myślisz, że teraz trzeba zrobić to samo?

Wzruszył ramionami.

– Chyba nie ma takiej potrzeby.

– A ja uważam, że trzeba zacisnąć pasa i zmniejszyć wydatki.

– To zrozumiałe. Twoje zadanie to zmniejszyć wydatki na dom.

Wiedziała, że nawet jeśli ograniczy je maksymalnie, i tak będzie to tylko kropla w morzu. Jednak postanowiła zrobić wszystko, by pomóc Laurence'owi.

– Trzeba sprzedać samochód Verity – powiedział po chwili.

– Sprzedać małego morrisa cowleya?! Przecież ona go kocha! – zaprotestowała Gwen. A poza tym, co tu się oszukiwać, dzięki temu granatowemu samochodzikowi Verity znika im z oczu, i to wcale nie na krótko!

– Kocha, nie kocha, trzeba to zrobić – oświadczył Laurence. – Muszę jej też obciąć apanaże. A poza tym, niestety, realizację moich planów co do szkoły dla dzieci robotników z plantacji trzeba odłożyć na później. Ta szkoła jest stanowczo za mała. Uczy się w niej zaledwie połowa ich dzieci i to absolutnie należy zmienić.

Znów cisza, słychać było tylko ich kroki i śpiew ptaków. W głowie Gwen kłębiły się różne myśli, w głowie Laurence'a niewątpliwie też. Oboje milczeli. Dopiero po kilku minutach, kiedy dochodzili już do fabryki, Laurence powiedział:

– Muszę wyjechać, Gwen.

Zamarła.

– Jak to: wyjechać?!

– Najpierw pojadę do Londynu, potem do Ameryki. Z akcjami nie wyszło, muszę więc znaleźć inny sposób, by zebrać pieniądze na kupno nowej plantacji. A poza tym, co najważniejsze, jeśli ceny herbaty spadną**...**

– Myślisz, że do tego dojdzie?

– Całkiem możliwe. Dlatego chcę być na najbliższych aukcjach w Londynie. No cóż**...** Nie będzie łatwo. Czeka nas długa, wyboista droga.

Gwen zadrżała.

– A co będzie ze szkołą Hugh?

– Tym się nie martw. Przecież jeszcze nie ma czterech lat. Jestem pewien, że kiedy osiągnie wiek szkolny, sytuacja poprawi się na tyle, że bez problemu będzie można posłać go do szkoły w Anglii.

Gwen stanęła na palcach i pocałowała męża w policzek.

– Razem poradzimy sobie, Laurence. Przekonasz się!

Nie odpowiedział.

– Kiedy dokładnie zamierzasz wyjechać?

– Pojutrze.

– Tak szybko?

– Muszę, Gwen. Czujesz się już dobrze, prawda? Pokierujesz tu wszystkim. Jeśli będzie potrzebna pomoc, masz pod ręką Verity.

– Myślę, że nie będzie takiej potrzeby. Całkowicie odzyskałam siły.

– Świetnie. Jest też McGregor. Będziecie współpracować.

Szli dalej. Gwen rozmyślała teraz o synku, o tym, że kiedy skończy osiem lat, zostanie wysłany do szkoły z internatem. Okropność! Odrywać od rodziców tak małe jeszcze dziecko! Ale niestety, tak robią wszyscy. Zastanawiała się, co ją czeka podczas nieobecności męża. Ma pokierować wszystkim i ściśle współpracować z McGregorem, to wielkie wyzwanie. Droga szwagierka niewątpliwie też będzie chciała odegrać znaczącą rolę.

Gdy Gwen dotarła do domu, zobaczyła, że Verity właśnie parkuje swojego morrisa. Kiedy wysiadła z samochodu, Gwen pomachała do niej.

– Verity, możemy porozmawiać?

– Oczywiście! – powiedziała Verity, podchodząc bliżej. – Chcesz pogadać o tym krachu? W Nuwara Eliya wszyscy mówią tylko o tym.

– Niech gadają, co chcą. Laurence wkrótce wyjeżdża. Ja mam tu wszystkim

zarządzać. Myślę, że dobrze by było, gdybyśmy razem jakoś przebrnęły przez ten trudny okres.

– A dokąd się wybiera?

– Do Londynu, a potem do Ameryki.

– Czyli nie będzie go przez dobrych kilka miesięcy!

Gwen wyprostowała się.

– Tak. Musisz się przygotować na pewne zmiany. Między innymi Laurence zamierza pozbyć się twego samochodu. Wszyscy będziemy jeździć daimlerem. Ty, ja i McGregor.

– To niesprawiedliwe! A poza tym ty nie umiesz prowadzić!

– Nie szkodzi. Wszystkiego można się nauczyć.

– A kto ma cię uczyć?

– Ty. Teraz będzie inaczej. Z powodu krachu na giełdzie Laurence stracił wszystko, co zainwestował. Dlatego twoje apanaże ulegną zmniejszeniu, a my wszyscy, jeśli chcemy przetrwać, musimy oszczędzać.

Gwen po wygłoszeniu tej przemowy odwróciła się na pięcie i odeszła, zostawiając na podjeździe osłupiałą Verity. Kiedy weszła do domu, usłyszała pierwszy grzmot, a przez otwarte drzwi zobaczyła ścianę ulewnego deszczu. Ciężkie krople spadały na ziemię, tworząc kałuże i strumyczki. Zauważyła, że Verity z powrotem wsiada do samochodu, uruchamia silnik i zjeżdża po zboczu wzgórza.

21

Niestety przedwczesne powiadomienie Verity o planach wobec niej nie było dobrym posunięciem. Gwen niepotrzebnie się z tym pospieszyła. Kiedy po obiedzie przeszli do salonu na kawę i Laurence zaczął o tym mówić, Verity była przygotowana do rozmowy. Najpierw zachowała się tak, jakby była zaskoczona tymi rewelacjami, wykrzykując, że to nie może być, skoro właśnie znalazła sobie w Nuwara Eliya wymarzoną pracę przy koniach! Na koniec uklękła przed Laurence'em i objęła go za nogi.

– To auto jest mi bardzo potrzebne. Bardzo! – jęczała, wpatrując się w niego oczami lśniącymi od łez. – Codziennie robię objazd po różnych stajniach. Laurence, proszę, nie zabieraj mi go. Ta praca to dla mnie wielka szansa. Chcę się sprawdzić. Nie raz mi mówiłeś, że powinnam znaleźć sobie jakieś pożyteczne zajęcie. Więc znalazłam i przez ciebie będę musiała z niego zrezygnować! – Spuściła głowę i rozpłakała się na dobre.

Laurence odsunął jej ręce i wstał.

– Nie wiedziałem o tej pracy.

Gwen była prawie pewna, że Laurence zaraz odmówi siostrze.

– Na początku nie płacą mi nic – powiedziała Verity, podnosząc głowę i, o dziwo, uśmiechając się przelotnie do Gwen. – Jeśli uznają, że jestem w tym dobra, za miesiąc zacznę zarabiać. Sam więc widzisz, że nadal bardzo potrzebne mi są te apanaże. Może być nawet tak, że będę musiała wynająć mieszkanie i wtedy będę potrzebować dodatkowych pieniędzy.

Zapadła cisza.

– No dobrze – powiedział po chwili Laurence. – Nadal będziesz dostawać apanaże, ale o dodatkowych pieniądzach nie masz co marzyć.

Gwen zbulwersowana potrząsnęła głową. Tę decyzję podjął sam. Na swoją żonę nawet nie spojrzał!

– Ach, nic nie szkodzi! – zawołała Verity. – Najważniejsze, że zostawiasz mi apanaże. Bardzo dziękuję, Laurensie. Na pewno nie będziesz żałować tej decyzji. A teraz muszę już lecieć. Pa, braciszku! Życzę ci szczęśliwej podróży. Pamiętaj, masz wrócić z górą pieniędzy!

Jeszcze jeden promienny uśmiech w stronę Gwen i Verity wybiegła. Laurence, odprowadzając siostrę wzrokiem, również się uśmiechał wyraźnie

usatysfakcjonowany.

– Ona chyba wychodzi na prostą – powiedział. – Bardzo dobrze, że się w końcu wzięła do pracy. Nauczy się odpowiedzialności i w końcu dorośnie.

Gwen milczała wymownie. Dla niej cała ta sprawa z Verity miała tylko jedną dobrą stronę. Szwagierka prawdopodobnie wyniesie się z domu.

– Gwen? Co z tobą? Chyba jesteś zdenerwowana.

Gwen spojrzała w bok.

– Chodzi o Verity, tak? Wiem, że jej nie znosisz, ale daj jej jeszcze jedną szansę. Jesteście bardzo różne, na wiele spraw patrzycie całkiem inaczej, spróbuj się jednak z nią jakoś dogadać.

– Nie o to chodzi – powiedziała Gwen spokojnie mimo narastającego gniewu. – Nie sądzisz, że decyzję odnośnie apanaży powinieneś najpierw omówić ze mną?

– Ona jest moją siostrą.

– A ja twoją żoną. I tak dalej być nie może! Nie zamierzam reszty życia spędzić pod jednym dachem z rozpieszczoną, samowolną szwagierką, z którą mam dzielić nie tylko dom, ale także w pewnym sensie swojego męża! – I wyszła, trzaskając drzwiami, omal nie miażdżąc sobie przy tym palców.

Dwa dni później McGregor odwiózł Laurence'a do Kolombo. Gwen towarzyszyła mężowi. Była to ciężka jazda, ponieważ monsun osiągnął swoje apogeum. W wielu miejscach na drodze leżały zwały ziemi, która osunęła się z pobocza, i droga stawała się prawie nieprzejezdna. Gwen, zapatrzona w świat moknący w ulewnym deszczu, myślała o przyszłości, bardzo niepewnej dla wszystkich. Jechali w milczeniu. Nawet gdyby mieli ochotę na rozmowę, i tak trudno by było gawędzić, kiedy nad głową ciężkie krople bębniły w dach samochodu. Gwen siedziała sztywno, spięta. Po ostatnim wybuchu Laurence nie odezwał się do niej ani słowem. Ona do niego zresztą też nie.

Jazda do Kolombo trwała o wiele dużej niż zwykle, ale kiedy minęli piękne kamienne boginie przy wejściu do Galle Face Hotel i po stopniach weszli do eleganckiego holu, raptem jakby zasłona dzieląca ich od siebie została odsunięta. Żadne nie odezwało się, ale oboje wiedzieli doskonale, co teraz nastąpi. Portierzy poszli do samochodu po ich walizki. Gwen i Laurence musieli więc chwilę poczekać w holu i Gwen zastanawiała się, czy przypadkiem ich wzrok pełen pożądania nie jest dla wszystkich obecnych zbyt oczywisty. Spojrzenie męża było jednoznaczne. Takie, że drżała z podniecenia.

Schody na pierwsze piętro pokonali niemal biegiem. Wpadli do pokoju i nie

rozpakowując walizek, od razu rzucili się sobie w ramiona. Kochali się i Laurence, zwykle czuły i delikatny, tym razem był tak namiętny, że Gwen zabrakło tchu. Potem, kiedy było już po wszystkim, pomyślała, że uwielbia się z nim kochać, a jemu ta bliskość pomoże stłumić lęk. Zamknęła oczy i przespała się godzinę. Kiedy się obudziła, Laurence leżał obok podparty na łokciu i patrzył na nią.

– Mam nadzieję, że nie byłem zbyt brutalny – powiedział. – Przepraszam za tamten dzień. Nie chcę rozstawać się z tobą w gniewie.

Gwen potrząsnęła tylko głową i musnęła dłonią jego policzek.

Laurence wstał i podszedł do okna, z którego widać było ocean. Zawsze wybierał w hotelu taki właśnie pokój, z balkonem i widokiem na ocean. Gwen wolała pokoje po drugiej stronie, z widokiem na ogromny trawnik. Lubiła patrzeć wieczorem na spacerujących mieszkańców Kolombo i dzieci grające w piłkę.

Kiedy niebo się przejaśniło, wyszli na dwór, by odetchnąć świeżym, przesyconym solą powietrzem.

I wtedy Laurence zapytał:

– Nie sądzisz, że właśnie spłodziliśmy nasze drugie dziecko?

Gwen, zapatrzona w spienioną falę uderzającą o mur, zadrżała. Jej lęki, jej smutki miały taką samą siłę jak ta potężna fala.

– O czym myślisz? – spytał, całując ją w czubek głowy.

– O niczym.

Poszli dalej wysypaną piaskiem drogą dla powozów, biegnącą wzdłuż trawnika. Szli, podziwiając wspaniały zachód słońca: szkarłatne niebo i słońce, które zlewało się z wodą oceanu niczym ciekłe złoto. Na horyzoncie widać było nadciągające ciemne chmury.

– Proszę, nie martw się o nic, Gwen. Ja martwię się za nas oboje, a ty masz tylko dbać o siebie i o naszego Hugh. I wierzyć, że będzie dobrze. Musi być. Wytrzymamy ten cios i wyjdziemy na prostą.

Następnego dnia pogoda się popsuła, zrezygnowali więc ze śniadania na długiej werandzie z widokiem na trawnik i przeszli do restauracji. Siedzieli wśród palm rosnących w donicach. Gwen, słuchając cichego brzęku porcelanowych filiżanek na porcelanowych spodeczkach, popatrywała na dobrze odżywionych Europejczyków, zadowolonych z siebie i beztroskich. Gawędzili, popijając herbatę. Smarowali masłem tosty, uśmiechali się, kiwali głowami. Tacy pogodni, wypoczęci, podczas gdy ona tej nocy prawie nie spała, wsłuchując się w szum spienionego oceanu i mając kłębowisko myśli w głowie.

Spojrzała na nietknięte śniadanie. Jajko już się ścięło, a bekon zaczynał podsychać. Tosta ugryzła tylko raz i miała wrażenie, jakby włożyła do ust kawałek tektury.

Nalała herbatę. Kiedy podawała Laurence'owi filiżankę, nagle poczuła gniew. Dlaczego posłuchał Christiny? Inni plantatorzy wcale nie poszli za jego przykładem i teraz tylko oni, Laurence i Gwen, mają przed sobą tak niepewną przyszłość.

– Czas już na mnie – powiedział. Wziął kapelusz i wstał. – Nie uściskasz męża na pożegnanie?

Gwen, zawstydzona napadem złości w takiej chwili, zerwała się z krzesła, potrącając przy tym filiżankę. Herbata rozlała się po stole. Kelner przybiegł, by sprzątnąć, a Gwen, mrugając oczami, szybko spuściła głowę. Obiecała sobie przecież, że pokaże mężowi pogodną twarz kobiety pewnej siebie. I absolutnie nie będzie płakać.

Laurence uniósł znacząco brew, wyciągnął ręce.

– Kochanie?

Było jej obojętne, czy ludzie patrzą, czy nie. Pragnęła ponad wszystko, by Laurence nigdzie nie wyjeżdżał. Objęła go z całej siły i na moment wtulili się w siebie. Potem odsunął ją i ciepłe palce delikatnie musnęły jej policzek. Serce Gwen przepełniały miłość i rozpacz.

– Damy radę, prawda? – szepnęła.

Czy jej się zdawało, czy istotnie Laurence, zanim odpowiedział, umknął wzrokiem? A ona tak pragnęła, żeby teraz emanował siłą i pewnością siebie. Ale czy mogła tego wymagać? Nikt przecież nie wie, ku czemu zdąża ten świat. Nie dalej jak wczoraj w Nowym Jorku pewien bankier rzucił się z dachu giełdy. I dlatego, chociaż bardzo chciała powiedzieć Laurence'owi, że po jego wyjeździe smutek na stałe zagości w jej sercu, zachowała to dla siebie.

– Oczywiście, że damy radę – powiedział.- Pamiętaj, Gwen, nieważne, co czujesz. Jeśli trzeba coś zrobić, to trzeba. W taki czy inny sposób.

– Nie każdy sposób jest dobry!

– Proszę, nie spierajmy się, kochanie. Muszę już iść. Pamiętaj, ty zarządzasz, ale w sprawach posiadłości zdaj się na McGregora. I nie zapominaj, że mam do ciebie wielkie zaufanie. Wierzę, że będziesz podejmować słuszne decyzje.

Objął ją jeszcze raz, spoglądając na zegarek.

– A jak ma być z Verity?

– Po prostu przekazuję ją pod twoją opiekę.

Pokiwała głową, z trudem powstrzymując łzy. Laurence odszedł. Zrobił kilka

kroków, odwrócił się i pomachał jej na pożegnanie, uśmiechając się ciepło. Gwen ze ściśniętym sercem odwzajemniła uśmiech. Laurence się odalał.

Była zrozpaczona. Opuściła głowę. Już za nim tęskniła! Za jego spokojnym oddechem w ciemnościach nocy, za ciepłem ramion, za przelotnymi spojrzeniami, które mówiły tak wiele**...**

Nie, nie wolno poddawać się rozpaczy. Trzeba myśleć trzeźwo o tym, co teraz najistotniejsze, czyli o finansach. Jakie to dziwne, że coś, co wydarzyło się w Ameryce, tak bardzo zaważyło na życiu Gwen na dalekim Cejlonie, zwanym perłą oceanu**...**

Kiedy szła przez wielki hol, odruchowo spojrzała przez otwarte drzwi i zamarła. Zobaczyła Christinę wsiadającą do niewielkiego rolls-royce'a. W pierwszej chwili chciała pobiec za Laurence'em, by sprawdzić, czy przypadkiem Christina nie wsiądzie na ten sam statek. Jednak powstrzymała się, to tylko pogorszyłoby sytuację. Laurence uznałby, że Gwen nie ma do niego zaufania. Zdecydowała, że pójdzie na zakupy. Hugh potrzebował paru rzeczy. Miał sporo ładnych ubrań przerobionych przez Naveenę ze starych strojów Laurence'a. Tego dnia Gwen postanowiła kupić mu kredki i blok rysunkowy.

Kiedy zamierzała wejść do sklepu Cargilla, mieszczącego się w ładnym budynku z czerwonej i kremowej cegły, podeszła do niej stara, pomarszczona Tamilka o sękatych palcach; zaczęła coś szybko mówić, odsłaniając resztki poczerniałych zębów. Potem splunęła na swoją dłoń, potarła nią rękę Gwen i mówiła dalej. Wystraszona Gwen marzyła o ucieczce. Kiedy odwróciła się, kobieta powiedziała coś po angielsku. Chciała pieniędzy. Gwen zauważyła, że ma wetknięty pod pachę wielki zakrzywiony nóż do ścinania krzewów. Szybko wyjęła z torebki kilka monet i podała kobiecie. Potem starannie wytarła rękę o spódnicę.

Weszła do sklepu i przystanęła na moment, by popatrzeć na pocztę pneumatyczną, którą przesyłano monety do kasjera na pierwszym piętrze, ale cały czas miała przed oczami proszącą Tamilkę. Kupiła kredki i wyszła. Z powodu ogólnego przygnębienia w mieście nie było już tak rojno i gwarno jak kiedyś. Jednak zapach pozostał taki jak dawniej. Kokos, cynamon i smażone ryby. Ludzie wydawali się szczuplejsi niż przedtem i nie tacy pogodni, poza tym było mniej straganów z herbatą. Gwen starała się nie zamartwiać, nie zastanawiać, z czym będzie musiał się zmierzyć Laurence. Sam. Czy istotnie sam? Nie była do końca przekonana, że powiedział jej wszystko. Miała nadzieję, że on nigdy nie sprzeda plantacji. Tu był ich dom, dom małego Hugh. Dom kochany przez wszystkich. Owszem, czasami tęskniła za Anglią, ale nie wyobrażała już sobie, by mogła tam wrócić na stałe.

Między innymi dlatego, że nie miałaby już żadnej możliwości, żeby dowiedzieć się czegokolwiek o córeczce. I nigdy by jej już nie zobaczyła.

Szła teraz przez chiński bazar przy Chatham Street. Mijała stragany z jedwabiami, z ziołami, sklepiki z wyrobami z laki. Kiedy przechodziła koło herbaciarni, zauważyła Pru Bertram. Pru pomachała do niej, ona jednak pokazała zegarek, pokręciła głową i poszła dalej. Minęła stragany z syngaleskimi wyrobami z mosiądzu i szkła malowanego w delikatne wzory. Kiedy mijała sklep jubilerski, zobaczyła McGregora w samochodzie stojącym niedaleko wieży zegarowej. McGregor, zniecierpliwiony, postukiwał palcami w kierownicę. Gwen postanowiła więc wrócić już do samochodu. Spojrzała przelotnie na wystawę jubilera. Zatrzymała się. Spojrzała jeszcze raz i jeszcze raz, nie wierząc własnym oczom, a potem szybko weszła do środka.

Poprosiła jubilera, by pokazał jej bransoletkę. Kosztowała niemało, ale cena była nieistotna. Musiała ją kupić, przecież nie mogła pozwolić, by kupił ją ktoś inny. I nosił!

Zapłaciła, sprawdziła, czy zameczek jest w porządku, i wsunęła bransoletkę na rękę. Była zdumiona, że los płata ludziom takie figle. Obejrzała każdą srebrną zawieszkę, szukając najważniejszej. Jest! Świątynia buddyjska, ulubiona zawieszka Fran. To na pewno dobry znak.

22

W drodze powrotnej do domu Gwen rozmyślała o Fran. Bardzo brakowało jej tej istoty o nieposkromionym duchu, rozwianych włosach i śmiejących się oczach koloru nieba. Marzyła o tym, by przepaść, jaka wytworzyła się między nimi w Londynie, znikła bezpowrotnie. Gwen miała poczucie, jakby straciła coś wyjątkowo cennego. Była przecież jedynaczką, a Fran traktowała jak siostrę. Miały mnóstwo wspólnych pięknych wspomnień z dzieciństwa i od lat były najlepszymi przyjaciółkami. Dopóki w ich życiu nie namieszał pan Ravasinghe.

Temu człowiekowi Gwen nie miała zamiaru poświęcić ani jednej, nawet najkrótszej myśli i dlatego próbowała rozmawiać z Nickiem McGregorem. Szło opornie, ponieważ musiał przede wszystkim skupić się na prowadzeniu samochodu w ulewnym deszczu.

W przerwie między jednym atakiem deszczu a drugim Gwen zagadnęła:

– Szkoda, że tak często dzieli nas różnica zdań.

– No cóż**...** tak bywa – mruknął i zmienił temat: – Drogi są tu w fatalnym stanie. Niby coś tam z nimi robią, ale stanowczo za mało. Nadciąga kolejny monsun i znów są prawie nieprzejezdne.

– Tak**...** A ja wygląda sytuacja w chatach robotników podczas takiej pogody?

– Nie za dobrze. Dzieci często chorują.

– Mają jednak zagwarantowaną opiekę lekarza?

– Tylko podstawową, pani Hooper. I to nie ze strony lekarza, lecz aptekarza.

– Doktor Partridge do nich nie przyjeżdża?

– O, nie! – McGregor się zaśmiał. – Przecież on jest Syngalezem z Kolombo. Tamilowie za nim nie przepadają.

– Dlaczego?

– Bo jest Syngalezem.

Gwen westchnęła trochę zirytowana.

– W takim razie dlaczego nie sprowadzi się tamilskiego lekarza? Łatwiej im będzie się porozumieć.

– Tu nie chodzi o język, pani Hooper. Przecież doktor Partridge bardzo dobrze mówi po tamilsku.

Gwen spojrzała na niego z ukosa.

– Nie chodzi o język, ale o kulturę, obyczaje i tak dalej. Niestety, w okolicy nie ma

tamilskiego lekarza. A pani zapewne chciałaby, żeby płacić im zasiłek chorobowy, prawda?

– Czemu nie? W końcu to chyba ważne, żeby ci ludzie żyli na jakimś poziomie.

– Niestety, nie wie pani, z kim mamy do czynienia. Jeśli pani wypłaci robotnikowi raz zasiłek, to on już bez przerwy będzie chory i w rezultacie zabraknie chętnych do pracy przy herbacie.

Gwen uzmysłowiła sobie, że cokolwiek powie, Nick McGregor jak zwykle będzie miał swoje zdanie.

– Poza tym, przy tych cięciach w budżecie, które muszę zrobić, nie ma mowy o jakichkolwiek dodatkowych wydatkach – mówił dalej McGregor.

– O jakie cięcia chodzi?

– Trzeba ograniczyć liczbę robotników. Mamy zamiar zwolnić co najmniej dwustu, może nawet więcej. Kilku już się zwolniło.

Gwen potrząsnęła głową.

– Nie wiedziałam. I co teraz robią?

– Chyba wrócili do Indii.

– Ale przecież wielu Tamilów urodziło się tu, na Cejlonie. Indie nie są ich krajem ojczystym.

McGregor pochwycił jej spojrzenie.

– To już nie mój problem, pani Hooper.

Gwen przypomniała sobie starą żebraczkę z nożem pod pachą i poczuła wstyd. Przecież ta kobieta mogła być jedną z tych, co stracili pracę.

– Chyba powinnam nauczyć się ich języka.

McGregor nie skomentował tego, tylko lekko skłonił głowę.

Zapadła cisza, ponieważ pokonywali trudny odcinek drogi, pełen ostrych zakrętów i odcinków wiodących w dół albo w górę. Gwen patrzyła w okno zasnute gęstą mgłą i rozmyślała o mężu.

Pierwszy odezwał się teraz McGregor:

– Będzie pani tęsknić za mężem.

Pokiwała głową, czując, że pod powiekami zaczyna ją niebezpiecznie kłuć.

– Naturalnie, że będę. A pan ma rodzinę?

– Matkę. Jeszcze żyje.

– Gdzie mieszka?

– W Edynburgu.

– Ale pan do niej nie jeździ, prawda? Odkąd tu jestem, ani razu pan nie wyjeżdżał.

McGregor wzruszył nieznacznie ramionami.

– Nie jestem z nią zżyty. Moją prawdziwą rodziną było wojsko. Potem postrzelono mnie w kolano i skończyła się wojaczka.

– I w wojsku poznaliście się z Laurence'em?

– Tak. Laurence dał mi tę robotę. A kiedy sam poszedł na wojnę, zarządzałem plantacją. Pani Hooper, proszę się nie gniewać, że kiedy rozmawiam o plantacji, jestem czasami szorstki. To dlatego, że zarządzam nią od czterech lat. Znam ją na wylot i w pewnych sprawach trudno ze mną dyskutować.

– Rozumiem. Nigdy nie był pan żonaty?

– Proszę wybaczyć, pani Hooper, ale o tym wolałbym nie rozmawiać. Niestety, nie każdy ma szczęście znaleźć swoją drugą połowę.

Podróż trwała długo, ale udało się dotrzeć do celu jeszcze przed zmrokiem. Gwen była zaskoczona, gdy zobaczyła samochód Verity zaparkowany koło domu. Kiedy weszła do holu, usłyszała głosy dobiegające z salonu. Verity rozmawiała z jakimś mężczyzną. Gwen, stukając obcasami, podążyła w tamtą stronę. Otworzyła drzwi i**...** natychmiast tego pożałowała. W salonie na kanapie siedział pan Ravasinghe i palił cygaro. U jego stóp w koszu drzemał Spew.

Z trudem udało jej się wydobyć głos:

– Pan Ravasinghe! Co za niespodzianka!

Od razu wstał i skłonił się.

– Witam panią. Przepraszam, wróciliśmy właśnie ze spaceru z psem. Chyba nie pachnie zbyt pięknie.

– Owszem – przyznała, zaskoczona, że udało jej się to powiedzieć spokojnym głosem, bo była roztrzęsiona.

– O, jakoś o tym nie pomyślałam! – zaświergotała Verity z promiennym uśmiechem. – Bardzo przepraszam.

Gwen odwróciła się do szwagierki.

– Byłam pewna, że pojechałaś już do Nuwara Eliya.

– Do Nuwara Eliya? A po co?

– Do pracy.

– Ach! – Verity machnęła lekceważąco ręką. – Niestety, nie wypaliło.

Gwen z trudem zachowywała spokój. Czasami życie zaczyna człowieka przerastać. Dziś w Kolombo widziała Christinę, teraz stoi przed nią Savi Ravasinghe. Poza tym jest po chorobie, a obowiązków ma niemało. Dba, by życie na plantacji toczyło się gładko, posiłki podawano o ustalonej porze, pokoje sprzątano w odpowiedniej kolejności, a w rachunkach wszystko się zgadzało. I jakby tego było mało, prawdopodobnie nadal będzie mieć na głowie Verity.

– Nie masz nic przeciwko temu, żeby pan Ravasinghe został u nas na noc, prawda? – spytała Verity, uśmiechając się promiennie. – Kazałam przygotować mu pokój, ten koło mojej sypialni.

Gwen złożyła ręce z tyłu i zacisnęła palce tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało. Pomogło, bo była w stanie odpowiedzieć uprzejmie.

– Naturalnie! Bardzo proszę! A teraz wybaczcie, miałam naprawdę ciężki dzień. Verity, czy Hugh już śpi?

– Tak. Dałam dziś Naveenie wolne i sama ułożyłam go do snu. Hugh i Wilfred zaśpiewali mi o czarnej owieczce**...** – Urwała i spojrzała na rękę Gwen. – Czy to przypadkiem nie jest bransoletka twojej kuzynki? Ta, którą zgubiła, a potem tak histeryzowała?

– Owszem. Dziwne, że ją rozpoznałaś. Przecież to nie jest żadna nadzwyczajna bransoletka.

Verity odpowiedziała dopiero po krótkiej chwili namysłu:

– Poznałam ją po tej zawieszce, świątyni buddyjskiej. Gdzie ją znalazłaś? Była tu?

Gwen pokręciła głową.

– W takim razie, gdzie na nią natrafiłaś?

– W sklepie jubilerskim w Kolombo.

– O, proszę! Moim zdaniem powinnaś zwrócić szczególną uwagę na Naveenę.

Gwen nie odezwała się. Wyszła z pokoju, zaciskając mocno usta, bo chciała odpowiedzieć wyjątkowo ostro, ale z trudem się powstrzymała. Kipiała złością. Bezczelna złodziejka! Zasłania się biedną Naveeną! Poczekaj no, Verity! Możesz mydlić oczy bratu, ale mnie nie oszukasz. Przecież to jasne jak słońce, że ty zabrałaś bransoletkę, a ja nie mam zamiaru puścić ci tego płazem!

Następnego dnia upał zaczął się wcześniej niż zwykle. Nie było rześkiego poranka. Już od świtu było parno. Gwen prawie całą noc nie zmrużyła oka, poruszona obecnością Saviego Ravasinghe. Pragnęła uniknąć spotkania z nim, więc wstała wcześnie, zamierzając gdzieś się zaszyć. Może w serowarni? Była zmęczona, ale postanowiła sprawdzić temperaturę serów, czy nie jest za wysoka. Kiedy była chora, wyrabianiem serów zajął się jeden z kuchcików. Szło mu całkiem nieźle, teraz jednak Gwen uznała, że najwyższy czas przejąć pałeczkę. Tym bardziej, że naprawdę czuła dumę, że zajmuje się nie tylko haftowaniem poduszek.

Razem z Hugh wyszli bocznymi drzwiami. Gwen od razu zauważyła z satysfakcją, że wszystkie cebulki, które posadziła, przyjęły się i rozkwitły. Zadziwiające, że w tym klimacie tak wiele typowych dla Anglii kwiatów rośnie znakomicie. Róże,

goździki, nawet groszek pachnący.

Hugh, trochę jeszcze senny, szedł powoli, pchając rowerek.

– Pospiesz się, synku! – zawołała jeszcze trochę podenerwowana. – Chcesz zobaczyć, jak mamusia robi ser?

– Nie! Chcę się bawić z Wilfredem.

– Dobrze. Ale pamiętaj, że masz się bawić tutaj. Do tamtych wysokich drzew nie wolno ci się zbliżać.

– Wiem, wiem, wiem!

Gwen roześmiała się.

– A więc dobrze. Bawisz się tu, a jak będziesz chciał wrócić do domu, przyjdziesz do mamusi i powiesz o tym.

Weszła do serowarni, zostawiając uchylone drzwi, by słyszeć synka, który zaczął coś sobie podśpiewywać. Rozejrzała się dookoła i uśmiechnęła. W wyrabianiu serów było coś kojącego, a poza tym miło mieć niewielkie, co prawda, ale swoje królestwo, gdzie panuje wzorowy porządek. Marmurowy blat, na którym mieszano mleko, był idealnie czysty. W powietrzu czuło się jednak charakterystyczny zapach i dlatego chyba ktoś zostawił otwarte okno. Gwen pomyślała, że to dziwne. Okno było zawsze zamknięte, by do środka nie wlatywały owady zwabione zapachem mleka. Zamknęła je i zabrała się do pracy. Przetarła wszystkie powierzchnie i podeszła do ciężkiej bańki z mlekiem. Chwyciła rączkę i wtedy zauważyła na podłodze ślady po rozlanym mleku. Dziwne. Wytarła je, a potem do wielkiej patelni wlała odpowiednią ilość mleka, które należało podgrzać w kuchni. Patelnia była ciężka, więc do kuchni przenosił ją zwykle któryś z kuchcików.

Wyszła na podwórze, gdzie zrobiło się podejrzanie cicho.

– Hugh! Hugh! Gdzie jesteś?!

Cisza.

Szybko zawołała kuchcika, powiedziała mu, co ma zrobić, i poszła w stronę wysokich drzew.

– Hugh! Synku! Jesteś tu?!

Żadnej odpowiedzi. Wróciła więc pod dom, ale nie weszła do środka. Przecież Hugh, gdyby chciał tam wejść, na pewno by jej o tym powiedział. Poza tym słyszałaby, jak otwiera drzwi. Pobiegła więc znów do wysokich drzew i wtedy daleko na ścieżce usłyszała szczekanie psa. Synek musiał tam pobiec za którymś z psów.

Zdążyła zrobić kilka kroków, kiedy nagle pojawił się Hugh. Wpadł na nią z impetem, wołając:

– Mamo! Tam jest dziewczynka! Duża dziewczynka!

Gwen usiadła na ziemi. Spew i Ginger natychmiast przypadły do niej, liżąc ją po twarzy. Odgoniła je.

– Czy to prawdziwa dziewczynka, Hugh?

– Tak. Ona nie może stać, mamusiu. Spew usłyszał ją i pobiegł tam, a Ginger i ja za nim.

– Pobiegliśmy za nim – poprawiła go. Wstała i otrzepała się. – Boże, jak ja wyglądam?

– Bardzo ładnie. Mamo, chodź, pokażę ci ją!

– Dobrze, dobrze. Ale to na pewno prawdziwa dziewczynka?

– Na pewno! Przecież mówię! – wołał podekscytowany Hugh, ciągnąc ją za rękę.

Kiedy przeszli kawałek, Hugh wypatrzył na ścieżce rozbity gliniany garnek i nachylił się, żeby go podnieść.

– Nie, nie – zaprotestowała Gwen. – Lepiej tego nie ruszaj.

Hugh nadąsał się, ale posłuchał.

– Czy ta dziewczynka jest daleko stąd? – spytała, żartobliwie wichrząc czuprynę synka.

– Nie, niedaleko.

Gwen przypomniała sobie o serze i westchnęła. Praca czeka, a ona marnuje czas na jakieś bezowocne poszukiwania. Po chwili jednak zauważyła jakiegoś mężczyznę. Robotnika, pochylonego nad kimś, kto siedział na ścieżce.

– Jego tu nie było, mamo – powiedział Hugh, zniżając głos. – Ona była sama.

– Ale skoro jest tu ktoś, kto zaopiekuje się dziewczynką, możemy wracać do domu.

– Nie, mamusiu! Ja chcę zostać! Ja chcę!

– Hugh, proszę!

Wzięła synka za rękę i pociągnęła za sobą. Zawołała też psa i w tym momencie usłyszała za sobą przeraźliwy krzyk. Natychmiast się odwróciła. Hugh też.

– Mamusiu, chodźmy do tej dziewczynki – nalegał, spoglądając na nią stanowczo, tak jak Laurence. – Musimy jej pomóc.

Dziewczynka nie mogła wstać. Za każdym razem, kiedy mężczyzna próbował ją podnieść, krzyczała rozpaczliwie.

– Dobrze, Hugh. Zobaczymy, co tam się dzieje.

Hugh zaklaskał w rączki.

– Dobra mamusia! Kochana mamusia!

Uśmiechnęła się, rozczulona. Malec pochwalił ją tak, jak ona chwaliła jego,

powtarzając, że jest dobrym synkiem. Dobrym i kochanym.

Pobiegł pierwszy i zatrzymał się kilka kroków przed mężczyzną nachylającym się nad dziewczynką.

– Mamo! Mamo! – zawołał Hugh. – Jej noga jest taka dziwna!

Mężczyzna podniósł głowę i Gwen od razu rozpoznała Tamila, któremu kiedyś pomogła, gdy miał zranioną nogę. Teraz spoglądał na nią niepewnym wzrokiem. Było jasne, że również ją poznaje i raczej nie ma ochoty skorzystać z jej pomocy. Gwen przykucnęła. Kiedy dziewczynka spojrzała na nią, prawie zabrakło jej tchu. Oczy, wielkie, brązowe, lśniące od łez przypomniały jej od razu o Liyoni. Dziewczynka miała może osiem lat i bardzo ciemną skórę, a więc nie była Syngalezką, lecz Tamilką. Stopa dziewczynki wykrzywiła się pod dziwnym kątem. Kostka opuchła. Ubranie było mokre. Gwen w pierwszej chwili pomyślała, że biedne dziecko posiusiało się z bólu, ale kiedy pociągnęła dyskretnie nosem, wyczuła zapach mleka.

– Hugh? Przynieś ten dzbanek, który widzieliśmy na ścieżce.

Hugh pobiegł. Kiedy wrócił z dzbankiem, który rozpadł się na dwie części, dziewczynka wzdrygnęła się i powiedziała coś po tamilsku.

– Ona mówi, że bardzo przeprasza, mamo.

– Zrozumiałeś, co powiedziała?!

– Tak. Przecież codziennie słyszę, jak służący tak mówią.

Gwen była bardzo zaskoczona. Owszem, wiedziała, że synek mówi po syngalesku, ale nie miała pojęcia, że przyswaja sobie również tamilski. Jej tamilski był wciąż bardzo ubogi.

– Zapytaj, kochanie, za co dziewczynka przeprasza.

Hugh powiedział kilka słów po tamilsku, dziewczynka też, po czym zalała się łzami.

– Ona nie chce powiedzieć, mamo.

– Jesteś pewien?

Hugh pokiwał głową.

– Trudno. Proszę, pobiegnij do kuchni i powiedz, że mama potrzebuje pomocy. Niech przyjdzie tu dwóch kuchcików.

– Dobrze, mamusiu.

– Przyprowadź ich. Powiedz, że to pilne.

– A co to znaczy: pilne?

– To znaczy, że trzeba się pospieszyć. Koniecznie.

Mężczyzna po raz kolejny spróbował podnieść dziewczynkę. Dziecko krzyknęło

z bólu. Gwen pokręciła głową, dając mężczyźnie do zrozumienia, by poniechał dalszych prób. Zrozumiał, bo już tylko stał, spoglądając w stronę chat robotników. Było oczywiste, że chce jak najszybciej stąd pójść. Gwen nie miała nic przeciwko temu, ale nie zamierzała pozwolić, by zabrał dziewczynkę.

Po chwili pojawił się Hugh z dwoma kuchcikami, którzy powiedzieli coś szybko po tamilsku; mężczyzna odpowiedział.

– Co oni mówią, Hugh?

– Nie wiem, mamusiu. Mówią za szybko

Gwen, gestykulując, dała kuchcikom do zrozumienia, że mają podnieść dziewczynkę. Zrobili to zręcznie. Jeden wziął ją pod pachy, drugi za nogi. Dziewczynka rozpłakała się, chłopcy ruszyli w stronę chat robotników.

Gwen wskazała palcem na dom.

Chłopcy, wyraźnie zdezorientowani, spojrzeli po sobie.

– Do domu – powiedziała Gwen po tamilsku, z nadzieją, że będzie to zrozumiałe.

– Do domu! – powtórzył mały Hugh, wypinając pierś jak pan i władca.

Gwen poprowadziła ich do garderoby przy holu. Uprzątnęła wszystko ze stołu i kazała położyć na nim dziewczynkę. Mężczyzna przez cały czas szedł za nimi. Teraz stał obok stołu, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

Gwen podsunęła mu krzesło.

– Hugh, powiedz mu, żeby usiadł. Idę zadzwonić po doktora.

W drzwiach pojawił się kamerdyner, który zauważył, że coś się dzieje. Na widok Tamila i dziewczynki natychmiast cofnął się z powrotem za próg.

– Oni nie powinni tu być, proszę pani. Powinni wracać do siebie. Trzeba zadzwonić do fabryki, żeby przysłali do nich aptekarza.

– Zadzwonię po doktora – oświadczyła Gwen zdumionemu kamerdynerowi i wyszła do holu.

Na szczęście John Partridge był w swoim gabinecie lekarskim niedaleko Hatton i zjawił się niebawem.

– Przyjechałem jak najszybciej. Gdzie jest to dziecko?

– W garderobie.

– Gdzie?

– W garderobie, tu obok. Kazałam ją tam położyć, żeby jej nie męczyć noszeniem. Moim zdaniem ma złamaną kostkę.

Kiedy weszli do garderoby, słyszała, jak doktor sapnął gniewnie.

– Nie powiedziałaś, że to tamilskie dziecko.

– Czy to takie ważne?

Doktor wzruszył ramionami.

– Dla ciebie czy dla mnie może nie, ale**...**

– Słyszałam, że w nagłych wypadkach udziela im pomocy aptekarz. Uznałam jednak, że w tym konkretnym przypadku potrzebny jest lekarz z prawdziwego zdarzenia.

Doktor zbadał dziewczynkę. Gwen przez cały czas trzymała ją za rękę.

– Masz rację – oznajmił doktor. – Bez fachowej pomocy to dziecko kulałoby do końca życia.

Gwen odetchnęła. Bardzo jej zależało, by pomóc dziewczynce. Nie tylko dlatego, że budziła w niej tęsknotę za córeczką.

– Gwen, macie tu trochę gipsu?

– Tak. Laurence i Hugh czasami robią różne figurki.

Wysłała jednego z kuchcików po gips, a doktor jeszcze raz obejrzał nogę dziecka. Poklepał dziewczynkę po ręce i powiedział coś do niej po tamilsku, co bardzo zaimponowało Gwen.

– John! Nie wiedziałam, że tak dobrze znasz ten język.

– Zanim tu przyjechałem, przez jakiś czas pracowałem w Indiach, tam się trochę nauczyłem.

– Ja znam zaledwie kilka słów. Po prostu wstyd. Chociaż z drugiej strony, jak miałam się nauczyć? Przecież służący mówią do mnie po angielsku. Czy mógłbyś powiedzieć temu mężczyźnie, co zamierzasz teraz zrobić? To chyba jej ojciec.

Doktor powiedział kilka słów, Tamil pokiwał głową.

– Tak, to jej ojciec – potwierdził doktor. – Chce ją zabrać do domu. Pracuje u was przy wycince krzewów i może mieć kłopoty, jeśli McGregor dowie się, że dziecko przyniesiono tu, do domu.

– Do diabła z McGregorem! Przecież to małe dziecko! Powiedz ojcu, że nastawisz jej tę kostkę.

– Dobrze. Ale potem będzie musiała tu leżeć dzień lub dwa. Nie wolno jej stąd zabierać.

– Będzie tu tak długo, jak trzeba. Wstawimy polowe łóżka i ojciec też będzie mógł zostać.

– Nie. Lepiej, żeby jego tu nie było. Musi iść do pracy, bo straci zarobek albo w ogóle go zwolnią.

Gwen zastanowiła się przez moment.

– Masz rację. McGregor wspominał o zwolnieniach.

– A więc? Powiedzieć mu, że ma wracać do domu?

– Tak.

Doktor wyjaśnił Tamilowi sytuację. Mężczyzna pokiwał głową, pogłaskał dziecko po ręku i wyszedł. Partridge spojrzał na Gwen. Lekko się zaczerwienił.

– Gwen, nie mogę sobie wybaczyć, że w tej recepcie dla ciebie pojawił się błąd. Nigdy coś takiego mi się nie przydarzyło.

– Zapomnij o tym, John.

– Nie. To mnie trapi. Tak silną dawkę przepisuje się komuś w ostatnim stadium choroby.

– Ale przecież widzisz, że wyszłam z tego bez szwanku. Dajmy już temu spokój. A teraz pójdę już, nie chcę ci przeszkadzać. Hugh, idziemy!

– Ale ja chcę popatrzeć!

– Nie, kochanie. Pójdziesz teraz ze mną.

Jakiś czas potem Gwen, siedząc w salonie przed obiadem, usłyszała za oknem znajome głosy. Verity i Savi Ravasinghe wracali ze spaceru dookoła jeziora. Od razu zerwała się z kanapy, żeby podejść do okna. Zobaczyła w szybie swoje odbicie. A za nią majaczyła niewielka postać.

Dziewczynka. Mała dziewczynka.

– Liyoni!

Odwróciła się błyskawicznie. Nic. Żadnej dziewczynki. Po prostu gra świateł**...**

Miała nadzieję, że Verity i mężczyzna, z którym Gwen absolutnie nie miała ochoty się widzieć, już wyjechali. Niestety nie, weszli właśnie do salonu.

– Słyszałam, że rano rozegrał się tu jakiś dramat – rzuciła Verity dowcipnie, rozsiadając się na kanapie. – Siadaj, Savi. Nie lubię, jak ktoś stoi, gdy ja siedzę.

– Ale ja naprawdę muszę już iść – powiedział Savi, uśmiechając się przepraszająco.

Verity skrzywiła się.

– Dopiero wtedy, gdy cię odwiozę.

Gwen zrobiła głęboki wdech, szykując się do rozmowy, w której nie miała ochoty uczestniczyć.

– Jestem pewna, że pan Ravasinghe chce jak najszybciej wrócić do pracy – powiedziała. – Czyj portret obecnie pan maluje?

– Ostatnio miałem zamówienie w Anglii.

– O, proszę. Na pewno zamówiła u pana portret jakaś znana osobistość. A czy widuje się pan z moją kuzynką?

Savi uśmiechnął się i skłonił głowę.

– Owszem.

Gwen, spoglądając na niego, starała się, by to nie budziło w niej żadnych emocji. Jednak nie mogła powstrzymać myśli, że ten mężczyzna dla kobiet wolnego stanu musi być niezwykle pociągający. Jest przystojny, czarujący, utalentowany. Ma poczucie humoru. Tacy mężczyźni podobają się kobietom. A Savi ma poza tym przepiękną karnację z lekkim odcieniem szafranu**...**

O nie! Koniec z takimi myślami. Nie wolno jej patrzeć na tego człowieka obiektywnie. Wróciła świadomość tego, co najprawdopodobniej stało się przez niego. Od razu poczuła gniew.

– Savi malował portret twojej kuzynki – powiedziała Verity z uśmiechem. – Nie mówiła ci o tym?

Gwen przełknęła ślinę. Niestety, o tym Fran również jej nie wspomniała.

– Gwen, słyszałaś, co powiedziałam?

– Tak – odparła i zwróciła się do pana Ravasinghe: – Bardzo miło mi to usłyszeć. Nie mogę się doczekać, kiedy podczas następnej wizyty w Anglii zobaczę ten portret. Nieczęsto kontaktuję się teraz z Fran, jestem bardzo zajęta.

– Na przykład ratowaniem tamilskich dzieci! – rzuciła Verity, spoglądając na nią niewinnym wzrokiem. Potem uniosła brwi i uśmiechnęła się do Saviego porozumiewawczo.

Wtedy w Gwen coś pękło. Było jej wszystko jedno, że drży i inni to widzą.

– Nie chodzi tylko o ratowanie tamilskich dzieci, Verity. Lecz o to, że jestem żoną Laurence'a, matką Hugh i prowadzę dom! A to nie jest łatwe zadanie teraz, kiedy trzeba liczyć się z każdym centem. A w rachunkach nie zawsze wszystko się zgadza i mam wrażenie, że masz z tym coś wspólnego!

Wyrzuciła to z siebie. Szwagierka miała jeszcze na tyle przyzwoitości, że zarumieniła się. A Gwen dodała:

– Panie Ravasinghe, Verity odwiezie pana teraz na stację.

– Niestety, o tej porze nie ma już żadnego pociągu – powiedział.

– W takim razie odwiezie pana do Nuwara Eliya. I to zaraz.

Odwróciła się i podeszła do okna. W środku zesztywniała i miała wrażenie, że można by ją przełamać na pół. Spojrzała na czaplę, która leciała nad warstwą białej mgły unoszącej się nad jeziorem. Słyszała, jak Verity i Savi wstają z kanapy i wychodzą z pokoju, a kiedy usłyszała pisk opon, zamknęła oczy i zrobiła kilka głębokich wdechów. Czuła, że się odpręża i wraca jej pewność siebie tak potrzebna teraz, kiedy ich życie ulega gwałtownym zmianom. Nie wiadomo, co ją czeka jutro i czy starczy sił, by stawić temu czoło.

23

Następnego dnia przypadało buddyjskie święto Poya i wszędzie było tak cicho i spokojnie, że Gwen zaspała. Laurence już wcześniej dał służbie dzień wolnego, żeby wszyscy mogli pójść do świątyni. Dla prawdziwych wyznawców tej religii był to dzień postu, czyli *uposatha*. Dla pozostałych w pewnym sensie też, ponieważ sprzedaż alkoholu i mięsa była zabroniona. Wszystkie sklepy i punkty usługowe zamknięto.

Większość robotników na plantacji Hoopera stanowili Tamilowie, a więc hinduiści. Trafiali się jednak wśród nich wyznawcy buddyzmu syngaleskiego, jak Naveena i kamerdyner. Laurence uważał, że na jego plantacji dla dobra sprawy dni świąteczne będą wolne od pracy. Ponieważ święto Poya wiązało się z pełnią księżyca, siłą rzeczy obchodzono je dwanaście, czasami trzynaście razy w roku. Dniem wolnym od pracy było także hinduistyczne święto żniw. Dzięki temu, zdaniem Laurence'a, między robotnikami nie panowały podziały, no i wszyscy mieli chwilę wytchnienia.

Gwen, kiedy tylko zerwała się z łóżka, pobiegła sprawdzić, jak się miewa tamilska dziewczynka. Towarzyszyli jej Hugh i Ginger. Hugh, z ulubionym misiem pod pachą, trzymał w wyciągniętej rączce malutki samochodzik, który wręczył dziewczynce. Obejrzała samochodzik, pokręciła kołami i uśmiechnęła się szeroko.

– Podoba jej się, mamusiu.

– Jak widać. Bardzo ładnie postąpiłeś, synku.

Dziewczynka prawdopodobnie nie miała żadnych zabawek. Tą myślą Gwen jednak nie podzieliła się z synkiem.

– Chciałem, żeby się ucieszyła.

– Jesteś kochany.

– Przyniosłem jej misia. Mówiłem Wilfredowi, żeby przyszedł tu z nami, ale nie chciał.

– Dlaczego?

Hugh wzruszył ramionami w komiczny sposób, jak małe dzieci, kiedy naśladują dorosłych.

Gwen popatrywała w milczeniu na dwójkę dzieci.

– Mam coś do zrobienia, Hugh. Może pobawisz się teraz w moim pokoju?

– Ale ja chciałbym zostać tu, razem z Anandi.

– Dobrze. Możesz zostać, ale pamiętaj, nie wolno ci prosić Anandi, żeby wstała z łóżka, bo to bardzo by zaszkodziło jej chorej nodze. Zostawię otwarte drzwi, będę więc was słyszeć. Bądź grzeczny, Hugh.

– Dobrze. A wiesz, Anandi powiedziała mi, co oznacza jej imię. Szczęśliwa. Ona jest szczęśliwa, mamusiu!

– Bardzo mnie to cieszy. Także to, że się polubiliście. Ale pamiętaj**...**

– Wiem. Mam być grzeczny.

Gwen roześmiała się i uściskała synka. Kiedy szła przez hol, słyszała, jak Hugh rozmawia z Anandi po tamilsku, jak oboje zaśmiewają się do rozpuku. Zrobiło się jej ciepło na sercu. Ten malec to prawdziwy skarb!

Dzieci bawiły się, a ona zajęła się przeglądaniem korespondencji. Mniej więcej po godzinie usłyszała podniesione głosy. Ten ze szkockim akcentem niewątpliwie należał do McGregora. Wtedy dotarło do niej, że nie powinna była zostawiać Hugh samego z tamilską dziewczynką. Pognała do garderoby. Drzwi, którymi wychodziło się z garderoby na podwórze, były otwarte i to stamtąd, z podwórza, dobiegały krzyki. Spojrzała i zobaczyła McGregora wymachującego pięścią przed nosem kobiety w pomarańczowym sari. Rozejrzała się po pokoju. Hugh siedział skulony w kącie, ze skrzywioną buzią, wyraźnie powstrzymując się od płaczu. A dziewczynka na łóżku zalewała się łzami. Spływały po policzkach i skapywały na dłonie złożone tak, jakby chciała tych łez nazbierać.

McGregor musiał usłyszeć, że weszła Gwen, bo zwrócił ku niej poczerwieniałą z gniewu twarz.

– Co, u diabła, tu się dzieje, pani Hooper?! Ledwo pani mąż wyjechał, a pani już sprowadza do domu dziecko robotnika!

Zignorowała go, bo zobaczyła Verity, która weszła cicho do pokoju i usiadła obok Hugh.

– Nie wiedziałam, że już wróciłaś – powiedziała Gwen, zastanawiając się, czy to aby nie szwagierka zaalarmowała McGregora.

Podeszła do synka, przytuliła go i pogłaskała po główce.

– Jak tam, skarbie? Wszystko w porządku?

Pokiwał głową, ale nie odezwał się. Wtedy Gwen nabrała głęboko powietrza, skrzyżowała ramiona i zrobiła krok w stronę rozjuszonego mężczyzny.

– Co pan wyrabia, panie McGregor? Jak można tak straszyć dzieci! To niewybaczalne!

McGregor zacisnął pięści.

– Niewybaczalne jest to, że nie po raz pierwszy wtyka pani nos w nie swoje sprawy! A robotnicy to nie pani zmartwienie! Staram się, jak mogę, żeby pani pomóc w ogrodzie czy przy serach, a pani odwdzięcza się w taki sposób!

Gwen zesztywniała.

– Odwdzięczam się panu?! Przecież nie chodzi o żadne odwdzięczanie się, tylko o dziewczynkę, która złamała nogę w kostce. Doktor Partridge powiedział, że jeśli od razu nie założy gipsu, dziewczynka będzie kuleć do końca życia!

– Doktor Partridge nie zajmuje się Tamilami.

– Na litość boską, człowieku! Przecież tu chodzi o dziecko!

– Tak. A czy pani przypadkiem nie zajęła się tym dzieckiem z jakiegoś innego powodu?

– Nie rozumiem**...**

– Tak się składa, że ojciec tej dziewczynki jest jednym z głównych wichrzycieli na plantacji. Na pewno pamięta pani, jak sam nadział się na gwóźdź, żeby domagać się pieniędzy, których wcale nie zarobił! Kto wie, czy teraz sam nie złamał nogi temu dziecku!

Gwen, wzburzona do granic, zadrżała. Nie tylko z gniewu, także ze strachu.

– Na pewno nie, panie McGregor. Dziewczynka spadła z okna w serowarni.

– Ach tak? A dlaczego właśnie z tego okna?

Gwen, żałującej poniewczasie tych słów, jakoś udało się wytrzymać jego wzrok.

– Myślę, że teraz ważniejszą sprawą jest przewiezienie dziecka do domu.

– Ale przedtem może warto się zastanowić, co robiło w serowarni. Przecież robotnikom nie wolno zbliżać się do domu i pani wie o tym doskonale.

Gwen czuła, że jej policzki płoną.

– Nie mów mu, mamusiu! – zapiszczał Hugh. – Nie mów!

McGregor zmierzył ją wzrokiem i powiedział groźnie:

– Czego to niby ma pani nie mówić, pani Hooper?

Zapadła pełna napięcia cisza.

– Myślę, że**...** przyszła po mleko.

– Mamusiu! – krzyknął przerażony Hugh.

– A więc pani sugeruje, że dziecko przyszło ukraść mleko.

Gwen czuła się okropnie.

– Ja jej nie widziałam. Kiedy weszłam do serowarni, okno było otwarte**...** Ona była ochlapana mlekiem**...** I mleko było na podłodze.

U jej boku stanął Hugh. Wsunął rączkę w jej dłoń i oświadczył:

– Ta dziewczynka wzięła trochę mleka dla swego braciszka. On jest chory, dlatego

pomyślała, że jak się napije mleka, będzie zdrowszy. Bardzo przeprasza, że wzięła to mleko bez pozwolenia.

McGregor skrzywił się.

– Oczywiście, że przeprasza. Tak samo będzie przepraszał jej ojciec, który na pewno ją do tego namówił. Ojciec zostanie wychłostany, odbiorę mu też zarobek z jednego dnia. Nie mogę pozwolić, żeby robotnicy okradali dom!

Gwen nie rozumiała, jak można być aż tak nieczułym na ludzką niedolę.

– Ależ panie McGregor! Tu chodzi o niewielką ilość mleka!

– To tylko początek, pani Hooper. Jeśli pani pozwoli im brać mleko, niebawem zażądają wszystkiego. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego pani tak broni tej dziewczynki. Niech pani lepiej pomyśli, ilu jest tu naszych, a ilu ich, tubylców. Musimy rządzić twardą ręką, bo inaczej zapanuje chaos.

– Ale**...**

McGregor podniósł dłoń.

– Nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Teraz głos zabrała Verity:

– On ma rację. Teraz rzadko wymierza się karę chłosty, nadal jednak warto czasami przypomnieć, kto tu rządzi.

Gwen z trudem panowała nad sobą.

– Ale oni mają przecież jakieś prawa, czyż nie?

Verity wzruszyła ramionami.

– No**...** coś w tym rodzaju. Dzięki rozporządzeniu o minimalnej płacy tutejsi robotnicy mają wyższe zarobki, poza tym obowiązują ceny dotowane na ryż. U nas mieli dotowany ryż już trzy lata temu. Laurence zawsze stara się być fair.

– Wiem.

– Ale w tym rozporządzeniu nie ma nic o zniesieniu kary chłosty.

Kobieta stojąca na podwórzu zaczęła coś mówić. Gwen podeszła do niej i od razu zauważyła, że kobieta ubrana jest bardzo starannie. Ma na sobie pomarańczowe sari, czystą białą bluzkę z bawełny, w uszach złote kolczyki.

– Co ona powiedziała, Hugh?

– Że włożyła najlepsze sari, bo przyszła tu, żeby zabrać Anandi do domu.

– Powiedz jej, że nie ma mowy. Anandi nie będzie taki kawał drogi skakać na jednej nodze. Verity i ja odwieziemy ją samochodem.

Szwagierka nie wydawała się przekonana o słuszności takiego rozwiązania, ale milczała.

– Verity?

– Co? Ach tak, tak. Odwieziemy ją.

Wieczór minął spokojnie. Wizyty Saviego Ravasinghe nikt nie komentował, niemiłego zajścia z udziałem McGregora też nie, ale Gwen myślała o tym bez przerwy. Podejrzewała, że to Verity powiedziała mu o obecności tamilskiego dziecka w domu i dlatego pojawił się, choć nie musiał, bo było święto.

Widok ognia, jak wiadomo, dobrze wpływa na nastrój, dlatego Verity rozpaliła w kominku. A ponieważ służba miała wolne, Gwen sama przygotowała skromny posiłek. Chleb jajeczny, naleśniki słodzone cukrem palmowym z kokosami i innymi owocami. Zasłony na oknach nie były zasunięte i Gwen z przyjemnością popatrywała na srebrzyste światło księżyca połyskujące na jeziorze. Ten widok przypominał jej rodzinny dom w Owl Tree, gdzie na szczycie wzgórza był niewielki staw podobnie srebrzony księżycową poświatą.

– Mamo, popatrz! Jem marchewkę! – zawołał Hugh. – Wilf też je.

Gwen spojrzała na talerz synka.

– Przecież to nie marchewka, tylko kawałki pomarańczy.

– Mamo, a czy jak się je pomarańcze, to też się lepiej widzi w ciemnościach?

Gwen zaśmiała się.

– Nie, kochanie. To marchewka jest dobra na oczy. Ale owoce należy jeść, bo są bardzo zdrowe.

Verity wstała z krzesła.

– Zagram wam coś.

Zasiadła do pianina i zaczęła grać marszowe piosenki z czasów wojny. Mały Hugh śpiewał na całe gardło, nie przejmując się, że nie zna dobrze tekstu, choć może to i lepiej. W każdym razie wstawiał swoje słowa. Bardzo chciał, żeby Gwen śpiewała razem z nim, ale odmówiła, usprawiedliwiając się zmęczeniem. Prawda była taka, że absolutnie nie była w nastroju do śpiewania.

Kiedy Hugh poszedł spać, Gwen przykucnęła przed kominkiem, by poprawić ogień, a Verity rozsiadła się na kanapie przykrytej skórą lamparta. Westchnęła.

– Uwielbiam księżycowe noce. Uwielbiam!

Gwen nie miała ochoty na pogawędkę, trudno jednak milczeć, kiedy szwagierka stara się być miła.

– Ja też. A tu są szczególnie piękne – powiedziała. – Modlę się, by to wszystko nie skończyło się utratą plantacji. Wystarczy, że McGregor chce pozwalniać ludzi.

– Już to zrobił. Nie wiedziałaś?

– Nie!

– Przedwczoraj.

– I powiedział to tobie, a przede mną przemilczał?!

– Nie bierz tego do siebie, Gwen. Gdybyś go spytała, na pewno by ci powiedział.

Gwen kiwnęła głową, choć wcale nie była tego taka pewna. A poza tym chciałaby wiedzieć, dlaczego McGregor zagroził Tamilowi chłostą. Nigdy nie słyszała, by któremuś z robotników wymierzono tę okropną karę, można więc było przypuszczać, że Laurence, gdyby tu był, na pewno by interweniował.

Była spięta. Pomasowała kark, ale niewiele pomogło.

– Nie wiesz przypadkiem, czy McGregor spełnił swoją groźbę i ten Tamil został wychłostany?

– Tak. Wychłostali go.

Gwen jęknęła.

– Żona musiała się temu przyglądać – dodała Verity.

Gwen nie wierzyła własnym uszom.

– Naprawdę? Skąd wiesz? Czyżbyś też przy tym była?

Verity kiwnęła głową.

– Owszem. Ta kobieta przykucnęła i przez cały czas okropnie jęczała. Jak ranne zwierzę.

– O Boże! A gdzie to się działo?

– W fabryce. Ale dajmy już temu spokój. Może zagramy w karty?

Gwen zagryzła wargę, z trudem powstrzymując łzy. Czuła się paskudnie.

– Dobrze. Zagrajmy.

Kilka godzin później Gwen, już w łóżku, nie była w stanie zmrużyć oka. Nie mogła przestać myśleć o tej strasznej chłoście, o wszystkim, co wtedy się wydarzyło. O tym, co zrobiła. Czy pomogła temu dziecku z dobrego serca, czy tylko z powodu Liyoni? W głowie kłębiły się różne myśli, a ona z tym wszystkim czuła się okropnie samotna. Tak bardzo chciała, by teraz objęły ją silne ramiona męża.

Nagle do jej uszu dobiegł dziwny dźwięk. Przytłumiony, ale wystarczająco głośny, by zorientowała się, że pochodzi z dworu. Na wszelki wypadek zajrzała do pokoju dziecięcego. Hugh już spał, Naveena też, pochrapując cicho; Gwen, patrząc na nich, pomyślała, że Hugh nie jest już niemowlęciem i powinien mieć pokój tylko dla siebie. Więcej miejsca na zabawki i stolik. Przecież bardzo lubi rysować, zwłaszcza smoki. Tak, najwyższy czas o tym pomyśleć.

Wróciła do swego pokoju, otworzyła okno i okiennice, a potem ostrożnie wychyliła głowę.

W pierwszej chwili nie zauważyła nic szczególnego, ale kiedy oczy przyzwyczaiły się do słabego światła księżyca, dostrzegła w oddali jakieś światełka. Pomyślała, że na pewno ma to związek ze świętem pełni księżyca. Zamknęła okiennice, okno jednak zostawiła uchylone. Wróciła do łóżka.

Zasnęła, ale po jakimś czasie znów została wyrwana ze snu przez te same dziwne odgłosy, tym razem zdecydowanie głośniejsze. Na pewno były to głosy wielu osób. Powtarzali coś, rytmicznie, melodyjnie. Głosy słychać było coraz bliżej, ale Gwen nie czuła lęku. Tak, to zapewne jakieś świąteczne obrzędy i warto na nie popatrzeć.

Otworzyła szeroko okiennice. Zobaczyła kilkudziesięciu mężczyzn maszerujących z pochodniami ścieżką koło jeziora. Poczuła się nieswojo. Ciemne sylwetki w świetle księżyca wyglądały złowrogo, a wiatr niósł zapach dymu, nafty i chyba smoły.

Wystraszona szybko zamknęła okno i popędziła do pokoju Hugh. Tam też zamknęła okno i obudziła Naveenę.

– Zabierz Hugh jak najszybciej na górę, do pokoju pana. I obudź Verity!

Pobiegła do salonu. Zasłony w oknach były rozsunięte. Za oknem widziała ogród skąpany w srebrzystoniebieskiej poświacie, a w nim twarze mężczyzn podświetlone złocistymi płomieniami pochodni. Wyglądało na to, że tylko przechodzą obok domu. Gwen odetchnęła. Kiedy podbiegła do okna, by zasunąć zasłony, nagle tuż za szybą pojawiła się twarz jednego z mężczyzn. Był zaledwie kilka centymetrów od niej. Twarz pokryta lśniącą, ciemną skórą. Szeroko rozstawione czarne oczy spoglądały gniewnie. Mężczyzna ubrany był tylko w sarong. Długie kędzierzawe włosy sterczały na wszystkie strony. Wyglądał tak groźnie, że Gwen natychmiast przypomniała sobie tę straszną maskę, którą Laurence podarował Christinie.

Podniósł dłoń zaciśniętą w pięść i spojrzał tak, że ją zmroziło. Nie ruszał się z miejsca, tylko patrzył. Jej serce chyba nigdy nie biło tak szybko. Gwen, czując, że dłużej nie zniesie tego pełnego nienawiści spojrzenia, drżącymi rękami zasunęła zasłony. Nie wiedziała, czy za tym mężczyzną idą inni, równie gniewni, i chcą otoczyć dom. Jeśli tak, to ilu ich może być? Przerażała ją myśl, że mogą zrobić krzywdę jej synowi. Dlatego pobiegła do szafy z bronią. Wyjęła strzelbę Laurence'a i przycisnęła ją do siebie, jakby to mogło przełamać strach. Coraz większy i niebezpodstawny. Nie było żadnego sposobu, by uprzedzić McGregora, że kilkudziesięciu tubylców z płonącymi pochodniami najprawdopodobniej zamierza go dopaść.

Popędziła na górę do pokoju Laurence'a, gdzie cała trójka, Naveena, Hugh i Verity, stała przy oknie.

– Mamusiu, mamusiu! Popatrz! Oni przechodzą! Nie idą tu!

Gwen otworzyła okno, wycelowała i przez chwilę patrzyła, jak reszta mężczyzn idzie obok ich domu, kierując się w stronę bungalowu McGregora. Kilku z nich odwróciło głowy w stronę domu, jeden uniósł pochodnię i nią potrząsnął.

– Boże święty! Mam nadzieję, że McGregorowi nic się nie stanie!

– Nie martw się – powiedziała Verity. – Nie idą bezszelestnie. McGregor na pewno już się obudził, a on potrafi zadbać o własną skórę**...** Hugh, nie powinieneś stać w oknie. Proszę, odsuń się.

Nagle rozległ się strzał. Jeden, zaraz po nim drugi, a potem przeraźliwy krzyk.

– O Boże! On strzela do nich! – krzyknęła Gwen. Hugh natychmiast podbiegł do matki, która szybko podała broń Verity i objęła synka. – Trzeba pogasić wszystkie światła! Nie powinni nas widzieć!

– Przecież już nas widzieli – powiedziała Verity. – Poza tym on na pewno strzela w powietrze, żeby ich wystraszyć.

– A jeśli trafi któregoś?

– Owszem, jeden czy drugi może przy okazji oberwać. Ale McGregor przede wszystkim chce ich nastraszyć. I moim zdaniem to mu się udaje.

Gwen się bała, ale było jej jednak żal Tamilów i absolutnie nie chciała, by cokolwiek złego im się stało. Ci ludzie żyli w skrajnym ubóstwie.

Dla Verity byli tylko biedakami, którymi nie należy zbytnio się przejmować.

Wlepiła wzrok w bungalow McGregora, wokół którego panował chaos. Mężczyźni rozproszyli się jak pszczoły, kiedy wykurza się je dymem z ula. Niektórzy uciekali. Kilka pochodni zgasło, kilka rzucono do jeziora i dlatego czuć było gryzący zapach. Niektóre jeszcze płonęły, ale Gwen z ulgą zauważyła, że mężczyźni kierują się ku ścieżce biegnącej wzdłuż jeziora.

Kiedy zaczęła się modlić, by w tej potyczce nikt nie stracił życia, wychylona z okna Verity wystrzeliła w powietrze. Gwen, słysząc huk wystrzału, omal nie umarła.

– Dlaczego to zrobiłaś, Verity?

– Bo tak trzeba, żeby do nich dotarło, że chociaż Laurence'a nie ma, w tym domu jest jeszcze ktoś, kto potrafi strzelać.

Gwen ponownie zajęła pozycję przy oknie. Gdy mężczyźni odeszli, zarządziła:

– Wracamy do łóżek. Ja zostanę tu razem z Hugh. Naveeno, będziesz spała obok, w pokoju gościnnym.

– Nie jestem taka pewna, że to już koniec – powiedziała Verity. – Czy mogę zostać tu z wami? Hugh będzie bardziej bezpieczny.

Gwen zastanowiła się przez moment. Może faktycznie lepiej, żeby trzymały się razem. Poza tym choć w obronie synka na pewno nie zawahałaby się użyć strzelby, na samą myśl o tym, że musiałaby wycelować w człowieka i zabić, czuła ciarki na plecach.

– Dobrze, zostań.

Ułożyli się z konieczności w jednym łóżku, Hugh w środku, między matką a ciotką. Kiedy zasnął, Gwen musnęła palcami jego pucołowaty policzek. Długo leżała, wpatrując się w ciemność, a w głowie kłębiły się najprzeróżniejsze myśli. Zastanawiała się, jak przedstawić mężowi całą sytuację. Dlaczego ci ludzie byli tak rozgniewani i żądni zemsty? Z powodu wychłostania jednego z nich. Tak, ale McGregor mógł zostać zabity. Także Gwen, Hugh i Verity.

Obudziła się o brzasku i od razu usiadła. Verity już nie spała, owinięta w koc stała w drzwiach razem z Naveeną. Rozmawiały o czymś szeptem. Verity w jednej ręce trzymała strzelbę, w drugiej świecę. Kiedy usłyszała, że Gwen wstaje z łóżka, odwróciła się, podała świecę Naveenie, położyła palec na ustach i otworzyła drzwi.

– Szybko, Gwen. Włóż szlafrok Laurence'a. Tylko cicho, żeby nie obudzić Hugh.

Gwen zrobiła, co jej polecono, i wszystkie trzy wyszły na palcach na korytarz. Verity cicho zamknęła drzwi.

– Idziemy**...** – szepnęła, wyraźnie bardzo podekscytowana.

– Co się dzieje? Skąd ten swąd? Czuć o wiele bardziej niż przedtem.

– Zaraz zobaczysz.

Szły za Naveeną po schodach w dół i długim korytarzem prowadzącym do hangaru na łodzie. Szły w ciemnościach rozświetlonych tylko drżącym płomyczkiem jednej świecy. Jeszcze zanim weszły do hangaru, Gwen usłyszała trzask ognia. Kiedy weszły do środka i spojrzała w okno, zobaczyła łunę. Niebo było pomarańczowe.

Gwen, zdjęta panicznym strachem, pobiegła do drzwi, którymi wychodziło się na podwórze. Otworzyła je i przerażona zasłoniła ręką usta. Z bocznego skrzydła domu, dokładnie tam, gdzie znajdowała się serowarnia, wydobywały się kłęby sinego dymu. Było go tyle, że trudno było dojść, gdzie się pali. Dach nad serowarnią już spłonął. Krokwie trzeszczały i ten fragment dachu spadł, posyłając ku szarzejącemu niebu snopy iskier i czarny dym. Czuć było swąd i zapach palącego się sera docierający wszędzie i tak intensywny, że trudno było oddychać.

Ogień trzaskał, chociaż grubych kamiennych ścian serowarni i betonowej posadzki na szczęście nie był w stanie strawić. Ale dalej trawił krokwie i mógł rozprzestrzenić się na kuchnię i pomieszczenia dla służby. A potem na cały dom!

A tam przecież jest Hugh! Gwen ruszyła biegiem przez podwórze już tak zadymione, że chociaż zakryła nos i usta, zaczęła kasłać.

Verity podążyła za nią.

– Jakie to ekscytujące, prawda?! Spójrz, *appu* i chłopcy kuchenni już gaszą ogień. O, i tam, z drugiej strony też widzę służących!

Mężczyźni, wykrzykując sobie nawzajem polecenia, uwijali się jak w ukropie. Oczy Verity błyszczały z podniecenia. Podeszła do nich bliżej. Gwen przeciwnie. Kiedy poczuła żar, cofnęła się o kilka kroków i patrzyła, jak ogień prze do przodu. Cały dach w bocznym skrzydle stał już w płomieniach. Jednak polały się na niego strumienie wody ze szlauchu i wielu wiader i ku wielkiej uldze Gwen ogień zaczął przygasać. Niestety tylko na moment, bo znowu ożył, jeszcze większy, jeszcze bardziej żarłoczny.

Gwen, czując się kompletnie bezradna, patrzyła z przerażeniem na pomarańczowe słupy ognia, na kłęby czarnego dymu, niesione z wiatrem nad jezioro. Na szczęście ogień znów przygasł. Mężczyźni zarzucali dywany na tlące się drewno, wkrótce pożar został ugaszony. Zadowoleni zaczęli podawać sobie ręce, *appu* obszedł pogorzelisko, żeby upewnić się, czy nic się nie tli. Złowrogi dym nadal wisiał nad podwórzem, ale można było oddychać.

Verity krzyknęła coś do kucharza, naturalnie po tamilsku. Pokiwał głową i odkrzyknął.

– Co powiedział? – spytała Gwen.

– Już po strachu. Pożar ugaszony.

Wszystko dookoła pokryte było grubą warstwą popiołu.

– Dobrze, że mnie obudziłaś, Verity – powiedziała Gwen, strząsając popiół z ubrania i włosów.

Ciemne oczy Verity nagle zalśniły od łez.

– Jakże miałam cię nie obudzić! Tak się bałam o Hugh! Bardzo go kocham. Narażony był na ogromne niebezpieczeństwo!

Razem weszły do domu. Gwen wróciła do pokoju męża, żeby być razem z Hugh. Oczy ją piekły od gryzącego dymu, a w sercu czuła strach, kiedy myślała o tym, co mogłoby się stać, gdyby ogień zauważono później. W porównaniu z tym niebezpieczeństwem straty nie były aż tak ważne. Trudno, serowarnię doprowadzi się do porządku.

Otarła twarz, położyła się koło synka i czule pogłaskała go po policzku. Chwała Bogu, nic już mu nie grozi. Ale i tak chciało jej się płakać. Przecież może zrobić się jeszcze bardziej niebezpiecznie, a Laurence'a nie ma. Nie ma opoki, człowieka,

którego darzyła największym zaufaniem. W pamięci ożyły wspomnienia z dnia jego wyjazdu, ich pożegnanie. Przed oczami na moment pojawiła się Christina, wysiadająca z samochodu przed Galle Face Hotel. A w mdłym świetle budzącego się dnia widać było stół, na którym w srebrnych ramkach jaśniała fotografia Caroline.

Jakżebym chciała porozmawiać z tobą, Caroline. Może ty wiedziałabyś, co mam teraz zrobić**...**

24

Poranek wytracił szarość. Teraz był złocisty, z jasnoniebieską plamą mgły unoszącą się nad wodą. Wydawało się dziwne, że po tak strasznej nocy nad jeziorem panuje cisza i spokój. Wszystko jest tak jak zawsze. Listki drzew są wilgotne, poranna rosa lśni na trawie. Tak było tam, nad jeziorem, ale koło domu jednak inaczej. Nadal czuło się spalony ser, a widoki były przygnębiające. Służący krzątali się wśród zgliszczy bocznego skrzydła, podwórze przykrywał dywan popiołu.

Do salonu weszła Verity.

– *Appu* powiedział mi, że jeden z kuchcików został poparzony.

– Czy to coś poważnego?

– Jeszcze nie wiem. Idę powiadomić McGregora.

– Potem powiesz mi, jak wygląda sytuacja?

– Naturalnie.

W chwili gdy w salonie pojawiła się Florence Shoebotham z tartą z bekonem, Gwen wyglądała przez okno. Zauważyła na górnym tarasie McGregora i Verity. Rozmawiali, McGregor gwałtownie gestykulował. Szybko odsunęła się od okna, ale on i tak ją zauważył. Wpatrywał się teraz w okno z kamienną twarzą.

Florence nie była w tym momencie pożądanym gościem; Gwen przede wszystkim chciała się zająć sprawą rannego służącego. Z drugiej strony poczuła jednak ulgę, że nieprzyjemna rozmowa z McGregorem zostanie odsunięta w czasie.

– Przyjechałam najszybciej, jak mogłam – powiedziała Florence. Podwójny podbródek oczywiście zadrżał, tym razem niewątpliwie ze współczucia. – Słyszałam, że spaliło się całe boczne skrzydło.

– Na szczęście tylko serowarnia.

– Bardzo mi przykro, że was to spotkało.

Gwen zmuszona była pozostać w salonie, by zabawiać gościa. Kazała kamerdynerowi przynieść najlepszą porcelanę i trzypiętrową paterę ze słodkościami. Kiedy Florence częstowała się, Gwen czuła coraz większy niepokój. Musi prędzej czy później spytać McGregora o tego poparzonego chłopca.

– Kiedy znów zobaczymy twoją uroczą kuzynkę Fran?

– Niestety, nieprędko. Ale obiecała, że złoży mi jeszcze wizytę.

– Brakuje nam jej miłego towarzystwa. I brakuje nam oczywiście twojego męża.

Bardzo... – Florence postarała się, by wyglądać na osobę zaniepokojoną. Zniżyła głos: – Mam nadzieję, że u Laurence'a wszystko w porządku. Słyszałam, że dużo stracił z powodu krachu na Wall Street.

– Nie ma powodu do zmartwienia. Laurence miewa się dobrze. Ja również.

Teraz Florence sprawiała wrażenie osoby, która chce ukryć rozczarowanie. A więc plotki, które do niej dotarły, niestety nie znajdują potwierdzenia.

– Bardzo chcemy, by wrócił jak najprędzej – kontynuowała Gwen. Nie wspomniała o telegramie Laurence'a do ich agenta zapowiadającym, że być może wróci później, niż zamierzał. Nie wspomniała też o tym, że ona z kolei nie przekazała mu hiobowej wieści o pożarze.

Kiedy Florence wreszcie wyszła, Gwen otworzyła okno i natychmiast je zamknęła, bo nadal zewsząd czuć było spaleniznę. Udała się na poszukiwanie Verity i Hugh. Bardzo chciała, by synek był przez cały czas przy niej. On jednak podczas wizyty Florence wymknął się z salonu. Gwen wyszła do ogrodu i, klucząc między drzewami, zaczęła wołać synka. Na próżno. Zeszła więc na dolny taras i spojrzała na wodę. Powiał wiatr tak zimny, że aż zadrżała. Ku swej radości, usłyszała wreszcie głos synka. Odwróciła się. Hugh nie był sam. Prowadził go za rękę McGregor.

– Dzień dobry, panie McGregor.

– Dzień dobry, pani Hooper.

Zarządca puścił rękę Hugh i chłopczyk od razu podbiegł do matki.

– Jak się czuje poparzony chłopiec? – spytała, starając się zachować spokój.

– Jest u niego aptekarz.

– Rozumiem. Co za niefortunny bieg wydarzeń...

– Gorzej niż niefortunny, pani Hooper. Mam nadzieję, że na tym incydencie się skończy, ale radziłbym nie puszczać teraz chłopca od siebie ani na krok.

– Miejmy nadzieję, że to nie było umyślne podpalenie. Oni wszyscy mieli pochodnie, mogli zaprószyć ogień.

– Nie sądzę. To cud, że tak szybko zauważono pożar.

Gwen zrobiła głęboki wdech.

McGregor ruszył przed siebie, po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił.

– Wiem coś o tym, jak do tego doszło. Ma pani szczęście, że ten chłopak z kuchni jeszcze żyje.

Gwen czuła, jak narasta w niej gniew.

– Chwileczkę, o co chodzi?!

– O to, że do pewnych spraw nie wolno się mieszać, bo pociąga to za sobą właśnie

takie incydenty.

– Chodzi panu o mnie?

McGregor kiwnął głową. Jego twarz stężała.

Gwen, już nie panując nad gniewem, zrobił krok do przodu.

– Nie uważam, że pomagając tej dziewczynce, zrobiłam coś złego. Każdy by tak postąpił, chyba że ma serce z kamienia. To nie ja spowodowałam ten bieg wypadków tylko pan, bo chłostanie robotników z powodu błahostki należy już do przeszłości! A nawet jeśli to się zdarza, i tak powinien się pan wstydzić!

– Skończyła pani?

– Jeszcze nie. Będzie pan miał szczęście, jeśli nie dowie się o tym Cejloński Związek Zawodowy! Pan widzi w ludziach tylko samo zło. Ja natomiast uważam, że wszystkich ludzi, niezależnie od koloru skóry, należy traktować tak samo. Być życzliwym i sprawiedliwym.

Twarz McGregora drgnęła

– Kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy.

– Oczywiście, że ma! Wszystko w tym kraju zależy właśnie od tego. I dlatego niech pan zapamięta moje słowa. To, jak pan postępuje teraz, kiedyś obróci się przeciwko panu. I wtedy nikt z nas nie będzie tu bezpieczny!

Odwróciła się, by nie dać McGregorowi satysfakcji, że jest bliska łez, i z uniesioną głową weszła na schody, a mały Hugh za nią.

Tej nocy dręczyły ją koszmary, w każdym śnie ciemnoskórzy mężczyźni, wymachujący płonącymi pochodniami wynurzali się z jeziora. Śniła też o mężu i w tym śnie Laurence wcale nie wyjechał. Siedzieli w hangarze na łodzie. Kiedy Laurence pochylił się nad nią, jego ręce oświetlił pomarańczowy blask księżyca. Objęła go za szyję, on dłonią objął jej głowę i wtedy zorientowała się, że spojrzenie Laurence'a przez nią przenika i biegnie dalej. To nie był dobry sen. Rano dowiedziała się, że poparzony chłopiec zmarł.

Przez cały dzień starała się dowiedzieć, gdzie przebywają jego bliscy i jak im pomóc. Ubolewała nad tym, że życie młodego, pełnego zapału, skorego do śmiechu chłopca zostało przerwane w tak straszny sposób. Bardzo chciała jakoś to wynagrodzić jego rodzinie, ale McGregor, na którego natknęła się w ogrodzie, nalegał, że to on się tym zajmie.

– Dlaczego pan? Przecież ten chłopiec należał do mojej służby.

– Pani Hooper, w tak delikatnej sytuacji nie wolno sobie pozwolić na żadne sentymenty. Znów mogą być jakieś kłopoty.

– Ale...

McGregor tylko skłonił głowę i oddalił się szybkim krokiem.

Gwen spojrzała na jezioro. Czuła się całkowicie bezradna. Nie miała żadnego pomysłu, co powinna zrobić.

25

W ciągu następnych tygodni atmosfera była napięta, jakby nad domem zawisła złowroga chmura. Ze względu na synka Gwen starała się zachowywać jak dawniej, natomiast Verity nie. Niebawem okazało się, że pije w nadmiarze. Poza tym zamknęła się w sobie. Godzinami przesiadywała w swoim pokoju i nierzadko słychać było jej płacz. Czasami była bardzo rozdrażniona, traciła cierpliwość wobec Hugh i Gwen kilkakrotnie zwróciła jej uwagę. Potem słyszała, jak Verity w środku nocy miota się po pokoju Laurence'a. Schodziła na dół, spowita w mgiełkę melancholii. Krążyła wokół domu bez celu jak ktoś, kogo pozbawiono wszystkiego.

Gwen nie potrafiła zrozumieć szwagierki i martwiła się jej stanem. Wprawdzie Verity zawsze miewała zmienne nastroje, ale teraz było inaczej. Kiedy Gwen pytała wprost, co się dzieje, Verity zamykała oczy i potrząsała głową. Wyglądało na to, że nie chce poddać się jakimś uczuciom; w końcu Gwen uznała, że lepiej nie ingerować i zostawić sprawy swojemu biegowi.

Na pewno Verity czuła się nieszczęśliwa. Gwen, mimo że wielokrotnie miała dość szwagierki, po prostu jej współczuła.

Sama również nie czuła się dobrze. Bardzo przeżyła potyczkę słowną z McGregorem i od tamtej pory starannie go unikała. Dzięki pomocy Naveeny udało jej się skontaktować z rodziną zmarłego kuchcika. I mimo że dzień miała zapełniony obowiązkami – ustalaniem menu, kontrolą nad przekazywaniem i odbieraniem bielizny do prania, przeglądaniem rachunków – nie mogła zapomnieć o śmierci tego chłopaka ani stłumić w sobie niepokoju i poczucia winy.

Podczas silnego wiatru, kiedy wszystkie deski skrzypiały i pojękiwały ze zdwojoną siłą, słyszała kroki swego drugiego dziecka. Wtedy nieruchomiała, czekając, że wiatr przyniesie jej jakieś wieści. Albo przeciwnie, zabierała się do sporządzania wykazu zawartości spiżarni, do czegokolwiek, co mogłoby zająć jej umysł.

Pewnego ranka, kiedy weszła do kuchni, zastała tam tylko McGregora. Miał bardzo ponurą minę.

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmie i odwróciła się, by wyjść jak najszybciej.

– Pani Hooper, może napije się pani ze mną herbaty?

Powiedział to niemal łagodnie, a w jego głosie nie było zwykłej szorstkości. Gwen zawahała się.

– Bardzo proszę. Przecież nie gryzę.

– Tego się nie obawiam.

McGregor nalał herbaty do drugiej filiżanki, a ona usiadła po przeciwnej stronie stołu.

– Przez całe życie pracuję przy herbacie – zaczął, nie patrząc na nią.

– Wiem. Laurence mi mówił.

– I znam tych robotników na wylot. A pani jest tu zaledwie kilka lat i chce raptem wszystko zmienić, kiedy wie jeszcze tak niewiele**...**

Gwen otworzyła usta, ale McGregor podniósł rękę.

– Proszę pozwolić mi dokończyć – powiedział. Poczuła od niego zapach whisky. – To naprawdę paskudna sprawa. Spędza mi sen z powiek**...** – Zamilkł.

– Panie McGregor?

– Chodzi o to, że mimo wszystko pani chyba miała rację odnośnie tej chłosty.

– Czy to źle?

– Nie, ale**...**

– Panie McGregor, proszę powiedzieć szczerze, co tak naprawdę pana trapi.

Zawahał się. Potrząsnął głową, potem zmienił się na twarzy. Długo się zastanawiał. Nad czym? Tego Gwen nie mogła wiedzieć. Patrzyła na tę w sumie odpychającą postać.

– Skoro pani koniecznie chce wiedzieć**...** Martwi mnie to, że być może nie potrafię się dostosować. Całe moje życie oddałem herbacie, wrosłem w tę rzeczywistość. To znaczy**...** tamtą. Mam ją we krwi. Czy pani wie, że na samym początku nikt się nie zastanawiał, czy wolno wychłostać robotnika, czy nie? Dla nas ci ciemnoskórzy właściwie nie byli ludźmi, a jeśli nawet, to na pewno nie takimi jak pani czy ja.

– Ale to są ludzie, prawda? I jeden z nich niedawno stracił życie.

McGregor pokiwał głową.

– Tak, pani Hooper. I mimo że, jak powiedziałem, to poprzednie nastawienie mam we krwi, już dawno zmieniłem poglądy. Nie jestem okrutny. Staram się być sprawiedliwy.

– Ja wierzę, że jeśli człowiek bardzo chce, jest w stanie zmienić poglądy.

– Tak**...** Jeśli bardzo chce. Z tym że w sumie jest to już bezcelowe, bo nasz czas, czas białych, się kończy.

– Dlaczego się kończy? Uważam, że po prostu należy iść z duchem czasu.

McGregor westchnął.

– Nie, pani Hooper. Oni nie będą nas tu chcieli. Mimo że tyle dla nich zrobiliśmy.

– Nie będą nas chcieli za to, co im zrobiliśmy, panie McGregor!

– Jak zwał, tak zwał**...** Ja w każdym razie nie mam pojęcia, co ze sobą zrobię.

– A jak jest teraz wśród robotników?

– Spokojnie. Myślę, że podobnie jak my bardzo przeżywają śmierć tego chłopca. Poza tym żaden z nich nie chce stracić pracy.

– Czy wiadomo, kto podłożył ogień?

– Nie. Milczą jak zaklęci. Albo trzeba włączyć w to policję, albo rozpowiedzieć, że był to nieszczęśliwy wypadek. Nie jest to po mojej myśli, ale już to zrobiłem. Uznałem pożar za nieszczęśliwy wypadek.

– Sądzi pan, że na tym się skończy, czy dalej będą kłopoty?

– Trudno przewidzieć. Ale jeśli tak, to gotów jestem się założyć, że prawdziwe kłopoty będą w Kolombo, bo tam robotnicy mają zbyt wiele do stracenia.

Gwen westchnęła. Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Uznając temat za wyczerpany, Gwen wstała od stołu.

– Dziękuję za herbatę. Muszę iść poszukać Hugh.

Prawie cały wolny czas Gwen spędzała z synkiem. Czasami bawili się żołnierzykami. Żołnierzyki nacierały na wroga, którym zwykle był któryś z psów. Niestety psy nie rozumiały, że mają odegrać rolę pokonanego żołnierza. Zamiast padać na ziemię biegały w kółko. Hugh bardzo się wtedy denerwował. Tupał nogą i krzyczał:

– Leżeć, Spew! Ty też, Bobbins! Ginger, ty też nie żyjesz!

Tego dnia Hugh rozłożył szeroko ręce i biegał po salonie, obracając się w kółko, ponieważ udawał brytyjski trójpłatowiec.

– Mamusiu, ty też możesz być samolotem. Ja jestem naszym myśliwcem, ty będziesz niemieckim dwupłatowcem, tym ich albatrosem. Będziemy walczyć ze sobą zażarcie!

Gwen pomyślała o prawdziwych walkach powietrznych, o eksplozjach gdzieś tam, w chmurach, i zadrżała.

– Nie, kochanie, ja się do tego nie nadaję. A może teraz ciocia Verity ci poczyta?

– O, tak!

Hugh usiadł na kanapie obok ciotki, a ona sięgnęła po książkę.

– Co to za książka? – spytała Gwen, wyciągając szyję, by dojrzeć tytuł. Skrzywiła się, bo stanowczo wolała Beatrix Potter, Verity natomiast lubiła bajki Hansa Christiana Andersena, które zdaniem Gwen mogły tylko wystraszyć synka. I żadna ze stron nie dawała się przekonać.

– Przecież nie jest dzidziusiem – oświadczyła Verity. – Przed chwilą udawał myśliwiec! A bajki Andersena może są czasami smutne, ale działają na wyobraźnię

dziecka. Szkoda, żeby Hugh ich nie poznał.

– A ja obawiam się, że jak się wystraszy, to ten strach mu nigdy nie minie.

– Ależ Gwen! Przecież to nie bajki braci Grimm! To Andersen!

– No tak**...** Ale wolałabym, żebyś Andersena poczytała mu, kiedy będzie trochę starszy.

Verity rzuciła książkę na kanapę.

– Cokolwiek robię, tobie i tak się to nie podoba!

Gwen, zaskoczona tym wybuchem, jednocześnie jednak zdesperowana, rzuciła nieśmiało:

– To może poczytaj mu „Alicję w Krainie Czarów”?

Verity wyraźnie się wzdrygnęła, jednak Gwen podsunęła jej tę właśnie książkę.

– Proszę, nie upieraj się.

Verity wpatrywała się w książkę i milczała. Gwen zauważyła, że oczy szwagierki są pełne łez.

– Och, Verity! Co się stało?

Verity potrząsnęła głową.

– Ach**...** Gorzej być nie może**...** – Spuściła głowę.

Gwen podeszła do niej, wzięła za ręce i leciutko je ścisnęła.

– Głowa do góry, dziewczyno! Cokolwiek by to było, nie poddawaj się!

Verity podniosła głowę.

– Gwen, ty wiesz, że ja bardzo kocham Hugh.

– Naturalnie. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Verity westchnęła tylko i sięgnęła po „Alicję w Karinie Czarów”. Dokładnie w chwili, gdy Alicja wpadła do nory Królika, zadzwonił telefon. Cała trójka spojrzała w tamtą stronę. Gwen udało się pierwszej zerwać z kanapy i chwycić za słuchawkę. Mimo trzasków na linii usłyszała dokładnie, co przekazał agent Laurence'a z Kolombo. Otrzymał właśnie telegram, w którym mąż informował, że za tydzień wraca do domu i prosi, aby McGregor odebrał go z portu.

Gwen wróciła do salonu, niespiesznie, bo chciała pobyć sam na sam z tą cudowną nowiną choć sekundę dłużej.

– Kto dzwonił? – spytała Verity, podrywając głowę znad książki.

Gwen uśmiechnęła się szeroko.

– Gwen, nie bądź taka. Mów szybko!

– Powiem, powiem! A więc słuchajcie: Laurence wraca do domu!

– Naprawdę? Wreszcie! Czy jest już w Kolombo?

– Nie, jeszcze nie. Będzie tam za tydzień. Prosi, żeby McGregor odebrał go

z portu.

– McGregor? O, nie, my pojedziemy po niego! – oświadczyła Verity i Gwen mimo woli skrzywiła się. Nie miała ochoty jechać po męża ze szwagierką.

– A więc jedziemy. Dokładnie za siedem dni.

Hugh podskoczył i zaklaskał w rączki. Verity zerwała się z kanapy, chwyciła chłopczyka w objęcia i obróciła się z nim dookoła.

– Urządzę wielkie przyjęcie na powitanie! – zawołała rozradowana Gwen. – Ostatnio nie było tu wesoło, należy nam się trochę dobrej zabawy!

– Ale podobno mamy zaciskać pasa!

– Nie martw się, pamiętam o tym.

Verity postawiła Hugh na podłodze. Gwen przez chwilę coś rozważała.

– A więc**...** zrobimy pyszne kanapki. Podamy w wielkich misach poncz z owocami i miodem. Będzie mnóstwo owoców, dzięki czemu nikt nie zauważy, że dodany do ponczu alkohol nie należy do najdroższych. Poza tym nie będziemy zamawiać kwartetu smyczkowego. Mamy przecież gramofon!

Verity uśmiechnęła się. Gwen od wielu tygodni nie widziała szwagierki tak wesołej.

– Tak więc wydamy naprawdę niewiele. Laurence wcale nie byłby zadowolony, gdyby przyjęcie było wystawne. Byłby wściekły. A ponieważ musimy zająć się przygotowaniami, może jednak lepiej, żeby pojechał po niego McGregor.

– O, nie! – zaprotestowała Verity. – Nie chcę, żeby jako pierwszy zobaczył się z Laurence'em i od razu nagadał mu niestworzonych rzeczy. O tej dziewczynce ze złamaną kostką. McGregor nadal obarcza cię winą za ten pożar i śmierć kuchcika.

– Czyżby? Odnoszę wrażenie, że przejrzał na oczy. Przynajmniej do pewnego stopnia.

– Być może masz rację. Mimo wszystko jednak lepiej, żeby nie przedstawiał Laurence'owi swojej wersji.

– W takim razie pojadę tam sama.

– Sama? Gwen, bardzo dobrze sobie radzisz, jeżdżąc po okolicy, ale trzeba jechać aż do Kolombo! To daleko, a droga nie należy do najłatwiejszych. Jeszcze, nie daj Boże, dojdzie do wypadku**...**

Niestety, Gwen nie mogła nie przyznać jej racji.

– Proponuję, by zrobić tak – mówiła dalej szwagierka. – Jeśli chodzi o przygotowania, trzeba dopilnować służby przyzwyczajonej do dawnych, wystawnych przyjęć, kiedy pieniądze nie miały znaczenia. Ty zostaniesz i dopilnujesz wszystkiego, a ja pojadę po Laurence'a, zgoda?

– No cóż... Bardzo bym chciała pojechać, ale nie mamy chyba innego wyjścia. Tym bardziej, że bałabym się zostawić Hugh samego w sytuacji, gdy wszyscy w domu mają pełne ręce roboty. Jedź – powiedziała Gwen, która nie miała serca psuć szwagierce radości. – A teraz zabieramy się do pracy. Na początek spiszemy, czego nam potrzeba na przyjęcie.

Dwa dni później Gwen wstała wcześnie, włożyła szlafrok i wyszła przed dom, by popatrzeć na mgłę snującą się między drzewami. Spojrzała na ukochane jezioro, na otaczające je wzgórza, słuchając cichutkiego pluskania wody. Nie miała pojęcia, co przyniesie przyszłość. Ale o jedno modliła się żarliwe: żeby nigdy nie musieli wyjeżdżać z Cejlonu. Dla niej było to najpiękniejsze miejsce na ziemi i mimo że tęskniła za rodzicami, wiedziała, że jej dom jest tu, na plantacji Hoopera.

Poszła na najwyższy taras, gdzie służący nakrywali już do śniadania. Usiadła w wygodnym krześle z rattanu i patrzyła na ptaki skaczące po wysypanej żwirem ścieżce. Po kilku minutach na tarasie pojawiła się Verity, by powiadomić Gwen, że wybiera się do Kolombo wcześniej, niż zaplanowały. Chciała zrobić zakupy, poza tym, skoro już będzie w mieście, zobaczy wystawę Saviego Ravasinghe. Savi został zagarnięty przez jedną z nowojorskich kolonii artystycznych, w związku z czym ostatnio rzadko bywał na Cejlonie. Teraz przyjechał i prezentuje swoje obrazy. Tak więc, Verity wyjeżdża na pięć dni. Ma nadzieję, że Gwen to nie przeszkadza.

Gwen bezwiednie potrząsnęła głową. Była zadowolona, że nie musi oglądać tej wystawy, mimo wszystko jednak poczuła dreszcz.

– Ależ jedź! Pamiętaj tylko, że masz dostarczyć mi swego brata w całości.

– Dziękuję, Gwen. Wiesz, wolę tam być wcześniej także dlatego, że znowu krążą pogłoski o kolejnym strajku w porcie.

Gwen westchnęła. Liczba mieszkańców Kolombo rosła w zawrotnym tempie, zaczęło brakować ryżu i z tego powodu zastrajkowali tramwajarze. Ale kolejny strajk w porcie to coś o wiele gorszego. Pomyślała, że również by chciała tam być i upewnić się, czy wszystko będzie w porządku. Niestety, decyzja już zapadła. Verity jest gotowa do wyjazdu, trudno więc cokolwiek odwoływać. Chyba że Gwen zdecyduje się jechać do Kolombo z McGregorem.

– To ja już się zbieram – powiedziała Verity. Cmoknęła Gwen w policzek, pomachała do Hugh, który bawił się na trawie z Ginger, i po chwili jej nie było.

Gwen żyła ze swoją tajemnicą już tak długo, że rozpacz, którą czuła na początku, z biegiem czasu przestała być tak dotkliwa. Teraz był to przytłaczający smutek, stłumiony, ale nie opuszczał jej ani na chwilę. Czasami, kiedy była sama, mogła

pozwolić swemu sercu się otworzyć. Myślała wtedy o córeczce; zastanawiała się, jak wygląda. Czy jest dobrze zbudowana jak Hugh, czy też wiotka jak jej matka?

Pragnęła z całego serca ponownie wybrać się do wioski. O tym teraz myślała, przemierzając pokój. Rozkładała ręce, potrząsała głową, momentami przystawała, nasłuchując dźwięków dolatujących z głębi domu. Zapamiętała tę wioskę jako oazę spokoju wśród odgłosów otaczającej ją natury. Mogłaby znowu spróbować tam dotrzeć. Jednak ostatnio zakończyło się to niepowodzeniem, dlatego wciąż nie podjęła decyzji.

Usiadła na krześle przy oknie i zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak mała Liyoni pływa w jeziorze. Potem, owinięta w miękki biały ręcznik, roześmiana, biegnie do mamy, która przytula ją do siebie.

Płakała długo, dopóki smutek znowu nie przycichł. Otarła oczy i spryskała twarz zimną wodą. Może kiedyś, gdy Hugh będzie już w szkole, uda się przekonać Naveenę, by zabrała Liyoni z wioski i ją tu przywiozła.

26

Gwen wysłała na strych dwóch chłopców, którzy mieli znieść stamtąd wszystko, co może przydać się na przyjęcie. Kiedy chłopcy krzątali się na górze, Gwen lustrowała pokój gościnny. Korzystano z niego rzadko. Pod łóżkiem znalazła fajerwerki, a w szafie stos zakurzonych papierowych lampionów. Kilka było podartych, jednak wiele innych w dobrym stanie. Wystarczyło je odkurzyć miotełką z piórek.

Kiedy zajrzała do starej komody, zauważyła tam wielki płaski pakunek, wsunięty na sam koniec szuflady. Zaintrygowana, wyjęła go i położyła na łóżku. Zdjęła sznurki, ściągnęła papier i jej oczom ukazało się przepiękne jedwabne sari, haftowane srebrną i złotą nitką. Podniosła je do światła i obejrzała dokładnie wymyślny wzór w ptaki i kwiaty. Tak, to jest sari, które Caroline ma na sobie na portrecie. Gwen przyglądała się tkaninie, rozmyślając o pierwszej żonie Laurence'a i o małym Thomasie, o ich smutnym losie. W oczach zakręciły jej się łzy. Chyba nie powinna ingerować w przeszłość, a przeszłość nie powinna komplikować teraźniejszości. Szybko złożyła sari, zapakowała i schowała z powrotem do szuflady.

Chłopcy znieśli na dół różnokolorowe chorągiewki na sznurku. Były trochę wyblakłe, ale Gwen kazała je uprać i rozwiesić. Ogrodnik wykopał z grządki kwiaty, które niebawem miały rozkwitnąć, i powsadzał do doniczek na tarasie na tyłach domu. Naveena przyniosła miseczki z żółtodrzewu, w których były wonne korzenie i kadzidła, aby je porozstawiać w różnych miejscach.

Gwen skupiła się na menu, które zgodnie z założeniem miało być skromne. A więc typowy cejloński chleb w kształcie kwiatka, chleb ryżowy z kokosem, a także naleśniki kiri roti.

Kiedy te sprawy zostały załatwione, zaczęła się zastanawiać, w co się ubrać na przyjęcie. Witając męża, chciała wyglądać jak najładniej, dlatego zdecydowała się na suknię w kolorze głębokiego fioletu, podkreślającą kolor oczu. Ten jedwab kupiła kiedyś w Kolombo, potem znalazła odpowiedni fason sukni w miesięczniku „Vogue”, a suknię uszył jej pewien Syngalez. Trzeba ją było odebrać w Nuwara Eliya; Gwen jednak nie miała czasu tam jechać, umówiła się więc, że ją tu przywiozą.

Dni wypełnione przygotowaniami minęły błyskawicznie. Ciągłe podejmowanie decyzji, drobne problemy i wiecznie kłócąca się służba. Naveena pilnowała Hugh,

kiedy Gwen zastanawiała się, gdzie postawić kwiaty i ile świec zapalić. Miała nadzieję, że to przyjęcie poprawi humor wszystkim, z McGregorem włącznie.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Gwen nerwowo wydawała ostatnie polecenia, jednocześnie szykując synka na powitanie ojca. Kiedy posadziła go przy oknie, żeby podciąć mu grzywkę, nie potrafił usiedzieć spokojnie.

– Hugh, przestań się wiercić, bo jeszcze wsadzę ci nożyczki w oko!

Chłopiec zachichotał i zaczął udawać, że wydłubuje sobie oko. Gwen też się roześmiała. Laurence nigdy nie był tak długo poza domem, więc mały nie posiadał się z radości, że ojciec już wraca. Był bardzo podekscytowany i to udzielało się wszystkim.

Późnym popołudniem, kiedy już tylko godzina dzieliła ich od radosnej chwili, do pokoju weszła Naveena, niosąc wielkie, płaskie pudło. Przyjechała suknia! Gwen uniosła pokrywę, rozwinęła białą bibułkę i wstrzymując oddech z wrażenia, wyjęła jedwabną kreację. Była po prostu idealna. Długość w sam raz, rozkloszowana, stanik wyszywany maleńkimi perełkami. Takie same perełki były w kolczykach i w naszyjniku, które miała założyć. Na szczęście za suknię zapłaciła, jeszcze zanim zaczęły się kłopoty finansowe, tak więc nikt nie mógł jej zarzucić, że szasta pieniędzmi.

Przyłożyła do siebie suknię i zrobiła wdzięczny obrót.

Naveena uśmiechnęła się.

– Będzie pani wyglądać przepięknie.

Gwen pobiegła do łazienki, gdzie Hugh zażywał kąpieli, bawiąc się łódeczkami. Kiedy w końcu udało jej się namówić synka, by wyszedł z wanny, owinęła go wielkim ręcznikiem i mocno przytuliła. Niestety Hugh nie bardzo to lubił. Ubrała go w biały garniturek, w którym wyglądał jak prawdziwy dżentelmen, a potem, ogromnie podekscytowana, usiadła na krześle przed toaletką.

Kiedy zegar wybił szóstą, Gwen była już ubrana i miała upięte włosy. Jeszcze tylko kropla ulubionych perfum. Chorągiewki porozwieszano, świece zapalono, poncz był gotowy i wszędzie unosił się słodki zapach cynamonu. Goście zaczęli się powoli schodzić. Kamerdyner wprowadzał ich na taras i werandę w bocznym skrzydle.

Nie było to huczne przyjęcie, raczej miłe towarzyskie spotkanie, na które przybyli plantatorzy herbaty z małżonkami, grupka znajomych Verity i kilku kolegów Laurence'a z Hill Club w Nuwara Eliya. O siódmej goście byli już w komplecie. Rozmawiali, stojąc lub przechadzając się wokół domu i nad jeziorem. Mały Hugh kręcił się między nimi, częstował prażonymi orzechami nerkowca ze srebrnej

miseczki i oczarowywał wszystkich manierami i słodkim uśmiechem. Brakowało tylko jednej osoby – Laurence'a. No i oczywiście Verity. Mieli zjawić się przed szóstą. Gwen zaczynała się niepokoić.

Odgrywała swoją rolę wzorowej pani domu. Uśmiechała się, pomagała gościom zintegrować się z pozostałymi, spytała Florence o zdrowie, pogawędziła z Pru. Czas mijał i kiedy zegar wybił dziewiątą, Gwen była już bardzo zdenerwowana. Podano jedzenie, a Laurence i Verity nadal się nie pojawili. W głowie Gwen kłębiły się chaotyczne myśli. Może to przyjęcie jest błędem? Może jednak Verity opowiedziała mu o pożarze i śmierci kuchcika? Dlaczego jeszcze ich nie ma? Drogi w okolicy są zdradliwe, zwłaszcza w nocy. Verity jeździ za szybko. Może mieli wypadek i teraz leżą martwi w rowie albo samochód stoczył się do jakiegoś wąwozu. Czuła, że ogarnia ją panika. Popatrzyła na jezioro, bo jego widok, ta spokojna pozaczasowość, jakoś tłumiły w niej coraz większy strach. Gdy traciła już resztki nadziei, nagle usłyszała, że przed dom zajeżdża samochód. Tak! To na pewno oni, przecież żadnych gości już się nie spodziewała.

Wybiegła przed dom. Za nią kilka osób, wśród nich Pru, Florence i doktor Partridge.

– To oni! – zawołała Florence.

– Lepiej późno niż wcale – podsumował doktor.

Gwen nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Na widok Laurence'a wysiadającego z samochodu łzy spłynęły jej po policzkach. Rozejrzał się dokoła. Wstrzymała oddech, nikt się nie odzywał. Była już prawie pewna, że Verity opowiedziała mu o wszystkim.

Nagle przed oczami zaczęły przesuwać się obrazy z ich dotychczasowego życia. Ożyły wspomnienia, setki wspomnień, tysiące cudownych chwil. Nie, nie można tego zniszczyć, musi natychmiast wymyślić jakieś sensowne usprawiedliwienie.

Laurence obszedł samochód, kierując się w jej stronę. Najchętniej obróciłaby się teraz na pięcie i uciekła. Najlepiej, żeby rozstąpiła się przed nią ziemia. Przecież Laurence myśli o niej teraz bardzo źle. A ona nie jest w stanie tego znieść.

Otarła łzy i spojrzała mu w twarz. Nie dostrzegła na niej surowości ani gniewu. Z ulgą podbiegła do męża, a on chwycił ją w objęcia, podniósł i okręcił się, szepcząc jej do ucha:

– Tak bardzo za tobą tęskniłem**...**

Gwen nadal nie była w stanie wydusić słowa.

– Widzę, że wydałaś przyjęcie z okazji mego powrotu – powiedział, stawiając ją na ziemi. – Świetnie. Bardzo potrzebuję zmiany, ten wyjazd dał mi porządnie w kość.

– Tak się cieszę, że jesteś zadowolony – powiedziała, obejmując go mocno. – Ale to jeszcze nie wszyscy goście. Reszta jest na tyłach domu.

Roześmiał się.

– Im więcej gości, tym lepiej.

Verity stała przy samochodzie z kamienną twarzą, ale to nie obchodziło Gwen, która czuła niewysłowioną ulgę. Na pewno wszystko będzie dobrze.

Późnym wieczorem, kiedy wreszcie zostali sami, Laurence opowiedział żonie, jak wygląda sytuacja. Mimo że akcje kopalni miedzi są w chwili obecnej bezwartościowe, udało mu się znaleźć partnera do kupna nowej plantacji. Przyszłość jednak nie przedstawia się różowo. Będzie ciężko, ale jeśli nadal będą żyć oszczędnie, na pewno przetrwają.

– Przedtem nie mówiłeś mi, jak trudna jest sytuacja.

– Nie chciałem tego robić. A poza tym, szczerze mówiąc, sam do końca nie wiedziałem, jak naprawdę to wygląda.

– Czyli mówienie o tym, że nigdy nie sprzedamy**...**

Laurence położył palec na jej ustach, ale mówiła dalej:

– Powiedziałeś, że tu, na Cejlonie, na pewno nie znajdziesz inwestora.

– To prawda. Znalazłem gdzie indziej, ten inwestor jest ci dobrze znany.

Gwen uniosła brwi.

– Chyba nie mój ojciec? Przecież go na to nie stać. Musiałby sprzedać Owl Tree.

– To nie twój ojciec.

Gwen objęła dłonią policzek męża pokryty świeżym zarostem.

– A więc kto to taki?

Laurence uśmiechnął się szeroko.

– Moim nowym partnerem jest twoja kuzynka Fran.

Gwen skrzywiła się.

– Nie wierzę ci. Fran miałaby zainwestować w herbatę? Przecież ona w ogóle się na tym nie zna. I chyba jej się to wcale nie podoba.

– Na pewno ją spłacę, kochanie. Ona zrobiła to dla ciebie. Zainwestowała w tę nowo nabytą plantację, dzięki czemu nie musimy sprzedawać ani starej, rodzinnej plantacji, ani naszego domu.

Gwen poczuła ogromną ulgę.

– Sam ją o to poprosiłeś?

– Nie. Umówiliśmy się na lunch. Opowiedziałem jej, jaka jest nasza sytuacja, i wtedy ona sama zaofiarowała się z pomocą. Ale nie mówmy już o interesach**...** –

Laurence czule pogłaskał żonę po głowie. – Opowiadaj o sobie. Jak ci tu było?

– Różnie. Jest jedna sprawa**...**

Laurence wsunął palce w jej włosy i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

– Wiem. Chodzi o ten pożar. Verity mówiła mi już o tym.

Gwen zrobiła szybki wdech.

– Verity ma teraz trudny czas. Martwię się o nią.

– Naprawdę? Jakoś nie odniosłem takiego wrażenia. Może jest tylko trochę nerwowa. A z ciebie jestem bardzo dumny, Gwen.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Pomogłaś temu biednemu dziecku, i to jak! Jesteś kobietą o wielkim sercu, kochanie.

– Naprawdę tak sądzisz? I nie uważasz, że niepotrzebnie mieszam się w sprawy robotników?

– Przecież chodziło o dziecko.

– Tak**...** Wiesz już na pewno o śmierci tego chłopca.

– Wiem. Śmierci na plantacji nie wolno lekceważyć.

– To było straszne.

– Ale to nie twoja wina. Wszystko, co zrobiłaś, płynęło z dobrego serca. A z McGregorem porozmawiam jutro rano.

– Myślę, że on też to bardzo przeżywa.

– Może. W każdym razie jutro z nim porozmawiam. Niestety, czasami wszystko toczy się nie tak, jak byśmy sobie życzyli. Moim zdaniem, nie ma sensu skupiać się na tym, kto ponosi winę, lecz uświadomić sobie, że kiedy człowiek wykaże się nawet odrobiną braku rozsądku, skutki mogą być opłakane.

– Chodzi ci o mój brak rozsądku?

– Nie, tego nie powiedziałem.

Była tak szczęśliwa, że Laurence się nie gniewa. Wreszcie, po kilku pełnych udręki miesiącach, to nieustanne napięcie zaczęło znikać. Ulga była tak wielka, że Gwen rozpłakała się. Laurence znów ją objął, a kiedy w końcu spojrzała na niego, zauważyła, że jego oczy też są wilgotne.

– To był trudny czas dla nas wszystkich, Gwen – powiedział. – Tak**...** Teraz moim głównym zadaniem będzie poprawa morale. Zacznę od ciebie.

Wyjął szpilki z jej włosów i bujne loki opadły na ramiona.

– Ja**...** bardzo się starałam, Laurensie.

– Wiem.

Uśmiechnęła się i dotknęła palcem dołka w jego brodzie.

– Mam się ogolić? – spytał.

– Nie! Chcę cię mieć właśnie takiego. Nieogolonego!

– Niech będzie. A ty, skarbie, wyglądasz zachwycająco – powiedział, owijając sobie jeden ze wspaniałych loków wokół środkowego palca.

Na początku Gwen czuła się trochę skrępowana, podobnie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy byli ze sobą w Londynie. Dawne czasy**...** Uśmiechnęła się z rozrzewnieniem, a Laurence zaczął zdejmować z niej ubranie. Był bardzo delikatny, nie spieszył się. Kiedy miłosne uniesienia minęły i leżeli, obejmując się ramionami, Gwen poczuła, że w jej sercu wreszcie pojawił się spokój.

– Znaczysz dla mnie tak wiele, Gwen. Nie zawsze potrafię to wyrazić, ale mam nadzieję, że to czujesz – wyszeptał Laurence.

– Tak.

– Jesteś taka szczupła**...** i taka słodka. Zawsze będziesz moją najukochańszą dziewczyną.

Mówił to poważnym tonem.Tak, kochał ją. To było oczywiste. Gwen uśmiechnęła się, przywołując w pamięci cudowne chwile wspólnego życia, chwile świadczące o gorącym wzajemnym uczuciu. Dowodów na to nie brakowało. Chociażby to, że kiedy czymś się martwiła i nie mogła spać, jego silne ciepłe ręce zawsze trzymały jej dłoń. Darzył ją bezgranicznym zaufaniem. A jego śpiewanie w łazience? Fałszował niemiłosiernie, ale śpiewał, pewien, że nikt go nie słyszy.

Kiedy okazywał jej serce, czuła się całkowicie bezpieczna i pewna, że obroni ją przed wszystkimi przeciwnościami losu. A przecież wszystko mogło potoczyć się inaczej. Mógł nie stanąć na jej drodze i nigdy nie dowiedziałaby się, czym jest miłość, nigdy by nie rozkwitła jako człowiek i żona.

Warto walczyć. O, tak! Razem stawią czoło wszelkim trudnościom. To będzie nowy początek w ich życiu.

Nie spytała, czy podczas tego wyjazdu widział się z Christiną.

Część czwarta

Prawda

27

1933, cztery lata później

Gwen podniosła z podłogi porozrzucane przez Hugh ołówki i spojrzała w okno, przez które było widać, jak kilku mężczyzn obudowuje rusztowaniem z bambusa boczne skrzydło domu – tam, gdzie kiedyś była serowarnia. Od pożaru minęło wiele lat. Dobrze, że się wreszcie do tego zabrali. Nie wiedziała, co było przyczyną zwłoki, chociaż słyszała niekończące się dyskusje na temat wykorzystania tej części domu. Kiedyś nawet padła propozycja, by ją po prostu wyburzyć.

Przeszła przez jadalnię, gdzie promienie sierpniowego słońca wpadające do środka przez szpary w żaluzjach malowały na ścianach złociste paski. Na dworze chór ptaków wyśpiewywał swoje trele. A biedny Hugh, już siedmioletni, siedział przy stole, głowiąc się nad zadaniem z matematyki. Gwen zależało, by jeszcze przed rozpoczęciem nauki podszkolić go z matematyki i angielskiego. Hugh miał chodzić do szkoły z internatem w Nuwara Eliya, a weekendy spędzać w domu.

Laurence otworzył drzwi.

– Jak sobie daje radę?

Gwen skrzywiła się.

– No cóż**...** Arytmetyki nie darzy zbyt wielką miłością.

– Ze mną było tak samo.

– Ale rysuje przepięknie! – dodała Gwen z promiennym uśmiechem. – Jak myślisz, może warto by było pomyśleć o prywatnych lekcjach?

– Lepiej wydać pieniądze na lekcje z matematyki.

Gwen westchnęła. Rysunki Hugh były bez porównania lepsze niż rysunki Liyoni, ale te nieporadne próby dziewczynki, by narysować ludzi czy zwierzęta, przechowywała jak największy skarb. Ludzie, których rysowała Liyoni, zawsze mieli ogromne głowy, a zwierząt nie można było porównać do żadnej żywej istoty. Wszystkie rysunki Gwen chowała skrzętnie i oglądała tylko w nocy, jeśli spędzała ją samotnie.

Niestety, ostatni rysunek przyszedł bardzo dawno. Zaniepokojona Gwen wysłała Naveenę do wioski, by sprawdziła, czy z Liyoni nie stało się nic złego. Nierzadko przecież dziecko z wioski ginęło, a potem znajdowało się jako tania siła robocza na polu ryżowym.

Spojrzała na Laurence'a, życząc sobie z całego serca, by wreszcie o tym

porozmawiali. Jednak od czterech lat, czyli od powrotu Laurence'a z podróży, tak naprawdę głównym tematem ich rozmów były pieniądze.

Laurence uśmiechnął się.

– Ten kryzys ma i dobre strony. Ludziom zależy na pracy, dlatego nie chcą podejmować radykalnych kroków. Związki zawodowe musiały zweryfikować swoje postulaty. Zdaję sobie sprawę, że wiele należy zmienić, trzeba to jednak robić z głową.

Gwen potarła czoło. Mimo że ponad trzystu robotników imigrantów wróciło do Indii, nadprodukcja herbaty i sam kryzys spowodowały, że jej ceny spadały i w konsekwencji ludzie tracili pracę. Gwen współczuła tym biedakom, bo utrata pracy skazywała ich na skrajne ubóstwo.

– Naszym największym problemem w chwili obecnej są Tamilowie zatrudnieni na plantacjach – mówił Laurence. – Wielkim błędem było, że nie otrzymali prawa wyborczego, i to jeszcze bardziej utwierdziło ich w przekonaniu, że nie są traktowani sprawiedliwie.

Gwen pokiwała głową. Atmosfera nadal była napięta, na całym Cejlonie dochodziło do zamieszek. I chociaż w 1931 roku zaczęły się rozmowy na ten temat, robotnicy tamilscy nie uzyskali prawa wyborczego.

– Nie rozumiem, dlaczego ciągle traktuje się ich jak robotników sezonowych.

– Ja też nie. To tylko pogarsza sytuację.

Mimo że Gwen dokładnie analizowała wszystkie rachunki związane z prowadzeniem domu i rygorystycznie ograniczała wydatki, w porównaniu z robotnikami nadal żyła w luksusie. Zawsze marzyła o tym, by być dobrą matką i żoną. Teraz też starała się wspierać męża. Było jej smutno, że nadzieje Laurence'a na ponowny wzrost gospodarczy okazują się płonne. Mimo to był bardzo niezadowolony, kiedy ojciec Gwen zaproponował, że dopóki sytuacja u nich się nie poprawi, będzie płacić za szkołę Hugh. Gwen naturalnie z ochotą by na to przystała. Ale Laurence zdecydowanie odmówił.

– Miałaś jakieś wiadomości od Fran?

– Tak. Przyjedzie tu za kilka miesięcy.

– Cieszę się. Zawdzięczamy jej bardzo wiele – powiedział. Podszedł do synka i żartobliwie rozwichrzył mu włosy. – Mam propozycję, Hugh. Ty przyłożysz się do matematyki, a ja za to jutro zabiorę cię do fabryki herbaty. Zgoda?

Oczy chłopca rozbłysły.

Widząc, że mąż ma dobry humor, Gwen zadała mu zasadnicze pytanie:

– Laurence, dlaczego Verity nadal jest z nami? Czy ona nigdy nie rozpocznie

samodzielnego życia?

Verity niestety wciąż pojawiała się w ich domu i zawsze nie w porę, tłumacząc to w przedziwny sposób. A to pękła rura, a ona koniecznie musi umyć głowę. A to w jej domu śmierdzi rybą i od tego rozbolała ją głowa**...** Mimo że miała męża, nadal wobec brata była zaborcza w jakiś szczególny, desperacki sposób. Gwen czuła, że jest ku temu istotna przyczyna.

Laurence spochmurniał.

– Prawdę mówiąc, nie wiem.

– Może się dowiesz, co się za tym kryje? Przecież jest mężatką od niedawna, może ma jakieś problemy z mężem. Jeśli tak, to powinna je rozwiązać, a nie uciekać do nas!

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć, ale później, bo teraz jadę do Hatton. Ciężarówką.

– Nie daimlerem?

Laurence spojrzał w bok.

– Nie. Nadal stoi w garażu i czeka, aż go zreperują.

Kiedy wyszedł, Gwen usiadła przy stole naprzeciwko synka i zaczęła rozmyślać o szwagierce. Verity pół roku temu w końcu wyszła za mąż. Alexander Franklin był bardzo przyzwoitym człowiekiem, tyle że nie było w nim absolutnie nic ekscytującego. Zamieszkali na wybrzeżu, gdzie on miał gospodarstwo rybackie. To małżeństwo zaskoczyło wszystkich, ale Gwen czuła wielką ulgę i miała nadzieję, że stan małżeński dobrze wpłynie na Verity. Niestety, wszystko wskazywało na to, że tak się nie stało.

Patrzyła, jak Hugh obgryza ołówek, a potem pisze powoli wynik ostatniego działania. Dla niego arytmetyka była jak walka i Gwen martwiła się, jak on poradzi sobie w szkole. Włosy Hugh ściemniały, stały się tak samo bujne i tak samo opadały na czoło jak włosy ojca. Oczy mieli też jednakowe, ciemnobrązowe. Pod jednym względem się różnili. Ojciec był śniady, a Hugh odziedziczył jasną karnację matki. Nadal prowadził rozmowy ze swoim wyimaginowanym przyjacielem, Wilfem, i to się ojcu nie podobało.

Kiedy Gwen miała właśnie pokazać synowi, że zrobił błąd w obliczeniach, w progu stanęła Naveena.

– Czy mogę z panią porozmawiać?

– Naturalnie. Proszę, wejdź.

Naveena wskazała drzwi, a Gwen dostrzegła w oczach starej *ayah* ogromne zmartwienie.

Gwen usiadła na ławce pod kopulastym zadaszeniem powoziku i zaczęła nerwowo obracać na palcu obrączkę. Od jej ostatniej wizyty w syngaleskiej wiosce minęło siedem lat, pamiętała jednak doskonale, co wtedy czuła. Jak będzie tym razem?

Powozik ruszył. Najpierw minęły miejsce, gdzie Gwen kiedyś zabłądziła podczas szalonej wyprawy w ulewnym deszczu, i wkrótce wjechały na wyboistą drogę wśród drzew smaganych wiatrem. Potem jechały przez mroczny las, w którym panowała idealna cisza, a w końcu znalazły się na otwartej przestrzeni. Zapachniało palonym węglem i przyprawami. Dojechały nad stromy brzeg rzeki, a następnie przez wioskę do miejsca, gdzie brzegi rzeki niemal zrównały się z taflą wody. Rzeka rozlewała się tam znacznie szerzej, a woda była mętna i brązowa. Żaden słoń nie zażywał dziś kąpieli, tylko gromadka dzieci bawiła się na brzegu. Dzieci nabierały wodę do glinianych garnków i wylewały sobie na głowy.

Gwen wysiadła i patrzyła na dzieci, które wołały coś, wskazując na powozik. Po chwili powróciły do swojej zabawy. Młodsze miały rozdęte brzuszki i widoczne żebra. Trudno było określić ich wiek, ale w przybliżeniu najmłodsze mogły mieć trzy lata, a najstarsze dwanaście. Gwen chciała wyłowić wzrokiem dziewczynkę w wieku siedmiu lat.

– Ależ dzisiaj wieje – powiedziała Naveena, wskazując drzewa na drugim brzegu rzeki, gdzie jakaś dziewczynka właśnie wychodziła z wody.

– Czy to**...** Liyoni?

Naveena pokiwała głową. Gwen wpatrywała się w dziewczynkę niemal zachłannie. Była bardzo chuda, nosiła tylko płócienny sarong ociekający teraz wodą. Długie czarne włosy miała związane z tyłu wstążką.

– Jest za szczupła – powiedziała Gwen, spoglądając na Naveenę. – Ale poza tym chyba wszystko w porządku.

Ayah powiedziała jej tylko, że jest pewien problem.

– O co chodzi, Naveeno?

Naveena zaczęła coś mówić, ale Gwen już po sekundzie przestała jej słuchać wpatrzona w Liyoni, która znów weszła do wody i zaczęła płynąć z powrotem. Głowa ukazywała się nad wodą i znikała.

– Pływa jak ryba – powiedziała Gwen bardziej do siebie niż do Naveeny.

– Tak. Jeszcze chwila i zobaczy pani**...**

Gwen, wpatrzona w srebrzysty ślad na wodzie, jaki zostawiała za sobą dziewczynka, nie mogła wyjść z podziwu. Liyoni płynęła wspaniale, pewnie, bez lęku, szybko dotarła do niskiego brzegu.

Naveena dotknęła ramienia Gwen.

– Teraz! Niech pani patrzy.

Kiedy dziewczynka wyszła z wody, Gwen wytężyła wzrok. Nie musiała tego robić, bo to, co zobaczyła, było oczywiste. Doskonale widoczne, kiedy tylko dziewczynka zaczęła iść brzegiem rzeki.

– O, Boże! Ona kuleje!

– Tak.

– Ale dlaczego?

Naveena wzruszyła ramionami.

– Nie wiadomo. Na tym nie koniec kłopotów, proszę pani. Jej przybrana matka już nie może się nią opiekować, bo jest ciężko chora. Nie ma jej tu, dwójka jej dzieci jest teraz u babci.

– A kto opiekuje się Liyoni?

– Od kilku dni nikt.

– Proszę, zawołaj ją. Niech tu przyjdzie.

Naveena pomachała ręką i krzyknęła coś do dziewczynki. Na początku mała nie zareagowała i szła dalej, po chwili jednak zatrzymała się. Spojrzała na Gwen i Naveenę. Zrobiła kilka niepewnych kroków w ich stronę i znów przystanęła.

Naveena znów powiedziała coś po syngalesku. Dziewczynka pokręciła głową.

– Co powiedziała? Co? – dopytywała się niecierpliwie Gwen. – Dlaczego nie chce tu podejść?

– Zastanawia się. Poczekajmy.

– Tak, tak. Poczekajmy.

Gwen zdawała sobie sprawę, że ostrożność Liyoni jest całkowicie uzasadniona. Wychowała się przecież wśród tubylców, którzy mają bardzo rozwinięty instynkt samozachowawczy, dlatego Liyoni doskonale wyczuwa, że zdarzy się coś niezwykłego.

– Powiedz jej, że nic złego jej się nie stanie. Nie zrobimy jej krzywdy.

Naveena ponownie powiedziała kilka słów. Liyoni spuściła głowę i podeszła bliżej. Gwen ze ściśniętym sercem patrzyła, jak kalectwo utrudnia dziecku wykonanie ruchu.

– Naveeno, czy to ją boli?

– Myślę, że tak.

Przez głowę Gwen przemknęło mnóstwo najróżniejszych myśli. Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, okazało się, że Liyoni stoi kilka kroków przed powozikiem. Słońce padało na jej twarz i Gwen zauważyła, że w brązowych oczach dziewczynki widać szafirowe refleksy, takie jak w oczach jej matki.

– Nikt nie chce się nią zaopiekować?

– Nie, proszę pani.

– Jesteś pewna?

– Tak. Pytałam tu i tam, nikt nie chce jej wziąć do siebie.

Zapadła cisza. Gwen, czując, że wpada w panikę, starała się znaleźć rozwiązanie. Niestety, przed oczami pojawiał się uparcie obraz tego, co po podjęciu decyzji może stracić. Plantacja, piękny dom, życie w tym domu. Wszystko, co budowała przez kilka lat. A najbardziej przerażająca była myśl, co będzie przeżywał Laurence. Ten ból, jaki zada mu żona**...**

Zrozpaczona ukryła twarz w dłoniach. Nie, nie może się spodziewać, że on jej wybaczy, bo czegoś takiego się nie wybacza. Ale co będzie, jeśli Naveena nie znajdzie nowego domu dla Liyoni?

Uniosła głowę; wyczuła zapach palonego drewna i jedzenia. Ktoś gotuje. Ale nie dla Liyoni.

– Nikt jej nie chce?

– Nie, proszę pani.

– Nawet jeśli dostanie więcej pieniędzy?

– Nie. Oni się boją tego dziecka, bo jest inne.

Gwen znów zamknęła oczy, wsłuchując się w dobiegające zewsząd odgłosy życia. W jej głowie dojrzewała jedna myśl.

– Nie możemy jej tak tu zostawić.

Kiedy ta naga prawda ostatecznie dotarła do niej, paniczny strach chwycił ją za gardło. Dłonie zwilgotniały tak, że musiała otrzeć je o spódnicę. Ale mimo najgorszych przeczuć podjęła decyzję. Nie zostawi tu swego dziecka bez opieki. To nie wchodzi w grę, absolutnie.

Jest tylko jedno rozwiązanie.

Nabrała głęboko powietrza i oznajmiła:

– W takim razie musimy ją zabrać ze sobą.

Naveena, wyraźnie zaniepokojona, zmarszczyła czoło.

– Czy jej włosy, kiedy są suche, wiją się tak samo jak moje?

Naveena pokiwała głową.

Gwen zagryzła policzek tak mocno, że poczuła smak krwi.

– I te oczy**...** ale więcej w nich brązu niż szafiru. A włosy? Zapleciemy warkocze, tak**...** Ubierzemy ją skromnie i nikomu do głowy nie przyjdzie doszukiwać się jakiegoś podobieństwa, nie sądzisz?

Naveena nadal nie sprawiała wrażenia osoby przekonanej do słuszności tej

decyzji. Gwen natomiast udało się wreszcie nabrać dystansu do swoich lęków i złych przeczuć. Teraz poddała się już całkowicie gorącemu, najbardziej naturalnemu pragnieniu bycia matką dla swojego dziecka.

– A więc postanowione. Powiemy, że Liyoni jest dzieckiem twojej krewnej i przysłano ją tu, by wyuczyła się obowiązków pokojówki i pomocnicy *ayah*. To właśnie jej teraz powiedz. Bardzo proszę, Naveeno.

Kiedy Naveena zaczęła przemawiać do dziecka cichym, łagodnym głosem, Gwen nie odrywała oczu od Liyoni. Była tak przejęta, jakby odpowiedź dziecka decydowała o jej życiu. Liyoni najpierw zaczęła kręcić głową, nawet cofnęła się o krok, ale Naveena wzięła ją za rękę i znów coś powiedziała, wskazując chorą nogę. Dziewczynka spojrzała na nogę, potem przeniosła wzrok na Gwen. Odpowiedziała coś po syngalesku.

– Co ona mówi, Naveeno?

– Pyta, czy kiedy będzie u nas, będzie mogła pływać.

– Ależ naturalnie! Może pływać w jeziorze codziennie!

Tym razem Liyoni uśmiechnęła się.

– Wytłumaczyłam jej wszystko, proszę pani. Ona doskonale wie, że jej przybrana matka jest bardzo chora, dlatego została sama. Przybraną matkę uważa za swoją matkę i bardzo za nią tęskni.

Gwen poczuła ukłucie w sercu. Jakie biedne jest to dziecko, jakie samotne**...** Naveena, widząc, jak bardzo Gwen jest poruszona, zaczęła coś mówić do Liyoni. Gwen czuła się okropnie, dręczona przez poczucie winy i wielki wstyd. Pocieszała się, że jak dotąd wszystko układało się pomyślnie. Ale ogarniał ją strach. Paniczny, mimo że tak gorąco pragnęła mieć wreszcie to dziecko pod swoimi skrzydłami.

– Zapytaj, czy chciałaby zabrać coś ze sobą?

– Pewnie jakieś drobiazgi. Pójdę z nią.

Naveena i Liyoni odeszły. Gwen została sama, rozejrzała się dookoła. Po obu stronach dróżki rosły wysokie drzewa, na gałęziach baraszkowała z piskiem wiewiórcza rodzina. Nieopodal przechodziło kilka kobiet ubranych w białe bluzki z krótkim rękawem i barwne sari. Każda niosła na głowie wielki kosz. Jedna przystanęła koło powozika. Miała grube wargi, ale nos ładny, a oczy po prostu piękne. Zaczęła się przyglądać Gwen, wręcz natarczywie, więc ta szybko zakryła twarz szalem.

Dla Gwen Cejlon był miejscem, gdzie spełniały się marzenia Anglików. Tu zbijali fortunę i żyli całymi rodzinami. Tu rodziły się ich dzieci. Było to miejsce, gdzie spełniły się również największe marzenia Gwen. Jednak to był całkiem inny świat

niż ten, w którym się wychowała. Tu dziewczynki biegały w bawełnianych bluzkach i wystrzępionych spódniczkach, a malutkie dzieci raczkowały na brudnej ziemi. Tu też ludzie mieli za mało jedzenia.

Liyoni, kiedy wróciła razem z Naveeną, ubrana była jak inne dziewczynki. Pod pachą niosła mały tłumoczek.

Gwen spojrzała w niebo. Ciężkie deszczowe chmury zbierały się na horyzoncie. Miała nadzieję, że zdążą wrócić do domu, zanim pogoda się zmieni.

W drodze powrotnej Gwen dwa razy zrobiło się niedobrze. Naveena musiała zatrzymać powozik i Gwen zwymiotowała w krzakach na poboczu. Między tymi dwoma niemiłymi przystankami udało jej się razem z *ayah* obmyślić pewien plan.

Zajechały przed dom, Gwen pomogła dziecku wysiąść i owinęła ją szalem, by osłonić przed deszczem. Potem, z duszą na ramieniu, spojrzała na drzwi frontowe i zdecydowała, że obejdą szybko dom od strony jeziora, a potem przemkną przez werandę, w której wysokie okna sięgały podłogi. Dzięki temu może nikt ich nie zauważy. Kiedy Naveena chwyciła woła za uprząż, by odprowadzić powozik, Liyoni chciała iść za nią, ale Gwen pokręciła przecząco głową. Wzięła dziecko za rękę. Na szczęście jej obawy okazały bezpodstawne, dziewczynka wcale się nie wyrywała. Spuściła głowę i grzecznie poszła.

W salonie zastały Verity w zwiewnej żółtej sukience. Stała przy oknie i patrzyła, jak ogrodnik kosi trawnik. Kiedy usłyszała kroki, odwróciła się i podniosła rękę, zamierzając pomachać na powitanie. Ręka jednak znieruchomiała, a na twarzy Verity odmalowało się bezbrzeżne zdumienie.

Gwen zesztywniała ze strachu, prawie szczękała zębami, ale udało jej się swobodnie skłonić głowę. Szybkim krokiem ruszyła do swojego pokoju, pragnąc jak najszybciej zaprowadzić Liyoni do pokoju dziecięcego. Była przestraszona, ale jednocześnie zła jak osa. Że też musiała od razu natknąć się właśnie na Verity!

Pragnęła też jak najszybciej zobaczyć się z synkiem, którego zostawiła na cały dzień pod opieką kamerdynera. Ku swej uldze miała już pewność, że wszystko z nim w porządku, poza tym nie ma go na szczęście tam, gdzie nie powinien teraz być, czyli w pokoju dziecięcym. Słyszała jego głos na piętrze, a także inne odgłosy świadczące, że bawi się kolejką. Jak on zareaguje, kiedy się dowie, że nie będzie już jedynym dzieckiem w domu? Nie wiadomo.

Skinęła na Liyoni i razem weszły do pokoju. Gwen zatrzymała się na chwilę, by zamknąć okna, zamknęła też drzwi na klucz. Zdjęła z ramion Liyoni mokry szal i zarzuciła suchy. Przeszły przez łazienkę, dalej korytarzykiem i po chwili znalazły

się w pokoju dziecięcym, ich tymczasowym schronieniu. Gwen zasunęła zasłony. Potem oparła się plecami o ścianę i spuściła głowę. Jak to dalej będzie? Verity jest taka wścibska! I lubi wszystko mieć pod kontrolą!

No cóż... Jakoś musi być...

Gwen zamknęła oczy, by powstrzymać łzy. Starała się równo oddychać. Naveeny nie było w pokoju, Gwen jednak wiedziała, że przygotuje wszystko, co potrzebne i przyniesie do pokoju dziecięcego.

Gestykulując, dała Liyoni do zrozumienia, że powinna zdjąć mokre ubranie, ale dziewczynka pokręciła przecząco głową.

– Ty jesteś Liyoni – powiedziała Gwen, wskazując na dziewczynkę palcem. Potem wskazała na siebie. – Ja jestem Gwen. Jestem tu panią.

Liyoni wpatrywała się w nią bez słowa. Gwen próbowała powiedzieć coś po syngalesku. Może i nie wyszło to najgorzej, ale dziewczynka i tak nie ruszyła się z miejsca.Wyglądała na smutną i zdezorientowaną. Gwen poczuła się nieswojo. Przecież ona o tym dziecku nic nie wie. Absolutnie nic. Ani o charakterze, ani o dotychczasowym życiu. Nie ma pojęcia, co jej się spodoba, a co nie.

Ale to jest jej córka! Wyciągnęła do niej rękę. Dziewczynka wpatrywała się w podłogę i nie odpowiadała. Gwen poczuła, że w gardle coś ją niebezpiecznie ściska, pod powiekami zapiekło. O, nie! Nie może dopuścić, by dziecko widziało jej łzy!

Ponownie próbowała zdjąć z Liyoni mokre ubranie, zastanawiając się, czy rzeczywiście postąpiła dobrze, zabierając dziecko ze sobą. A jeśli dziewczynka nie będzie potrafiła przystosować się do nowego życia? Nie wiadomo też, czy jej samej opieka nad tym dzieckiem w którymś momencie nie zacznie ciążyć. Gwen czuła się coraz bardziej niepewnie. Usłyszała Verity idącą korytarzem, szwagierka ją wołała. Zadrżała, uzmysławiając sobie, jak wielkie podjęła ryzyko.

28

Gwen, nadal w szlafroku, wyjmowała z szafy i komody całą swoją garderobę i rozkładała na łóżku. Wyjęła także zwój tkaniny na sari, tej, która szczególnie jej się podobała. Ponieważ coraz trudniej było znaleźć tanią krawcową, zamierzała poprosić Naveenę o zrobienie kilku przeróbek sukni. Czasy były ciężkie i to dla całego świata. Niektórych gatunków tkanin było mało, wzrosły też ich ceny. I dlatego zapewne w Londynie pojawiły się sklepy z konfekcją. Pisała o tym Fran w ostatnim liście. Gwen była bardzo zadowolona, że nadal utrzymują ze sobą kontakt. Wymieniały listy, ale żadna ani słowem nie wspominała o panu Ravasinghe.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Laurence znalazł sposób, jak obniżyć koszty produkcji herbaty, domy mody również szukały oszczędności, stawiając na nowe, znacznie tańsze materiały. Z tych nowości Fran szczególnie przypadły do gustu cienkie pończochy z Ameryki. Przysłała nawet swoje zdjęcie, w sukni ze sztucznego jedwabiu i takich właśnie pończochach. Bardzo śmiałe zdjęcie, bo pokazała na nim stanowczo za dużo.

Suknie Gwen z jedwabiu naturalnego od dawna były już niemodne. Zgodnie z tym, co pisała Fran, nikt w Londynie czy Nowym Jorku nie będzie się już ubierał na „chłopczycę”. A na poparcie swoich słów przysłała Gwen ostatni numer czasopisma „Good Housekeeping” z poradami, jak perfekcyjnie prowadzić dom. Niektóre panie na zdjęciach miały na sobie bardzo kobiece garsonki, do tego skromne bluzki, inne z kolei − długie kardigany i dłuższe spódnice. Gwen jakoś nie bardzo mogła sobie wyobrazić Fran w tych kreacjach. Ale tyczkowatą Verity na pewno. Gdyby jeszcze zakręciła włosy i pomalowała usta szminką, wyglądałaby na prawdę elegancko. Jeśli chodzi o samą Gwen, niedużą i drobną, świetnie czuła się w krótkich spódniczkach z lat dwudziestych.

Tego dnia jednak nie zamierzała się zastanawiać, jak nadążyć za modą, lecz zdecydować, z których sukni Naveena może uszyć coś dla Liyoni. Szybko wybrała kilka i prawie natychmiast je odrzuciła. Przecież dziewczynka ze służby paradująca w jedwabnej sukience od razu będzie się wydawać podejrzana.

Tak. Nie było łatwo. Bo co innego płacić na dziecko, które mieszka daleko, a co innego mieszkać z nim pod jednym dachem. Od chwili przybycia Liyoni Gwen nie zmrużyła oka, niczego nie przełknęła i podskakiwała nerwowo przy każdym dźwięku dobiegającym z korytarza. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że tak dalej

być nie może. Musi pokonać ten paniczny strach.

Zebrała wszystkie bawełniane sukienki, które nosiła na co dzień, uznając, że będą najlepsze. Tym bardziej, że miękka bawełna jest dobra dla dziecka. Poskładała je, ułożyła w stosik i dołożyła jeszcze kilka bawełnianych spódnic, a także ulubioną, i dlatego porządnie znoszoną, czerwoną suknię ozdobioną angielskim haftem. Rzadko kiedy ubierała się na czerwono, ale ta suknia była naprawdę bardzo ładna.

Przewiesiła sobie to wszystko przez ramię i poszła do pokoju dziecięcego. Naveena i Liyoni siedziały na podłodze. Między nimi leżały liczydła. Dziewczynka przesuwała koraliki i liczyła po syngalesku. Naveena każdą liczbę powtarzała po angielsku.

– Naveeno, może przedstawimy Liyoni reszcie personelu?

– Niech pani nie zaprząta sobie tym głowy. Ja się tym zajmę.

– Powiedziałam już mężowi, że przywiozłaś osieroconą dziewczynkę, córkę swojej krewnej.

Mówiąc mu o tym, czuła drżenie kolan, a kiedy Laurence podniósł głowę znad gazety i zmarszczył czoło, musiała uszczypnąć się z całej siły, żeby przywołać się do porządku i nie powiedzieć prawdy.

– Kochanie, przecież Naveena nie ma żadnych krewnych – zdziwił się. – My jesteśmy jej rodziną.

– Ale**...** okazuje się, że jednak nie. Miała daleką kuzynkę.

Na chwilę zapadła cisza. Gwen skwapliwie wygładzała spódnicę i poprawiała spinki we włosach.

– Nigdy o tym nie słyszałem – powiedział Laurence. – Naveena ma bardzo dobre serce, podejrzewam więc, że ktoś jej naopowiadał o rzekomej kuzynce, a ona uwierzyła. Muszę z nią porozmawiać.

– Nie, nie trzeba. Zajmę się tym. Zawsze powtarzasz, że to ja zawiaduję służbą.

– Dobrze. Porozmawiaj z nią. Ja jestem zdania, że powinniśmy dla tej dziewczynki znaleźć jakiś bardziej odpowiedni dom.

Tak wyglądała rozmowa z Laurence'em.

– Naveeno, Laurence nie jest zadowolony z obecności Liyoni w naszym domu. A Verity wprost umiera z ciekawości.

Ayah tylko potrząsnęła głową.

– Mojej szwagierce raczej nie powinnam ufać, prawda?

– Od śmierci pierwszej żony naszego pana pani Verity nie może dojść do siebie. Jest nieszczęśliwa. A człowiek nieszczęśliwy potrafi być zły. Tak samo ktoś, kto się boi.

– Myślisz, że Verity czegoś się boi?

Naveena wzruszyła ramionami.

– A więc tak? – dopytywała się Gwen. – Jeśli tak, to czego?

– Tego nie mogę pani powiedzieć.

Cisza. Wiadomo, że *ayah* na ten temat nie powie już ani słowa. Naveena bardzo rzadko wypowiadała się na temat rodziny Laurence'a, czego Gwen bardzo żałowała. Teraz pomyślała sobie, że być może Verity boi się, że może stracić brata. Boi się panicznie, dlatego tak lgnie i do niego, i do małego Hugh.

– Hugh jeszcze nie widział Liyoni, Naveeno. Nie powiedziałam mu o niej. Może kiedy będzie spał po obiedzie, zabierzesz Liyoni do ogrodu.

Podczas deseru Laurence otworzył pocztę. Dla Gwen tylko jeden list był interesujący. Krótki list od Fran, do którego dołączyła zdjęcia. Najmodniejsza bielizna dla pań. List był bardzo pogodny, dużo było w nim serdeczności, a więc relacje między kuzynkami wróciły do poprzedniego stanu.

Laurence ściągnął papier z czegoś, co było zwinięte w rulon. Pozbawione opakowania, rozwinęło się na białym obrusie.

– A to co takiego? – spytał. – Chyba jakieś amerykańskie czasopismo.

– Mamo, mamo! Czy mogę już wstać od stołu?

– Możesz, Hugh – powiedziała Gwen. – Ale pamiętaj, nie biegaj teraz, bo jedzenie musi się uleżeć w żołądku. Poza tym nie wolno ci samemu zbliżać się do jeziora.

– Dobrze, mamo. Wiem o tym.

Niestety, mimo że wiedział, Gwen niedawno przyłapała go, jak stał tuż nad wodą i próbował złowić rybę.

Hugh wyszedł. Laurence dziwnie sposępniał.

– Nie dołączono do tego żadnego listu? – spytała Gwen.

– Zaraz sprawdzimy.

Laurence potrząsnął czasopismem i spośród kartek wysunęła się koperta.

– O proszę. Od kogo to?

– Zaraz zobaczę.

Rozerwał kopertę, wyjął kartkę i zaczął czytać.

– Od kogo? – dopytywała się niecierpliwie Gwen.

– Od Christiny.

– Od niej? A cóż takiego pisze?

Gwen musiała się bardzo postarać, by zabrzmiało to obojętnie. Ale gdy usłyszała jej imię, jednak nią zatrzęsło. Po raz pierwszy od wielu lat.

Laurence skończył czytać.

– Pisze, że ma genialny pomysł, mam przejrzeć to czasopismo i zgadnąć, o co dokładnie chodzi.

Gwen otarła usta serwetką i odłożyła łyżeczkę. Straciła ochotę na budyń.

– A mnie się wydaje, że tych genialnych pomysłów Christiny stanowczo już wystarczy. Stanowczo!

Powiedziała to podniesionym głosem. Laurence podniósł głowę, a potem spokojnie zaczął przewracać kartki czasopisma, mamrocząc pod nosem:

– Przecież to nie jej wina, że się nie udało. Kryzysu na Wall Street nikt nie przewidział. Nikt**...**

Gwen zacisnęła usta, skutecznie powstrzymując dalsze ostre słowa. Po chwili zapytała:

– No i co tam znalazłeś?

– Przede wszystkim reklamy. Jedna za drugą. Pasty do butów, proszku do prania i tak dalej. Tylko od czasu do czasu krótki artykuł.

– Chwileczkę! A może ona jest właścicielką tego czasopisma?

– Niemożliwe. Napisała przecież, że chodzi o coś, co może odmienić nasze życie.

– Ale jaki może mieć z tym związek czasopismo?

– Nie mam pojęcia.

Laurence odłożył magazyn na bok i wstał od stołu. Wtedy Gwen spytała, czy może wziąć daimlera, żeby pojechać do Hatton. Tkaniny już wybrała, ale potrzebne były jeszcze guziki i nici.

Laurence zatrzymał się z ręką na klamce i milczał.

– A więc? Mogę wziąć daimlera?

Dalej się wahał. Dopiero po chwili usłyszała:

– Szczerze mówiąc, nie zapłaciłem jeszcze rachunku za naprawę. – Dlaczego?

Wyraźnie poczerwieniał i uciekł wzrokiem.

– Nie chciałem ci tego mówić**...** Zeszły miesiąc był dla nas bardzo niedobry. Wszystkie pieniądze poszły na płace dla robotników. Ale po następnej aukcji na pewno wyjdziemy na prostą.

– Och, nie wiedziałam**...**

Skinął głową i kiedy miał już wyjść, raptem zatrzymał się, odwrócił i dodał jeszcze:

– Aha, byłbym zapomniał**...** Christina napisała, że niebawem wybiera się na Cejlon, ponieważ chce z nami porozmawiać o tym pomyśle. Pyta, czy może zatrzymać się u nas przez kilka dni.

Wyszedł, a Gwen została sama, zmartwiona i przestraszona. Nie dość, że musi się nieźle nagłowić, by obecność Liyoni w domu nie wzbudzała żadnych podejrzeń, to jeszcze przez kilka dni będzie miała na karku Christinę! A jeśli jej mąż znowu ulegnie urokowi Amerykanki? To całkiem możliwe, bo niezależnie od deklaracji Laurence'a Gwen i tak nie ufała Christinie. Co więcej, podejrzewała, że ona nadal ma na niego ochotę, może nawet większą niż kiedyś. I ma do tego jakiś konkretny plan.

Gwen oparła się plecami o ścianę i zamknęła oczy.

Tego popołudnia okazało się, że Naveena ma gorączkę i Gwen musi sama zająć się Liyoni. Na początku szło opornie. Gwen, bardzo zdenerwowana, była po prostu szorstka, a Liyoni, trzymając się kurczowo słupka przy łóżku *ayah*, płakała. Naveena głaskała ją po ręce, przemawiała do niej, dodając odwagi, i w końcu Liyoni poszła za Gwen do jej sypialni.Tam Gwen obejrzała to, co dziewczynka miała na sobie. Ubranie było nadzwyczaj skromne. Biała bluzeczka i porządnie już wystrzępiony sarong. Na jednej z nóg bransoletka z koralików.

Zaprowadziła Liyoni do łazienki i pokazała jej wannę. Chciała ją jeszcze raz porządnie wyszorować, zanim zapozna dziewczynkę z Hugh. Zdenerwowana przygotowywała ręczniki, nie wiedziała przecież, czy mała znowu nie stawi oporu. A tymczasem Liyoni, gdy tylko wanna napełniła się do połowy, sama wskoczyła do niej w ubraniu. Materiał przykleił się do ciała i Gwen mogła zobaczyć dokładnie, jak przeraźliwie chuda jest jej córeczka. Jej szyja była taka cienka, a bujne, wijące się włosy, miejscami okropnie splątane.

Gwen zrobiła głęboki wdech. Nadal czuła się niepewnie. Kiedy polała włosy Liyoni szamponem i zaczęła masować jej głowę, poczuła, że jeszcze chwila i nie wytrzyma tego napięcia. Na szczęście dziewczynka zachichotała i Gwen się odprężyła.

Po kąpieli Liyoni ściągnęła mokre ubranie, a Gwen podała jej wielki biały ręcznik i poszła do pokoju, by poszukać jakiejś nienoszonej już koszulki Hugh.

Naveena zasnęła. Wyglądała bardzo mizernie. Nic dziwnego, stara kobieta obarczona była wieloma obowiązkami. Gwen, zerkając na nią, czuła wyrzuty sumienia.

Nagle usłyszała krzyk. Pobiegła więc z powrotem do swego pokoju i omal nie umarła, ponieważ zastała tam Verity. Szwagierka, grożąc palcem Liyoni, trzymała w ręku wielki biały ręcznik.

– Chciała go ukraść! – oznajmiła.

Gwen spojrzała na dziecko. Nagie, bezbronne i przerażone, stało koło łóżka, obejmując się chudymi rękoma. Krople wody spływały z mokrych włosów i skapywały na podłogę.

Poczuła gniew. Tak wielki, że z trudem się powstrzymała, by nie uderzyć szwagierki.

– Co ty wygadujesz?! Dziecko niczego nie zamierzało ukraść. Pozwoliłam jej się tu wykąpać. Oddaj mi ten ręcznik!

– No proszę! Ty kąpiesz obce dziecko, a Hugh gdzieś tam biega po dworze sam!

– Nie musisz się martwić. Hugh jest całkowicie bezpieczny!

Gwen wyszarpnęła ręcznik i szybko owinęła nim Liyoni.

– Czyś ty już całkiem straciła rozum?! – wykrzyknęła Verity. – Przecież ona w ogóle nie powinna przebywać w twoim pokoju, a co dopiero w łazience.

– O co ci chodzi?

– O robactwo. Na przykład wszy.

– Przecież właśnie została wykąpana.

– A poza tym mówiłaś, że jest tu po to, by pomagać Naveenie. To tylko służąca, nie możesz więc jej traktować jak równą sobie.

– Przecież tak nie jest! – rzuciła ostro Gwen. – A poza tym nie zapominaj, że to jest mój dom, i nie będziesz mi dyktować, co mam robić. Sama to dobrze wiem. Naveena jest stara i chora, a dziecko nie ma nikogo bliskiego. Byłoby najlepiej, żebyś jak najszybciej wróciła do swego męża.

Verity zaczerwieniła się jak burak, coś mruknęła, ale potem zamilkła. Gwen przykucnęła i zaczęła wycierać Liyoni.

– Dlaczego wciąż tu jesteś? – spytała po chwili, spoglądając na szwagierkę przez ramię.

Verity odpowiedziała, ale tak cicho, że Gwen ledwo ją słyszała.

– Nie mogę tam wrócić.

– Co?!

Verity poczerwieniała jeszcze bardziej, potrząsnęła głową i wyszła z pokoju, a roztrzęsiona Gwen pomyślała, że to chyba najgorszy czas na pobyt Liyoni w tym domu. Bo właśnie teraz, kiedy powinna panować cisza i spokój, by córeczka nie budziła sensacji, w domu raptem robi się zamieszanie. Najpierw Verity, a niebawem Christina. Verity czepia się Liyoni, Christina czepia się Laurence'a, każda na swój sposób.

Kiedy Gwen brała Liyoni za rękę, starała się sprawiać wrażenie osoby spokojnej, choć w środku drżała. Choćby dlatego, że kolor skóry dziewczynki stanowił

problem. Jednak skoro podjęła decyzję, była zdeterminowana. Jej lęki i wątpliwości nie powinny w ogóle dochodzić do głosu. Najważniejsze, by dziewczynka dobrze poczuła się w tym domu, a to z kolei wymaga od Gwen jak największej czujności.

Hugh na tarasie rzucał piłką o ścianę. Musiał usłyszeć, że ktoś nadchodzi, bo nagle przestał i czekał z ręką opartą na biodrze. W takiej pozie ujrzała go Gwen i wzruszyła się. To jeszcze jeden gest, jaki przejął od ojca.

– To jest Liyoni – powiedziała, starając się mówić obojętnym tonem. – Jest krewną Naveeny i będzie jej pomagać.

– Ale dlaczego ona tak śmiesznie chodzi?

– Bo kuleje. Myślę, że z jej stopą jest coś nie w porządku.

Patrzyła na synka z przyjemnością. Mały mężczyzna. Był mocno zbudowany. Miał szorty poplamione trawą, bo uwielbiał staczać się po tarasach. Turlał się i potrafił błyskawicznie stanąć, kiedy trawa raptem się kończyła. Teraz uśmiechnął się do matki, szeroko, pokazując prawie wszystkie zęby. Ona też się uśmiechnęła. Do tych jego różowych policzków i wydatnego nosa pobrudzonego ziemią. Liyoni, stojąca kawałek dalej, w porównaniu z Hugh wyglądała na istotę niezwykle kruchą.

– Czy ona umie grać w piłkę? – spytał Hugh.

Gwen znów się uśmiechnęła, przygarnęła do siebie synka i objęła go.

– Ona nie jest tu po to, by grać z tobą w piłkę.

Hugh skrzywił się.

– A dlaczego nie? Jeśli nie umie, to ją nauczę.

– Może później. A jutro możecie razem popływać. Liyoni pływa jak ryba.

– A skąd o tym wiesz?

Gwen żartobliwie trąciła palcem wydatny nos synka.

– Ponieważ jestem istotą wyjątkową, która wie wszystko i widzi wszystko.

Hugh zaśmiał się.

– Nie żartuj, mamo, to potrafi tylko Jezus.

– Masz rację. Wpadłam na pewien pomysł. Może pouczysz trochę Liyoni angielskiego? Znajdziesz na to jeszcze trochę siły?

– Znajdę.

Roześmiali się oboje i uściskali. Liyoni patrzyła na nich ze złością. Gwen to zauważyła i westchnęła w duchu. Tak, nie będzie łatwo. Musi się pilnować na każdym kroku, przecież ten ich śmiech Liyoni mogła zrozumieć opacznie. Może pomyślała, że śmieją się z niej.

Wbrew obawom Gwen musiała przyznać, że opieka nad Liyoni wcale jej nie ciąży.

Przeciwnie, wciąż czuła niedosyt. Przyglądała jej się wręcz zachłannie, zdając sobie jednocześnie sprawę z ogromnej różnicy między tym, jakie to dziecko jest, a jakie być powinno. Bolało też bardzo, że w tym, co czuła do Liyoni, nie było tej wielkiej, macierzyńskiej miłości, jaką darzyła synka, choć jednocześnie pragnęła z całego serca, by dziewczynce wiodło się dobrze. Bardzo chciała wiedzieć, jak Liyoni czuje się w ich domu, co myśli, a przede wszystkim, czy czuje się bezpieczna. I nieraz popłakiwała udręczona myślą, że przecież to ona porzuciła dziecko, kiedy było malutką, bezbronną istotką. Oddała je obcym ludziom. I to dziecko potrzebuje przede wszystkim jej miłości**...**

Naveena szybko wyzdrowiała. Gwen, której teraz ubyło obowiązków, pewnego dnia zamknęła się w swoim pokoju miotana sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony chciała być przy dzieciach, z drugiej bała się, że jeśli będzie za często przebywać z Liyoni, może czymś się zdradzić i prawda wyjdzie na jaw. Siedziała więc w pokoju, co jakiś czas spoglądając na zegar zdziwiona, że mimo późnej pory ptaki nadal śpiewają. Zastanawiała się, czy tak już będzie zawsze: życie w strachu, z przyspieszonym oddechem i ciągłym spoglądaniem przez ramię. I im dłużej siedziała w pokoju, tym bardziej nie mogła oprzeć się przeczuciu, że wkrótce zdarzy się coś, co będzie zapowiedzią końca wszystkiego.

Usłyszała synka i podeszła do okna. Okazało się, że Hugh znalazł gdzieś starą skakankę i teraz uczy Liyoni skakać. Dziewczynka bardzo się starała, niestety za każdym razem zaplątywała się, ale wcale jej to nie zniechęcało. Przeciwnie. Kiedy Hugh wyplątywał ją, śmiała się i próbowała znowu. Dla Gwen był to widok rozdzierający serce. Hugh, całkowicie nieświadomy, bawił się ze swoją siostrą bliźniaczką i widać było, że sprawia mu to wielką radość.

Koło dzieci pojawiła się Naveena. Wtedy Gwen odsunęła się trochę od okna, żeby być niewidoczna. Naveena, mimo protestów Hugh, wzięła Liyoni za rękę. Razem weszły do domu i po chwili Gen usłyszała ich głosy dobiegające z pokoju dziecięcego. Odczekała chwilę i poszła tam, by popatrzeć, jak Naveena uczy dziewczynkę składać obrusy. Stanęła z boku, patrzyła i słuchała, jak śpiewają po syngalesku – Liyoni głośno, a Naveena cicho nucąc.

– Naveeno, co to za piosenka? – spytała zaintrygowana, kiedy skończyły.

– Piosenka dla dzieci. Proszę pani, chciałam powiedzieć, że z Liyoni nie jest dobrze. Szybko się męczy. I kaszle.

– Daj jej syropu. Prawdopodobnie to chwilowe osłabienie spowodowane nagłą zmianą w życiu – powiedziała Gwen i wyszła z pokoju zdenerwowana, bo usłyszała szybkie kroki w korytarzu biegnącym przez główną część domu.

Następnego ranka pogoda była piękna. Gwen stała na dolnym tarasie i miała wrażenie, jakby już samo powietrze śpiewało. Po chwili jednak, kiedy przypatrywała się pikującym ptakom, zorientowała się, że istotnie ktoś śpiewa. Cichutko, dźwięcznie, delikatnie. Było to coś w rodzaju cichego pogwizdywania dobiegającego znad jeziora. Gwen wytężyła wzrok, ale nic nie mogła dostrzec.

Na taras wybiegł Hugh i nie zatrzymując się, zawołał:

– Mamo! Mamo! Włożyłem już kąpielówki!

Odwróciła się szybko, ale zdążyła złapać go za rękę, kiedy dobiegał do schodków.

– Spotkałem ją, jak szła nad jezioro. Chciałem iść razem z nią, ale nie poczekała na mnie.

– Ale kto, kochanie?

– Ta dziewczynka, co teraz przyjechała.

– Ta dziewczynka ma na imię Liyoni.

– Tak, tak!

– I mówisz, że ona pływa w jeziorze?

– Tak!

Gwen, bardzo zaniepokojona, wytężyła wzrok. Co będzie, jeśli Liyoni przepłynie całe jezioro? Tam dalej przecież jest rzeka, która przepływa przez wioskę, gdzie mieszkała. Wszystko może się zdarzyć**...** Ta niepokojąca myśl nie opuszczała jej ani na chwilę, kiedy wpatrywała się w taflę jeziora. W głowie jej szumiało ze zdenerwowania. Przez chwilę nawet pomyślała, czy nie byłoby lepiej, gdyby rzeka zabrała Liyoni na zawsze. Przeraziła się samej siebie.

Hugh pociągnął matkę za rękaw.

– Mamo! Mamo! Popatrz! Jest tam, na wyspie! Właśnie wychodzi z wody. Ona bardzo dobrze pływa, prawda? Ja bym tak daleko nie popłynął!

Gwen westchnęła z ulgą. Wielką ulgą.

– Mamo, mogę wejść do wody?

Gwen uświadomiła sobie, że Hugh ma przykazane, że nie wolno mu wchodzić do wody bez pozwolenia. A Liyoni przecież pozwoliła na to bez żadnych oporów. Jak to się mogło stać? A woda przyciąga dziewczynkę jak magnes. Mała uwielbia pływać. Oby tylko nie przeliczyła się z siłami.

Patrzyła, jak jej synek skacze do wody. Plusnęło i Hugh popłynął. Nie robił tego idealnie, za to bardzo głośno. Wołał, dopóki Liyoni go nie usłyszała i nie zaczęła płynąć z powrotem. Tuż przed wyjściem na brzeg, stojąc jeszcze w wodzie, zakręciła się w kółko jak derwisz. Mokre włosy podczas obrotu zawirowały. Oboje wyszli na brzeg, otrząsnęli się z wody i wtedy Liyoni zaczęła kasłać. Hugh patrzył

na nią zdezorientowany, jednocześnie jednak pełen podziwu. Rozpromienił się, kiedy Liyoni po ataku kaszlu uśmiechnęła się do niego.

– Hugh, a gdzie jest Wilf? – zapytała Gwen.

– A tam. Wilf zrobił się już nudny. I nie lubi pływać.

– Trudno. A teraz namówimy *appu*, by zrobił nam naleśniki.

– O, tak! A czy ta dziewczynka**...**

– To Liyoni, Hugh!

– Tak, tak!

– Czy Liyoni może iść z nami?

– Tak. Dziś tak.

Hugh wziął Liyoni za rękę. Dziewczynka nie miała nic przeciwko temu. Gwen z bijącym sercem patrzyła, jak oboje, trzymając się za ręce, wbiegają po schodach. W tym momencie jej uczucie do Liyoni było tak głębokie jak nigdy wcześniej. Ze wzruszenia w jej oczach zakręciły się łzy. Opanowała się, bo na schodach stanęła Verity.

– Laurence prosił, by ci przekazać, że czeka na ciebie w salonie. Chce z tobą porozmawiać.

– O czym?

Verity uśmiechnęła się.

– Nie mam pojęcia.

Gwen pospieszyła do salonu. Laurence stał na środku ze zwiniętą gazetą pod pachą. Kiedy usłyszał jej kroki, odwrócił się. Jego twarz była poważna. Nie odezwał się i Gwen od razu pomyślała, że on już wie i zaraz wyrzuci ją z domu.

– Ja**...** – zaczęła, gorączkowo zastanawiając się, co powiedzieć.

– Widziałem Hugh razem z tą dziewczynką – przerwał jej. – Byłem pewien, że już to omówiliśmy.

Gwen zdołała tylko wykrztusić:

– Przepraszam**...** ale o co chodzi?

Laurence rozsiadł się na kanapie.

– Zdecydowaliśmy, że to dziecko tu nie zostanie.

Gwen starała się za wszelką cenę ukryć, jak wielką poczuła ulgę. Laurence nie zna prawdy.

Stanęła za kanapą tak, żeby Laurence nie widział jej twarzy, i zaczęła delikatnie masować mu ramiona.

– Nie, nie – powiedziała po chwili. – Uzgodniliśmy, że ja się tym dzieckiem zajmę. I zajmuję się. A z dziewczynką nie jest dobrze. Okropnie kaszle.

– Czy to zaraźliwe?

– Nie sądzę. I chciałabym, żeby Hugh miał jakieś towarzystwo. Przecież oprócz niego nie ma tu żadnego dziecka.

Przestała masować jego ramiona i cofnęła się o krok, a Laurence odwrócił głowę, by spojrzeć na nią.

– Kochanie, wiesz, że z chęcią pomógłbym temu dziecku, gdybym wiedział, że istotnie jest spokrewnione z Naveeną.

– Przecież jest. Dlaczego nie chcesz w to uwierzyć?

– Bo wiem na pewno, że Naveena nie ma żadnych krewnych. A jeśli chodzi o Hugh, to wcale nie chcę, żeby zżył się z tą dziewczynką.

– Nie rozumiem.

– Przecież to oczywiste. Kiedy ona stąd odejdzie, będzie za nią tęsknił. A tego wolelibyśmy uniknąć, prawda? Czyli im prędzej się jej pozbędziemy, tym lepiej.

Gwen czuła, jak paniczny strach łapie ją za gardło. Jakże ona może się na to zgodzić, jak?!

Laurence wyciągnął do niej rękę

– Kochanie, źle się czujesz?

Pokręciła tylko głową.

– Kochanie, ja wiem, że ty zawsze robisz wszystko, co w twojej mocy, ale**...**

I wtedy Gwen przemówiła:

– Ale to, co ty chcesz zrobić, to nie fair! Absolutnie! Gdzie, do diabła, chcesz ją stąd wypędzić?!

Nie była już w stanie myśleć o sobie, o niewygodnej prawdzie, o tym, by nie zranić Laurence'a i chronić ich małżeństwo. Nie chciała, by Liyoni stąd odeszła. Ale Laurence nie miał pojęcia, przez co przeszła Gwen w ciągu tych wszystkich lat. Miał rację, mówiąc, że ona zawsze robi wszystko, co w jej mocy. Bo tak jest. Ale on nie wie, ile ją kosztuje ciągłe lawirowanie między potrzebami męża, synka i tej dziewczynki. To ponad jej siły. I dlatego, nie odzywając się już ani słowem, po prostu wyszła szybkim, gniewnym krokiem, trzaskając drzwiami.

29

Po tej burzliwej wymianie zdań Laurence na jakiś czas nabrał wody w usta, ale za każdym razem, kiedy Gwen wchodziła do pokoju, patrzył tak, jakby czekał na wyjaśnienia. A ona nie miała najmniejszego zamiaru przepraszać za ten wybuch gniewu. Świadoma jednak, że przywiezienie Liyoni do tego domu było błędem, gorączkowo starała się znaleźć jakieś rozwiązanie. Pod pretekstem uczestniczenia w spotkaniu pań z Towarzystwa Dobroczynnego pojechała do sierocińca w Kolombo, okropnego, zatłoczonego miejsca, gdzie cuchnęło moczem. Ten sierociniec długo spędzał jej sen z powiek. Pojechała tam, bo chciała ratować swoje małżeństwo. Ale w takim miejscu nie mogła przecież zostawić dziecka. Nigdy!

W ciągu następnych tygodni Verity co jakiś czas pytała ją, czy znalazła już dla dziewczynki nowy dom. Gwen jak dotąd udawało się zmieniać temat, ale już samo to podpytywanie wystarczało, by stała się kłębkiem nerwów. Natomiast Hugh, który z początkiem jesieni rozpoczynał naukę w szkole, bawił się w nauczyciela i z powodzeniem uczył Liyoni angielskiego. Rozumiała już proste polecenia, potrafiła też poprosić o coś, czego potrzebowała. Niestety, jej stan zdrowia pozostawiał wiele do życzenia, dlatego Gwen starała się, by dzieci spędzały ze sobą jak najmniej czasu, co nie było łatwe, bo Hugh bardzo polubił Liyoni. Kiedy kaszel się nasilał i dziewczynka musiała leżeć w łóżku, trudno było dopilnować, by Hugh się do niej nie zbliżał.

Verity natomiast stanowczo nie chciała wracać do męża i nadal przebywała w ich domu. Była więc tu również wtedy, kiedy Laurence obchodził urodziny i kiedy na urodzinową herbatę Hugh przyszedł razem z Liyoni. Verity od razu spiorunowała brata wzrokiem. Tego dnia, w długiej, obcisłej sukni, wyglądała bardzo szykownie. Suknia na pewno nie była tania i Gwen zaczęła się zastanawiać, skąd Verity bierze pieniądze na drogie ubrania, skoro jej mąż wcale nie jest bogaty.

– To dziecko nie jest członkiem naszej rodziny i nie powinno być tu razem z nami – oświadczyła szwagierka. – Laurensie, dlaczego ona nadal mieszka w tym domu? Przecież powiedziałeś, że porozmawiasz z Gwen.

– Verity, proszę, nie rób scen.

– Ale mówiłeś, że**...**

Wtedy głos zabrała Gwen, zaciskając pięść, by poskromić gniew.

– Hugh, przepraszam cię, ale ciocia Verity ma rację. Powiedz Liyoni, żeby poszła

do Naveeny. Niania się nią zajmie.

Hugh skrzywił się, ale wykonał polecenie. Verity nadal skarżyła się na obecność Liyoni w domu. Gwen, którą nieustanne wtrącanie się Verity doprowadzało do szału, odczekała, kiedy dzieci znikną za progiem, i ponownie zabrała głos:

– Laurence i ja rozmawialiśmy o tym i ustaliliśmy, że tą sprawą zajmę się ja. Po raz kolejny muszę ci przypomnieć, że to ja jestem panią tego domu. Ty masz już własny i jesteś tu wyłącznie gościem!

– Gwen, poczekaj**...** – zaczął Laurence, ale nie dała mu dokończyć.

– Nie, nie mam zamiaru na nic czekać. Albo jestem tu panią domu, albo nie. Mam już powyżej uszu tego jej ciągłego wtrącania się w nasze sprawy. Najwyższy czas, żeby wróciła do swojego męża.

Laurence próbował ją objąć, ale wyrwała się.

– Gwen, kochanie, uspokój się, proszę. Przecież to moje urodziny**...**

– Mamo, ja nie chcę, żeby ciocia Verity wyjechała! – zaprotestował Hugh, który wrócił już do pokoju.

Gwen spojrzała na stół nakryty dla czterech osób. Na najlepszą chińską porcelanę, srebrne sztućce, pięknie poustawiane i poukładane na białym wykrochmalonym obrusie z adamaszku. To pomogło jej zapanować nad sobą.

– Dobrze, skarbie. Mamusia i tatuś później o tym porozmawiają. A teraz, proszę, napijmy się herbaty.

Dni, kiedy szampan lał się strumieniami, należały do przeszłości. Na stole, oprócz tortu, wniesionego na srebrnej tacy przez *appu*, pojawiła się tylko herbata. Kiedyś stos prezentów sięgał prawie sufitu. Teraz był to niewielki stosik.

– Może darujemy sobie to szukanie – zaproponował Laurence.

– O nie! Nie darujemy! – zawołała Verity.

Gwen westchnęła. Podeszła do kredensu, chwilę pogrzebała w pozostałościach po poprzednich przyjęciach i wyciągnęła wąski pasek czarnego materiału. Zasłoniła nim Laurence'owi oczy i zawiązała z tyłu głowy.

– Teraz trzeba tatę obrócić trzy razy – zarządził Hugh.

Cała zabawa polegała na tym, że stosik prezentów znikał w magiczny sposób i Laurence miał je wszystkie znaleźć po omacku; dopiero wtedy mógł je rozpakować.

Laurence więc szukał, znakomicie udając fajtłapę, a Hugh co chwila wybuchał głośnym śmiechem. W chwili gdy na czworakach opukiwał podłogę wokół otwartych drzwi, raptem usłyszeli jeszcze inne stukanie. Stukanie obcasów o podłogę.

Wszyscy zamarli.

– Miałam nadzieję, że będziesz zachwycony moim widokiem. Ale tak głębokim ukłonem i drapaniem w podłogę jestem jednak zaskoczona! Nie spodziewałam się, że coś takiego zobaczę!

Laurence szybko zdjął opaskę z oczu i przygładził włosy.

– Christina!

– We własnej osobie.

– Miałaś przyjechać w przyszłym tygodniu – powiedziała Gwen, może niezbyt uprzejmie, ale to i tak było nic w porównaniu z tym, co zrobił Hugh. Poczerwieniał i tupnął nogą.

– Wszystko pani zepsuła! Tata jeszcze nie znalazł ani jednego prezentu.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Christina. – Może uda mi się to jakoś naprawić. Bo ja przywiozłam mnóstwo prezentów.

Gwen i Laurence wymienili spojrzenia.

– Wiedziałaś, że Laurence ma dzisiaj urodziny? – spytała Verity.

– A jak myślisz? Oczywiście. Ale prezenty przywiozłam dla wszystkich.

Pstryknęła palcami i do pokoju wszedł Syngalez w długim białym płóciennym płaszczu, obładowany torbami.

– Przepraszam, ale nie miałam czasu ich zapakować.

Christina sięgnęła do jednej z toreb, wyjęła coś, co jeszcze wisiało na wieszaku, i podała Gwen. Gwen wygładziła ubranie i podniosła wysoko, demonstrując wszystkim kostium – dokładnie taki, jaki można było obejrzeć w „Good Housekeeping".

– Wybrałam liliowy, bo moim zdaniem podkreśli kolor twoich oczu – powiedziała Christina. – A dla ciebie, Hugh, kolejka.

Położyła pudełko na stole. Oczy chłopczyka rozbłysły, kiedy wodził palcem po narysowanej na pudełku lokomotywie.

– No i co teraz powiesz, synu? – spytał Laurence.

Hugh na sekundę oderwał oczy od kolejki i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Dziękuję, pani Amerykanko!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Verity – kontynuowała Christina. – Dla ciebie torebka z krokodylej skóry. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

– Naturalnie! Bardzo dziękuję. Naprawdę, nie musiałaś tego robić**...**

– Nigdy nie robię tego, co muszę, tylko to, co sprawia mi przyjemność – odparła z uśmiechem Christina i spojrzała na Laurence'a. Mrugnęła do niego i posłała mu ręką pocałunek. – A teraz prezent dla naszego jubilata. Dla ciebie coś specjalnego,

mój drogi, choć obawiam się, że nie dasz rady utrzymać tego w rękach.

– Samochód! – zawołał Hugh. – Na pewno, przecież tata nie utrzyma go w rękach.

– Nie, skarbie, to nie samochód. Ale ty na pewno musisz już iść spać, poczekamy z tym do jutra. Jeśli nie macie państwo nic przeciwko temu, chciałabym trochę odpocząć po podróży.

Hugh, bardzo rozczarowany, zaczął marudzić, ale Gwen uciszyła go spojrzeniem.

– Hugh, pora spać. Christino, przepraszam, ale muszę zająć się synem. Verity zaprowadzi cię do pokoju gościnnego. Spotkamy się na kolacji. Strój wieczorowy dziś nie jest wymagany.

– Nie, bardzo proszę, spotkajmy się w strojach wieczorowych. Jest ku temu powód.

– Skoro tego sobie życzysz – odparła uprzejmie Gwen, trochę zaniepokojona. – Hugh, idziemy. Dziś możesz się wykąpać w mojej łazience.

– Hurrra!

Hugh zaklaskał w ręce, przez całą drogę do pokoju mamy usta mu się nie zamykały. Gwen, szykując kąpiel, myślała o Liyoni, która mimo że z każdym dniem wyglądała lepiej, kulała coraz bardziej. Jeśli tak dalej pójdzie, nie będzie mogła wykonywać nawet lekkich prac domowych, jakie wyznaczyła jej Gwen.

Na chorej stopie dziewczynki jakiś czas temu pojawiła się otwarta, zaropiała rana. Naveena polewała chore miejsce naparem z ziół i bandażowała. Miały nadzieję, że jak rana się zagoi, Liyoni będzie mniej utykać. Niestety, tak się nie stało. Gwen postanowiła, że kiedy doktor Partridge pojawi się tu za kilka dni, by zbadać Hugh, obejrzy też nogę Liyoni.

Po kolacji, gdy wszyscy przeszli do salonu na kawę, Christina podzieliła się swoim genialnym pomysłem. Verity siedziała na kanapie przykrytej skórą lamparta. Laurence stał przy kominku, Gwen natomiast usiadła na krześle koło drugiej kanapy, skąd miała dobry widok na Verity i stolik z brandy.

– Marka – powiedziała Christina, uśmiechając się szeroko. Siedziała w fotelu, a na podłodze obok fotela położyła coś, co wyglądało na obraz zawinięty w brązowy papier.

– Przepraszam, co? – spytał Laurence.

– Marka – powtórzyła Christina, wstając z fotela. Podeszła do Laurence'a, położyła rękę na jego ramieniu i zaglądając mu w oczy, spytała: – Przejrzałeś, mój drogi, to czasopismo, które ci wysłałam?

– Owszem, przejrzał – powiedziała Gwen. – Niestety, nie udało nam się odgadnąć, o co konkretnie ci chodziło.

Christina, uśmiechając się promiennie do Laurence'a, spojrzała na Gwen.

– Co takiego zauważyliście w tym czasopiśmie?

Spojrzenie Gwen przemknęło po salonie. Christina przyjechała nie tylko z prezentami. Przywiozła także kwiaty, które stały teraz w kwadratowym wazonie ze szlifowanego szkła i roztaczały upojny zapach.

– Było tam mnóstwo reklam – powiedziała.

– Brawo! – zawołała Christina i zaklaskała.

– Chodzi ci właśnie o te reklamy? – spytał Laurence, odsuwając się od niej. – Wybacz, ale wcale nie wydaje mi się to genialnym pomysłem.

Christina odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła głośnym śmiechem.

– A co ja mam ci wybaczyć?! Przecież jestem Amerykanką, a my mówimy sobie wszystko wprost! Ach, ci Anglicy! A ten wasz angielski jest bardzo zabawny.

Laurence uniósł wyżej głowę, wysuwając brodę do przodu. Gwen najchętniej pogłaskałaby go pieszczotliwie po tej brodzie, ale naturalnie nie zrobiła tego.

– A dlaczego nasz angielski jest taki zabawny? – zapytała.

– Och, moja droga, nie obrażaj się. Przecież to tylko głupie żarty. Uważam was za uroczych ludzi, was wszystkich**...** Ale przejdźmy do interesów.

– Może chodzi ci o to mydło i proszek do prania, które widzieliśmy w czasopiśmie? – spytał Laurence.

– Między innymi. A teraz zastanówcie się nad herbatą. Herbatą Liptona.

– Nie! – Gwen energicznie pokręciła głową. – Reklamy herbaty na pewno tam nie było.

– Masz rację, *chérie*. O to właśnie chodzi. Nie było, a ja wpadłam na pomyśl, że mogłaby tam być. Reklama herbaty Hoopera. Co wy na to? Laurence przestaje być anonimowym producentem herbaty, tylko właścicielem marki.

Laurence pokiwał głową.

– Ludzie cierpią z powodu kryzysu, ale i tak muszą zrobić pranie i wyczyścić buty. Stąd wziął się twój pomysł.

– Tak. Bo niezależnie od wszystkiego muszą kupić herbatę – powiedziała Christina. – Ale to zadziała tylko wtedy, kiedy człowiek idzie na całość.

– Oczywiście. Ale my nigdy nie będziemy w stanie wyprodukować aż takiej ilości herbaty, nawet z wszystkich trzech plantacji.

– Laurence, mój drogi i, przepraszam, jednak zabawny Angliku, którego szanuję, podziwiam i kocham! Posłuchaj, ku czemu zmierzam!

Gwen z trudem hamowała irytację.

– Nie chodzi o jakieś monstrualne ilości – kontynuowała Christina. – Chodzi o to,

żebyś sprzedawał to, co ludzie kupują często i bez czego nie potrafią się obejść. – Przerwała na chwilę. – Laurence, jak sobie radzisz w tych czasach kryzysu?

Zakasłał i umknął wzrokiem.

– Jakoś dajemy radę. Powinniśmy jednak wprowadzić coś nowego. W każdym domu są torebki z herbatą i bardzo chciałbym, żeby na tych opakowaniach widniał napis „Herbata Hoopera". Chciałbym, żebyśmy się rozwinęli i stali drugim Liptonem.

Gwen czuła, że zaraz wybuchnie. Czego ta Christina oczekuje? Bawi się nimi i tak się mądrzy! A może wróciła tu, bo zachciało jej się znowu Laurence'a? Gwen marzyła o tym, by na zawsze usunąć ją z ich życia, nie zamierzała jednak robić scen zazdrości. Laurence byłby zażenowany. Instynkt jej podpowiadał, że przede wszystkim należy zachować kamienną twarz i mówić bardzo stanowczo.

– Nie. Absolutnie. Proponuję zapomnieć o tym szalonym pomyśle. Laurence powiedział przecież, że nie jesteśmy w stanie produkować takich ilości.

– I nie musi! – odparła Christina. – Będziecie skupywać herbatę z całego Cejlonu. Dogadacie się z innymi plantatorami. My zajmiemy się paczkowaniem i będziemy ją szeroko reklamować, stawiając na jakość.

– Ale ja nie mam takiego kapitału – powiedział Laurence.

– Ja mam. Kupię udziały u Hoopera, a ty te pieniądze wykorzystasz na uruchomienie biznesu.

Gwen wstała i na drżących nogach podeszła do Laurence'a.

Jej głos też drżał.

– Co będzie, jeśli to się nie uda? Co wtedy? Moim zdaniem, nie powinniśmy ryzykować.

– To ja podejmuję ryzyko, nie wy – oświadczyła Christina. – I to jest przyszłość, Gwen. Reklama staje się ważnym instrumentem. Widziałaś przecież czasopismo.

– Owszem. I wcale nie jestem pewna, czy taka przyszłość mi odpowiada.

– Odpowiada czy nie, można zarobić miliony. W sumie w bardzo prosty sposób.

– Może i masz rację – powiedział Laurence, biorąc żonę pod ramię. – Zastanowimy się nad tym.

Gwen westchnęła. Ta kobieta znowu zaczyna owijać sobie Laurence'a wokół palca, a ona nic nie może na to poradzić.

– Daje wam dwa dni – oznajmiła Christina. – Bo za dwa dni wyjeżdżam. Musimy działać szybko, inaczej ktoś nas ubiegnie.

Wstała, wygładziła suknię, na pewno bardzo drogą, i uśmiechając się promiennie, spytała Gwen:

– Podoba ci się ten kostium ode mnie?

Gwen coś wymamrotała w odpowiedzi.

A Christina ciągnęła, z tym samym uśmiechem:

– Oczywiście, to gotowa konfekcja. Tania jak barszcz, żaden jedwab. Świat się zmienia, moi drodzy. Albo idziemy z duchem czasu, albo nie. A teraz wybaczcie, mam za sobą naprawdę długą podróż i koniecznie muszę się położyć.

Verity, która do tej pory nie odzywała się, również wstała i stanęła na chwiejnych nogach. Mówiła też niezbyt wyraźnie.

– Uważam, że to wspaniały pomysł, Christino.

Gwen miała już na końcu języka uwagę, że Verity ten pomysł absolutnie nie dotyczy. Zachowała ją jednak dla siebie.

– Dziękuję wam za wszystko – powiedziała jeszcze Christna. – A**...** i przepraszam, o czymś zapomniałam. Laurence i Gwen, musicie przyjechać do Nowego Jorku. To bardzo pomoże w promowaniu nowej marki.

– Myślisz, że to konieczne? Na jak długo?

– Konieczne. I nie na długo. Ja oczywiście pokryję wszystkie koszty.

– Nie wiem, co zrobimy z Hugh.

– Hugh przecież niebawem idzie do szkoły, prawda?

– Faktycznie – przyznał Laurence.

Gwen miała jeszcze jedno pytanie:

– Christino, dlaczego to robisz, skoro możesz na tym stracić tylko ty?

– Bo nie stracę. Jestem tego pewna. Całkowicie! A poza tym bardzo was lubię. A Laurence źle wyszedł na tych chilijskich akcjach. Czułam się z tym podle. Kiedy gospodarka drgnie, zaczniecie zarabiać dobre pieniądze.

Gwen pokiwała głową. Nie pozostawało jej nic innego, jak czekać na to, co się jeszcze wydarzy.

– Kampania reklamowa prowadzona będzie z Nowego Jorku. Muszą widzieć wasze twarze i wiedzieć, co te twarze mówią. Verity, czy mogłabyś zdjąć papier z tego obrazu, który leży koło ciebie?

– Czyżby mój prezent? – spytał z uśmiechem Laurence.

– W pewnym sensie.

Verity rozpakowała obraz.

– O! Przecież to obraz Saviego Ravasinghe!

Gwen, kiedy usłyszała to imię i nazwisko, zesztywniała. Nigdy nie zamieniła z panem Ravasinghe ani słowa na temat tego, co wydarzyło się po tamtym balu, i w miarę upływu czasu coraz lepiej udawało jej się jakoś z tym radzić. Kiedy jednak

w domu pojawiła się Liyoni, cała sprawa ożyła w pamięci, wysuwając się na pierwszy plan. A teraz niestety ożył i pan Ravasinghe.

Verity podniosła wysoko obraz, by każdy mógł go obejrzeć.

– To Tamilka, zbieraczka herbaty – powiedział Laurence.

Uwagę Gwen od razu zwrócił wspaniały szkarłat sari kobiety na portrecie. Ten szkarłat, na tle lśniący zielonych listków, połyskiwał przepięknie. Nie odrywała oczu od obrazu, czując, jak jej szyja robi się cieplejsza, a policzki różowe.

Miała nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Niestety, ktoś zauważył. Mało tego – tym kimś była Verity.

– Dobrze się czujesz, Gwen? – spytała.

– Tak, tylko trochę tu gorąco – odparła, wachlując się ręką.

Christina powiedziała jeszcze, że jej zdaniem to najlepszy wizerunek marki. Kobieta w szkarłatnym sari będzie na pudełkach z herbatą, na wielkich billboardach i w reklamach zamieszczanych w czasopismach.

– Rzeczywiście mamy nad czym pomyśleć – powiedział Laurence. – Jutro o tym pogadamy. A teraz życzymy ci dobrej nocy.

Gwen, idąc do swego pokoju, już głęboko się zastanawiała nad całą tą sprawą, związaną z Christiną, co nie nastrajało jej dobrze. Przeczuwała kataklizm i widziała Amerykankę w roli wichury, która zniszczy ich dom.

30

Tej nocy Gwen słyszała, jak Laurence chodzi po pokoju. Następnej nocy też chodził prawie do świtu, ale do Gwen nie przyszedł, chociaż bardzo tego chciała. Kiedy padło nazwisko pana Ravasinghe, dawne lęki ożyły, a poza tym osoba Christiny też wywoływała w jej duszy zamęt. Nic dziwnego, że Gwen chciała mieć przy sobie kochającego męża. Laurence jednak nie pojawił się ani pierwszej, ani drugiej nocy, a jakby tego było mało, Verity, teraz wielka sojuszniczka Christiny, nadal przebywała w ich domu. O tym, że najwyższy czas, by wróciła do męża, nikt już nie wspominał, ponieważ gorącym tematem stała się marka, czyli herbata Hoopera.

Po śniadaniu, gdy wszyscy rozeszli się do swoich zajęć, Gwen pozwoliła Liyoni i Hugh bawić się w jej pokoju zalanym słońcem. Razem z Naveeną usiadły przy stole w wykuszu, a bliźnięta zaczęły skakać po łóżku, wyśpiewując na całe gardło coś, co wyglądało na syngaleską wersję „Humpty Dumpty”. Gwen, czując na karku miłe ciepło słonecznych promieni, patrzyła na rozbrykane dzieci, rozmyślając o Christinie i o tym, że odkąd tu jest, Laurence niestety jeszcze bardziej odsunął się od żony.

Teraz siedzieli w ogrodzie. Widziała ich dobrze, wystarczyło zerknąć w okno. Siedzieli bardzo blisko siebie. Podejrzanie blisko. Mogli rozmawiać o marce herbaty, ale Gwen i tak to się nie podobało. Czuła, jakby odbierano jej męża, i to we własnym domu. A dom dla Gwen to nie było tylko samo miejsce, lecz także to, co w tym miejscu odbierała zmysłami. Poczucie bezpieczeństwa, pewność, że wszystko tu jest dobrze znane. Materiały, nici, zapachy, kolor filiżanki, w której pije poranną herbatę. Laurence, kiedy odkłada gazetę i wychodzi do pracy. Hugh, który chyba po raz setny tego dnia gna po schodach, w górę i w dół.

Tak było do tej pory, bo teraz wszystko wydawało się inne. Do tego stopnia, że miała wrażenie, jakby ziemia usuwała jej się spod stóp.

Nagle poczuła, że robi jej się gorąco. Gniew sprawił, że krew uderzyła jej do głowy. Przez chwilę czuła do Christiny nienawiść tak wielką, jak do Saviego Ravasinghe. A najbardziej nienawidziła ich za to, że z ich powodu stała się słabą, lękliwą kobietą.

Jak by chciała od tego wszystkiego uciec!

Spojrzała na dzieci i gniew znikł. Pozostał wstyd, że teraz zaprząta sobie głowę

takimi sprawami.

– Hugh, proszę, uważaj! Nie zapominaj, że Liyoni ma chorą nogę!

– Tak, mamusiu! Dlatego ona podskakuje tylko na pupie!

Ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju weszła Verity.

– Przyszłam, bo uważam, że powinnaś dowiedzieć się o tym jak najprędzej. Laurence przystał na propozycję Christiny.

– O Boże**...** – Gwen bezwiednie potarła kark. – Naprawdę się zgodził?

– Tak. Chcą, żebyś złożyła swój podpis na formularzu. A podpisywać się będziesz potem jeszcze wiele razy**...** – Verity urwała na moment, wpatrując się w dzieci, które przestały wariować i siedziały grzecznie. Dokończyła półgłosem: – Na twoim miejscu pozbyłabym się tej kolorowej dziewczynki. Dobrze ci radzę. Służący dziwią się, że jest traktowana wyjątkowo i zaczynają gadać. Wiesz dobrze, jacy są.

Gwen zmarszczyła brwi.

– Byłam pewna, że już pakujesz walizki.

Verity uśmiechnęła się.

– Wyobraź sobie, że nie! Bo to, że ty jesteś żoną Laurence'a, ściślej, drugą żoną, wcale nie zmienia faktu, że ja jestem jego siostrą. Jedyną siostrą! Teraz razem z Pru Bertram jedziemy do klubu. Pa!

– Chwileczkę! A co na to twój mąż? Przecież nie jesteś wobec niego fair.

– To nie twoja sprawa!

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Verity, Gwen zwróciła się do Naveeny:

– Czy to prawda, że plotkują o Liyoni?

Ayah westchnęła.

– Tak, ale nie należy się tym przejmować.

– Jesteś pewna?

– Wszystkim dookoła powtarzam, że to dobrze, że Hugh ma wreszcie z kim się pobawić**...**

Urwała, bo w korytarzu nagle zadudniło. Ktoś szedł, szybko i głośno.

Gwen drgnęła nerwowo. Naveena cmoknęła.

– To na pewno któryś z chłopców ze służby, proszę pani.

Hugh i Liyoni zaczęli znów podskakiwać, a Gwen zatonęła w myślach. Niestety, ostrzeżenie Verity nie było bezpodstawne. Przecież życie Gwen, odkąd Liyoni pojawiła się w domu, też się zmieniło. Teraz rządził nią strach, stąd to ciągłe podskakiwanie przy każdym głośnym dźwięku, a kiedy raptem gdzieś zaskrzypiała deska w podłodze, Gwen odwracała się błyskawicznie i przez głowę przemykały jej najrozmaitsze warianty tego, co może ją spotkać. Zawsze było to coś najgorszego.

Teraz potrzebowała bliskości męża, by przypomnieć sobie, kim jest. Niestety, było odwrotnie, bo coraz bardziej oddalali się od siebie. Gwen w obawie, że zdradzi swoją tajemnicę, unikała go, ale jednocześnie potrzebowała. Gdy z kolei znalazł się przy niej blisko, często była niemiła i rozdrażniona. Kiedy wyczuwała w nim chłód, zamartwiała się, że na pewno jest już pod pantoflem Christiny.

Nagle coś uderzyło o podłogę. Gwen poderwała głowę. Liyoni już nie podskakiwała, leżała na podłodze i nie ruszała się.

– Hugh! Popchnąłeś ją! – krzyknęła Gwen, zrywając się z krzesła.

– Nie, mamusiu! Wcale nie!

Dopadła do dziewczynki. Ostrożnie podniosła ją z podłogi i tuląc, przysiadła na brzegu łóżka. Hugh, zaczerwieniony, zapłakany, przysiadł obok niej.

– Przepraszam, synku. Przecież wiem, że to moja wina. Nie powinnam ani na chwilę spuszczać was z oka.

Głaskała Liyoni po policzku, zaglądała w wystraszone oczy. A kiedy Liyoni zamrugała i po jej policzku spłynęła łza, serce Gwen prawie przestało bić. Po raz pierwszy kolor skóry nie miał żadnego znaczenia. Teraz widziała przed sobą swoje dziecko. Córeczkę, którą oddała obcym ludziom jak niechcianego szczeniaka.

Poczucie winy, tak wielkie jak rozpacz, że ludzie nigdy się nie dowiedzą, czyje naprawdę jest to dziecko, sprawiły, że serce Gwen wreszcie się otworzyło. Nadludzkim wysiłkiem powstrzymując łzy, objęła synka i przytuliła do serca dwoje dzieci. Serce waliło jak oszalałe, a ona, teraz przepełniona najgorętszą miłością, pochyliła się i ucałowała Liyoni w oba policzki.

Podniosła głowę i spojrzała na Naveenę. Uśmiechnęła się, ale twarz starej *ayah* pozostała nieruchoma. Jej oczy były wlepione w drzwi, usta lekko rozchylone.

Gwen siedziała plecami do drzwi, poza tym była całkowicie skupiona na dzieciach, dlatego nie słyszała, że ktoś wszedł do pokoju. Zorientowała się dopiero wtedy, gdy chrząknął, a Naveena powiedziała:

– Dziewczynka upadła, proszę pana.

Gwen ostrożnie ułożyła Liyoni na łóżku, przestraszona, że Laurence widział wszystko, od samego początku. Nie odzywał się, tylko stał i patrzył, a ona starała się zapanować nad sobą. Półprzytomna ze zdenerwowania, nie była do końca pewna, czy już się czymś nie zdradziła.

Milczała, gorączkowo szukając w głowie jakichś sensownych słów. – Naveeno, zadzwoń po doktora Partridge'a. Poproś, by natychmiast przyjechał – powiedział Laurence i podszedł bliżej do Liyoni.

– Tatusiu, to moja najlepsza koleżanka – powiedział Hugh, biorąc go za rękę. –

Ona upadła.

– Upadła bardzo nieszczęśliwie – wtrąciła Gwen. – Boję się, czy czegoś sobie nie zrobiła.

Starała się ukryć swój strach. Co widział Laurence? Co usłyszał? Nie wiadomo. Całe ciało ją paliło. Zaczęła pocierać głowę, kark, ręce. Chciało jej się krzyczeć.

– Czy Partridge oglądał już kiedyś tę jej chromą nogę? – spytał Laurence.

Gwen pokiwała głową.

– I co powiedział?

– Właściwie nic. Tylko tyle, że jeszcze kiedyś ją obejrzy i zastanowi się. A skąd wiesz o tej nodze? Przecież widzisz Liyoni po raz pierwszy.

– Od McGregora.

Wyraz twarzy Laurence'a był taki jak zwykle. Uprzejmy, ale spojrzenie miał inne. Było w nim coś takiego, że Gwen natychmiast przestała dygotać. Zesztywniała.

– McGregor powiedział, że wyjątkowo troszczysz się o to dziecko.

A ona, głupia, wmawiała sobie, że McGregora to dziecko nie obchodzi!

– To jest bardzo miła dziewczynka. Została oderwana od rodziny, musi teraz żyć wśród obcych. Jest mi jej po prostu żal.

– Ja w jej wieku zostałem posłany do szkoły z internatem w Anglii.

– I bardzo niedobrze. Znasz moje zdanie o szkołach z internatem.

Przez długą chwilę Laurence w milczeniu wpatrywał się w Gwen. O czym myślał? Tego nie mogła wiedzieć, mogła tylko bać się panicznie, że być może traci go na zawsze.

– Hugh niebawem zacznie chodzić do szkoły – powiedział w końcu. – Wtedy zastanowimy się, co dalej będzie z tą małą.

Gwen szybko spojrzała w bok, by Laurence nie zobaczył łez.

– Po wizycie doktora zajrzyj do jadalni – dodał. – Na stole leżą dokumenty do podpisu. Aha, i niebawem jedziemy do Ameryki. Christina wyjechała już dziś.

Wyjechała. Nie ma jej. Nie ma!

Na lekarza czekali prawie godzinę. Gwen i Hugh, popijając herbatę, układali pasjansa. Liyoni pospała trochę, a kiedy się obudziła, blada, osłabiona, nie chciała jeść ani pić i znowu zasnęła. Czas mijał. Gwen za każdym razem, gdy słyszała kroki na korytarzu, kuliła się ze strachu, modląc się w duchu, żeby to nie był Laurence.

A mała Liyoni czuła się coraz gorzej.

Doktor, kiedy tylko wszedł i postawił na podłodze torbę lekarską, poprosił, by Naveena zabrała stąd Hugh.

– Nie! – zaprotestował chłopczyk i tupnął nogą. – Ja zostaję! To moja koleżanka, a nie mamy!

– A ja mam w torbie lizaki. Jeśli grzecznie pójdziesz razem z Naveeną, dam ci jednego.

– Czy są żółte?

– Tak. Mam też różowe.

– Chcę dostać lizaka takiego samego koloru jak Liyoni. Bo pan też da jej lizaka, prawda?

– Oczywiście!

– I zrobi pan tak, żeby ją nie bolało?

– Obiecuję.

– A potem Liyoni będzie mogła sobie pofruwać?

– Pofruwać?

– To znaczy popływać. Ona tak mówi.

Naveena wzięła piłkę i wyszła z chłopcem na dwór. Doktor przysunął sobie krzesło do łóżka, na którym leżała dziewczynka. Gwen stanęła za doktorem i kiedy Liyoni otworzyła oczy, uśmiechnęła się do niej. Dziewczynka też się uśmiechnęła. Gwen zrobiło się ciepło na sercu, bo ta wymiana uśmiechów świadczyła przecież, że Liyoni zaczyna darzyć ją zaufaniem. Uśmiechy nie umknęły uwagi doktora, bo spojrzał jakoś uważniej. Gwen gorąco poprosiła Pana Boga, by nie pozwolił doktorowi być zbyt spostrzegawczym i zauważyć, że oczy dziecka mają dziwny kolor, są ciemnobrązowe i częściowo szafirowe. No i te bujne loki, rozrzucone po poduszce**...**

– Gwen, może chciałabyś mi coś powiedzieć? – spytał.

Na moment przestała oddychać. Powiedzieć**...** Gdyby doktor wiedział, ile ona ma do powiedzenia! Z jaką rozkoszą pozbyłaby się tego ciężaru, który dźwiga już tyle lat!

– Chodzi o upadek dziewczynki.

Odetchnęła.

– To moja wina. Razem z Hugh skakali po łóżku. Niestety, nie pomyślałam o tym, że Liyoni nie jest tak sprawna jak on. Stoczyła się z łóżka i upadła na podłogę.

– Rozumiem, czyli upadek spowodowany był nie najlepszą kondycją fizyczną. Trzeba zwrócić szczególną uwagę na prawidłowe odżywianie.

– Ona jest teraz taka osłabiona. Czy to coś poważnego? Może zaraźliwe?

– Na pewno nie. Proszę się nie denerwować. To normalne, że po upadku dziecko jest w szoku. Poleży, odpocznie i dojdzie do siebie.

Minął miesiąc. Gwen była w swoim pokoju, zajęta pakowaniem rzeczy Hugh, który rozpoczynał naukę w szkole. Bardzo starannie dobierała poszczególne części garderoby, by chłopiec czuł się w nich swobodnie i miał odpowiednie ubranie na każdą pogodę. Mundurek szkolny, zamówiony w Nuwara Eliya, dostarczono poprzedniego dnia. Hugh zabierał ze sobą wiele rzeczy wymaganych w szkole. Lista tych przedmiotów była długa i Gwen czuła wdzięczność dla swego ojca, że za to zapłacił.

Choć cieszyła się, że syn rośnie i zaczyna naukę, stanowczo wolałaby, by nigdzie nie wyjeżdżał. Hugh też nie był w najlepszym nastroju. Siedział na starym koniku bujanym, który stał teraz w pokoju Gwen, i minę miał bardzo nietęgą.

– Mamusiu, a nie mogę zamiast do szkoły pojechać z wami na Dziki Zachód?

– Nie jedziemy na Dziki Zachód, skarbie, lecz do Nowego Jorku.

– Ale tam też są kowboje?

– Nie. Myślę, że prędzej spotkasz kowboja w Nuwara Eliya niż w Nowym Jorku.

– Tak bardzo chciałbym pojechać z wami. Przecież ty możesz dalej mnie uczyć i arytmetyki, i literowania.

– Niestety, żeby być tak mądry jak twój tata, musisz nauczyć się jeszcze wielu innych rzeczy.

– Tata wcale nie jest mądry.

– Naturalnie, że jest!

– Gdyby był mądry, toby pozwolił mi iść razem z Liyoni do wodospadu!

Gwen doskonale wiedziała, że w okolicy jest wodospad, słyszała jednak, że nie jest łatwo tam dojść, i jakoś do tej pory się nie wybrała.

– Liyoni kocha wodę, mamo. Bardzo kocha, przecież wiem. I moglibyśmy pojechać tam z tobą. A ja już tam byłem, razem z ciocią Verity.

– Byłeś tam?! Koło wodospadu?

– Tak. Na samej górze, ale do krawędzi nie podchodziłem.

– Miło to słyszeć. A teraz chodź do mnie. Potrzebny mi jest silny mężczyzna, bo nie mogę zamknąć tego kufra.

Hugh, zadowolony, wybuchnął śmiechem.

– Już idę, mamo!

Jakiś czas potem, kiedy zajęta była pakowaniem swoich rzeczy, pojawił się Laurence. Był w doskonałym humorze. Po wyjeździe Christiny, która miała uruchomić całe przedsięwzięcie, Laurence zaczął działać na miejscu i prowadził rozmowy z innymi plantatorami. W domu gościł teraz rzadko, co Gwen było bardzo na rękę, bo bez przerwy doszukiwała się jakichś oznak świadczących, że Laurence

wie jednak coś więcej.

A teraz, niestety, się pojawił.

– Dzień dobry! Jestem, bo bardzo się stęskniłem za dwiema osobami!

– Tata!

Hugh natychmiast zeskoczył z konika i rzucił się do ojca.

– Ostrożnie, przyjacielu, bo mnie znokautujesz. Twój tata ledwo żyje.

Hugh był zachwycony.

– Naprawdę?! Dałbym radę? I tata by upadł?!

– Kto wie?

Laurence żartobliwie rozwichrzył synowi włosy i spojrzał na Gwen.

– Uzgodniłem, że na początku Hugh będzie w internacie przez siedem dni w tygodniu.

– Jak to? Nie będzie przyjeżdżał na weekendy do domu? Przecież poczuje się nieszczęśliwy!

– Ale to tylko podczas naszego wyjazdu do Nowego Jorku, Gwen. Gdy wrócimy, weekendy będzie oczywiście spędzał w domu. A jeśli chodzi o nasz wyjazd, to Christina już zajęła się biletami.

– Rozumiem**...** Hugh, może masz ochotę wyjść na dwór? Wypróbować tę nową huśtawkę?

Hugh skrzywił się, ale zrobił, co mu kazano. Był już wystarczająco duży, by zrozumieć, że między rodzicami pojawiła się różnica zdań i dlatego wolą zostać sami.

Laurence stanął przed oknem i Gwen, by spojrzeć na niego, musiała przysłonić ręką oczy.

– Kiedy nas nie będzie, Hugh może przyjeżdżać tu w weekendy. Przecież jest Naveena – powiedziała.

– Tak, ale ma sporo pracy przy tej dziewczynce. Niedobrze, że nie udało nam się wcześniej pomyśleć, co z nią zrobić.

– Próbowałam znaleźć jakieś rozwiązanie!

– No tak.

– Chwileczkę, o co chodzi?

– O nic. Co się z tobą dzieje, Gwen? Odkąd to dziecko jest w naszym domu, z każdym dniem jesteś coraz bardziej rozdrażniona. Powiedz, czy coś się stało?

– Ależ skąd! Wcale nie jestem rozdrażniona, tylko ci się wydaje.

– Powiedzmy**...** Chciałbym porozmawiać z tobą o Verity. Mówiłem jej, że kiedy wyjedziemy, powinna wrócić do Alexandra.

To była bardzo dobra wiadomość. Gwen oddychała już prawie swobodnie.

– Czyli pomyślałeś o wszystkim, Laurensie. Świetnie. Powiedz mi tylko**...** Między Verity a Alexandrem nie bardzo się układa, prawda?

– Tak. Wspominała o tym.

– Nie wiesz, o co konkretnie chodzi?

– Nie domyślasz się?

– Raczej nie.

– Wiadomo, że Verity nie ma łatwego charakteru. Potrafi zaleźć za skórę, poza tym pije stanowczo za dużo. Ale cóż, teraz to już sprawa jej męża, nie moja.

Zwycięstwo! Gwen z trudem powstrzymała się od radosnych okrzyków i oklasków.

– Po powrocie zdecydujemy, co dalej będzie z tą dziewczynką – powiedział Laurence. – Naveena, jak wiadomo, ma u nas zagwarantowany dach nad głową i opiekę do końca życia. Ale ta dziewczynka to co innego. Nadal nie wierzę, że jest jej krewną.

– Ależ Laurensie! Na pewno jest tak, jak powiedziała Naveena.

– Trudno mi w to uwierzyć. To jednak trochę dziwne. Kazałem przysłać stare dokumenty naszej rodziny, które przechowywała moja matka. Może znajdę coś w tych papierach, co potwierdzi, że dziewczynka istotnie jest krewną Naveeny.

– Nie sądzę, żebyś coś znalazł, skoro sama Naveena nie miała pojęcia o jej istnieniu.

– Wiem. Rozmawiałem z nią.

Serce Gwen podeszło do gardła.

– I co powiedziała?

– Nic nowego. Gwen, nie wyglądasz dobrze. Jesteś taka blada.

– Nic mi nie jest. Po prostu jestem trochę zmęczona.

Przyglądał jej się z niepokojem, poczuła więc wielką ulgę, kiedy wreszcie spojrzał na ubrania rozłożone na łóżku.

– Bardzo ładne są te twoje sukienki, ale nie bierz ich za dużo. Christina na pewno uzna, że potrzebne ci najmodniejsze rzeczy i zabierze cię na zakupy do sklepów przy Piątej Alei.

– Ach tak?! – Oczy Gwen błysnęły. Wyprostowała się, opierając efektownie ręce na biodrach. – A za kogo ona się ma, ta Christina?! Łaskawie zabierze mnie na zakupy! Też coś! Niech gdzie indziej trenuje te swoje dobroczynne zapędy!

– Myślałem, że będziesz zadowolona.

– Nie. Ona traktuje mnie protekcjonalnie i mam tego po dziurki w nosie. Ty

zresztą traktujesz mnie podobnie!

– Nie gniewaj się, kochanie. Chciałem dobrze. Wiem, że jesteś zdenerwowana tym wyjazdem Hugh**...**

– Wcale nie. Nie jestem zdenerwowana.

– Kochanie**...**

– Przestań już z tym „kochanie”. I wcale nie jestem zdenerwowana!

Oczywiście zalała się łzami i Laurence objął ją ramieniem. Próbowała się uwolnić, ale trzymał ją tak mocno, że nie było sensu się szarpać. Płakała i nie chodziło wcale o konkretny powód. Za dużo się już zebrało. To, że nie może powiedzieć prawdy o Liyoni, że Hugh będzie w szkole i chociaż wcale nie jest powiedziane, że z tej szkoły nie będzie zadowolony, ona i tak będzie za nim okropnie tęskniła. Płakała, bo zbyt długo nie panowała nad swoim życiem i stąd ten dławiący strach.

I jeszcze coś. Absolutnie nie wierzyła, że Verity kiedykolwiek opuści ich dom.

– Ani się obejrzysz, a będziemy już z powrotem – powiedział miękko Laurence, a potem ją pocałował, co było jak balsam i budziło ochotę na więcej.

– Zamykamy drzwi na klucz? – spytał, uśmiechając się znacząco.

– Tak. Okno też zamykamy. Głos się przecież niesie – odparła bez wahania i spojrzała na łóżko zasłane ubraniami.

– Poradzimy sobie z tym.

Zgarnął wszystko, położył na podłodze i szybko zamknął drzwi na klucz.

– Laurence! Trzeba będzie to wszystko znowu prasować!

Tę uwagę zignorował, skupiony na czymś innym. Podniósł Gwen, przerzucił przez ramię i zaniósł na łóżko, roześmianą i skorą do pomocy, kiedy zdejmował z niej ubranie.

31

Kiedy Gwen po pierwszej nocy spędzonej w Savoy-Plaza Hotel rozsunęła ciężkie brokatowe zasłony, była zaskoczona widokiem skał i zielonych koron drzew. Nie spodziewała, że w samym środku Nowego Jorku, olbrzymiego miasta, zobaczy gigantyczny park.

Odwróciła się, by spojrzeć na pokój. Do lśniącej czerni, srebrzystości i jej odcieni jeszcze nie przywykła, ale polubiła już geometryczne kształty i proste linie biegnące pod różnymi kątami. Na ścianie poczesne miejsce zajmował wielki obraz przedstawiający czarne plamy różnej wielkości i kształtu na kremowym tle. Cóż to miało być? Prawdopodobnie kształty nic nieznaczące, ale był to obraz i Gwen mimo woli pomyślała o Savim Ravasinghe. Christina zaproponowała, by wybrali się na jego wystawę w galerii w Greenwich Village, dzielnicy nowojorskiej cyganerii. Gwen nie przyjęła tego z entuzjazmem, choć podobno warto było tam się wybrać, ponieważ na wystawie nie było portretów pięknych, bogatych kobiet, lecz obrazy przedstawiające mieszkańców Cejlonu przy pracy. Spośród tych właśnie obrazów Christina wybrała ten, który miał być symbolem herbaty Hoopera. Gwen jednak wymówiła się bólem głowy i na wystawę nie poszła. Miała nadzieję, że Laurence też nie pójdzie i zostanie z nią.

Stała przy oknie i patrzyła na Nowy Jork. Czuła się o wiele lepiej niż w domu, była odprężona i podekscytowana wyjazdem. Poza tym w radiu grali uroczą piosenkę „Bądź zawsze młoda i piękna”, zdaniem Gwen bardzo pasującą do tego miasta.

Laurence poszedł na spotkanie z Christiną i Gwen zastanawiała się, jak zapełnić sobie czas. Musiała koniecznie czymś się zająć, by nie zadręczać się myślą, że jej mąż znów jest z Amerykanką sam na sam. Najpierw przejrzała ostatni numer „Vogue”, zapoznając się z najmodniejszymi fasonami sukien, a potem przystąpiła do działania. Włożyła żakiet, wzięła torebkę i ruszyła na swój pierwszy spacer po Nowym Jorku. Laurence zapowiedział, że wróci około dwunastej, miała więc ponad dwie godziny dla siebie.

Kiedy wyszła na ulicę, spojrzała jeszcze raz na hotel, w którym Christina zarezerwowała dla nich apartament. Wybudowano go niedawno i na pewno było tu weselej i ciekawiej niż na przykład w ponurym hotelu po drugiej stronie alei. W ich hotelu o północy można było posłuchać w barze naprawdę dobrej muzyki. Do tego baru Gwen i Laurence zamierzali się wybrać, ale później, kiedy odpoczną po długiej

podróży. Sam budynek nie bardzo się Gwen podobał. Było to wielkie gmaszysko o surowej architekturze, ze spadzistym dachem w stylu Tudorów, z dwoma kominami i łukowatymi oknami na parterze. Na pewno bardziej imponujące niż hotele na Cejlonie, tamte jednak były ładniejsze i bardziej eleganckie.

Na ulicy panował gwar. Bez przerwy słychać było klaksony samochodów kluczących między trolejbusami i dwupiętrowymi autobusami, starymi modelami i najnowszymi. Zauważyła też znak drogowy przypominający wielki lizak. Kiedy podeszła bliżej, okazało się, że to przystanek autobusowy. Autobusem bała się jednak jechać, bo nie znała trasy i uznała, że bezpieczniej będzie wziąć taksówkę. Poszła więc dalej wolnym krokiem, za strumieniem mężczyzn w filcowych kapeluszach. Taksówki, co prawda, nie udało jej się złapać, ale zauważyła coś interesującego − wielki, jasny autobus z panoramicznymi oknami, przeszklonym dachem i wielkim, kuszącym napisem: „Wycieczka po Manhattanie”. Bez chwili wahania ustawiła się w kolejce i kupiła bilet. Potem rozsiadła się na miękkim fotelu i wyglądając przez okno, mimo woli słuchała rozmowy pary siedzącej naprzeciwko. Mężczyzna opowiadał o pewnym prawniku, oskarżonym o niezastosowanie się do rozporządzenia o obowiązkowej wymianie złota na dolary, a miał tego złota za ponad dwieście tysięcy dolarów. Opowiadał długo i rozwlekle, a kobieta – chyba jego żona – tylko mamrotała czasami pod nosem: „Tak, kochanie, tak, tak”. Na pewno bardziej była bardziej zainteresowana widokami Manhattanu niż gadaniną męża.

Gwen, gdy usłyszała słowo „złoto”, pomyślała, że jej mąż nie przyjechał do Nowego Jorku jako turysta. Był tu w interesach, chodziło o pieniądze. Dziś spotyka się z Christiną w jakimś banku, jutro mają iść do agencji reklamowej, potem do notariusza. Ale dzisiejszy wieczór, zgodnie z obietnicą Laurence'a, ma być rozrywkowy i Gwen nie mogła się już go doczekać. Laurence chciał iść do klubu jazzowego, Gwen marzyła o teatrze. Kiedy autobus przemierzał ulice, zauważyła kilka billboardów reklamujących musical „Ulica 42” wystawiany w Strand Theater. Na to przedstawienie Gwen wybrałaby się bardzo chętnie.

Nie była to jedyna różnica zdań dzieląca Laurence'a i towarzyszące mu kobiety. Wciąż spierał się z Christiną, która agencja reklamowa jest dla nich najlepsza. Kłócili się jak stare, dobre małżeństwo, w końcu stanęło na tym, że albo agencja James Walter Thompson, albo Masefield, Moore i Clements z Madison Avenue. Pierwsza z tych agencji dla jednego z klientów wypromowała grillowane kanapki z serem, co na Christinie zrobiło wielkie wrażenie. Druga natomiast miała w planach audycję radiową, sponsorowaną przez reklamy, czyli coś znacznie

ciekawszego od grillowanej kanapki. Wiele się działo i Gwen, która przywykła do powolnego tempa życia na plantacji herbaty, nie bardzo mogła się w tym odnaleźć.

Była tak zafascynowana widokami nieznanego miasta, a jednocześnie pochłonięta własnymi myślami, że kiedy ogłoszono koniec wycieczki, była szczerze zaskoczona. Także tym, że ponownie znalazła się w pobliżu ogromnego parku. Kiedy wysiadła z autobusu, od razu zauważyła Laurence'a, naturalnie w towarzystwie Christiny. Zmierzali ku wejściu do hotelu. Laurence trzymał Christinę pod ramię. Właśnie ją! Kobietę, której naprawdę nie ma potrzeby prowadzić!

– Laurence! – zawołała, starając się ukryć, że jest zirytowana. Niestety, na ulicy było wyjątkowo głośno. Laurence jej nie usłyszał, musiała więc do niego podbiec. – I jak wam poszło? – spytała trochę zadyszana.

Laurence uśmiechnął się i cmoknął ją w policzek.

– Mamy już gotowy plan działania. Rewelacyjny.

– Jutro o dziesiątej spotykamy się w agencji reklamowej – powiedziała Christina, również szeroko uśmiechnięta. Wzięła pod ramię również Gwen, jakby absolutnie nie było w tym nic niestosownego. – Teraz proponuję lunch. Chwila wytchnienia przyda się nam wszystkim, skoro dziś po południu razem z Gwen robimy duże zakupy. Myślę, Laurensie, że tobie też by się przydał nowy garnitur.

Zakupy zrobiły w domu towarowym Saksa i w House of Hawes. Gwen wróciła do hotelu o zmierzchu, gdy w oknach budynków rozbłysły już światła. Kiedy weszła do ich apartamentu, Laurence siedział w saloniku, rozparty w jednym z dwóch wyjątkowo wygodnych, obitych skórą foteli i palił fajkę. Boy hotelowy wniósł torby Gwen i postawił koło drzwi. Dała mu znak ręką, że może odejść, i usiadła na drugim fotelu naprzeciwko męża.

Tak wyczerpujących zakupów nigdy jeszcze nie robiła. Ale było warto, ponieważ wróciła z trzema pięknymi kreacjami w najmodniejszych fasonach – góra obcisła i długość spódnicy do połowy łydki. Były to: suknia wieczorowa, beżowa z purpurowym akcentem przy dekolcie i kimonowymi rękawami, znakomicie skrojona dwuczęściowa sukienka w kolorze zielonego groszku oraz kostium biznesowy. Christina nalegała, by do kostiumu kupiła również rękawiczki i kapelusz. W tym kapeluszu z szerokim rondem było jej naprawdę do twarzy. Wyglądała w nim o wiele lepiej niż w starych kapeluszach w kształcie hełmu. Gwen była zadowolona, że przywiozła ze sobą etolę z lisa, która na pewno doda klasy gotowym ubraniom ze sklepu.

– Laurence, czy zauważyłeś, że niewielu boyów hotelowych i windziarzy jest

białych? Większość ma skórę bardzo ciemną, a niektórzy w kolorze karmelu.

– Jakoś nie zwróciłem na to uwagi – powiedział, schowany za gazetą – Mówisz, że tak dużo ciemnoskórych? No cóż**...** Spadek po niewolnictwie. A ci o karmelowej skórze mogą mieć w sobie krew białych i murzyńską.

Szybko zmieniła temat.

– Co piszą w gazecie? Na pewno o tym prawniku, którego oskarżyli o gromadzenie złota?

– Tak, piszą o tym. Jest tu także ciekawy artykuł o Hitlerze. W Niemczech mają wyjątkowo wysoką inflację. Może ten Hitler jakoś to wyprostuje.

– Tak sądzisz? Słyszałam, że obwinia żydowskie banki.

– Może i tak. A gdzie o tym słyszałaś?

– Przypadkiem, ktoś o tym mówił.

Zapadła cisza. Laurence czytał dalej, a Gwen milczała, czekając na odpowiedni moment.

– Może zadzwonię, żeby przynieśli herbatę? – spytała po chwili.

Nie odpowiedział, ale ona i tak mówiła dalej, bo postanowiła jednak poruszyć ten bardzo interesujący ją temat.

– Wiesz, zastanawiałam się nad tym wszystkim.

– No proszę! – Laurence uśmiechnął się i złożył gazetę. – Cały zamieniam się w słuch.

– Mam być dyrektorem tej spółki, ale tylko teoretycznie. Jednak będę musiała podpisywać jakieś dokumenty, prawda?

Laurence kiwnął głową.

– Dobrze, a więc będę podpisywała wszystko, co zechcesz**...**

– Byłem tego pewien!

– **...**ale pod jednym warunkiem. Jeśli zarobimy już tę górę pieniędzy**...**

– Jeśli? Na pewno!

– No cóż, tak twierdzi Christina.

– Moim zdaniem ma rację.

– W każdym razie, jeśli nam się powiedzie, chciałabym, żeby sytuacja naszych robotników uległa poprawie. Na przykład, żeby ich dzieci miały lepszą opiekę medyczną.

– To wszystko?

Gwen zrobiła głęboki wdech.

– Nie. Chodzi także o poprawę warunków mieszkaniowych.

– Dobrze. Chociaż one już zostały poprawione i na pewno wygląda to inaczej niż

za czasów mego ojca. Co to były za czasy! Czy wiesz, że podczas polowań na krokodyle jako przynęta służyło niemowlę. Pulchne i naturalnie ciemnoskóre.

Gwen odruchowo zasłoniła ręką usta.

– Myśliwi uzgadniali cenę, potem przywiązywali dziecko do drzewa, żeby wywabić krokodyla z wody.

– Nie wierzę!

– Niestety, to prawda. Krokodyl rzucał się na dziecko i wtedy myśliwi, ukryci w szuwarach, strzelali i kładli go trupem. Dziecko odwiązywano od drzewa i wszyscy byli zadowoleni z polowania.

– A jeśli myśliwy chybił?

– To krokodyl miał dobry lunch. Niepojęte, prawda? Coś takiego wymyślić!

Gwen z niedowierzaniem kręciła głową. Laurence westchnął i sięgnął po gazetę, ale jej nie rozłożył, bo Gwen znów się odezwała:

– Wróćmy do warunków życia robotników. Uważam, że najpierw należy poprawić warunki mieszkaniowe i zapewnić właściwą opiekę medyczną, potem otworzyć szkołę. Wtedy ich życie zmieni się na lepsze. Oni są tacy ubodzy, Laurensie. Pomyśl, co to za życie, kiedy człowiek ma tak niewiele.

– Mój ojciec uważał, że oni już są szczęśliwi, gdy mają pracę.

– Wierzył w to, bo chciał w to wierzyć!

– Gwen, dlaczego wcześniej mi o tym nie mówiłaś?

– Może dlatego, że teraz, kiedy jesteśmy tak daleko od Cejlonu, jakoś to do mnie bardziej dociera. Chciałabym coś zrobić dla tych ubogich ludzi.

Laurence rozłożył nową gazetę.

– W zasadzie zgadzam się z tobą. Z tym że zrealizowanie tego wszystkiego pociąga za sobą ogromne koszty. Tak więc będzie to możliwe dopiero wtedy, kiedy osiągniemy jakieś zyski. A teraz, kochanie, pozwól, że przejrzę jeszcze tę gazetę.

– Czy w tej gazecie też będziemy się reklamować?

– To okaże się jutro.

– Rozumiem. Trzeba przyznać, że to wszystko razem jest szalenie ekscytujące.

Gwen sięgnęła po czasopismo i zaczęła je przeglądać. Kiedy natrafiła na pewien artykuł, przeczytała tylko pierwsze linijki. Zamknęła czasopismo i wsunęła sobie pod pachę, uznając, że coś takiego musi przeczytać w samotności.

– Przepraszam, idę do łazienki.

Przeczytała tekst w łazience, tak zdenerwowana, że obgryzała paznokcie. Otworzyła szafkę i wyjęła nożyczki. Wycięła artykuł, złożyła czasopismo w kostkę i wyrzuciła do kubełka.

Następnego dnia wszyscy troje stawili się w agencji reklamowej Masefield, Moore i Clements, gdzie zaproszono ich do niewielkiej sali konferencyjnej, skąd roztaczał się widok na zatłoczoną, nowojorską ulicę.

William Moore był dyrektorem kreatywnym. Bardzo uprzejmy, uśmiechnięty, już na powitanie pokazał im kilka projektów rozpiętych na wielkich sztalugach. Kiedy dokonywano prezentacji, Gwen zerkała na to, co powstało na bazie obrazu Saviego Ravasinghe. Wcale nie było jej miło usłyszeć to właśnie nazwisko, trudno jednak było nie zareagować na jego dzieło. Obraz zrobił na niej wrażenie już wcześniej, ale to, co zobaczyła teraz, kiedy dokonano nieznacznych poprawek i wzmocniono kolory, było zjawiskowe. Kobieta w czerwonym sari na tle lśniących zielonych listków wprost emanowała energią.

– Na pewno będzie rzucać się w oczy – powiedział Moore, demonstrując w szerokim uśmiechu cały garnitur olśniewająco białych zębów.

– Jest piękny – oznajmiła Gwen.

– Za ten pomysł Christinie należą się wielkie podziękowania. Pan Ravasinghe widział już te projekty i bardzo mu się podobały.

– A jak będą wyglądały torebki na herbatę? I reklamy? – dopytywał się Laurence, wysuwając krzesło spod owalnego stołu.

Kiedy już usiedli, sekretarka podała kawę i obwarzanki, a Moore każdemu z gości wręczył maszynopis.

– To lista sklepów i gazet, które są naszym celem. Także stacje radiowe. Z Nowym Rokiem ruszamy z kampanią.

Laurence pokiwał głową.

– Znakomicie.

Moore, któremu uśmiech nie schodził z twarzy, wstał i przełożył dwa arkusze na sztalugach, odsłaniając projekt reklamy na billboardzie. Potem zademonstrował powiększenie ogłoszenia reklamowego do czasopism.

– Naszym celem jest utrwalenie marki w świadomości Amerykanów. W przypadku herbaty Hoopera kolory są wielkim atutem. Czerwone sari i zielone listki. Z tym że motyw ten znakomicie wygląda też w sepii.

– A kiedy dokładnie zaczynamy? – spytała Christina, zapalając papierosa.

– Jak powiedziałem, na początku Nowego Roku. Teraz czekam na dopracowanie szczegółów. Zależy nam na podkreśleniu kraju pochodzenia. Będzie to więc bogata w smaku, czysta herbata z Cejlonu.

O ironio losu! Gwen uśmiechnęła się, uzmysławiając sobie, że niezależnie od tych głębokich smaków herbaty piją przecież kawę. Potem Moore zaprezentował

jeszcze inne reklamy, które w tym czasie zamieszczane były w czasopismach i na billboardach. Gwen, kiedy je oglądała, słyszała, jak Christina próbuje namówić Laurence'a, by pozyskał nowych inwestorów, i mimo woli zerknęła na nią. Jak zwykle wyglądała bardzo szykownie. Nienaganny makijaż, pomalowane paznokcie, włosy starannie upięte. Ubrana, zgodnie ze swoim zwyczajem, na czarno, ale tym razem ozdobiła szyję czerwonym jedwabnym szalem, a na nogi włożyła pantofle w tym samym kolorze. Ta elegancka kobieta, chociaż budziła w Gwen uczucia, delikatnie mówiąc, mieszane, jednocześnie bardzo jej imponowała. Christina znała chyba wszystkich tutejszych bogaczy i bez wahania wykorzystywała te znajomości.

W rozmowach nastąpiła krótka przerwa i wtedy odezwał się brzęczyk domofonu.

– Państwo wybaczą – powiedział Moore i wyszedł z pokoju.

– Co o tym sądzisz, Gwen? – spytała Christina. – Ekscytujące, prawda?

– Szczerze mówiąc, od tego wszystkiego w głowie mi się kręci.

– A to dopiero początek. Zobaczysz, jak to będzie, kiedy jako pierwsi zasponsorujemy audycję radiową.

– Czy to rzeczywiście możliwe?

– Jeszcze nie teraz, ale kiedyś na pewno.

Moore wrócił w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka. Przystojnego, gładko uczesanego i w nienagannym garniturze. Jednocześnie jednak człowiek ów powłóczył nogami i nerwowo skubał krawat. Moore już się nie uśmiechał.

Na moment zapadła niezręczna cisza. Laurence wstał, jakby zorientował się, że coś się zmieniło i że będzie musiał zareagować. Po radosnej, pełnej nadziei i podekscytowania atmosferze nie pozostało już ani śladu.

– Niestety, pojawiły się pewne utrudnienia – powiedział Moore. – Ale nie sądzę, żeby było to coś poważnego, i będziemy mogli dalej nad tym pracować.

Gwen spojrzała na Laurence'a. Na jego profil. Brodę miał znacznie wysuniętą do przodu.

– Mam nadzieję, to tylko przejściowe trudności – powtórzył Moore i wtedy odezwał się Laurence, ostrym tonem:

– Może pan nam powie, o co konkretnie chodzi!

Moore przez chwilę milczał, jego twarz stężała, jakby przepowiadał sobie w duchu to, co zamierza powiedzieć.

– A więc problem polega na tym, że dzięki kontaktom z inną agencją dowiedzieliśmy się, że wszystkie miejsca, które zgodnie z naszym planem mieli zająć państwo, wykupiła już inna marka.

– To znaczy jaka? – spytała Christina.

Moore, zanim odpowiedział, spojrzał na swoje buty, splatając jednocześnie palce u rąk tak mocno, że w stawach zatrzeszczało.

– Niestety to też**...** herbata.

Gwen opadły ręce. Wszystko to było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

– Na pewno znajdzie się na naszym rynku miejsce i dla Hoopera – powiedział Moore. – Wierzę w to. Przecież bardzo wiele mniejszych spółek z powodzeniem sprzedaje u nas herbatę. Jednak musimy trochę odczekać.

– A oni tymczasem zdobędą nad nami przewagę – powiedział Laurence, głaszcząc się po brodzie.

Moore odchrząknął.

– Jeśli chcemy rywalizować z Liptonem, musimy być tam pierwsi – oświadczyła Christina. – Mówiliśmy o tym już na samym początku.

– Naturalnie – przytaknął Moore, wyraźnie starając się uśmiechnąć. – Niestety, nie mamy wpływu na działania innych agencji. Ale robimy wszystko, co w naszej mocy.

– Oczywiście! I dlatego jeden z waszych pracowników poinformował inną agencję o naszych planach! – wyrzuciła z siebie Christina.

I wtedy wstała Gwen.

– Nieważne, co kto komu powiedział. Ważne, że musimy być pierwsi i**...**

Christina wyraźnie chciała jej przerwać, ale Gwen podniosła rękę, nie dopuszczając jej do głosu.

– Proszę pozwolić mi skończyć. Będziemy pierwsi, bo to my ich wyprzedzimy. Rozpoczniemy kampanię nie na początku Nowego Roku, lecz o miesiąc wcześniej. Jeśli jest pan w stanie przygotować wszystko na początek grudnia, nasza oferta jest aktualna. Jeśli nie, to współpracę uważam za zakończoną.

Laurence uśmiechnął się, a Christina patrzyła na nią z otwartymi ustami.

Moore przez chwilę milczał, przemykając spojrzeniem po ich twarzach.

– A więc jak będzie, panie Moore? – spytała Gwen, drżąc z podniecenia.

– Proszę dać mi czas do wieczora. Gdzie można się z państwem spotkać?

Tego popołudnia nikt nie był w nastroju do zabawy. Christina przesunęła na późniejszą godzinę spotkanie z notariuszem. Wszystkie kontrakty o zakupie miejsc reklamowych zostały sporządzone w rekordowym tempie i gotowe do podpisu leżały już na jego biurku. Christinie udało się zminimalizować zwłokę, żeby, nie daj Boże, inwestorzy nie stchórzyli. Byli jednak świadomi, że jeśli Moore zawiedzie i rozpoczęcie kampanii trzeba będzie jednak przesunąć, o przewadze nad

konkurentem nie ma co marzyć.

Kiedy wieczorem Christina prowadziła ich do Stork Club przy Pięćdziesiątej Pierwszej Wschodniej, Gwen, wystrojona w nową suknię, była już w nieco lepszym nastroju. Laurence natomiast, od niedawna wielki miłośnik jazzu, miał dobry humor, ponieważ w tym właśnie klubie grał dziś band Caba Callowaya. Kiedy przebili się przez tłum i skierowali do swojego stolika, Gwen zauważyła, że Christina skinęła głową jakiejś kobiecie w eleganckiej jedwabnej sukni w kwiaty.

– Kto to był, Christino?

– Ach, jedna z Vanderbiltów. Tu, moja droga, widzisz tylko naprawdę duże pieniądze!

Podczas przerwy jasnowłosa Christina, krocząc dumnie w czarnej satynowej sukni, podeszła do jednego z trzech muzyków, którzy siedzieli razem przy stoliku, i cmoknęła go w policzek, pozostawiając na nim krwistoczerwony ślad szminki.

– Przysuńcie się do nas, chłopcy. Jestem tu w towarzystwie moich przyjaciół z Cejlonu.

Barman przyniósł tacę zastawioną szklankami z piwem.

– Tylko trzy procent alkoholu. Za słabe – orzekła Christina i puściła oko do barmana. – A nie można by tak trochę uszlachetnić?

Barman poszedł spełnić jej życzenie. Christina zaczęła gawędzić ze znajomymi, Gwen słuchała, a kiedy dyskretnie wzmocnione wódką piwo powróciło na ich stolik, bez żadnych oporów sięgnęła po szklankę. Wypiła łyk i prawie się zakrztusiła.

– Wkrótce zniosą prohibicję – zaszeptała Christina. – Takie okropne piwo to tylko stan przejściowy.

Gwen wypiła drugi łyk, ale jakoś nie mogła się odprężyć. Christina natomiast była w szampańskim humorze, jakby żadne przeciwności losu nie były w stanie jej pognębić. Gwen pomyślała, że ona wcale tej kobiety dobrze nie zna. Tu, w Nowym Jorku, Christina wydawała się jeszcze bardziej amerykańska niż na Cejlonie. Na początku ich znajomości Christina ją onieśmielała. Potem Gwen była po prostu zazdrosna, gdy tamta umiejętnie i z wielkim wdziękiem próbowała usidlić Laurence'a. A potem, kiedy nastąpił kryzys i akcje Laurence'a straciły wartość, była na Christinę bardzo zła. Teraz gniew nieco zmalał i ku swemu zaskoczeniu Gwen uzmysłowiła sobie, że tak naprawdę podziwia odwagę tej kobiety i jej determinację. Musiała mieć jej niemało, skoro po tym, co się stało z akcjami, zdecydowała się ponownie przyjechać do nich z nowym pomysłem.

Jeden z muzyków wstał. Christina usiadła koło Gwen i lekko uścisnęła jej dłoń.

– Jestem bardzo zadowolona, że udało nam się zakopać topór wojenny.

– Topór wojenny?

– Nie udawaj, bo na pewno wiesz, że kiedy Laurence wrócił z Anglii i ogłosił, że ożenił się z Angielką, byłam piekielnie o ciebie zazdrosna.

– O mnie?

– Oczywiście. Jesteś piękna, Gwen, i masz taki miły, ujmujący sposób bycia. Mężczyźni to uwielbiają.

Gwen pokręciła głową.

– Oczywiście miałam nadzieję, że dla Laurence'a pełnia szczęścia będzie wtedy, gdy ty będziesz jego żoną i matką jego dzieci, a ja jego kochanką.

Gwen zabrakło tchu.

– Naprawdę tak myślałaś?! Czy on dawał ci to do zrozumienia?

– Ależ skąd! Choć przyznaję, nie obyło się bez pewnej inicjatywy z mojej strony.

– A czy on kiedykolwiek**...** To znaczy, czy wy**...**

– Po waszym ślubie?

Gwen kiwnęła głową.

– Nie, nigdy. Chociaż raz**...** zbliżyliśmy się do siebie. Na tym balu w Nuwara Eliya.

Gwen zagryzła wargę i zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało. Przecież nie mogła się teraz rozpłakać.

– Ależ Gwen! To nie to, co myślisz! Tylko jeden pocałunek, nic więcej.

– A teraz?

– Teraz łączą nas tylko interesy. Naprawdę nie ma powodu do obaw. Mimo że kiedyś chciałam, byś te powody miała.

– Ale dlaczego?

– Może**...** dla rozrywki. Może dlatego, że nie umiem przegrywać. Ale to już przeszłość. Teraz zależy mi bardzo na was obojgu.

Gwen spochmurniała.

– Gwen, uwierz mi. Naprawdę tak jest. Tym bardziej, że teraz ciągnie mnie do tego rozkosznego basisty.

Zaśmiały się obie. Gwen, zawstydzona, że kiedykolwiek mogła zwątpić w męża, i jednocześnie szczęśliwa, że ze strony Christiny nie ma żadnego zagrożenia. Od dawna nie czuła się tak dobrze, tak beztrosko i radośnie.

Kiedy muzycy zaczęli wstawać i zbierać instrumenty, by kontynuować występ, do Christiny podszedł basista. Christina uśmiechnęła się, a basista nachylił się i pocałował ją w usta. Potem Gwen zauważyła Moore'a przebijającego się przez tłum. Był jeszcze zbyt daleko, by mogła ustalić, czy uśmiecha się, czy nie. Christina

również go zauważyła, bo zerwała się z krzesła i chwyciła Gwen mocno za rękę. I tak stały obie wpatrzone w posłańca dobrych lub złych wiadomości, manewrującego między roztańczonymi parami i tymi, co zdążyli wypić już stanowczo za dużo.

Tej nocy kochali się bardzo namiętnie i w kompletnej ciszy. Potem Laurence patrzył na Gwen tak czule, z takim uwielbieniem, że kompletnie nie mogła zrozumieć, jak mogła w ogóle pomyśleć, że Laurence nadal pragnie Christiny. On, który przez te lata dbał o ich miłość, nieustannie jej udowadniając, jak gorącym darzy ją uczuciem. Te serdeczne dowody pamięci, jak naszyjnik z nefrytów, prezent z okazji urodzin, czy też zwój malowanego w kwiaty jedwabiu przywieziony z Indii. A przede wszystkim miliony miłych gestów, uśmiechów, spojrzeń.

Gwen, wdzięczna za każdą chwilę wspólnego życia, obsypała go gorącymi pocałunkami.

– Chwileczkę, a za co to? – spytał.

– Za to, że jestem bardzo szczęśliwą kobietą.

– Moje szczęście jest na pewno większe!

Gwen uśmiechnęła się.

– Oboje jesteśmy szczęśliwi.

Poszła do łazienki. Odkręciła wodę, by opłukać twarz. Taka lekka i radosna. Bo ten wieczór był jednak udany. Moore przyniósł dobre wieści. Udało mu się przesunąć realizację zleceń kilku klientów z grudnia na inny termin, a więc zdąży ze wszystkim. Zaatakują konkurenta przed jego kampanią, a potem jeszcze raz w lutym. Będzie dobrze.

Gwen zakręciła kran, wytarła twarz ręcznikiem i wtedy usłyszała, że w sypialni zadzwonił telefon. Drzwi do łazienki były uchylone, słyszała więc, jak Laurence podnosi słuchawkę.

– Przecież rozmawialiśmy już o tym – powiedział bardzo cicho, ale do uszu Gwen dotarło każde słowo. – A ty znowu chcesz to wałkować i właśnie teraz. Sądziłem, że doszliśmy już do porozumienia.

Potem cisza. I znowu Laurence:

– Proszę, nie płacz. Wiesz, że cię kocham, ale niestety wszystko się zmieniło. Nie jest tak jak kiedyś. Mówiłem ci już, jak teraz to wygląda.

Znowu cisza. Gwen słyszała tylko dudnienie swojego serca.

A potem:

– Dobrze. Zobaczę, co da się zrobić. Oczywiście, że cię kocham. Ale musisz już

z tym skończyć. Raz na zawsze.

Gwen objęła się ramionami.

– Tak, możliwie jak najszybciej. Przyrzekam.

Gwen zgięła się wpół. O Boże! Jak mogła tak dać się zwieść tej podłej Amerykance!

32

Kiedy znaleźli się na pokładzie statku płynącego na Cejlon, Gwen zebrała się w końcu na odwagę i spytała Laurence'a o tę nocną rozmowę. Wymamrotał coś o pracy i odwrócił się. A Gwen chciała wręcz rozpaczliwie, by przyznał, że Christina nadal ma na jego punkcie obsesję. Niestety, nie stać go było na szczerość i Gwen czuła się zraniona i rozgoryczona, ponieważ nie mogła domagać się wyjaśnień w sposób bardziej stanowczy. Byli przecież na statku, gdzie trudno się ukryć przed innymi i gwałtowna wymiana zdań na pewno nie uszłaby uwagi współpasażerów. Jakby tego było mało, tuż po powrocie do domu, kiedy siedzieli w salonie, wypoczywając po długiej podróży, nagle pojawiła się cuchnąca alkoholem i papierosami Verity. I wszystkie inne sprawy zeszły na drugi plan.

Drzwi otworzył kamerdyner, a Verity weszła do pokoju chwiejnym krokiem. McGregor już przedtem przekazał im, że Verity zlekceważyła instrukcje Laurence'a i podczas ich nieobecności przebywała w domu. Przyjeżdżała pijana, zostawała na dzień, dwa, po czym znikała na jakiś czas. Robiła to nieregularnie, więc McGregor nie widział jej, ale inni tak.

Na widok siostry nieuczesanej i wymiętej Laurence wstał i mieniąc się na twarzy, spytał, co się dzieje. Verity osunęła się na krzesło, zwiesiła głowę i objąwszy rękoma kolana, zaczęła rozpaczliwie szlochać. Gwen momentalnie zerwała się z krzesła. Przykucnęła przy niej i łagodnie poprosiła, by Verity opowiedziała, co się stało.

– Nie mogę – zajęczała Verity. – Co ja narobiłam**...** Co ja narobiłam**...**

Gwen, pragnąc podtrzymać ją na duchu, podniosła rękę, by pogłaskać szwagierkę. Ale Verity żachnęła się i odepchnęła dłoń Gwen. Niezrażona Gwen pytała dalej:

– Czy chodzi o Alexandra? Powiedz, może będziemy mogli ci pomóc.

– Nikt mi nie może pomóc!

– Alexander też nie? – zapytał Laurence. – Przecież to taki przyzwoity człowiek, a ty mówisz, że nie możesz na niego liczyć. To po co za niego wyszłaś?

– Tu nie chodzi o niego**...** nie o niego**...** Ty i tak nie zrozumiesz!

– Czego? Powiedz wreszcie, o co chodzi!

– Powiedz, Verity – zawtórowała mu Gwen. – Jeśli nie powiesz, nie będziemy mogli ci pomóc.

Verity wymamrotała coś i znów się rozszlochała. Gwen i Laurence, zaniepokojeni nie na żarty, wymienili spojrzenia i Gwen odniosła wrażenie, że Laurence nie czuje się pewnie w tej sytuacji. Dlatego postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce i zachęcała szwagierkę, by zdobyła się wreszcie na szczerość.

– Zaufaj nam, kochanie, i powiedz wszystko. Jestem pewna, że jakoś da się temu zaradzić.

Verity przestała płakać, ale milczała. Zapadła cisza. Gwen po chwili wstała, podeszła do okna i spoglądając na jezioro, mimo woli porównywała szwagierkę z kuzynką Fran. Jakże różniły się od siebie! Obie miały za sobą smutne przeżycia. Straciły rodziców. Fran nadal była pełna wigoru, gotowa na podbój świata, Verity była osobą niespokojną, o zmiennych nastrojach. A teraz musiało jej się przytrafić coś naprawdę złego**...**

Odwróciła się, bo usłyszała, że Verity wreszcie zaczęła coś mówić cichym, nabrzmiałym od emocji głosem.

– Co? – zapytał Laurence głośno. – Co powiedziałaś o Hugh? Powtórz!

Verity, zagryzając wargę, uniosła głowę.

– Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro.

Była tak blada, że Gwen zrobiło jej się żal. Nadal jednak nie wiedziała, o co chodzi. Natomiast Laurence ze stężałą twarzą podszedł do siostry i chwycił ją mocno za ramiona, zmuszając, by usiadła prosto.

– Powtórz to, Verity. Żeby Gwen też usłyszała. – Puścił ją.

Verity skuliła się, ukryła twarz w dłoniach i milczała. Laurence poczerwieniał i ponownie chwycił ją za ramiona.

– Mów, słyszysz? Mów!

Przez chwilę wpatrywała się w niego, potem jej ręce zatrzepotały, kiedy starała się zakryć twarz.

– Na Boga, mów! Bo inaczej sam z ciebie to wytrząsnę!

– Przepraszam, przepraszam**...**

Gwen zrobiła krok do przodu.

– Za co przepraszasz, Verity?

Verity spuściła głowę.

– Ja chyba w końcu zwariuję. Tak. Nie mogę sobie tego wybaczyć. Przecież kocham go. Chyba w to nie wątpicie?

– Nie rozumiem – powiedziała Gwen. – O kogo chodzi? Może o Saviego Ravasinghe?

Verity uniosła głowę, a Gwen drgnęła. Spojrzenie szwagierki było teraz

przeszywające.

– Verity? Co się dzieje? Wystraszyłaś mnie!

– Masz jej powiedzieć, słyszysz?! Natychmiast! – wykrzyknął Laurence.

Po dłuższej chwili Verity zaczęła coś mamrotać.

– Głośniej!

– Dobrze – powiedziała i teraz zaczęła mówić głośno i wyraźnie: – Nie zawiozłam Hugh na szczepienie na dyfteryt.

Gwen zmarszczyła brwi.

– Zaraz**...** To niemożliwe. Przecież go zawiozłaś! Pamiętam, że bolała mnie głowa i dlatego ty z nim pojechałaś.

Verity pokręciła głową.

– Nie, Gwen.

– Jak to?

– Nie zawiozłam go na szczepienie. Nie zawiozłam! Nie!

Znów zaczęła płakać. Gwen czuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy.

– Ale powiedziałaś, że byłaś tam z nim**...**

– Nie. Pojechałam do Pru Bertram. Razem z Hugh. Było tam kilka osób. Wypiliśmy trochę za dużo i kompletnie zapomniałam o szczepieniu.

Laurence zrobił gwałtowny ruch, jakby miał ochotę ją uderzyć, ale się powstrzymał. Tylko odepchnął ją, by była dalej od niego, i starał się opanować.

Gniew wyładował na kanapie, waląc pięścią.

Kiedy Verity złapała go za rękę, znów ją odepchnął.

– Wyjdź stąd! Natychmiast! Nie mogę na ciebie patrzeć! – krzyknął.

– Laurence, proszę, nie mów tak**...**

Gwen czuła, jak jej serce przyspiesza, oddech też i jest coraz płytszy, a to, co przed oczami, staje się niewyraźne, zamazane i zaczyna się zlewać. Szybko potrząsnęła głową.

Laurence mówił dalej:

– Dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś? Przecież można tam było pojechać innym razem.

– Bałam się**...** – bąknęła Verity i zaczęła obgryzać paznokcie. – Bałam się, że będziesz się gniewał na mnie. Ty i Gwen.

Gwen stała jak posąg. Zdawała sobie sprawę, że jeśli nie zapanuje nad sobą, będzie tego żałować.

– Czyli co? – odezwał się Laurence lodowatym głosem. – Ponieważ miałaś ochotę się upić, naraziłaś mego syna na śmiertelne niebezpieczeństwo! Doskonale wiesz,

jaka to groźna choroba!

– Wiem! Wiem! Ale myślałam, że nic mu się nie stanie. Zachorował, ale przecież wyzdrowiał, prawda?! Bardzo was przepraszam, przepraszam**...**

– A dlaczego mówisz nam o tym teraz?

– Bo nie mogę o tym zapomnieć. Nie mogę przez to spać. Widziałam chorą dziewczynkę, na to samo co Hugh. Nie mogłam już dłużej tego znieść.

– Nie mogłaś tego znieść? – Oczy Gwen błyszczały. – A czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co musi znieść kobieta, która straciła dziecko?

Teraz już, półprzytomna z gniewu, nie panowała nad sobą. Rzuciła się na Verity i pięściami zaczęła walić ją w plecy i ramiona. Verity skuliła się, zasłaniając głowę rękami. Po kilku nieudolnych ciosach Gwen znieruchomiała, z jej piersi wydobył się krótki, zdławiony szloch.

Laurence podprowadził ją do kanapy, posadził i zadzwonił na służbę. A Gwen, z bladą, nieruchomą twarzą, zaczęła się kołysać. Do przodu i w tył, do przodu i w tył**...** Nagle przez głowę przemknęła jej złowroga myśl.

– To ty robiłaś mi tę miksturę! Robiłaś po swojemu, nie tak, jak kazał doktor!

Verity nagle ożyła, płacząc i krzycząc jednocześnie:

– Bo nie chciałam tu ciebie! To jest mój dom! Mój!

Laurence stał nieruchomo. Na jego twarzy widać było udrękę.

– Mogłaś ją zabić – powiedział cicho, prawie szeptem.

Gwen zamknęła oczy. Słyszała, jak Laurence głośno i wyraźnie każe siostrze natychmiast wynosić się z domu. Ma mu się nie pokazywać na oczy i zapomnieć o apanażach. Od niego nie dostanie już nigdy nawet centa.

Październik dobiegał końca i wkrótce miały przyjść deszcze. Te ostatnie pogodne dni Laurence spędzał poza domem. Chodził na długie spacery z psami. Gwen czuła do niego żal, że po okropnej awanturze z Verity zostawia ją na długie godziny samą w tej przygnębiającej atmosferze. Gwen zawsze chciała, by Verity opuściła ich dom, ale nie musiało się to odbyć w tak przykrych okolicznościach. Oczywiście, była na nią zła, bardzo zła, jednocześnie jednak szwagierka budziła w niej litość i dlatego często się zastanawiała, co zrobi Verity, jak potoczą się jej dalsze losy. W rezultacie jakoś nie miała siły pytać męża o tę rozmowę telefoniczną z Christiną, którą podsłuchała w Nowym Jorku. Była zadowolona, że sporo czasu minie, zanim Christina złoży im kolejną wizytę.

Tak upłynął cały tydzień. A siódmego dnia do domu Hooperów przyjechał doktor Partridge. Stał teraz przy oknie wpatrzony w jezioro.

– Piękny widok, bardzo piękny – powiedział i podszedł do Gwen, która siedziała na krześle przy łóżku, trzymając za rękę Liyoni, i z bijącym sercem czekała na diagnozę. Do doktora dzwoniła już wcześniej, kiedy tylko zauważyła u Liyoni niepokojące zmiany. Ale doktora nie było w domu i mógł przyjechać dopiero dziś.

Doktor podniósł obie ręce dziewczynki i puścił je. Ręce opadły na łóżko bezwładnie, tak samo było z nogami. Zbadał kolana, kostki. Żadnych odruchów, a jeśli już, to minimalne. Odchrząknął i spojrzał na Gwen, ruchem głowy wskazując, by odeszli.

– Nie mam dobrych wiadomości – powiedział półgłosem, kiedy stanęli przy oknie. – Niestety, wszystko wskazuje na to, że jest inaczej, niż myślałem.

– Ale przecież podczas ostatniej wizyty mówiłeś, że stan Liyoni na pewno się poprawi.

– Byłem pewien, że przyczyną jej słabej kondycji jest niedożywienie. To dziecko przecież nie rosło w dostatku. Teraz jednak obawiam się, że chodzi tu o wyniszczającą, podstępną chorobę. Czy Liyoni miewa trudności z oddychaniem? Czy łatwo się przeziębia?

– Tak.

– Mówiłaś też, że zaczęła się garbić?

Gwen zagryzła wargę.

– Nie mam całkowitej pewności, Gwen, ale podejrzewam, że z powodu zwyrodnień w kręgosłupie mięśnie dziewczynki zaczynają zanikać.

Gwen, przerażona, zasłoniła ręką usta.

– Bardzo mi przykro.

– Ale są na to jakieś lekarstwa, prawda? Można jakoś z tym walczyć?

– Na tego rodzaju atrofię nie ma lekarstwa. Jej stan prawdopodobnie będzie się tylko pogarszał, aż dojdzie do zatrzymania akcji serca.

Gwen, która starała się za wszelką cenę nie ulec emocjom, teraz się poddała. Blada jak ściana, zgięła się wpół, jakby ktoś ją uderzył. Doktor chciał ją podtrzymać, ale nie pozwoliła sobie pomóc. Bała się jego współczucia, życzliwości, mogłoby to przecież przerwać tamę i raptem wylałoby się z niej wszystko, co przez tyle lat ukrywała w najgłębszym zakamarku serca.

Zrobiła głęboki wdech i oparła się o krzesło.

– Czy nie moglibyśmy jednak czegoś zrobić dla tego biednego dziecka? Liyoni nie ma nikogo. Tylko Naveenę**...** i nas.

– Tak. Trzeba zamówić wózek inwalidzki. Zajmę się tym.

Zadrżała.

– Wó**...** wózek?

– Moim zdaniem będzie potrzebny. Może chcesz, żebym się wstrzymał, dopóki nie zasięgniesz porady u innego lekarza?

– Chcę wiedzieć, czy Liyoni nadal będzie mogła pływać.

– Przez jakiś czas na pewno, jest to jak najbardziej wskazane. Woda łagodzi ból, będzie też masować nogi i kręgosłup.

– A co potem? Kiedy nie będzie mogła już pływać?

– Pokażę *ayah*, jak masować jej nogi.

– John, powiedz, proszę, czy gdyby można było Liyoni sprowadzić tu wcześniej**...**

– Nie doszłoby do tego? O to ci chodzi?

– Tak.

– Moim zdaniem, to nie ma żadnego znaczenia. To choroba wrodzona, może ujawnić się w każdym wieku. U dorosłych postępuje powoli, u dzieci bardzo szybko.

Kiedy doktor wyszedł, Gwen ostrożnie ułożyła się obok dziewczynki i, delikatnie głaszcząc jej rozpalone czoło, szepnęła żarliwie:

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Zobaczysz, wyzdrowiejesz.

Następnego ranka Naveena nalegała, by Liyoni umieścić w pokoju dziecięcym, a ona będzie czuwać przy niej cały dzień. Miała rację, ponieważ obarczona wieloma obowiązkami Gwen nie była w stanie poświęcić dziecku tyle czasu.

Kiedy Gwen została sama, w pamięci ożył wieczór w Stork Club. Cała wyprawa do Nowego Jorku teraz jawiła się jej jak piękny sen. Owszem, zakłócony przez tę rozmowę telefoniczną, ale o tym Gwen wolała nie myśleć. Lepiej wspominać tylko to, co było fascynujące.

Po chwili, jak zwykle, spojrzała przez okno na jezioro, z nadzieją że widok gładkiej tafli wody wleje w jej duszę spokój. Tym razem jednak to nie srebrzysta woda przykuła jej wzrok, lecz wysoka postać na jej tle. Laurence. Nie sam – niósł ciemnoskórą dziewczynkę, obok szedł Hugh i kręciły się psy.

Laurence i Liyoni. Ten widok poruszył Gwen tak bardzo, że błyskawicznie zapomniała o wszystkim, co ją trapi, o potrzebie zachowania jak największej ostrożności. Szybko włożyła jedwabny szlafrok i wyszła na werandę. Dzień był piękny. Na dworze roiło się od ptaków. Spowity w mgłę ogród teraz o barwach delikatniejszych i niewyraźnych konturach wyglądał jak ogród na obrazie impresjonisty. A daleko na horyzoncie widać było dumną sylwetkę orła przelatującego nad oceanem.

W dole niewielka rodzina Gwen schodziła nad jezioro. Psy zwietrzyły swoją panią

i popędziły do niej. Spew z wywieszonym różowym językiem i Ginger, która biegnąc za nim, próbowała złapać zębami jego ogon. Gwen pogłaskała Spew. Rozbrykany pies podskakiwał i ocierał się o jej nogi. Szlafrok miała już mokry, ale cała jej uwaga skupiona była na tym, co dzieje się nad jeziorem.

Laurence zszedł po ostatnich kilku stopniach i położył dziewczynkę w wodzie. Stadko spłoszonych kormoranów zerwało się do lotu. Serce Gwen prawie przestało bić. Woda w tym miejscu nie była głęboka, dziecku nic nie groziło. Ale Liyoni nie ruszała się i to było przerażające.

Z jednej strony dziewczynki stał Laurence, z drugiej Hugh, który wszedł do wody. Liyoni nie ruszała się jeszcze przez kilka sekund, a potem nagle obróciła się na brzuch i jej ręce zatrzepotały. Zaczęła płynąć.

Gwen, czując niewysłowioną ulgę, szybko zeszła na brzeg,

– Jak to miło, że pomogłeś choremu dziecku – powiedziała, uśmiechając się do męża promiennie. On się jednak nie uśmiechał, miał dziwną minę, a głos lekko zachrypnięty.

– Partridge powiedział mi o jej chorobie. Wiem, że bardzo lubisz tę dziewczynkę. Szczerze mówiąc, zaczynam już przyzwyczajać się do jej obecności.

Gwen była tak wzruszona, że wolała się nie odzywać. Poza tym nie znała przyczyny tej zmiany w nastawieniu Laurence'a do Liyoni, czuła się więc trochę zdezorientowana. Przede wszystkim jednak wzruszona i szczęśliwa.

Wzięła go pod rękę i tak stali razem, śledząc wzrokiem Liyoni.

– Laurence? Nie powinna płynąć za daleko, prawda?

– Nie martw się. Jeśli tylko coś będzie nie tak, od razu wskoczę do wody. Dobrze wiem, że potrafi być zachłanna i zabrać tych, których kochasz**...** A kiedy ich zabraknie, uświadamiasz sobie, ile dla ciebie znaczyli**...**

– Mówisz o tamtym dniu, prawda? O Caroline?

– Tak. Przecież wiesz, co się stało.

– Wiem**...** Ale**...** Przepraszam, że ciebie o to pytam, ale gdzie to się stało? Powiedziałeś mi tylko, że nie tu, nie w tym jeziorze.

– Nie. To się zdarzyło w rozlewisku u stóp wodospadu. Caroline z Thomasem na ręku weszła do wody. Kiedy ma się dziecko na ręku, nie ma mowy o pływaniu, prawda? Tamtego dnia Naveena instynktownie wyczuła, że z Caroline jest bardzo niedobrze. Dlatego poszła za nimi. Gdyby nie ona, nikt nigdy by się nie dowiedział, co naprawdę się stało. I może tak byłoby lepiej**...**

– Poszła za nimi? Nie mogła ich powstrzymać?

– Niestety nie, wszystko działo się za szybko.

– A kto ich znalazł? Naveena?

Laurence nie odzywał się, tylko położył rękę na piersi i głęboko nabrał powietrza. Wyglądał tak, jakby nagle przybyło mu lat. I teraz dopiero Gwen zobaczyła, że jego włosy są już przetkane siwizną.

– Przepraszam, Laurensie, nie chciałam być natarczywa. Nie musisz mi nic mówić.

Spojrzał w dół, na nią, a ona w górę na niego, osłaniając ręką oczy przed słońcem.

– Nie, nie. Powiem ci. Naveena przybiegła po nas. McGregor znalazł Thomasa, a ja Caroline. Miała na sobie ulubioną jedwabną suknię w kolorze morskiej zieleni. Jakby wybierała się na przyjęcie. Jakby to było jakieś przesłanie**...** Ta woda spadająca ze skalnych progów z taką siłą od razu ich rozdzieliła. Thomas**...** został znaleziony jakieś dwadzieścia metrów dalej. Martwy. Caroline przed wyjściem z domu wszystkie jego ubranka spakowała do tej skrzyni, którą znalazłaś.

– Tak mi przykro**...** – szepnęła Gwen.

Oparła się o niego. Bardzo mu współczuła, a ponieważ otworzył się przed nią, chciała zrobić to samo i wyznać mu choć jedną z dręczących tajemnic. Na przykład to, że domyśla się, z kim tamtego wieczoru w Nowym Jorku rozmawiał przez telefon. Jednak nie powiedziała nic, uznając, że pora jest nieodpowiednia i lepiej odłożyć to na później.

W niedzielę wieczorem Hugh pojechał do szkoły, a w środę wczesnym rankiem McGregor zawiózł Gwen i Laurence'a do Kolombo, gdzie Gwen miała spotkać się z Fran. Kiedy dojechali na miejsce, Laurence przykazał żonie, że ma nie ruszać się z centrum, ponieważ na obrzeżach miasta zamieszkanych przez biedotę zrobiło się niespokojnie i doszło do bijatyk.

Gwen zmarszczyła brwi.

– Nie boję się tłumu.

– Ale to nie jest taki zwyczajny tłum. Nie ma o czym mówić. Możesz pochodzić sobie tylko po sklepach i zaraz wracaj do hotelu – oświadczył Laurence i każde z nich poszło w swoją stronę. Laurence **–** załatwić sprawy związane z przewiezieniem statkiem większych ilości herbaty na zachodnie wybrzeże Stanów, gdzie herbata miała być paczkowana w pomieszczeniach wynajętych już przez Christinę, a Gwen – na zakupy.

Nieoczekiwanie na werandzie w Galle Face Hotel natknęła się na wyperfumowaną, podpitą Verity, wymachującą papierosem.

– O, jesteś tu – wymamrotała na widok Gwen, uśmiechając się krzywo. –

Słyszałam, że wybierałaś się do Kolombo, ale twojej kuzynki już tu nie ma. Wyjechała razem z mężem.

– Co ty mówisz? – zdziwiła się Gwen, zmuszona podejść bliżej. – Fran nie ma męża.

– A właśnie że ma! – oświadczyła Verity, siadając ciężko na najbliżej stojącym krześle. – Uff**...** Jestem skonana. Nie czuję nóg.

Wyglądała niechlujnie. Cienkie brązowe włosy lepiły jej się do głowy, ubranie było przybrudzone i pomięte.

Gwen wyciągnęła do niej rękę.

– Chodź, Verity! Zaprowadzę cię do twojego pokoju. W takim stanie nie powinnaś pokazywać się ludziom.

– Ale ja wcale nie mieszkam w tym hotelu.

– Nie? A więc gdzie?

– W różnych miejscach. Ostatnią noc spędziłam u pewnego młodego człowieka, bardzo sympatycznego. Miał niebieskie oczy. – Zamilkła na chwilę. – O, nie! Oczy miał brązowe!

Gwen zjeżyła się świadoma, że Verity właśnie o to chodzi. Chce ją rozdrażnić, po prostu bawi się nią, bo nie czuje ani odrobiny skruchy. Zachowuje się tak, jakby ta okropna scena w ich domu nigdy się nie rozegrała.

– Kolor oczu jest nieważny. Wstań, Verity. Idziemy do naszego pokoju.

Jakoś udało jej się doprowadzić szwagierkę do schodów, a nawet pokonać kilka stopni. Na półpiętrze jednak Verity znieruchomiała.

– Idziemy! – ponagliła Gwen, popychając ją do przodu. – Jeszcze nie doszłyśmy.

Verity, stojąc o jeden stopień wyżej, spojrzała na Gwen i szturchnęła ją w pierś.

– A ty nie wyobrażaj sobie, że jesteś taka sprytna.

Gwen spojrzała na zegarek i westchnęła.

– Wcale nie uważam, że jestem sprytna. Lepiej pospiesz się, bo chcę, żebyś zdążyła wytrzeźwieć, zanim wróci Laurence. Wiesz dobrze, że on nie chce cię widzieć, ale jeśli zobaczy cię w takim stanie, na pewno nie zmieni zdania. Chyba że wypijesz galon kawy!

– Nie. Najpierw musisz mnie wysłuchać.

Spojrzały sobie w oczy, co wystarczyło, by Gwen poczuła się zdecydowanie mniej pewnie. Ze spotkania z Fran jak na razie nic nie wyszło, poza tym po zakupach czuła się nieświeżo i jedynym jej marzeniem była gorąca kąpiel, a nie użeranie się ze szwagierką, która twierdzi, że Fran wyszła za mąż.

– Gwen, czy ty mnie słuchasz?

Stały tak blisko siebie, że Gwen doskonale czuła jej nieświeży oddech. Nie było to miłe, dlatego nie mogła się powstrzymać od ironii.

– Taka jesteś niecierpliwa? Więc proszę, wyrzuć to z siebie i będzie ci lżej!

– Spokojnie – powiedziała Verity, robiąc w jej stronę chwiejny krok. – Zaraz odechce ci się głupich żartów.

– Lepiej chodźmy już na górę. Tylko uważaj, bo jeszcze spadniesz z tych schodów.

Verity nie ruszyła się z miejsca, tylko wymamrotała coś pod nosem.

– Wyraźniej nie mogłaś tego powiedzieć, Verity! O co chodzi?

– O to, że ja wiem.

– Robisz się nudna. Przecież mówiłaś mi już o Fran. A teraz chodź, bo zaczynam tracić cierpliwość.

Próbowała znów popchnąć szwagierkę. Ta niby pokiwała głową, jednocześnie jednak zakleszczając palce na balustradzie.

Tym razem odezwała się pełnym głosem:

– Wiem, że Liyoni jest twoją córką.

Gwen uderzyła krew do głowy, znieruchomiała. Jej umysł funkcjonował nadal aż za dobrze, ciało natomiast doznało szoku. W głowie zabrzęczało, jakby zagnieździł się tam rój pszczół i Gwen doświadczyła na własnej skórze, jak to jest, kiedy raptem ogarnia cię przemożna chęć wykonania jednej, prostej czynności. Zabić. Popchnąć szwagierkę, tylko raz, ale porządnie. Verity jest pijana, nikt nie będzie się dziwił, że spadła ze schodów. Po prostu nieszczęśliwy wypadek.

Tak, ta myśl pojawiła się w jej głowie. Znikła jednak równie szybko.

– No i co? Zamurowało cię? – spytała Verity pogardliwym tonem i ruszyła po schodach na górę.

Gwen przywarła do balustrady, czując teraz paniczny strach, który pozbawia człowieka umiejętności oddychania. Na próżno otwierała i zamykała usta. Dopiero kiedy przez głowę przemknęła myśl, że wygląda jak zdychająca ryba, płuca przypomniały sobie o swoim zadaniu i odzyskała oddech, a potem powoli zaczęła wchodzić po schodach. Milczała, bo bała się powiedzieć choćby jedno słowo.

Verity też już się nie odzywała. Pierwsza weszła do pokoju chwiejnym krokiem. Rozsiadła się w fotelu i z ponurą miną zaczęła wpatrywać się w wyszukany wzór eleganckiego parkietu. Patrzyła tak przez dłuższą chwilę, po czym przeniosła wzrok na Gwen, która z kolei usiłując choć trochę uspokoić rozszalałe serce, zajęła się prostą czynnością, czyli składaniem i rozkładaniem koszul Laurence'a.

– Nie bądź śmieszna, Gwen. Te koszule składasz już po raz trzeci.

– Co?

– To, że przypadkiem słyszałam, jak rozmawiałaś z Naveeną. A potem sprowadziłaś do domu tego kolorowego dzieciaka.

– W takim razie musiałaś się przesłyszeć. Zadzwonię i każę przynieść kawę. Jak napijesz się kawy, przestaniesz wygadywać głupstwa.

Verity, potrząsając głową, sięgnęła do torebki i wyjęła z niej plik białych kartek z rysunkami węglem, na widok których serce Gwen omal nie wyskoczyło z piersi.

– Widzisz, co to jest? Widzisz?! – zawołała Verity, wymachując kartkami. – To jest coś, co powiedziało mi wszystko, co chciałam wiedzieć!

Gwen była świadoma, że jeśli teraz się odezwie, jej głos zdradzi strach. Dlatego nie powiedziała nic, tylko podbiegła do szwagierki i próbowała wyrwać jej kartki z rąk.

– O, nie! – krzyknęła Verity, chowając rękę za siebie. – Nie mam najmniejszego zamiaru się ich pozbywać!

Podczas szarpaniny został oderwany kawałek kartki. Sfrunął na podłogę. Gwen nachyliła się, by go podnieść, a jednocześnie zyskać parę sekund, zanim znów stawi czoło Verity.

– Jak śmiałaś grzebać w moich rzeczach! To niepojęte, co ty wyprawiasz! Poza tym nie masz pojęcia, co to za rysunki!

Verity zaśmiała się szyderczo.

– Czyżby? Wyobraź sobie, że czytałam kiedyś fascynujący artykuł o kobiecie z Indii Zachodnich, która urodziła dziwne bliźnięta, bo jedno było białe, a drugie kolorowe. Okazało się, że sypiała nie tylko z mężem. Także ze swoim chlebodawcą. Myślę, że Laurence'a bardzo by to zainteresowało, nie sądzisz?

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Gwen miotały różne uczucia. Gniew i strach. Także przerażające uczucie pustki. Czegoś takiego nigdy nie czuła. Na tych kartkach były nie tylko rysunki. Także krótkie zdania, z których można było wywnioskować, że Liyoni chodzi już do małej wiejskiej szkoły i uczy się pisać. A na kilku ostatnich rysunkach napisała, że przybrana matka opowiadała jej o białej pani, która być może pewnego dnia przyjedzie po Liyoni.

Naveena naturalnie musiała to przetłumaczyć Gwen, ponieważ Liyoni pisała po syngalesku. Verity nikt nie musiał nic tłumaczyć, znała syngaleski bardzo dobrze.

– Chyba wiesz, Gwen, że jeśli Laurence zażąda od Naveeny wyjaśnień, będzie musiała powiedzieć mu wszystko.

– Ach, mam już tego dość – wymamrotała Gwen bardziej do siebie niż do Verity i podeszła do okna. Otworzyła je i próbując się uspokoić, patrzyła na duży trawnik przed hotelem, na drogę, która ten trawnik przecinała, i na rośliny rosnące

w pęknięciach nadmorskiego wału. Kiedy nagle usłyszała śmiech dzieci biegnących z latawcem, w jej oczach zakręciły się łzy.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Moja kawa – oznajmiła Verity. – Możesz mi ją podać? Jestem tak zmęczona, że nie mam siły się ruszyć.

Kiedy kelner wyszedł, Gwen nalała kawy do filiżanek.

– Mam dla ciebie propozycję – powiedziała Verity po wypiciu pierwszego łyka. – Jeśli obiecasz mi, że wpłyniesz na Laurence'a, by przywrócił mi apanaże, nic mu nie powiem.

– To szantaż!

Verity skłoniła głowę.

– Możesz sobie to nazywać, jak chcesz. Twoja sprawa.

Gwen usiadła, zastanawiając się gorączkowo, co odpowiedzieć, by tę sprawę można było uznać za zamkniętą. Przy okazji poparzyła sobie wargi kawą.

– Zastanów się, Gwen. A teraz zmieniamy temat: chcesz wiedzieć, za kogo wyszła twoja kuzynka?

– Zaserwujesz kolejne kłamstwo?

– Wcale nie. Tylko najprawdziwszą prawdę. Widziałam ich razem, poza tym od razu zauważyłam u twojej kuzynki nie tylko pierścionek zaręczynowy z wielkim diamentem, otoczonym szafirami. Zauważyłam też złotą obrączkę. Taką samą obrączkę miał mężczyzna, choć starał się z tym nie afiszować.

Gwen skrzyżowała ramiona i oparła się wygodniej. Ciekawe, kogo to wymieni droga szwagierka**...**

– A więc kto?

Verity uśmiechnęła się szeroko.

– Savi Ravasinghe.

Gwen, spoglądając na jej twarz ozłoconą promieniami słońca, z największym trudem poskromiła gwałtowną chęć, by ją udusić.

Verity roześmiała się.

– To ojciec twojego bękarta, prawda? Nie może być inaczej, skoro to jedyny kolorowy mężczyzna, jakiego znasz. Owszem, są jeszcze służący, ale nie sądzę, żebyś upadła tak nisko. Czyli Savi! Oczywiście. Mnie nie oszukasz. Przejrzałam cię na wylot!

Gwen czuła, że chce jej się wyć. Miała w głowie tylko kilka słów: „Błagam cię, nic nie mów Laurence'owi. Błagam!”.

– Florence wspomniała mi, że widziała was, jak podczas tego balu wchodziliście

razem po schodach, a poza tym, kiedy Fran była chora, spotkałaś się z Savim. Byliście sam na sam! Teraz Savi, jako mąż, jest współwłaścicielem udziałów Fran w plantacji. Laurence'owi na pewno to się nie spodoba. A jeśli powiem mu jeszcze o twojej córce, na pewno pozwoli mi wrócić do domu!

Gwen wstała.

– W porządku. Porozmawiam z nim o twoich apanażach.

– Czyli to prawda? Liyoni jest twoją córką?

– Tego nie powiedziałam. Dlaczego ciągle przekręcasz moje słowa? Ja po prostu chcę ci pomóc.

Zdawała sobie sprawę, że nie zabrzmiało to przekonywająco, czego najlepszym dowodem była reakcja Verity, która odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Och, Gwen! Jak łatwo wyprowadzić cię w pole! Przecież ja wcale nie podsłuchałam żadnej twojej rozmowy z Naveeną! Tylko coś zauważyłam, kiedy to dziecko siedziało obok ciebie i słońce padało na wasze twarze. Macie te same rysy. I włosy. Zwykle Liyoni nosi warkocze, ale tamtego dnia pływała w jeziorze, więc rozpuściłaś jej włosy, żeby wyschły. Wtedy zobaczyłam te loki. Identyczne jak twoje.

Gwen próbowała jej przerwać, ale na próżno.

– Daj mi dokończyć! A więc zaczęłam przyglądać się wam uważniej, a kiedy pojechaliście do Nowego Jorku, przeszukałam twój pokój i znalazłam skrzynkę zamykaną na kluczyk, a w środku obrazki dziecka. Dlaczego przechowujesz te rysunki pod kluczem?

Gwen czuła, że jej policzki płoną, dlatego szybko schyliła się, by podnieść z podłogi jakiś prawie niewidoczny kłaczek.

– Kiedy znalazłam te rysunki, nabrałam już całkowitej pewności – perorowała dalej Verity. – Rozmowa z tobą tylko to potwierdziła. Na pewno Savi Ravasinghe jest ojcem tego kolorowego dzieciaka. Jestem bardzo ciekawa, co powie na to twoja kuzynka!

Gwen wstała, założyła lok za ucho i zaczęła mówić, starając się, by jej głos nie zadrżał.

– Nie rozumiem, Verity, dlaczego tak bardzo ci zależy, by mnie zranić. Mnie i twego brata. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że byłby to dla niego bardzo bolesny cios?

Cisza.

– A więc**...**

– Bardzo kocham mojego brata!

– A więc dlaczego to robisz?

– Bo potrzebuję apanaży.

– Przecież masz męża.

Verity na moment zamknęła oczy i zrobiła szybki wdech.

– Robię to, bo nie chcę skończyć tak jak ty.

– O co ci dokładnie chodzi?

– Nieważne. Chcę tylko, żebyś porozmawiała z moim bratem.

– A jeśli tego nie zrobię, gotowa jesteś zniszczyć nasze życie?

– Ja po prostu spodziewam się, że apanaże znowu będą co miesiąc wpływać na moje konto. Jeśli tak się nie stanie, Laurence dowie się o wszystkim.

– Dobrze wiesz, że dopóki ta marka nie przyniesie zysków, Laurence nie będzie w stanie wypłacać ci apanaży.

– To już twoja sprawa. Zastanów się, jak to rozwiązać.

– A ty się zastanów, co powie Laurence, kiedy się dowie, że podbierałaś pieniądze przeznaczone na prowadzenie domu. Oczywiście! Widziałam na własne oczy, jak w spiżarni robiło się raptem pusto, a potem znowu pełno. A kiedy byłam chora, to ty miałaś klucze!

– Owszem, miałam. I bardzo dobrze współpracowało mi się z *appu*. Sprzedawaliśmy to i owo i dzieliliśmy się zyskiem. Śmiać nam się chciało, kiedy widzieliśmy, jak próbujesz znaleźć błąd w rachunkach! Tak było, ale nie ciesz się, bo trudno ci będzie cokolwiek udowodnić. Poza tym zawsze mogę powiedzieć, że pożyczałam sobie coś i zawsze oddawałam. A poza tym Laurence i tak machnie na to ręką, kiedy dowie się o tym bachorze!

– Dlaczego tak bardzo potrzebujesz pieniędzy? Co na to Alexander?

– Alexander? Jego w ogóle nie należy brać pod uwagę.

– No cóż**...** Postaram się przekonać Laurence'a, by pozwolił ci znów zamieszkać u nas.

Verity miała półprzymknięte oczy. Prawie spała. Gwen zdawała sobie sprawę, że szwagierka powinna opuścić hotel przed powrotem Laurence'a. Bezwzględnie. Bo chociaż miała nadzieję, że ze strony Verity to tylko czcze pogróżki, głupie gadanie pod wpływem alkoholu, czuła jednocześnie, że ona jest zdolna do wszystkiego. W rezultacie zamiast być czujna – przecież Laurence mógł pojawić się w każdej chwili – miotała się po pokoju. Chodziła tam i z powrotem, bijąc się z myślami i co chwila spoglądając na zegar. Ze zdenerwowania było jej niedobrze, a od dymu papierosów, które wypaliła Verity, miała mdłości. Do tego ten dławiący strach. Gwen zbierało się na płacz, łzy przecież zawsze dają ukojenie, ale powstrzymała je,

bo wiedziała, że nie ma co się pocieszać, że będzie dobrze. Nie wiedziała też, czy ma wierzyć w rewelacje o zamążpójściu Fran. Jeśli okaże się to prawdą, to niestety kuzynka Fran nie jest już jedyną osobą na świecie, z którą Gwen pragnęła porozmawiać.

33

Verity opuściła hotel przed powrotem Laurence'a, natomiast Fran się nie pojawiła. Gwen przez całą noc nie zmrużyła oka i, zasłuchana w szum oceanu, rozmyślała o tym, co powiedziała jej Verity. Zasnęła dopiero na ranem, na godzinę, może dwie. Następnego dnia Fran nadal nie dawała znaku życia, czym oboje byli zaniepokojeni, ale ponieważ wiedzieli, że wolna jak ptak Fran żyje, jak chce, uznali, że nie ma sensu dłużej czekać i trzeba wracać do domu. Gwen ani słowem nie wspomniała, że widziała się z Verity, ani że być może Fran jest już mężatką. Do samochodu wsiadała z ulgą i twardym postanowieniem, że całą drogę prześpi, bo to najlepsza metoda, by o tym wszystkim nie myśleć. Niestety, o spaniu nie było mowy, bo kiedy przejechali może kilometr, ruch na drodze zamarł. Riksiarzom, kluczącym między samochodami, udawało się jakoś jechać do przodu, ale samochody stały.

– Co, u diabła, się dzieje?

McGregor wyhamował gwałtownie, opuścił szybę i natychmiast poczuli charakterystyczne zapachy kolombijskiej ulicy. Słychać było jakieś okrzyki, gwizdy, śpiew, a raczej śpiewną recytację. Na ulicy panował względny spokój. Otwarte sklepy, na chodnikach mnóstwo przechodniów.

– Panie McGregor? Widzi pan coś? – spytała Gwen.

Pokręcił głową. Kiedy jednak Laurence, który siedział z przodu, otworzył drzwi, okrzyki i gwizdy stały się o wiele głośniejsze.

– Jest ich więcej, niż myślałem. Pójdę zobaczyć, co tam się dzieje. Nick, zostań w samochodzie. Może uda ci się jakoś stąd wyjechać.

– Musisz tam iść? – zaprotestowała Gwen. – Może zrobić się niebezpiecznie!

– Nic mi nie będzie.

Wysiadł, a Gwen i McGregor, tak jak kazał, czekali w samochodzie. Gwen, coraz bardziej niespokojna, z trudem wytrzymywała wlokące się w nieskończoność minuty. W aucie było bardzo gorąco. Kiedy poprosiła McGregora, by otworzył drzwi, nie tylko odmówił, ale zaczął też nerwowo postukiwać palcami w kierownicę i to jeszcze nasilało jej klaustrofobiczne odczucia. Hałas na ulicy stawał się coraz większy, gdzieś z tyłu słychać było walenie w bębny. Gwen odwróciła się i dojrzała kilka osób wykrzykujących jakieś hasła. Szli w stronę ich samochodu. Z przodu spostrzegła również grupę osób wymachujących kijami. Za tymi ludźmi szły pokrzykujące dzieci w wieku szkolnym, ubrane na biało.

Było oczywiste, że te dwie grupy będą na siebie nacierać. A na ich drodze stał samochód! Gwen, wystraszona, skuliła się; w tym momencie jakiś mężczyzna, mijając ich, uderzył kijem w dach samochodu i zaśmiał się.

– Niech pani sprawdzi, czy szyba jest domknięta, pani Hooper – powiedział McGregor. – Oni nam nic nie zrobią, ale lepiej żeby nie znalazła się pani w ogniu krzyżowym.

– A co z Laurence'em?

– Nic mu nie będzie.

Uwięzieni w samochodzie, mogli tylko patrzeć, jak obie grupy stają twarzą w twarz tuż za ich samochodem. Po chwili usłyszeli brzęk tłuczonego szkła.

– O Boże! – krzyknęła Gwen. – Oni rzucają butelkami! Żeby tylko nie trafili w te dzieci!

Poleciały też kamienie i kawałki betonu. Kilka kobiet zaczęło krzyczeć, ktoś coś krzyknął przez megafon. Błysnęło. Jedna raca, za nią drugą, a potem odgłos pospiesznie zasuwanych żaluzji w oknach wystawowych i nawoływania ludzi uciekających w boczne uliczki. Potem słup dymu, bo na środku ulicy zapłonęło ognisko. Gwen czuła, jak ze strachu sztywnieją jej kark i ramiona.

– Boję się, okropnie się boję o Laurence'a!

– Jeśli ma choć trochę rozumu, na pewno się gdzieś schował.

Kiedy wytężyła wzrok, starając się odszukać męża w tłumie, do samochodu podbiegło trzech mężczyzn. Wszyscy wparli się w auto z jednej strony i samochód zakołysał się.

– Panie McGregor!

– Pozabijam gnoi, pozabijam! Chcą wywrócić samochód!

Gwen była zaskoczona dosadnym językiem McGregora, ale nie to było teraz istotne, tylko to, co zrobił. Chwycił strzelbę i wycelował. Wystarczyło. Jeden z mężczyzn błyskawicznie odciągnął od samochodu dwóch pozostałych i cała trójka dołączyła do tłumu kłębiącego się za samochodem i chyba, ku wielkiej uldze Gwen, przemieszczającego się coraz dalej. Przed samochodem również zrobiło się pusto i McGregor ruszył powoli do przodu. Na chodnikach kręciło się kilka poturbowanych osób, niektóre ranne. Sytuacja z tyłu samochodu wyglądała coraz groźniej.

– Na litość boską! – jęknęła Gwen. – Gdzie policja? Gdzie jest Laurence?!

Rozglądała się na wszystkie strony i wreszcie go dostrzegła. Dojeżdżali do szkoły, czyli tam, skąd nadciągnął tłum. Laurence stał w drzwiach obok jakiejś Syngalezki, która była ranna. Kiedy podjechali jeszcze bliżej, Gwen zobaczyła na czole kobiety

ranę, z której sączyła się krew. Opuściła szybę w samochodzie, zaczęła wołać i machać. Laurence dostrzegł ją, kiwnął głową, wziął ranną kobietę pod łokieć i ruszył do samochodu. Tymczasem nadjechała policja konna uzbrojona w pałki i zaczęła rozpędzać tłum. Dzieci, ku wielkiej uldze Gwen, wbiegały do szkoły.

Laurence pomógł rannej kobiecie wsiąść do samochodu. Usiadła, obejmując głowę rękami. Wtedy rozległ się strzał.

– Nick, ruszamy! – polecił Laurence. – Gwen, masz coś, czym można by zatamować krew?

– Oczywiście, zaraz zajmę się panią – odparła, leciutko ściskając rękę nieznajomej kobiety, i zaczęła osuszać zakrwawione czoło swoim szalem.

Kobieta jęknęła cicho.

– Jestem nauczycielką. To miała być pokojowa demonstracja!

Laurence powiedział McGregorowi, żeby jechał do szpitala, potem spojrzał na Gwen.

– Chodzi o język wykładowy w szkole. Syngalezi chcą, żeby był to tylko syngaleski, tym bardziej, że wykształceni Tamilowie dostają najlepsze posady w urzędach. Syngalezi uważają, że to niesprawiedliwe.

Gwen czuła, że tego wszystkiego nie wytrzyma. Ani chwili spokoju! Wczoraj przeprawa z Verity, dziś z kolei demonstracje.

– Ale dlaczego to się odbywa tak burzliwie? Czy naprawdę to takie istotne?

Spojrzenie syngaleskiej nauczycielki stwardniało.

– Tak, proszę pani. Kiedy uzyskamy niepodległość, bardzo ważne będzie, w jakim języku dzieci uczą się w szkole.

– A nie można nauczać w obu: syngaleskim i tamilskim?

Nauczycielka pokręciła przecząco głową.

– No cóż**...** w takim razie można tylko sobie życzyć, żeby nie doszło do większego rozlewu krwi – podsumowała Gwen.

Kobieta cicho prychnęła.

– Jak trzeba, to trzeba. Ale ktoś taki jak pani, kto nigdy nie musiał o nic walczyć, nigdy tego nie zrozumie.

Po powrocie do domu Laurence oznajmił, że w związku z zamieszkami musi dziś napisać kilka listów, będzie więc spał w swoim pokoju. Gwen tę noc spędziła wyłącznie w towarzystwie niespokojnych snów. Kiedy rankiem usiadła przy toaletce, była blada i miała zmierzwione włosy. Najpierw więc chwyciła za szczotkę. Czesała swoje pukle z pasją, a potem na blade policzki nałożyła trochę różu. Wcale nie wyglądała lepiej. Włosy po tym przesadnym szczotkowaniu

przypominały lwią grzywę, a róż w zestawieniu z bladością wypadał fatalnie. Szybko go starła, zaplotła włosy, a potem dalej tarła policzki. Tarła i tarła, jakby chciała zetrzeć z nich swój strach.

Ta syngaleska nauczycielka absolutnie nie miała racji. Gwen, chociaż o uprzywilejowaną pozycję społeczną nie musiała zabiegać, i tak miała o co walczyć. O utrzymanie tej pozycji. Nigdy nie było to łatwe, a teraz, kiedy okazało się, że Verity zna jej tajemnicę, walka stała się największym wyzwaniem, któremu musi sprostać, bo inaczej skończy się to tragicznie.

Wyjęła skrzynkę, w której przechowywała rysunki Liyoni. Była zamknięta na klucz, ale kiedy nią potrząsnęła, nie usłyszała żadnego szelestu. Tak jak się spodziewała, skrzynka była pusta. Kluczyk nie leżał na swoim miejscu. Zaczęła go szukać we wszystkich szufladach. Każdą rzecz, nawet najmniejszą, brała do ręki, potem ciskała na podłogę. Po chwili cała podłoga zasłana była grzebieniami, spinkami, listami. Przeszukała biurko, nocne szafki, wszystkie torebki. Po kluczyku ani śladu, a więc jest u Verity. Teraz oczywiście nie ma to żadnego znaczenia, ale**...**

Gwen, połykając łzy, chwyciła się kurczowo oparcia krzesła. A jednak ma to jakieś znaczenie. Verity jest gotowa na atak. Szkoda, wielka szkoda, że Gwen nie zepchnęła jej z tych schodów!

Następnego dnia zadzwoniła Fran. Bardzo przepraszała, że nie spotkała się z nimi wczoraj, i jak to Fran, nie udzieliła szczegółowych wyjaśnień. Po prostu coś jej przeszkodziło. Teraz jest w Hatton i niebawem pojawi się u nich. Na koniec powiedziała, że ma wielką niespodziankę i Gwen modliła się żarliwie, by niespodzianka nie polegała na tym, że Fran przywiezie tu Saviego Ravasinghe.

Był weekend, Laurence nie ruszał się z domu. Kiedy rozsiadł się w salonie z gazetami donoszącymi o zamieszkach, Gwen na palcach, jak najciszej, weszła na piętro i przemknęła do jego mrocznej sypialni, gdzie pachniało Laurence'em, mydłem i cytrynami. Zapaliła światło i mimo woli spojrzała na stół. Fotografia Caroline zniknęła, ale Gwen i tak czuła jej obecność. Miała wrażenie, jakby Caroline, chociaż zeszła już ze sceny, czekała tylko na jakiś znak, by na nią powrócić.

Otworzyła wielką mahoniową szafę i wsunęła do środka rękę, dotykając poszczególnych części garderoby. Spodnie, marynarki, garnitur wizytowy. Ręka natrafiła na koszule. Wyjęła jedną z nich: białą, świeżo upraną i wykrochmaloną, czyli absolutnie niepachnącą Laurence'em. Potem zajrzała do szuflady, poszperała w niej i wyjęła niebieski jedwabny szalik. Powąchała. Tak, to zapach Laurence'a, nawet przyczepiło się do szalika kilka jego włosów. Dlatego dziś w nocy ten właśnie

szalik będzie towarzyszył Gwen, ponieważ bardzo potrzebowała jakiejś namiastki bliskości męża, czegoś, co doda jej otuchy, kiedy decydująca chwila zbliża się wielkimi krokami. Kiedy zmuszona będzie wyjawić mężowi swoją tajemnicę.

Wsunęła szalik do kieszeni, zgasiła światło i na palcach przemknęła przez pokój i korytarz. Już w połowie schodów zauważyła wózek inwalidzki stojący w holu. Do tego wózka ani razu nie podeszła, bo wzbudzał w niej wielkie poczucie winy i ogromną rozpacz. Już sama myśl o tym, że straszliwa choroba wyniszczy Liyoni do takiego stopnia, że dziewczynka będzie potrzebować wózka, była nie do zniesienia.

Dlatego modliła się teraz żarliwie, błagając Boga, by sprawił cud.

Była zdenerwowana, niespokojna, bez przerwy też zastanawiała się, czy Fran istotnie wyszła za Saviego. Zdawała sobie sprawę, że w tym stanie ducha niełatwo jej będzie usiedzieć na miejscu, ale poszła do salonu, by pobyć z mężem. Laurence, nadal zagłębiony w lekturze gazety, chyba nie zdawał sobie sprawy, że u jego stóp siedzi syn i się bawi.

Gwen czuła, że zaczyna ją ponosić.

– Laurensie, czy ty nie możesz jak każdy normalny ojciec pobawić się z synem? – spytała, sięgając po czasopismo. – Na przykład zrobić w końcu model tego nowego samolotu?

Laurence podniósł głowę.

– Piszą o tych zamieszkach w Kolombo – powiedział, postukując palcem w gazetę. – Nadal trwają, są już zabici. Mam nadzieję, że jakoś uda się to stłumić.

Gwen na moment zamknęła oczy, przywołując w pamięci tamte okropne sceny. Och, Boże! Ileż ona ma już tych okropności w głowie!

– Ale mam też dla ciebie dobrą wiadomość – ciągnął. – W tym czasopiśmie, które trzymasz w ręku, niebawem pojawi się reklama naszej herbaty.

– Rozumiem. Ale i tak powtarzam: samolot! Dziecko się nudzi. Dlaczego zawsze ja to widzę, a ty nigdy?!

Hugh miał już trzy modele samolotów, ale kiedy byli w Nowym Jorku, Laurence kupił jeszcze dwa modele metalowe i jeden z nich mieli zamiar skopiować, czyli zrobić identyczny samolot z niezwykle wytrzymałego i giętkiego drewna balsa.

Laurence złożył gazetę.

– Jesteś zdenerwowana, Gwen. Czy coś się stało? Czy tak bardzo przeżywasz te zamieszki?

– Wcale nie jestem zdenerwowana. Marzę tylko o tym, byś zabrał stąd Hugh. Zrozum, bardzo stęskniłam się za Fran i chcę z nią porozmawiać swobodnie. Po prostu się nagadać!

Mina Laurence'a świadczyła niezbicie, że nie jest do końca o tym przekonany, ale pokiwał głową.

– Dobrze. Skoro tego chcesz**...** Hugh, idziemy. Ukryjemy się w hangarze na łodzie!

Kiedy wreszcie wyszli, Gwen zaczęła przeglądać czasopisma. Jedno po drugim, ale nie mogła się skupić. Czas wlókł się w nieskończoność, postanowiła więc przemóc się i w końcu obejrzeć ten wózek. Kiedyś i tak trzeba będzie to zrobić, a im dłużej będzie z tym zwlekać, tym będzie wydawać się to straszniejsze. Wyszła więc do holu i podeszła do wózka. Pogłaskała obite skórą podłokietniki, sprawdziła hamulec. Nie, wcale nie wydawało jej się to takie straszne, może dlatego, że teraz miała inny powód do zmartwienia. Co powie Laurence, jeśli okaże się, że Fran istotnie wyszła za mąż za Saviego Ravasinghe? Na samą myśl o tym jej skronie zaczęły pulsować. Czuła się tak, jakby siedziała na kraterze wulkanu, z którego w każdej chwili może wytrysnąć lawa i unicestwić ją i wszystkich bliskich.

Z tych smutnych rozmyślań wyrwał ją dźwięk dzwonka. W sekundę była przy drzwiach. Otworzyła; w progu stała Fran z małą walizką, w pięknym żakardowym płaszczu z szerokimi kimonowymi rękawami typu nietoperz. Na głowie miała czerwony kapelusz. Była bez rękawiczek i Gwen bez trudu mogła dostrzec, że serdeczny palec ozdobiony jest pierścionkiem z diamentem i szafirami oraz wąską złotą obrączką. Verity mówiła prawdę.

Gwen nie potrafiła udawać, że jest tym zaskoczona. Po prostu spojrzała kuzynce prosto w twarz. Zauważyła w jej powierzchowności pewną subtelną różnicę. Jakby miłość wygładziła wszystko, co ostre czy kanciaste.

Uśmiech znikł z twarzy Fran.

– Ta suka już ci powiedziała?

Gwen pokiwała głową.

– A tak ją prosiłam, żeby tego nie robiła! Chciałam sama ci o tym powiedzieć!

Gwen przekrzywiła głowę.

– Nie ma czegoś takiego jak telegraf czy telefon? O liście nie wspominając?

– Przepraszam.

– Fran, przede wszystkim nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej, jeszcze przed ślubem.

– Bo byłam pewna, że tego małżeństwa nie zaaprobujesz, a ja nie chciałam tego usłyszeć, kiedy byłam tak nieprawdopodobnie szczęśliwa!

Gwen uśmiechnęła się serdecznie i otworzyła ramiona.

– Chodź do mnie. Niech cię uściskam!

Uściskały się, potem Gwen odsunęła się od kuzynki, nie wypuszczając jej jeszcze z objęć.

– Nadal jesteś nieprawdopodobnie szczęśliwa?

– Jestem w siódmym niebie!

– I nie przeszkadza ci**...**

– Jego bogata przeszłość? Naturalnie, że nie. Czasy się zmieniają, żyjemy w całkiem innej epoce. A poza tym ja też swoje przeżyłam. Nie musisz robić takiej miny Gwen. Najważniejsze, że Savi i ja pasujemy do siebie jak ulał.

Gwen roześmiała się.

– Och, Fran! Jak ja się za tobą stęskniłam! Ale zaraz**...** – Rozejrzała się. – A gdzie on jest?

– W Nuwara Eliya. Wolałam przyjechać tu sama, żeby wybadać grunt. Chodzi oczywiście też o Laurence'a.

Na moment zapadła cisza.

– Fran, a nie boisz się, że Saviemu może spodobać się któraś z jego modelek?

– Absolutnie nie. Jak powiedziałam, oboje mamy barwną przeszłość, ale z tym koniec. Chcemy po prostu być razem.

– Czy Christina o tym wie?

Fran uśmiechnęła się.

– Przecież Christina wcale nie ma ochoty na Saviego!

– Wiem. Teraz prowadza się z basistą, ale tak naprawdę nadal ma ochotę na Laurence'a.

– Spotkałam się z nią w Nowym Jorku. Na wystawie Saviego.

– Naprawdę? Nie mówiła mi o tym.

– Bo ją o to prosiłam. Chciałam ci sama powiedzieć o mnie i o Savim.

Poszły korytarzem do samego końca. Gwen otworzyła szeroko drzwi, Fran weszła pierwsza do pokoju. Zdjęła żakardowy płaszcz, rzuciła go na łóżko i rozejrzała się dokoła.

– Pachnie cudnie! To frezje, prawda? I okna mam na obie strony! Jak się cieszę!

– Będziesz mogła popatrzeć sobie i na jezioro, i na ogród. Aha, mam coś dla ciebie.

Gwen podeszła do komody i wyjęła z szuflady niewielki przedmiot. Kiedy pokazała go Fran, oczy kuzynki rozbłysły.

– Moja bransoletka! Och, Gwen! Gotowa jestem całować twoje stopy! Gdzie ją znalazłaś? Na pewno za jakąś kanapą!

– Wyobraź sobie, że nie za kanapą, lecz w sklepie jubilerskim w Kolombo.

Podejrzewam, że droga Verity maczała w tym palce. Niestety, trudno będzie to udowodnić.

– Tak sądzisz? Ale dlaczego to zrobiła?

– Nie mam pojęcia. Może tak dla zabawy, żeby coś się działo. Może nie, nikt przecież nie wie, dlaczego Verity postępuje tak, a nie inaczej. Zawsze robi po swojemu.

– Nieważne. Jestem taka szczęśliwa, że znów ją mam. Jeszcze raz bardzo, bardzo ci dziękuję. Powiedz mi, dlaczego nie było was na wystawie Saviego?

– Miałam potworną migrenę i dlatego Laurence też został w hotelu.

– Savi uważa, że go unikasz. Gwennie, czy on przypadkiem nie zrobił ci jakiejś przykrości?

Gwen podeszła do okna. Oparła się o parapet i spojrzała gdzieś w dal. Milczała.

Następnego ranka dostarczono dużą brązową paczkę dla pana Hoopera. Paczka leżała na stole w holu, tuż obok paproci w doniczkach, i czekała, kiedy Laurence raczy zwrócić na nią uwagę. Gwen podejrzewała, że tej paczki w ogóle nie dostrzegł. Ona tak, nawet obejrzała ją sobie. Znaczki były dokładnie pokryte stemplami poczty w Kolombo, była jednak pewna, że są to znaczki angielskie. A ponieważ była bardzo ciekawa, wzięła paczkę i osobiście dostarczyła mężowi, który siedział w salonie.

Laurence wstał, podziękował skinieniem głowy, wziął paczkę i bez słowa ruszył do drzwi.

– Co w niej jest? – zapytała Gwen. – Trzeba przyznać, że trochę waży!

– Jeszcze jej nie otworzyłem – rzucił przez ramię.

– Nie wiesz, kto mógł ją przysłać?

– Nie mam pojęcia.

– Dlaczego nie otworzysz jej tu?

Zakasłał.

– Gwen, jestem bardzo zajęty. Muszę załatwić coś pilnego. A ta paczka na pewno ma związek z herbatą. – Powiedział to prawie opryskliwie i może właśnie dlatego Gwen nagle poczuła, że najwyższy czas wyjaśnić tę sprawę do końca.

– Laurensie, dlaczego mi nie powiedziałeś, że Christina nadal jest w tobie zakochana?

Znieruchomiał z ręką na klamce. Chwila ciszy, jaka potem nastąpiła, była krótka. Dla Gwen jednak bardzo długa.

– Gwen, kochanie, przecież mówiłem ci nie raz, że z Christiną dawno już

skończyłem. Nieodwołalnie.

I wyszedł. A Gwen, zagryzając wargę, spojrzała w okno, na jezioro. Była bardzo rozczarowana, bo jej zdaniem Laurence powiedział za mało. Stanowczo za mało. Chciałaby, żeby zapewniał ją o wiele dłużej. I przede wszystkim, żeby brzmiało to wiarygodnie.

Fran rano wybrała się na długi spacer. Nie wróciła na lunch i dlatego Gwen zadecydowała, że zaraz po lunchu, kiedy Hugh pójdzie się zdrzemnąć, powie wreszcie Laurence'owi o tym, że Fran wyszła za Saviego Ravasinghe. Przedtem nie było ku temu okazji. Rano Laurence zamknął się w gabinecie, a poprzedniego dnia wieczorem w ogóle nie było go w domu.

Laurence, ku jej wielkiemu zdziwieniu, przyjął wieść ze stoickim spokojem. Może dlatego, że sprawiał wrażenie człowieka czymś bardzo pochłoniętego i Gwen zaczęła się zastanawiać, czy Laurence'owi do tych wszystkich problemów, jakie ma na głowie, nie doszedł jeszcze jeden. W każdym razie na wiadomość o małżeństwie Fran zareagował pozytywnie, teoretycznie więc Savi będzie mógł bywać w ich domu, co Gwen z wiadomych powodów absolutnie nie odpowiadało. Jej marzeniem teraz było, by młoda para zamieszkała jak najdalej od niej. Savi był właścicielem pięknego, dużego mieszkania w Ogrodach Cynamonowych, najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Kolombo. Fran zwierzyła się kuzynce, że podczas swojej pierwszej wyprawy na Cejlon, w 1925 roku, zatrzymała się właśnie w tym mieszkaniu i tam wszystko się zaczęło. Byli ze sobą, choć jednocześnie każde miało swoje życie. No a teraz mają życie wspólne. Gwen, gdyby nie to, co stało się po tamtym balu, byłaby zachwycona, że Fran zdecydowała się zamieszkać na Cejlonie. Niestety, co się stało, to się nie odstanie i Gwen życzyła sobie z całego serca, by młoda para zamieszkała możliwie jak najdalej stąd.

Wieczorem, kiedy leżała w łóżku, do pokoju weszła Naveena, pchając przed sobą wózek inwalidzki, na którym siedziała Liyoni. Wieczorne wizyty dziewczynki w pokoju Gwen, kiedy cały dom już odpoczywał, stały się zwyczajem. Była to ta jedna, drogocenna godzina, podczas której Gwen mogła pobyć ze swoim dzieckiem sam na sam.

Naveena wyjęła Liyoni z wózka i ułożyła obok matki. Gwen chciała najpierw poczytać córeczce kolejną bajkę. Zamierzała przeczytać jej wszystkie bajki, jakie były w tym domu. Liyoni, choć po angielsku mówiła jeszcze słabo, sporo rozumiała i słuchała zawsze z wielkim zainteresowaniem. Tym razem jednak, kiedy Gwen sięgnęła po bajki Andersena – kiedyś Verity tak bardzo chciała, by poznał je Hugh! –

Liyoni poprosiła, by odłożyła książkę.

– A może opowie mi pani tę bajkę? Bardzo lubię, kiedy pani opowiada.

– Naturalnie! A więc**...** Dawno, dawno temu, za górami, za lasami – zaczęła Gwen, zastanawiając się gorączkowo, którą bajkę opowiedzieć – **...**żyła sobie zła macocha!

Dziewczynka zaśmiała się i przysunęła bliżej. Gwen pogłaskała ją po głowie, czując jednocześnie znajome ukłucie w sercu. Opowiadała dalej.

Zwykle podczas tej godziny z córeczką zamykała drzwi na klucz, bardzo też uważała, by nie zasnąć. Tego dnia jednak była tak zmęczona, tak przygnębiona nieustannym rozmyślaniem o groźbie Verity, że na śmierć zapomniała o tych drzwiach. Po jakimś czasie przypomniała sobie i zamierzała wstać, kiedy Liyoni zaśnie. Niestety, kiedy dziewczynka zasnęła, ona również była już potwornie śpiąca. Obudziło ją pukanie do drzwi. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Fran.

Zrobiła dwa kroki i stanęła jak wryta.

– Gwennie, czy ta dziewczynka, która śpi w twoim łóżku, to ta krewna *ayah*?

Patrzyła na Gwen, a Gwen na nią oczami prawie już lśniącymi od łez. Bo co miała powiedzieć? Co? Właśnie Fran, której zawsze mówiła prawdę?

Fran na palcach podeszła do łóżka.

– Ona jest śliczna!

Gwen kiwnęła głową.

Fran przysiadła na brzegu łóżka i znowu wlepiła oczy w Gwen.

– Kochanie, co się dzieje? Dlaczego nic nie mówisz?

Paniczny strach skutecznie ściskał Gwen za gardło. Nie była w stanie nic z siebie wydusić. Mogła tylko spuścić głowę i wpatrywać się w jedwabną narzutę.

– Gwen? Jest aż tak źle?

Nastąpiła cisza trwająca stanowczo za długo i w końcu Gwen podniosła głowę. Podciągnęła kolana i objąwszy je rękami, oznajmiła:

– Powiem ci. Ale musisz obiecać, że nikomu nie piśniesz słowa.

– Przysięgam!

– A więc posłuchaj**...** Liyoni wcale nie jest krewną *ayah* – zaczęła Gwen i zamilkła, bijąc się teraz z myślami. Walka nie była długa i zwyciężyła chęć pozbycia się ogromnego, przytłaczającego ciężaru. – Liyoni jest moją córką.

Fran drgnęła.

– A więc to tak**...** Czy wiesz, że przed chwilą o tym pomyślałam? Kiedy spojrzałam na to śliczne dziecko. Kto jest jej ojcem, Gwen? Bo chyba nie Laurence?

– Nie. Ale Liyoni i Hugh są bliźniętami.

– Nie rozumiem.

Gwen nie po raz pierwszy musiała gwałtownie przełknąć ślinę.

– Niestety, Fran, nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Kiedyś mogłabym, ale teraz, kiedy ty**...**

I znów cisza, prawie upiorna, a potem oczy Fran zrobiły się ogromne. Przerażone.

– Nie, to niemożliwe! Gwen! Czyżby chodziło o Saviego? – Fran zbladła i potarła ręką czoło. – Nie, nie wierzę, żebyś przespała się z Savim.

Przez moment patrzyły sobie w oczy. Spojrzenie Fran nie było teraz życzliwe, dlatego głos Gwen drżał.

– Nie, to wcale nie jest tak, jak myślisz.

– Czy Savi wie o tym dziecku?

– Naturalnie, że nie. Fran, chcę, żebyś wiedziała, że to wszystko stało się wcześniej, kiedy jeszcze nie byłaś z nim.

Fran pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Ale co z Laurence'em? Jak mogłaś mu coś takiego zrobić?

Oczy Gwen pełne były łez.

– O Boże, po co ja ci to powiedziałam! Fran, może to zabrzmi dziwnie, ale ja nie wiem, jak do tego doszło. Po prostu niczego nie pamiętam, absolutnie niczego!

Fran nie odezwała się. Wstała i zaczęła przemierzać pokój, nerwowo pocierając ręce.

– Fran! Dlaczego nic nie mówisz? Wiem, że jesteś na mnie zła, ale proszę, powiedz coś.

– Co mam powiedzieć? Po prostu trudno mi w to wszystko uwierzyć.

– Ale to prawda! Ja niczego nie pamiętam! To stało się podczas tamtego pierwszego balu, kiedy tańczyłyśmy charlestona. Byłam pijana. Savi zaprowadził mnie na górę, do pokoju. Był tam przez jakiś czas. Byłam pijana i to, co on robił**...** nie docierało do mnie. Po prostu tego nie pamiętam.

– Jezu! – Fran zatrzymała się w pół kroku. – Gwen, czy zdajesz sobie sprawę, o co go oskarżasz?

– Tak. Bardzo mi przykro.

Fran zmrużyła oczy, poczerwieniała i szybkim, zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi.

– Fran, proszę, nie odchodź!

– Mam zostać? Kiedy ty opowiadasz takie rzeczy? O moim mężu?!

– Zostań. Błagam!

Fran pokręciła głową, ale się zatrzymała.

– Fran, ja nie wiem, jak to możliwe, żeby w tym przypadku było dwóch ojców.

Znów długa chwila ciszy, potem Fran, cicho, niewyraźnie powiedziała przez ściśnięte gardło:

– Możliwe.

– Skąd wiesz?

– Czytałam o takim przypadku, gdzieś w Indiach Zachodnich, a może w Afryce. Kobieta urodziła bliźnięta, ojców było dwóch. Pisali o tym we wszystkich gazetach.

– Tak?

Po policzkach Gwen spłynęły łzy.

– Gwen, czy rozmawiałaś o tym z Savim? – spytała Fran. – Oczywiście wtedy. Nie chciałaś się dowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło?

Gwen otarła łzy i pociągnęła nosem.

– Przecież ja wtedy nie wiedziałam, że cokolwiek się stało! Dopiero kiedy urodziłam bliźnięta, zobaczyłam, że Liyoni nie jest biała. Natychmiast musiałam podjąć jakąś decyzję. A z Savim nie rozmawiałam, tyle czasu upłynęło od tego balu**...**

– Ja na pewno bym z nim porozmawiała.

– Ale ja nie jestem tobą.

– Jezu! Gwen! I ty przez tyle lat żyłaś w przeświadczeniu, że taki porządny człowiek jak Savi zrobił coś tak okropnego? Jest na to inne wytłumaczenie.

– Przecież i tak musiałam oddać dziecko obcym ludziom. Gdybym zaczęła się dopytywać, niczego by to nie zmieniło, tylko pogorszyło sytuację. Gdybym porozmawiała z Savim, mógłby powiedzieć o tym Christinie, a ona na pewno doniosłaby Laurence'owi.

– Gdybyś porozmawiała z Savim, byłabyś spokojniejsza.

– Gdybym porozmawiała z Savim, nie wiadomo, czy dowiedziałabym się prawdy!

Oczy Fran błysnęły groźnie.

– A więc wychodzi na to, że Savi jest kłamcą!

Gwen zadrżała i opuściła głowę.

– Przepraszam, Fran.

Fran potarła nerwowo ręce i zrobiła kilka kroków w stronę Gwen. Jej oczy były pełne łez.

– Posłuchaj, Gwen. Dobrze znam Saviego. Sypianie z pijaną albo nieprzytomną kobietą to nie w jego stylu. Owszem, miał romanse, ale ma swoje zasady.

Gwen otworzyła usta, ale Fran podniosła rękę.

– Daj mi dokończyć. Owszem, jego zasady mogą być inne niż twoje, ale jakieś zasady ma! A poza tym, na tamtym balu, kiedy ty zasnęłaś, Savi i ja spędziliśmy ze sobą wiele godzin. Po prostu nie mogliśmy się nagadać. Teraz zastanów się. Czy to możliwe, żeby Savi zrobił to, o co go posądzasz, a potem przez kilka godzin dotrzymywał mi towarzystwa? Absolutnie nie. On nigdy by tak nie postąpił. Nigdy. To człowiek wrażliwy, szanujący kobiety i dlatego jestem z nim.

– Rozumiem, Fran. Ale co ja mam teraz zrobić?

– Przede wszystkim wyłączyć z tego Saviego. Absolutnie, nieodwołalnie**...**

Liyoni zakasłała. Gwen położyła palec na ustach i Fran mówiła dalej szeptem:

– Moim zdaniem, stało się tak, bo w poprzednich pokoleniach był ktoś, kto miał inny kolor skóry. To jedyne wytłumaczenie.

Gwen od razu zrobiło się odrobinę lżej na duszy.

– Naprawdę sądzisz, że to możliwe?

– Tak.

Gwen pomyślała chwilę.

– A wiesz, że ja o czymś takim też czytałam. Kiedy byłam w Nowym Jorku, znalazłam w czasopiśmie artykuł o tym, że biali plantatorzy sypiali z Murzynkami i ciemny kolor skóry ujawniał się w następnych pokoleniach. Och, Fran, jak bym chciała, żebyś miała rację!

– Jestem pewna, że tak jest. Wielka szkoda, że nie porozmawiałaś ze mną o tym wcześniej. Że w ogóle z nikim nie rozmawiałaś.

– Po co? Przecież wszyscy od razu posądziliby mnie o romans. Ty też o tym pomyślałaś! I nikt by nie zaakceptował tego dziecka.

– Masz rację. Przepraszam.

– Przede wszystkim Laurence byłby pewien, że przespałam się z innym mężczyzną, i to w krótkim czasie po naszym ślubie!

– Oczywiście. W każdym razie, Gwen, trzeba poszukać ciemnoskórego przodka. Z tym że jeśli chodzi o naszą rodzinę, nie ma żadnych wątpliwości, że nikogo takiego w niej nie było.

Gwen westchnęła.

– Jesteś pewna?

– No**...** stuprocentowej pewności nie mam. Kiedy wrócę do Anglii, postaram się to sprawdzić.

– A więc uważasz, że chodzi tu o przodków Laurence'a?

– Gwen, ja mogę tylko snuć przypuszczenia. Powinnaś z nim porozmawiać.

– Nie, jeszcze nie. Najpierw muszę mieć w ręku niezbite dowody, bo

w przeciwnym razie Laurence będzie przekonany, że miałam romans. I nigdy mi tego nie wybaczy.

– Ty chyba nie bardzo wierzysz w jego miłość, Gwen.

– Wierzę. Wiem, że mnie kocha, ale w takim przypadku dojdą do głosu także inne uczucia. Będzie mu wstyd, będzie czuł się zhańbiony. I to zniszczy nasze wspólne życie. Stracę go. Stracę swojego syna, stracę dom. – Gwen przełknęła łzy. Fran nachyliła się i uściskała ją. – I jeszcze coś, Fran**...** – wyszeptała.

– Co, Gwen?

– Verity wie, że Liyoni jest moim dzieckiem. Zagroziła mi, że powie o tym Laurence'owi, jeśli go nie przekonam, by dalej wypłacał jej apanaże

– Przecież to zwyczajny szantaż! Ależ to zła kobieta! Uważaj, Gwen, bo jeśli ustąpisz, na pewno zażąda czegoś więcej i w rezultacie do końca swoich dni będziesz żyła w ciągłym strachu.

Fran otworzyła szeroko okno i zrobiła głęboki wdech.

– O Boże, jak ja potrzebuję teraz świeżego powietrza!

– Pada już?

– Nie, ale wieje. Gwen, za długo to wszystko dusiłaś w sobie. Jesteś taka blada. Zapomnij na chwilę o swoich zmartwieniach. Idziemy się przejść. Obu nam przyda się świeże powietrze. Chodźmy. Ty, ja, Hugh i jego siostra na tym wózku inwalidzkim. Hugh i Liyoni nie mają o tym wszystkim pojęcia, prawda?

Liyoni znów zakasłała i tym razem obudziła się. Gwen poszeptała coś do niej, sprawdziła, czy czoło nie jest rozpalone, jednocześnie zastanawiając się w duchu nad tym, co powiedziała jej Fran. Niewątpliwie kuzynka ma rację. Trzeba porozmawiać z Laurence'em, zanim zrobi to Verity. Niestety Gwen nie miała żadnych dowodów na poparcie swej tezy, więc bała się tej rozmowy jak ognia.

Kilka dni później, kiedy kończyli śniadanie, dostarczono pierwsze opakowanie z herbatą. Laurence rozpakował paczuszkę i podniósł rękę, by każdy mógł zobaczyć, jak to opakowanie wygląda. A wyglądało świetnie. Kobieta w sari była jeszcze piękniejsza niż w projekcie.

– Dzieło twojego męża znakomicie wygląda na tym opakowaniu – powiedział Laurence, spoglądając na Fran. – Mam nadzieję, że Savi da się zaprosić na kolację w najbliższym czasie.

Gwen i Fran, obie jednakowo zaskoczone, wymieniły spojrzenia.

– Dziękuję, Laurensie – powiedziała Fran. – Jestem bardzo wdzięczna za to zaproszenie. Wiem, że**...**

Laurence uniósł rękę.

– Będzie mi bardzo miło gościć pana Ravasinghe w moim domu. Wielka szkoda, że nie byliśmy na jego wystawie w Nowym Jorku. Następną na pewno obejrzymy. Niezależnie od tego, gdzie będzie. Prawda, Gwen?

Gwen udało się jakoś uśmiechnąć, choć była kompletnie zdezorientowana. Bo ta gwałtowna zmiana w stosunku Laurence'a do Saviego była jednak zastanawiająca.

Przestało padać i po śniadaniu Laurence zaproponował wspólny spacer.

– Czekam na ciebie przed domem, Gwen.

Gwen przed wyjściem zajrzała jeszcze do pokoju dziecięcego. Liyoni siedziała na łóżku i rysowała wodospad.

– Nie może długo rysować – powiedziała Naveena. – Ale dziś stała przez dziesięć minut i patrzyła na jezioro.

– To dobrze. Naveeno, czy możesz pomóc mi posadzić Liyoni na wózku? Przestało padać i chcę zabrać ją na spacer

– Ona bardzo chce zobaczyć wodospad.

Od kiedy Hugh wspomniał o wodospadzie, Liyoni wierciła wszystkim dziurę w brzuchu, że koniecznie musi ten wodospad zobaczyć.

– Obawiam się, Naveeno, że to niemożliwe.

Liyoni została usadzona w wózku, jej nogi otulone kocem. Kiedy Gwen zamierzała już wyjść, nagle usłyszała, że jakiś samochód rusza spod domu. Spojrzała w okno i serce zabiło jej szybciej. Verity. Musiała przyjechać tu wcześniej, niewątpliwie by spełnić swoją groźbę. Przed werandą zauważyła Laurence'a, który przeczesując nerwowo ręką włosy, chodził tam i z powrotem.

Czuła, że dłonie jej wilgotnieją, zaraz jednak poczuła ulgę. Wreszcie będzie miała to za sobą, wreszcie nastąpi koniec kłamstw.

Kiedy wyszła przed dom, Laurence spochmurniał jeszcze bardziej.

– Zostaw to dziecko na werandzie. Naveena zawiezie ją z powrotem do pokoju, a my przejdziemy się na wzgórze.

Przez całą drogę żadne z nich się nie odezwało. Kiedy doszli na szczyt, odwrócili się, by spojrzeć za siebie. Widok był przepiękny, po prostu zapierający dech. Taki jak Gwen zobaczyła swojego pierwszego poranka na cejlońskiej plantacji. I taki był dla niej do dziś. Wszystko skrzyło się, migotało. Nabrała głęboko powietrza przesyconego najrozmaitszymi upojnymi zapachami i syciła oczy lśniącą zielenią plantacji, ich plantacji, która teraz ciągnęła się o wiele dalej. Patrzyła na piękny dom w kształcie litery L, który stał tyłem do jeziora. Z prawej strony wielka weranda, po drugiej stronie podwórze i ścieżka znikająca za ścianą wysokich

drzew.

– Laurensie, czy ja przypadkiem nie widziałam dziś Verity?

Kiwnął głową.

– Czego chciała?

– Wiadomo czego. Swoich apanaży.

– Ja**...**

– Gwen, proszę, nie mówmy dziś o mojej siostrze, dobrze?

Cisza. Gwen zrobiła więc kolejny głęboki wdech i odwróciła się, by podziwiać widoki.

– Pięknie, prawda? – odezwał się po chwili Laurence. – To najpiękniejsze miejsce na świecie. Jesteś teraz szczęśliwa, Gwendolyn?

– Szczęśliwa? Teraz?

– Tak, teraz, kiedy McGregor wszystkim zarządza, bo ja muszę ciągle jeździć do Kolombo.

– Ale ja i tak jestem zadowolona z życia.

– Naprawdę? Czasami odnoszę wrażenie, że coś cię trapi. Więcej. Czasami po prostu cię nie poznaję!

Gwen westchnęła głęboko, ponieważ to westchnienie było wyrazem jej przeogromnego znużenia tym wszystkim. Bo teraz też wcale nie jest dobrze. Jeszcze przed sekundą była przekonana, że to najlepszy moment na wyjawienie prawdy. Niestety, na twarzy Laurence'a malował się tak wielki smutek, że o żadnych wyznaniach nie mogło być mowy.

– Czy to z powodu Christiny? – spytał miękko i przyciągnął ją do siebie. – Kochanie, mówiłem ci nie raz, że to przeszłość.

Gwen uniosła głowę, nadal bez żadnego pomysłu na to, co powinna teraz powiedzieć.

Palce Laurence'a przesunęły się po jej włosach.

– Kochanie, ja naprawdę**...**

I wtedy podjęła decyzję. Najwyższy czas wyjaśnić przynajmniej to:

– Więc ja ci też coś powiem, Laurensie. Rozmawiałam z Christiną w Nowym Jorku. Powiedziała mi, że przed moim przyjazdem na Cejlon między wami nic już nie było.

– Tak. Mówiłem ci to przecież.

– Owszem. Uwierzyłam ci, ale okazuje się, że Christina wcale z ciebie nie zrezygnowała.

– Co?

– A tak. I o tym mówiła ci, kiedy dzwoniła do ciebie. W Nowym Jorku.

– Dzwoniła do mnie? Kiedy?!

– Ostatniego dnia. Późnym wieczorem, kiedy kładliśmy się już spać.

– Wtedy? Przecież to nie ona dzwoniła, tylko Verity.

Gwen, nadal patrząc na niego, cofnęła się o krok.

– Ale**...** ale Christina powiedziała mi, że miała nadzieję, że nawet po naszym ślubie będzie twoją kochanką. Więc pomyślałam**...**

Twarz Laurence'a stężała.

– Wykluczone! Coś takiego absolutnie nie wchodziło w grę! Zdaję sobie sprawę, że ona czasami zachowuje się tak, jakby między nami coś było. Lubi prowokować. Ale przysięgam, łączą mnie z nią tylko wspólne interesy. Nic więcej! Dlatego po naszym ślubie wcześniej pojechałem na Cejlon, by tę właśnie sprawę uregulować.

– Nie chodziło o interesy?

– Przede wszystkim o Christinę. Po śmierci Caroline, kiedy byłem załamany, okazała mi wiele życzliwości, dlatego zależało mi, by załatwić z nią tę sprawę po dżentelmeńsku.

– Kochałeś ją?

– Podobała mi się, bardzo ją polubiłem, ale to nie była miłość.

– W takim razie dlaczego, kiedy tu przyjechałam, byłeś wobec mnie taki zdystansowany?

– Bo kochałem cię. I bałem się.

– Bałeś się? Czego?

– Jedną kobietę już straciłem. Nie byłem pewien, czy zasługuję na kolejną szansę. Miałem już ciebie, ale w każdej chwili mogłem też cię stracić. Tak to się we mnie wszystko kłębiło.

A więc to tak**...** Gwen otarła łzy, czując wielką ulgę. Pomasowała delikatnie skronie, bo głowa zaczynała ją boleć. Jak to dobrze, że przynajmniej jedna sprawa została wyjaśniona! Niestety, to nie wszystko. Teraz ona powinna się otworzyć.

Palce Laurence'a musnęły jej policzek, ścierając resztki łez. Przytrzymała jego rękę i otworzyła usta, by wreszcie wyjawić swoją tajemnicę. Otworzyła i zamknęła, nie po raz pierwszy uprzytomniając sobie, że te kilka słów zmieni jej życie bezpowrotnie. W jaki sposób – nie wiadomo, dlatego milczała, cicha jak cały świat dookoła, pachnący lasem, gdzie tylko od czasu do czasu słychać było pełne desperacji krakanie samotnej wrony. Gwen była niezadowolona, że znów okazała się zwyczajnym tchórzem, ale co miała zrobić? Zdobyć się na szczerość tylko po to, by wszystko legło w gruzach? Niestety, nie było ją na to stać, chociaż Laurence

darzył ją zaufaniem i mówił otwarcie o swoich uczuciach.

– Dlaczego tak nagle zmieniłeś nastawienie do Saviego? – Zmieniła temat.

– Doszedłem do wniosku, że pomyliłem się co do niego. To wszystko.

Powiedział to takim tonem, że Gwen musiała na niego zerknąć.

– Kochanie, wszystko w porządku?

Nie odpowiedział, tylko odwrócił się i spojrzał w dal. A Gwen, wpatrzona w jego plecy, rozważała w duchu to, co mówiła Fran. Jeśli Fran ma rację i Liyoni istotnie nie jest dzieckiem Saviego, w takim razie można śmiało powiedzieć mężowi prawdę. Teraz? Nie. Oczywiście, że bardzo by chciała po tylu latach wreszcie pozbyć się tego ciężaru i wykrzyczeć mu prosto w twarz, że jest porządną kobietą i nic złego nie zrobiła. Niestety, na to było jeszcze za wcześnie. Najpierw musi mieć w ręku jakiś dowód.

Pomyślała, że Verity nie spełniła swej groźby, bo gdyby tak się stało, Laurence na pewno teraz zachowywałby się całkiem inaczej. A skoro tak**...**

– Wiesz, pomyślałam sobie, że może należałoby dalej wypłacać Verity te apanaże. Przecież to oczywiste, że do męża nie wróci, a musi z czegoś żyć.

Laurence uśmiechnął się krzywo.

– Tak uważasz? Po tym wszystkim, co zrobiła?

– Nadal jest twoją siostrą. Musi z czegoś żyć, a poza tym można to wykorzystać. Obiecać apanaże, pod warunkiem że wyjedzie do Anglii.

Spojrzała w niebo, gdzie słychać było grzmot.

Laurence pokiwał głową.

– Jeśli nasza marka zdobędzie popularność, będzie to możliwe. Z tym że dom w Yorkshire został wynajęty.

– Ale tylko na czas określony, prawda?

Znów spojrzała na zachmurzone niebo, potem wbiła wzrok w ziemię. Listopad tuż, tuż, czyli nadciąga kolejny monsun. Odruchowo wbiła czubek pantofla w ziemię, teraz suchą jak pieprz; niebawem będzie tu błoto.

– Tak. Na czas określony, ale wczoraj dostałem list od najemcy. Bardzo chciałby pozostać jeszcze w tym domu.

– Rozumiem. Zrobisz, jak zechcesz. Ja w każdym razie uważam, że dobrze by było jakoś wygospodarować te apanaże, jeszcze zanim nasza marka osiągnie sukces.

– Tak ci na tym zależy? No cóż**...** Można by podwyższyć czynsz za ten dom.

Gwen zawahała się. Dalej nalegać, czy nie? Wiadomo, że apanaże będą dużym obciążeniem, a przecież nie chciała, by ich długi rosły. Z drugiej jednak strony

marzyła o tym, by Verity zniknęła im z oczu. Dzięki temu Gwen zyska na czasie.

Laurence spojrzał w niebo.

– Wracamy. Zaraz będzie padać. O Verity pogadamy później.

34

1934, marzec

Deszcze minęły i znów nastały słoneczne dni. Laurence od kilku miesięcy był wciąż w rozjazdach, więc plantacją zarządzał McGregor, ale na szczęście Gwen nie miała z nim zbyt wiele do czynienia. Laurence natomiast, kiedy pojawiał się w domu, był milczący i wyraźnie coś go gnębiło. Kiedy spytała go o to, zbył ją. Powiedział, że sytuacja ogólnie jest bardzo zła. Ceny herbaty lecą na łeb na szyję, dlatego wiele plantacji zostało opuszczonych. Trwają zamieszki, a oprócz tego panuje plaga komarów.

Fran i Savi przebywali chwilowo w Kolombo i zastanawiali się, gdzie ostatecznie ma być ich dom. Verity, zachwycona, że z powrotem dostaje apanaże, pomieszkiwała u znajomych w Kandy, czekając, aż skończy się umowa najmu domu w Anglii. Gwen nalegała, by apanaże były wypłacane, pod warunkiem że Verity wyjedzie do Anglii. Oczywiście, to wcale nie oznaczało, że szwagierka nie wystąpi kiedyś z kolejnymi żądaniami, ale przynajmniej jej tu nie będzie. A to już coś.

Fran rozmawiała z Savim i Gwen zgodziła się z nimi spotkać w Nuwara Eliya, kiedy Laurence będzie w podróży. Savi chciał porozmawiać z Gwen w cztery oczy, uzgodniono więc, że spotkają się nad jeziorem w Nuwara Eliya. Gwen nie paliła się do tej rozmowy, była jednak świadoma, że to musi nastąpić.

Kiedy Savi podszedł do niej i wyciągnął rękę, odwaga ją opuściła. Nie podała mu ręki, tylko spoglądając w bok, spytała:

– Jak sytuacja w Kolombo? Byliśmy tam z Laurence'em, kiedy zamieszki się zaczęły.

Cisza. Słyszała, jak westchnął, i po krótkiej chwili zdecydowała się na niego spojrzeć. Było oczywiste, że jest tak samo zdenerwowany jak ona.

– Przepraszam, Savi.

Nozdrza Saviego poruszyły się, a więc był nie tylko zdenerwowany. Także zły.

– Kiedy Fran mi o tym powiedziała, byłem, delikatnie mówiąc, bardzo zbulwersowany. Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi, Gwen. Jak mogło ci przyjść do głowy, że mógłbym cię skrzywdzić?

Gwen, czując, że policzki ma znowu szkarłatne, szybko opuściła głowę.

– Ja**...** nie wiedziałam, jak to sobie wytłumaczyć.

– Ale pomyślałaś, że to ja. Na litość boską, Gwen! Popatrz wreszcie na mnie!

Powoli podniosła głowę i zobaczyła w oczach Saviego ogromny ból.

Milczeli. Savi nerwowo splatał palce, zaciskając je tak mocno, że trzeszczało w stawach. Gwen gorączkowo szukała odpowiednich słów.

– Tak, pomyślałam, że to ty. Byłam załamana, ale to było jedyne logiczne wyjaśnienie tych**...** okoliczności. Proszę, wybacz mi, Savi.

– Och, Gwen**...**

Nagle poczuła, jak narasta w niej gniew. Była teraz bardziej zła na siebie niż na niego.

– Czy wiesz, co ja przeżyłam? I przeżywam nadal? Liyoni jest moją córką, pokochałam ją. A co zrobiłam swemu dziecku? Pozbyłam się go! Czy wiesz, jak mi z tym ciężko?

– Gdyby była biała, to nawet jeśli zrobiłbym to, o co mnie posądzasz, nie byłoby z nią problemu!

– To nie tak, Savi. Gdyby była biała, nie byłoby powodu zastanawiać się, czy jest córką Laurence'a, czy nie!

Savi westchnął.

– Laurence nigdy mnie nie lubił. Nie mam pojęcia dlaczego.

– A jest człowiekiem rozsądnym.

– W stosunku do mnie tego rozsądku zabrakło.

Wyciągnęła rękę do niego. On minął ją, przeszedł kilka kroków i zatrzymał się nad wodą. Gwen nie ruszała się z miejsca. Stała, obserwując ptaki, które przysiadły nieopodal. Nie na długo, bo kiedy Savi odwrócił się gwałtownie, natychmiast wszystkie zerwały się do lotu.

– Gwen, przecież ty przez wszystkie te lata przeżywałaś prawdziwe piekło. Dlaczego wcześniej ze mną nie porozmawiałaś?

– Byłam jeszcze bardzo młoda, wystraszona, niedawno przyjechałam na Cejlon. Nie wiedziałam, co robić. Czułam się bardzo samotna, bo Laurence wtedy z różnych powodów był wobec mnie chłodny. A ciebie prawie nie znałam. Owszem, wiedziałam, że jesteś bardzo miły i potrafisz być czarujący. Ale kiedy urodziła się Liyoni, znienawidziłam cię.

– Bardzo mi przykro, że tak to wszystko się ułożyło.

Powiedział to w taki sposób, że trudno było nie uwierzyć. Glen uwierzyła, że nie on jest ojcem Liyoni. I jednocześnie czuła się podle, że przez tyle lat posądzała go niesłusznie.

Oczy Saviego zalśniły podejrzanie, ale uśmiechnął się.

– Może po prostu wymazać to z pamięci? Ożeniłem się z twoją kuzynką, jestem

więc dla ciebie prawie szwagrem, tym bardziej więc chciałbym, byśmy znowu zostali przyjaciółmi.

– Bardzo mi się ten pomysł podoba. Bardzo!

Savi rozpostarł ręce i Gwen rzuciła mu się w objęcia. Drżąca, bliska łez, bo tak jest, kiedy człowiek czuje niewysłowioną ulgę. Uściskali się. Kiedy odsunęli się od siebie, Gwen otarła łzy, a Savi pocałował ją w rękę.

– Może mógłbym ci jakoś pomóc, Gwen. Poszukam w archiwach w Kolombo, może znajdę jakieś informacje o przodkach Liyoni, to znaczy, o przodkach twego męża.

Uśmiechnęła się.

– Będę ci ogromnie wdzięczna, Savi. Nie wyobrażasz sobie, jakie to dla mnie ważne. I jeszcze raz proszę, wybacz mi.

– Przecież ustaliliśmy, że wymazujemy to z pamięci. Powiem tylko jeszcze jedno. Wiele razy zastanawiałem się, dlaczego w pewnym momencie zaczęliśmy widywać się bardzo rzadko. Prawie wcale. I dlaczego wydałaś mi się taka dziwna, kiedy wtedy przyszedłem do was razem z Verity.

– Z Verity! Przyprowadziła cię tylko po to, żeby mi dopiec!

– No tak**...** Wiesz, uważam, że powinnaś porozmawiać z *ayah*. Naveena służy u Hooperów już wiele lat, a tacy służący często wiedzą o rodzinie chlebodawcy więcej niż on sam.

Gwen odgarnęła z czoła włosy potargane przez wiatr.

– Nie sądzę, żeby Naveena była tu pomocna. Przecież ona sama mi poradziła, żeby oddać Liyoni jakiejś kobiecie z wioski.

– Rozumiem. Wygląda na to, że tak łatwo nie pójdzie, ponieważ informacje, jakich szukamy, bardzo często są skrzętnie skrywane. Ale jestem dobrej myśli. Znam pewne osoby, które mogą okazać się przydatne. Natrafimy na jakiś trop. Jak tylko dowiem się czegoś konkretnego, od razu cię o tym powiadomię.

– Dziękuję, Savi.

– A teraz zabieram cię na lunch. Fran czeka na nas.

– Dziękuję. Proszę, idź już do niej, a ja posiedzę tu chwilę, żeby to wszystko ułożyć sobie w głowie.

Savi ukłonił się po syngalesku, czyli składając dłonie na wysokości piersi. Tak jak podczas ich pierwszego spotkania, od którego minęło już tyle lat.

Odszedł. Gwen przysiadła na ławce, szczęśliwa, bo kiedy wreszcie pozbyła się tego ciężaru, czuła taką radość, że prawie kręciło jej się w głowie. Jaki cudowny zbieg okoliczności! Przecież gdyby Fran nie poznała Saviego i nie wyszła za niego za mąż, nigdy by nie doszło do tej rozmowy i nigdy nie dowiedziałaby się, że wcale

nie zdradziła męża. Teraz, kiedy ma już całkowitą pewność, musi porozmawiać z Laurence'em i powiedzieć mu, że Liyoni jest jego córką. Nie. Jeszcze nie. Najpierw musi mieć dowód, że w żyłach Laurence'a płynie również cejlońska krew.

Powiał chłodny wiatr, Gwen otuliła się szalem i dalej siedziała na ławce, rozpamiętując to, co wydarzyło się tego dnia. Cieszyła się, że nie musi już nienawidzieć Saviego Ravasinghe, że znowu są przyjaciółmi. Ale na duszy wcale nie było lżej, bo nie wszystko da się wymazać z pamięci. O tym, że oddała dziecko obcym ludziom, nie sposób zapomnieć**...**

Siedziała, patrząc, jak wiatr przygina ku ziemi gałęzie drzew po drugiej stronie jeziora, i czuła się bardzo samotna. Tak bardzo jak nigdy do tej pory.

Kiedy Gwen i Laurence wrócili do domu, czekała na nich dobra nowina. Herbata Hoopera, która pojawiła się w sprzedaży w grudniu, znalazła uznanie u klientów. I mimo że ceny herbaty były niskie, osiągnięto pokaźne zyski. Dzwoniła też z Ameryki Christina, która zachęcała ich do optymizmu, ponieważ teraz może być tylko lepiej. Kiedy wspomniano o Christinie, Gwen po raz pierwszy przyjęła to spokojnie.

Hugh przyjechał do domu na weekend. Przywykł już, że Liyoni nie może bawić się z nim na dworze ani pływać. Dlatego sam też o wiele rzadziej wychodził na dwór, długie godziny spędzając z Liyoni. Czytał jej albo razem rozwiązywali krzyżówki.

Kiedy Gwen zajrzała do pokoju dziecięcego, zastała ich siedzących w kącie, rozchichotanych i wyraźnie zachwyconych swoim towarzystwem. Ośmiolatki, bliźnięta, a przecież całkiem inni. Hugh wysoki, mocno zbudowany jak ojciec. A Liyoni drobna, niewysoka i bardzo ładna. Z każdym miesiącem coraz bardziej podobna do matki. Z każdym dniem też coraz lepiej mówiąca po angielsku.

Gwen, wzruszonej tym widokiem, dopiero po chwili udało się wydobyć z siebie głos.

– Co wy tam takiego robicie?

– Rysujemy, mamo! – zawołał Hugh.

– Mogę zobaczyć?

Hugh podsunął jej dwie kartki. Gwen przykucnęła, by obejrzeć oba dzieła z bliska. Hugh narysował samolot. Całkiem nieźle. Był to samolot z czasów wojny.

– To niemiecki samolot.

A Liyoni, nie po raz pierwszy, narysowała wodospad.

– Ona rysuje tylko wodospady, mamo.

– Tak.

– A mogłabyś chociaż raz pokazać jej nasz wodospad? Proszę!

– Kochanie, nie przyszłam tu rozmawiać o wodospadach, tylko powiedzieć wam, byście umyli ręce, bo zaraz jemy lunch.

– Czy Liyoni może jeść razem z nami?

– Liyoni je lunch razem z Naveeną.

– Ale dlaczego? To niesprawiedliwe!

– Tak sądzisz? W takim razie może porozmawiasz o tym z ojcem podczas lunchu?

Hugh uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze, dobrze. Wygrałaś!

Gwen nigdy nie przyzwyczaiła się do spędzania nocy w sypialni Laurence'a i dlatego kiedy przyjeżdżał do domu, noce – prawie wszystkie – spędzał w jej pokoju. Tę noc, ostatnią przed kolejnym wyjazdem, także. Był wyjątkowo czuły, a kiedy po chwilach namiętności pocałował ją w usta i pogłaskał po policzku, zauważyła, że jego oczy podejrzanie błyszczą.

– Gwen, wiesz dobrze, że możesz powiedzieć mi wszystko.

– Wiem, kochanie. I ty też. Ty też możesz powiedzieć mi wszystko.

Laurence zamknął oczy, zauważyła jednak, że jego broda drży.

Nie zgasili świecy. Chcieli, by wypaliła się do końca. Gwen, wpatrzona w podświetlony migotliwym światełkiem sufit, myślała o tym, co przed chwilą powiedział. Może, mimo wszystko, powiedzieć mu prawdę o Liyoni teraz, chociaż nie ma jeszcze żadnych dowodów?

Zaczęła mówić. Najpierw wspomniała o Hugh. Laurence coś mruknął, chrząknął i zasnął. Błyskawicznie. Gwen przez chwilę słuchała miarowego oddechu, potem przekręciła się na bok i też zasnęła. Obudził ich cichy płacz. Gwen natychmiast zapaliła nocną lampkę i spojrzała na zegar. Trzecia. Wstała, narzuciła na siebie szlafrok i włożyła grube skarpetki.

Musnęła palcem policzek męża.

– Śpij, masz przed sobą długą podróż.

Laurence przewrócił się na drugi bok.

Naveena naturalnie nie spała. Stała obok łóżka Liyoni.

– Ona mówi, że boli ją noga.

Gwen nachyliła się nad dzieckiem.

– Naveeno, proszę, podsuń tu krzesło. Wezmę Liyoni na kolana. Wiem, że doktor powiedział ci, jak masować jej nóżki, kiedy będą bolały. Pokażesz mi, bo dziś chciałabym masować ją sama.

Naveena przysunęła krzesło i kiedy Gwen sadowiła się na nim razem z Liyoni, wyjęła z szafki buteleczkę z wonnym olejkiem. Gwen wyciągnęła rękę, odwróciła dłoń i *ayah* wylała na nią niewielką ilość olejku.

– Trzeba masować bardzo delikatnie, proszę pani. O tak.

Gwen przez chwilę przyglądała się, jak robi to Naveena. Liyoni pojękiwała przez cały czas i kasłała. Gwen, kiedy zaczęła masować nogi dziewczynki, cicho nuciła. Powieki dziecka zaczęły opadać i po chwili zasnęło. Gwen przytuliła śpiącą dziewczynkę do siebie i dalej siedziała na krześle. Siedziała tak wiele godzin i była cała zesztywniała, z czego zdała sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy o świcie do pokoju wszedł Laurence.

– Przyniosłem ci herbatę – powiedział, stawiając filiżankę na stoliku. – Na pewno jesteś ledwo żywa.

– Ależ skąd! Tylko trochę mi zimno.

– Położę ją do łóżka. Mogę?

Ostrożnie położył Liyoni i poprosił Naveenę, by przyniosła jakiś koc dla Gwen.

Gwen wstała. Przeciągnęła się, bo wszystkie mięśnie miała obolałe, i położyła palec na ustach.

– Bądźmy cicho. Niech mała sobie pośpi.

– Może wezwać doktora?

– Sama nie wiem. Tak naprawdę to nic nie można już zrobić. Przepisał silne środki przeciwbólowe, ale powiedział, że należy podawać je jak najrzadziej, dopóki**...** – Gwen przełknęła ślinę. – O Boże**...** Ona kiedyś pływała jak ryba**...**

– Chodź, Gwen.

Objął ją wpół i poprowadził z powrotem do sypialni.

– I tak zadzwonię po doktora – powiedział. – Muszę niebawem jechać, żeby nie spóźnić się na pociąg. Przedtem jednak chciałbym ci coś pokazać.

– A nie można z tym poczekać? Przespałabym się teraz, zanim doktor przyjedzie.

Doktor zalecił, by od tej chwili środki przeciwbólowe podawać Liyoni częściej.

– Oczywiście, nie bez przerwy. Ale kiedy uznasz, że to konieczne, nie zastanawiaj się, tylko podaj.

– Z Liyoni nie jest dobrze, prawda?

– Nie.

– A**...** jak długo to potrwa, John?

– Tego nie wiem. Powiedz mi, czy ona potrafi utrzymać się na nogach? Po prostu stać sama, bez niczyjej pomocy?

– Tak – odparła Gwen, czując, że wszystko w niej zamiera. Bo skoro tak niewiele czasu zostało, tak straszliwie niewiele, nie ma się nad czym zastanawiać. Trzeba jak najprędzej powiedzieć o wszystkim Laurence'owi. Zaraz po jego powrocie do domu.

A przedtem koniecznie zrobić coś dla Liyoni. Zanim jeszcze nie jest za późno.

Kiedy doktor odjechał, Gwen zaniosła dziewczynkę do swojego pokoju, posadziła na krześle przy oknie, a sama wróciła do pokoju dziecięcego po jej ubranie. Kiedy pokazała Liyoni sukienkę, którą dla niej wybrała, dziewczynka klasnęła w ręce. Była to sukienka uszyta przez Naveenę ze starej sukni Gwen. Czerwona, prawie szkarłatna, ozdobiona angielskim haftem. Wyjęła też z komody swój ulubiony czerwony szal i czerwone skarpetki, które nosiła do kaloszy. Hugh zawsze wtedy śmiał się, że mama chce wyglądać jak Czerwony Kapturek.

Kiedy Liyoni została ubrana i otulona szalem, Gwen wyszła przed dom, by sprawdzić, czy McGregor, który odwoził Laurence'a na stację, już wrócił. Okazało się, że tak. Daimler stał przed domem. Kluczyki były w stacyjce. Gwen wyjęła kluczyki i schowała do kieszeni, uznając, że kto jak kto, ale ona nie musi się nikomu opowiadać, że bierze samochód.

Kiedy wróciła do pokoju, Naveena nadal krzątała się przy Liyoni.

– Jak myślisz, Naveeno, czy ja dobrze robię?

Naveena powoli pokiwała głową.

– Tak, proszę pani. Niech to biedactwo przynajmniej popatrzy na wodę.

Gwen usadziła dziewczynkę w samochodzie i przekręciła kluczyk w stacyjce z nadzieją, że uda jej się znaleźć ten zakręt, który pokazywała jej Verity, kiedy uczyła ją jeździć samochodem. Nie żałowała swojej decyzji. Liyoni wielokrotnie prosiła, by pokazać jej wodospad, a poza tym, jeśli zachowa się ostrożność, na pewno nic jej się nie stanie.

Kiedy jechały do wodospadu, Gwen wspominała wspólne chwile z Liyoni, teraz tak drogocenne. Liyoni wynurza się z wody z radosnym okrzykiem, że zaraz pofrunie**...** Liyoni wdzięcznie obraca się dookoła, kiedy coś ją zachwyci**...** Liyoni jeszcze w pełni sił.

Zamyślona, w ostatniej chwili zorientowała się, że należy skręcić. Skręciła więc i na moment zatrzymała samochód. Opuściła szyby, by mogły się nawdychać świeżego powietrza przesyconego zapachem mięty i eukaliptusów i posłuchać brzęczenia owadów. Po chwili daimler znów ruszył z miejsca; powoli, bo droga była wyboista, a w samochodzie było chore dziecko.

– Liyoni? Wystaw buzię za okno. Czujesz już zapach wody? Za chwilę będziemy

przy wodospadzie.

Dziewczynka szybko podsunęła twarz do okna. Gwen widziała teraz jej włosy, długie, wijące się, spływające po plecach.

– Liyoni, słyszysz już wodospad?

– Tak! Tak! Słyszę! – zawołała, zwracając ku Gwen rozpromienioną twarz.

Gwen zaparkowała samochód, wysiadła i obeszła maskę, żeby otworzyć drzwi z drugiej strony.

– Niestety, nie dam rady podjechać bliżej.

Dziewczynka przesunęła się na brzeg fotela i znieruchomiała, zasłuchana w szum wody.

– Ale ja prawie go nie widzę. Czy mogę wysiąść? Pójdziemy tam?

Gwen zawahała się. Doktor przecież mówił, że chociaż dziecko może jeszcze chodzić i stać przez co najmniej dziesięć minut, absolutnie nie wolno chorych nóg męczyć, bo potem będą bardzo bolały i dziecko będzie cierpieć.

– Niestety nie, Liyoni, to dla ciebie za daleko.

– Podejdźmy chociaż kawałeczek. Proszę. Będę szła bardzo ostrożnie.

Patrzyła tak błagalnie, że Gwen musiała ustąpić. W końcu doktor mówił, że choroba będzie postępować, nie wiadomo więc, czy Liyoni będzie mogła jeszcze kiedykolwiek zobaczyć, jak woda spada ze skały.

– Dobrze, ale o chodzeniu nie ma mowy. Zaniosę cię do miejsca, z którego będziesz dobrze widziała wodospad.

Siła wody wyrzeźbiła w skałach przed wodospadem gigantyczną podkowę. Gwen zaniosła tam Liyoni, stanęły w bezpiecznym miejscu, daleko od skalnego progu, a jednocześnie wystarczająco blisko, by widzieć wodę, która naprzeciwko spadała w dół i stawała się wodospadem.

– Pamiętaj, nie wolno ci zrobić ani kroku dalej – powiedział Gwen, jedną ręką obejmując dziewczynkę wpół. – Spójrz tam, gdzie ziemia jest taka skruszała. Na tamte grudy. Widzisz je? Tam właśnie spada woda.

– Tak, widzę. Będę ostrożna.

Gwen spojrzała w górę. Słońca nie było widać, niebo zakryły ciężkie chmury. A tu, w dole, pachniało mokrą ziemią i czymś jeszcze. Ten zapach niewątpliwie dolatywał z wody, czyli prawdopodobnie był to zapach różnych minerałów niesionych przez rzekę.

Nagle drgnęła, gdzieś z tyłu usłyszała dziwne odgłosy. Obejrzała się i odetchnęła z ulgą, bo to były tylko rozbrykane małpy. Zeskakiwały z drzewa i z głuchym łoskotem uderzały o ziemię.

– Liyoni, ty bardzo lubisz wodę, prawda? – spytała głośno, żeby było ją dobrze słychać w tym szumie.

Liyoni uniosła ku niej zarumienioną z podekscytowania twarz.

– Tak! Bardzo!

Stały i patrzyły. Gwen – na skalne progi po przeciwnej stronie. Woda, spadając z tych progów, wpadała do rozlewiska, w którym utopiła się Caroline. Samego rozlewiska Gwen nie widziała, ale mogła sobie wyobrazić spienioną biel tam, w dole. I to, co przeżywała jej poprzedniczka, pierwsza żona Laurence'a Hoopera.

A Liyoni, rozradowana, roześmiana, odrzuciła głowę w tył i uniosła obie ręce. Powiał silny wiatr i zerwał z dziewczynki czerwony szal. Gwen puściła ją, dosłownie na sekundę, by podnieść szal. Kiedy prostowała się, słońce oślepiło ją i odruchowo spojrzała w dół, na skrzącą się wodę. W tym momencie do jej uszu dotarły nowe dźwięki, przebijające przez szum wody. Samochód. Na pewno. Ktoś podjechał i teraz hamował.

Zamrugała i szybko wyciągnęła rękę, by ponownie objąć dziecko. Ale ręka trafiła w próżnię, bo Liyoni przesunęła się kawałek dalej. Stała teraz odwrócona plecami do wodospadu, a wiatr powiał z jeszcze większą siłą. Czerwona sukienka rozdęła się jak balon. Dziewczynka zachwiała się, zrobiła jeden chwiejny krok, ale nie w kierunku Gwen, tylko do tyłu. Tam, gdzie pchał ją wiatr.

Gwen poczuła, że jej serce przepełnia miłość do tego dziecka.

– Stój, kochanie! Nie ruszaj się! – krzyknęła i zaczęła na czworakach posuwać się w stronę dziewczynki.

I wtedy nagle, jak spod ziemi, pojawił się Laurence. Chwycił Liyoni na ręce i ruszył z powrotem do samochodu. Gwen, nadal na klęczkach, spojrzała w dół. Zmartwiała. Boże wielki, przecież Liyoni o mały włos**...**

Zerwała się na równe nogi i pobiegła za Laurence'em, krzycząc histerycznie:

– Daj mi ją! Daj!

Prawie wyrwała mu z rąk dygoczące dziecko i przytuliła do siebie jak najmocniej. Nikt jej nie powiedział, że bycie matką to życie wypełnione miłością absolutną, zapierającą dech. To również strach tak wielki, że wstrząsa całym jestestwem. Nikt jej nie uświadomił, że te dwa uczucia są sobie tak bliskie.

I jeszcze coś. Jedna przerażająca myśl. Gdyby zdobyła się na odwagę i pochyliła się bardzo nisko, nogi by się oderwały od tej skały. Poleciałaby w dół, do srebrzystej wody, uwalniając się od wszystkiego, co dręczy ją od lat. Poczucia winy. Strachu. Nienawiści do samej siebie.

Myśl ulotna, musiała jednak pozostawić jakiś ślad na twarzy, może w oczach, ślad,

który dostrzegł Laurence.

– Nie, Gwen! Nie myśl teraz o sobie, tylko o dziecku! O swoim drugim dziecku!

Była tak oszołomiona tym, co się wydarzyło, że nie zrozumiała.

– Co powiedziałeś? Co?

Wtedy coś zaczęło świtać w jej głowie. Dookoła zapadła cisza, nawet powiewy wiatru były bezgłośne. Tak. Widziała wszystko, choć tak naprawdę wcale się temu nie przyglądała. Zielona trawa kładła się, bo wiatr ją głaskał, ale wolniej niż zwykle. Wszędzie owady, mnóstwo owadów, ale fruwały jakoś ospale. Ptaki przeskakiwały z gałęzi na gałąź w zwolnionym tempie. A tam, w oddali, co to może być? Dzwon? Przez chwilę czuła błogi spokój, pewna, że ten wyciszony, spowolniony świat jest po to, by uwolnić ją od straszliwego bólu. Nie, to nie tak. Ból wcale nie zniknął, tylko odezwał się ze zdwojoną siłą. Dokładnie w chwili, gdy do uszu znów dotarł głuchy pomruk spadającej wody.

– Laurence? Ty wiesz?

Pokiwał głową.

– Od kiedy?

– Od niedawna.

– Byłam pewna, że pojechałeś do Kolombo.

– Nie pojechałem, bo najpierw muszę z tobą porozmawiać. Koniecznie. Pojedziecie ze mną. Mam koce w bagażniku, zaraz przyniosę. Będziecie miały czym się okryć. A daimler tu zostanie. Razem z Nickiem przyjedziemy po niego później.

Gwen mimo woli spojrzała jeszcze raz tam, gdzie przed chwilą stała razem z Liyoni. Serce podskoczyło jej do gardła. Przecież tak niewiele brakowało**...**

Laurence poszedł po koce. Gwen stała, tuląc do siebie dziewczynkę. Głaskała ją po policzkach, szeptała jej to, czego dotąd nie śmiała powiedzieć. Że tak jej przykro, że prosi o wybaczenie. Powtarzała to niezliczoną ilość razy. Dziewczynka niewątpliwie nie rozumiała wszystkiego. Patrzyła tylko w oczy Gwen i uśmiechała się.

Po chwili wrócił Laurence.

– Postąpiłam lekkomyślnie – powiedziała Gwen, otulając Liyoni kocem. – Nie powinnam była przywozić tu Liyoni, ale ona tak bardzo chciała zobaczyć wodospad.

– Nie rób sobie wyrzutów. Stałyście w dobrym miejscu, nie za blisko krawędzi. Owszem, zrobiło się nieciekawie przez ten wiatr, ale na pewno nic wam nie groziło. A teraz jedziemy już do domu.

Wziął na ręce Liyoni i zaniósł ją do samochodu. Posadził ją na tylnym siedzeniu i pogłaskał po głowie.

– Już po strachu, mała. Wszystko będzie dobrze.

Gdzieś wysoko zaskrzeczał ptak. Gwen spojrzała na to, co nadal ściskała w ręku. Czerwony szal Liyoni. Podniosła rękę i rozprostowała palce. Szal załopotał i poddał się swemu losowi, dając się ponieść podmuchom wiatru. Pofrunął, kołysząc się i obracając w kółko jak latawiec. Przemknął nad lśniącą wodą, załopotał jeszcze raz i znikł z oczu.

35

Po pięciu tygodniach, w cichy majowy poranek, Liyoni zakończyła życie. Umarła we śnie. Gwen czuwała przy niej. Głaskała ją po czole, ochładzała, a potem razem z Naveeną ostrożnie umyły dziewczynkę i uczesały. Gwen nigdy nie spełniała tych nieskończenie smutnych obowiązków. Jej serce cierpiało. A im bardziej cierpiało, tym mniejsza była nadzieja, że kiedykolwiek otrząśnie się z żalu i rozpaczy.

Po tej wyprawie do wodospadu Laurence zaczął wyjaśnić Gwen, jak doszedł prawdy. Mówił coś o zapisach rodzinnych, dokumentach, czyli o tym, co sugerowała też Fran. Ale Gwen była tak zmartwiona pogorszeniem się stanu zdrowia Liyoni, że nie zdołała go wysłuchać i poprosiła, by porozmawiali o tym kiedy indziej, a potem zalała się łzami i wybiegła z pokoju. Nie potrafiła jeszcze dzielić się z kimś swoją udręką. Udręką kobiety, która obcym ludziom oddała własną córkę.

Teraz nie była w stanie nic powiedzieć, ani jeść, ani pić z żalu, że tak późno doszła do głosu jej miłość do Liyoni. Już nigdy jej nie zobaczy, nie pogłaszcze po głowie, nie usłyszy. Nigdy nie będzie mogła naprawić tego, co zrobiła. I to było najgorsze: świadomość, że nic nie można zmienić. Liyoni już nie ma. Dziecko umarło, a matka żyje. Przecież tak nie może być, przecież to wbrew naturze!

A jednak. Okrutny los lubi z nas zadrwić.

Kiedy Naveena ubierała Liyoni w długą, białą sukienkę, zdrętwiała z rozpaczy Gwen stała kilka kroków dalej. Potem weszło kilku służących i ułożyli kwiaty wokół zmarłej dziewczynki. Przyszedł też McGregor, przeraźliwie blady. Kiedy wyciągnął rękę do Gwen, zobaczyła w jego oczach ból. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Być może teraz ożył w jego pamięci tamten dzień, gdy mały Thomas udawał się na wieczny odpoczynek.

Kiedy wszyscy wyszli, Gwen nachyliła się nad córeczką i musnęła palcem zimny policzek, teraz o wiele jaśniejszy niż za życia dziewczynki. Ból w sercu był nie do zniesienia, ale chciała, żeby bolało. Chciała cierpieć, zasłużyła na najcięższą karę.

Hugh o niczym jeszcze nie wiedział. Laurence zadecydował, że lepiej będzie, jeśli przez kilka tygodni nie będzie przyjeżdżał do domu. W czasie wakacji dowie się o wszystkim. Tak więc chłopca na pogrzebie Liyoni nie było.

Do grobu małego Thomasa nie trzeba już było iść przez zarośla. Ogrodnik wyciął je i teraz szło się tam ścieżką. Gwen szła półprzytomna z rozpaczy. A kiedy zobaczyła głęboki prostokątny dół, czekający na trumnę z Liyoni, przed oczami

zrobiło jej się ciemno. Omal nie zemdlała. Naveena szła obok niej, obejmując ją jedną ręką. Tak jak Gwen kiedyś prowadziła Liyoni. Teraz ją prowadzono, bo trudno jest iść, trudno wyprostować plecy, kiedy człowiek czuje się tak, jakby przybyło mu wiele lat.

Twarz *ayah* wydawała się nieprzenikniona. Czyżby niczego nie czuła? Nie, to niemożliwe. Po prostu służący starają się nie okazywać swoich uczuć.

Kiedy spuszczano trumnę do grobu, Gwen z trudem oparła się przemożnemu pragnieniu, by za nią podążyć. Uklękła i rzuciła na trumnę bukiet białych, dorodnych stokrotek. Była nieprzytomna z bólu, pewna, że z tej rozpaczy nigdy się nie otrząśnie. I wtedy usłyszała ciche pluskanie wody w jeziorze. Woda Liyoni. Ona ocali jej matkę.

Szepnęła do Laurence'a, który pomagał jej wstać z klęczek:

– Pójdę teraz popływać.

Laurence powiedział coś do Naveeny, potem poszedł razem z Gwen do jej pokoju. Kiedy zesztywniałymi rękami niezdarnie zdejmowała tę okropną czarną sukienkę, chciał jej pomóc, ale odepchnęła go. Nie nalegał, zrozumiał, że ona musi poradzić sobie z tym sama.

Włożyła kostium kąpielowy. Laurence poszedł do siebie, przebrał się szybko i wrócił po nią.

Woda w jeziorze była zimna.

– Kiedy zaczniesz płynąć, od razu się rozgrzejesz, Gwen. Popłyniemy na wyspę?

Kiwnęła głową. Pierwsza weszła do jeziora i zaczęła płynąć. Coraz dalej, coraz dalej. I tak mogłaby płynąć w nieskończoność, ale Laurence nalegał, by dopłynęli do wyspy i tam chwilę odpoczęli. Nie opierała się, ale o odpoczynku na wyspie nie było mowy, bo kiedy usiedli na brzegu, okazało się, że wieje bardzo silny wiatr.

– W takim razie płyniemy do hangaru na łodzie – zarządził Laurence. – Kazałem Naveenie przynieść tam ręczniki i herbatę. I rozpalić w kominku.

Gwen płynęła teraz znacznie wolniej. Jakby siły ją opuściły. Po schodkach wchodziła na uginających się nogach i kiedy weszła do środka, od razu usiadła koło kominka, w którym złociste płomienie lizały już grube polana. Podciągnęła nogi i skierowała ręce w stronę ognia. Laurence otulił ją wielkim, grubym ręcznikiem, drugim ręcznikiem osuszył jej głowę. Gwen oparła się o męża. Tama pękła. Łzy wreszcie popłynęły. Odwróciła się do niego i przytuliła policzek tam, gdzie bije serce; rozszlochała się na dobre, opłakując śmierć córeczki. Płakała też z żalu, że Laurence'owi nie było dane poznać swego dziecka. I dlatego, że życie, które potrafi dać tyle radości, zdolne jest jednocześnie zadać okrutny cios, po którym nie można

się podnieść.

Tuliła się do męża, a on głaskał ją po plecach. Po chwili poczuła, że znowu jest, że wraca do życia, a tego bólu jakby ubywa.

Potem siedzieli na podłodze przed kominkiem zapatrzeni w ogień. Laurence wlał herbatę do dwóch filiżanek, dodając odrobinę brandy.

– Porozmawiamy, Gwen?

Najpierw chwila ciszy. Gwen zbierała się w sobie.

I zadała pierwsze pytanie:

– Od jak dawna wiedziałeś?

– O Liyoni?

– Tak. Chciałeś mi już o tym wcześniej powiedzieć. Powiesz teraz?

– Naturalnie. Pamiętasz, jak kiedyś przyszła do mnie paczka z Anglii? Na pewno pamiętasz. Pytałaś, od kogo ta paczka.

– Tak, przypominam sobie.

– Przysłał ją nasz prawnik z Anglii. Poprosiłem go, by skontaktował się z naszym najemcą, ponieważ chciałem, by wszedł do małego apartamentu w naszym domu. Apartament ten nie był objęty umową najmu, ponieważ moi rodzice co roku jeździli na jakiś czas do Anglii, musieli więc mieć jakieś lokum. W tym apartamencie znajduje się sporo starych dokumentów. Moja matka bardzo kochała ten dom. Rodzice zamierzali na stare lata znów osiąść tam na stałe, dlatego matka gromadziła tam wszystkie papiery. Poprosiłem prawnika, by je odszukał i mi przysłał. Wiedziałem, że Verity przeglądała te papiery, ja nie. Przypomniałem sobie, że kiedyś powiedziała mi, że ja nie wiem o naszej rodzinie wielu rzeczy. Pomyślałem więc, że warto te papiery przejrzeć, bo może znajdę w nich coś o Naveenie i Liyoni. Czy naprawdę są spokrewnione ze sobą.

– I co znalazłeś?

– Fotografie, listy, dokumenty. Znalazłem dokument sporządzony na cieniutkim pergaminie. Akt małżeństwa mojego pradziadka Alberta, który pojął za żonę Sukeenę. Sukeena nie była Angielką, nie była Europejką, ale Syngalezką. Zmarła, wydając na świat moją babkę. Moi rodzice nigdy mi o tym nie mówili.

A więc taka jest prawda. Prawda, która po tylu latach w końcu wyszła na jaw.

– Czyli to po niej Liyoni odziedziczyła kolor skóry?

– Sądzę, że tak. Gdybyś nie ukrywała tego wszystkiego przede mną, Gwen, może od razu zacząłbym dociekać prawdy. I nasza córka byłaby z nami.

– Nie, Laurensie. Byliśmy wtedy małżeństwem od niedawna, nie zdążyliśmy się jeszcze dobrze poznać. Na pewno byś mnie podejrzewał o romans i odesłał

z powrotem do Anglii.

Laurence zbladł, chciał coś powiedzieć, ale Gwen położyła palec na jego ustach.

– Na pewno. Nikomu by do głowy nie przyszło, że może być jakaś inna przyczyna.

Laurence nie odzywał się, co świadczyło, że w duchu przyznaje jej rację.

Przez chwilę patrzyli na siebie, potem Laurence zrobił głęboki wdech.

– Rozmawiałem z Naveeną. Powiedziałem jej, co znalazłem w starych papierach i co podejrzewam. Nie ukrywam, że musiałem się natrudzić, by wreszcie przemówiła i przyznała, że istotnie urodziłaś bliźnięta. Trzeba przyznać, że ona jest naprawdę lojalna wobec ciebie**...** – Laurence zamilkł na chwilę. – Kiedy pomyślę o tym, co musiałaś przejść przez te lata**...** Kiedy Verity powiedziała mi o Liyoni, o twoim romansie z Savim Ravasinghe, wiedziałem już, że to nieprawda. Oczywiście poprosiła też o apanaże.

– I zacząłeś znowu je wypłacać. A ja miałam być pewna, że robisz to tylko dlatego, bo cię o to poprosiłam?

– No**...** tak.

– Czy ona widziała akt małżeństwa waszego pradziadka?

– Jestem pewien, że widziała. Ale jeszcze nie wie, że ja też ten akt czytałem i wiem o Sukeenie. Chciałem najpierw porozmawiać z tobą, Gwen.

Pokręciła głową.

– O Boże**...** Więc Verity znała prawdę, ale i tak próbowała mnie szantażować! Dlaczego tak bardzo zależy jej na tych apanażach?

– Podejrzewam, że nie chce być żoną Alexandra, ponieważ boi się kompromitacji. Wie przecież doskonale, że podobnie jak ty może urodzić kolorowe dziecko.

– A czy ona przypadkiem nie podkochuje się w Savim?

– Myślę, że zwróciła na niego uwagę tylko dlatego, że w tej sytuacji byłby ewentualnie odpowiednim kandydatem na męża. W małżeństwach mieszanych kolor skóry nie jest już problemem, prawda? W każdym razie Verity nie jest taka silna jak ty, Gwen. Teraz przede wszystkim potrzebuje pieniędzy, by móc prowadzić samodzielne życie. Dlatego tak jej zależy na tych apanażach i dlatego chciała cię zmusić, byś wstawiła się za nią u mnie. A kiedy uznała, że tego nie zrobiłaś, przyszła z tym do mnie sama.

– Przecież wstawiłam się za nią.

– Myślę, że od samego początku nie wierzyła, że to zrobisz.

Gwen pomyślała chwilę.

– A wiesz, że Verity podbierała pieniądze na prowadzenie domu? Kombinowała z rachunkami. Myślę, że od dawna. Przestała dopiero wtedy, kiedy jej

powiedziałam, że wiem o tym.

Laurence westchnął i opuścił głowę.

– Nic innego mi nie pozostaje, jak przeprosić za swoją siostrę.

Zapadła cisza. Gwen piła herbatę, Laurence nad czymś się zastanawiał.

– A wiesz, że byłem już bliski prawdy tamtego dnia, kiedy Liyoni chciała popływać i zaniosłem ją nad jezioro. Coś mi świtało w głowie, choć jednocześnie broniłem się przed tym. A kiedy przyszły te papiery i miałem już pewność, wtedy dotarło do mnie, jak bardzo jesteście do siebie podobne.

Byłyśmy**...** Gwen czuła, jak znów ogarnia ją rozpacz. Jak z tym żyć? A żyć musi, ma przecież jeszcze jedno dziecko. Ma Hugh.

– Jak będzie z nami dalej, Laurensie?

– No cóż**...** Będziemy z tym żyć. Tylko ty, ja i Naveena znamy prawdę o Liyoni.

– I Verity!

– No tak. Jeśli chodzi o Hugh, to moim zdaniem nie należy go wtajemniczać. Powiemy mu, kiedy będzie starszy i zdoła to wszystko zrozumieć.

– Może masz rację, chociaż jestem pewna, że zrozumiałby od razu, że jego koleżanka tak naprawdę była jego siostrą. A co zamierzasz zrobić z Verity?

– Przede wszystkim pilnować, byś miała z nią jak najmniej problemów. Wstyd mi za nią, ale nie mogę przecież odwrócić się do niej plecami. Sprawia wiele kłopotów, ale to jednak moja siostra.

Gwen potrząsnęła tylko głową. W tym momencie prawie było jej szkoda szwagierki.

– Jeśli chcesz, możemy wrócić do Anglii. Myślę, że przez parę lat jeszcze tu wytrwamy, ale kiedy oni uzyskają niepodległość, nie będziemy mieli wyboru.

Gwen spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Mówiłeś mi kiedyś, że twoje serce jest tam, gdzie plantacja. Moje też. Cejlon nadal jest naszym domem. Zostańmy tu, może uda nam się jeszcze zrobić coś dobrego. Poprawić im warunki życia. Tego przecież chcemy, prawda? A wyjedziemy stąd wtedy, kiedy będziemy do tego zmuszeni.

– Dobrze, Gwen. Zrobię wszystko, by naprawić to, co się stało. Wszystko.

– Jesteś kochany. Ta ścieżka do miejsca ich wiecznego spoczynku może zostać, prawda? Zadbamy, żeby z powrotem nie zarosła. I może wyciąć trochę krzaków, żeby widać było stamtąd jezioro?

– Oczywiście. Każ to zrobić ogrodnikowi.

– Posadzimy tam mnóstwo kwiatów – mówiła dalej Gwen, czując, że w gardle ją ściska. – Może**...** pomarańczowe aksamitki?

Laurence pokiwał głową. Wziął Gwen za rękę, ona oparła się o niego i jak zwykle spojrzała w okno, na jezioro, tam, gdzie teraz gromadziły się wodne ptaki. Czaple, bociany i ibisy.

– W tych papierach jest jeszcze coś bardzo interesującego – powiedział po chwili Laurence. – Wyobraź sobie, że matka Naveeny była kuzynką mojej babki.

Gwen drgnęła.

– Co ty powiesz! Czy Naveena wie o tym?

– Nie sądzę**...** – Zamilkł na chwilę. – Ale**...** myślę, że ma u nas dobre życie.

– Na pewno, Laurensie.

I znów oboje milczeli. A potem znów przemówił Laurence, bardzo cicho:

– Żałuję, że nie dane mi było być ze swoim dzieckiem. Nie dane mi było jej pokochać**...**

Gwen zrobiła głęboki wdech.

– Bardzo mi przykro, Laurensie, że tak się stało.

– O nic cię nie obwiniam, Gwen. Tak po prostu musiało być. Ale przynajmniej kiedy Liyoni była już u nas, wydawała się szczęśliwa, prawda?

– Tak, ale mogło być jeszcze lepiej.

Laurence opuścił głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podłogę.

– Gwen, jest jeszcze coś, o czym chcę ci powiedzieć. Nie wiem, czy mi wybaczysz, że mówię ci o tym dopiero teraz.

Zamknęła oczy. Boże wielki! Jakby tego wszystkiego było jeszcze za mało!

– Chodzi o Caroline.

Gwen otworzyła oczy.

– Tak?

– Syn Caroline**...** To znaczy, także mój syn, Thomas, też nie był biały.

Gwen, porażona, zasłoniła ręką usta.

– Jeszcze raz przepraszam, Gwen, że mówię ci to dopiero teraz. Myślę, że to właśnie kolor skóry dziecka spowodował, że Caroline załamała się. Była piękną, wrażliwą kobietą. Starałem się zrobić dla niej wszystko, ale była bardzo słaba psychicznie. Wkrótce po narodzinach Thomasa zaczęła mieć napady płaczu, bała się czegoś panicznie. Czasami trwało to całą noc. Siedziałem wtedy przy niej, starając się ją uspokoić, ale na próżno. Nie byłem w stanie jej pomóc. W jej oczach był tak wielki strach**...** Serce mi się ściska, kiedy sobie to przypomnę.

– Czy ona mówiła coś o tym, starała się jakoś to wyjaśnić?

– Nie, nigdy, chociaż próbowałem ją do tego nakłonić. Oprócz naszej rodziny o Thomasie wiedział tylko doktor i Naveena. Ukrywaliśmy go przed służbą. O jego

istnieniu dowiedział się jedynie McGregor, przecież to on znalazł go w wodzie. Verity była wtedy w domu, miała wakacje.

– Czyli wiedziała o wszystkim?

– Tak, bardzo to przeżywała.

– Rozumiem. I to mogłoby wiele wyjaśnić.

– Oczywiście. Prawdopodobnie dlatego zawsze dawałem jej dużo swobody.

– Ale dlaczego Naveena nie powiedziała mi o Thomasie?

– Bo prosiłem ją, by nigdy z nikim o tym nie mówiła.

– No tak**...** A przecież to ona wpadła na pomysł, by Liyoni zaopiekowała się jakaś kobieta z wioski.

– To logiczne. Widziała przecież, co stało się z Caroline, i bała się, że z tobą może być podobnie**...** – Laurence zamilkł i na moment zamknął oczy. – Jest jeszcze coś**...** za co ja ponoszę winę.

– Ty?

– Tak. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Thomasa, poczułem się zdradzony i oskarżyłem Caroline o romans z Savim Ravasinghe, który malował jej portret. Caroline wszystkiemu zaprzeczała, ale jej nie wierzyłem.

Gwen, zszokowana, mocno zacisnęła usta i powieki.

– Tak było, ale przysięgam, że nadal ją kochałem i robiłem wszystko, by jej pomóc.

– Może jednak robiłeś za mało.

– Naprawdę się starałem, ale z Caroline było coraz gorzej. Nie dbała o siebie, o swój wygląd. Pomagałem jej się umyć, ubrać, pomagałem nawet karmić dziecko. Robiłem wszystko, by wyszła z tego mroku. Myślałem, że już się udało, że już czuje się na tyle dobrze, że mogę wyjechać na jeden dzień**...** – Zapadła cisza. – Myliłem się – kontynuował po chwili. – Bo wtedy właśnie, tamtego dnia, odebrała sobie życie. Przerażające jest to, że nawet kiedy odeszła, nadal jej nie wierzyłem, nadal myślałem, że Thomas był owocem tego romansu. A gdybym jej uwierzył**...**

Nagle Gwen pojęła.

– O Boże! Chcesz powiedzieć, że gdybyś jej uwierzył, nie odebrałaby sobie życia?!

Pokiwał głową. Twarz miał ściągnięta, oczy lśniły od łez.

– Ona przecież przez cały czas mówiła prawdę! A ja tę prawdę poznałem dopiero wtedy, gdy w papierach matki znalazłem dokument o Sukeenie. Chciałem wtedy z tobą porozmawiać, powiedzieć ci wszystko o Caroline i Thomasie, ale nie mogłem. Czułem się, jakbym sam wepchnął ich do tego rozlewiska przed wodospadem!

Właśnie tak! I jak ja mam z tym wszystkim żyć, Gwen? Jak?!

Bezradnie potrząsnęła głową. Laurence mówił dalej zdławionym głosem:

– Przecież nie chodzi tylko o śmierć Caroline. Ona zabrała ze sobą Thomasa, bo nie ufała mi, nie chciała powierzyć mi malutkiego, bezbronnego dziecka.

Gwen milczała, wsłuchując się w plusk wody w jeziorze, poruszanej porywami wiatru. Nie była w stanie nic powiedzieć. Czuła się zdruzgotana.

Laurence wziął ją za rękę.

– Wiem, że powinienem był ci o tym powiedzieć jeszcze przed ślubem, ale byłem pewien, że wtedy stracę i ciebie.

Gwen wysunęła dłoń z jego dłoni.

– Tak, Laurensie – powiedziała głosem cichym, pełnym smutku. – Powinieneś był to zrobić.

Potem zapadła cisza. Gwen wolała milczeć, bo nie ufała sobie. Gdyby Laurence powiedział jej o Thomasie jeszcze przed ich ślubem, czy wyszłaby za niego? Była przecież wtedy taka młoda. O wiele za młoda.

– Gwen, bardzo mi przykro, że musiałaś tyle przejść, i to sama. Caroline nie mogę prosić o wybaczenie. A tak ją kochałem**...**

Gwen zamknęła oczy i szepnęła:

– Jakaż to biedna kobieta**...**

– Gwen, czy wybaczysz mi, że nie powiedziałem ci o wszystkim?

Otworzyła oczy. Laurence siedział przygarbiony, obejmując rękami głowę. Wzrok miał wbity w podłogę. Co mogła mu powiedzieć? Na dworze panowała cisza, ptaki już nie śpiewały, nawet wiatr złagodniał. Jakby natura też czekała w napięciu na to, co powie teraz Gwen, jaką podejmie decyzję. Bo chociaż teraz wiedziała więcej i wiele rzeczy zrozumiała, w pamięci ożyły różne wydarzenia z przeszłości i w rezultacie czuła się kompletnie zagubiona.

Cisza przeciągała się, ale kiedy znów spojrzała na Laurence'a, kiedy dostrzegła, jak wielka jest jego rozpacz i zwątpienie, zrozumiała, że on bardzo potrzebuje jej słów.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Tak, to był błąd**...**

– A ja**...** Co takiego mogę zrobić? Cokolwiek bym powiedziała, to nic nie zmieni. To, co się stało z Caroline, już się nie odstanie. Musisz z tym żyć. Ciągłe obwinianie siebie nic nie da. Los już ci jej nie zwróci.

Laurence wyciągnął rękę, ale Gwen siedziała nieruchomo i mówiła dalej cichym, łamiącym się głosem:

– Nie ty jeden popełniasz błędy. Ja też popełniłam straszliwy błąd. Oddałam córkę obcym ludziom… I ona teraz… umarła…

Spojrzała mu głęboko w oczy i wzięła go za rękę. Wiedziała dobrze, jak to jest żyć z poczuciem winy, w ciągłym strachu. Jak to boli, bardzo boli. Pomyślała o tym, przez co on przeszedł i przez co przeszła ona. A potem ożył w pamięci ten dzień, kiedy jako bardzo młoda dziewczyna stała na pokładzie statku dopływającego do Cejlonu. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Saviego Ravasinghe, kiedy była pewna, że wszystko przed nią. Kiedy nie miała pojęcia, jak przerażająco kruche potrafi być szczęście.

Przypomniała sobie chwilę tego błogiego spokoju, kiedy wpatrywała się w czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę nowo narodzonego synka, w jego rączki. Przypomniała sobie, jak zadrżała, kiedy wydobył z siebie pierwszy krzyk.

Potem ożyło inne wspomnienie, nadzwyczaj wyraziste. Kiedy rozwinęła kocyk i zamarła, gdy zobaczyła ciemne rączki, ciemny, okrągły brzuszek i bardzo czarne oczy.

Myślała o tych latach pełnych poczucia winy i wstydu, ale nie tylko. Także o tym, co piękne i porywające. Tu, na Cejlonie. O niezapomnianych chwilach, kiedy zewsząd dolatuje zapach cynamonu zmieszany z zapachem kwiatów. O porankach, kiedy rosa skrzy się i człowiek czuje się tak rześko. O monsunach z ich bezkresną ścianą deszczu. O połyskujących liściach na krzewach herbaty, gdy przestanie padać.

A potem jeszcze pomyślała o czymś, co zawsze wspominała z największą czułością, i wtedy po jej policzkach popłynęły łzy.

Tamten widok Liyoni. Płynie jak ryba. Płynie na wyspę. Kręci się w wodzie w kółko i podśpiewuje. Liyoni jeszcze zdrowa, jeszcze radosna.

Mała dziewczynka, a smutek po niej tak wielki.

Gwen płakała, a Laurence głaskał ją po głowie. Pomyślała o Caroline, o tym, jak wiele mają wspólnego. Teraz dopiero uzmysłowiła to sobie i była tak poruszona, że na moment zabrakło jej tchu. A potem znów powróciło wspomnienie o Liyoni. Ta ważna chwila, kiedy Gwen uświadomiła sobie, że kolor skóry córeczki stał się dla niej nieistotny. I te ostatnie słowa Liyoni, które nosić będzie w sercu do końca życia.

„Kocham cię, mamo”.

Powiedziała to tamtej nocy, a nad ranem odeszła na zawsze.

Gwen otarła łzy i uśmiechnęła się, patrząc na jezioro i ptaki, które zerwały się do lotu. Życie płynie dalej. Bóg jeden wie, co będzie. Gwen musi żyć z nadzieją, że dopisze jej szczęście i pewnego dnia znajdzie jakiś sposób, by wybaczyć.

Wybaczyć sobie.

OD AUTORKI

Pomysł napisania tej powieści podsunęła mi moja teściowa, Joan Jefferies, która często wspominała swoje dzieciństwo spędzone w Indiach i Birmie w latach dwudziestych i na początku lat trzydziestych. Kiedy opowiadała mi różne historie przekazywane w jej rodzinie z pokolenia na pokolenia – a w rodzinie byli plantatorzy herbaty zarówno na Cejlonie, jak i w Indiach – zaczęłam się zastanawiać, jakie było w tamtych czasach nastawienie do różnic rasowych, jakie panowały ówcześnie stereotypy.

Odwiedziłam archiwum dźwiękowe w Ośrodku Studiów Azji Południowej na Uniwersytecie Cambridge, gdzie znalazłam wspaniałe nagrania, które bardzo przybliżyły mi tamte czasy. Po napisaniu pierwszej wersji książki wybrałam się na Sri Lankę. Hatton, Dickoya i Nuwara Eliya istnieją naprawdę, natomiast plantacja Hoopera powstała w mojej wyobraźni przez połączenie kilku miejsc, które umiejscowiłam wyżej, niż znajduje się prawdziwe Hatton czy Dickoya. Miałam też przyjemność mieszkać w bungalowie plantatora w ośrodku wypoczynkowym Ceylon Tea Trails obok sztucznego jeziora. Oczywiście nie jest to jezioro z mojej powieści.

Na wzgórzach romantycznej spowitej mgłą plantacji herbaty żona plantatora prowadzi życie osoby uprzywilejowanej, ale wymyśliłam też wiele sytuacji, w których ujawnia się jej nastawienie do różnic rasowych, widoczne są też typowe postawy kolonistów, a te z kolei doprowadzają do tragicznych wydarzeń w życiu mojej bohaterki.

Z medycznego punktu widzenia urodzenie niepodobnych do siebie bliźniąt, z których każde ma innego ojca, jest możliwe, podobnie jak pojawienie się w kolejnych pokoleniach ciemnoskórego dziecka białych rodziców. Najlepiej udokumentowanym przypadkiem tego rodzaju jest przypadek Sandry Laing urodzonej w latach pięćdziesiątych w Afryce Południowej. Jej rodzice, oboje Afrykanerzy, byli biali, natomiast dziewczynka – ciemnoskóra o czarnych, kręconych włosach i charakterystycznych rysach twarzy. Więcej informacji o Sandrze można znaleźć w książce Judith Stone *When She Was White: The True Story of a Family Divided by Race*, także w książce Gary'ego Younge'a *Who Are We – and Should It Matter in the 21st Century?*.

W dawnych czasach Brytyjczycy wyjeżdżający do pracy w Indiach lub na Cejlonie

bardzo często szukali sobie żon wśród tubylców. Łatwiej im wtedy było zaadaptować się do tamtejszych warunków i współpracować z miejscową ludnością. Sytuacja zmieniła się jednak po otwarciu Kanału Sueskiego w 1869 roku, kiedy to coraz więcej niezamężnych białych kobiet udawało się w daleką podróż, by znaleźć bogatego męża. Małżeństwa mieszane przestały być powszechnie tolerowane, uważano bowiem, że mogą być nielojalne wobec Korony Brytyjskiej.

Czytelnicy, którzy znają historię Sri Lanki, zapewne zauważą, że niektóre wydarzenia ze względów narracyjnych przesunęłam w czasie. Chodzi o zamieszki w związku z walką o język wykładowy w szkole oraz walkę o kwiaty pamięci.

PODZIĘKOWANIA

Jestem bardzo wdzięczna panu Andrew Taylorowi z Ceylon Tea Trails na Sri Lance za fantastyczną wycieczkę do fabryki herbaty Norwood Tea Factory, gdzie bardzo wzbogaciłam swoją wiedzę nie tylko na temat herbaty, lecz także przeszłości Cejlonu. Bez personelu z Tea Trails, który stworzył nam cudowną namiastkę kolonialnego życia, książka ta na pewno w mniejszym stopniu oddawałaby ówczesne realia. Zatrzymaliśmy się w Castlereagh, pięknym hotelu nad jeziorem w krainie herbaty. Hotel ten posiada bogaty księgozbiór, dzięki czemu mogłam prawie codziennie oddawać się lekturze pasjonujących książek historycznych. Szczególne podziękowania należą się naszym „kamerdynerom" oraz Nadeerowi Weerasinghe, który oprowadzał mnie po pięknym ogrodzie Tea Trails, ucząc nazw drzew, roślin i ptaków. Składam też podziękowania naszemu kierowcy i przewodnikowi, Sudarshanowi Jayasinghe, oraz Markowi Forbesowi z Kolombo za oprowadzenie nas po mieście. Dziękuję personelowi z Galle Face Hotel, w którym zatrzymaliśmy się podczas pobytu w Kolombo. Cała wycieczka została znakomicie zaplanowana przez Nicka Clarka z Experience Travel.

Jestem zachwycona bogactwem informacji o Sri Lance i jej przeszłości, jakie można znaleźć w internecie, zwłaszcza na YouTube. Bardzo pomocne okazały się dla mnie wspomnienia Davida Ebbelsa zawarte w jego książce *Round the Tea Totum: When Sri Lanka was Ceylon* (wyd. AuthorHouse 2006), dzięki czemu mogłam zapoznać się z życiem codziennym w domu plantatora. Dowiedziałam się między innymi, jakie były zwyczaje dotyczące spania i jak wyglądały wielkie porządki.

Na koniec gorące podziękowania dla moich niestrudzonych agentek, Caroline Hardman i Joanny Swainson, także dla wydawcy, Venetii Butterfield oraz całego zespołu z Penguina, który pracował ciężko nad wydaniem mojej książki. Dziękuję Wam wszystkim.

Książki, do których moim zdaniem warto zajrzeć:

M. Meyler, *Dictionary of Sri Lankan English*, www.mirisgala.net.

R.K. de Silva, *19th Century Newspaper Engravings*, Serendib Publications,

London 1998.

A. Saparamadu, *Vintage Posters of Ceylon*, W.L.H. Skeen **&** Company 2011.

G.C. Mendis, *Ceylon under the British*, Asian Educational Services. Third Edition 1951.

G. de Silva Wijeyeratne, *Sri Lankan Wildlife*, Bradt Travel Guides, UK 2007.

S. E. Hoffmann, *Sri Lanka in Pictures*, TFCB 2006.

Tytuł oryginału: *The Tea Planter's Wife*
Pierwsze wydanie: Penguin Books, 2015
Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media
Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda
Opracowanie redakcyjne: Barbara Żebrowska
Korekta: Jolanta Nowak

© 2015 by Dinah Jefferies
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2016

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiejkolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce: iStock i HQN. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1936-5

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.